

Powieści JOHNA le CARRE
w Wydawnictwie Amber

Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg

Jego Uczniowska Mość

Krawiec z Panamy

Ludzie Smileya

Russia House

Single & Single

Tajny pielgrzym

Wierny ogrodnik

JOHN
le CARRE

Wierny ogrodnik

*Człowiek sięgać ma dalej, niż ręką dosięgnąć zdola,
Bo po to właśnie jest niebo.*

Robert Browning *Andrea del Sarto*

1

Wiadomość wstrząsnęła brytyjską Wysoką Komisją w Nairobi w poniedziałek rano, o dziewiątej trzydzieści. Sandy Woodrow przyjął ją tak, jak przyjmuje się kulę: z zaciśniętą szczęką, wypiętą piersią, mocnym biciem rozdartego brytyjskiego serca. Stał. Tyle później sobie przypominał. Stał, a telefon podłączony do wewnętrznej linii dzwonił. Siegał po coś, usłyszał dzwonek, więc odwrócił się, nachylił, podniósł słuchawkę z biurka i powiedział: "Woodrow". Albo może: "Tu Woodrow". Trochę ostro mówił swoje nazwisko, to pamiętał na pewno: pamiętał, że jego głos brzmiał obco i szorstko.

"Tu Woodrow". To całkiem przyzwoite nazwisko, ale bez zmiękczenia, które nadaje mu imię Sandy. I wyrzucił je z siebie tak, jakby go nienawidził, bo dokładnie za pół godziny miało się rozpocząć rutynowe posiedzenie u Wysokiego Komisarza, gdzie Woodrow, jako szef kancelarii, miał odgrywać rolę moderatora wobec paczki bardzo ważnych osób, z których każda będzie chciała zyskać dla siebie serce i umysł Wysokiego Komisarza.

Krótko mówiąc - jeszcze jeden cholerny poniedziałek, w końcu lutego. W najgorętszej porze, w porze kurzu i niedoborów wody, brązowiejącej trawy, opuchniętych oczu, upału unoszącego się z miejskich chodników i jacarand, które -jak wszyscy i wszystko - czekały na długotrwałe deszcze.

Nigdy nie znalazł odpowiedzi na pytanie, dlaczego wtedy stał. Na dobrą sprawę powinien siedzieć zgarbiony za biurkiem, stukać w klawiaturę i niecierpliwie przeglądać materiały pomocnicze z Londynu oraz wszystko, co przyszło z sąsiednich afrykańskich misji. Ale on stał przed biurkiem i wykonywał jakieś dziwne rytualne czynności, jak poprawianie ramki z fotografią żony Glorii i dwóch synków, zrobionej zdaje się latem, gdy cała rodzina

była w domu na urlopie. Budynek Wysokiej Komisji stał na zboczu i nieustanne obsuwanie się gruntu wystarczało, żeby po weekendzie wszystkie obrazy i fotografie były odchylone od pionu.

A może spryskiwał aerozolem jakieś kenijskie owady, na które nawet dyplomaci nie są uodpornieni. Kilka miesięcy wcześniej mieli tu plagę "oka Nairobi", muszek, które wtarte przypadkowo w skórę powodowały czyraki i bąble, a nawet mogły wywołać ślepotę. A więc spryskiwał, usłyszał, że telefon dzwoni, odstawił pojemnik na biurko i chwycił słuchawkę: to też było możliwe, bo gdzieś z głębi pamięci wyłaniał się kolorowy slajd z czerwoną puszką płynu owadobójczego stojącą na przystawce do biurka. A więc, "tu Woodrow" i słuchawka przyciśnięta do ucha.

- Sandy, tu Mikę Mildren. Witaj. Jesteś przypadkiem sam?

Błyskotliwy, tustawy, dwudziestoczteroletni Mildren, osobisty sekretarz Wysokiego Komisarza, mówiący z akcentem z Essex, prosto z Anglii, po raz pierwszy na zagranicznej placówce. Młodzi pracownicy biura mówili na niego - co było do przewidzenia - Mildred.

Tak, Woodrow był sam, ale o co chodzi?

- Sandy, chyba coś się stało. Zastanawiałem się, czy nie powinienem do ciebie wpaść.

- Czy to nie może poczekać, aż skończy się zebranie?

- Cóż, myślę, że raczej nie... nie, właściwie nie może. - Mildren był coraz bardziej przekonany, w miarę jak mówił. - Chodzi o Tessę Quayle.

- Co z nią? - zapytał Woodrow. Powiedział to rozmyślnie obojętnym tonem, tymczasem jego umysł pracował na wysokich obrotach. Tessa, o Chryste! Co znowu narozrabiałaś?

- Policja z Nairobi mówi, że została zabita. - Mildren powiedział to tak, jakby o takich wypadkach mówił co dzień.

- Kompletna bzdura - wyrzucił z siebie Woodrow bez zastanowienia. - Nie bądź śmieszny. Gdzie? Kiedy?

- Nad jeziorem Turkana. Na wschodnim brzegu. Podczas tego weekendu. Dyplomatycznie pominęli szczegóły. W jej samochodzie. Według nich to nieszczęśliwy wypadek - dodał przepraszająco. - Odniosłem wrażenie, że chcę oszczędzić nasze uczucia.

- Czyj to samochód? - zapytał Woodrow gwałtownie. Walczył ze sobą, odpychał straszną rzeczywistość. Kto, jak, gdzie? Jego myśli i uczucia odpływały coraz niżej i niżej, a wszystkie nieujawniane wspomnienia o niej gwałtownie wypływały na wierzch, by zostać wyparte przez wypalony, księżycowy krajobraz jeziora Turkana, który pamiętał z wyprawy odbytej pół roku temu w szacownym towarzystwie attache wojskowego. - Zostań tam, gdzie jesteś, idę do ciebie. I z nikim innym nie rozmawiaj, słyszysz?

Odłożył słuchawkę, obszedł biurko, zdjął marynarkę z oparcia krzesła i włożył ją-jeden rękaw, potem drugi. Zazwyczaj nie wkładał marynarki, gdy szedł na górę. Marynarki nie były wymagane na poniedziałkowych spotkaniach, nie mówiąc już o wizytach w sekretariacie i pogawędkach z pucołowatym Mildrenem. Ale Woodrow-zawodowiec wyczuwał, że zanosi się na długą rozmowę. Gdy szedł po schodach, zmobilizował wolę i uciekł się do podstawowej zasady, którą stosował, gdy na horyzoncie pojawiał się kryzys: zaczął przekonywać siebie samego, tak jak wcześniej przekonywał Mildrena, że to wszystko jest całkowitą bzdurą. Żeby się jeszcze bardziej umocnić w tym mniemaniu, przypomniał sobie sensacyjną sprawę sprzed dziesięciu lat, kiedy krążyły plotki o pewnej młodej Angielce, porąbanej na kawałki w afrykańskim buszu. To niesmaczny, głupi kawał, oczywiście, inaczej być nie może. Urojenie czyjegoś zбочzonego umysłu. Jakiś zdziczały afrykański policjant, na pół oszalały od *bangi* usiłował wyciągnąć chudą pensyjkę, której nie płacono mu już od pół roku.

Świeżo ukończony budynek, do którego się wspinał, był prosty w stylu i dobrze zaprojektowany. Podobał mu się, może dlatego, że pozornie odpowiadał jego własnemu stylowi. Starannie wyznaczone granice, stołówka, sklep, dystrybutor paliwa i czyste, dyskretne korytarze, sprawiały wrażenie surowej samowystarczalności. Pozornie Woodrow dysponował tymi samymi cechami. W wieku czterdziestu lat był szczęśliwie żonaty z Głorią - a jeśli nawet nie był, to według niego jedyną osobą, która o tym wiedziała, był on sam. Stał na czele kancelarii i wiedział na pewno, że jeśli właściwie rozegra karty, za następnym rozdaniem posad wyląduje we własnej, skromnej misji, a potem w nie tak już skromnej i wreszcie doczeka się tytułu szlacheckiego - oczywiście, nie przykładał do JiCgo szczególnej wagi, ale Głorii byłoby miło. Było w nim trochę z żołnierza, zresztą był synem żołnierza. W ciągu siedemnastu lat w służbie zagranicznej Jej Królewskiej Mości niósł jej flagę w kilkunastu zagranicznych misjach brytyjskich. Ale niebezpieczna, rozkładająca się, splądrowana, zbankrutowana, brytyjska niegdyś Kenia poruszyła go najbardziej. Nie chciał zadać sobie pytania, ile z tego niepokoju zawdzięczał Tessie.

- W porządku - powiedział agresywnie do Mildrena, zamykając najpierw starannie drzwi za sobą.

Mildren wyglądał na wiecznie nadąsanego. Siedział za biurkiem jak krnąbrny grubasek, któremu nie pozwolono dokończyć owsianki.

- Zatrzymała się w Oazie - powiedział.

- W której oazie? Wyrażaj się jasno, jeśli potrafisz.

Ale Mildrena nie tak łatwo było wytrącić z równowagi, jak Woodrow mógł sądzić po jego wieku i randze. Trzymał przed sobą-stenograficzne notatki

i zajął w nie, zanim odpowiedział. Pewnie ich tego uczył, pomyślał Woodrow z pogardą. Jakże inaczej zarozumialec znad Tamizy znalazłby czas, żeby opanować stenografię.

- Na wschodnim brzegu jeziora Turkana, przy południowym końcu jest baza myśliwska - odparł Mildren, patrząc w papiery. - Nazywają ją Oazą. Tessa spędziła tam noc i następnego ranka wyruszyła w samochodzie terenowym, który dał jej właściciel bazy. Powiedziała, że chce zobaczyć miejsce narodzin cywilizacji, czterysta kilometrów na północ. Wykopaliska Leakeya. - Poprawił się: - Stanowisko archeologiczne Richarda Leakeya. W Parku Narodowym Sibiloi.

- Sama?

- Wolfgang dał jej kierowcę. Jego ciało znaleziono obok jej ciała w samochodzie.

- Wolfgang?

- Właściciel bazy. Nazwisko podam ci później. Wszyscy mówią na niego Wolfgang. To chyba Niemiec. Oryginał. Według policji, kierowcę brutalnie zamordowano.

- Jak?

- Dekapitacja. Zaginęła.

- Kto zginął? Mówiłeś, że była razem z nim w samochodzie.

- Głowa zaginęła.

Mogłem sam się domyślić. Prawda?

- Jak zginęła Tessa?

- Wypadek. Tylko tyle powiedzieli.

- Została obrabowana?

- Według policji, nie.

Brak kradzieży połączony ze śmiercią kierowcy sprawił, że Woodrow puścił wodze wyobraźni.

- Opowiedz mi wszystko dokładnie. Wszystko, co tam masz - polecił.

Mildren oparł pulchne policzki na dłoni i znów przejrzał notatki.

- Dziewięć dwadzieścia dziewięć. Od lotnej brygady z centrali policji w Nairobi. Pytają Wysokiego Komisarza - odczytał. - Wyjaśniłem, że W. K. jest w mieście i składa wizyty ministrom. Wedle rozkładu dnia wróci najpóźniej o dziesiątej. Jakiś - sądząc po głosie - kompetentny funkcjonariusz, nazwisko załączone. Powiedział, że z Lodwar napływają raporty...

- Lodwar? To bardzo daleko od jeziora Turkana!

- Tam jest najbliższy posterunek policji - wyjaśnił Mildren. - Samochód terenowy, własność bazy myśliwskiej Oaza. Znaleziono porzucony samochód na wschodnim brzegu jeziora, niedaleko zatoki Allia, po drodze do stanowiska Leakeya. Śmierć nastąpiła co najmniej przed trzydziestoma

sześcioma godzinami. Jedna biała kobieta, przyczyna śmierci nieznana. Jeden Afrykanin bez głowy, zidentyfikowany jako Noah, kierowca, żonaty, czwórka dzieci. Jeden but myśliwski mephisto, rozmiar siedem. Jedna niebieska bluza traperska rozmiar XL, poplamiona krwią, znaleziona na podłodze samochodu. Kobieta pod trzydziestkę, ciemnowłosa, złota obrączka na trzecim palcu lewej ręki. Jeden złoty naszyjnik na podłodze samochodu.

“Zawsze nosisz ten naszyjnik”, Woodrow usłyszał siebie, jak przekomaruje się z nią podczas tańca.

“Moja babka dała go mojej matce w dzień jej ślubu, odpowiedziała. Noś go do wszystkiego, nawet gdy go nie widać”.

“Nawet w łóżku?”

“To zależy”.

- Kto ich znalazł? - zapytał.

- Wolfgang. Przez radiostację połączył się z policją i poinformował swoje biuro, w Nairobi. Też drogą radiową. W Oazie nie ma telefonu.

- Jeśli kierowca nie miał głowy, to skąd wiedzieli, że to on?

- Miał zmiążdżone ramię. Dlatego został kierowcą. Wolfgang widział, jak Tessa odjeżdża z Noahem w sobotę o piątej trzydzieści, w towarzystwie Arnolda Bluhma. Wtedy po raz ostatni widział ich żywych.

Nadal czytał z notatek, a jeśli nie czytał, to udawał, że to robi. Podpierał policzki dłońmi i wydawało się, że nie ma zamiaru zmienić tej pozycji, bo w jego ramionach widać było upartą sztywność.

- Powtórz to - zażądał Woodrow.

- Tessa była w towarzystwie Arnolda Bluhma. Razem zameldowali się w bazie myśliwskiej Oaza, spędzili tam noc z piątku na sobotę i wyruszyli jeepem Noaha następnego ranka o piątej trzydzieści - powtórzył cierpliwie Mildren. - Ciało Bluhma nie było w terenówce i ślad po nim zaginął. A przynajmniej nikt do tej pory o tym nie meldował. Policja z Lodwar i lotna brygada są na miejscu, ale centrala w Nairobi chciałaby wiedzieć, czy zapłacimy za helikopter.

- Gdzie są ciała? - Woodrow był nieodrodnym synem swego ojca, rzeczowym i pragmatycznym.

- Nie wiadomo. Policja chciała, żeby zajęła się nimi Oaza, ale Wolfgang odmówił. Powiedział, że uciekliby jego pracownicy i goście też. - Chwila wahania. - Zameldowała się jako Tessa Abbott.

- Abbott?

- Jej nazwisko panieńskie. “Tessa Abbott” skrzynka pocztowa Nairobi”. Nasza skrzynka. Nie mamy żadnej. Abbott, więc przeszukałem archiwum i znalazłem Quayle, nazwisko panieńskie Abbott Tessa. Pomyślałem, że tym nazwiskiem posługuje się, gdy pracuje społecznie. - Przeglądał ostatnią

stronę swoich notatek. - Próbowałem skontaktować się z Wysokim Komisarzem, ale właśnie obchodził ministerstwa, a poza tym są godziny szczytu. - Chciał przez to powiedzieć: to jest współczesne Nairobi prezydenta Moi, gdzie połączenie może oznaczać półgodzinne wysłuchiwanie słów: "przepraszamy, linia jest zajęta, proszę spróbować później", powtarzanych w kółko przez jakąś zadowoloną z siebie kobietę w średnim wieku. Woodrow stał już przy drzwiach.

- Nikomu nic nie mówiłeś?

- Nikomusieńku.

- A policja?

- Powiedzieli, że nie. Ale nie mogą odpowiadać za Lodwar, a ja nie sądzę, żeby mogli odpowiadać także za siebie.

- I o ile wiesz, niczego nie powiedziano Justinowi.

- Właśnie.

- Gdzie on jest?

- Chyba w swoim biurze.

- Zatrzymaj go tam.

- Przyszedł wcześniej. Zawsze tak robi, kiedy Tessa wybiera się w teren.

Mam odwołać spotkanie?

- Poczekaj.

Woodrow wiedział już dobrze - o ile kiedykolwiek w to wątpił - że ma do czynienia ze skandalem dwunastego stopnia, a jednocześnie z tragedią. Pognął w górę boczną klatką schodową z napisem "tylko dla personelu" i wszedł do mrocznego korytarzyka, prowadzącego do zamkniętych stalowych drzwi, zaopatrzonych w judasza i dzwonek. Gdy naciskał guzik, sfilmowała go kamera. Drzwi otworzyła zgrabna, rudowłosa kobieta w dżinsach i kwiecistej bluzce. Sheila, tłumacz swahili numer dwa, pomyślał automatycznie.

- Gdzie jest Tim? - zapytał.

Sheila nacisnęła brzęczyk i zagadała do pudełka.

- To Sandy i bardzo się spieszy.

- Poczekajcie dosłownie minutkę! - krzyknął donośnie męski głos.

Czekali.

- Horyzont jest już czysty - powiedział ten sam głos i następne drzwi otworzyły się z kłaśnięciem.

Sheila odsunęła się. Woodrow wszedł do pokoju. Tim Donohue, liczący prawie dwa metry wzrostu szef stacji, pochylał się nad biurkiem. Musiał je dopiero co uprzątnąć, bo na blacie nie leżał nawet jeden paperek. Donohue wyglądał gorzej niż zazwyczaj. Gloria, żona Woodrowa, uważała, że jest umierający. Zapadnięte blade policzki. Wory pobrużdżonej skóry pod pół-

przymkniętymi, żółtawymi oczami. Rzadkie postrzępione wąsy, obwisłe w komicznej rozpaczy.

- Witam. Co możemy dla ciebie zrobić?! - zawołał, spoglądając w dół zza dwuogniskowych okularów, z uśmiechem godnym trupiej czaszki.

Posuwa się za daleko, pomyślał Woodrow. Narusza cudze terytorium i wychwytuje sygnały, zanim się wysłało.

- Zdaje się, że wczoraj zabito Tesę Quayle, gdzieś w okolicach jeziora Turkana - powiedział z mściwym pragnieniem wywołania szoku. - Jest takie miejsce, które nazywa się Oaza. Muszę porozmawiać z jego właścicielem przez radio.

No proszę, jacy są wyszkoleni, pomyślał. Zasada pierwsza: nigdy nie okazuj swoich uczuć, nawet jeśli je masz. Piegowata twarz Sheili zastygła w zagadkowym niesmaku. Tim Donohue nadal uśmiechał się głupekowato, po swojemu - ale ten uśmiech niczego już nie oznaczał.

- Co się stało, stary? Powtórz to.

- Jest zabita. Przyczyna nieznana albo policja nie chce powiedzieć. Kierowca jej jeepa ma odrąbaną głowę. To już cała historia.

- Zabita i obrabowana?

- Tylko zabita.

- Niedaleko jeziora Turkana?

- Tak/

- Co ona tam, do diabła, robiła?

- Nie mam pojęcia. Podobno zwiedzała wykopaliska Leakeya.

- Justin już wie?

- Jeszcze nie.

- Czy jest w to wplątany ktoś jeszcze, kogo znamy?

- To jedna z rzeczy, które próbuję ustalić.

Donohue poprowadził go do dźwiękoszczelnej kabiny telekomunikacyjnej, której Woodrow nigdy wcześniej nie widział. Kolorowe telefony z wgłębieniami na tabliczki kodowe. Telefaks spoczywający na czymś, co przypominało stalową beczkę na naftę. Radiostacja wykonana z groszkowanych zielonych metalowych pudełek. Na wierzchu leżała wydrukowana w misji książka telefoniczna. A więc to tak nasi szpiedzy poszeptują między sobą, pomyślał. Władcy świata czy władcy podziemia? Nie mógł się zdecydować. Donohue usadowił się przy radiostacji, przestudiował książkę telefoniczną i zaczął gmerać przy przełącznikach białymi, trzęsącymi się palcami. Jednocześnie zaintonował:

- ZNB 85, ZNB 85 wzywa TKA 60 -jak bohater filmu wojennego. - TKA 60, czy mnie słyszysz? Odbiór. Oaza, czy mnie słyszysz? Odbiór.

Rozległy się trzaski statyki, a potem odezwało się wyzywające:

- Tu Oaza. Słyszę głośno i wyraźnie, szanowny panie. Kim pan jest?
Odbiór - powiedziane z gardłowym niemieckim akcentem.

- Oaza, tu brytyjska Wysoka Komisja w Nairobi. D&fc ci Sandy'ego Woodrowa. Odbiór.

Woodrow nachylił się, kładąc obie ręce na biurku Tiina, żeby zbliżyć się do mikrofonu.

- Tu Woodrow, szef kancelarii. Czy rozmawiam z Wolfgangiem? Odbiór.

- OK., panie kanclerzu, jestem Wolfgang. Jakie ma pan pytanie? Odbiór.

- Chciałbym, żeby pan opisał kobietę, która zameldowała się w pańskim hotelu jako panna Tessa Abbott. Zgadza się, prawda? Tak napisała? Odbiór.

- Jasne. Tessa.

- Jak wyglądała. Odbiór.

- Ciemne włosy, bez makijażu, pod trzydziestkę, na moje oko nie Angielka. Niemka z południa, Austriaczka, Włoszka. Jestem hotelarzem. Przyglądam się ludziom. Piękna. Nie zapomniałem jeszcze, że jestem mężczyzną. Seksowna jak zwierzę, a jak się ruszała! Ubranie takie, że można było zdmuchnąć. Wygląda na pańską Abbott, czy na kogoś innego? Odbiór.

Donohue trzymał głowę o kilkanaście centymetrów od jego głowy. Po drugiej stronie biurka stała Sheila. Cała trójka wpatrywała się w mikrofon.

- Tak. To chyba panna Abbott. Mógłby mi pan powiedzieć, kiedy i w jaki sposób zarezerwowała sobie miejsce w pańskim hotelu? O ile wiem, ma pan biuro w Nairobi. Odbiór.

- Nie robiła rezerwacji.

- Przepraszam?

- To doktor Bluhm zrobił rezerwację. Dwie osoby, dwie Chaty blisko basenu, na jedną dobę. Powiedziałem mu, że mamy tylko jedną chatę wolną. OK, weźmie i to. Niezły gość. Wszyscy na nich patrzyli. Goście, personel. Piękna biała kobieta, piękny afrykański lekarz. Przyjemny widok. Odbiór.

- Ile pokoi jest w chacie? - zapytał Woodrow z nikłą nadzieją, że zażegna skandal.

- Jedna sypialnia, dwa pojedyncze łóżka, niezbyt twarde, wygodne i sprężyste. Salonik. Każdy wpisuje się do księgi. Zawsze mówię, żeby nie podawali jakichś dziwacznych nazwisk. Jak ludzie się gubią, to muszę wiedzieć, kto to był. Tak się nazywała, zgadza się? Abbott? Odbiór.

- To jej panięskie nazwisko. Odbiór. Numer skrytki pocztowej, który podała, należy do Wysokiej Komisji.

- Gdzie jest jej mąż?

- W Nairobi.

- O, rany.
- Więc kiedy Bluhm dokonał rezerwacji? Odbiór.
- W czwartek. W czwartek wieczór. Przez radio z Loki. Powiedział, że mają zamiar wyjechać w piątek z pierwszym brzaskiem. Loki od Lokichoggio. Na północnej granicy. Centrum organizacji pomocy humanitarnej, obsługujących południowy Sudan. Odbiór.
- Wiem, gdzie jest Lokichoggio. Powiedzieli, co tam robią?
- Coś związanego z pomocą humanitarną. Bluhm zajmuj e się tymi sprawami, prawda? Tylko tak można dostać się do Loki. Pracuje dla jakiejś belgijskiej ekipy medycznej, tak mi powiedział. Odbiór.
- Więc robił rezerwację z Loki i wyjechali z Loki w piątek, wczesnym rankiem. Odbiór.
- Powiedział, że mają zamiar dotrzeć na zachodnią stronę jeziora około południa. Chciał, żebym im zamówił łódź do Oazy. Słuchaj, powiedziałem mu. Z Lokichoggio do jeziora Turkana prowadzi diabelna trasa. Lepiej wybierzcie się z konwojem z żywnością. Te cholerne wzgórza roją się od bandytów, mieszkają tam plemiona, które nawzajem rabują sobie bydło. I to jest normalne. Tyle, że dziesięć lat temu mieli dzidy, a teraz wszyscy dostali kałasze. Śmiał się. Powiedział, że da sobie radę. I tak było. Przejechali bez problemów. Odbiór.
- Więc zameldowali się, potem wpisali do księgi. A potem co? Odbiór.
- Bluhm powiedział, że chcą wynająć jeepa i kierowcę, żeby podjechać do stanowiska Leakeya o świcie następnego dnia. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego nie wspomniał o tym, kiedy rezerwował pokój, ja go nie zapytałem. Może właśnie się zdecydowali. Może nie lubili omawiać swoich planów przez radio. Dobrze, powiedziałem. Ma pan szczęście. Może pan wziąć Noaha. Bluhm był zadowolony. Ona była zadowolona. Spacerowali po ogrodzie, pływali razem, razem siedzieli w barze, razem jedli, powiedzieli wszystkim dobranoc i poszli do chaty. Rano wyjechali razem. Widziałem ich. Chcecie wiedzieć, co jedli na śniadanie?
- Kto widział, jak odjeżdżali? Odbiór.
- Wszyscy, którzy wstali. Wzięli prowiant, bańki z wodą, zapasowe paliwo, żelazne racje, lekarstwa. Wszyscy troje razem, a panna Abbott w środku, jak szczęśliwa rodzina. To naprawdę jest oaza. Mam dwadzieścioro gości, większość była już na nogach. I jest jeszcze ze stu facetów, których wcale nie potrzebuję. Kręcą się dookoła parkingu, sprzedają skóry, laski i noże. Wszyscy widzieli, jak Bluhm i Abbott odjeżdżają i machali im na pożegnanie. Ja machałem, sprzedawcy skór machali, Noah odmachiwał, Bluhm i Abbott też. Nie uśmiechali się. Byli poważni. Jakby mieli coś ważnego do zrobienia, jakby czekały ich wielkie decyzje, skąd zresztą mogę wiedzieć? Czego

pan jeszcze chce, panie kanclerzu? Pozabijać świadków? Jestem jak Galileusz. Jak mnie wsadzicie do więzienia, przysięgnę, że nigdy ich nie było w Oazie. Odbiór.

Przez chwilę Woodrow stał jak sparaliżowany. Nie był w stanie sformułować następnych pytań, a może kłębiło się ich zbyt wiele. Ja już jestem w więzieniu, myślał. Moje dożywocie zaczęło się pięć minut temu. Przetarł ręką oczy, a kiedy odjął dłoń, zobaczył, że Donohue i Sheila patrzą na niego równie obojętnie jak wtedy, gdy powiedział im, że ona nie żyje.

- Kiedy doszedł pan do wniosku, że mogło się im stać coś złego? Odbiór - powiedział bezbarwnie jakby pytał, czy mieszka pan tam przez cały rok, odbiór. Albo: czy od dawna prowadzi pan swój ładny hotelik, odbiór.

- Terenówka ma radiostację. Kiedy Noah jest na wycieczce z gośćmi, wymagamy od niego, żeby nawiązał kontakt i powiedział, że jest szczęśliwy. Noah nie zameldował się. OK, radiostacje się psują, szoferzy zapominają. Łączenie się to nuda. Trzeba zatrzymać samochód, wyjść, ustawić antenę. Słyszysz mnie pan? Odbiór.

- Jasno i wyraźnie. Odbiór.

- Tyle, że Noah nigdy nie zapomina. Właśnie dlatego pracuje dla mnie. Ale nie zgłosił się. Ani po południu, ani wieczorem. OK, pomyślałem. Może się gdzieś rozbili obozem, pozwolili mu za dużo wypić, albo coś takiego. Wieczorem, przed zamknięciem, wywołałem wszystkich strażników z okolic stanowiska Leakeya. Ani śladu. A pierwszą rzeczą rano był wyjazd do Lodwar, żeby zgłosić zaginięcie. To mój jeep, OK? I mój kierowca. Nie wolno mi zgłaszać zaginięcia drogą radiową, muszę to zrobić osobiście. To cholernie daleka wyprawa, ale takie są przepisy. Policja w Lodwar uwielbia pomagać obywatelom w opałach. Mój jeep zaginął? Nie nasz problem. O, było tam dwoje moich gości i kierowca? To czemu nie pojedę ich szukać? Jest niedziela, w niedzielę oni nie pracują. Muszą iść do kościoła. "Daj nam trochę pieniędzy, wypożycz samochód, to może pomożemy", tak powiedzieli. Wróciłem do domu, zebrałem zespół ratunkowy. Odbiór.

- Kto to był? - Woodrow znów wziął się w garść.

- Dwie grupy. Moi ludzie, dwie ciężarówki, woda, zapasowe paliwo, lekarstwa, zapasy, szkocka na wypadek, gdybym musiał coś zdezynfekować. Odbiór. - Ktoś wszedł na linię, Wolfgang posłał go do diabła. Zadziwiająca, ale ten ktoś sobie poszedł. - Cholernie tu gorąco, panie kanclerzu. Pięćdziesiąt stopni, a do tego szakali i hien jak mrówek. Odbiór.

Zamilkł, jakby ustępował głosu Woodrowowi.

- Słucham - powiedział Woodrow.

- Jeep leżał na boku. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego. Drzwi były zamknięte. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego. Jedno okno uchylone na jakieś

pięć centymetrów. Ktoś zamknął za sobą drzwi na klucz, a klucz zabrał. Smród nie do opisania i to tylko z tej maleńkiej szczeliny. Wszędzie ślady hien, wielkie wgniecenia tam, gdzie usiłowały się dostać do środka. Wkoło wszędzie ich tropy, widać zaczęły się wściekać. Dobra hiena wyczuje krew z odległości dziesięciu kilometrów. Gdyby udało im się dostać do ciała, zmiażdżyłyby je jednym kłapinięciem szczęki, pogruchoły kości, żeby wysssać szpik. Ale nie udało im się. Ktoś zamknął przed nimi drzwi i trochę uchylił okno. Więc zaczęły szaleć. Pan też by oszalał. Odbiór.

Woodrow musiał się przemóc, żeby jakoś sklecić zdanie.

- Policja twierdzi, że Noahowi ucięto głowę. Czy to prawda? Odbiór.

- Jasne. To był wspaniały chłop. Rodzina zamartwia się na śmierć. Wszędzie rozesłali ludzi, żeby szukali głowy. Jeśli jej nie znajdą, nie będą mogli mu sprawić przyzwoitego pochówku i jego duch wróci, żeby ich nawiedzać. Odbiór.

- A co z panną Abbott? Odbiór... - Ohydna wizja Tessy bez głowy...

- Nie powiedzieli panu?

- Nie. Odbiór.

- Podcięte gardło. Odbiór.

Tym razem wizja dłoni mordercy, który zdiera naszyjnik, żeby zrobić miejsce dla noża. Wolfgang opowiadał, co zrobił potem.

- Po pierwsze, powiedziałem chłopakom, żeby drzwi zostawili zamknięte. W środku i tak nikt nie żył. Kto otworzy drzwi, będzie miał za swoje. Zostawiłem jedną grupę, żeby rozpałała ognisko i trzymała straż. Drugą wyprowadziłem do Oazy. Odbiór.

- Jedno pytanie. Odbiór - Woodrow próbował trzymać nerwy na wodzy.

- Jakie pytanie, panie kanclerzu? Proszę, śmiało. Odbiór.

- Kto otworzył jeepa. Odbiór.

- Policja. Jak tylko przyjechała policja, moi chłopcy zwiali. Nikt nie lubi policji. Nikt nie ma ochoty dać się aresztować. W każdym razie nie u nas. Najpierw przyjechała policja z Lodwar, teraz tu jest lotna brygada, i paru facetów z osobistego gestapo Moiego. Moi chłopcy zamknęli kasę i pochowali srebra. Tyle że ja nie mam sreber. Odbiór.

Znów cisza; Woodrow szukał odpowiednich słów.

- Czy Bluhm nosił kurtkę w stylu safari, kiedy wyjeżdżał do stanowiska Leakeya? Odbiór.

- Jasne. Taką starą. To była raczej kamizelka. Niebieska. Odbiór.

- Czy ktoś znalazł nóż na miejscu zbrodni? Odbiór.

- Nie. To musiał być nie byle jaki nóż. Panga z ostrzem Wilkinsona. Weszła w Noaha jak w masło. Od jednego cięcia. To samo z nią. Ciach. Była rozebrana do naga. Mnóstwo siniaków. Mówiłem o tym? Odbiór.

Nie, nie mówiłeś, pomyślał Woodrow. Pomiñałeś jej nagość. Sińce też.

- Czy kiedy wyjeżdżali z bazy, w terenówce była panga? Odbiór.

- Nie słyzałem o Afrykaninie, który wybrałby się na safari bez pangi, panie kanclerzu.

- Gdzie są teraz ciała?

- Noah - czyli to, co z niego zostało - został wydany jego plemieniu.

Po pannę Abbott policja wysłała motorową dinghy. Musieli odciąć dach je-epa. Pożyczyli nasz sprzęt do cięcia. Potem przywiązali ją do pokładu. Pod pokładem zabrakło dla niej miejsca. Odbiór.

- Dlaczego? -już żałował, że zadał to pytanie.

- Niech pan wysili wyobraźnię, panie kanclerzu. Wie pan, co się dzieje z trupami w takim upale? Gdyby chciał ją pan zabrać samolotem do Nairobi, musiałby pan ją pociąć na kawałki, bo nie zmieściłaby się w ładowni.

Przez chwilę Woodrow wpadł w odrętwienie, a kiedy się z niego otrząsnął, usłyszał, jak Wolfgang mówi, że owszem, spotkał już wcześniej Bluhma. Więc musiał mu zadać pytanie, chociaż sam siebie nie usłyszał.

- Dziewięć miesięcy temu. Wystąpiłem w roli bąka w salonie na przyjęciu ważniaków od humanitarnych machlojek. Żywność dla świata, zdrowie dla świata, rozliczanie delegacji dla świata. Sukinsyny wydali góry pieniędzy i chcieli, żebym wystawił im rachunki na dwa razy taką sumę. Powiedziałem, żeby się chrzanili. Bluhmowi się to spodobało. Odbiór.

- Jaki się panu wydał? Odbiór.

- A o co chodzi?

- Był jakiś inny? Bardziej podniecony albo dziwny, albo coś?

- O czym pan mówi, panie kanclerzu?

- No... Czy pańskim zdaniem to możliwe, że wpadł na jakiś trop? Że był blisko czegoś? - zaczął się płątać. - Bo ja wiem... kokaina, albo takie sprawy. Odbiór.

- Kotku - odpowiedział Wolfgang i połączenie zostało przerwane.

Woodrow znów poczuł na sobie badawczy wzrok Tima Donohue. Sheila zniknęła. Woodrow odniósł wrażenie, że poszła załatwiać coś pilnego. Ale co to mogło być? Dlaczego śmierć Tessy sprawia, że szpiedzy podejmują jakieś pilne działania? Poczul chłód i pożałował, że nie ma swetra, chociaż pot lał się z niego strumieniami.

- Możemy jeszcze coś dla ciebie zrobić, stary? - zapytał Donohue ze szczególną troską, ciągle wpatrując się w niego swoimi chorymi, zapadniętymi oczami. - Może szklaneczka czegoś mocniejszego?

- Dziękuję. Nie teraz.

Wiedzieli, powtarzał sobie, kiedy wściekły szedł po schodach w dół. Wiedzieli przede mną, że nie żyje. Ale im właśnie o to chodzi, żebyś myślał

w ten sposób: my, szpiegzy, wiemy więcej od ciebie i szybciej to do nas dociera.

- Czy Wysoki Komisarz już wrócił? - zapytał, zaglądając przez uchylone drzwi do gabinetu Mildrena.

- Powinien już być.

- Odwołaj spotkanie.

Woodrow nie poszedł prosto do pokoju Justina. Zajrzał do Ghity Pearson, najmłodszej pracowniczki kancelarii, zaufanej przyjaciółki Tessy. Ghita była ciemnooką, jasnowłosą Anglo-Hinduską i miała znamię swojej kasty na czole. Zatrudniona jako pracownik miejscowy, szkolona osobiście przez Woodrowa, wiązała jednak swoją karierę z brytyjską służbą zagraniczną. Na jej czole pojawiła się zmarszczka podejrzenia, gdy zobaczyła, że zamyka za sobą drzwi.

- Ghito, to co powiem, jest tylko do twojej wiadomości, dobrze? - Spojrzała na niego bacznie, z wyczekiwaniem. - Bluhm. Doktor Arnold Bluhm.

- O co chodzi?

- To twój kumpel. - Brak reakcji. - Jesteś z nim w przyjacielskich stosunkach?

- To nasz kontakt. - Do obowiązku Ghity należało utrzymywanie kontaktów z agencjami humanitarnymi.

- I najwyraźniej kumpel Tessy. - Z czarnych oczu Ghity niczego nie można było wyczytać. - Znasz kogoś z jego ekipy?

- Dzwonię od czasu do czasu do Charlotty. Ona prowadzi jego biuro. Reszta to pracownicy terenowi. A co? - Anglo-hinduska melodyjna intonacja brzmiała dla niego bardzo ponętnie. Ale już nigdy więcej. Nigdy i z nikim.

- Bluhm był w ubiegłym tygodniu w Lokichoggio. Miał towarzystwo.

Znów kiwnięcie głową, ale wolniejsze i z opuszczonymi powiekami.

- Chcę wiedzieć, co tam robił. Z Loki pojechał do Turkana. Chciałabym wiedzieć, czy już wrócił do Nairobi. A może do Loki? Możesz się tego dowiedzieć i nie roztrąbić od razu wszystkim?

- Wątpię.

- Cóż, spróbuj. - Zaświtała mu w głowie pewna myśl. Przez te wszystkie miesiące, odkąd znał Tessę, nigdy o tym nie pomyślał. - Czy Bluhm jest żonaty? Wiesz coś o tym?

- Tak mi się zdaje. Z kimś z branży. Tak zazwyczaj z nimi jest, prawda? "Z nimi" - to znaczy z Afrykanami? A może - z kochankami? Wszystkimi kochankami?

- Ale jego żony nie ma w Nairobi? A może o niej nie słyszałaś?

- A co? - spytała łagodnym tonem, ale w pośpiechu. - Czy coś się stało Tessie?

- Możliwe. Zajmujemy się tym.

Potem dotarł do drzwi Justina, zapukał i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Tym razem nie zamknął drzwi za sobą, ale z rękami w kieszeniach oparł się o nie szerokimi ramionami, co dawało taki sam efekt, jakby je zamknął.

Justin stał do niego tyłem. Starannie przystrzyżoną głowę odwrócił do ściany, przyglądał się wykresowi, jednemu z kilku wiszących w pokoju. Na każdym były podpisy z czarnych liter i wznoszące się lub opadające różnokolorowe słupki. Wykres, który przyciągnął jego uwagę, nosił tytuł SKO-RELOWANA INFRASTRUKTURA 2005-2010 i głosił, o ile Woodrow mógł odczytać z miejsca, w którym stał, że jest w stanie przewidzieć przyszłą prosperity narodów Afryki. Na parapecie po lewej ręce Justina stał rząd roślin doniczkowych, które sam hodował. Woodrow rozpoznał jaśmin i balsam, ale tylko dlatego, że Justin ofiarował je kiedyś Glorii.

- Hej, Sandy. - Wymówił "hej" przeciągle.

- Hej.

- Słyszałem, że dziś się nie zbieramy. Kłopoty w fabryce?

Słynny złoty głos, pomyślał Woodrow, notując każdy szczegół, jakby to wszystko było dla niego nowością. Nieco zmatowiał z upływem czasu, ale nadal z gwarancją na oczarowywanie, o ile oczywiście przedkłada się ton nad istotę rzeczy. Dlaczego tobą gardzę, skoro za chwilę zmienię twoje życie? Od teraz, aż po kres twoich dni, wszystko będzie dzieliło się na to, co przed tą chwilą, i co po niej. I będą to dla ciebie dwie oddzielne epoki, tak jak dla mnie. Dlaczego nie zdejmiesz tej cholernej marynarki? Jesteś chyba ostatnim facetem w Służbie, który zamawia tropikalne garnitury u krawca. Potem przypomniał sobie, że też ma na sobie marynarkę.

- Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku? - zapytał Justin tym swoim wystudiowanym głosem. - Gloria nie marnieje w tym okropnym upale? Obaj chłopcy rozkwitają i tak dalej?

- Z nami w porządku. - Woodrow zamilkł na chwilę. - A Tessa jest gdzieś w terenie - zauważył. Dawał jej ostatnią szansę, żeby okazało się, że to wszystko jest jakąś straszną pomyłką.

Justin natychmiast stał się wylewny, co zdarzało się za każdym razem, gdy w jego obecności wymieniano imię Tessy.

- Tak, masz rację. Te zajęcia humanitarne ostatnio nie mają końca. - Tulił do siebie gruby tom dokumentów Narodów Zjednoczonych. Znowu się schylił, żeby odłożyć go na stolik. - W tym tempie uratuje całą Afrykę, zanim wyjedziemy na urlop.

- A właściwie po co wybrała się w teren? - Woodrow ciągle chwycił się brzytwy. - Myślałem, że będzie harowała tutaj, w Nairobi. W slumsach. Kibera, czy gdzie?

- No cóż, zaharowuje się - powiedział z dumą Justin. - Dzień i noc pracuje, biedna dziewczyna. Robi wszystko, od podcierania dziecięcych tyłeczków po uczenie półlegalnych imigrantów praw obywatelskich. Większość jej podopiecznych to oczywiście kobiety, to ją pociąga. Mniej pociąga to miejscowych mężczyzn. - Tęskny uśmiech mówił: "nie tylko ich". - Prawa własności, rozwody, przemoc fizyczna, gwałt małżeński, obrzezanie kobiet, bezpieczny seks. Codziennie to samo. Rozumiesz chyba, dlaczego ich mężowie robią się trochę drażliwi? Też bym taki był, gdybym uprawiał gwałt małżeński.

- Więc co robi w terenie? - nalegał Woodrow.

- Bóg jeden wie. Zapytaj doktora Arnolda. - Justin rzucił to zbyt niedbałym tonem. - Arnold służy jej za przewodnika i podręcznego filozofa.

A więc tak to chce rozegrać, pomyślał Woodrow. Ta legenda chroni całą trójkę. Arnold Bluhm, doktor nauk medycznych, mentor, czarny rycerz, obrońca w dżungli organizacji humanitarnych. A tymczasem - tolerowany kochanek.

- A gdzie jest konkretnie? - zapytał.

- W Loki, Lokichoggio. - Justin oparł się o kant biurka, być może nieświadomie naśladując swobodną postawę, którą Woodrow przybrał przy drzwiach. - Ludzie z World Food Programme prowadzą tam warsztaty z świadomości płci! Wyobrażasz sobie? Przywożą samolotami nieświadome niczego kobieciny z południowego Sudanu, dają im przyspieszony kurs Johna Stuarta Milla, znów pakują do maszyn i odstawiają do domu uświadomione. Arnold i Tessa wybrali się, żeby przyjrzeć się tej zabawie, szczęściarze.

- Gdzie jest teraz?

Justinowi najwyraźniej nie spodobało się to pytanie. Być może właśnie uświadomił sobie, że po to przyszedł Woodrow. Albo może, pomyślał Woodrow, nie lubi, kiedy przyciska się go w sprawach związanych z Tessą, skoro on sam nie może jej przycisnąć.

- Pewnie w drodze powrotnej, a co?

- Z Arnoldem?

- Chyba tak. Nie zostawiłby jej samej.

- Kontaktowała się?

- Ze mną? Z Loki? Jak? Tam nie ma telefonów.

- Mogła skorzystać z połączenia radiowego jednej z organizacji humanitarnych. Czy inni tak nie robią?

- Tessa to nie inni - odparł Justin, a na czole pojawiła mu się zmarszczka. - Ma swoje zasady. Na przykład, nie chce trwonić pieniędzy ofiarodawców. O co chodzi, Sandy?

Justin, teraz już nachmurzony, odsunął się od biurka i stanął pośrodku pokoju, założywszy ręce za plecami. A Woodrow, przyglądając się w świetle

słonecznym jego absolutnie przystojnej twarzy i siwiejącym czarnym włosom, przypomniał sobie włosy Tessy, dokładnie tego samego koloru, tylko bez oznak upływu czasu i trudów życia. Przypomniał sobie, kiedy zobaczył ich po raz pierwszy razem: Tessa i Justin, nasze olśniewające nowo przybyłe małżeństwo, honorowi goście Wysokiego Komisarza na przyjęciu urzędowym na ich cześć pod hasłem "Witamy w Nairobi". Pamiętał, że kiedy podszedł do nich, wyobraził sobie, że to ojciec i córka, a on stara się o jej rękę.

- Więc od jak dawna nie miałeś od niej wiadomości? - zapytał.

- Od wtorku, kiedy zawiozłem ich na lotnisko. Co jest, Sandy? Skoro Arnold jest z nią, nic się jej nie stanie. Zrobi, co jej każe.

- Myślisz, że mogli się wybrać nad jezioro Turkana - ona i Bluhm... Arnold?

- Jeśli dysponowali jakimś środkiem transportu i mieli na to ochotę, dlaczego nie? Tessa uwielbia dziką przyrodę, ma wielki szacunek dla Richarda Leakey jako archeologa i przyzwoitego białego Afrykanina. Czyba Leakey ma tam klinikę? Arnold miał najprawdopodobniej jakąś sprawę do załatwienia i zabrał ją ze sobą. Sandy, o co chodzi? - powtórzył z gniewem.

Woodrow miał zadać śmiertelny cios. Nie pozostało mu nic innego, jak patrzeć, jaki efekt wywrą jego słowa na twarzy Justina. I patrzył, jak resztki odległej młodości Justina wypływają z niego, a jego piękna twarz zamyka się i twardnieje jak morskie żyjątko chowające się w skorupie koralu.

- Dotarły do nas raporty, że na wschodnim brzegu jeziora Turkana znaleziono białą kobietę i afrykańskiego kierowcę. Zabitych. - Woodrow zaczął w ten sposób, celowo unikając słowa: zamordowanych. - Samochód z kierowcą wynajęto w bazie myśliwskiej Oaza. Właściciel bazy twierdzi, że ta kobieta to Tessa. Mówi, że razem z Bluhmem spędziła noc w Oazie, zanim wyruszyła do stanowiska Richarda Leakeya. Bluhma nie znaleziono. Policja znalazła jej naszyjnik. Ten, który zawsze nosiła.

Skąd o tym wiem? Dlaczego, na Boga, właśnie teraz chcę się pochwalić swoją intymną wiedzą o jej naszyjniku?

Ciągle patrzył na Justina. Tchórz, który w nim siedział, chciał odwrócić wzrok, ale syn żołnierza nie umiał skazać człowieka na śmierć i nie przyjąć na egzekucję. Widział, jak oczy Justina otwierają się szeroko w bolesnym rozczarowaniu, jakby przyjaciel uderzył go od tyłu, a potem blakną, jakby ten sam przyjaciel pozbawił go ciosem przytomności. Patrzył, jak ładnie wykrojone usta otwierają się w spazmie fizycznego bólu, by za chwilę zaciśnąć się w cienką linię, zbielałą od napięcia.

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś, Sandy. To bardzo uprzejme. Czy Porter wie? - Takie dziwaczne imię nosił Wysoki Komisarz.

- Mildren go ściga. Znaleźli but marki mephisto. Rozmiar siódmy. Czy to ci coś mówi?

Justin miał kłopoty z koordynacją. Najpierw musiał odczekać, aż przebrzmia słowa Sandy'ego, żeby zrozumieć, o czym mówi. Potem pospiesznie zaczął wyrzucać z siebie dynamiczne, twardo brzmiące zdania.

- Jest taki sklep przy Piccadilly. Kupiła sobie trzy pary podczas ostatniego urlopu, który spędziliśmy w domu. Nigdy nie widziałem, żeby tyle wydawała. Z zasady nie jest rozrzutna. Nie myśli o pieniądzach. Nie musi. Ubierałaby się w magazynach Armii Zbawienia, gdybym jej tylko pozwolił.

- A bluza safari? Niebieska.

- Nie znosiła tych paskudztw - odparł Justin, kiedy wróciła mu zdolność płynnego mówienia. - Powiedziała, że jeśli kiedykolwiek przyłapię ją w jednej z tych szmatek khaki z kieszeniami na biodrach, mam to spalić albo oddać Mustafie.

Mustafa to jej pokojowy, przypomniał sobie Woodrow.

- Policja mówiła, że była niebieska.

- Nie znosiła niebieskiego. - Był wyraźnie na skraju wybuchu. - Absolutnie nie widziała się w paramilitarnym przebraniu. - Już używa czasu przeszłego, pomyślał Woodrow. - Kiedyś miała kurtkę polową, ale zieloną. Zapewniam cię. Kupiła ją u Farbelowa, przy Stanley Street. Zabrałem ją ze sobą. Nie wiem dlaczego, chyba mnie zmusiła. Nienawidziła zakupów. Włożyła ją na siebie i natychmiast znalazła swój rozmiar. Popatrz na mnie, powiedziała. Wyglądam jak generał Patton w damskim przebraniu. Nie, kochanie, powiedziałem, nie jesteś generałem Pattonem. Jesteś prześliczną dziewczyną ubraną w jakąś cholerną zieloną kurtkę.

Zaczął zbierać rzeczy z biurka. Dokładnie, jakby pakował się przed wyjazdem. Otwierał i zamykał szuflady. Wkładał pojemniki z teczkami do stalowej szafki i potem starannie ją zamknął. Nieświadomie przyglądał włosy między jednym a drugim ruchem, tik, który Woodrow uważał za szczególnie irytujący u Justina. Ostrożnie wyłączył zniechęcony komputer - dźgnął palcem w przełącznik, jakby się bał, że go ugryzie. Mówiono, że każe Ghicie Pearson włączać go każdego ranka. Woodrow patrzył, jak po raz ostatni rozgląda się niewidzącym wzrokiem po pokoju. Koniec kadencji. Kończy się życie. Proszę zostawić stanowisko w schludnym stanie dla następnych użytkowników. Przy drzwiach odwrócił się i spojrzał na rośliny stojące na parapecie, zastanawiając się zapewne, czy powinien je ze sobą zabrać, a przynajmniej wydać instrukcje, jak się nimi opiekować, ale nie zdecydował się ani na jedno, ani na drugie.

Idąc korytarzem obok Justina, Woodrow usiłował dotknąć jego ramienia, ale jakiś cień odrazy sprawił, że cofnął rękę. Z ostrożności szedł jednak

na tyle blisko, żeby złapać go, gdyby upadł albo się potknął, bo Justin wyglądał teraz na dobrze ubranego lunatyka, który postradał poczucie celu. Szli powoli, nie czyniąc hałasu, ale Ghita musiała ich usłyszeć, bo gdy przechodzili obok jej drzwi, otworzyła je i przeszła na paluszkach obok Woodrowa kilka kroków, szepcząc mu coś do ucha. Jednocześnie zgarnęła ręką złote włosy, żeby nie ocierały się o niego.

- Zniknął. Szukają go wszędzie.

Ale Justin miał lepszy słuch, niż oboje mogli przewidzieć. A może w skrajnym napięciu nerwowym jego zmysły były nienormalnie wyostrzone.

- Martwicie się o Arnolda - powiedział do Ghity troskliwym tonem nieznanego wskazującego drogę.

Wysoki Komisarz był typem płytkiego, nadmiernie inteligentnego człowieka, wiecznego studenta czegoś tam. Miał syna, bankiera w banku handlowym, małą córeczkę imieniem Rosie, z ciężkim porażeniem mózgu, i żonę, która gdy przebywała w Anglii, pełniła tam funkcję sędziego pokoju. Uwielbiał ich wszystkich jednakowo i spędzał weekendy z Rosie przywiązaną do brzucha. Ale sam jakoś nie był w stanie dorosnąć do wieku męskiego. Nosił młodzieżowe szelki i workowate oksfordzkie spodnie. Pasująca do nich marynarka wisiała za drzwiami, na wieszaku z nazwiskiem: P. Coleridge, Balliol. Stał twardo pośrodku swojego wielkiego gabinetu. Rozczochraną głowę pochylił gniewnie w stronę Woodrowa i słuchał. W oczach i na policzkach miał łzy.

- Kurwa - oświadczył z wściekłością, jakby od dłuższego czasu zbierał się do wyrzucenia z siebie tego słowa.

- Wiem - powiedział Woodrow.

- Biedna dziewczyna. Ile miała lat? Nic!

- Dwadzieścia pięć. - Skąd ja to wiem? - Około - dodał.

- Wyglądała na osiemnaście. Ten biedny kutas Justin ze swoimi kwiatami!

- Wiem - powtórzył Woodrow.

- Czy Ghita wie?

- Co nieco.

- Co on u diabła zrobi? Nawet kariera mu się nie udała. Wszyscy byli zdecydowani, żeby go wyrzucić po upływie kadencji. Gdyby Tessa nie poroniła, odstrzeliliby go przy najbliższej nadarzającej się okazji. - Zmęczony stanem w jednym miejscu, przeszedł do innej części pokoju. - Rosie złapała w sobotę dwufuntowego pstrąga - wyrzucił z siebie oskarżycielskim tonem. - Co o tym sądzisz?

Coleridge miał zwyczaj zyskiwać na czasie nagłymi zmianami tematu.

- Wspaniale - wymruczał posłusznie Woodrow.

- Tessa byłaby zachwycona. Zawsze mówiła, że Rosie się to uda. A Rosie ją uwielbiała.

- Jestem pewien, że ją uwielbiała.

- Nie chciała go zjeść, zauważ. Musieliśmy drania trzymać przy życiu przez cały weekend, potem zakopaliśmy go w ogrodzie. - Wyprostowanie pleców znaczyło, że wracają do tematu. - Sandy, tu jest jakieś drugie dno. Cholernie brudne.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Ten gnojek Pellegrin zdążył już zadzwonić i wyjęć, żeby ograniczyć szkody. - Sir Bernard Pellegrin był szycią z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odpowiedzialną za Afrykę, i arcywrogiem Coleridge'a. - Jak, do diabła, mamy ograniczyć szkody, skoro nie wiemy, jakie są te pierdolone szkody? Mam nadzieję, że mu to zepsuło tenisa.

- Spędziła z Bluhmem cztery dni i noce, zanim zmarła - powiedział Woodrow, spoglądając na drzwi, żeby upewnić się, że nadal są zamknięte. - Jeśli to jest ta szkoda. Byli w Loki, a potem w Turkana. Dzielili ze sobą chatę i diabli wiedzą co jeszcze. Widział ich cały tłum ludzi.

- Dziękuję. Dziękuję bardzo. Właśnie to chciałem usłyszeć. - Coleridge zaczął błądzić po pokoju, wpychając ręce głębiej w workowate kieszenie. - A tak w ogóle, gdzie, do kurwy nędzy, jest ten Bluhm?

- Mówią, że szukają go wszędzie. Po raz ostatni widziano go, jak siedział w jeepie obok Tessy, kiedy wyruszali do placówki Leakeya.

Coleridge podszedł do biurka, opadł na krzesło i odchylił się ze spuszczoneymi rękami.

- A więc zbrodni dokonał lokaj. Bluhm zapomniał o swoim wykształceniu, wpadł w szał, rzucił się na nich, wziął sobie głowę Noaha na pamiątkę, przewrócił jeepa na bok, zamknął go i dał nogę. Cóż, który z nas by tak nie postąpił? Kurwa.

- Zna go pan równie dobrze, jak ja.

- Nie, nie znam. Trzymałem się od niego z daleka. Nie lubię gwiazd w działalności humanitarnej. Dokąd on się, do diabła, wybrał? Gdzie jest?

W głowie Woodrowa znów pojawiały się obrazy. Bluhm, Afrykanin białych ludzi, brodaty Apollo nairobińskich przyjęć, charyzmatyczny, dowcipny, piękny. Bluhm i Tessa razem bawią gości, a Justin, odwieczny ulubieniec debutantek, mruży, uśmiecha się i nalewa drinki. Arnold Bluhm, doktor medycyny, niegdysiejszy bohater wojny w Algierii, sphywający z mównicy sali wykładowej Narodów Zjednoczonych, żeby nieść pomoc medyczną w sytuacjach kryzysowych. Bluhm pod koniec przyjęcia - rozwalony w krzesło, wygląda na zagubionego, a wszystko, co w nim warte zainteresowania, ukryte jest głęboko pod powierzchnią.

- Nie mogłem odesłać ich do domu, Sandy - powiedział Coleridge już surowszym głosem człowieka, który wybrał się na spotkanie ze swoim su-
mieniem i wrócił pełen otuchy. - Nigdy nie lubiłem łamać kariery człowie-
kowi tylko dlatego, że jego żona ma ochotę zaliczyć sobie chłopaka. Ludzie
powinni pieprzyć sobie życie według własnych upodobań.

- Oczywiście.

- Robiła cholernie dobrą robotę w slumsach, bez względu na to, co kto-
kolwiek mógłby powiedzieć o jej wizytach w Muthaiga Club. Może i draż-
niła chłopaków od Moiego, ale Afrykanie, którzy się liczą, uwielbiali ją co
do jednego.

- Bez wątpienia - zgodził się Woodrow.

- W porządku, włąza w to gównu praw kobiet. I dobrze. Oddajcie Afrykę
kobietom i będzie można tu żyć.

Mildren wszedł bez pukania.

- Telefon z wydziału protokolarnego, panie komisarzu. Ciało Tessy przy-
wieziono właśnie do kostnicy szpitalnej. Proszą o pilną identyfikację. A agen-
cje prasowe dobijają się o oświadczenie.

- Jak im się udało tak szybko dostarczyć ją do Nairobi?

- Samolotem - powiedział Woodrow, wspominając przedstawiony mu
przez Wolfganga odpychający obraz cięcia ciała na kawałki, żeby zmieściło
się w ładowni.

- Nie będzie oświadczenia, dopóki nie zostanie zidentyfikowana - wy-
rzucił z siebie Coleridge.

Woodrow i Justin wybrali się tam razem, ściśnięci na ławeczce volkswa-
gena-furgonetki z przyciemnionymi szybami należącej do Wysokiej Komi-
sjii. Prowadził Livingstone. Obok niego, na przednim siedzeniu siedział Jack-
son, wielki Kikuju, jego współplemieniec, na wypadek, gdyby potrzebna
była dodatkowa siła fizyczna. Mimo że klimatyzacja podkrecona była na
maksimum, w furgonetce było gorąco jak w piecu. Na ulicach panował obłą-
kańczy szczyt. Zatłoczone minibusy Matutu pędziły z wyciem klaksonów
po obu stronach, buchały kłębami spalin i wyrzucały spod kół fontanny ku-
rzu i żwiru. Livingstone pokonał rondo i podjechał pod kamienną bramę,
przed którą kołysały się, podśpiewując, grupki kobiet i mężczyzn. Woodrow
wziął ich początkowo za demonstrantów i wydał gniewny okrzyk, potem
jednak zrozumiał, że to żałobnicy czekający na odebranie zwłok bliskich.
Zardzewiałe furgonetki i samochody przybrane czerwonymi pogrzebowymi
wstążkami parkowały wyczekująco wzdłuż krawężnika.

- Naprawdę, nie musisz tego robić, Sandy - powiedział Justin.

- Oczywiście, że muszę - odparł szlachetnie żołnierski syn.

Rozegane stadko policjantów i wyglądających po szpitalnemu mężczyzn w białych pochlapanych kombinezonach czekało na nich przy drzwiach. Ich jedynym celem było sprawić im przyjemność. Niejaki inspektor Muramba, uśmiechając się rozkosznie, ucisnął dłonie dwóm wybitnym przedstawicielom brytyjskiej Wysokiej Komisji. Jakiś Azjata w czarnym garniturze przedstawił się jako chirurg, doktor Banda Singh, do ich usług. Nad głowami wzdłuż ociekających wodą korytarzy ciągnęły się rury. Przy ścianach stały przepelnione kosze na śmieci. Te rury zasilają lodówki, pomyślał Woodrow, ale lodówki nie działały, bo elektryczność była odcięta, a kostnica nie miała generatorów. Doktor Banda prowadził, choć Woodrow sam znalazłby drogę. Skręcisz w lewo, nie poczujesz smrodu. Skręcisz w prawo, smród staje się mocniejszy. Bezdusznosc znów wzięła w nim górę. Żołnierskim obowiązkiem jest tutaj być, a nie czuć. Obowiązek. Dlaczego zawsze sprawiała, że myślałem o obowiązkach? Zastanawiał się, czy jest jakiś stary przesąd traktujący o tym, co dzieje się z niedoszłymi cudzołożnikami, kiedy patrzą na trupy kobiet, których pożądali. Doktor Banda wprowadził ich do niewielkiej klatki schodowej. Wyszli z niej do niewietrzonego holu wypełnionego odorem śmierci.

Drogę zagroziły im zardzewiałe stalowe drzwi, w które doktor Banda zaczął władczo walić pięścią; odchylając się na piętach, uderzał po cztery, pięć razy z wyliczonymi przerwami, jakby przesyłał jakiś szyfr. Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem i ukazały się w nich wymizerowane, zastrachane twarze trzech młodych mężczyzn. Na widok chirurga głowy odsunęły się do tyłu, żeby mógł precyzyjnie się do środka. W rezultacie Woodrow został sam w śmierdzącym holu, z piekielną wizją swojego szkolnego dormitorium odanego w posiadanie zmarłym na AIDS na przestrzeni wieków. Wychudzone trupy leżały po dwa na jednym łóżku. Na podłodze leżało jeszcze więcej zwłok, niektóre ubrane, inne nagie, na plecach lub na boku. Inne miały podkurczone kolana w daremnym geście samoobrony, a podbródki cofnięte, jakby z krzykiem protestowały. Nad nimi, w kołyszącej się, mulistej mgiele zawisły muchy brzęczące na jedną nutę.

Pośrodku dormitorium, zaparkowana w przejściu między łózkami, stała deska do prasowania na kółkach z wyposażenia przełożonej pielęgniarek. A na tej desce spoczywały śnieżnobiałe zwoje prześcieradeł, spod których wystawały dwie monstualne, ludzkie stopy, kojarzące się Woodrowowi z kapiami w kształcie kaczyczych nóg, które z Glorią dali ich synowi Harry'emu na ostatnie Boże Narodzenie. Jednej rozdętej ręce udało się jakoś wydostać spod prześcieradeł. Palce pokryte były czarną krwią, szczególnie wokół stawów. Koniuszki palców miały kolor akwamaryny.

Niech pan wysili wyobraźnię, panie kanclerzu. Wie pan, co się dzieje z trupami w takim upale?

- Pan Justin Quayle, proszę - zawołał doktor Banda Singh, jak mistrz ceremonii podczas królewskiej audiencji.

- Idę z tobą - wymamrotał Woodrow i z Justinem u boku postąpił odważnie naprzód, w samą porę, żeby zobaczyć, jak doktor Banda podwija prześcieradło i obnaża głowę Tessy, karykaturalnie przerośniętą, z podbródki em podwiązanym kawałkiem brudnej szmaty, owiniętej również wokół szyi, gdzie kiedyś wisiał naszyjnik. Jak tonący, który po raz ostatni wychyla się na powierzchnię, Woodrow nieostrożnie patrzył na resztę: czarne włosy przyłączone do czaszki grzebieniem jakiegoś przedsiębiorcy pogrzebowego. Nadęte policzki, jak u cherubina wydmuchującego wiatr. Zamknięte oczy, uniesione brwi i usta otwarte w rozkładającym się niedowierzaniu, czarna krew zestrupiała w ich środku; jakby wyrwano jej wszystkie zęby naraz. "Ty?", stękała głupawo, gdy ją zabijano, układając wargi w "o". "Ty?" Ale do kogo to powiedziała? Czyj obraz zamarł pod jej zbielełymi, naciągniętymi powiekami?

- Zna pan tę panią? - zapytał łagodnie Justina inspektor Muramba.

- Tak. Tak, bardzo dziękuję - odparł Justin, ważąc starannie każde słowo, zanim je wypowiedział. - To moja żona, Tessa. Musimy załatwić jej pogrzeb. Ona chciałaby, żeby to było tutaj, w Afryce, najszybciej jak to tylko możliwe. Jest jedynaczką. Nie ma rodziców. Nikogo poza mną nie trzeba pytać o zdanie. Najlepiej zrobić to tak szybko, jak tylko się da.

- Cóż, policja ma tu chyba coś do powiedzenia - powiedział szorstko Woodrow i ledwie zdążył dobiec do obłupanego basenu, gdzie nieomal wyrzygał serce. Justin, jak zwykle uprzejmy, stał przy nim, obejmując go ramieniem i pomrukując wyrazy współczucia.

W wyłożonym dywanami sanktuarium prywatnego gabinetu Mildren powoli czytał na głos młodzieńcowi, stojącemu obojętnie po drugiej stronie pokoju:

- "Wysoki Komisarz z wielkim smutkiem informuje o tragicznej śmierci pani Tessy Quayle, żony Justina Quayle'a, pierwszego sekretarza kancelarii. Pani Quayle została zamordowana na brzegu jeziora Turkana, w okolicach zatoki Allia. Jej kierowca, pan Noah Katanga, podzielił jej los. Będziemy pamiętali panią Quayle za jej oddanie sprawie kobiet w Afryce. Nie zapomnimy też jej młodości i urody. Przekazujemy wyrazy głębokiego współczucia mężowi pani Quayle i wielu jej przyjaciółom. Flaga Wysokiego Komisarza będzie opuszczona do połowy masztu aż do odwołania. Księga kon-

dolencyjna zostanie wystawiona w holu Wysokiej Komisji". Kiedy się tym zajmiesz?

- Już się zająłem - odparł młody człowiek.

2

Woodrowowie mieszkali w podmiejskim domu z ciosanego kamienia, z oknami w stylu Tudorów i szybami osadzonymi w łożu, w jednej z kolonii leżących w wielkich angielskich ogrodach na ekskluzywnym, pagórkowatym przedmieściu Muthaiga, nieopodal Muthaiga Club i rezydencji brytyjskiego Wysokiego Komisarza oraz potężnych rezydencji ambasadorów krajów, o których mogło się nawet nie słyszeć, dopóki nie przejechało się pilnie strzeżonymi alejami i nie przyjrzało tabliczkom z nazwiskami przyśrubowanym obok napisów w języku swahili, ostrzegających przed złymi psami. W następstwie zamachu bombowego na ambasadę Stanów Zjednoczonych w Nairobi Ministerstwo Spraw Zagranicznych wyposażyło cały personel, od rangi Woodrowa w górę, w przeciwwybuchowe żelazne bramy, dzień i noc sumiennie strzeżone przez zmieniające się oddziały energicznych Baluhya i ich licznych przyjaciół oraz krewnych. Te same natchnione umysły postanowiły otoczyć ogród płotem pod napięciem, zwieńczonym zwojami drutu kolczastego i reflektorami włączonymi przez całą noc. W Muthaiga panowała monarchia, zarówno jeśli chodzi o bezpieczeństwo, jak w innych sprawach. Najsłabsze domy zadowalały się tłuczonymi butelkami, ranga średnia - drutem kolczastym. Jednak dyplomaci nie schodzili poniżej żelaznych bram, płotów pod napięciem i czujników w oknach, i reflektorów. Dom Woodrowów miał dwa piętra. Na pierwszym i drugim piętrze mieściło się to, co agencje ochrony nazywają bezpieczną przystanią, chronioną zwijanymi stalowymi żaluzjami, do których klucze mieli jedynie państwo Woodrow. Na parterze, nazywanym przez Woodrowów dolnym poziomem, bo dom stał na zboczu, znajdował się apartament dla gości. Osłona znajdowała się od strony ogrodu, żeby obronić rodzinę przed jej służbą. Mieściły się tam dwa pokoje, surowe, pomalowane na biało, którym zakratowane okna i stalowe żaluzje nadawały jednoznacznie więzienną piętno. Ale Gloria, przewidując przybycie gości, zaopatrzyła je w kwiaty, lampki nocne do czytania z garderoby Sandy'ego oraz w służbowy telewizor i radio, żeby dla odmiany sami mogli trochę od nich odwyknąć. "Nie jest to co prawda pięć gwiazdek - zwracała się przyjaciółce od serca, Elenie, angielskiej żonie Greka o miękkich

dłoniach, urzędnika ONZ - ale przynajmniej biedaczyna zakosztuje samotności, która jest przecież niezbędna każdemu, kto stracił kogoś, prawda El?" Gloria była dokładnie w takiej samej sytuacji, kiedy zmarła mamusia, chociaż, oczywiście, małżeństwo Tessy i Justina było dość niekonwencjonalne, jeśli można tak to nazwać. Gloria, mówiąc szczerze, nigdy nie wątpiła, że była w nim prawdziwa czułość, przynajmniej ze strony Justina, a co było ze strony Tessy - "szczerze, El, kochanie, Bóg jeden wie i nikt z nas już tego wiedzieć nie będzie".

Na co Elena, wielokrotna rozwódka, kobieta światowa - a Gloria taka nie była - zauważyła:

- Cóż, kochanie, uważaj na swój słodki tyłeczek. Świeżo owdowiali playboye potrafią być bardzo seksowni.

Gloria Woodrow była jedną z przykładnych żon dyplomatów, które postanowiły widzieć wszystko z lepszej strony. Jeśli lepszej strony akurat nie było, śmiała się i mówiła: "Ale wpadliśmy!" - co było jak zew trąbki, żeby wszyscy, których to dotyczy, wzięli się w garść i przyjęli na barki przeciwności życia bez narzekania. Gloria stanowiła typowy produkt szkół prywatnych, którym wysyłała regularne sprawozdania o swoich postępach, gorliwie studiując nowinki o swoich rówieśniczkach. Na każde święto założycielka szkoły wysyłała dowcipny telegram z gratulacjami albo, ostatnio, dowcipny e-mail, zazwyczaj wierszowany, bo nie chciała, żeby ktokolwiek zapomniał, że zdobyła szkolną nagrodę za poezję. Była bardzo atrakcyjna i elokwentna, szczególnie wtedy, gdy nie było wiele do powiedzenia. I miała ten dziwny chód, nad wyraz obrzydliwy, sztucznie podkreślany przez angielskie kobiety z klasy królewskiej.

Ale Gloria Woodrow nie była z natury głupia. Osiemnaście lat temu, na Uniwersytecie Edynburskim uważano ją za jeden z najlepszych umysłów roku; mówiło się, że gdyby nie była tak pochłonięta Woodrowem, osiągnęłaby najwyższe noty z polityki i filozofii. Wiatach, które nastąpiły później, małżeństwo i macierzyństwo oraz wędrowne życie dyplomatów usunęły w cień wszelkie jej ambicje. Czasem, ku osobistej przykrości Woodrowa, zdawała się rozmyślnie usypiać intelekt, żeby nie wychodzić poza rolę małżonki. Mimo to był jej wdzięczny za poświęcenie i za kojącą nieumiejętność odczytywania jego intymnych myśli, co nie przeszkadzało jej sekundować jego aspiracjom.

- Kiedy tylko będę chciała rozpocząć życie na własną rękę, dam ci znać - zapewniała go, gdy w przypiływie poczucia winy albo z nudów nalegał, żeby zrobiła stopień naukowy, studiowała prawo, studiowała medycynę, czy stu-

diowała cokolwiek, na litość boską. - Jeśli nie podobam ci się taka, jaka jestem, to zmienia postać rzeczy - zwykła odpowiadać, zrećźnie uogólniając jego narzekania.

- Alez podobasz się, podobasz, kocham cię taką, jaka jesteś - protestował, obejmując ją z poważną miną. I mniej więcej wierzył własnym słowom.

Justin został tajnym więźniem dolnego poziomu wieczorem, tego samego czarnego poniedziałku, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci Tessy, w porze, gdy limuzyny na ambadorskich podjazdach zaczynały kołować niespokojnie za żelaznymi bramami, zanim ustawiły się procesję do wieczornego, mistycznego wodopoju. Czy to był Dzień Lumumbi? Dzień Merdeki? Dzień Bastylii? Wszystko jedno: flaga narodowa będzie powiewać w ogrodzie, zraszacz trawy zostaną wyłączone, wyłoży się czerwony dywan, czarni służący w białych rękawiczkach będą stać wyczekująco tak samo, jak w czasach kolonialnych, których tak szlachetnie się wypieramy. A odpowiednia do okazji patriotyczna muzyka będzie się wydobywać spod wielkiego namiotu rozstawionego przez gospodarza.

Woodrow jechał z Justinem w czarnym volkswagenie-furgonetce. Towarzyszył mu od szpitalnej kostnicy do centrali policji, patrzył, jak składa swoim nieskazitelny, akademickim charakterem pisma oświadczenie o identyfikacji zwłok swojej żony. Z centrali Woodrow zadzwonił do Glorii, żeby jąprzezdzić, że, o ile ruch uliczny pozwoli, przybędzie za kwadrans ze specjalnym gościem - "i będzie smutny, kochanie, i musimy się postarać, żeby to uszanować" - ale to nie powstrzymało Glorii przed alarmowym telefonem do Eleny, wykręcała numer tak długo, aż ją dopadła, żeby omówić zestaw dań na obiad.

- Czy biedny Justin lubi ryby, czy ich nie znosi? - Zapomniała, ale ma wrażenie, że jest wybredny. -1 Boże, El, o czym, na litość boską, mam z nim rozmawiać, kiedy Sandy wyjdzie, żeby zająć się wszystkim, a ja zostanę sam na sam z tym biedaczną na wiele godzin? Rozumiesz, wszystkie oczywiste tematy są wykluczone.

- Coś wymyślisz, nie martw się, kochanie - zapewniła ją Elena niezbyt uprzejmie.

Ale Gloria mimo to znalazła czas, żeby zdać Elenie relację z absolutnie wstrząsających telefonów od dziennikarzy i innych, których nie przyjęła, każąc powtarzać Jurnie, służącemu z plemienia Wakamba, że pan i pani Woodrow nie są obecnie osiągalni pod telefonem - chociaż dzwonił niezwykle wymowny młody człowiek z "Telegraph" i byłaby zachwycona, gdyby mogła z nim porozmawiać, ale Sandy powiedział, że nie, pod karą śmierci.

- Może do ciebie napisze, kochanie - powiedziała Elena pocieszająco.

Volkswagen-furgonetka z przyciemnionymi oknami zatrzymał się na podjeździe, Woodrow wyskoczył, żeby sprawdzić, czy nie ma dziennikarzy

i natychmiast potem Gloria po raz pierwszy zobaczyła Justina-wdowca, człowieka, który w ciągu sześciu miesięcy stracił żonę i syna - noworodka, Justina-oszukiwanego męża, który już więcej nie będzie oszukiwany. Justina w lekkim garniturze szytym na miarę, z tym łagodnym spojrzeniem; tajnego zbiega, którego ukryje na dolnym poziomie, strzepującego źdźbło, gdy gramolił się przez tylną klapę, tyłem do widzów i dziękował wszystkim - to znaczy kierowcy Livingstone'owi i strażnikowi Jacksonowi i Jumie, który jak zwykle bez potrzeby stał wyczekująco - tym swoim roztargnionym kiwnięciem przystojnej ciemnej głowy, gdy przechodził obok nich w stronę drzwi. Najpierw zobaczyła jego twarz w cieniu, potem w krótkotrwałym wieczornym świetle zmierzchu. Podeszedł do niej i powiedział:

- Dobry wieczór, Glorio, tak się cieszę, że zamieszkałam u ciebie - głosem tak dzielnym, że o mało się nie rozpląkała, ale zrobiła to dopiero potem.

- Tak nam ulżyło, że możemy zrobić cokolwiek, żeby ci pomóc, kochanie - wyszeptwała, całując go z ostrożną czułością.

- Nadal nie ma wieści o Arnoldzie? Nikt nie dzwonił, kiedy byliśmy w drodze?

- Przykro mi, kochanie, nikt nawet nie pisał. Siedzimy jak na szpilkach, oczywiście. - Ależ to przyjął, pomyślała. Jak bohater!

Gdzieś z tyłu dochodził ją głos Woodrowa, powiadamiającego ją żalobnym tonem, że musi spędzić jeszcze godzinę w biurze. "Zadzwoń kochanie", ale mało ją to obchodziło. Czy on kogoś stracił?, pomyślała z pogardą. Usłyszała, jak drzwi samochodu zatraskują się i czarny volkswagen odjeżdża, ale nie zwróciła na to uwagi. Jej oczy spoczywały na Justinie, jej podopiecznym i tragicznym bohaterze. Justin był, teraz to zrozumiała, w większym stopniu ofiarą tej tragedii niż Tessa, bo Tessa nie żyje, a Justin będzie cierpiał do końca swoich dni. Już teraz posiwiała mu skronie, a ten jego chód, a to spojrzenie, gdy patrzył wokół, kiedy tak szli obok siebie. Minął zielne rabatki, obsiane według jego rady, dumę Glorii, i nawet nie rzucił na nie okiem. Tak samo trzy egzotyczne drzewa, za które -jakie to słodkie - nie pozwolił sobie zapłacić. Bo to była jedna z tych wspaniałych rzeczy w Justinie, do których Gloria nigdy nie przywykła - powiedziała to w przydługim sprawozdaniu, złożonym tego samego jeszcze wieczora Elenie - że tyle wiedział o roślinach, kwiatkach i ogrodach.

- I słuchaj, El, skąd się to u niego bierze? Może to jego matka. Podobno pochodzi z Dudleyów? Wszyscy Dudleyowie od wieków są zwariowani na punkcie ogrodnictwa. Bo mówimy o klasycznej angielskiej sztuce ogrodów, El, nie o tym, co czytasz w niedzielnych gazetach.

Gloria wprowadziła swojego cennego gościa po schodkach do drzwi wejściowych, potem przez hol i w dół po schodach dla służby na dolny po-

/iom i oprowadziła go po celi więziennej, która stanie się jego domem na c/iis wyroku: wypaczona szafa ze sklejki, "tu powiesz swoje garnitury, Justinie" - dlaczego, na Boga, nie dała Ebediahowi pięćdziesięciu szylingów i nie kazała mu jej pomalować? Zjedzona przez robactwo komoda na koszule i skarpetki - dlaczego nigdy nie pomyślała, żeby doprowadzić ją do porządku?

Ale to Justin, jak zwykle, przeproszał.

- Nie mam wielu ubrań, żeby je tu powiesić, Glorio. Mój dom jest obłożony przez łowców sensacji, a Mustafa zdjął pewnie słuchawkę z widełek. Sandy był tak uprzejmy, że obiecał mi pożyczyć to, czego będę potrzebował, dopóki nie uda się czegoś bezpiecznie przemycić.

- Och, Justinie, jakież to głupie z mojej strony! - wykrzyknęła, oblewając się rumieńcem.

Ale potem, może dlatego, że nie chciała go opuścić, albo nie wiedziała, jak to zrobić, uparła się, że pokaże mu okropną starą lodówkę zapchaną butelkami z wodą i dodatkami do drinków - dlaczego nie kazała wymienić tej sparciałej gumy? "A lód jest tutaj, Justinie, wystarczy włożyć go pod kran, żeby się pokruszył". I plastikowy elektryczny czajnik, którego nigdy nie znosiła, i popękany imbryk z Ilfracombe z saszetkami herbaty tetley, i sponiewieraną puszkę lukrowanych herbatników Huntley&Palmer's, na wypadek, gdyby chciał sobie coś przegryźć przed snem, bo Sandy zawsze tak robi, chociaż mu powiedziano, że powinien zeszczupłeć. I w końcu - dzięki Bogu, wreszcie coś porządnego - wspaniałe wazon różnokolorowych lwich paszczy, które wyhodowała z nasion według jego instrukcji.

- Teraz zostawię cię samego - powiedziała, podchodząc do drzwi, ale uświadomiła sobie, że do tej pory nie wypowiedziała słów współczucia.

- Justin, kochanie... - zaczęła.

- Dziękuję, Glorio, naprawdę, nie trzeba - przerwał jej z zaskakującą stanowczością.

Bez tego momentu czułości Gloria odzyskała praktyczny ton.

- Wejdiesz na górę, kiedy tylko będziesz miał ochotę, prawda, mój drogi? Kolacja o ósmej, teoretycznie. Drinki, wedle uznania, przedtem. Po prostu rób, na co masz ochotę. Albo nic nie rób. Bóg jeden wie, kiedy Sandy wróci. - Potem weszła wdzięcznie po schodach do swojej sypialni, wzięła prysznic, zmieniła bieliznę, zrobiła sobie makijaż i zajrzała do chłopców, którzy właśnie odrabiali lekcje. W atmosferze śmierci pracowali pilnie, a przynajmniej udawali, że to robią.

- Czy wygląda strasznie smutno? - zapytał Harry, młodszy chłopak.

- Zobaczysz się z nim jutro. Bądź wobec niego bardzo uprzejmy i poważny. Mathilda przygotowuje wam hamburgery. Zjecie je w pokoju zabaw,

a nie w kuchni, zrozumieliście? - Postscriptum wypłynęło z jej ust, zanim o tym pomyślała: - To bardzo dzielny, wspaniały człowiek i macie go traktować z wielkim szacunkiem.

Gdy schodziła do salonu, zaskoczył ją widok Justina. Podała mu solidną porcją whisky z wodą sodową, sobie naląła kieliszek białego wina i usiadła w fotelu, w którym właściwie siadywał Sandy, ale nie myślała o Sandym. Przez jakiś czas - nie miała pojęcia, jak długo to trwało - żadne z nich się nie odzywało, ale cisza była dla Glorii jak kajdany, tym bardziej jej ciążyła, im dłużej musiała ją znosić. Justin popijał whisky małymi łykami, a ona z ulgą zauważyła, że nie przejął szalenię irytującego nowego zwyczaju Sandy'ego zamykania przy tym oczu i wydymania warg, jakby dano mu whisky do spróbowania. Ze szklanką w ręku podszedł do francuskiego okna, wychodzącego na zalany światłem ogród - dwadzieścia stu pięćdziesięciowatowych żarówek podłączonych do domowego generatora. Ich blask zdawał się palić połowę jego twarzy.

- Może jest tak, jak wszyscy myślą powiedział nagle, podejmując rozmowę, której nie prowadzili.

- O co chodzi, mój drogi? - zapytała Gloria, nie do końca pewna, czy zwraca się do niej. Ale tak czy inaczej zapytała, bo musiała już z kimś porozmawiać.

- Kochają cię za to, że jesteś kimś, za kogo cię mają. Więc jesteś jakby oszustem. Złodziejem miłości.

Gloria nie miała pojęcia, czy rzeczywiście wszyscy tak myślą, ale nie miała wątpliwości, że tak myśleć nie należy.

- Oczywiście, że nie jesteś oszustem, Justinie - powiedziała stanowczo. - Jesteś jednym z najbardziej otwartych ludzi, jakich znam, i zawsze taki byłeś. Tessa uwielbiała cię i miała rację. Była naprawdę bardzo szczęśliwą młodą dziewczyną. - A co do tego złodzieja miłości, pomyślała - cóż, nie będzie nagród za odgadnięcie, kto w tym duecie kradł miłość!

Justin nie zareagował na to gładkie zapewnienie, a przynajmniej nie zauważyła tego i przez moment słyszała jedynie reakcję łańcuchową szczekania psów - zaczynał jeden, dołączały się następne wzdłuż całej Muthaiga.

- Zawsze byłeś dla niej dobry, Justinie, wiesz, że tak było. Nie powinienś oskarżać się o zbrodnie, których nie popełniłeś. Mnóstwo ludzi tak robi, gdy kogoś stracą i nie czują się w porządku wobec siebie. Nie możemy w końcu traktować ludzi tak, jakby w każdej chwili mieli paść trupem, bo daleko nie zajedziemy. Prawda? Byłeś wobec niej lojalny. Zawsze. - Powiedziała to zdecydowanym tonem, sugerując tym samym, niby przypadkiem, że nie można tego samego powiedzieć o Tessie. Ta sugestia nie uszła jego uwagi, była tego pewna: był już bliski tego, żeby zacząć mówić o tym nędzniku

Arnoldzie Bluhmie, gdy ku swej irytacji usłyszała chrobotanie mężowskiego klucza w zamku i wiedziała, że urok przysł.

- Justin, biedaczyno, jak się masz?! - wykrzyknął Woodrow, nalewając sobie wyjątkowo skromną porcję wina, zanim opadł na kanapę. - Obawiam się, że nie ma żadnych nowych wieści. Ani dobrych, ani złych. Żadnych tropów, żadnych podejrzanych, jak do tej pory. Ani śladu po Arnoldzie. Belgowie dostarczyli helikopter, Londyn obiecał drugi. Pieniądze, pieniądze, nasze przekleństwo. Cóż, jest obywatelem Belgii, więc czemu nie? Ślicznie wyglądasz, kochanie. Co na kolacyjkę?

Pił, pomyślała Gloria z odrazą. Udaje, że pracuje do późna i przesiaduje w biurze, popijając, a ja tymczasem każę chłopcom odrabiać lekcje. Usłyszała ruch pod oknem i zobaczyła, ku swemu przerażeniu, że Justin zabiera się do odejścia - wystraszony, bez wątplenia, słoniową gruboskórnością jej męża.

- Bez jedzenia? - zaprotestował Woodrow. - Musisz się wzmocnić, stary, przecież wiesz.

- To bardzo miłe, ale chyba nie mam apetytu. Glorio, jeszcze raz dziękuję. Dobranoc, Sandy.

- A Pellegrin śle z Londynu depesze z wyrazami wsparcia. Píše, że całe Ministerstwo Spraw Zagranicznych pogrążone jest w żalu. Nie chciał wchodzić w sprawy osobiste.

- Bernard zawsze był bardzo taktowny.

Widziała, jak zamykają się drzwi, słyszała kroki na betonowych stopniach, patrzyła na pustą szklankę stojącą na bambusowym stoliku przy francuskim oknie i przez jedną przerażającą chwilę była przekonana, że więcej go nie zobaczy.

Woodrow łykał niezdarnie jedzenie, nie smakując go jak zwykle. Gloria, która podobnie jak Justin nie miała apetytu, przyglądała mu się. Juma, służący, niespokojnie krążył na paluszkach od jednego do drugiego i też im się przyglądał.

- Jak sprawy? - mruknął konspiracyjnie Woodrow, ściszej głoś i wskazując na podłogę, żeby zrobiła to samo.

- W porządku - przyłączyła się do gry. - Jeśli wziąć poprawkę na okoliczności. Co robisz tam na dole?, myślała. Leżysz na łóżku i biczujesz się w ciemności? Czy patrzysz przez kraty na ogród i rozmawiasz z jej duchem?

- Czy zdarzyło się coś znaczącego? - zapytał Woodrow, zająkując się trochę na słowie "znaczącego". Ciągłe starał się używać aluzji ze względu na Jumą.

- Na przykład?

- Coś na temat naszego kwiatka - powiedział, myśląc o Bluhmie, i uśmiechając się wstydliwie, dźgnął **kciukiem w kierunku** begonii, a Juma natychmiast pobiegł po dzbanek z **wodą**.

Gloria leżała długo u boku chrapiącego męża, aż wyobraźnia podpowiedziała jej, że słyszy jakiś dźwięk dobiegający z dołu. Podkraśla się na półpiętro i wyrzwała przez okno. Przerwa w dostawie energii już się skończyła. Pomarańczowy poblask unosił się nad miastem aż do gwiazd. Ale w ogrodzie nie czaiła się Tessa, Justina też tam nie było. Wróciła do sypialni i zobaczyła, że Harry leży w poprzek łóżka, z kciukiem w buzi i ręką przerzuconą przez pierś ojca.

Rodzina wstała wcześniej, jak zwykle, ale Justin był szybszy, kręcił się już ubrany w nieskazitelny garnitur. Ma zaczerwienioną twarz, pomyślała, jest trochę nazbyt aktywny, z trochę za dużymi cieniami pod brązowymi oczami. Chłopcy uścisnęli mu rękę, poważnie, tak jak im polecono, a Justin skrupulatnie odwzajemnił przywitanie.

- Dzień dobry, Sandy, dzień dobry - powiedział, gdy pojawił się Woodrow. - Pomyślałem, że moglibyśmy chwilę porozmawiać.

Przeszli do saloniku.

- Chodzi o mój dom - zaczął Justin, gdy zostali sami.

- Tutaj czy w Londynie, stary? - zapytał Woodrow niedorzecznie radosnym tonem. A Gloria, podsłuchująca przez okienko do wydawania potraw, miała ochotę dać mu po głowie.

- Ten, w Nairobi. Tam są jej prywatne papiery, pisma od prawników. Dokumenty rodzinne, cenne dla nas obojga. Nie mogę tu siedzieć i pozwolić, żeby kenijska policja buszowała do woli w jej osobistej korespondencji.

- Jakie widzisz rozwiązanie?

- Chciałbym tam pojechać. Zaraz. Natychmiast.

Jaki stanowczy! - zachwyciła się Gloria. Taki silny, mimo wszystko!

- Chłopie, to niemożliwe. Pismaki pożrą cię żywcem.

- Nie bardzo w to wierzę. Mogą spróbować zrobić mi zdjęcie i to im się uda. Mogą do mnie krzyczeć. Jeśli im nie odpowiem, niczego więcej nie zwojują. Przemkniemy się podczas ich golenia.

Gloria знаła na wylot wykręty męża. Za chwilę zadzwoni do Bernarda Pellegrina, do Londynu. Zawsze tak robi, kiedy musi ominąć Portera Cole-ridge'a i uzyskać odpowiedź, na której mu zależy.

- Słuchaj, stary, coś ci powiem. Może spiszesz listę tego, czego potrzebujesz, dam to Mustafie i każę mu przynieść tutaj cały ten kram?

Typowe, pomyślała ze złością Gloria. Wahanie, uniki, szukanie łatwego wykrętu z każdej sytuacji.

- Mustafa nie będzie miał pojęcia, co wybrać - usłyszała odpowiedź Justina, równie stanowczą, jak poprzednio. - A lista niczego mu nie powie.

Nie daje sobie rady nawet z listą zakupów. Sandy, jestem jej to winien. To dług honorowy i muszę go spłacić. Bez względu na to, czy pojedziesz ze mną.

Pokazał klasę! - przyklasnęła mu po cichu Gloria. Dobrze to rozegrałeś, człowieku! Ale nawet wtedy nie pomyślała, choć jej umysł otwierał się na różne niespodziewane aspekty sprawy, że jej mąż może mieć własne powody, żeby odwiedzić dom Tessy.

Justin był w błędzie, prasa się nie goliła. A jeśli nawet tak, to robiła to na trawniku przed domem Justina, gdzie dziennikarze koczowali całą noc w wynajętych samochodach i wyrzucali śmieci w okoliczne krzaki. Dwóch afrykańskich przekupniów w spodniach a la Wuj Sam i wysokich kapeluszach, otworzyło stoisko z herbatą. Inni piekli kukurydzę na ruszcie. Ospali policjanci jeździli dookoła obdrapanym wozem patrolowym, ziewali i palili papierosy. Ich wódz, nadzwyczaj tłusty mężczyzna w wypolerowanym brązowym pasie, ze złotym roleksem na przegubie, rozwalił się z zamkniętymi oczami na przednim siedzeniu. Było wpół do siódmej rano. Niskie chmury zasłoniły miasto. Wielkie czarne ptaszyska przelatywały z miejsca na miejsce na wiszących nad głowami drutach, czekając, aż będą mogły rzucić się na jedzenie.

- Przejeżdż obok i zatrzymaj się - rozkazał siedzący z tyłu furgonetki Woodrow, syn żołnierza.

Jechali tak samo, jak poprzedniego dnia: Livingstone i Jackson z przodu, Woodrow i Justin ściśnięci na tylnym siedzeniu. Czarny volkswagen miał znaki korpusu dyplomatycznego, ale takie tabliczki miał co drugi pojazd w Muthaiga. Oko znawcy mogło wychwycić brytyjski przedrostek przy numerze rejestracyjnym, ale znawców nie było w okolicy i nikt nie wykazał zainteresowania, gdy Livingstone statecznie minął bramę i pojechał w górę łagodnego wzniesienia. Nadepnął na hamulec i zatrzymał furgonetkę.

- Jackson, wysiądź z wozu i podejdź powoli do bramy domu pana Quayle'a. Jak ma na imię twój odźwierny? - To pytanie skierowane było do Justina.

- Omari - odparł Justin.

- Powiedz Omariemu, że jak furgonetka podjedzie, ma w ostatniej chwili otworzyć bramę i zamknąć ją, jak tylko będziemy w środku. Zostań z nim, żeby się upewnić, że zrobi wszystko, jak trzeba. Teraz.

Jackson wygramolił się z furgonetki, przeciągnął się, poprawił pasek i wreszcie szedł powoli ze wzgórza do żelaznej bramy posiadłości Justina, gdzie pod okiem policji i dziennikarzy zajął miejsce obok Omariego.

- W porządku, cofnij - nakazał Woodrow Livingstone'owi. - Bardzo powoli. Nie spiesz się.

Livingstone zwolnił hamulec i, nie gasząc silnika, pozwolił furgonetce zjechać do tyłu z pochyłości, aż tylna kłapa znalazła się na wysokości podjazdu do domu. Mogli pomyśleć, że chce zawrócić. Jeśli jednak tak pomyśleli, szybko zmienili zdanie, bo w następnej chwili nadepnął pedał gazu i popędził tyłem w stronę bramy, rozganiając zaskoczonych dziennikarzy na lewo i prawo. Brama otworzyła się błyskawicznie, ciągnięta z jednej strony przez Omariego, z drugiej przez Jacksona. Gdy furgonetka przejechała, znów się zatrzasnęła. Jackson, już za ogrodzeniem, wskoczył w biegu do wozu, który zatrzymał się dopiero przy werandzie, wjeżdżając na dwa stopnie, tak że do drzwi frontowych zostało tylko kilka cali. Lokaj Justina, Mustafą, otworzył je od wewnątrz na oścież, a Woodrow wypchnął Justina, po czym wskoczył za nim do holu, zatrzasnąjąc drzwi za sobą.

W domu panowały ciemności. Z uwagi na Tessę czy też na dziennikarzy, służba zaciągnęła story. Trzech mężczyzn stało w holu - Justin, Woodrow i Mustafa. Mustafa szlochał cichutko. Woodrow widział w mroku jego pomarszczoną twarz, grymas odsłaniający białe zęby, łzy płynące strumieniem po policzkach, prawie przy uszach. Justin trzymał Mustafę za ramię i pocieszał go. Zaskoczony tą nieangielską demonstracją uczucia Woodrow poczuł urazę. Justin przyciągnął służącego do siebie, aż zaciśnięta szczęka Mustafy spoczęła na jego barku. Woodrow, zakłopotany, odwrócił wzrok. Dalej, w korytarzu widać było inne cienie wyłaniające się z części przeznaczony dla służby: jednoręki nielegalny uchodźca z Ugandy, który pomagał Justinowi w ogrodzie, jego imienia Woodrow nigdy nie był w stanie zapamiętać, i nielegalna imigrantka z południowego Sudanu, imieniem Esmeralda, która ciągle miała problemy z chłopcami. Tessa była zawsze bardziej skłonna ulec łzawym opowieściom, niż podporządkować się krajowemu prawu. Czasem jej służba domowa przypominała pensjonariuszy przytułku dla ułomnych i odrzuconych. Woodrow nieraz zwracał na to uwagę Justinowi i zawsze było tak, jakby mówił do ściany. Tylko Esmeralda nie szlochała. Zamiast tego przybrała ów drewniany wyraz twarzy, który biali biorą omyłkowo za grubiaństwo albo obojętność. Woodrow wiedział, że jest inaczej. To była poufalskość. Jej twarz mówiła - oto jak toczy się prawdziwe życie, gdzie jest smutek i nienawiść i ludzie zarębani na śmierć. To jest nasza codzienność, którą znamy, odkąd przyszedliśmy na świat, a wy, wazungu, jej nie zaznaliście.

Justin łagodnie odsunął Mustafę i oburącz uściśnił dłonie Esmeraldy, a ona przytknęła głowę z warkoczykami do jego czoła. Woodrow odniósł

wrażenie, że dopuszczono go do kręgu powiązanego takim uczuciem, jakie nawet mu się nie śniło. Czy Juma też by tak szlochał, gdyby Glorii poderżnięto gardło? Pewnie, jak cholera. A Ebediah? A nowa służąca Glorii, jak jej tam na imię? Justin przycisnął do siebie ugandyjskiego ogrodnika, pogłaskał go po policzku, potem odwrócił się do wszystkich tyłem i schwycił za poręcz przy schodach. Przez chwilę wyglądał na starego człowieka, którym wkrótce przecież się stanie. Zaczął gramolić się do góry. Woodrow patrzył, jak dociera na mroczne piętro i niknie w sypialni, w której nigdy nie był, choć wyobrażał ją sobie ukradkiem na niezliczone sposoby.

Kiedy Woodrow stwierdził, że jest sam, zaniepokoił się. Czuł się tak za każdym razem, gdy wchodził do jej domu, jak wiejski chłopak, który przyjechał do miasta. Na raucie, wielkie mi rzeczy, czy nie znam tu wszystkich? Za jaką sprawą mamy się opowiedzieć tego wieczoru? W którym pokoju będzie ona? Gdzie jest Bluhm? Najpewniej u jej boku. Albo siedzi w kuchni i przygotowuje służbę o paroksyzmy śmiechu. Woodrow przypomniał sobie cel, z jakim tu przybył, i w półmroku korytarza wymacał drogę do drzwi salonu. Były otwarte. Promienie porannego słońca przebijały się między zasłonami, oświetlając tarcze, maski i frędzlaste, ręcznie tkane przez paralityków kilimy. Tymi kilimami Tessie udało się ożywić ponure służbowe umeblowanie. Jak to się działo, że dzięki takim rupieciami wszystko stawało się ładne? Taki sam ceglany kominek jak u nas, takie same żelazne kraty, udające dębowe belki ze Starej Wesołej Anglii. Wszystko jak u nas, tylko mniejsze, bo Quayle'owie nie mieli dzieci i byli o rangę niżej. Więc dlaczego dom Tessy zawsze wyglądał prawdziwie, a nasz wciąż jest jego niewyobrażalnie brzydka siostrzyca?

Stanął na środku pokoju, sparaliżowany mocą wspomnień, to tu stałem i robiłem jej uwagi, córce hrabiny, spoza tego pięknie intarsjowanego stołu, ulubionego, jak mówiła, stołu jej matki, a ja wpijałem się palcami w oparcie tego krzesła i gromiłem ją jak wiktoriański ojciec rodziny. Tessa stała tam, pod oknem, a słońce prześwietlało jej bawełnianą sukienkę. Czy wiedziała, że mówiłem do nagiej sylwetki? Że spojrzeć na nią było spełnieniem marzenia o niej, mojej dziewczynie z plaży, mojej pasażerke z pociągu?

- Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak wpadnę - zaczął surowo.
- Dlaczego tak pomyślałeś, Sandy? - zapytała.

O jedenastej rano, po narodzie w kancelarii, Justin wybrał się do Kampali, żeby wziąć udział w jakiejś nikomu niepotrzebnej konferencji na temat pomocy i wydajności. Przyszedłem tutaj w sprawie służbowej, ale zaparkowałem samochód w bocznej uliczce, jak pełen poczucia winy kochanek, odwiedzający piękną młodą żonę kolegi z pracy. Na Boga, jaka ona piękna. I na Boga, jaka ona młoda. W kwiecie młodości, z ostro zarysowanymi, jędrnymi

piersiami. Jak Justin mógł pozwolić, żeby zeszła mu z pola widzenia. Młodość w jej szarych, szeroko rozwartych, pełnych złości oczach, w uśmiechu zbyt rozumnym na jej wiek. Woodrow nie widział tego uśmiechu, bo stała w cieniu. Ale wyczuwał go w jej głosie. W drażniącym, dezorientującym, pełnym klasy głosie. Był w stanie wydobyć go z pamięci w każdej chwili. Tak samo, jak umiał przywołać jej talię i biodra rysujące się pod sukienką, przyprawiającą o szaleństwo płynność kroku. Nic dziwnego, że i ona, i Justin zakochali się w sobie ze wzajemnością - są z tej samej stajni, tyle że oddaleni od siebie o dwadzieścia lat.

- Tess, uczciwie mówię, tak dalek być nie może.
- Nie mów do mnie Tess.
- Dlaczego?
- To imię jest zarezerwowane.

Przez kogo?, zastanawiał się. Przez Bluhma czy jakiegoś innego kochanka? Quayle nigdy nie mówił do niej Tess. Ani Ghita, o ile wiedział.

- Po prostu nie możesz być taka szczerą. Tak otwarcie wyrażać swoich sądów.

A potem kawałek, który przygotował sobie wcześniej, ten, który miał przypomnieć Tessie o jej obowiązkach odpowiedzialnej żony dyplomaty pełniącego służbę dla kraju. Ale nie udało mu się dobrnąć do końca. Słowo "obowiązek" podziało na nią jak ułkanie.

- Sandy, ja mam obowiązki wobec Afryki. A ty wobec kogo masz obowiązki?

Jego samego zdziwiła odpowiedź.

- Wobec mojego kraju, jeśli pozwolisz, że będę przez chwilę pompacyjny. I Justin też. Wobec Służby i szefa misji. Czy to cię zadowala?

- Wiesz, że nie. Ani trochę. Jest odległa o całe mile ode mnie.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

- Myślałam, że przyjdiesz do mnie porozmawiać o tych pasjonujących dokumentach, które ci dałam.

- Nie, Tesso, nie po to. Przyszedłem, żeby cię poprosić, żebyś przestała rozpowiadać o krętowniach rządu Moiego wobec każdego Tima, Dicka czy Harry'ego w Nairobi. Przyszedłem tutaj, by cię prosić, żebyś dopasowała się, dla odmiany, do naszego zespołu zamiast... no, dopowiedz sobie sama resztę - zakończył niegrzecznie.

Czy mówiłbym tak do niej, gdybym wiedział, że jest ciężarna? Chyba nie. Ale i tak porozmawiałbym z nią. Czy domyślałem się, że jest ciężarna, gdy usiłowałem odwrócić wzrok od jej nagiej sylwetki? Nie. Pożądałem jej ponad wytrzymałość, a ona mogła to odgadnąć po moim zmienionym głosie i wymuszonych, sztywnych ruchach.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że ich nie czytałeś? - powiedziała, trzymając się uporczywie tematu. - Za chwilę mi powiesz, że nie miałeś czasu.
- Oczywiście, że je przeczytałem.
- I co z nich wywnioskowałeś?
- Nie powiedziały mi niczego, czego bym nie wiedział, i niczego, co byłbym w stanie zrobić.
- Wiesz, to bardzo źle o tobie świadczy. Gorzej, to małoduszność. Dlaczego nie możesz niczego zrobić?

Woodrow nienawidził tego, co mówił:

- Bo jesteśmy dyplomatami, a nie policjantami, Tesso. Mówisz mi, że rządy Moiego są bez reszty skorumpowane. Nigdy w to nie wątpiłem. Kraj dotknięta pląga AIDS, jest zbankrutowany do cna, nie ma dziedziny, poczynając od turystyki, poprzez ochronę przyrody, edukację, transport, opiekę społeczną, komunikację, której nie niszczyłyby oszustwa, niekompetencja i zaniedbania. Mówisz, że ministrowie i urzędnicy kradną transporty żywności i lekarstw przeznaczone dla głodujących uchodźców, korzystając czasem z tego, że pracownicy organizacji charytatywnych patrzą na to przez palce. Oczywiście. Wydatki na zdrowie w tym kraju sięgają pięciu dolarów na głowę na rok i to zanim wszyscy, począwszy od rządu, a skończywszy na samym dole, urwą swoją część. Policja rutynowo szykanuje każdego, kto jest na tyle nie-mądry, żeby głośno o tym mówić. I to prawda. Przeanalizowałeś ich metody. Stosują tortury, powiadasz. Moczą ludzi w wodzie, a potem ich biją, nie zostawiając widocznych śladów. Masz rację. Tak robią. A my nie protestujemy. Wypożyczają też swoją broń zaprzyjaźnionym gangom, pod warunkiem, że zostanie zwrócona do świtu, bo jak nie, to zabierają kaucję za nią. Wysoki Komisarz podziela twoje obrzydzenie, a jednak nie protestujemy. Dlaczego? Bo, na szczęście, jesteśmy tutaj, żeby reprezentować swój, a nie ich kraj. Trzydzieści pięć tysięcy rdzennych Brytyjczyków mieszka w Kenii, a ich niepewne środki utrzymania zależą od kaprysu prezydenta Moiego. Do zadań Wysockiej Komisji nie należy utrudnianie im i tak już trudnego życia.

- A ty musisz reprezentować brytyjskie interesy - przypomniała mu /. błyskiem w oku.

- To nie grzech, Tesso - odparł, starając się oderwać niemal miłosne spojrzenie od cienia jej piersi pod wybrzuszeniem sukienki. - Handel nie jest grzechem. Kontakty gospodarcze z powstającymi krajami nie są grzechem. W gruncie rzeczy, handel pomaga im się podnieść. Sprawia, że reformy stają się możliwe do przeprowadzenia. Takie reformy, jakich wszyscy chcemy. To przybliży je do nowoczesnego świata, a nam umożliwi niesienie im pomocy. Jak moglibyśmy pomóc biednemu krajowi, gdybyśmy sami nie byli bogaci?

- Bzdura.
- Słucham?
- Prawie prawdziwa, pierwszej próby, pompatyczna bzdura rodem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jeśli chcesz, żebym nazwała to pełnym imieniem, warta nieoszacowanego Pellegrina we własnej osobie. Handel nie czyni biednych bogatymi. Za zyski nie kupuje się reform. Kupuje się za nie skorumpowane rządy i rachunki w bankach szwajcarskich.

- Całkowicie nie zgadzam się z...

Ucieła krótko jego wywody:

- Odłożyć na półkę i zapomnieć. Racja? Żadnej akcji w tej sprawie, podpisane - Sandy. Wspaniale. Matka demokracji jeszcze raz została zde-maskowana jako zakłamana hipokrytka, głosząca wolność i prawa człowieka dla wszystkich, chyba że jest nadzieja na zarobienie paru dolców.

- To nie w porządku! Niech będzie, chłopcy Moiego to kanciarze, a ich szef ma jeszcze kilkanaście lat rządów przed sobą. Ale na horyzoncie widać już poprawę. Słowo szepnięte we właściwe ucho - wspólne wstrzymanie pomocy ze strony państw wspierających - cicha dyplomacja - dają efekty. I wtedy włączają Richarda Leakeya w skład rządu, żeby zahamować korupcję i zapewnić darczyńców, że mogą wznowić dostawy bez obawy, że sfinansują kanty Moiego. - Mówił, jakby czytał z poradnika dla dyplomaty i był tego świadom. Co gorsza, ona też to spostrzegła, o czym świadczyło wielkie ziewnięcie. - Kenia nie ma teraźniejszości, ale ma przyszłość - zakończył dramatycznie. Czekał teraz na znak z jej strony, że posuwają się w stronę chwiejnego rozejmu.

Ale Tessa, przypomniał to sobie za późno, nie jest z natury pojednawcza, podobnie jak jej przyjaciółka od serca, Ghita. Obie są na tyle młode, żeby wierzyć, że coś takiego jak proste prawdy naprawdę istnieje.

- Dokument, który ci dałam, zawiera nazwiska, daty i numery rachunków bankowych - powiedziała bezlitośnie. - Wskazano w nim i obwiniono konkretnych ministrów. Czy to też stanie się słowem szepniętym we właściwe ucho? Czy może nikt już nie słucha?

- Tessa.

Odsunęła się, gdy podszedł bliżej.

- Sandy.

- Rozumiem cię, słucham cię. Ale na Boga - w imię zdrowego rozsądku - nie możesz poważnie proponować, żeby rząd Jej Królewskiej Mości w osobie Bernarda Pellegrina przeprowadził nagonkę na wymienionych przez ciebie z nazwiska ministrów rządu kenijskiego! Chodzi mi o to... to nie jest tak, że my, Brytyjczycy jesteśmy ponad korupcję. Czy kenijski Wysoki Komisarz w Londynie ma nam powiedzieć, żebyśmy oczyścili własne szeregi?

- Cholerna, czysta blaga i dobrze o tym wiesz - wyrzuciła z siebie. Oczy jej płonęły.

Nie wziął pod uwagę Mustafy. Służący wszedł po cichu, zgarbiony. Najpierw z wielką precyzją postawił na dywanie, w połowie drogi między nimi, mały stolik, potem położył na nim srebrną tacę ze srebrnym dzbankiem na kawę i srebrny koszyk po jej zmarłej matce, wypełniony maślanymi herbatnikami. To wtargnięcie najwyraźniej pobudziło jej zmysł teatralny, bo uklękła wyprostowana przed stolikiem, ze ściągniętymi łopatkami, sukienką opiętą na piersiach i zaczęła dokuczać mu ironicznymi pytaniami o jego upodobania.

- Czarna, Sandy, czy dodać odrobinę śmietanki - bo zapomniałam? - zapytała z lekką drwiną. - Wiedziemy życie faryzeuszy - mówiła mu w ten sposób - kontynent zdycha przed naszymi drzwiami, a my tutaj stoimy albo klęczymy i pijemy kawę podaną na srebrnej tacy, a przecnicę dalej dzieci głodują, chorzy umierają, a nieuczciwi politycy okradają naród, który podstępem zmusili, żeby ich wybrał. A nagonka - skoro już o tym wspomniałeś - byłaby doskonała na początek. Pokażcie ich palcem, okryjcie ich hańbą, odrąbajcie im głowy i zatknijcie je u bram miasta. Kłopot w tym, że to nie poskutkuje. Taka sama lista hańby publikowana jest co roku w nairobińskich gazetach i za każdym razem figurują na niej ci sami kenijscy politycy. Nikogo nie wyłano z pracy, nikogo nie zaciągnięto przed sąd. - Podowała mu filiżankę, przesuając się na klęczkach. - Ale to cię nie obchodzi, prawda? Akceptujesz status quo. Tak postanowiłeś. Nikt ci tego nie narzucił. To twoja decyzja, Sandy. Pewnego dnia popatrzyłeś w lustro i pomyślałeś: Cześć, stary, od dziś będziesz przyjmował ten świat takim, jaki jest. Będziesz robił najlepsze z możliwych interesy dla Wielkiej Brytanii i nazwiesz to swoim obowiązkiem. I nie szkodzi, że te obowiązki pomagają przetrwać paru najgorszym w świecie rządcom. Będziesz to robił tak czy inaczej. - Podowała mu cukier. Pokręcił przecząco głową. - Obawiam się, że nie będziemy w stanie się porozumieć, nie uważasz? Ja wolę mówić pełnym głosem, a ty chcesz, żebym wsadziła głowę tam, gdzie ty. Obowiązkiem kobiety jest wspierać wykręty mężczyzny. Coś jeszcze?

- A Justin? - zapytał Woodrow, rzucając ostatnią, zgraną kartę. - Ciekawe, jak on do tego pasuje.

Zesztywniała, wyczuwając podstęp.

- Justin to Justin - odparła ostrożnie. - On dokonał wyboru i ja dokonałam wyboru.

- A Bluhm to Bluhm - zadrwił Woodrow. Pod wpływem zazdrości i gniewu wypowiedział nazwisko, którego obiecał sobie pod żadnym pozorem nie wspominać. Ona zaś najwyraźniej przysięgła sobie, że nie chce go usłyszeć.

Jakaś wewnętrzna, zawzięta dyscyplina sprawiła, że nie otworzyła ust i czekała, aż Woodrow zrobi z siebie jeszcze większego głupca. Posłusznie brnął dalej. Robił z siebie błazna.

- Nie uważasz, na przykład, że łamiesz Justinowi karierę? - zapytał wyniośle.

- To dlatego wpadłeś, żeby się ze mną zobaczyć?

- Zasadniczo, tak.

- Myślałam, że przyszedłeś, żeby uratować mnie przede mną samą. Teraz okazuje się, że przyszedłeś, żeby ratować Justina przede mną. Jakież to chłopięce.

- Po prostu wyobrażałem sobie, że wasze interesy są identyczne.

Wymuszony, pozbawiony humoru śmiech - znowu była zła. Ale w odróżnieniu od Woodrowa nie straciła panowania nad sobą.

- Dobry Boże, jesteś chyba jedyną osobą w Nairobi, która wyobraża sobie takie rzeczy! - Wstała, gra była skończona. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli już sobie pójdziesz. Ludzie zaczęli nas mówić. Nie przyślę ci już więcej żadnych dokumentów, nie będziesz musiał ich czytać. Nie możemy dopuścić, żebyś przeciążał niszczarkę dokumentów Wysokiego Komisarza, prawda? Mógłbyś stracić punkty do awansu.

Odtwarzał tę scenę tak, jak robił to po wielokroć w ciągu dwunastu miesięcy, odkąd się rozegrała, za każdym razem czując upokorzenie i frustrację, i jej pogardliwy wzrok palący go w plecy, kiedy wychodził. Ukradkiem wyciągnął wąską szufladę intarsjowanego stolika, który tak kochała jej matka, i przesunął ręką wewnątrz, zbierając wszystko, co znalazł. Byłem pijany, byłem szalony, mówił sobie, szukając okoliczności łagodzących dla tego, co teraz czynił. Czułem, że muszę zrobić coś pochopnego. Usiłowałem strącić ten dach, który zamyka się nad moją głową, żeby zobaczyć czyste niebo.

Kawałek papieru - tylko o to prosił, kiedy gorączkowo torował sobie drogę przez szuflady i półki - jedna karteczka niebieskiej papeterii Jej Królewskiej Mości, zapisana z jednej strony moim pismem, mówiąca to, czego nie da się ująć w dwuznaczne słowa: "Z jednej strony tak, ale z drugiej nic nie mogę na to poradzić" - podpisana nie S albo SW, ale "Sandy", ładnym czytelnym pismem, a obok nazwisko WOODROW, dużymi literami, żeby pokazać światu i Tessie Quayle, że przez pięć obłąkańczych minut spędzonych w biurze, jeszcze tego samego wieczoru, z jej nagą sylwetką drażniącą jego pamięć i królewskich rozmiarów szklanką whisky przy bojaźliwym łokciu kochanka, Sandy Woodrow, szef kancelarii brytyjskiej Wysokiej Komisji w Nairobi, dopuścił się aktu jedyne w swoim rodzaju, rozmyślnego, wykalkulowanego szaleństwa, ryzykując karierę, żonę i dzieci, w skazanym na przegraną wysiłku przybliżenia toru swojego życia do uczuć, które żywił.

A kiedy napisał to, co napisał, włożył wyżej wymieniony list do koperty Jej Królewskiej Mości i zakleił wspomnianą kopertę nasączonym whisky językiem. Starannie ją zaadresował i - ignorując wewnętrzny głos rozsądku mówiący mu, żeby zaczekać godzinę, dzień, jeszcze jedno życie, napić się szkockiej, napisać podanie o urlop, a przynajmniej wysłać list następnego dnia rano, kiedy się z nim prześpi - zaniósł go na górę do pokoju pocztowego Wysokiej Komisji, gdzie zatrudniony tam Kikuju, urzędnik o imieniu Jomo, nadanym mu na cześć wielkiego Kenyatty, nie zwracając sobie głowy pytaniami, dlaczego szef kancelarii wysłała pocztą list oznaczony jako OSOBISTY do nagiej sylwetki pięknej młodej żony kolegi i podwładnego, wrzucił go do torby z napisem MIEJSCOWE ZWYCZAJNE, służalczo przy tym pojękując: "Branoc, szanownemu panu", do oddalających się pleców Woodrowa.

Stare kartki bożonarodzeniowe.

Stare zaproszenia, zakreślone krzyżykiem oznaczającym "nie", postawionym ręką Tessy. Inne, bardziej stanowczo oznaczone, "nigdy".

Stara kartka z życzeniami powrotu do zdrowia od Ghity Pearson, z indyjskimi ptakami.

Kłębek wstążki, korek od wina, stosik wizytówek dyplomatycznych spięty klipssem.

Ale nigdzie pojedynczej kartki z papeterii Jej Królewskiej Mości, z błękitną obwódką i triumfalnymi gryzmołami: "Kocham cię, kocham cię, kocham cię, Sandy".

Woodrow przeszedł ukradkiem obok ostatnich półek, wytrząsał książki, na chybił trafił otwierał puzderka na błyskotki i uznawał swoją porażkę. Weź się w garść, człowieku, powiedział sobie, próbując przekuć złą wieść w dobrą. W porządku: nie ma listu. A dlaczego miałby być? Tessa? Po dwunastu miesiącach? Pewnie wrzuciła go do kosza na śmieci tego samego dnia, gdy go dostała. Kobieta taka jak ona, nałogowa flirciara, mąż słabeusz, dwa razy w miesiącu ktoś się do niej przystawiał. Trzy razy! Co tydzień! Codziennie! Pocił się. W Afryce pot oblewał go jak tłusty prysznic, a potem wysychał. Stał z wysuniętą głową, czekając, aż potok spłynie i nasłuchiwał.

Co ten cholernik tam robi? Powiedział: prywatne papiery. Listy od prawników. Jakież to papiery trzymała na górze, zbyt prywatne, żeby znalazły się na parterze? Zadzwoił telefon w salonie. Dzwonił bez przerwy, odkąd weszli do domu, ale Sandy dopiero teraz to zauważył. Dziennikarze? Kochankowie? Kogo to obchodzi? Niech dzwoni. Przypominał sobie plan pierwszego piętra we własnym domu i nakładał go na dom Tessy. Justin był dokładnie nad nim,

na lewo od klatki schodowej. Tam była garderoba i łazienka, i główna sypialnia. Woodrow przypomniał sobie, jak Tessa mówiła mu, że przerobiła garderobę na pracownię: "Nie tylko mężczyźni mają swoje meliny, Sandy. My, dziewczyny, też je mamy" - mówiła mu prowokacyjnie, jakby uczyła go anatomii. Rytm zmienił się. Teraz ty zbierasz rzeczy po pokoju. Jakie rzeczy? "Dokumenty, które mają wartość dla nas obojga". Dla mnie większą, pomyślał Woodrow, z obrzydzeniem wspominając chwilę szaleństwa.

Odkrył, że stoi przy oknie wychodzącym na tylny ogród, uchylił zasłonę i zobaczył gęstwą kwitnących krzewów, chlubę "otwartych dni" urządzanych przez Justina dla młodszego personelu, kiedy to serwował truskawki ze śmietanką i zimne białe wino i oprowadzał ich po swoim Edenie.

- Jeden rok ogrodnictwa w Kenii jest wart dziesięciu lat w Anglii lubił się skarżyć podczas tych komicznych minipielgrzymek wokół kancelarii, kiedy wręczał chłopcom i dziewczętom swoje kwiaty. Właściwie była to jedyna rzecz, jak dobrze o tym pomyśleć, którą mógł się chwalić. Woodrow zerknął w bok, na zbocze pagórka. Dom Quayle'a stał blisko jego domu. Wzgórze było tak położone, że w nocy mogli widzieć światła w swoich oknach. Jego wzrok spoczął na tym oknie, w którym tak często stawał zapatrzoną w tę stronę. Nagle, jak nigdy dotąd, zebrało mu się na płacz. Poczuł jej włosy na swojej twarzy. Mógł zatopić się w jej oczach, wdychać jej perfumy i woń gorącej słodkiej trawy, kiedy tańczył z nią na Boże Narodzenie w Muthaiga Club i czystym przypadkiem przejechał nosem po jej włosach. To te zasłony, zrozumiał, czekając, aż ochota na łzy ustanie. Złapał zasłonę oburącz, gotów zanurzyć w niej twarz.

- Dziękuję, Sandy. Przepraszam, że kazałem ci czekać.

Odwrócił się, odsuwając zasłonę. Justin czekał w drzwiach, równie podenerwowany jak Woodrow. W rękach trzymał długą, pomarańczową, przypominającą kształtem parówkę skórzaną torbę, załadowaną do pełna, bardzo porysowaną, z mosiężnymi wkretami, mosiężnymi skuwkami na rogach i mosiężnymi klódeczkami po obu stronach.

- Wszystko załatwione, stary? Dług honorowy spleacony? - zapytał Woodrow, który mimo zaskoczenia, jako dobry dyplomata, potrafił natychmiast przybrać czarującą pozę. - Doskonale. O to chodzi. Masz wszystko, po co przyszedłeś?

- Myślę, że tak. Co do joty.

- Mówisz, jakbyś nie był pewny.

- Naprawdę? Nie miałem takiego zamiaru. To należało do jej ojca - objaśnił, wskazując na torbę.

- Wygląda raczej na torbę ginekologa - powiedział Woodrow, chcąc, żeby zabrzmiało to po przyjacielsku.

Wyciągnął rękę, ale Justin wołał sam nieść swój łup. Woodrow wspiał się do furgonetki, Justin wszedł za nim i usiadł z jedną ręką zaciśniętą na zniszczonej skórzanej rączce. Drwiny dziennikarzy dobiegły do nich spoza cienkich ścianek:

- Sądzi pan, że Bluhm ją pieprzył, panie Quayle?
- Hej, Justin, mój wydawca proponuje furę dolców.

Od strony domu, poprzez dźwięk dzwonka telefonu, Woodrow usłyszał jakby płacz dziecka i zdał sobie sprawę, że to Mustafa.

3

Prasa pisała o zamordowaniu Tessy w stylu nawet w połowie nie tak skrajnym, jak obawiali się Woodrow i jego Wysoki Komisarz. Dupki, które świetnie potrafią zrobić coś z niczego, jak zauważył łagodnie Coleridge, okazały się równie zdolne do zrobienia niczego z czegoś istotnego. "Zabójcy z buszu zamordowali żonę brytyjskiego dyplomaty" głosiły pierwsze relacje prasowe. I takie oto słuszne podejście do sprawy, zamieszczane na pierwszych kolumnach poważnych gazet, a w prasie brukowej u dołu strony, musiało zadowolić wyrobioną publikę. Ludzie zdążyli już przyzwyczaić się do tego, że wzrasta zagrożenie dla działaczy organizacji humanitarnych na całym świecie, ukazywały się kąśliwe wstępniaki o tym, że ONZ nie potrafi bronić swego i że koszty działalności humanitarnej ciągle rosną. Pisano o dzikusach wyszukujących ofiary do pożarcia, o rytualnych zabójstwach, czarach i makabrycznym handlu ludzkimi skórami. Wiele hałasu robiono z powodu obecności włóczących się po kraju band nielegalnych imigrantów z Sudanu, Somalii i Etiopii. Ale nikt nawet nie wspomniał o niezbitym fakcie, że Tessa i Bluhm, na oczach obsługi i gości, w noc przed śmiercią, nocowali w jednej chacie. Bluhma nazwano "belgijskim urzędnikiem do spraw pomocy humanitarnej" - zgodnie z prawdą - "doradcą ONZ do spraw medycznych" - niezgodnie z prawdą - "ekspertem od chorób tropikalnych" - niezgodnie z prawdą - i wyrażano obawę, że został uprowadzony przez morderców, którzy trzymają go dla okupu albo go zabili.

Doświadczzonego doktora Arnolda Bluhma i jego piękną młodą protegowaną łączyć miało zaangażowanie w działalność humanitarną. I to wszystko. Noahowi udało się zaistnieć w pierwszych wydaniach, a potem umarł po raz drugi. Krew Czarnych, o czym wiedział każdy uczeń z Fleet Street, nie jest warta newsa, ale dekapitacja warta była wzmianki. Światła reflektorów

skierowano na Tessę, Pannę z Towarzystwa z Dyplodem Magistra Praw, Księżniczkę Dianę Afrykańskiej Biedoty, Matkę Teresę Nairobiańskich Slumsów i Anioła MSZ, Który Nie Pozostawał Obojętny. Artykuł wstępny w "Guardian" podkreślał szczególnie fakt, że Kobieta-Dyplomata Tysiąclecia (sic!) znalazła śmierć w okolicach leakeyowskiej kolebki ludzkości, i wyciągał z tego niepokojący morał, że choć stosunki między rasami zmieniły się, nie jesteśmy w stanie zasypać studni okrucieństwa, którą każdy człowiek nosi ukrytą głęboko w sercu. Artykuł stracił nieco na wyrazistości, bo redaktor wydania, nieobeznany z Afryką, umiejscowił morderstwo *Tessyna brzegach jeziora Tanganika* zamiast Turkana.

Za to fotografii było w bród. Rozkoszne niemowlę - Tessa w ramionach ojca, sędziogo, w czasach, gdy był jeszcze skromnym adwokatem wyciągającym za ledwie pół miliona rocznie. Dziesięcioletnia Tessa z warkoczykami i w bryczesach w prywatnej szkole dla dziewcząt z bogatych domów, w tle potulny kucyk (choć jej matka była włoską contessą, rodzice, jak zauważono z aprobatą, mądrze wybrali brytyjski model edukacji). Tessa, Nastoletnia Złota Dziewczyna w bikini; jej niepoderżnięta szyja artystycznie podkreślona pędzlem retuszerza. Tessa w birecie na bakier, todze i minispódnice. Tessa w śmiesznym stroju brytyjskiego adwokata, idąca w ślady ojca. Tessa w dniu ślubu i absolwent Eton, Justin, ze swoim etońskim uśmiechem na twarzy.

W stosunku do Justina prasa wykazała niecodzienną powściągliwość, pewnie dlatego, że nie chciano przyćmić błyszczącego obrazu jednodniowej bohaterki, a trochę dlatego, że niewiele było o nim do powiedzenia. Justin był jednym z "lojalnych urzędników średniego szczebla w MSZ" - czytaj gryziopiórkiem - długoletnim kawalerem "urodzonym w domu z tradycjami służby dyplomatycznej", który przed ożenkiem pracował w placówkach położonych w najgorętszych miejscach zapalnych na świecie, między innymi w Adenie i w Bejrucie. Koledzy wyrażali się z uznaniem o tym, jak zachowywał zimną krew w sytuacjach kryzysowych. W Nairobi kierował "międzynarodowym zespołem, zajmującym się wysoko rozwiniętymi technologiami" w dziedzinie pomocy humanitarnej. Nikt nie użył sformułowania "zabite dechami dziury". Śmieszne, bo okazało się, że prawie nie ma jego fotografii, zarówno sprzed ślubu, jak i późniejszych. "Zdjęcie rodzinne" ukazywało nachmurzonego, zamyślonego młodzieńca, który wyglądał jakby już wtedy naznaczony był wczesnym wdowieństwem. Zostało ono wyszparowane, Justin wyznał to pod naciskiem gospodyni, z większej fotografii przedstawiającej etońską drużynę rugby.

- Nie wiedziałam, że byłeś rugbistą, Justinie! Jaki ty jesteś dzielny! - zawołała Gloria, która narzuciła sobie obowiązek dostarczenia mu co rano,

po śniadaniu, listów z wyrazami współczucia i wycinków prasowych dosyłanych przez Wysoką Komisję.

- To wcale nie wymagało odwagi - odparł w jednym z tych przypluwów zdenerwowania, które Gloria tak uwielbiała. - Wepchnął mnie tam na siłę wychowawca, opryszek. Według niego, nikt nie stanie się mężczyzną, dopóki porządnie go nie skopią. Szkoła nie powinna udostępniać tej fotografii. - I już łagodniej: - Jestem ci bardzo wdzięczny, Glorio.

I tak było ze wszystkim, donosiła Elenie: był wdzięczny za napoje i za posiłki, i za swoją więzienną celę. Za wspólne wyprawy do ogrodu i małe seminaria na temat roślin ogrodowych - szczególnie pochlebstwami obsypywał ją za lilie, które wreszcie udało się jej przekonać, żeby zaczęły płożyć się pod drzewem - za pomoc w przygotowaniach do zbliżającego się pogrzebu, a szczególnie za jej wyprawę z Jacksonem na miejsce przyszłego pochówku i do domu pogrzebowego, bo sam Justin, na mocy edyktu z Londynu, miał pozostać w zamknięciu, aż wrzawa opadnie. Przetaksowany w tej sprawie list z ministerstwa, zaadresowany do Justina z Wysokiej Komisji, podpisany "Alison Landsbury, szef personelu", wstrząsnął Glorią do głębi. Nie przypominała sobie, żeby cokolwiek poruszyło ją do tego stopnia.

- Justinie, potraktowano cię w sposób oburzający. "Oddać klucze do domu i czekać, aż władze podejmą odpowiednie kroki", na cicię Fanny! .(akie władze? Kenijskie? A może te platfusy ze Scotland Yardu, które do tej pory nawet nie raczyły cię odwiedzić?

- Ależ, Glorio, przecież już byłem w domu - tłumaczył Justin uspokajająco. - Po co wyważać otwarte drzwi? Czy cmentarz załatwiony?

- O drugiej trzydzięci. Mamy być w salonie pogrzebowym Lee o drugiej. Informacja do prasy pójdzie jutro.

- Będzie leżeć obok Gartha. - Garth, ich zmarły syn, nosił imię po ojcu Tessy, sędzim.

- Tak blisko, jak to tylko możliwe, kochany. Pod tym samym drzewem jacarandy. Razem z jej afrykańskim chłopczykiem.

- Jesteś bardzo uprzejma - powtórzył po raz kolejny i nie dodając już ani słowa, poszedł do siebie na dół, do swojej wiktoriańskiej torby.

Ta torba była jego kocykiem bezpieczeństwa. Gloria już dwa razy zerkała z ogrodu przez kraty; siedział bez ruchu na łóżku, z głową opartą na rękach, wpatrzony w leżącą jego stóp torbę. Według jej sekretnie żywionego przekonania - którym podzieliła się z Eleną - zawierała ona listy miłosne Bluhma. "Uratował je przed wścibskimi oczami - niestety, Sandy się nie popisał - i zbierał siły, żeby je przeczytać albo spalić". Elena wiedziała, że tak trzeba, ale uznała Tessę za małą głupią dziwkę. "Przeczytaj i wyrzuć. To pioja zasada, kochanie". Gloria zauważyła, że Justin niechętnie wychodzi

z pokoju, obawiając się zostawić torbę, zaproponowała więc, żeby schował ją do piwnicy z winami, która miała żelazną kratę zamiast drzwi i świetnie pasowała do więziennego wystroju niższego poziomu.

- I możesz to zatrzymać, Justinie - wielkopańskim gestem powierzyła mu klucz. - Masz. A kiedy Sandy zechce wziąć butelkę, to będzie musiał przyjść do ciebie i poprosić. Może będzie mniej pił.

Stopniowo, gdy mijały kolejne nieprzekraczalne terminy wyznaczone przez prasę, Woodrow i Coleridge uznali, że sytuacja została opanowana. Wmawiali sobie, że albo Wolfgangowi udało się uciszyć personel i gości, albo prasa była tak zaabsorbowana miejscem zbrodni, że nikt nie pofatygował się, żeby zbadać Oazę. Coleridge osobiście wygłosił przemówienie do zarządu Muthaiga Club, błagając ich w imię angielsko-kenijskiej solidarności, żeby ukrócić plotki. Woodrow miał podobne kazanie do pracowników Wysokiej Komisji. "Bez względu na to, co myślimy prywatnie, nie wolno nam robić niczego, co rozdmuchałoby płomień". Te mądre słowa, wypowiedziane poważnym tonem, odniosły właściwy skutek.

Ale to było złudzenie, o czym Woodrow wiedział w gruncie rzeczy od samego początku w głębi swego racjonalnego serca. Gdy prasa właśnie traciła zainteresowanie dla sprawy, pewien belgijski dziennik opublikował na pierwszej stronie tekst sugerujący, że Tessę i Bluhma łączyły "namiętne stosunki", poparty fotokopią strony z książki meldunkowej w Oazie i wypowiedziami naocznych świadków o tym, jak para kochanków jadła obiad, czując się do siebie w przeddzień śmierci Tessy. Brytyjskie popołudniówki miały swoje pięć minut; z dnia na dzień, Bluhm stał się dla Fleet Street postacią nienawistną, którą można opluwać do woli. Do tej pory był doktorem Arnoldem Bluhmem, adoptowanym kongijskim synem bogatego belgijskiego małżeństwa specjalistów w zakresie górnictwa, wykształconym w Kinszasie, Brukseli i na Sorbonie, ascetycznym lekarzem, dobroczyńcą rejonów ogarniętych wojną, bezinteresownym uzdrowicielem z Algieru. Teraz stał się uwodzicielem, rozbijającym małżeństwo i maniakiem. Artykułowi na trzeciej stronie, traktującemu o lekarzach-mordercach, towarzyszyły zdjęcia podobnych do siebie Bluhma i OJ. Simpsona, a duży nagłówek głosił: "Który z bliźniaków jest naszym doktorem?". Dla pewnej części czytelników, Bluhm stał się archetypem Murzyna-zabójcy. Usidlił żonę białego człowieka, podciął jej gardło, uciął głowę kierowcy i uciekł do buszu, żeby poszukać sobie nowego łupu, albo zrobić coś innego, coś, co zwykle robią salonowe czarnuchy, kiedy wychodzi na jaw ich prawdziwa natura. Żeby porównanie wypadło lepiej graficznie, Bluhmowi wyretuszowano brodę.

Przez cały dzień Gloria trzymała to w tajemnicy przed Justinem, obawiając się, że wiadomość wytrąci go z równowagi. Ale on nalegał, że chce zobaczyć wszystko, wszyściutko. Toteż gdy nadszedł wieczór, przed powrotem Woodrowa, przyniosła mu whisky i niechętnie podała jaskrawą zszywkę. W więziennej celi Justina jej syn, Harry, siedział przy chybottliwym sossnowym stole. Obaj ze zmarszczonymi czołami w skupieniu pochylali się nad partyjką szachów. Ogarnęła ją zazdrość.

- Harry, kochanie, nie powinieneś zwracać głowy biednemu panu Qu-ayle'owi swoimi szachami...

Ale Justin przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

- Twój syn jest bardzo bystry, Glorio - powiedział. - Sandy będzie musiał na siebie uważać, wierz mi. - Wziął od niej zszywkę, usiadł ciężko na łóżku i zaczął ją kartkować.

- Arnold doskonale zdaje sobie sprawę z naszych uprzedzeń - mówił tym samym obojętnym tonem. - Jeśli żyje, nie będzie zaskoczony. Jeśli zginął - to i tak mu wszystko jedno, prawda?

Ale prasa miała w zanadru znacznie zjadliwszą strzałę. Gloria nie potrafiła tego przewidzieć nawet w najczarniejszych scenariuszach.

Wśród kilkunastu gazetek abonowanych przez Wysoką Komisję - kolorowych lokalnych pism, anonimowych, prymitywnie drukowanych -jedno wykazywało szczególną zdolność przetrwania. Tytuł pisemka brzmiał jasno: "Skorumpowana Afryka", a jego polityka - o ile można to pojęcie stosować wobec burzliwych porywów, kierujących poczynaniami redakcji - polegała na grzebaniu się w brudach, bez względu na rasę, kolor, prawdę i konsekwencje. Pisemko demaskowało kradzieże ministrów i administracji Moiego, obnażało "łapownictwo, korupcję i rozpustne życie" urzędników z organizacji humanitarnych.

Ale numer, o którym mowa - później znany jako wydanie 64 - poświęcony był innej materii. Wydrukowano go na dwóch stronach szokująco różowej płachty papieru. Złożona, świetnie mieściła się w kieszeni marynarki. Gruba czarna obwódka wskazywała, że anonimowi wydawcy kogoś oplakują. Tytuł stanowiło jedno słowo: TESSA, napisane czarnymi, wielkimi literami. Egzemplarz przeznaczony dla Woodrowa przyniósł w sobotnie popołudnie nie kto inny, jak chorowity, zarośnięty, zaokularzony, wąsaty, długąszy Tim Donohue we własnej osobie. Gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach frontowych, Woodrow grał w ogrodzie w krykieta ze swoimi chłopcami. Gloria, zazwyczaj niezastąpiona jako odzwierny, walczyła na górze z bólem głowy. Justin zamknął siew swojej celi, zasłaniając okna. Woodrow przeszedł

przez dom i spodziewając się jakiejś dziennikarskiej sztuczki, zerknął przez wizjer. Na schodkach stał Donohue z zakłopotanym uśmiechem na długiej twarzy, machając czymś, co wyglądało jak różowa serwetka.

- Okropnie mi przykro, że ci przeszkadzam, stary. Sobota i tak dalej. Zdaje się jednak, że gówno wpadło w końcu w przysłowiowy wentylator.

Nie kryjąc niesmaku, Woodrow poprowadził go do salonu. Co on u diabła kombinuje? Co do cholery kombinował przez cały czas, skoro już o tym mowa? Woodrow nigdy nie lubił "przyjaciół", jak w Ministerstwie Spraw Zagranicznych nazywano szpiegów. Donohue nie miał ogłady ani zdolności językowych, brakowało mu wdzięku. Wszelkie oznaki mówiły, że jego najlepsze lata dawno minęły. W dzień spędzał całe godziny na polu golfowym Muthaiga Club z co grubszymi rybami z nairobińskiej śmietanki świata biznesu, wieczorami grywał w brydża. Mimo to żył na wysokiej stopie, w pięknym domu z czterema służącymi i wyblakłą pięknnością imieniem Maud, która wyglądała na równie schorowaną, jak on. Czy posada w Nairobi była dla niego synekurą? Pożegnaniem pocałunkiem po latach zaszczytnej służby? Woodrow słyszał, że "przyjaciółom" to się zdarza. Według niego, Donohue był zbędnym balastem w profesji i tak, z definicji, pasożytniczej i przestarzałej.

- Tak się złożyło, że jeden z moich chłopców łaził po targowisku - wyjaśnił Donohue. - Paru kolesiów rozdawało bezpłatne egzemplarze, więc mój chłopak pomyślał, że dobrze wziąć sobie jeden.

Na pierwszej stronie znajdowały się trzy odrębne panegiryki na cześć Tessy, napisane ponoć przez jej afrykańskie przyjaciółki. Utrzymane były w stylistyce afro-angielskiej: trochę na piedestale, trochę ze skrzynki po mydle; rozbijające frazesy, nabrzmiałe uczuciem. Autorki pisały, że Tessa rozbiła spleśniałe mury. Przy jej bogactwie, koneksjach, z jej wykształceniem i wyglądem, mogła z powodzeniem tańczyć i bawić się w towarzystwie najgorszych w Kenii białych konserwatystów. Tymczasem była odwrotnością tego, co sobą reprezentowali. Zbuntowała się przeciwko swojej klasie, rasie i wszystkiemu, co jej narzucało więzy, czy to był kolor skóry, uprzedzenia grupy społecznej, czy też konwenans emeszetowskiego małżeństwa.

- Jak Justin? - zapytał Donohue.

- Dziękuję, jako tako.

- Słyszałem, że parę dni temu był u siebie w domu.

- Chcesz, żebym to przeczytał, czy nie?

- Dobra robota, stary, że wymknął się tym padalcom, czającym się pod drzwiami. Musi się do nas dołączyć. Jest gdzieś tutaj?

- Tak, ale nie przyjmuje gości.

Afryka była przybraną ojczyzną Tessy, czytał Woodrow, a afrykańskie kobiety stają się jej przybraną rodziną.

Tessa walczyła o naszą sprawę, nie dobierając sobie pola bitwy, nie zważając na tabu. Walczyła na eleganckich przyjęciach z szampanem, na wykwintnych obiadkach i wszędzie tam, gdzie ludzie z wyższych sfer byli na tyle nierozważni, żeby ją zaprosić. Jej przesłanie zawsze było takie samo. Tylko emancypacja afrykańskich kobiet może nas uchronić od błędów i korupcji, będącej udziałem naszych mężczyzn. A kiedy odkryła, że jest w ciąży, uparła się, że donosi swoje afrykańskie dziecko wśród afrykańskich kobiet, które ukochała.

- O Boże - powiedział cicho Woodrow.
- Masz rację - zgodził się Donohue.

Ostatni akapit napisany był wielkimi literami. Woodrow przeczytał go machinalnie.

ZEGNAJ, MAMO TESSO. JESTEŚMY DZIEĆMI TWOJEJ ODWAGI. DZIĘKUJEMY, DZIĘKUJEMY, MAMO TESSO, ZA TO, ŻE POŚWIĘCIŁAŚ NAM ŻYCIE. ARNOLD BLUHM MOŻE JESZCZE ŻYJE, ALE TY NA PEWNO JESTEŚ MARTWA. JEŚLI KRÓLOWA BRYTYJSKA NADAJE POŚMIERTNE ODZNACZENIA, MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE ZAMIAST OBDARZYĆ PANA PORTERA COLERIDGE'A TYTUŁEM SZLACHECKIM ZA JEGO ZASŁUGI DLA DOBREGO SAMOPOCZUCIA BRYTYJCZYKÓW, UHONORUJE CIEBIE KRZYŻEM WIKTORII, MAMO TESSO, NASZA PRZYJACIÓŁKO, ZA TWOJĄ WALECZNOŚĆ W BITWIE Z POSTKOLONIALNYM ZAKŁAMANIEM.

Afrykańskie dziecko Mamy Tessy

Tessa Quayle we wszystko, co robiła, wkładała ciało i duszę. Oczekiwała od innych, że będą czynić tak samo. Kiedy leżała w szpitalu Uhuru, w Nairobi, jej bliski przyjaciel, doktor Arnold Bluhm odwiedzał ją codziennie. Niektórzy twierdzą, że bywał u niej również w nocy i że zabrał nawet składane łóżko, żeby móc spać obok niej, w szpitalnej sali.

Woodrow złożył gazetą i włożył ją do kieszeni.

- Myślę, że oddam to bezpośrednio Porterowi, jeśli ci to nie przeszkadza. A może pozwoliłbyś mi to zatrzymać?
- To dla ciebie, stary. Z pozdrowieniami od firmy.

Woodrow ruszył już w stronę drzwi, ale nie wyglądało na to, żeby Donohue miał zamiar wyjść.

- Idziesz? - zapytał Woodrow.
- Pomyślałem, że trochę tu zaczekam. Pozdrów ode mnie Justina. Gdzie on jest? Na górze?
- Myślałem, że uzgodniliśmy, że tego nie zrobisz.

- Naprawdę, stary? Nie ma sprawy. Innym razem. Twój dom, twój gość. Chyba nie schowałeś tu gdzieś Bluhma, co?

- Nie bądź śmieszny.

Donohue, niezniechęcony, kręcił się koło Woodrowa, kpiąc w żywe oczy.

- Podwieźć cię? To tuż za rogiem. Oszczędzisz sobie wyprowadzania samochodu. Za gorąco, żeby iść na piechotę.

Nadal obawiając się, że Donohue może wpaść do domu, żeby zajrzeć do Justina, Woodrow przyjął zaproszenie. Porter i Veronica Coleridge'owie wygrzewali się na słońcu w ogrodzie. Za nimi pyszniła się rezydencja Wysokiej Komisji, przednimi leżały nieskazitelne trawniki i wypielone grządki ogrodu bogatego maklera giełdowego. Coleridge przeglądał dokumenty z teczki kurierskiej. Jego jasnowłosa żona Veronica, w błękitnej sukience i miękkim, szerokoskrzydłym słomianym kapeluszu, leżała na trawie obok wyścielnego kojca. Rosie, ich córeczka, turlała się w kojcu na plecach, patrząc przez paluszki na listowie dębu. Veronica pomrukiwała coś do niej. Woodrow podał Coleridge'owi gazetę i czekał na komentarz. Nie doczekał się.

- Kto czyta to gówno?

- Prawdopodobnie każdy pismak w tym mieście - odparł Woodrow bezbarwnym tonem.

- Jaki będzie ich następny krok?

- Szpital - odpowiedział Woodrow, czując jak zamiera mu serce.

Półleżąc w pluszowym fotelu w gabinecie Coleridge'a i jednym uchem przysłuchując się jego ostrożnej wymianie zdań ze zniechęconym zwierzchnikiem z Londynu, prowadzonej przez telefon cyfrowy wyciągnięty z szuflady biurka, Woodrow kolejny raz przeżywał wspomnienie, z którego nie otrząsnie się aż do śmierci. Widział, jak on -biały człowiek -kroczy z kolonialną energią przez ogromne, zatłoczone sale szpitala Uhuru, zatrzymując się tylko po to, żeby zapytać kogoś w szpitalnym kitlu o właściwą klatkę schodową, właściwe piętro, właściwą salę, właściwego pacjenta.

- Pellegrin pieprzy, żeby to schować pod dywanem - oznajmił Porter Coleridge, zatraskując telefon. - Głęboko i szybko. Pod największym, cholera, dywanem, jaki znajdziemy. Typowe.

Woodrow patrzył przez okno gabinetu, jak Veronica podnosi Rosie z kojca i niesie ją w stronę domu.

- Przecież właśnie to robimy - zaprotestował, wciąż zagubiony we wspomnieniach.

- To, co robiła w wolnym czasie, to jej sprawa. I figle migle z Bluhmem i szlachetne uczynki. Nieoficjalnie i tylko, gdy ktoś zapyta, szanowaliśmy jej walkę, chociaż uważaliśmy, że jest naiwna i porąbana. I nie komentujemy

nieodpowiedzialnych enuncjacji prasy rynsztokowej. - Zamilkł, walcząc ze wstrętem do siebie. - I mamy mówić wszystkim, że była stuknięta.

- Dlaczego, na Boga, mamy to zrobić? - Woodrow ocknął się nagle z marzeń.

- To nie nasza sprawa. Śmierć dziecka wytrąciła ją z równowagi, a wcześniej też bywała chwiejna psychicznie. W Londynie poszła do jakiegoś psychiatry, który jej pomógł. To jest ohydne i nienawidzę tego. Kiedy pogrzeb?

- Najwcześniejszy termin to połowa przyszłego tygodnia.

- Nie można wcześniej?

- Nie.

- Dlaczego?

- Czekamy na sekcję zwłok. Pogrzeby muszą być rezerwowane z wyprzedzeniem.

- Sherry?

- Nie, dziękuję. Chyba wrócę na swoje ranczo.

- Londyn chce długiego oplakiwania. Była naszym krzyżem, ale znosiliśmy go mężnie. Możesz ją długo oplakiwać? Ja też nie. Chce mi się rzygać.

Te słowa padły tak szybko i Coleridge powiedział je z takim przewrotnym przekonaniem, że Woodrow początkowo sądził, że się przesłyszał.

- Pellegrin uraczył nas gównem - mówił dalej Coleridge ze zjadliwą pogardą. - Możesz to zaakceptować?

- Tak myślę.

- To ci dobrze. Ja nie jestem pewien. Wszelkie skargi niedotyczące spraw urzędu, które składała gdziekolwiek - ona i Bluhm - razem albo z osobna - do kogokolwiek, nie włączając ciebie i mnie - wszystkie te jej zbikowane pomysły - o zwierzętach, warzywach, polityce czy lekach... - długa, nie do zniesienia pauza, podczas której oczy Coleridge'a spoczęły na nim, a tlił się w nich ogień heretyka namawiającego do zdrady - są poza naszą kompetencją i gówno o nich wiemy. Jasno się wyraziłem? A może mam to napisać na ścianie sympatycznym atramentem?

- Wyraziłeś się jasno.

- To Pellegrin jasno się wyraził. Tak, ten to umie się jasno wyrazić.

- Pewnie.

- Czy zatrzymaliśmy kopie tych materiałów, których nigdy ci nie dała? Tych, których nigdy nie widzieliśmy, nie dotykaliśmy i którymi w żaden sposób nie pokalaliśmy naszego śnieżnobiałego sumienia?

- Wszystko, co nam dawała, szło do Pellegrina.

- Jakie to sprytnie z naszej strony. Jesteś dobrej myśli, prawda, Sandy? Uszy do góry i tak dalej, z poprawką na czas próby i na to, że trzymasz jej męża w pokoju gościnnym?

- Tak mi się zdaje. A jak ty się czujesz? - zapytał Woodrow, który od jakiegoś czasu, zachęcany przez Glorię, patrzył z zadowoleniem na rosnącą rysę między Coleridge'em a Londynem i zastanawiał się, jak najlepiej to wykorzystać.

- Nie do końca jestem dobrej myśli - odparł Coleridge bardziej szczerze niż kiedykolwiek. - Wcale nie jestem tego pewien. W ogóle cholernie mi brak pewności, czy mogę się pod którąś z tych rzeczy podpisać. I chyba nie mogę. Odmawiam. Sknoć wszystkie zabiegi Bernarda, hak mu w smak, Pellegrina. Pieprzyć je. A on cholernie słabo gra w tenisa. Muszę mu to powiedzieć.

Parę dni temu Woodrow powitałby z radością taki dowód rozłamu i zrobiłby wszystko, co leżało w jego skromnych możliwościach, żeby ów rozłam poszerzyć, ale wspomnienia szpitala nawiedziły go z siłą, której nie był w stanie się oprzeć i przepęłniły go wrogością wobec tego świata, w którym czuł się jak więzień trzymany przemocą. Spacer z rezydencji Wysokiego Komisarza do jego własnej zajął mu nie więcej niż dziesięć minut. Po drodze stał się ruchomym celem dla szczekających psów, żebrzących dzieci, które biegły za nim, wołając: "pięć szylingów, pięć szylingów", i zmotoryzowanych dżentelmenów, zwalniających, żeby zaproponować mu podwieszenie. Zanim dotarł do swoich drzwi, przeżył najbardziej szarpiące sumienie chwile swojego życia.

W sali szpitala Uhuru stoi sześć łóżek, po trzy przy przeciwległych ścianach. Na żadnym nie ma prześcieradeł ani poduszek. Podłoga jest z betonu. Są świetliki w suficie, ale nie otwierają się. Jest zima, ale w pokoju nie czuć powiewu wiatru, a smród ekskrementów i środków dezynfekcyjnych jest tak gwałtowny, że Woodrowowi zdaje się, że można go połknąć, a nie powąchać. Tessa leży na środkowym łóżku po lewej i karmi piersią dziecko. Spogląda na nią jako na ostatnią, robi to z rozmysłem. Łóżka obok są puste, leżą na nich tylko gumowe płachty przypięte do materacy. Po drugiej stronie bardzo młoda kobieta kuli się na boku, głowę trzyma płasko na materacu, jedno ramię zwisa bezwładnie. Kilkunastoletni chłopiec kuca na podłodze tuż przy niej, jego pełne błagania, szeroko otwarte oczy wpatrzone są w jej twarz, wachluje ją kawałkiem kartonu. Obok nich dostojna stara kobieta o białych włosach siedzi wyprostowana, czytając Biblię misyjną przez okulary w rogowej oprawce. Nosi bawełnianą kangę, taką jaką sprzedaje się turystom. Dalej za nią kobieta ze słuchawkami na uszach krzywi się na to, co słyszy. Pobrzdżona bólem twarz ma głęboko uduchowiony wyraz. Woodrow chłonie to wszystko jak szpieg, kątem oka obserwując Tessę. Zastanawia się, czy już go zobaczyła.

Zobaczył go Bluhm. Unosi głowę, ledwie Woodrow niezręcznie wkacza do sali. Wstaje ze swego miejsca przy łóżku Tessy, potem nachyla się, żeby powiedzieć jej coś do ucha, po cichu podchodzi do niego, podaje mu rękę i szeptem: "Witamy" - jak mężczyzna do mężczyzny. Witamy, ale właściwie - gdzie? Witamy u Tessy, dzięki uprzejmości jej kochanka? Witamy w tej śmierdzącej piekielnej dziurze letargicznego cierpienia? Ale jedyną odpowiedzią Woodrowa jest pełne szacunku: "Miło cię widzieć, Arnoldzie" - a Bluhm dyskretnie wychodzi na korytarz.

Angielskie kobiety karmiące dzieci, wedle ograniczonej wiedzy Woodrowa na ten temat, okazują skromność i powściągliwość. Tak, oczywiście, postępowala Gloria. Rozpinają się z przodu, a potem używają różnych sztuczek, żeby zasłonić to, co jest pod spodem. Ale Tessa, w dusznym afrykańskim powietrzu, nie odczuwa potrzeby skromności. Obnażona do pasa, okryta kangą podobną do tej, którą nosi stara kobieta, trzyma dziecko przy lewej piersi, wolna prawa pierś czeka. Jej tors jest smukły i blady. Piersi, nawet po porodzie, są tak drobne i doskonałe, jak to sobie często wyobrażał. Dziecko jest czarne. Granatowoczarne na tle marmurowej białości jej skóry. Malutka czarna rączka znalazła karmiącą pierś i ugniatają z niesamowitą pewnością siebie, a Tessa patrzy. Potem powoli podnosi wielkie szare oczy i patrzy na Woodrowa. A on szuka słów, ale ich nie znajduje. Nachyla się nad nią, nad dzieckiem i - z lewą ręką opartą o wezgi łóżka - całuje ją w czoło. Kiedy to czyni, ze zdumieniem odkrywa notes leżący przy łóżku, tam gdzie siedział Bluhm. Notes leży niepewnie na małym stolczku razem ze szklanką wyglądającej na nieświeżą wody i kilkoma długopisami. Jest otwarty, zapisała coś w nim niepewnym, pajęczym pismem, jakby piętą wodą po kisielu wyuczonej na prywatnych lekcjach kaligrafii, która zawsze mu się z nią kojarzyła. Woodrow siada bokiem na łóżku i zastanawia się, co powiedzieć. Ale to Tessa odzywa się pierwsza. Słabym, przytłumionym od bólu i lekarstw, ale nienaturalnie opanowanym głosem, z którego, mimo wszystko, udaje się jej wykrzesać kpiarską nutkę, przeznaczoną specjalnie dla niego.

- Ma na imię Baraka - mówi. - To znaczy błogosławieństwo. Ale ty wiesz.
- Dobre imię.
- Nie jest mój. - Woodrow nie odpowiada. - Jego matka nie może go wykarmić. - Głos ma powolny i zaspany.
- Więc ma szczęście, że jesteś ty. - Woodrow potrafi ładnie się znaleźć. - Jak się czujesz, Tesso? Strasznie się o ciebie martwiłem, nie wyobrażasz sobie nawet jak. Tak mi przykro. Kto się tobą opiekuje, nie licząc Justina? Ghita i kto jeszcze?
- Arnold.
- Oczywiście, nie licząc też Arnolda.

- Kiedyś mi powiedziałeś, że igrasze ze zbiegami okoliczności - mówi, ignorując jego pytanie. - Stając na linii frontu, sprawiam, że sprawy same zaczynają się toczyć.

- Podziwiałem cię za to.

- Nadal podziwiasz?

- Oczywiście.

- Ona umiera - mówi i spogląda na drugą stronę pokoju. - Jego matka. Wanza. - Patrzy na kobietę ze zwisającym ramieniem i niemego chłopca skulonego na podłodze u jej boku. - Dalej, Sandy. Nie zapytasz na co?

- Na co? - zapytał posłusznie.

- Na życie. Buddyści uczą nas, że jest ono podstawową przyczyną śmierci. Przepelnienie. Niedożywienie. Plugawe warunki życiowe. - Patrzy na dziecko. -1 zachłanność. W tym wypadku, męska zachłanność. Cud, że ciebie nie zabili. Ale nie zabili, prawda? Przez pierwsze dni odwiedzali ją dwa razy dziennie. Byli przerażeni.

- Kto taki?

- Zbiegi okoliczności. Te zachłanne. W pięknych, białych płaszczach. Patrzyli na nią, trochę ją poszturchiwali, odczytywali jej tabliczkę, rozmawiali z pielęgniarkami. Teraz przestali przychodzić. - Dziecko zaczęło ją gryźć. Czule odsunęła je. - Z Chrystusem było dobrze. Chrystus siadał przy umierających, mówił magiczne słowa, ludzie żyli dalej, i wszyscy klaskali. Zbiegi okoliczności tego nie potrafią. Dlatego poszły sobie. Zabiły ją, a teraz nie potrafią użyć magicznych słów.

- Biedacy - powiedział Woodrow, próbując dostosować się do jej nastroju.

- Nie - odwróciła głowę. Mrużąc z bólu oczy, pokazała brodą drugą stronę pokoju. - To są biedacy. Wanza. I ten, na dole, na podłodze. Kioko, jej brat. Przeszedł osiemdziesiąt kilometrów ze swojej wioski, żeby odpędzić od ciebie muchy, prawda, to twój wujek? - powiedziała do niemowlęcia. Posadziła je na kolanach i łagodnie poklepywała plecki, aż mu się odbiło. Podłożyła dłoń pod drugą pierś, żeby znów posiadało.

- Tesso, posłuchaj - Woodrow widział, jak patrzy na niego uważnie. Znała ten ton. Wszystkie jego warianty. Widział, jak na jej twarzy kładzie się cień podejrzenia. Posłała po mnie, bo chce, żebym coś dla niej zrobił, ale teraz przypominała sobie, kim jestem. - Tesso, proszę, wysłuchaj mnie. Nikt nie umiera. Nikt nikogo nie zabił. Masz gorączkę, wyobrażasz sobie różne rzeczy. Jesteś potwornie zmęczona. Zostaw to. Odpocznij sobie. Proszę.

Znów patrzyła na dziecko, nacisnęła jego policzek opuszką palca.

- Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakiego kiedykolwiek dotykałam - wyszeptwała. -1 nie zapomnij tego nigdy.

- Jestem pewien, że nie zapomni - powiedział serdecznie Woodrow, a dźwięk jego słów przypomniał jej o jego obecności.
- Co w cieplarni? - tak nazywała Wysoką Komisję.
- Prosperuje.
- Wszyscy moglibyście się spakować i jutro pojechać do domu. Nie zrobiliby to najmniejszej różnicy - powiedziała ogólnikowo.
- Zawsze mi to mówisz.
- Afryka jest tutaj, wy jesteście tam.
- Podyskutujemy o tym, kiedy będziesz silniejsza - zaproponował Woodrow swoim najbardziej uspokajającym tonem.
- Doprawdy?
- Oczywiście.
- I będziesz słuchał?
- Jak zakłęty.
- I wtedy opowiemy ci o najbardziej zachłannych zbiegach okoliczności w białych kitlach. A ty nam uwierzysz. Umowa stoi?
- Opowiemy?
- Ja i Arnold.

Wspomnienie o Bluhmie sprowadziło Woodrowa na ziemię.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy w danych okolicznościach. Cokolwiek to będzie. W granicach rozsądku. Obiecuję. Teraz spróbuj trochę odpocząć. Proszę.

Zadumała się nad jego słowami.

- Obiecuję, że zrobi co będzie w jego mocy, w danych okolicznościach - powiedziała do dziecka. - W granicach rozsądku. Cóż, oto człowiek. Jalesię miewa Gloria?

- Jest bardzo zaniepokojona. Przesyła ci pozdrowienia.

Tessa westchnęła ze zmęczenia i - z dzieckiem przy piersi - opadła na poduszki i zamknęła oczy.

- Więc wracaj do niej, do domu. I nie pisz więcej listów - szepnęła. - I zostaw Ghitę w spokoju. Ona też nie lubi takiej zabawy.

Wstaje, odwraca się, z jakiegoś powodu spodziewa się ujrzeć Bluhma w drzwiach, w pozie, której najbardziej nie znosi: Bluhm oparty nonszalancko o framugę, z rękami po kowbojsku wetkniętymi za pas, szczyrzy te swoje białe zęby zza pretensjonalnej czarnej brody. Ale drzwi były puste, korytarz bez okien, ciemny, oświetlony jak schron przeciwlotniczy rzędem słabych światełek. Przepycha się między zepsutymi łózkami na kółkach, czuje krew i ekskrementy mieszające się ze słodkim, bydłęcym zapachem Afryki, zastanawia się, czy to nędzne otoczenie przyczynia się jakoś do tego, że Tessa jest w jego oczach tak atrakcyjna: strawiłem swoje życie na ucieczce od rzeczywistości, ale dzięki niej wracam do świata.

Wchodzi do zatłoczonego holu i widzi Bluhma zajętego rozmową z jakimś mężczyzną. Najpierw dociera do niego głos Bluhma - to nie są szersze słowa - ostry i oskarżycielski, odbijający się od stalowych krat. Ten drugi odpowiada. Niektórzy ludzie, gdy raz się ich zobaczy, żyją na zawsze w naszej pamięci. To właśnie taki człowiek. Mocno zbudowany, brzuchaty, o lśniącej mięsistej twarzy z wyrazem skrajnej rozpacz. Jego włosy, rudoblonde, rosną rzadko wokół różowej łysiny. Ma ściągnięte różowiutkie usta, które tłumaczą się i zaprzeczają. Oczy, okrągłe od urazy, pełne są przerażenia, które przepelnia obu rozmówców. Ręce ma piegowate i bardzo silne, koszulę khaki naznaczoną plamami potu wokół kołnierza. Reszta ukryta jest pod białym lekarskim kitem.

"I wtedy opowiemy ci o najbardziej zachłannych zbiegach okoliczności w białych kitlach".

Woodrow podchodzi ukradkiem. Jest już prawie przy nich, ale nie odwracają głów. Za bardzo się kłóć. Przechodzi obok niezauważony, ich uniesione głosy nikną w gwarze.

Samochód Donohue nadal stał na podjeździe. Jego widok przyprawił Woodrowa o chorobliwą wściekłość. Wbiegł jak szalony po schodach na piętro, wziął prysznic, włożył świeżą koszulę i wcale nie poczuł się mniej wściekły. W domu, jak na sobotę, było niezwykle cicho. Kiedy wyrzwał przez okno łazienki, zrozumiał dlaczego. Donohue, Justin, Gloria i chłopcy siedzieli w ogrodzie przy stole i grali w monopol. Woodrow nie lubił gier planszowych, a do monopolu żywił niedającą się wytłumaczyć nienawiść, podobnie jak do "przyjaciół" i wszystkich innych członków rozbudowanej nad miarę brytyjskiej społeczności wywiadowczej. Co to u diabła ma znaczyć, przychodzi tu, skoro parę minut temu powiedziałem mu, żeby trzymał się, do cholery, z daleka? I co to za mąż, który wesoło gra sobie w monopol parę dni po tym, jak zarznięto mu żonę? Woodrow i Gloria często powtarzali chińskie przysłowie, że gość jak ryba - zaczyna cuchnąć po trzech dniach. Ale Justin, dla Głorii, z dnia na dzień pachniał coraz przyjemniej.

Woodrow zszedł na dół i spojrzał przez okno kuchni. W sobotę po południu nie ma służby. Jak przyjemnie zostać we własnym towarzystwie, kochanie. Tyle że to nie jest własne grono, to ich towarzystwo. A ty wyglądasz na znacznie bardziej szczęśliwą, kiedy nadskakuje ci dwóch podstarzałych facetów, niż kiedy jesteś ze mną.

Justin wylądował pionkiem na cudzej uliczce i wypłacał stos pieniędzy za wynajem, Gloria i chłopcy pohukiwali z zachwytem, a Donohue zapewnił, że to był najwyższy czas. Justin miał ten swój idiotyczny słomiany ka-

pelusz, który, jak wszystko, co nosił, pasował do niego doskonale. Woodrow napełnił czajnik i postawił go na gazie. Zaniose im herbatę, żeby wiedzieli, że wróciłem - chyba że są sobą tak zajęci, że mnie nie zauważą. Zmienił zdanie, żwawym krokiem wyszedł do ogrodu i podszedł do stolika.

- Justinie, przepraszam, że się wtrącam. Czy moglibyśmy zamienić słówko? - A do pozostałych, własnej rodziny, gapiącej się na niego, jakby zgwałcił pokojówkę: - Nie chcę wam przerywać, kochana paczko. To zajmie parę minut. Kto wygrywa?

- Nikt - odpowiedziała Gloria kąśliwie, a Donohue uśmiechnął się głupkowato.

Poszli do celi Justina. Gdyby ogród nie był zajęty, Woodrow wolałby rozmawiać tam. Ale było, jak było i stali naprzeciw siebie w ponurej sypialni, torba Tessy - torba ojca Tessy - spoczywała za kratą. Moja piwniczka z winami. On ma klucz. Jej szacowna torba po ojcu. Ale kiedy zaczął mówić, spostrzegł z niepokojem, że otoczenie się zmieniło. Zamiast żelaznego łóżka stało inkrustowane biurko, które tak lubiła jej matka. A z sufitu wyłoniły się fałszywe belki sufitowe. Przed francuskim oknem zobaczył nagą postać Tessy. Zmusił się do powrotu do rzeczywistości i iluzja przysła.

- Justinie.

- Tak, Sandy.

Ale po raz drugi nagle postanowił uniknąć konfrontacji, którą sobie zaplanował.

- Jedno z lokalnych pisemek prowadzi swego rodzaju listę przyjaciół Tessy.

- To ładnie z ich strony.

- Jest tam mnóstwo jednoznacznych wzmianek o Bluhmie. Sugestie, że osobiście odebrał poród. Jakieś niezbyt ukryte aluzje, że dziecko mogło być również jego. Przykro mi.

- Masz na myśli Gartha.

- Tak.

Justin mówił napiętym głosem; według Woodrowa brzmiał on równie groźnie, jak jego własny.

- No cóż, takie wnioski ludzie wyciągali od czasu do czasu w ciągu ostatnich miesięcy, Sandy, i w obecnej sytuacji, bez wątpienia będzie tego więcej.

Woodrow dał Justinowi szansę, żeby powiedział, że wnioski te są błędne, ale Justin z niej nie skorzystał. To sprawiło, że Woodrow nacisnął mocniej. Powodowała nim jakaś wewnętrzna, nieczysta siła.

- Sugerują też, że Bluhm ustawił łóżko polowe w sali szpitalnej, żeby ipać obok niej.

- Robiliśmy to na zmianę.
- Słucham?
- Czasem spał na nim Arnold, czasem ja. Robiliśmy to na zmianę, w zależności od zajęć.

- Nie przeszkadza ci to?
- Co ma mi przeszkadzać?
- Że tak się o nich będzie mówić. Że się nią zajmował - najwyraźniej za twoim przyzwoleniem- chociaż ona funkcjonowała w Nairobi jako twoja żona.

- Funkcjonowała? Do diabła, ona była moją żoną!

Woodrow nie liczył się z gniewem Justina bardziej niż z gniewem Cole-ridge'a. Za bardzo był zajęty tłumieniem własnego. Mówił cicho, a w kuchni zdołał pozbyć się części napięcia. Ale wybuch Justina spadł na niego jak grom z jasnego nieba i przestraszył go. Spodziewał się skruchy i, mówiąc szczerze, upokorzenia, a nie oporu.

- Czego właściwie ode mnie chcesz? - zapytał Justin. - Nie rozumiem.

- Muszę wiedzieć wszystko.

- Co wiedzieć? Czy kontrolowałem swoją żonę?

Woodrow tłumaczył się i wycofywał.

- Zrozum, Justinie - to znaczy, spójrz na to moimi oczami - choćby przez chwilę, dobrze? Będzie o tym pisać cała światowa prasa. Mam prawo wiedzieć.

- Co wiedzieć?

- Co takiego robiła Tessa z Bluhmem, że trafi to na pierwsze strony - jutro i przez najbliższe sześć tygodni - zakończył takim tonem, jakby rozczuł się nad sobą.

- A co mieli zrobić?

- Bluhm był jej guru, prawda?

- No i co?

- Wyznawali wspólne poglądy. Śledzili nadużycia. Prawa człowieka, te rzeczy. Bluhm był jakby psem gończym - zgadza się? Albo robili to jego pracodawcy. Więc Tessa... - tracił wątek, a Justin widział to - ...pomagała mu. Całkiem naturalna kolej rzeczy. W danych okolicznościach. Korzystała ze swego prawniczego rozumu.

- Może zechcesz mi powiedzieć, do czego zmierzasz.

- Chodzi o jej papiery. Jej rzeczy. Te, które zabrałeś. Które razem zabraлиśmy.

- Co z nimi?

Woodrow wziął się w garść: jestem twoim zwierzchnikiem, na litość boską, a nie jakimś cholernym petentem. Może obaj weszlibyśmy w swoje role?

- Muszę mieć twoje zapewnienie, że wszelkie papiery, które gromadziła w związku ze swoją działalnością-jako twoja żona, ze statusem dyplomatycznym, z mandatem rządu jej Królewskiej Mości, zostaną przekazane ministerstwu. To dlatego zabrałem cię tutaj w ostatni wtorek. Nie możemy pozwolić, żeby znalazły się w czyichś rękach.

Justin stał bez ruchu. Nie drgnął mu nawet palec, nie zadrżała powieka, gdy Woodrow snuł swoje zakłamanie refleksje. Światło padało na niego od tyłu, stał nieruchomo, jak kiedyś naga Tessa.

- Drugie zapewnienie, które muszę od ciebie otrzymać, jest oczywiste - brnął dalej Woodrow.

- Jakie drugie zapewnienie?

- O twojej dyskrecji. Dotyczy ona wszystkiego, co wiesz o jej działalności -jej agitacji - tak zwanej działalności humanitarnej, która wymknęła nam się spod kontroli.

- Czyjej kontroli?

- Chodzi po prostu o to, że jeśli wpłynęła na wody terytorialne ministerstwa, to jesteś zobowiązany do przestrzegania tajemnicy tak jak każdy z nas. Obawiam się, że takie są rozkazy szefostwa. - Starał się zrobić z tego żart, ale żaden z nich się nie uśmiechnął. - Polecenie Pellegrina.

"A ty jesteś dobrej myśli, prawda, Sandy? Z poprawką na czas próby i fakt, że trzymasz jej męża w pokoju gościnnym?"

Justin wreszcie się odezwał.

- Dziękuję, Sandy. Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Jestem wdzięczny za to, że umożliwiłeś mi wizytę w moim własnym domu. Ale teraz muszę zebrać czynsz na Piccadilly, gdzie, jak mi się zdaje, jestem właścicielem luksusowego hotelu.

Ku zaskoczeniu Woodrowa wrócił do ogrodu, usiadł obok Donohue i podjął grę w miejscu, w którym ją zostawił.

4

Brytyjska policja to barany", tak mówiła Gloria, i jeśli nawet Woodrow nie zgadzał się z nią, nie pokazał tego po sobie. Nawet Porter Coleridge, choć był skąpy w słowach, opisując swoje kontakty z nimi, powiedział, że są zaskakująco kulturalni, jeśli wziąć pod uwagę, jacyz nich gówniarze. "A najmiłsze w nich - donosiła Gloria Elenie ze swojej sypialni, gdy odprowadziła ich do salonu na następne posiedzenie z Justinem - najmiłsze ze wszystkiego,

El, to ich przekonanie, że naprawdę są tutaj, żeby pomóc, a nie przydawać jeszcze więcej cierpienia i wstydu temu biednemu, kochanemu Justinowi. Rob jest naprawdę super- no, naprawdę. El, nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat! Trochę w nim aktora, ale żadnej krzykliwości i okropnie fajnie naśladował Nairobi Blue Boys. A Lesley - co to za kobieta, kochanie, zaskoczyła całe towarzystwo, i to nam pokazuje, jak niewiele wiemy o współczesnej Anglii - ubranie trochę za modne, ale szczerze mówiąc, nigdy byś się nie domyśliła, że nie kończyła tych samych szkół, co my. Na pewno nie po głosie, bo przecież nikt, ale to absolutnie nikt nie ośmieliłby się mówić tak, jak mówi się u nich w domu. W salonie czuła się jak u siebie, bardzo opanowana i pewna siebie, i taka miła, z takim przyjemnym, ciepłym uśmiechem, i ta wczesna siwizna we włosach, którą bardzo rozsądnie zostawiła w spokoju, i to, co Sandy nazywa przyzwoitym spokojem, tak że nie musi się myśleć, co by tu powiedzieć, kiedy robili przerwy w rozmowie z tym biednym Justinem". Jedyny kłopot w tym, że Gloria w ogóle nie miała pojęcia, o czym rozmawiali, bo nie była w stanie wytrzymać całego dnia w kuchni z uchem przyklejonym do okienka na talerze, no przecież nie w obecności służących, prawda, El?

Nie tylko umknęła jej istota rozmowy między Justinem a dwójgim funkcjonariuszy policji. Jeszcze mniej wiedziała, o czym rozmawiali z jej własnym mężem, z tej prostej przyczyny, że nie powiedział jej, że się z nimi spotyka.

Pierwsze słowa, które Woodrow wymienił z dwójgim policjantów były kwintesencją uprzejmości. Policjanci powiedzieli, że rozumieją delikatność swojej misji i nie mają zamiaru kompromitować białej społeczności Nairobi i tak dalej. Woodrow w rewanżu obiecał współpracę całego personelu i wszelką pomoc. Policjanci powiedzieli, że będą informowali Woodrowa na bieżąco o postępach śledztwa, o ile pozwolą na to instrukcje, które dostali w firmie. Woodrow genialnie zauważył, że wszyscy służą tej samej królowej. Jeśli o niej mówi się po imieniu, to i oni mogą mówić sobie po imieniu.

- Więc jak mógłby pan opisać to, czym zajmował się tutaj Justin, w Wysockiej Komisji, proszę pana? - zapytał uprzejmie Rob, ignorując propozycję przejścia na bardziej przyjacielską stopę.

Rob był londyńskim wygą do szpiku kości, nie popuścił. Lesley, która mogłaby być jego starszą, mądrzejszą siostrą, nosiła poręczną torbę. Woodrow pozwolił sobie na żartobliwą myśl, że zawiera ona rzeczy, których Rob mógłby potrzebować, gdyby na chwilę zszedł z trasy -jodynę, tabletki z solą, zapasowe sznurowadła do butów - ale był w niej tylko magnetofon, kasyety i cały zestaw kolorowych notatników i zeszytów.

Woodrow udawał, że się zastanawia. Na czole pojawiła mu się pełna ro/wagi zmarszczka, mówiąca, że mają do czynienia z profesjonalistą.

Cóż, można by zacząć od tego, że był naszym miejscowym Starym Ktończykiem - powiedział i wszyscy uradowali się z tego doskonałego dowcipu. - Zasadniczo, Rob, jest on jednak przedstawicielem Wielkiej Brytanii w EADEC - East African Donors' Effectiveness Committee - Mówił bardzo wyraźnie, żeby Rob zrozumiał mimo swej ograniczonej inteligencji.

- Co robił ten komitet?

- To względnie nowe ciało doradcze w Nairobi, Rob. W jego skład wchodzi przedstawiciele wszystkich państw niosących pomoc w ramach wszelkich akcji humanitarnych dla Afryki Wschodniej. Członkowie komitetu to przedstawiciele ambasad i wysokich komisji każdego z państw-darczyńców; komitet zbiera się co tydzień i składa dwutygodniowe raporty.

- Komu? - zapytał Rob, zapisując.

- Wszystkim państwom-członkom, oczywiście.

- Na temat?

- Temat ujęty jest w nazwie - odparł cierpliwie Woodrow, biorąc poprawkę na maniery chłopca. - Wspiera sprawność czy też skuteczność działalności humanitarnej. W tej pracy skuteczność jest konieczna. Współczucie to rzecz oczywista - dodał z rozbrajającym uśmiechem, który mówił, że przecież nikomu z nas uczucie to nie jest obce. - EADEC zajmuje się drażliwą kwestią, ile z każdego dolara ofiarowanego przez kraje członkowskie dociera do celu i jak dalece agencje, działające w tej branży, wchodzi sobie w drogę i konkurują, marnotrawiąc środki. Komitet, jak my wszyscy, zмага się, niestety, z trzema "R" działalności charytatywnej: z reduplikacją, rywalizacją, racjonalizacją, bilansuje koszty stałe w stosunku do wydajności i... - teraz nastąpił uśmiech belfra, przekazującego proste prawdy swoim uczniakom - wydaje zalecenia wstępne, dość dziwne i niezbyt obowiązujące, skoro - inaczej niż w waszym przypadku, koledzy - nie ma władzy wykonawczej ani nie może wprowadzić swoich zaleceń w życie. - Wytworne pochylenie głowy oznajmiało, że teraz będzie coś poufnego. - Nie jestem pewien, mówiąc między nami, czy był to najlepszy pomysł. Ale komitet jest ukochanym dzieckiem naszego ministra spraw zagranicznych i dobrze koresponduje z żądaniami większej przejrzystości w polityce zagranicznej i oparcia jej o prawa moralności, a także z innymi lekarstwami na wszelkie bolączki naszych czasów, więc robimy, co można, żeby to działało. Są tacy, którzy twierdzą, że to robota dla ONZ. Inni twierdzą, że ONZ i tak już to robi. Jeszcze inni znów mówią, że ONZ po części winna jesttemu schorzeniu. Wybór należy do was. - Pełne dezaprobaty wzruszenie ramion miało potwierdzić jego słowa.

-- Jakiemu schorzeniu? - zapytał Rob.

- EADEC nie ma uprawnień, żeby przeprowadzać dochodzenia na poziomie odbiorców pomocy. Korupcja jest istotnym czynnikiem, który musi być wliczany w koszty, kiedy próbuje się zestawić wydatki i osiągnięcia. Nie należy tego mylić ze stratami, które powstają w sposób naturalny, i z niekompetencją. - Uciekł się do analogii zrozumiałej dla prostego człowieka. - Weźcie, na przykład, naszą kochaną starą brytyjską sieć wodociagową zbudowaną mniej więcej w 1890 roku. Woda wypływa ze zbiorników. Część tej wody, jeśli będziecie mieli szczęście, trafi do waszych kurków. Ale po drodze są przeciekające rury. A jeśli ta woda ofiarowana została *przez* współpracujące z całego serca społeczeństwo, nie można pozwolić, żeby wyciekała na lewo i prawo, prawda? Ci, których posada zależy od kaprysu wyborców, na pewno na to nie pozwolą.

- Z kim kontaktuje się komitet?

- Z dyplomatami średniego szczebla międzynarodowej społeczności działającej w Nairobi. Głównie radcy i powyżej. Kilku pierwszych sekretarzy, ale niewielu. - Pozornie zamyślił się, jakby uznał, że wymaga to szerszego objaśnienia. - EADEC, moim zdaniem, musi trzymać poziom. Z głową w chmurach. Jak by raz pozwoliła się ściągnąć na ziemię, do poziomu pracy w terenie, skończyłaby w charakterze jakiejś czapki nad organizacjami pozarządowymi, gonilaby za własnym ogonem. Bardzo się temu przeciwstawiłem. Krótko mówiąc: EADEC musi działać tutaj, w Nairobi, na miejscu, być świadoma spraw lokalnych, to oczywiste, ale musi też pozostać sztabem ekspertów i zachować bezstronny ogląd spraw. Nad wyraz istotne jest, żeby komitet pozostał - pozwólcie, że zacytuję sam siebie - strefą wolną od emocji. A Justin jest sekretarzem tego komitetu. Zbiera protokoły, zestawia badania i szkicuje dwutygodniowe raporty.

- Tessa nie należała do strefy wolnej od emocji - powiedział Rob po chwili zastanowienia. - O ile wiemy, była przesiąknięta emocjami.

- Obawiam się, że czytałeś za dużo gazet, Rob.

- Nie, nie czytałem. Zajrzałem do jej sprawozdań z terenu. Siedziała w robocie po uszy. W gównie po łokcie, dzień i noc.

- Oczywiście, to było bardzo potrzebne i chwalebne. Ale też bardzo dalekie od obiektywizmu, który jest pierwszym obowiązkiem komitetu, jako międzynarodowego ciała doradczego - powiedział wytwornie Woodrow, przechodząc do porządku nad rynsztokowym językiem rozmówcy, podobnie jak - na innym poziomie - ignorował go u Wysokiego Komisarza.

- Więc szli różnymi drogami - stwierdził Rob rozparty w krześle, uderzając ołówkiem o zęby. - On był obiektywny, ona pełna emocji. On rozgrywał potyczki w bezpiecznym centrum dowodzenia, ona na linii ognia. Teraz rozumiem., Myślę, że już wcześniej to wiedziałem. A co tu robi Bluhm?

W jakim sensie?

Bluhm, Arnold Bluhm. Doktor. Jak się ma do tego planu, do życia lessy i pańskiego?

Woodrow uśmiechnął się lekko, wybacząc mu dziwaczne sformułowanie. Moje życie? Co moje życie miało wspólnego z jej życiem?

- Mamy tu wiele rozmaitych organizacji utrzymywanych przez ofiarodawców, o czym zapewne wiesz. Wspierane są przez różne kraje, zaopatrywane przez wszelkiego rodzaju grupy charytatywne i inne. Nasz dzielny prezydent Moi nie znosi ich wszystkich *en bloc*.

- Dlaczego?

- Bo robią to, co powinien robić jego rząd, gdyby cokolwiek robił. Poza tym, omijają jego system korupcji. Organizacja Bluhma jest skromna, belgijska, wspierana przez osoby prywatne, skoncentrowana na medycynie. Obawiam się, że tylko tyle mogę ci powiedzieć na ten temat - dodał ze szczerością, która miała im udowodnić, że podziela ich ignorancję w tych kwestiach.

Ale ich nie tak łatwo dało się zbyć.

- To jednostka nadzorująca-powiedział krótko Rob. -Jej lekarzejeżdżą po innych organizacjach pozarządowych, wizytują kliniki, sprawdzają diagnozy i korygują je. Na przykład: "a może to nie jest malaria, panie doktorze, a może to rak wątroby?". Potem kontrolują przebieg leczenia. Zajmują się też epidemiologią. A co z tym Leakeyem?

- Mianowicie?

- Bluhm i Tessa jechali do niego - czy tak?

- Podobno.

- Kto to właściwie jest ten Leakey? Co tam trzyma w zanadrzu?

- To legendarny Biały z Afryki. Antropolog i archeolog, pracował u boku swoich rodziców na wschodnich brzegach jeziora Turkana - szukali tam początków ludzkości. Kiedy rodzice umarli, kontynuował ich pracę. Kierował Muzeum Narodowym w Nairobi, a potem przejął ochronę dzikiej przyrody i konserwację.

Ale zrezygnował.

Raczej go wysiudano. To skomplikowana historia.

Ponadto jest cierniem w tyłku Moiego, prawda?

Przeciwstawił się politycznie Moiemu i dostał za to w kość. Teraz, można powiedzieć, odradza się jako bicz na kenijską korupcję. Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy skutecznie upomniały się o jego obecność w rządzie.

Kiedy Rob rozsiadł się wygodnie, kolej przypadła na Lesley. Wrażenie, które Rob wywarł na Quayle'ach, wynikało z różnych stylów pracy obojga

funkcjonariuszy. Rob mówił urywanymi zdaniami, ciężko, jak człowiek, który powstrzymuje emocje. Lesley była wzorem beznamiętności.

- Jakim człowiekiem jest ten Justin? - patrzyła na Woodrowa jak na postać z odległej przeszłości. - Z dała od biura i od tego komitetu? Jakie ma zainteresowania, jaki styl życia prowadzi, kim właściwie jest?

- O mój Boże, a kim my wszyscy jesteśmy?! - zawołał Woodrow, może nieco zbyt teatralnie, bo Rob znów zaczął wybijać rytm ołówkiem na zębach, Lesley uśmiechnęła się cierpliwie, a Woodrow, z czarującą powściągliwością, wyliczył skromną listę cech Justina: zdolny ogrodnik - choć, jeśli już o tym mowa, nie tak znowu zdolny, skoro Tessa straciła dziecko - niczego tak nie ukochał jak grzeczności w grządkach w sobotnie popołudnia; dżentelmen, cokolwiek to znaczy - prawdziwy etończyk, uprzejmy do przesady wobec miejscowych pracowników, facet, któremu można powierzyć obtańcowywanie panien podpierających ściany na dorocznych jublach u Wysokiego Komisarza; po trosze stary kawaler, ale Woodrow nie umie tak od ręki określić, na czym to polega - wedle jego wiedzy nie jest graczem w golfa ani tenisistą, ani myśliwym, ani wędkarzem, nie interesują go zajęcia na świeżym powietrzu poza ogrodnictwem. I oczywiście, jest pierwszej klasy zawodowym dyplomatą - z ogromnym doświadczeniem w pracy w terenie, zna dwa albo trzy języki, jest całkowicie lojalny wobec Londynu - to trochę okrutne, Rob - i nie ze swojej winy odstawiony na półkę, jeśli idzie o awanse.

- Czy zadawał się z podejrzanym towarzystwem albo kimś takim? - zapytała Lesley, zaglądając do notatnika. - Nie widział go pan włóczącego się po podejrzanym klubach, kiedy Tessa wyjeżdżała w teren? - Już samo pytanie brzmiało trochę jak żart. - To chyba nie w jego stylu?

- Nocne kluby? Justin? Cóż za pomysł! Może był w Annabel's, dwadzieścia pięć lat temu. Skąd ci się to wzięło? - Woodrow wybuchnął serdecznym śmiechem. Od dawna nic go tak nie rozbawiło.

Rob z chęcią go oświecił.

- To pomysł naszego szefa. Ma swoje układy w Nairobi. Mówi, że w nocnych klubach można wynajść zbira. Jest taki klub przy River Road, o przecznicy od New Stanley, całkiem blisko. Za pięćset baksów sprzętną, kogo chcesz. Połowa z góry, połowa potem. Według niego w innych klubach też można kogoś znaleźć, ale to już nie ta jakość.

- Czy Justin kochał Tessę? - zapytała Lesley. Woodrow jeszcze się uśmiechał.

W pełnej odprężenia atmosferze, która między nimi zapanowała, pozwolił sobie na gest: wyrzucił do góry oba ramiona i wydał stłumiony okrzyk.

- O Boże! Któż na tym świecie kogo kocha i dlaczego? - A kiedy Lesley nie zareagowała na to pytanie wyjaśnił: - Była piękna. Dowcipna. Młó-

da. On miał czterdziestkę z okładem, kiedy ją spotkał. Wchodził w trudny wiek, był samotny, zadurzony, pragnął gdzieś osiąść. Miłość? To ty powiedziałaś, nie ja.

Ale jeśli było to zaproszenie dla Lesley, żeby wygłosiła własny sąd, zignorowała je. Była - podobnie jak Rob - bardziej zainteresowana subtelną zmianą rysów Woodrowa: naprężoną skórą na policzkach, lekko zaróżowionymi plamkami na karku, bezwiednym marszczeniem podbródka.

- A Justin nie był na nią zły - na przykład o jej prace humanitarne? - zasugerował Rob.

- Dlaczego miałby być zły?

- Nie złościło go, kiedy mu mówiła, jak niektóre zachodnie spółki, w tym brytyjskie, obdzierają Afrykanów - liczą za dużo za usługi techniczne, zarzucają ich przestarzałymi lekarstwami po zawyżonych cenach? Wykorzystują Afrykanów jako ludzkie króliki doświadczalne, żeby wypróbować nowe specyfiki, o czym często się mówi, ale rzadko można tego dowieść?

- Jestem pewien, że Justin był bardzo dumny z jej pracy na niwie pomocy humanitarnej. Wiele z naszych żon ma skłonność do usuwania się w cień. Zaangażowanie się Tessy zmieniło proporcje.

- A więc nie gniewał się na nią - naciskał Rob.

- Po prostu Justin nie jest skłonny do gniewu. Nie tak jak inni. Najwyżej mógł być zakłopotany.

- A czy pan był zakłopotany? Mam na myśli pana jako pracownika Wysokiej Komisji?

- Z jakiego powodu?

- Z powodu jej prac humanitarnych i szczególnych zainteresowań. Czy te zainteresowania były w jakikolwiek sposób sprzeczne z interesami JKM?

Woodrow przybrał swój najbardziej zaskoczony i niewinny wyraz twarzy.

- Rząd Jej Królewskiej Mości nie może być zakłopotany aktami humanitaryzmu, Rob. Powinieneś to wiedzieć.

- Uczymy się tego, panie Woodrow - wtrąciła cicho Lesley. - Jesteśmy owi. - Patrzyła na niego przez chwilę, nawet na sekundę nie przestając się Biło uśmiechać, załadowała notatniki i magnetofon do torby i tłumacząc się pajęciami w mieście, zaproponowała, że wznowią rozmowy jutro o tej sa-fonej porze.

Czy według pana, Tessa zwierzała się komuś? - zapytała niezobowiązującym tonem, kiedy we trójkę zmierzali do drzwi.

- Masz na myśli kogoś poza Bluhmem?

- Raczej chodziło mi o przyjaciółki.

Woodrow zaczął ostentacyjnie przeszukiwać pamięć.

- Nie. Nie, nie sędzę. Nikt konkretny nie przychodzi mi na myśl. Ale przecież to nie ja mogłem o tym wiedzieć, prawda?

- Gdyby to był ktoś z pańskiego personelu? Na przykład Ghita Pearson - pospieszyła Lesley z pomocą.

- Ghita? No, tak, rzeczywiście, Ghita. A zajęli się wami jak trzeba? Macie transport i wszystko? Dobrze.

Minął cały dzień i cała noc, zanim znów przyszli.

Tym razem to Lesley, a nie Rob, rozpoczęła przesłuchanie i prowadziła je z energią sugerującą, że od ostatniego spotkania wydarzyły się jakieś rzeczy.

- Tessa miała przed śmiercią stosunek - oznajmiła radosnym jak poranek głosem, rozkładając swoje utensylia jak dowody rzeczowe w sądzie - ołówki, notatniki, magnetofon, kawałek gumki. - Podejrzewamy gwałt. Nie można tego publikować, ale myślę, że i tak przeczytamy o **tym** w jutrzejszych gazetach. Na razie wzięli tylko tampon i rzucili na niego okiem przez mikroskop, żeby zobaczyć, czy sperma jest żywa. Była martwa, **ale** oni sądzą, że mogła pochodzić od kilku osób. Naszym zdaniem **będą** w stanie nikogo wskazać.

Woodrow opuścił głowę na ręce.

- Musimy czekać, aż wypowiedzą się nasi specje, zanim **będziemy** pewni na sto procent - powiedziała Lesley, przyglądając mu się **uważnie**.

Rob, tak jak wczoraj, nonszalancko stukał ołówkiem w **swoje** wielkie zęby.

- Krew na bluzie Bluhma to krew Tessy - mówiła Lesley **dalej** tym samym szczerym tonem. - To tylko wstęp, niech pan pamięta. **Tutaj** zrobią tylko podstawowe badania.

Woodrow wstał. Często tak czynił na nieoficjalnych **zebraniach**, żeby uczestnicy poczuli się swobodnie. Ociężale podszedł do okna **w drugim** końcu pokoju i udawał, że patrzy na paskudną panoramę miasta. **Słyszał było** grzmoty, a w powietrzu rozchodził się nieuchwytny zapach **napięcia** poprzedzającego magiczne afrykańskie deszcze. Swobodne zachowanie **Woodrowa** kontrastowało z tą atmosferą. Nikt nie był przecież w stanie **dostrzec tych** kilku kropelek potu, które spływały mu spod pach i pełzły jak **tluste owady** wzdłuż żeber.

- Czy ktoś już o tym mówił Quayle'owi? - zapytał i **pomyślał**, a oni pewnie też tak pomyśleli, dlaczego wdowiec po zgwałconej **kobiecie** nagle stał się Quayle'em, a nie po prostu Justinem.

- Doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli to **wyjdzie od** przyjaciela - odparła Lesley.

- Od pana - zaproponował Rob.
- Oczywiście.
- Jest jeszcze taka możliwość -jak mówiła Les - że po drodze miała do czynienia z Arnoldem. Jeśli pan chce, może mu pan o tym wspomnieć, decyzyja należy do pana.

Jakie będzie to ostatnie źdźbło? - zastanawiał się. Co musi się jeszcze zdarzyć, żebym otworzył okno i wyskoczył? Może właśnie tego chciałem od niej: wyciągnij mnie za granicę tego, co jestem w stanie przyjąć.

- My naprawdę lubimy Bluhma - powiedziała Lesley zaczepnym tonem, jakby chciała, żeby Woodrow także polubił Bluhma. - W porządku, spójrzmy na Bluhma jak na bestię w ludzkiej skórze. Tam, skąd pochodzimy, najspokojniejsi ludzie robią najstraszniejsze rzeczy, jeśli zostaną przyparci do muru. Ale kto go przyparł do muru i czy w ogóle ktoś go przyparł? Nikt, chyba że ona.

Lesley przerwała, dając Woodrowowi czas na komentarz, ale on korzystał właśnie z prawa do milczenia.

- Bluhm jest najbliższy tego, co nazywamy dobrym człowiekiem - stwierdziła z uporem, jakby "dobry człowiek" stanowił jakąś definicję, coś jak *homo sapiens*. - Zrobił wiele, naprawę wiele dobrych rzeczy. Nie na pokaz, ale dlatego, że chciał. Ratował życie, ryzykował własne, pracował w strasznych miejscach nie dla pieniędzy, ukrywał ludzi na swoim strychu. Czy pan się z tym nie zgadza?

Czy ona go prowokuje? A może chce tylko, żeby poważny obserwator oświecił ją co do natury związku Tessy i Bluhma?

- Jestem pewien, że dokonał wspaniałych rzeczy - potwierdził Woodrow.

Rob prychnął niecierpliwie i zaczął się niepokojąco wiercić.

- Zapomnijmy o tych rzeczach. A osobiście: lubi go pan czy nie? Po prostu. -I przyjął nową pozycję w fotelu.

- Mój Boże - powiedział Woodrow przez ramię. Tym razem był ostrożny, żeby nie przesadzić z grą, ale pozwolił, żeby w jego głosie pojawiła się nutka irytacji. - Wczoraj miałem podać definicję miłości, teraz sympatii. Coś mi się zdaje, że bawimy się ostatnio w poszukiwanie definicji absolutnych.

- Prosimy o pańską opinię, sir - powiedział Rob.

Może to "sir" sprawiło, że nastrój się zmienił. Podczas pierwszego spotkania mówili "panie Woodrow" albo gdy poczuli się pewnie: "Sandy". Teraz było "sir". Uświadomiło to Woodrowowi, że tych dwoje młodszych funkcjonariuszy policji nie jest jego kolegami ani przyjaciółmi, że są to przedstawiciele z niższych klas wtykający nosy do ekskluzywnego klubu, który przez ostatnich siedemnaście lat dawał mu pozycję społeczną i ochronę. Założył

ręce z tyłu, wyprostował barki i odwrócił się na pięcie, żeby spojrzeć im w twarz.

- Arnold Bluhm jest przekonujący - stwierdził, patrząc na nich z góry przez całą długość pokoju. - Ma prezencję, swego rodzaju wdzięk. Jest dowcipny, jeśli lubi się ten rodzaj humoru. Ma też swego rodzaju aurę może sprawia to ta jego mała śliczna bródka. Dla osób wrażliwych jest afrykańskim bohaterem ludowym. - Odwrócił się, jakby czekał, że zwiną manatki i pójdą sobie.

- A dla niewrażliwych? - zapytała Lesley, korzystając z faktu, że stoi tyłem, żeby dokładnie mu się przypatrzeć: ręce nonszalancko założone na plecach, kolano lekko uniesione w samoobronie.

- O, chyba jesteśmy w mniejszości - odparł wymijająco Woodrow.

- Myślę, że to musiało być dla pana bardzo niepokojące - i denerwujące, przy pańskiej pozycji i odpowiedzialności jako szefa **kancelarii** gdy widział pan, jak to wszystko dzieje się pod pańskim nosem, **a pan** nie może nic zrobić, żeby położyć temu kres. Chodzi mi o to, że nie **mógł pan** podejść po prostu do Justina i powiedzieć: "Popatrz na tego czarnego **faceta z bródką**, on się zadaje z twoją żoną". A może pan mógł?

- Jeśli skandal grozi zszarganiem dobrego imienia misji, **mam** prawo - a raczej jestem zobowiązany - zareagować osobiście.

- I zareagował pan? - zapytała Lesley.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak.

- Rozmawiał pan z Justinem? Czy może z Tessą?

- Problem polegał na tym, że jej stosunki z Bluhmem **miały iwego** rodzaju przykrywkę - odparł Woodrow, szukając sposobu, **żeby ominąć** pytanie. - Ten człowiek jest wybitnym lekarzem. **Ma dobre notowania** w społeczności działaczy humanitarnych. Tessa była jego **oddaną WotObtariuszka**. Pozornie wszystko wyglądało niewinnie. Nie można **tak DO SIMtł** się przyczepić i oskarżyć ich bez dowodów o zdradę małżeńską, **MÓMa było** tylko powiedzieć - wysyłacie fałszywe sygnały, więc proszę, **bądsoltflfeche**. ostrożniejsi. 'H'-'

- Komu pan to powiedział? - zapytała Lesley, zapisując **OSS W IOtatniku**.

- To nie takie proste. Było kilka epizodów z tym **związanymi**, kilka rozmów.

Odchyliła się do tyłu, sprawdzając przy okazji, czy **kaseta W** magnetofonie obraca się.

- Pomiędzy panem a Tessą?

- Tessa była fantastycznie zaprojektowaną maszyną, **której** brakowało połowy trybików. Zanim straciła dziecko, była tylko trochę, **dzika**. No i do brze. - Woodrow miał właśnie wyjawić rewelacje na **temat absolutu**, **ale** przy-

omniał sobie Portera Coleridge'a, który siedząc w swoim gabinecie, z wściekłością cytował instrukcje od Pellegrina. - Ale potem - muszą to powiedzieć z ogromnym żalem - wielu z nas wytrąciła z równowagi.

- Była nimfomanką? - zapytał Rob.

- Obawiam się, że to pytanie przerasta moją pozycję na liście płac - odparł lodowato Woodrow.

- Powiedzmy więc, że flirtowała w oburzający sposób - zasugerowała Lesley. - Z każdym.

- Powiedzmy. - Nikt nie mógł być bardziej bezstronny. - Ale to trudno stwierdzić, prawda? Śliczna dziewczyna, twierdzą, starszy mąż... Czy flirtowała? A może po prostu była sobą, dobrze się bawiła? Jeśli nosi głębokie dekolty i falbanki ludzie mówią, że jest łatwa. Jeśli nie, powiedzą, że to nudziara. Takie jest białe Nairobi. Chyba wszędzie tak jest. Nie mogę tego stwierdzić, nie jestem ekspertem.

- A z panem flirtowała? - zapytał Rob, po kolejnym szaleńczym werblu ołówkiem na zębach.

- Już państwu mówiłem. Nie było można stwierdzić, czy flirtuje, czy też po prostu dobrze się bawi - odparł Woodrow, osiagając nieznaną do tej pory wyżynę układności.

- Więc, hm, czy aby przypadkiem nie odpowiedział pan troszeczkę flirtem na flirt? - dopytywał się Rob. - Niech pan tak nie patrzy, panie Woodrow. Ma pan czterdziestkę z okładem, jest pan w okresie andropauzy, zbliża się pan do trzeciego wieku, podobnie jak Justin. Miał pan na nią chętkę, prawda? Idę o zakład, że ja bym miał.

Woodrow doszedł do siebie tak szybko, że właściwie nie zdążył zdać sobie z tego sprawy.

- Nie myślałem o niczym innym. Tessa, Tessa, dniem i nocą. Obsesja na jej punkcie. Zapytajcie kogokolwiek.

- Już pytaliśmy - odparł Rob.

Następnego ranka zapracowanemu Woodrowowi zdało się, że jego śledczy aż nieprzyzwoicie się spieszyli, żeby go dopaść. Rob postawił magnetofon na stole, Lesley otworzyła wielki czerwony notatnik na stronicznej taśmie i zaczęła przesłuchiwanie.

- Mamy powody, twierdzić, że odwiedził pan Tessę w nairobińskim szpitalu tuż po tym, jak straciła dziecko, czy to się zgadza?

Pod Woodrowem zatrzęsła się ziemia. Kto, na Boga, im to powiedział? Justin? Nie mógł tego zrobić, jeszcze się z nim nie widzieli.

- Wyłączcie wszystko - odezwał się ostro.

Lesley podniosła głowę. Rob wyprostował członki i -jakby miał zamiar rozpląszyć sobie twarz dłonią - podniósł długą rękę i przytknął ją do nosa, potem przyjrzał się uważnie Woodrowowi znad koniuszków palców.

- Czy to ma być temat na dzisiejszy ranek? - zapytał Woodrow.

- Jeden z kilku - przyznała Lesley.

- Więc powiedzcie mi - biorąc pod uwagę, że żadne z nas nie ma czasu - co, u diabła, odwiedziny u Tessy w szpitalu mają wspólnego z poszukiwaniami zabójcy. - Co, jak rozumiem, jest przyczyną waszego tutaj pobytu?

- Szukamy motywu - powiedziała Lesley.

- Powiedzieliście, że jeden już macie. Gwałt.

- Gwałt nie pasuje do całości. Nie jest motywem, ale efektem ubocznym. Może był sfingowany, żebyśmy myśleli, że to przypadkowe, a nie zaplanowane zabójstwo.

- Z premedytacją - wyjaśnił Rob, wpatrując się nieobecny wzrokiem w Woodrowa. - Nazywamy to robotą firmową.

Na te słowa, przez krótką, ale straszną chwilę, Woodrow nie myślał absolutnie o niczym. Potem przyszło mu do głowy słowo "firmowa". Dlaczego powiedział "firmowa"?

Firmowa, bo dokonana przez firmę? Oburzające! Za daleko posunięte, żeby wytrawny dyplomata mógł wziąć to pod uwagę!

Potem jego umysł stał się jak pusty ekran. Żadne słowa, nawet najbardziej banalne i pozbawione znaczenia, nie przychodziły mu na ratunek. Widział siebie, jeśli cokolwiek widział, jako swego rodzaju komputer, wyszukujący, gromadzący, a potem odrzucający ciąg głęboko zaszyfrowanych skojarzeń, wydobywających się z zastrzeżonej części mózgu.

To przecież nie tak, to było przypadkowe. Nieplanowane. Święto krwi w afrykańskim stylu.

- Więc co sprowadziło pana do szpitala? - usłyszał głos Lesley, gdy zaczął odbierać ścieżkę dźwiękową. - Dlaczego poszedł pan odwiedzić Tessę po tym, jak straciła dziecko?

- Bo mnie o to prosiła. Za pośrednictwem męża. Leżało to w moich kompetencjach jako przełożonego Justina.

- Ktoś jeszcze był na tej imprezie?

- Nikt, wedle tego, co wiem.

- Może Ghita?

- Masz na myśli Ghitę Pearson?

- A zna pan jakąś inną?

- Ghity Pearson nie było.

- Więc po prostu pan i Tessa - pomyślała na głos Lesley, zapisując to w notatniku. - Jaki związek miał z tym fakt, że był pan zwierznikiem jej męża?

- Niepokoił ją stan Justina i chciała się upewnić, że wszystko z nim w porządku - odparł Woodrow, z rozmysłem zwlekając z wypowiedzią, żeby nie wpaść w szybki rytm zadawanych przez nią pytań. - Staralem się nakłonić Justina, żeby wziął sobie wolne, ale on wolał zostać w pracy. Zbliżała się coroczna konferencja ministrów EADEC i starał się do niej przygotować. Powiedziałem jej o tym i obiecałem, że będę miał na niego oko.

- Miała ze sobą laptop? - wtrącił Rob.

- Słucham?

- Czy to takie trudne? Czy miała ze sobą laptop? - obok, na stole, pod łóżkiem. Na łóżku? Jej laptop. Tessa uwielbiała swój laptop. Wysyłała z niego maile także do Bluhma. Wysyłała maile do Ghity. Wysyłała maile do chorego dziecka we Włoszech, którym się opiekowała, i do swojego byłego chłopaka w Londynie. Zасыpywała mailami pół świata. Czy miała ze sobą laptop?

- Dziękuję za jasne postawienie sprawy. Nie, nie widziałem laptopa.

- A notatnik?

Waha się, przeszukuje pamięć i układa kłamstwo.

- Nie widziałem.

- A był jakiś, którego pan nie widział?

Woodrow nie raczył odpowiedzieć. Rob rozparł się i patrzył w sufit, udając odprężenie.

- A jaka ona była? - zapytał.

- Nikt nie czuje się dobrze po urodzeniu martwego dziecka.

- Więc jak się czuła?

- Słaba. Rozkojarzona. Załamana.

I tylko o tym mówiliście? O Justinie. Jej ukochanym małżonku.

- O ile pamiętam, tak.

Jak długo pan z nią przebywał?

- Nie wiem dokładnie, ale chyba jakieś dwadzieścia minut. To jasne, że nie chciałem jej przemęczać.

- Więc przez dwadzieścia minut mówił pan o Justinie. Czy zjada owsiankę i tak dalej.

- Rozmowa się rwała - odpowiedział Woodrow, czerwieniąc się. - Gdy ktoś ma gorączkę, jest wyczerpany i poronił dziecko, trudno o błyskotliwą wymianę zdań.

Był przy tym ktoś jeszcze?

- Mówiłem już, że poszedłem sam.

- Nie o to pytam. Pytam, czy był tam ktoś jeszcze.

- Kto mianowicie?

- Mianowicie ktokolwiek. Pielęgniarka, lekarz. Inny gość, jej przyjaciel. Przyjaciółka. Mężczyzna. Afrykański przyjaciel. Jak doktor Arnold Bluhm, na przykład. Dlaczego muszę to z pana wyciągać?

Na dowód irytacji, Rob rozprostował się jak oszczepnik, najpierw wyrzucając rękę w powietrze, potem zawile przebierając długimi nogami. Tymczasem Woodrow znów ostentacyjnie grzebał w pamięci: ściągnął brwi, przybrał zabawny i zarazem smutny wyraz twarzy.

- Skoro już o tym wspomniałeś, Rob, to owszem, masz rację. Jakie to sprytne z twojej strony. Bluhm tam był. Przywitaliśmy się i wyszedł. Sądzę, że widzieliśmy się jakieś dwadzieścia sekund. Jak dla ciebie, niech będzie dwadzieścia pięć.

Ale ta niedbała poza kosztowała go wiele. Kto, do diabła, powiedział im, że Bluhm był przy jej łóżku? Obawy szły dalej. Sięgały najciemniejszych zakamarków jego drugiego umysłu, znów dotykały łańcucha przyczynowo-skutkowego, którego nie chciał przyjąć do wiadomości, a Porter Coleridge z wściekłością kazał mu o nim zapomnieć.

- Więc jak pan sądzi, co Bluhm tam robił?

- Nie wyjaśnił tego, ona też. Jest lekarzem, prawda? Nie mówiąc o innych rzeczach.

- A co robiła Tessa?

- Leżała w łóżku. A co miała, waszym zdaniem, robić? - odparł, tracąc na moment głowę. - Grać w pchełki?

Rob wyprostował długie nogi i podziwiał swoje wielkie stopy, jakby się opalał.

- Nie wiem - powiedział. - Co, naszym zdaniem, miała robić, Les? - zapytał koleżankę. - Na pewno nie były to pchełki. Leżała w łóżku. Co robiła? Sami się o to pytamy.

- Karmiła czarne niemowlę, tak bym pomyślała - powiedziała Lesley. - Jego matka umierała.

Przez chwilę jedynymi dźwiękami słyszalnymi w pokoju były odgłosy czyichś kroków na korytarzu i samochody pędzące na złamanie karku po mieście z drugiej strony doliny. Rob wyciągnął patykowatą rękę i wyłączył magnetofon.

- Jak pan zauważył, sir, nie mamy dużo czasu - powiedział uprzejmie. - Więc proszę, aby zechciał się pan nie opierdalać i nie tracić go, unikając odpowiedzi i traktując nas jak gówna. - Włączył ponownie magnetofon. - Panie Woodrow, zechce pan opowiedzieć własnymi słowami o kobiecie umierającej na sali i jej maleńkim chłopczyku - powiedział. - Na co umarła, kto usiłował ją wyleczyć i w jaki sposób, i o wszystkim, co mogłoby się z tym wiązać.

Zapędzony w kozi róg, pełen urazy w swojej samotności, Woodrow instynktownie sięgnął po wsparcie swojego szefa tylko po to, żeby mu przypomniało, że Coleridge jest nieosiągalny. Ostatniego wieczora, gdy Woodrow

próbował do niego dotrzeć, Mildren powiadomił go, że mistrz zamknął się z ambasadorem amerykańskim i można go wywołać tylko w razie niebezpieczeństwa. Tego ranka Coleridge ponoć "prowadził interesy z rezydencji".

5

Woodrowa niełatwo było zbić z tropu. W swojej dyplomatycznej karierze musiał znieść niejedną upokarzającą sytuację i z doświadczenia wiedział, że najzdrowiej udawać, że wszystko jest w porządku. Zastosował się do tej lekcji i w krótkich szorstkich zdaniach przekazał ograniczoną do minimum interpretację sceny z sali szpitalnej. "Tak - przyznał, lekko zaskoczony, że mogą być tak zainteresowani szczegółami porodu Tessy - jak przez mgłę pamięta, że sąsiadka Tessy spała albo była w sypialni. A że nie mogła w związku z tym karmić swojego dziecka, Tessa wzięła na siebie obowiązki mamki. Strata Tessy była zyskiem dla tego dziecka".

- Czy chora kobieta miała jakieś nazwisko? - zapytała Lesley.
- Nie przypominam sobie.
- Czy ktoś był z tą chorą kobietą -jakiś krewny albo przyjaciel?
- Jej brat. Chłopak z jej wioski. Tak powiedziała Tessa, ale biorąc pod uwagę jej stan, nie sądzę, żeby była godnym zaufania świadkiem.
- Zna pan nazwisko tego brata?
- Nie.
- Albo nazwę wsi?
- Nie.

Czy Tessa powiedziała panu, co się stało tej kobiecie?

- Większość z tego, co mówiła, było niespójne.
- Więc reszta była spójna - zauważył Rob. Stawał się niesamowicie wyrozumiały. Jego dyndające kończyny znalazły punkt oparcia. Nagle zaczął mieć dużo czasu na dręczenie bliźnich. - A w tych momentach, kiedy była komunikatywna, co powiedziała panu o chorej kobiecie leżącej po przeciwnej stronie sali, panie Woodrow?
- Że umiera. Że jej choroba, której nie nazwała, wzięła się z warunków społecznych, w których żyła.
- AIDS?
- Tego nie powiedziała.
- To jest różnica.
- Zgadza się.

- Czy ktoś leczył kobietę z tej nienazwanej choroby?
- Przypuszczalnie tak. Bo niby po co leżała w szpitalu?
- Lorbeer?
- Kto?
- Lorbeer. - Rob przeliterował. - Lor jak Loretto cudami słynne, beer jak piwo, Heineken, holenderski browarek. Rudowłosy albo blond. Po pięćdziesiątce. Tłusty.

- Nigdy nie słyszałem o tym człowieku - odparł Woodrow z absolutnym przekonaniem na twarzy, a wnętrzności mu stwardniały.

- Czy widział pan, jak ktoś ją leczył?

- Nie.

- Czy wie pan, jak była leczona? Czym?

- Nie.

- Nigdy pan nie widział, żeby ktoś podawał jej pigułkę albo coś jej wstrzykiwał?

- Od razu mówię: nikt ze szpitalnego personelu nie pojawił się na sali podczas mojej bytności.

Rob odkrył nową przyjemność - znalazł czas na kontemplowanie tej odpowiedzi i swojej na nią repliki.

- A co z nieszpitalnym personelem?

- Nie podczas mojej bytności.

- A gdy pana nie było?

- Skąd mam to wiedzieć?

- Od Tessy. Z tego, co powiedziała panu, kiedy była komunikatywna - wyjaśnił Rob i uśmiechnął się tak szeroko, że jego dobry humor stał się jakby wstępem do dowcipu, który jeszcze nie został opowiedziany.

- Czy ta chora kobieta w sali, gdzie leżała Tessa i której dziecko karmiła, była przez kogokolwiek leczona lub badana, wedle tego, co mówiła Tessa? - zapytał cierpliwie, układając wyrazy tak, żeby pasowały do jakiejś nienazwanej gry słownej. - Czy tę chorą kobietę ktoś odwiedzał, albo badał, albo obserwował, albo leczył -ktokolwiek, mężczyzna, kobieta, czarny albo biały, jej lekarze, pielęgniarki, nielekarze, obcy, pracownicy szpitala, salowe, goście albo zwyczajni ludzie? - Znów się rozsiadł: wyrzucił z siebie wszystko.

Woodrow zaczął pojmować skalę zagrożenia. Co jeszcze wiedzą, czego jeszcze nie ujawnili? Nazwisko Lorbeer huczało mu w głowie jak zwiastun ostatniej godziny. Jakimi jeszcze nazwiskami go zarzuca? Jak długo może zaprzeczać i nie poddać się? Co powiedział im Coleridge? Dlaczego odmawia mu pociechy, nie chce z nim wejść w zmowę? A może wyznał wszystko, za plecami Woodrowa?

- Opowiedziała jakąś historię o kobiecie, którą odwiedziły małe ludziki w białych płaszczach - odparł pogardliwie. - Uznałem, że to się jej przyśniło. Albo że śniła na jawie, kiedy to mówiła. Nie dałem temu wiary. - I wy też nie powinniście, zabrzmiało między wierszami.

- Dlaczego białe płaszcze ją odwiedzały? W tej historii Tessy, w tym, co pan nazwał snem.

- Bo ludzie w białych kitlach zabili tę kobietę. W pewnym momencie nazwała ich zbiegami okoliczności. - Postanowił powiedzieć prawdę i wytknąć ją. - Zdaje się, że nazwała ich też chciwcami. Chcieli ją wyleczyć, ale nie byli w stanie. Cała historia był stekiem bredni.

- Jak chcieli ją wyleczyć?

- Tego nie mówiła.

- Więc jak ją zabili?

- Obawiam się, że i w tym punkcie nie wyraziła się jasno.

- Zapisala to?

- Tę historię? Jak mogła to zrobić?

- Czy robiła notatki? Czy odczytała je panu?

- Już mówiłem. Wedle mojej wiedzy, nie miała notatnika.

Rob przechylił długą głowę na bok, żeby popatrzeć na Woodrowa pod innym kątem, być może bardziej znaczącym.

- Arnold Bluhm nie uważa, że to był stek bzdur. Nie sądzi, że była niekomunikatywna. Arnold jest pewien, że trafiała w dziesiątkę we wszystkim, co mówiła. Prawda, Les?

Krew odpłynęła Woodrowowi z twarzy, czuł to. Ale nawet po szoku, jaki wywołały ich słowa, pozostał tak opanowany, jak każdy wytrawny dyplomata, który musi bronić swoich pozycji. Jakoś udało mu się wydobyć głos. I oburzenie.

- Przepraszam. Czy chcecie powiedzieć, że znaleźliście Bluhma? To oburzające.

- Wolałby pan, żebyśmy go nie znaleźli? - zapytał Rob, zaskoczony.

- Niczego takiego nie miałem na myśli. Chodzi mi o to, że jesteście tutaj na pewnych warunkach i jeśli znaleźliście Bluhma albo rozmawialiście z nim, to macie obowiązek podzielić się tą wiedzą z Wysoką Komisją.

Ale Rob już kręcił przecząco głową.

- Nie znaleźliśmy go wcale, panie Woodrow. Chcielibyśmy. Ale znaleźliśmy trochę jego papierów. Różne użyteczne fragmenty, by tak rzec, leżące tu i ówdzie u niego w mieszkaniu. Niestety, nie ma tam żadnych sensacji. Kilka notatek na temat przypadków chorobowych, które, jak sadzę, mogłyby

kogoś zainteresować. Kopie dziwnych niegrzecznych listów, które doktor wysyłał do tych czy innych firm, laboratoriów albo klinik na całym świecie. I to wszystko, prawda, Les?

- Myślę, że kłamstwa w takich sprawach byłyby przesadą - przyznała Lesley. - Prędzej zbiera się te informacje do przyszłego użytku. Jedną część znaleźliśmy przyklejoną z tyłu obrazu, drugą pod wanną. Zajęło to nam cały dzień. No, powiedzmy, większość dnia.

Polizała palec i przewróciła kartkę w notesie.

- I to, że sprawcy przeoczyli jego samochód - przypomniał jej Rob.

- Zamienili mieszkanie w śmietnik - zgodziła się Lesley. - Żadnej sztuki, wszystko na łapu capu. Wie pan, to samo mamy ostatnio w Londynie. Kiedy tylko się ogłosi, że ktoś umarł albo zaginął, łajdaki są już tam tego samego ranka i wszystko wybebeszają. Nasi ludzie z prewencji są tym trochę zaniepokojeni. Pozwoli pan, że przedstawimy panu jeszcze kilka nazwisk, panie Woodrow? - zapytała i utkwiała w nim szare oczy.

- Czujcie się jak u siebie w domu - powiedział, jakby zachowywali się inaczej.

- Kovacs, prawdopodobnie z Węgier, kobieta, młoda. Kruczoczarne włosy, długie nogi - on poda za chwile jej najważniejsze dane - imię nieznanne, naukowiec.

- Zapamiętałby pan ją na pewno - powiedział Rob.

- Chyba jej nie znam.

- Emrich. Doktor medycyny, naukowiec, studia w Petersburgu, w Lipsku uzyskuje niemiecki tytuł naukowy, prowadzi badania w Gdańsku. Kobieta. Nie mamy rysopisu. Mówi panu coś to nazwisko?

- Nigdy w życiu nie słyszałem o takiej osobie. Nie znam nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi, nikogo, kto nosiłby takie nazwisko, nikogo o takim pochodzeniu ani o takich kwalifikacjach.

- Blimey. Oczywiście pan o niej nie słyszał, prawda?

- I nasz stary przyjaciel Lorbeer - wtrąciła przepraszająco Lesley. - Imię nieznanne, pochodzenie nieznanne. Prawdopodobnie w połowie Holender albo Bur, kwalifikacje także pozostają zagadką. Cytujemy z notatek Bluhma, na tym polega problem, więc jesteśmy zdani na jego łaskę i niełaskę, jeśli można tak powiedzieć. Te trzy nazwiska były tam połączone w jakiś schemat działania ze szcztakowymi opisami w "dymkach". Lorbeer i dwie kobiety. Lorbeer, Emrich, Kovacs. Przynieśliśmy panu kopię, ale ostatnio trochę niechętnie korzystamy z kopiarek. Wie pan, jaka jest tutejsza policja. A jeśli chodzi o kserokopiarnie na mieście - cóż, nie powierzylibyśmy im kopiowania książeczki do nabożeństwa, prawda, Rob?

- Skorzystajcie z naszych - powiedział nieco za szybko Woodrow.

Nastąpiła pełna namysłu cisza, a Woodrow odczuł ją tak, jakby ogłuchł, jakby nie przejeżdżały samochody, nie śpiewały ptaki i nikt nie szedł korytarze m za drzwiami. Przerwała ją Lesley perorą o Lorbeerze jako o człowieku, którego bardzo chcieliby przesłuchać.

- Lorbeer to niewiadoma. Uważa się, że siedzi w przemyśle farmaceutycznym. Uważa się, że przyjeżdżał do Nairobi kilkakrotnie w tym roku, ale Kenijczycy jakoś nie są w stanie go namierzyć. Uważa się, że odwiedzał salę Tessy w szpitalu Uhuru, podczas jej bytności. Bykowały, to jeszcze jeden opis, którym dysponujemy. Jest pan pewien, że nigdy nie natknął się pan na rudowłosego medyka Lorbeera o bykowatym wyglądzie, może to był jakiś doktor? Może w którejś z pańskich podróży?

- Nigdy nie słyszałem o tym człowieku. Ani o nikim podobnym do niego.
- Właściwie to wiemy o nim całkiem sporo - odezwał się z boku Rob.
- Tessa go znała. Bluhm też - powiedziała Lesley.
- Ale to jeszcze nie znaczy, że ja go znałem.
- Więc co to jest biała zaraza? - zapytał Rob.
- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Odeszli tak, jak za poprzednim razem: zostawiając coraz bardziej rozrastający się znak zapytania.

Ledwie się od nich uwolnił, wybrał numer wewnętrzny do Coleridge'a i ku swej uldze usłyszał jego głos.

- Masz minutkę?
- Chyba tak.

Zastał go za biurkiem, z ręką przyciśniętą do czoła. Coleridge nosił żółte szelki w koniki. Wyraz twarzy miał nieufny i wojowniczy.

- Muszę się upewnić, że mamy w tym wszystkim wsparcie Londynu - zaczął Woodrow, nie siadając.

- My, to znaczy - kto?
- Ty i ja.
- A przez Londyn rozumiesz Pellegrina, o ile pojmuję?
- A co? Czy coś się zmieniło?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- A ma się zmienić?
- Nie, żeby o tym wiedział.
- Hm, a czy Pellegrin ma poparcie? Ujmijmy to w ten sposób.
- O, Bernard zawsze ma wsparcie.
Więc jak: dalej tak gramy, czy nie?
- Masz na myśli, czy mamy dalej kłamać? Oczywiście, że tak.

- No to dlaczego nie możemy uzgodnić tego... tego, co mamy mówić?
- Dobra uwaga. Nie wiem. Gdybym był pobożny, to bym się modlił.
Ale to wszystko jest popierdolone. Dziewczyna nie żyje. To jedna sprawa.
A my żyjemy. I to druga część.

- Więc powiedziałeś im prawdę?
- Nie, nie, dobry Boże, nie. Pamięć mam jak sito. Strasznie mi przykro.
- Masz zamiar powiedzieć im prawdę?
- Im? Nie, nie. Nigdy. Głupoty.
- Więc dlaczego nie możemy uzgodnić naszych wersji?
- Właśnie. Dlaczego? Doprawdy, dlaczego nie? Ująłeś to jasno. Co nas powstrzymuje?

- Chodzi o pańską wizytę w szpitalu Uhuru - zaczęła rzeczowo Lesley.
- Wydawało mi się, że przeszliśmy przez to podczas ostatniej sesji.
- O inną pańską wizytę. Tę drugą. Trochę później. Jakby kontynuację.
- Kontynuację? Kontynuację czego?
- Najwyraźniej coś jej pan obiecał.
- O czym mówisz? Nie rozumiem.

Ale Rob rozumiał ją doskonale i powiedział to.

- Według mnie, mówi całkiem dobrą angielszczyzną, panie Woodrow.
Czy spotkał się pan drugi raz z Tessą w szpitalu? Na przykład jakieś cztery tygodnie po tym, jak została wypisana? Na przykład spotkał ją pan w poczekalni kliniki położniczej, gdzie miała umówioną wizytę? Bo tak jest napisane w notatkach Arnolda, a jak do tej pory on się nie mylił, a przynajmniej my, ignoranci, nie zauważyliśmy żadnej pomyłki.

Arnold, pomyślał Woodrow. Już nie Bluhm.

Żołnierski syn bił się z myślami, chłodno rozważał trudną sytuację, a tymczasem w jego pamięci rozwijała się scena z zatłoczonego szpitala, jakby to zdarzyło się komuś innemu. Tessa niesie kolorową torbę z rączkami z trzciny, którą on widzi po raz pierwszy, ale od tej chwili aż do końca jej krótkiego życia w jego umyśle ta torba staje się nieodłączną częścią jej obrazu. Ten obraz powstał, kiedy leżała w szpitalu, jej martwe dziecko było w kostnicy, umierająca kobieta leżała naprzeciwko niej, a dziecko umierającej kobiety ssało jej pierś. Teraz ma mniej makijażu, krótsze włosy i patrzy wilkiem, a spojrzenie to nie tak bardzo się różni od pełnego niedowierzania wzroku, którym Lesley patrzy na niego w tej chwili, czekając na zredagowaną wersję wydarzeń. Światło, jak wszędzie w tym szpitalu, migocze. Szerokie pasma słonecznego blasku rozpoławiają półmrok wnętrza. Między belkami stropu szybują małe ptaszki. Tessa stoi oparta plecami o krzywą ścianę, obok cuch-

nącej kawiarni z pomarańczowymi krzesłami. Tłum przelewa się przez promienie słoneczne, ale on spostrzega ją natychmiast. Ona trzyma kolorową torbę w obu rękach opartych o podbrzusze i stoi tak, jak zwykły stawać w drzwiach dziwki, kiedy był młody i wystraszony. Ściana jest zacieniona, bo promienie słoneczne nie sięgają kątów pomieszczenia i może właśnie dlatego Tessa wybrała sobie to właśnie miejsce.

- Powiedziałeś, że mnie wysłuchasz, kiedy będę silniejsza - przypomniała mu niskim, szorstkim głosem, który z trudem rozpoznawał.

Rozmawiali ze sobą po raz pierwszy, odkąd spotkali się w sali szpitalnej. Widział jej wargi, takie kruche, bez zwartości, którą nadaje im pomadka. Widział namiętność w jej szarych oczach i to go przeraziło tak, jak przerażają go wszelkie pasje, nie wyłączając jego własnej.

- Spotkanie, o którym mówicie, nie było spotkaniem towarzyskim - powiedział do Roba, unikając niestrudzonego wzroku Lesley. - To było spotkanie zawodowe. Tessa utrzymywała, że natknęła się na jakieś dokumenty, które, o ile były prawdziwe, stanowiły materiał drażliwy politycznie. Poprosiła mnie o spotkanie w klinice, żeby mi je przekazać.

- Jak się natknęła? - zapytał Rob.

- Miała kontakty na mieście. Tyle wiem. Przyjaciół w agencjach pomocy humanitarnej.

- Takich jak Bluhm?

- Między innymi. Powinienem dodać, że nie po raz pierwszy przychodziła do Wysokiej Komisji z opowieściami o wielkich skandalach. Weszło jej to w zwyczaj.

- Przez Wysoką Komisję rozumie pan siebie?

- Jeśli mówi pan o moich kompetencjach jako szefa kancelarii, to tak.

- Dlaczego nie dawała ich Justinowi, żeby je panu przekazał?

- Justin musiał pozostać poza tym. Tak postanowiła, i prawdopodobnie on też tak postanowił. - Czy wyjaśnia za dużo, czy to jeszcze jedno zagrożenie? Brnął dalej. - Szanowałem jej decyzję. Prawdę mówiąc, szanowałem wszelkie resztki skrupułów, jakie w niej pozostały.

- Dlaczego nie przekazała ich Ghicie?

- Ghita jest nowa i młoda, i zatrudniono ją tutaj niedawno. To nie jest odpowiedni posłaniec.

- Więc spotkaliście się - podjęła wątek Lesley - w szpitalu. W poczekalni kliniki położniczej. Czy nie było to zbyt widoczne: dwoje białych wśród tyłu Afrykanów?

Byłaś tam, pomyślał, znów niemal wpadając w panikę. Odwiedziłaś szpital.

- Nie bała się Afrykanów, tylko białych. Nie można jej było niczego przetłumaczyć. Kiedy była wśród Afrykanów, czuła się bezpiecznie.

- Powiedziała to panu?
- Wydedukowałem to.
- Z czego?-to Rob.
- Z jej nastawienia w czasie tych ostatnich miesięcy. Po dziecku. Do mnie, do całej społeczności białych. Do Bluhma. Bluhm zawsze miał rację. Był Afrykaninem, do tego przystojnym i lekarzem. A Ghita jest półkrwi Hinduską. - Trochę bezładna ta wypowiedź.
- W jaki sposób Tessa omówiła się na spotkanie? - zapytał Rob.
- Przysłała liścik do mojego domu, za pośrednictwem jej służącego, Mustafy.
- Czy pańska żona wiedziała o tym spotkaniu?
- Mustafa wręczył liścik mojemu służącemu, który przekazał go mnie.
- A pan nic nie powiedział żonie?
- Uznałem, że to spotkanie jest poufne.
- Dlaczego nie zadzwoniła do pana?
- Moja żona?
- Tessa.
- Nie ufała liniom dyplomatycznym. Miała powody. Nikt z nas im nie ufa.
- Dlaczego po prostu nie wysłała dokumentów za pośrednictwem Mustafy?
- Chciała ode mnie jakichś zapewnień. Gwarancji.
- Dlaczego nie przyniosła panu papierów tutaj? - Rob nadal naciska, naciska.
- Z powodu, o którym już mówiłem. Osiągnęła punkt, w którym już nie ufała Wysokiej Komisji, nie życzyła sobie kontaktów ani tego, żeby widziano, jak tu przychodzi albo wychodzi. Mówicie tak, jakby jej działania były logiczne. W ostatnich miesiącach Tessa nie kierowała się logiką.
- Dlaczego nie do Coleridge'a? Dlaczego to był zawsze pan? Pan znalazł się przy jej łóżku, pan spotkał się z nią w klinice? Nie знаła tutaj nikogo innego?

Przez niebezpieczną chwilę Woodrow przyznał rację swoim inkwizytorom. "Rzeczywiście, dlaczego ja?" - pytał Tessę w przepływie zirytowanego rozczulania się nad sobą. Bo twoja cholerna próżność nie pozwoli mi odejść. Bo jest ci przyjemnie słuchać, jak chcę ci oddać duszę, choć oboje wiemy, że gdy przyjdzie dzień rozrachunku, ja jej nie dam, a ty jej nie przyjmiesz. Bo mocowanie się ze mną było jak spotkanie twarzą w twarz z angielską chorobą, której tak bardzo lubiłaś nienawidzić. Bo byłem dla ciebie swego rodzaju archetypem, "sam rytuał bez wiary" - twoje słowa. Staliśmy twarzą w twarz o kilkanaście centymetrów od siebie. Dziwiłem się, dlaczego jesteśmy równego wzrostu, póki nie zauważyłem, że wzdłuż krzywej ściany biegnie stopień i że jak wszystkie tutejsze kobiety, wspięłaś się na niego,

czekając, aż twój mężczyzna cię zauważy. Nasze twarze są na tym samym poziomie i mimo twojej nowo nabytej surowości znów jest Gwiazdka, a ja tańczę z tobą, czując gorącą słodką trawę w twoich włosach.

- Więc dała panu plik papierów - powiedział Rob. - O czym one były?

Biorę od ciebie kopertę i czuję doprowadzający mnie do szaleństwa dotykanie twoich palców. Z rozmysłem rozniecasz we mnie płomień, wiesz o tym i nic na to nie możesz poradzić, znów zabierasz mnie poza tę granicę, choć wiesz, że nigdy tam ze mną nie pójdziesz. Nie noszę marynarki. Patrzysz na mnie, gdy odpinam guziki koszuli, wsuwam kopertę tak, że dotyka mojej nagiej skóry i wpycham ją głębiej, aż jej dolna krawędź dociera między pasek spodni a biodro. Znów na mnie patrzysz, gdy zapinam guziki, a mnie ogarnia to hańbiące uczucie, jakbym uprawiał z tobą seks. Jako dobry dyplomata proponuję ci filiżankę kawy w barze. Odmawiasz. Stoimy twarzą w twarz jak tancerze czekający, aż muzyka usprawiedliwi ich bliskość.

- Rob zapytał pana, czego dotyczyły papiery - z brzegu świadomości dobiegł Woodrowa karcący głos Lesley.

- Utrzymuje się, że opisywały wielki skandal.

- Tutaj, w Kenii?

- Korespondencja została utajniona.

- Przez Tessę?

- Niech się pani nie wygłupia. Jakże ona mogła cokolwiek utajniać? - sapnął Woodrow i zbyt późno pożałował swojego zdenerwowania.

"Musisz popchnąć ich do działania, Sandy", namawiasz mnie. Twoja twarz jest blada od cierpienia i bólu. Twoich aktorskich zdolności nie przyćmiło doświadczenie prawdziwej tragedii. Masz oczy pełne łez. Odkąd straciłaś dziecko, ciągle w nich są. Twój głos nalega, ale tak słodko. "Potrzebujemy kogoś, Sandy. Kogoś spoza naszego grona. Kogoś sprawnego, na stanowisku. Obiecuj mi. Jeśli będę mogła ci zaufać, ty będziesz mógł zaufać mnie".

Więc powiedziałem to. Podałem się działaniu chwili, tak jak ty. "Wierzę. W Boga. W miłość. W Tessę". Kiedy razem jesteśmy na scenie. "Wierzę". Przysięgałem, robiłem to za każdym razem, gdy przychodziłem do ciebie, a ty chciałaś, żebym to robił, bo ty także jesteś uzależniona od beznadziejnych związków i teatralnych scen. "Przyrzekam", mówię, a ty każesz mi to powtórzyć. "Przyrzekam, przyrzekam. Kocham cię i przyrzekam". I to jest sygnał dla ciebie, żeby pocałować mnie w usta, które wypowiedziały tę haniebną obietnicę: jeden pocałunek, żeby mnie uciszyć i przypieczętować umowę; szybki uścisk, żeby mnie związać i dać poczuć zapach swoich włosów.

- Papiery zostały przesłane w torbie do odpowiedniego podsekretarza w Londynie - wyjaśnił Robowi. - Wtedy zostały utajnione.

- Dlaczego?

- Ze względu na poważne zarzuty, które zawierały.
- Przeciw komu?
- Niestety, nie mogę powiedzieć.
- Jakaś spółka? Osoba?
- Pas.
- Ile stron liczyła dokumentacja, według pańskiego szacunku?
- Piętnaście. Dwadzieścia. Był tam swego rodzaju aneks.
- Jakies fotografie, ilustracje, dowody rzeczowe?
- Pas.
- Jakies taśmy magnetofonowe? Dyskietki - nagrane wyznania, wypowiedzi?
- Pas.
- Któremu z podsekretarzy przesłał pan dokumenty?
- Sir Bernardowi Pellegrinowi.
- Czy zachował pan tutaj kopię?
- Staramy się ze względów politycznych trzymać tu jak najmniej drażliwych materiałów.
- Zachował pan kopię czy nie?
- Nie.
- Czy dokumenty były pisane na maszynie?
- Przez kogo?
- Były pisane na maszynie czy ręcznie?
- Na maszynie.
- Jakiej?
- Nie jestem ekspertem od maszyn do pisania.
- Druk elektroniczny? Program edytorski? Komputer? Pamięta pan rodzaj pisma? Czcionkę?
- Woodrow z irytacją wzruszył ramionami. Było to bliskie agresji.
- Czy to była na przykład kursywa? - naciskał Rob.
- Nie.
- Albo to fałszywe, niby odręczne, pismo komputerowe?
- To było całkiem zwyczajne pismo.
- Elektroniczne.
- Tak.
- Więc coś pan pamięta. Czy aneks był drukowany?
- Prawdopodobnie.
- Tą samą czcionką?
- Prawdopodobnie.
- Więc mniej więcej piętnaście, dwadzieścia stron całkiem zwyczajnego elektronicznego druku. Dziękuję. Czy była jakaś odpowiedź z Londynu?

- Ostatecznie była.
 - Od Pellegrina?
 - Mógł to być on albo któryś z jego podwładnych.
 - Co głosiła?
 - Zalecała niepodejmowanie działania.
 - Podano jakiegokolwiek tego powody? - Rob zadawał pytania jak ciosy.
 - Te tak zwane dowody, zawarte w dokumentacji, były tendencyjne.
- Wszelkie próby sprawdzenia ich prawdziwości spelzłyby na niczym i pogorszyłyby stosunki z goszczącym nas narodem.
- Czy powiedział pan Tessie, że odpowiedź brzmi: nie podejmować żadnych kroków?
 - Mniej więcej.
 - A co pan jej powiedział? - zapytała Lesley.
- Czy to nowa polityka Woodrowa: mówienie prawdy, że powiedział to, co powiedział - a może jakaś słabość skłaniająca go do wyznań?
- Powiedziałem jej to, co moim zdaniem, było dla niej do przyjęcia w jej stanie - biorąc pod uwagę stratę, którą poniosła, i wagę, jaką przywiązywała do dokumentów.
- Lesley wyłączyła magnetofon i zaczęła pakować notatniki.
- Jakie kłamstwo było dla niej do przyjęcia? W pańskim rozumieniu? - zapytała.
 - Że Londyn zajął się sprawą. Że podjęto kroki.
- Przez jedną błogosławioną chwilę Woodrow sądził, że spotkanie się skończyło. Ale Rob nadal tu był, zwlekał z odejściem.
- Jeszcze jedno, za pozwoleniem, panie Woodrow. Bell, Barker & Benjamin. Znani inaczej jako ThreeBees.
- Pozycja Woodrowa nie zmieniła się nawet o milimetr.
- Reklamy w całym mieście. "ThreeBees pracują dla Afryki". "Brzęczą dla ciebie, miodku! Kocham ThreeBees". Centrala w górze ulicy. Wielki nowy budynek ze szkła. Wygląda jak z Marsa.
 - I co?
 - Dopiero ostatniej nocy zebraliśmy dane na temat spółki, prawda, Les? Niesamowici goście, nawet się panu nie śniło. Maczają palce w każdym afrykańskim interesie, a przy tym brytyjscy do szpiku kości. Hotele, agencje turystyczne, gazety, ochrona, banki, eksploatacja kopalń złota, węgla, miedzi, import samochodów, łodzi i ciężarówek - mógłbym tak ciągnąć w nieskończoność. Plus spory asortyment lekarstw. "ThreeBees trują się dla twojego zdrowia". Zauważyliśmy ten napis, kiedy rano tu jechaliśmy, prawda, Les?
 - Kawaleczek stąd, przy ulicy - zgodziła się Lesley.

- I mają konszachty z chłopakami Moiego, o ile wiemy. Prywatne od-rzutowce, wszystkie dziewczyny, które macie ochotę zjeść.

- Rozumiem, że do czegoś zmierzacie.

- Właściwie to nie. Chciałem tylko przypatrzeć siępańskiej twarzy, kie-dy o tym mówiłem. Już to zrobiłem. Dziękuję panu za cierpliwość.

Lesley nadal zajmowała się swoją torbą. Tak mało była zainteresowana tą wymianą zdań, że mogła jej w ogóle nie słyszeć.

- Ludzi takich jak pan, panie Woodrow, należałoby powstrzymać - po-wiedziała, ze zdziwieniem potrząsając swoją mądrą głową. - Wydaje wam się, że rozwiązujecie problemy świata, ale to wy jesteście problemem.

- Ona ma na myśli, że z pana pierdolony kłamca - wyjaśnił Rob.

Tym razem Woodrow nie odprowadził ich do drzwi. Pozostał na stano-wisku za biurkiem, przysłuchując się niknącym odgłosom kroków swoich gości, potem zadzwonił do recepcji i niedbałym tonem poprosił, żeby go powiadomiono, kiedy opuszczą budynek. Gdy się już o tym dowiedział, szyb-ko poszedł do prywatnego gabinetu Coleridge'a. Wiedział doskonale, że Coleridge'a nie zastanie za biurkiem, że konferuje właśnie z kenijjskim mi-nistrem spraw zagranicznych. Mildren rozmawiał przez wewnętrzny telefon i miał nieprzyjemnie zrelaksowany wygląd.

- To pilne - powiedział Woodrow.

Usadowił się za pustym biurkiem Coleridge'a i patrzył, jak Mildren wy-ciąga biały romb z osobistego sejfu Wysokiego Komisarza i wkłada go gor-liwie do telefonu cyfrowego.

- A z kim chcesz rozmawiać? - zapytał Mildren z bezczelnością cha-rakterystyczną dla osobistych sekretarzy wywodzących się z klas niższych, gdy rozmawiają z wielkimi ludźmi.

- Wynoś się - odparł Woodrow.

Gdy został sam, wystukał bezpośredni numer Bernarda Pellegrina.

Siedzieli na werandzie, dwaj ludzie Służby, smakując kieliszek przed snem, pod nieznużonym blaskiem reflektorów ochrony. Gloria poszła do salonu.

- Nie ma dobrego sposobu, żeby to powiedzieć, Justinie - zaczęła Wo-odrow. - Więc powiem zwyczajnie. Istnieje bardzo duże prawdopodobień-stwo, że została zgwałcona. Jest mi strasznie, strasznie przykro. Ze względu na nią i ze względu na ciebie.

I Woodrowowi naprawdę było przykro. Czasem nie trzeba czegoś czuć, żeby wiedzieć, że to się czuje. Czasem zmysły są tak zdeptane, że jeszcze jedna straszna nowina staje się tylko następnym nużącym szczegółem, który trzeba przekazać.

- To, oczywiście, wiadomość wyprzedzająca protokół sekcji zwłok, więc jest przedwczesna i nieoficjalna - mówił dalej, unikając wzroku Justina. - Ale oni nie mają wątpliwości. - Poczul, że musi coś powiedzieć, coś rzeczowego, żeby go pocieszyć. - Policja uważa, że to wiele wyjaśnia - daje przynajmniej motyw. To im pomaga w szerokim rozpoznaniu sprawy, mimo że do tej pory nie potrafią wskazać winnego.

Justin siedział w pozie wyrażającej uwagę, przed sobą oburącz trzymał szklanke, jakby ktoś dał mu ją jako nagrodę.

- Tylko prawdopodobieństwo? - powiedział wreszcie. - Jakie to dziwne. Jak to możliwe?

Woodrow nie przypuszczał, że jeszcze raz będzie przesłuchiwany, ale w jakiś koszmarny sposób podobało mu się to.

- No cóż, będą musieli postawić sobie pytanie, czy nie było to z przyzwoleniem. To jest rutyna.

- Z przyzwoleniem? Dla kogo? - zapytał zaskoczony Justin.

- Dla kogokolwiek - kogokolwiek, kto przyjdzie im na myśl. Przecież nie możemy odwalać za nich roboty, prawda?

- Nie, nie możemy. Biedny Sandy, zdaje się, że to na ciebie spada cała brudna robota. Myślę, że powinniśmy zająć się Glorią. Miała rację, że zostawiła nas samych. Jej piękna angielska cera nie zniosłaby wysiadania na dworze w królestwie afrykańskich insektów.

Odczuwając nagłą niechęć do bliskości Woodrowa, wstał i pchnięciem otworzył francuskie okno.

- Glorio, moja droga, zaniedbaliśmy cię.

6

Justin Quayle pochował swoją zamordowaną żonę na pięknym afrykańskim cmentarzu noszącym nazwę Langata, pod drzewem jacarandy, mie-

zy jej martwo narodzonym synem Garthem a pięcioletnim Kikuju, pilnowanym przez kłęzącego anioła ze stiuku z tabliczką głoszącą, że chłopczyk powiększył grono aniołków. Za nią spoczywał w Bogu Horatio John Williams z Dorset, a u jej stóp Miranda K. Soper, umiłowana na wieki. Ale najbliższymi towarzyszami byli Garth i mały afrykański chłopczyk, Gitau Karanja. Tessa leżała ramię w ramię z nimi, tak jak chciał Justin, o czym dowiedziała się od niego Gloria, po odpowiedniej porcji rozczulania się nad jego wielkodusznością. Podczas ceremonii Justin stał osobno, mając grób

Tessy po lewej, a grób Gartha po prawej stronie, o dwa pełne kroki przed Woodrowem i Gloria. Wcześniej opiekuńczo eskortowali go z obu stron, trochę dlatego, żeby go pocieszyć, a trochę żeby ochronić go przed prasą, jak zawsze świadomą swoich obowiązków wobec opinii publicznej, nieznużoną w swym postanowieniu, by zdobyć fotografie i wypowiedzi dotyczące brytyjskiego dyplomaty, rościczy i niedoszłego ojca, którego biała zaszlachtowana żona - według co śmielszych brukowców - urodziła dziecko spłodzone przez afrykańskiego kochanka, a teraz spoczywa obok płodu w kącie obcego cmentarza -by zacytować choćby trzy artykuły z tego dnia - który stał się dla niej na zawsze Anglią.

Obok państwa Woodrow, w pewnym oddaleniu, stała Ghita Pearson w sari, z wysoko podniesionym czołem i dłońmi złączonymi w odwiecznym geście żałoby, a obok Ghity błady jak śmierć Porter Coleridge i jego żona Veronica. Woodrow zauważył, że wyglądało to tak, jakby wzięli ją pod swoją ochronę, którą inaczej obdarzaliby swoją córeczkę Rosie.

Cmentarz Langata leżał na płaskowyżu z czerwonego mułu, bujnie porośniętym wysoką trawą i kwitnącymi drzewami ozdobnymi, równie smutnymi jak radosnymi, o kilka kilometrów od centrum miasta i o krok od Kibery, dzielnicy slumsów Nairobi, wielkiej brązowej plamy zakopcanych domków z puszek po konserwach, pokrytych obłokiem mdłego afrykańskiego kurzu, słoczonych w dolinie rzeki Nairobi tak, że nie można było wcisnąć między nie dłoni. W Kiberze mieszka pół miliona ludzi i liczba ta wzrasta, a dolina obfituje w złoza ścieków, plastikowe torby, kolorowe żyły starych ubrań, skórki bananów i pomarańczy, gotowane kolby kukurydzy i wszystko, co tylko miasto zechce wyrzucić. Po drugiej stronie drogi prowadzącej z cmentarza stoją szycowne biura Kenijskiej Komisji Turystyki i wejście do Nairobińskiego Parku Narodowego, gdzieś z tyłu stoją walące się baraki lotniska Wilsona, najstarszego w Kenii.

Gloria Woodrow i wielu żałobników, gdy nadszedł czas złożenia do grobu, dostrzegli w osamotnieniu Justina coś złowieszczonego, a zarazem heroicznego. Żegnał sienie tylko z Tessą, ale i ze swoją karierą, z Nairobi, z martwo narodzonym synem i z całym życiem. Wieszczącym to znakiem był fakt, że stał niebezpiecznie blisko grobu. Nie można było nie odnieść wrażenia, że spora część tego Justina, którego znali, a może cały on, odchodzi za nią w zaświaty. Woodrow zauważył tylko jedną żyjącą osobę, która zdawała się zasłużyć na uwagę wdowca. Nie był to ani ksiądz, ani żałobna Ghita Pearson, nie był małomówny i bladolicy Porter Coleridge, szef jego misji, ani dziennikarze, którzy walczyli o pierwszeństwo, nie przebierając w środkach, żeby zrobić lepsze zdjęcie, zająć miejsce dające lepszy widok, ani angielskie żony o długich szczękach, skupione w empatycznym żalu po ich zmarłej sio-

strze, której los tak łatwo mógł się stać ich udziałem, ani kilkunastu opasłych kenijskich policjantów, trzymających się za skórzane pasy.

Osobą tą był Kioko, chłopiec, który siedział na podłodze w sali Tessy w szpitalu Uhuru i patrzył, jak jego siostra umiera. Szedł dziesięć godzin ze swojej wioski, żeby z nią być w jej ostatniej godzinie i po raz kolejny szedł następne dziesięć godzin, żeby dzisiaj być z Tessą. Justin i Kioko zobaczyli się w tej samej chwili i od tego momentu wpatrywali się w siebie z głębokim zrozumieniem. Woodrow zauważył, że Kioko był najmłodszy z obecnych. Zgodnie z tradycją plemienną, Justin zażądał, żeby młodzi ludzie trzymali się z dala.

Białe słupy znaczyły wejście na cmentarz konduktu pogrzebowego Tessy. Gigantyczne kaktusy, ścieżki czerwonego błota i potulni sprzedawcy żółtych bananów i zielonych bananów, i lodów wytyczali szlak do jej grobu. Ksiądz był czarny, stary i zapłakany. Woodrowowi mignęło w pamięci, że uściśnął mu rękę na jednym z przyjęć Tessy. Ale miłość księdza do niej była tak wylewna, jego wiara w zaświaty tak żarliwa, a hałas dobiegający z drogi tak uporczywy - by nie wspomnieć o bliskości innych pogrzebów i muzyce grzmiącej z ciężarówek pełnych żałobników i współzawodniczących z muzyką mówców z megafonami, którzy prawili kazania do wianuszków krewnych i przyjaciół, piknikujących na trawie wokół trumien umiłowanych - że nie było w tym nic dziwnego, iż tylko kilka uskrzydłych słów świątobliwego dotarło do uszu słuchaczy. A Justin, jeśli nawet wszystkie je usłyszał, to i tak nie dał tego po sobie poznać. Szykowny jak zwykle, w ciemnym, dwurzędowym garniturze wydobyty z szafy na tę okazję, miał wzrok utkwiony w Kioko, który podobnie jak Justin, wyszukał sobie kawałek przestrzeni z dala od innych i zdawało się, że zawisł w powietrzu, bo jego wrzecionowate stopy ledwie dotykały ziemi, ramiona zwisały nierówno u boków, a długa, krzywa głowa pochylona była w pozie wiecznego pytania.

Ostatnia droga Tessy nie była gładka, ale ani Woodrow, ani Gloria nie życzyliby sobie, żeby było inaczej. Oboje milcząco uznali, że ten ostatni akt powinien zawierać element nieprzewidywalności, który charakteryzował całe jej życie. Wstali wcześniej, choć nie było po co wcześniej wstawać, poza tym, że o północy Gloria przypomniawszy sobie, że nie ma czarnego kapelusza. Poranny telefon pomógł ustalić, że Elena ma dwa, ale oba były trochę jak z lat dwudziestych i przypominały hełmy pilotów, czy to Glorii przeszkadza? Z rezydencji jej greckiego męża wysłany został służbowy mercedes z czarnym kapeluszem w plastikowym pudle od Harrodsa. Gloria zwróciła go, wolała czarną koronkową chustę swojej matki: będzie ją nosić jak mantylę. W końcu Tessa była półkrwi Włoszką, wyjaśniła.

- Jest hiszpańska, kochanie - odparła Elena.

- Nonsens - zdenerwowała się Gloria. Jej matka była toskańską contes-są, tak piszą w "Telegraph".

- Mantyla, kochanie - poprawiła ją cierpliwie Elena. - Obawiam się, że mantyla jest hiszpańska, a nie włoska.

- Kurczę, jej matka była cholerną Włoszką - parsknęła Gloria tylko po to, żeby za pięć minut zatelefonować i złożyć swoje humory na karb stresu.

Chłopcy zostali wyprawieni do szkoły, Woodrow wybrał się do Wysokiej Komisji, a Justin kręcił się po jadalni w garniturze i krawacie, domagając się kwiatów. Nie kwiatów z ogrodu Glorii, ale własnych. Chciał żółtych pachnących frezji, które uprawiał dla Tessy przez cały rok, powiedział, i zawsze czekały na nią w salonie, kiedy wracała z wypraw w teren. Chciał ich co najmniej dwa tuziny na jej trumnę. Rozważania Glorii, jak je zdobyć, zostały przerwane przez niejasny telefon z nairobińskiej gazety. Rozmówca utrzymywał, że znaleziono ciało Bluhma w wyschniętym łożysku rzeki o sto kilometrów na wschód od jeziora Turkana i czy ktoś miałby na ten temat coś do powiedzenia? Gloria rozdarła się do słuchawki: "bez komentarza" i trzasnęła nią o widelki. Ale była wstrząśnięta i wahała się, czy powiedzieć o tym Justinowi teraz, czy poczekać, aż będzie po pogrzebie. Telefon od Mildrena, pięć minut później, bardzo jej ulżył, że Woodrow jest na spotkaniu, a plotki o ciele Bluhma to brednie: ciało, za które somalijscy bandyci żądają dziesięciu tysięcy dolarów, ma co najmniej sto lat, a może nawet tyśiąc, i czy mógłby zamienić słówko z Justinem?

Gloria przyprowadziła Justina do telefonu i stała gorliwie u jego boku, kiedy mówił: "Tak - tak, to mi odpowiada - jesteś bardzo uprzejmy" i że na pewno będzie gotowy. Ale dlaczego Mildren był uprzejmy i do czego Justin ma się przygotować, pozostawało niejasne. "I nie, dziękuję" - Justin powiedział zdecydowanie do Mildrena, pogłębiając tajemnicę -nie życzy sobie, żeby spotkano go przy wyjeździe, woli to zrobić na własną rękę. Potem odłożył słuchawkę i poprosił - raczej uszczypliwie, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co dla niego zrobiła - żeby zostawiono go samego w jadalni, bo chce zadzwonić na rachunek abonenta do swojego adwokata w Londynie, co robił już dwukrotnie w ciągu ostatnich kilku dni, także nie dopuszczając Glorii do rozmowy. Okazując zatem dyskrecję, usunęła się do kuchni, żeby podsłuchiwać przy okienku do wydawania potraw - a tam zastała pogrążonego w smutku Mustafę, który w najmniej odpowiednim momencie przybył pod tylne drzwi z koszem żółtych frezji, zerwanych z jego własnej inicjatywy w ogrodzie Justina. Uzbrojona w tę wymówkę, wmaszerowała do jadalni z nadzieją, że złapie chociaż sam koniec rozmowy, ale Justin właśnie odkładał słuchawkę, gdy wchodziła.

Nagle zrobiło się bardzo późno. Gloria skończyła się ubierać, ale nawet nie dotknęła twarzy, nikt nie zjadł niczego, chociaż minęła pora obiadowa.

Woodrow czekał na zewnątrz w volkswagenie, Justin stał w holu, trzymając kurczowo frezje - związane w bukiet - Jurna podsuwał każdemu pod nos talerz z kanapkami z serem, a Gloria próbowała podjąć decyzję, czy zawiązać mantylę pod brodą, czy zarzucić ją na plecy, jak robiła jej matka.

Usadowiona na tylnym siedzeniu furgonetki obok Justina, z Woodrowem po drugiej stronie, Gloria w głębi duszy przyjęła do wiadomości to, co Elena mówiła jej od kilku dni: że zakochała się po uszy w Justinie; rzecz, która nie zdarzała się jej od lat. Absolutnie nie mogła myśleć o tym, że odejdzie pewnego dnia. Z drugiej strony, na co Elena zwróciła jej uwagę, jego odjazd pozwoli jej przynajmniej uporządkować myśli i podjąć na nowo normalne obowiązki małżeńskie. A jeśli się okaże, że jego nieobecność jeszcze bardziej urażliwi jej serce, cóż, jak zasugerowała kochana Elena, zawsze będzie można coś z tym zrobić w Londynie.

Podczas jazdy przez miasto Głorię uderzyło, że trzęsie bardziej niż zwykle, była też nazbyt świadoma przyjemności, jaką sprawia jej ciepło biodra Justina, przylegającego do jej biodra. Zanim volkswagen zdążył podjechać do domu pogrzebowego, poczuła kulę w gardle, chusteczka, którą trzymała w dłoni, zamieniła się w wilgotną szmatkę i już nie wiedziała, czy oplakuje Tessę, czy Justina. Tyłne drzwi furgonetki otwarto od zewnątrz, Justin i Woodrow wyskoczyli, zostawiając ją samą z tyłu z Livingstone'em na przednim siedzeniu. Nie ma dziennikarzy, zauważyła z ulgą, starając się opanować. Albo jeszcze nie ma. Patrzyła przez frontową szybę, jak jej dwaj mężczyźni wchodzili po stopniach parterowego budynku z granitu z okapem, lekko stylizowanego na Tudorów. Justin w swoim szytym na miarę garniturze i ze wspaniałą grzywą siwoczarnych włosów - nigdy nie widziała, żeby je czesał czy szczotkował - trzymał żółte frezje. I ten jego chód oficera kawalerii, który, jak wiedziała, charakteryzował wszystkich pół-Dudleyów, z prawym ramieniem wysuniętym do przodu. Dlaczego zawsze się wydaje, że to Justin prowadzi, a Sandy idzie za nim? I dlaczego Sandy był ostatnio taki usłużny, taki lokajowaty? - narzekała w myślach. I czas, żeby wreszcie kupił sobie nowy garnitur; to, co nosi, sprawia, że wygląda jak prywatny detektyw.

Zniknęli w holu.

- Są papiery do podpisania, kochanie - powiedział Sandy tym swoim głosem pełnym wyższości. - Wydanie ciała zmarłej i tego rodzaju bzdury. - Dlaczego traktuje mnie nagle jak małą kobietkę? Czy zapomniał, że to ja zorganizowałam cały ten cholerny pogrzeb? Stadko odzianych na czarno żałobników uformowało się przy bocznym wyjściu z domu pogrzebowego. Drzwi otwierały się, czarny karawan wyjeżdżał tyłem w ich stronę, ze słowem KARAWAN bez potrzeby wymalowanym białymi literami, wysokimi na Itopę, na boku. Gloria widziała przez moment miodowy lakier i żółte frezje,

gdy trumna ześlizgiwała się z ramion grabarzy w otwarte tylne drzwi pojazdu. Musieli przykleić bukiet do wieka; bo jak inaczej można sprawić, żeby frezje nie spadły z trumny? Justin pomyślał o wszystkim. Karawan wyjechał z dziedzica razem z żałobnikami. Gloria mocno kichnęła, potem wytarła nos.

- Niedobrze, proszę pani - zaintonował z przedniego siedzenia Livingstone. - Bardzo, bardzo niedobrze.

- O, tak, Livingstone, niedobrze - powiedziała Gloria, zadowolona z tej formalnej wymiany uprzejmości. Będą na ciebie patrzeć, młoda osobo, ostrzegła się w myślach. Czas podnieść głowę do góry i dać przykład innym. Tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem.

- W porządku, dziewczyno? - zapytał radośnie Woodrow, siadając obok niej z rozmachem. - Byli cudowni, prawda, Justinie? Bardzo sympatyczni, bardzo profesjonalni.

- Nie mów do mnie dziewczyno - powiedziała to z furją, ale niezbyt głośno.

Wchodząc do kościoła św. Andrzeja, Woodrow oszacował wnętrze. Jednym spojrzeniem omiótł białych Coleridge'ów, a za nimi Donohue i jego niesamowitą żonę Maud, wyglądającą na emerytowaną girlse. Obok nich stał Mildren alias Mildred i anorektyczna blondynka, dzieląca z nim, wedle tego co mówiono, mieszkanie. Towarzycho z Muthaiga Club - sformułowanie Tessy - uformowało wojskowy czworobok. Po drugiej stronie bocznej nawy wyłowił kontyngent z World Food Programme i drugi, składający się wyłącznie z afrykańskich kobiet. Niektóre były w kapeluszach, inne w dzinsach, ale wszystkie miały w sobie ten żar walki, charakterystyczny dla radykalnych przyjaciół Tessy. Za nimi stała grupka zagubionych, z francuska wyglądających, trochę aroganckich młodych ludzi: kobiety z zakrytymi głowami, mężczyźni z rozpiętymi kołnierzami i pielęgowanym przez fryzjera zarostem. Woodrow, z pewnym zaskoczeniem, wywnioskował, że to koledzy Bluhma z jego belgijskiej organizacji. Pewnie zastanawiają się, czy za tydzień nie przyjdą tutaj dla Arnolda, pomyślał brutalnie. Nielegalni służący Quayle'ów stanęli rzędem obok nich: Mustafa, Esmeralda z południowego Sudanu i jednoręki Ugandyjczyk o nieznanym imieniu. A w pierwszym rzędzie, górując nad swoim malutkim greckim mężem, stała wywatowana, marchewkowowłosa Kochana Elena we własnej osobie, *betę noir* jego rodziny, przybrana w pogrzebową, czarną biżuterię prababki.

- Słuchaj, kochanie, czy powinnam włożyć ten gagat, czy może przeholuję? - pytała rano Glorię. Nie bez złośliwości, Gloria doradziła śmiałość.

- Dla innej kobiety, szczerze mówię, El, to byłoby zbyt wiele. Ale przy twojej cerze, kochanie, zdecyduj się.

Żadnego policjanta, zauważył z zadowoleniem, ani kenijskiego, ani brytyjskiego. Czyżby magiczny napój Bernarda Pellegrina zadziałał? Myślcie, co chcecie, ale po cichu.

Jeszcze raz zerknął na Coleridge'a, bladego i umęczonego. Przypomniał sobie dziwną rozmowę w rezydencji, w ostatnią sobotę, i przeklął go za niezdecydowane zarozumiałstwo. Jego wzrok wrócił do trumny Tessy, wystawionej na widok publiczny przed ołtarzem, z żółtymi frezjami Justina bezpiecznie leżącymi na pokładzie. Łzy wypełniły mu oczy, ale szybko się opanował. Organy grały *Nunc dimittis*, a Gloria, świetnie znająca słowa, wtórowała im śpiewem. Wieczorne nabożeństwo w jej szkole z internatem, pomyślał. Albo w mojej. Nienawidził obu na równi. Sandy i Gloria, urodzeni w okowach. Jest jednak różnica, ja to wiem, a ona nie. "Panie, pozwól teraz Twemu słudze odejść w pokoju". Czasem żałuję, że nie mogę tego zrobić. Odejść i nigdy nie wrócić. Ale gdzie znajdę pokój? Znow patrzył na trumnę. Kochałem cię. O tyle łatwiej to powiedzieć teraz, w czasie przeszłym. Kochałem cię. To ja byłem tym maniakiem, który wszystko kontrolował, a nie potrafił kontrolować siebie, i ty potrafiłaś mi to powiedzieć. Cóż, popatrz tylko, co się z tobą stało. I pomyśl, dlaczego tak się stało.

I nie, nigdy nie słyszałem o Lorbeerze, nie znam długonogiej węgierskiej piękności nazwiskiem Kovacs i nie będę, nie chcę, wysłuchiwać więcej żadnych nieudowodnionych, wyspanych z palca teorii, które biją w mojej głowie jak dzwon i absolutnie nie jestem zainteresowany szczupłymi oliwkowymi ramionami widmowej Ghity Pearson w tym sari. Wiem tylko jedno: po tobie nikt nie dowie się już nigdy, jakie wylęknione dziecko zamieszkuje to żołnierskie ciało.

Chcąc zająć uwagę czymś innym, Woodrow podjął energicznie studium kościelnych okien. Męscy święci, sami biali, żadnych Bluhmów. Tessa by się wściekła. Pamiątkowy witraż upamiętniający jakiegoś ślicznego białego chłopca w marynarskim ubranku, symbolicznie otoczonego adorującymi go zwierzętami z dżungli. "Dobra hiena wyczuje krew z odległości dziesięciu kilometrów". Łzy znow niebezpiecznie się zebrały, Woodrow zmusił się do skupienia na starym dobrym świętym Andrzeju we własnej osobie, wykapanym Macphersonie, rybaku, z którym wysłaliśmy chłopców na Loch Awe, łowić łososie. Dzikie szkockie oczy, rdzawa szkocka broda. Co oni z nami zrobili?, dziwił się, przenosząc mglisty wzrok na czarne twarze obecnych w kościele. Co my tutaj robiliśmy, wtedy, w tamtych dniach, gdy zachwalaliśmy

naszego białego brytyjskiego Boga i białego szkockiego świętego, a jednocześnie wykorzystywaliśmy ich kraj jako plac zabaw dla żądnych przygód samotnych podrywaczy z klas wyższych?

- Jeśli o mnie chodzi, staram się to poprawić - odpowiadasz, gdy flirtując, zadaję ci to samo pytanie na parkiecie Muthaiga Club. Ale nigdy nie odpowiadasz na nie, odwracając je o sto osiemdziesiąt stopni, żeby użyć go jako dowodu przeciwko mnie: - A co pan tutaj robi, panie Woodrow? - pytasz. Orkiestra gra głośno i musimy tańczyć blisko siebie, żeby się słyszeć. Tak, to są moje piersi, mówią twoje oczy, kiedy ośmielam się spojrzeć w dół. Tak, to są moje biodra, krążą, gdy trzymasz mnie w talii. Możesz patrzeć także na nie, paść nimi oczy. Większość mężczyzn tak czyni, a ty nie musisz się starać być wyjątkowy.

- To, co naprawdę robię, to pomoc Kenijczykom w zagospodarowywaniu tego, co im dajemy - wrzeszczę pompatycznie, przekrzykując muzykę i czuję, jak twoje ciało sztywnieje i wyslizguje się, zanim kończę wypowiedzieć zdanie.

- Nie daliśmy im, cholera. Niczego! Oni to wzięli! Przystawili nam lufę do głowy! My im niczego nie daliśmy - niczego!

Woodrow odwrócił się gwałtownie. Gloria stojąca obok niego zrobiła to samo, a po przeciwnej stronie nawy tak samo obrócili się Coleridge'owie. Wrzask spoza kościoła, a po nim trzask czegoś rozbijanego, czegoś wielkiego i szklanego. Woodrow zobaczył przez drzwi, jak dwaj wystraszeni kościelni w czarnych garniturach ciągną do siebie skrzydła bramy i zamykają ją, policjanci w hełmach formują kordon wzdłuż ogrodzenia i wymachują trzymanymi oburącz pałkami bojowymi z metalowymi końcami, jak gracze baseballowi gotujący się do uderzenia w piłkę. Na ulicy, gdzie zebrali się studenci, płonęło drzewo, a pod nim, kołami do góry, leżało parę samochodów. Ich pasażerowie byli zbyt wystraszeni, żeby się z nich wygramolić. Przy wtórze ryków zachęty tłumu, czarna lśniąca limuzyna volvo, taka, jaką miał Woodrow, uniosła się niepewnie z ziemi i poszła ku górze nad mrowiem młodych mężczyzn i kobiet. Uniosła się, zatoczyła, przewróciła najpierw na bok, potem na dach, zanim upadła martwa z wielkim hukiem obok swoich towarzyszy. Policja przypuściła atak. Jeśli czekali na coś do tej chwili, to coś właśnie się stało. W jednej sekundzie wyrąbali sobie krwawą ścieżkę przez uciekający motłoch, zatrzymując się tylko po to, by zasypać gradem ciosów tych, którzy już padli. Podjechał wóz pancerny, wrzucono do niego kilkanaście krwawiących ciał.

- Uniwersytet to prawdziwa beczka prochu, stary - powiedział Donohue, kiedy Woodrow zapytał go o stopień zagrożenia. - Granty się skończyły, pracownikom się nie płaci, katedry wpadają w ręce bogatych i głupich,

akademiki i sale są przepelnione, ubikacje zatkane, drzwi wyjęte, ryzyko pożaru ogromne, a oni gotują na węglu drzewnym w korytarzach. Nie ma prądu, nie ma światła, żeby się przy nim uczyć, i książek, żeby się z nich uczyć. Najbiedniejsi studenci lądują na ulicy, bo rząd prywatyzuje system szkolnictwa wyższego, nie konsultując tego z nikim. Edukacja jest wyłącznie dla bogatych, a do tego wyniki egzaminów są fałszowane i rząd próbuje zmusić studentów, żeby zdobywali wykształcenie za granicą. Wczoraj policja zabiła paru studentów, czego z jakichś względów ich przyjaciele nie chcą puścić płazem. Masz jeszcze jakieś pytania?

Wrota kościoła otworzyły się, organy zaczęły grać. Boży interes znów się kręcił.

Upał na cmentarzu był agresywny i osobisty. Stary zapłakany ksiądz przestał mówić, ale hałas nie zmalał, a słońce raziło jak biczem. Z jednej strony Woodrowa przenośny radiomagnetofon zaczął grać na cały regulator rockową wersję *Ave Maria* dla grupy czarnych zakonnicy w szarych habitach. Z drugiej strony ekipa bluz futbolowych zgromadziła się wokół stosu pustych puszek po piwie, a solista śpiewał na pożegnanie kumpla z drużyny. Na lotnisku Wilsona musiało być jakieś święto lotnicze, bo jaskrawo pomalowane samolociki przelatywały nad głowami w dwudziestosekundowych odstępach. Stary ksiądz opuścił książeczkę do nabożeństwa. Grabarze podeszli do trumny. Każdy z nich chwycił za koniec parcianego pasa. Justin wciąż stał z boku i zdawało się, że zaczyna się chwiać. Woodrow ruszył do przodu, żeby go podtrzymać, ale Gloria powstrzymała go mocnym chwytem dłoni w rękawiczce.

- Chce jej tylko dla siebie, idioto - syknęła przez łyżę.

Prasa nie okazała takiego taktu. To właśnie było zdjęcie, po które tu przyszli: czarni grabarze opuszczają trumnę z zamordowaną białą kobietą do afrykańskiej ziemi, a na to patrzy mąż, którego zdradzała. Ospowaty facet ostrzyżony najeża, z aparatami objijającymi się mu o brzuch, wręczył Justinowi łopate, licząc na zdjęcie pokazujące wdowca sypiącego ziemię na trumnie. Justin odepchnął narzędzie, a jego wzrok spoczął na dwóch obszarpanych SCach, pchających w stronę grobu drewnianą taczka z przebitą oponą. Przez (brzegi przelewał się mokry cement.

Co wy robicie? - zapytał tak ostro, że wszystkie głowy odwróciły się ty jego stronę. - Czy ktoś zechciałby może zapytać tych dzentelmenów, co Białą zamiar zrobić z tym cementem? Sandy, potrzebuję tłumacza.

Lekceważąc Głorię, Woodrow, syn generała, szybko podszedł do Justina. Sheila z wydziału Tima Donohue powiedziała coś do mężczyzny z taczka, tern zwróciła się do Justina.

- Mówią, że robią to dla wszystkich bogaczy - wytłumaczyła.
- Co robią? Nie rozumiem.
- Ten cement ma zatrzymać rabusiów grobów. Bogaci ludzie są chowani z obrączkami i w ładnych ubraniach. Mówią, że cement to jedyne zabezpieczenie.

- Kto im to kazał zrobić?
- Nikt. To kosztuje pięć tysięcy szylingów.
- Mają odejść. Bądź łaskawa im to powiedzieć, Sheilo, dobrze? Nie chcę ich i niczego nie zapłacę. Niech się zabierają razem ze swoją taczka. - I być może nie wierząc, że Sheila przekaze jego przesłanie z dostateczną mocą, Justin stanął między taczka a brzegiem grobu i wyciągnął ramię jak Mojżesz, wskazując ponad głowami żałobników. - Idźcie - rozkazał. - Odejdźcie stąd natychmiast. Dziękuję.

Żałobnicy rozstąpili się, żeby zrobić przejście wzdłuż linii wytyczonej jego wyciągniętym ramieniem. Mężczyźni z taczka oddalili się drobnymi krokami. Justin patrzył za nimi, póki nie zniknęli z pola widzenia. W wi-brującym upale zdawali się odchodzić prosto w stronę pustego nieba. Justin odwrócił się sztywno i stanął twarzą w twarz ze stadem dziennikarzy.

- Chciałbym, żebyście wszyscy stąd poszli - powiedział w ciszy, która uformowała się wewnątrz hałasu. - Byliście bardzo uprzejmi. Dziękuję. Do widzenia.

Po cichu, ku zaskoczeniu obecnych, dziennikarze pochowali aparaty i notatniki i pomrukując coś w rodzaju: "cześć, Justin", odeszli. A Justin wrócił do swojej samotnej warty u wezglowia Tessy. Wtedy wyszła naprzód grupa afrykańskich kobiet i ustawiła się w podkowę u drugiego końca grobu. Wszystkie nosiły takie samo ubranie: niebieskie, falbaniaste spódnice w kwiaty i chustki na głowę z tego samego materiału. Każda z osobna wyglądałaby bezbrinnie, ale jako grupa stanowiły jedność. Zaczęły śpiewać, z początku łagodnie. Nikt nimi nie dyrygował, nie było instrumentów akompaniujących śpiewowi, większość z nich szlochała, ale nie pozwoliły, żeby łyż przeszkodziły pieśni. Śpiewały na głosy, po angielsku i w swahili, na przemian, nabierając mocy za każdym powtórzeniem:

- Kwa heri, Mama Tessa... żegnaj, mamusiu... - Woodrow starał się zrozumieć inne słowa. - Kwa heri, Tessa... Tessa, nasz przyjacielu, żegnaj... Przybyłaś do nas, mamó Tesso, mamusiu, oddałaś nam serce... Kwa heri, Tessa, żegnaj.

- Skąd one u diabła wyskoczyły? - zapytał Głorię półgębkiem.

- Spod wzgórza - odmruknęła Gloria, wskazując głową slumsy Kibery.

Pieśń kołysała się, kiedy trumnę opuszczano do dołu. Justin patrzył na to, potem skrzywił się, jakby ktoś uderzył go w dołek, a potem skrzywił się

jeszcze raz, kiedy pierwsze grudy ziemi ze szpadla uderzyły o wieko, brzdąc płatki frezji. Rozległo się przeraźliwe zawodzenie, krótkie jak s.krzy-pienie zardzewiałych zawiasów nagle otwartych drzwi, ale wystarczająco długie, żeby Woodrow zobaczył, jak Ghita Pearson pada zwolnionym ru-chem na kolana, przewraca się na kształtne biodro i ukrywa twarz w dło-niach; potem, rzecz wprost nieprawdopodobna, wstaje oparta o ramię Veroniki Coleridge i znów przyjmuje pozę żalobniczki.

Czy Justin krzyknął coś do Kioko? Czy może Kioko działał na własną rękę? Lekki jak cień stanął u boku Justina i bezwstydnym gestem współczucia złapał go za rękę. Poprzez świeżą powódź łez, Gloria zobaczyła, jak ich połączone dłonie wiercą się, póki nie znajdują wzajemnie pasującej pozycji. Tak połączeni, pogrążony w smutku mężi osierocony brat, patrzylijak trumna Tessy znika pod ziemią.

Justin opuścił Nairobi tego samego wieczoru. Woodrow, ku wiecznej urazie Glorii, nie dał jej o tym znać. Stół obiadowy zastawiony był dla troj-ga. Gloria osobiście odkorkowała kłaretę i włożyła kaczkę do piecyka, żeby wszystkich podnieść na duchu. Usłyszała kroki w holu i wywnioskowała z za-dowoleniem, że Justin zdecydował się na przedobiadowe drinki, tylko my dwoje, Sandy na górze czyta chłopcom. I nagle ta jego niechlujna skórzana torba w towarzystwie omszałej szarej walizki, którą przyniósł mu Mustafa, zaparkowały w holu z etykietkami przy uchwytach, a obok nich stał Justin z płaszczem przeciwdeszczowym w ręku i śpiworem przewieszonym przez ramię i chciał jej oddać klucz do składziku z winami.

- Ale, Justinie, ty przecież nie wyjeżdżasz!

- Wszyscy byliście niezmiernie uprzejmi dla mnie, Glorio. Nigdy nie będę wiedział, jak wam dziękować.

- Przepraszam cię za to, kochanie - powiedział radośnie Woodrow, zbie-gając po schodach po dwa stopnie naraz. - Wybacz tę odrobinę tajemnicy. Nie chcieliśmy, żeby służba plotkowała. Tylko tak mogliśmy to rozegrać.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. Był to Livingstone, kie-rowca w czerwonym peugeocie, którego pożyczył od przyjaciela, żeby unik-nąć z daleka widocznych tablic dyplomatycznych na lotnisku. A na miejscu dla pasażera siedział bezwładnie Mustafa, patrzący przed siebie wilkiem. Wyglądał jak manekin.

- Ależ musimy pojechać z tobą, Justinie! Musimy cię odprowadzić! Naprawdę! Chcęciadaćjednąz moich akwareli! Co się z tobą teraz stanie?! - wykrzykiwała rozpaczliwie Gloria. - Nie możemy pozwolić, żebyś ot tak, wyszedł w noc - kochanie!...

To "kochanie" zasadniczo było skierowane do Woodrowa, ale z równym powodzeniem mogło być wypowiedziane pod adresem Justina, bo kiedy to z siebie wyrzuciła, utonęła w płaczu, ostatnim w tym pełnym łożu dnia. Łkając okropnie, przycisnęła Justina do siebie, waliła go pięściami po plecach, przytulała się policzkiem i szeptała: "Och, nie odchódź, proszę, Justinie". Wydawała też inne, mniej zrozumiałe dźwięki, zanim dzielnie uwolniła się od niego, odepchnęła męża łokciem, pobiegła na górę do swojej sypialni i zatrasnęła drzwi.

- Jest trochę wyczerpana nerwowo - wyjaśnił Woodrow, uśmiechając się.
- Wszyscy jesteście wyczerpani - powiedział Justin. Przyjął rękę Woodrowa i potrząsnął nią. - Jeszcze raz dziękuję, Sandy.

- Będziemy w kontakcie.

- Oczywiście.

- Jesteś całkowicie pewien, że nie potrzebujesz komitetu powitalnego?

- Całkowicie, dziękuję. Prawnicy Tessy przygotowali moje przybycie.

Chwilę później Justin schodził ze stopni do czerwonego samochodu, z Mustafą dźwigającym skórzaną torbę po jednej stronie i Livingstone'em niosącym szarą walizkę po drugiej.

- Zostawiłem koperty dla was wszystkich u państwa Woodrow - powiedział Mustafie podczas jazdy. - A to proszę wręczyć osobiście Ghicie Pearson. Jak mówię, osobiście.

- Wiemy, że pan zawsze będzie dobrym człowiekiem, *mzee* - powiedział Mustafa proroczo, powierzając kopertę zakamarkom swojej bawełnianej kurtki. Ale w jego głosie nie było przebaczenia za porzucenie Afryki.

Lotnisko, mimo niedawno przeprowadzonego liftingu, znajdowało się w stanie chaosu. Zmęczone podróżą grupy poodparzanych turystów ustawiły się w długie kolejki, awanturowały się z przewodnikami i gorączkowo wpychały wielkie plecaki do maszyn rentgenowskich. Urzędnicy lotniska głowili się nad każdym biletem i pomrukiwali w nieskończoność do słuchawek telefonów. Niezrozumiałe komunikaty z głośnika budziły panikę, na którą tragarze i policjanci patrzyli beczynn timer. Ale Woodrow zaaranżował wszystko. Ledwie Justin wyłonił się z samochodu, przedstawiciel British Airways porwał go do małego biura, gdzie nie docierały oczy ciekawskich.

- Chciałbym, żeby moi przyjaciele poszli ze mną - powiedział Justin.

- Nie ma sprawy.

Livingstone i Mustafa kręcili się za nim, gdy wręczano mu kartę pokładową na nazwisko pana Alfreda Browna. Patrzył obojętnie, jak podobnie znakowano szarą walizkę.

- A to zabiorę ze sobą na pokład - obwieścił, jakby wydawał rozporządzenie.

Przedstawiciel linii lotniczych, jasnowłosy Nowozelandczyk, w afektywny sposób zważył torbę w rękę i wydał przesadny jęk.

- Srebra rodzinne, sir?

- Srebra mojego gospodarza - powiedział Justin, podchwytyjąc dowcip, ale w jego twarzy było coś, co sugerowało, że nie da się z nim negocjować.

- Jeśli będzie pan w stanie to udźwignąć, to i nam się uda - powiedział jasnowłosy przedstawiciel linii, oddając mu torbę. - Życzę miłego lotu, panie Brown. Przeprowadzimy pana od strony przylotów, jeśli pan chce.

- Bardzo pan uprzejmy.

Justin odwrócił się, by powiedzieć po raz ostatni do widzenia i schwycił oburącz ogromne dłonie Livingstone'a. Dla Mustafy było tego za wiele. Ci-cho, jak zwykle, wymknął się na zewnątrz.

Trzymając mocno torbę, Justin wszedł do sali przylotów za swoim przewodnikiem. Zobaczył tam wielką, dorodną kobietę nieokreślonej rasy, uśmiechającą się do niego ze ściany. Miała sześć metrów wysokości, w najszerszym miejscu półtora metra i była jedyną reklamą handlową w całej hali. Ubrana w fartuch pielęgniarki, na każdym ramieniu miała po trzy złote pszczoły. Następne trzy widniały na kieszonce jej białego stroju umieszczonej na piersi. Podawała tacę z delikatesami farmaceutycznymi wielorasowej rodzinie, składającej się ze szczęśliwych dzieci i ich rodziców. Na tacy stało coś dla każdego: butelki ze złotobrazowym lekarstwem wyglądającym na whisky dla tatusia, pokryte czekoladą pigułki do pogryzania dla dzieciaków, a dla mamusi eliksiry piękności, ozdobione figurą nagiej bogini sięgającej po słońce. U góry i u dołu plakatu fioletowobrazowe litery głosiły radosne przesłanie dla całej ludzkości:

“ThreeBees pracują dla zdrowia Afryki!”

Plakat zatrzymał go.

Dokładnie tak, jak zatrzymał Tessę.

Gapiąc się sztywno na reklamę, Justin słucha jej radosnych protestów, dobiegających z prawej strony. Oszołomieni podróżą, obładowani zebrany w ostatniej minucie bagażem podręcznym, przed paroma minutami przybyli tu z Londynu, po raz pierwszy w życiu. Żadne z nich wcześniej nie postawiło stopy na kontynencie afrykańskim. Kenia - cała Afryka - czeka na nich. Ale to ten plakat wywołał podekscytowane zainteresowanie Tessy.

- Justin, popatrz! Dlaczego nie patrzysz!

- O co chodzi? Przecież patrzę.

- Ukradli nasze cholerne pszczołki! Ktoś myśli, że jest Napoleonem! To absolutna bezczelność. Akt przemocy. Musisz coś zrobić!

I tak to było. Aktprxmocy. Radosny. Trzy pszczoły Napoleona, symbole jego chwały, szacowne emblematy umiłowanej przez Tessę wyspy Elby, gdzie wielki człowiek skrócił sobie pierwsze wygnanie, zostały bezwstydnie deportowane do Kenii i zaprzędane w handlową niewolę. Rozmyślając teraz nad tym samym plakatem, Justin mógł tylko zdumiewać się nieprzyzwoitością życiowych zbiegów okoliczności.

7

Siedząc sztywno w fotelu o wysokim standardzie z przodu samolotu, ze skórzaną torbą w schowku nad głową, Justin Quayle gapił się poprzez swoje odbicie w ciemność przestrzeni. Był wolny. Niepogodzony, niepokieszony, niezdecydowany. Niewolny od koszmarów, w których widział siebie martwego i budził się, żeby stwierdzić, że to prawda. Niewolny od poczucia winy tego, który przeżył. Niewolny od niepokoju o Arnolda. Ale wreszcie wolny, by opłakiwać stratę na swój własny sposób. Wolny od swojej strasznej celi. Wolny od strażników więziennych, których nauczył się nienawidzić. Od krążenia po pokoju jak skazaniec, doprowadzany niemal do szaleństwa przez własny umysł i odosobnienie. Wolny od ciszy własnego głosu, od siadania na brzegu łóżka i zadawania sobie raz po raz pytania: dlaczego? Wolny od tych haniebnych chwil, kiedy był tak przygnębiony i zmęczony, i wyczerpany, że prawie udało mu się przekonać siebie, że ma to gdzieś, że ten związek był szaleństwem i już się skończył, więc powinien być zadowolony. A skoro żał, jak gdzieś przeczytał, jest odmianą beczynności, był wolny od beczynności, przepełnionej żalem.

Był wolny także od policyjnych przesłuchań. Podczas tych rozmów, nie poznając sam siebie, wystąpił na środek sceny i w serii nieskazitelnie wyczelowanych zdań złożył swe brzemienie u stóp zdezorientowanych śledczych - a przynajmniej taką część owego brzemienia, którą jego instynkt pozwolił mu ujawnić. Zaczęli od oskarżania go o morderstwo.

- Justinie, jest scenariusz, który sam się narzuca - rozpoczyna przepraszając Lesley- i musimy wyłożyć go jasno, tak żebyś był go świadom, chociaż wiemy, że możemy cię urazić. Nazywa się to trójkątem małżeńskim. Ty jesteś zazdrosnym mężem i zorganizowałaś zabójstwo za pieniądze, kiedy twoja żona i jej kochanek byli możliwie jak najdalej od ciebie, co zawsze jest dobrym alibi. Kazałeś ich oboje zabić, bo chciałeś się zemścić. Kazałeś zabrać ciało Arnolda Bluhma z jeeпа i schować je tak, żebyśmy sądzili, że to

on jest zabójcą, a nie ty. Jezioro Turkana roi się od krokodyli, więc usunięcie Arnolda nie stanowiło problemu. A do tego wpada ci w ręce ładny spadek, co daje kolejny motyw.

Obserwują go, wie o tym doskonale, szukają oznak poczucia winy albo niewinności, albo oburzenia, albo rozpacz - oznak czegokolwiek - ale obserwują go na próżno, bo w odróżnieniu od Woodrowa, Justin z początku nie robi absolutnie nic. Siedzi elegancki, zamyślony i nieprzystępny w podrabianym rzeźbionym krześle Woodrowa, z czubkami palców ułożonymi na stole, jakby przed chwilą grał na fortepianie, a teraz przysłuchiwał się milknącym akordom. Lesley oskarża go o morderstwo, ale jedyną rzeczą, którą uzyskuje, jest lekkie zmarszczenie brwi.

- O ile zrozumiałem to, co powiedział mi o postępach śledztwa młody Woodrow - mówi Justin, jakby prowadził akademicką dysputę, a nie tak, jak powinien robić pogrążony w żalu mąż - waszą główną teorią jest przypadkowe zabójstwo, a nie planowany mord.

- Woodrow gówno wie - mówi Rob ściszym głosem z szacunku dla gospodyni.

Na stole nie ma jeszcze magnetofonu. Różnokolorowe notatniki leżą nieknięte w poręcznej torbie Lesley. Nie ma powodu, żeby się śpieszyć z formalnościami. Gloria przyniosła tacę z herbatą i po przydługim przemówieniu ojej bullterierze, który niedawno zdechł, niechętnie odeszła.

- Znaleźliśmy ślady opon drugiego wozu zaparkowanego o dziesięć kilometrów od miejsca zbrodni - wyjaśnia Lesley. - Stał w wąwozie na południowy zachód od punktu, w którym Tessa została zamordowana. Znaleźliśmy plamę oleju i resztki ogniska. - Justin mruga, jakby światło dnia było trochę zbyt jaskrawe, potem uprzejmie nachyla głowę, żeby pokazać, że słucha. - Obok były świeżo zakopane butelki po piwie i niedopałki papierosów - wyklada Lesley kawę na ławę. - Kiedy jeep Tessy przejeżdżał tamte dy, tajemniczy wóz wyjechał i ruszył za nim. Potem jechał z boku. Jedno z przednich kół jepea Tessy zostało przestrelone ze strzelby myśliwskiej. To nam nie wygląda na przypadkowe zabójstwo.

- Raczej na firmowe, jak to nazywamy - wyjaśnia Rob. - Zaplanowane i wykonane przez opłaconych zawodowców z polecenia nieznanych osób lub osoby. Ten, kto udzielił im poufnych informacji, znał na wylot plany Tessy.

- A gwałt? - pyta Justin z udawanym dystansem, wpatrując się w swoje splecione ręce.

- Kosmetyczny albo przypadkowy - odpowiada rzeczowo Rob. - Łotry •traciły głowy albo zrobiły to rozmyślnie.

- Co sprawia, że wracamy do motywu, Justinie - mówi Lesley.

- Twojego - dodaje Rob. - Chyba, że masz lepszy pomysł.

Twarze obojga skierowane są na Justina jak kamery, ale on pozostaje równie nieczuły na ich podwójny wzrok, jak na insynuacje. Możliwe, że w swym wewnętrznym odosobnieniu nie jest tego wszystkiego świadom. Lesley wsuwa rękę do swojej poręcznej torby, żeby wyjąć magnetofon, ale zmienia zdanie. Ręka pozostaje w pół drogi, schwytna *in flagranti*, a ona zwraca się w stronę Justina, w stronę tego człowieka wypowiadającego się okrągłymi zdaniami, tego jednoosobowego siedzącego naprzeciw niej komitetu.

- Ależ zrozumcie, ja nie wiem, kto zabił - protestuje Justin i wskazując na niedoskonałość w ich rozumowaniu, gapi się na nich pustym wzrokiem. - Nikogo nie wynająłem, nikomu nie wydałem poleceń. I nie mam nic wspólnego z morderstwem dokonany na mojej żonie. Nie w tym sensie, który sugerujecie. Nie chciałem i nie zaplanowałem go. - Jego głos załamuje się i wpada w kłopotliwe łkanie. - Żałuję jej bardziej, niż słowa mogą to wyrazić.

Jest w tym taka stanowczość, że funkcjonariusze policji przez chwilę nie wiedzą, co począć i wołą studiować singapurskie akwarele Glorii, wiszące rzędem nad ceglany kominkiem, każda wyceniona na "199 funtów bez cholernego VAT!", a na każdej to samo wyblakłe niebo i palma, i stado ptaków, i jej nazwisko literami na tyle krzykliwymi, żeby można je było przeczytać z drugiej strony ulicy, plus data dla wygody kolekcjonerów.

Wreszcie Rob, który dysponuje zuchwałością albo pewnością siebie charakterystyczną dla jego wieku, podnosi cienką, długą głowę i wyrzuca z siebie:

- Więc, jak rozumiem, nie miałeś nic przeciw temu, że Bluhm sypiał z twoją żoną? Zazwyczaj mężowie robią się trochę nerwowi w takiej sytuacji. - Rob zamyka nagle usta i czeka, aż Justin zrobi coś, co wedle jego słusznych oczekiwań oszukiwani mężowie powinni robić: zaszlocha, zaczerwieni się, wybuchnie wściekłością na swoje własne niedociągnięcia albo perfidię przyjaciół. Jeśli na to czekał, Justin rozczarował go.

- To po prostu nie ma sensu - odpowiada z taką mocą, że aż sam jest zaskoczony, prostuje się w krześle i rozgląda wokół, jakby chciał zobaczyć, kto nieproszony zabrał głos i dać mu reprimendę. - To może mieć sens dla gazet. Dla was. Dla mnie zawsze było to bez znaczenia i teraz jest bez znaczenia.

- Więc co ma znaczenie? - pyta Rob.

- Zawiodłem ją.

- Jak? Chyba nie w tych sprawach? Zawiodłeś ją w łóżku, tak? - drwi po męsku Rob.

Justin potrząsa głową.

- Odsuwając się. - Jego głos opadł do szeptu. - Pozwalając jej działać samej. Odchodząc od niej w myślach. Zawierając z nią niemoralny kontrakt. Taki, do którego nigdy nie powinienem dopuścić. I ona też nie powinna.

- Więc co się stało? - pyta Lesley, a jej głos jest słodki jak mleko po rozmyślnym grubiaństwie Roba.

- Szła za własnym sumieniem, a ja zajmowałem się swoją pracą. To było niemoralne rozróżnienie. Nigdy nie powinno się zdarzyć. To tak, jakbym wysyłał ją do kościoła i prosił, żeby modliła się za nas dwoje. Jakbym narysował kredą linię przez środek domu i powiedział, że zobaczymy się w łóżku.

Niezrażony szczerością tego wyznania i nocami, i dniami samooskarżania się, które musiały za tym stać, Rob rzuca wyzwanie. Jego smętna twarz stężała w tym samym pełnym niedowierzania uśmiešku, usta ma otwarte i zaokrąglone jak wylot lufy wielkiego pistoletu. Ale dziś Lesley jest od niego szybsza. Kobieta, która siedzi w funkcjonariuszu jest czujna i słyszy dźwięki, których agresywne samcze ucho Roba nie jest w stanie wychwycić. Rob odwraca się do niej, prosząc o pozwolenie na zrobienie czegoś: żeby może znów go podrażnić Arnoldem Bluhmem albo jakimś innym, wieloznacznym pytaniem, które doprowadzi go bliżej do sprawy mordu. Ale Lesley kręci głową i, unosząc rękę z okolic torby, dyskretnie poklepuje powietrze, co ma znaczyć: powoli, powoli.

- Więc, przede wszystkim, jak się spotkaliście? - pyta Justina, jakby chodziło o przypadkową znajomą z podróży.

I to było genialne z jej strony: wysłuchać go po kobiecemu, okazać mu zrozumienie człowieka obcego; powstrzymać wszystko i wyprowadzić go z pola bitwy, gdzie dziś jest, na spokojne łąki przeszłości. I Justin odpowiada na to wezwanie. Rozluźnia ramiona, przymyka oczy i odległym, osobistym tonem człowieka snującego wspomnienia opowiada, jak to było, dokładnie tak, jak opowiadał to sobie samemu setki razy przez wiele pełnych męki godzin.

- Więc kiedy państwo nie jest państwem, panie Quayle? - zapyta słodkim głosem Tessa, w południe, w Cambridge, cztery lata temu, w starej położonej na poddaszu sali wykładowej ze świetlikami, przez które wpadały do środka zakurzone promienie słoneczne. Pierwsze słowa, jakie zwróciła do niego, wywołały wybuch śmiechu ociężałego audytorium pięćdziesięciu kolegów-prawników, którzy podobnie jak Tessa zapisali się na dwutygodniowe seminarium prawa i społeczeństwa. I Justin opowiada teraz o tym. Mówi, jak doszło do tego, że stał sam na podium, w trzyczęściowym szarym flanelowym garniturze od Haywarda, trzymając się oburącz pulpitu. To była historia

jego życia. Mówił, nie zwracając się do nich bezpośrednio, słowa kierował do fałszywych tudorów jadalni Woodrowa.

- Quayle da sobie radę! - zawołał jakiś akolita w prywatnym gabinecie podsekretarza stanu. Było już późno, za jedenaście godzin miał się rozpocząć wykład. - Dawajcie Quayle'a!

Quayle, zawodowy kawaler, nadający się na różne placówki, rozkosz starszej ących się debiutantek, ostatni z wymierającego gatunku, dzięki Bogu, wrócił już z tej choleralnej Bośni. Wyznaczono go do Afryki, ale jeszcze jest w kraju. Quayle, zapasowy samiec, którego warto znać, jeśli wydaje się uroczysty obiad, ma perfekcyjne maniery i jest prawdopodobnie gejem - tyle, że nim nie jest, o czym wie kilka niezłe wyglądających żon, choć o tym raczej nie mówią.

- Justin, to ty? - Haggarty. Był w college'u o parę klas wyżej. Słuchaj, SPS ma jutro wykład w Cambridge dla grupy podnoszących kwalifikacje prawników, ale nie może tego zrobić. Za godzinę musi lecieć do Waszyngtonu...

I Justin, dobry chłop, już sam się przekonuje, że powinien go zastąpić:

- Wiesz, jeśli ma to zapisane, jak sądzę... jeśli to tylko kwestia przeczytania...

I Haggarty krótko stawia sprawę.

- Każę jego kierowcy, żeby zaparkował przed twoim domem równo o dziewiątej, ani minuty później. Ten wykład to gówno. Sam go napisał. Możesz go poprawić po drodze. Justin, jesteś porządny gość.

Więc pojechał tam, kolega-etończyk, fajny chłop, wygłaszając najnudniejszy wykład, jaki zdarzyło mu się w życiu słyszeć - protekcyjny, nadęty i przegadany jak jego autor, który w tej chwili spoczywał zapewne w podsekretarskich luksusach w Waszyngtonie. Nawet mu się nie śniło, że będzie musiał odpowiadać na pytania z sali, ale gdy Tessa zadała swoje, nie umiał odmówić jej odpowiedzi. Siedziała w geometrycznym środku pokoju i było to właściwe miejsce dla niej. Justin odniósł głupie wrażenie, że koledzy z rozmysłem zostawili wokół niej wolną przestrzeń z szacunku dla jej urody. Szeroki kołnierzyk białej bluzki sięgał, jak u niewinnej chórzystki, aż do podbródka. Jej bladeść i widmowa szczupłość ciała sprawiały, że wyglądała jak bezbronne, porzucone dziecko. Chciało się owinać ją w koc i chronić od przeziębienia. Promienie słoneczne ze świetlika błyszczały tak jasno w ciemnych włosach, że nie był w stanie dokładnie przyjrzeć się jej twarzy. Zobaczył wysokie, jasne czoło, poważne wielkie oczy i gładki podbródek znamionujący siłę. Ale podbródek był później. Na razie wyglądała jak anioł. O czym jeszcze nie wiedział, ale co później odkrył, istotnie była aniołem, tyle że z maczugą.

- Cóż, sądzę, że odpowiedzią na pani pytanie jest - zaczął Justin - i proszę mnie poprawić, jeśli ma pani inne zdanie - pomijał różnicę wieku i płci,

roztaczał atmosferę egalitaryzmu - że państwo przestaje być państwem, kiedy przestaje się wywiązywać ze swoich podstawowych obowiązków. Czy zasadniczo odpowiada to pani przekonaniom?

- A czym są te podstawowe obowiązki? - dopytywał się aniołek.

- Cóż... - odezwał się Justin, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza, musiał się więc uciec do znaków, które w jego pojęciu dawały mu pewne bezpieczeństwo, a nawet immunitet. - Cóż... - zakłopotany gest raki, etońskie dotknięcie siwiejących baczków palcem wskazującym, ręka znów na dół. - Powiedziałbym pani, że współcześnie, najogólniej rzecz ujmując, cechy państwa cywilizowanego to... powszechne wybory, hm... ochrona życia i własności, eee, sprawiedliwość, zdrowie i edukacja dla wszystkich, przynajmniej do pewnego poziomu... poza tym utrzymywanie zdrowej infrastruktury administracyjnej... i dróg, transportu, melioracji i tak dalej... i... co tam jeszcze? - a tak, proporcjonalne ściąganie podatków. Jeśli państwo nie jest w stanie wypełnić przynajmniej większości z tego, co wyżej wymieniałem - musimy powiedzieć, że umowa między państwem a obywatelami zaczyna słabnąć. A jeśli państwo nie wypełnia żadnej z wymienionych funkcji, staje się tym samym państwem niewydolnym, jak to się współcześnie mówi. Niepaństwem. - Dowcip. - Byłem państwem. - Znów dowcip, ale nadal nikt się nie śmieje. - Czy ta odpowiedź satysfakcjonuje panią?

Uznał, że aniołek potrzebuje chwili, żeby przemyśleć jego głęboką wypowiedź. Ale ona nie dała mu czasu i uderzyła znów.

- Czy wyobraża pan sobie sytuację, w której czułby się pan osobiście zobligowany do podkopania państwa?

- Ja osobiście? W tym kraju? Boże drogi, oczywiście, że nie - odparł Justin odpowiednio wstrząśnięty. - Skoro dopiero co wróciłem do domu. - Pogardliwy śmiech ze strony słuchaczy, którzy byli po stronie Tessy.

- W żadnych okolicznościach?

- W żadnych, które mógłbym sobie wyobrazić.

A co z innymi krajami?

- Cóż, nie jestem obywatelem innych krajów, prawda? - Śmiech przechylił się teraz na jego stronę. - Proszę mi wierzyć, reprezentowanie jednego kraju to wystarczająco dużo roboty. - Jeszcze głośniejszy śmiech, który jeszcze bardziej go umocnił. - Chcę przez to powiedzieć, że więcej niż jeden po prostu nie jest...

Szukał przymiotnika, ale ona zadała następny cios, zanim go znalazł: całą salwę ciosów, wycelowanych jeden po drugim w korpus i w głowę.

- Czy trzeba być obywatelem jakiegoś kraju, żeby go ocenić? Pan przecież negocjuje z innymi krajami, prawda? Zawiera pan z nimi umowy. Legitymizuje pan je poprzez umowy handlowe. Czy chce pan nam powiedzieć,

że jest jeden standard etyczny dla pańskiego kraju, a inny dla pozostałych? Właściwie, to co pan chce nam powiedzieć?

Justin najpierw poczuł zakłopotanie, a potem gniew. Przypomniał sobie, trochę za późno, że nadal jest bardzo zmęczony po swoim ostatnim pobycie w tej cholernej Bośni i teoretycznie powraca do sił. Przygotowywał się na pł acówkę w Afryce - prawdopodobnie jak zwykle makabryczną. Nie wrócił do Mateczki Anglii po to, żeby odegrać rolę chłopca do bicia w zastępstwie jakiegoś podsekretarza, nie mówiąc już o odczytaniu jego nędznego przemówienia. I niech go cholera, jeśli Justin Facet do Wzięcia da się postawić pod pręgierzem przez piękną czarownicę, która objawiła mu się jako cud bez podbródka. Rozległo się więcej śmiechów, ale był to śmiech balansujący na krawędzi, gotów przechylić się na jedną bądź drugą stronę. Doskonale: jeśli ona gra pod publiczność, to i on tak będzie robił. Zgrywając się najlepiej jak umiał, uniósł swoje doskonałe brwi i tak już je zostawił. Zrobił krok do przodu i wysunął ręce, dłońmi do przodu, jakby w samoobronie.

- Szanowna pani - zaczął - śmiech przechylił się na jego stronę. - Sądzę, proszę pani, właściwie bardzo się obawiam, że próbuje pani mnie wciągnąć w dyskusję na temat mojej moralności.

To stwierdzenie publiczność nagrodziła gromkimi brawami - wszyscy poza Tessą. Słońce, które oświetlało jej głowę, znikło i widział teraz jej piękną twarz, urażoną i odległą. I nagle zrozumiał ją bardzo dobrze - w tej chwili poznał ją lepiej niż samego siebie. Zrozumiał brzemień piękna i przekleństwo tego, że zawsze jest się wydarzeniem. Zrozumiał, że odniósł niechciane zwycięstwo. Znał swoje słabości i rozpoznawał je w niej. Uważała, że ze względu na swoją piękność ma obowiązek być słyszaną. Wystawiła się na ryzyko i źle jej to posłużyło, a teraz nie wiedziała, jak się wycofać. Przypomniał sobie okropne brednie, które właśnie odczytał, i łatwe odpowiedzi, których udzielił, i pomyślał: ona ma całkowitą rację, a ja jestem świnia, gorzej, podstarzałym smutasem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który sprawił, że ta sala zwróciła się przeciwko pięknej młodej dziewczynie. Najpierw zbił ją z nóg, a teraz śpieszył, żeby ją podnieść.

- Postarajmy się przez chwilę zachować serio - zwrócił się sztywniejącym głosem wprost do niej. Śmiech posłusznie zamarł. - Wskazała pani dokładnie tę kwestię, na którą nikt z nas, z międzynarodowej społeczności, nie zna odpowiedzi. Kim są ludzie w cylindrach? Czy jest etyczna polityka zagraniczna? Zgódźmy się co do tego, że to, co łączy współcześnie lepsze kraje, to pewna doza humanistycznego liberalizmu. Ale dzieli nas dokładnie to, o co pani zapytała: kiedy humanistyczne założenia państwo staje się nie do przyjęcia represyjne? Co się dzieje, kiedy zagraża ono narodowym interesom? Kto jest tym humanistą, kiedy nacisnąć guzik alarmowy w ONZ? We-

źmy na przykład Czeczenie, Birnę, Indonezję- weźmy trzy czwarte tak zwanych krajów rozwijających się...

I tak dalej, i tak dalej. Była to gadanina najgorszego rodzaju, sam byłby to skłonny przyznać pierwszy, ale pozwoliła zdjąć ją z krzyża.

Rozwinęła się swego rodzaju dyskusja, uformowały się stronnictwa, rozpracowywano płytkie zagadnienia. Spotkanie przeciągnęło siei dlatego uznano je za triumf.

- Chciałabym, żeby zabrał mnie pan na przechadzkę - powiedziała mu Tessa, gdy spotkanie dobiegło końca. - Może mi pan opowiedzieć o Bośni - dodała uprzejmie.

Spacerowali po ogrodach Clare College, a Justin, zamiast opowiadać jej o tej cholernej Bośni, podał jej nazwy wszystkich roślin, swoje imię i nazwisko i opowiedział, jak zarabia na życie. Trzymała go pod ramię i słuchała w milczeniu, czasem pytała: "dlaczego to robią?" albo: "jak się to dzieje?" I to sprawiało, że mówił dalej, za co z początku był jej wdzięczny, bo mówienie było jego sposobem na izolowanie się od ludzi - tyle że z Tessą przy boku stwierdził, że myśli nie tyle o izolowaniu się, co o tym, jak kruche są jej kostki wewnątrz tych modnych, ciężkich butów, które stawiała na przemian, gdy szli razem wąską ścieżką. Był przekonany, że jeśli upadnie do przodu, złamie sobie kości goleniowe. I jak lekko kołysze się przy nim, jakby nie szli, tylko płynęli. Po spacerze zjedli późny obiad we włoskiej restauracji. Kelnerzy flirtowali z nią, co go drażniło, dopóki nie wyszło na jaw, że Tessa sama jest w połowie Włoszką, co jakoś to usprawiedliwiło i pozwoliło Justinowi pochwalić się swoim włoskim, z którego był dumny. Ale wtedy zobaczył, jak posmutniała, zamyśliła się i jak opadły jej ręce, jakby nóż i widelec były dla niej za ciężkie, podobnie jak buty w ogrodzie.

- Obroniłeś mnie - powiedziała po włosku, z twarzą ukrytą we włosach. - Zawsze będziesz mnie chronił, prawda?

A Justin, jak zawsze uprzejmy do bólu, powiedział tak, cóż, jeśli go wezwie, oczywiście. Albo postara się dać z siebie wszystko. O ile pamiętał, były to jedyne słowa, które wymienili podczas lunchu, chociaż później, ku jego zadziwieniu, zapewniała go, że opowiadał błyskotliwie o przyszłym zagrożeniu konfliktami w Libanie, o którym nie myślał od czterech lat, i o demonizacji islamu przez zachodnie media, i o śmiechu wartej postawie zachodnich liberałów, którzy nie pozwalają, by ich ignorancja stała na drodze ich nietolerancji; i że była pod wielkim wrażeniem uczucia, które włożył w ten istotny temat, co bardzo zaskoczyło Justina, bo jak do tej pory był w tej sprawie w totalnej rozterce.

Ale potem z Justinem zaczęło się coś dziać, coś, czego ku swemu zdumieniu i przerażeniu nie był w stanie kontrolować. Przez zupełny przypadek

został wciągnięty w tę piękną grę i stał się jej więźniem. Znalazł się w innym żywiole, odgrywał w nim rolę, którą zawsze chciał zagrać w życiu, ale jak do tej pory nie udawało mu się. Raz czy dwa razy wyczuwał początek podobnych uczuć, ale nigdy z taką ekscytującą pewnością siebie i z takim brakiem opamiętania. A wszystko to działo się, gdy praktykujący kobieciarz, który w nim siedział, wysyłał złowieszcze i dobitne sygnały ostrzegawcze: przestań, to tylko kłopot, jest za młoda dla ciebie, zbyt prawdziwa, zbyt poważna, nie zna reguł gry.

To nie miało szans powodzenia. Po lunchu, gdy słońce nadal świeciło nad nimi, poszli nad rzekę i on udowadniał jej to, co wszyscy dobrzy kochankowie powinni udowadniać kobietom na rzece Cam - jaki jest zręczny, wytworny, beztroski, gdy balansuje w kamizelce na niebezpiecznej rufie płaskodennej łodzi, dzierżąc w dłoni drąg i dowcipnie konwersując w dwóch językach - i znów zaklinała się, że tak robił, choć wszystkim, co zapamiętała, było jej smukłe ciało sierotki w białej bluzie i czarnej spódnicy do jazdy konnej z rozcięciem z boku i poważne oczy patrzące na niego z uznaniem, którego nie umiał odwzajemnić, bo jeszcze nigdy w życiu nie był opanowany tak silnym pociąganiem, wobec którego czułby się tak bezsilny. Zapytała, gdzie uczył się ogrodnictwa, a on odpowiedział: "od naszych ogrodników". Zapytała, kim byli jego rodzice, a on musiał przyznać - niechętnie, pewny, że urazi to jej egalitarystyczne zasady - że jest dobrze urodzony i mocno nadziany i że ogrodnikom płacił jego ojciec, który także opłacał szereg nianiek i szkół z internatami, i uniwersytetów, i zagranicznych wakacji, i cze- gokolwiek, co byłoby potrzebne, żeby ułatwić mu wstęp do "firmy rodzinnej", jak ojciec nazywał Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Ale z ulgą spostrzegł, że uznała to za całkiem sensowny opis jego pochodzenia i wzajem poczyniła nieco zwierzeń. Wyznała, że też urodziła się z przywilejem. Ale oboje rodzice zmarli w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy, oboje na raka.

- Więc jestem sierotą- oznajmiła z udawaną beztroską- wolna, żeby mnie zabrać do dobrego domu.

Potem przez chwilę siedzieli osobno, pozostając jednak w ścisłym związku.

- Zapomniałem o samochodzie - powiedział w pewnej chwili, jakby to miało blokować dalsze sprawy.

- Gdzie go zaparkowałeś?

- Nie zaparkowałem. Jestem z kierowcą. To samochód rządowy.

- Nie możesz po niego zadzwonić?

Zdumiewające, ale miała telefon w torebce, a on numer komórki kierowcy w kieszeni. Zacumował łódź, usiadł obok niej i powiedział kierowcy, żeby wracał sam do Londynu. I to było tak, jakby wyrzucili kompas i znaleźli

się, z własnej woli, na obcym brzegu. Po wycieczce nad rzeką zabrała go do swojego mieszkania i kochała się z nim. A dlaczego to zrobiła, i kim dla niej był, gdy to robiła, i kim ona była dla niego i kim było każde z nich, zanim skończył się tydzień, wszystkie te tajemnice, które wyznała mu, gdy zasypywała go pocałunkami na stacji kolejowej, rozwiązane zostaną przez czas i praktykę. Prawda jest taka, powiedziała, że go kocha, a wszystko inne ułoży się, kiedy się pobiorą. Justin, zawładnięty obłędem, poczynił podobne, nierozsądne zapewnienia, powtarzał je i rozwodził się nad nimi, wszystko na fali szaleństwa, które mrJNpowodowało - podobało mu się to, mimo że w zakamarkach świadomości wiedział, że za każdą przesadą trzeba będzie kiedyś zapłacić.

Nie tała, że chciała starszego od siebie kochanka. Jak wielu pięknym młodym kobietom, które znał, niedobrze jej się robiło na widok rówieśników. Językiem, który w skrytości ducha odstręczał go, opisała siebie jako pindą, dziwkę z sercem i diabełkiem za skórą, ale był zbyt oczarowany, żeby ją poprawiać. Tych wyrażeń, co później odkrył, nauczyła się od ojca, którego od tego czasu nie cierpiał i musiał zadawać sobie trud, żeby to przed nią ukryć, bo mówiła o nim jak o świętym. Potrzebą miłości Justina wyjaśniła, odczuwała jak niezaspokojony głód, a Justin mógł tylko protestować, że to on coś takiego odczuwa, nie ma dwóch zdań. I z czasem uwierzył w to, co mówił.

Jego pierwszym odruchem, dwie doby po powrocie do Londynu, było uciec. Dopadło go tornado, a tornada, wiedział o tym z doświadczenia, czynią wiele szkód, niektóre przypadkiem, i przesuwały się dalej. Jego nowa posada w afrykańskiej dziurze nagle zaczęła wyglądać zachęcająco. Uroczyste zapewnienia o miłości niepokoiły go coraz bardziej, im bardziej je testował: to nie jest prawda, to ja w fałszywej roli. Przeżył wiele romansów i miał nadzieję na kilka następnych - ale były to układy przemyślane, z kobietami, które tak jak on nie miały ochoty zrezygnować ze zdrowego rozsądku na rzecz namiętności. Było też coś bardziej okrutnego: bał się jej wiary, bo jako pełnokrwisty pesymista wiedział, że sam w nic nie wierzy. Ani w naturę ludzką, ani w Boga, ani w przyszłość, a już z pewnością nie we wszechogarniającą siłę miłości. Człowiek jest nikczemny i tak będzie zawsze. Na świecie istnieje niewielka garstka ludzi rozumnych, do których Justin przypadkiem się zalicza. Ich zadaniem, wedle jego prostego przekonania, jest zapobieganie okrucieństwom dokonywanym przez rodzaj ludzki - z zastrzeżeniem, że jeśli obie strony są zdecydowane rozszarpać się na kawałki, rozsądny człowiek niewiele może zrobić, bez względu na to, jak bezwzględny będzie w wysiłkach, by powstrzymać bezwzględność. W końcu, powiedział sobie mistrz wzniosłego nihilizmu, wszyscy cywilizowani ludzie są współczesnymi

Julianami Apostatami, a przyplływ przybiera coraz prędej. I dlatego szczególnie pechowe było to, że Justin, który traktował każdą formę idealizmu z najgłębszym sceptycyzmem, wplątał się w romans z młodą kobietą, wprawdzie rozkosznie pozbawioną zahamowań, ale niezdolną do przejścia przez ulicę bez rozpatrzenia tego najpierw z punktu widzenia moralności. Jedynym sensownym wyjściem była ucieczka.

Z upływem tygodni i wraz z podejmowanymi przez niego próbami, mającymi delikatnie doprowadzić do zerwania, zagościło w nim uczucie. Obiadki, które miały stanowić melancholijne tło rozstania, zamieniały się w ucztę oczarowania, po których następowały coraz bardziej ekscytujące rozkosze seksualne. Zaczynał się wstydzic swojej potajemnej apostazji. Szalony idealizm Tessy bawił go, zamiast odstręczać - i nieodmiennie podniecał.

Do tej pory uważał, że bezkompromisowe przekonania są naturalnymi wrogami dyplomaty, że powinno się je lekceważyć albo wykpiwać, albo - jak niebezpieczną energię - kierować w bezpieczne kanały. Teraz, ku swemu zdziwieniu, widział w nich symbol odwagi, a w Tessie ich chorążego.

A z tym objawieniem przyszło nowe widzenie siebie. Już nie był pociechą starzejących się debiutantek, zwinnym kawalerem, unikającym zrecznie małżeństwa. Stał się pociesznym facetem, po ojcowsku adorującym piękną młodą dziewczynę, spełniającym każde jej życzenie, a kiedy chciała, pozwalającym jej na podejmowanie własnych decyzji. A przy tym był jej protektorem, opoką, pomocną dłonią, kochającym ogrodnikiem w słomianym kapeluszu. Porzuciwszy plany ucieczki, skierował kurs wprost na nią i - chciałby, żeby funkcjonariusze policji uwierzyli mu - nie pożałował tego, nigdy nie oglądał się za siebie.

- Nawet wtedy, kiedy stała się dla ciebie przyczyną kłopotów? - pyta Lesley. I ją, i Roba zaskoczyła jego otwartość, więc przez dłuższą chwilę milczała z szacunkiem.

- Tak, jak mówiłem. Były sprawy, co do których mieliśmy odmienne stanowisko. Czekałem. Albo się ustatkuje, albo Ministerstwo Spraw Zagranicznych przydzieli nam role, które nie byłyby sprzeczne. Status żon w służbie dyplomatycznej ciągle się zmienia. Nie wolno im zarabiać w krajach, gdzie mężowie są na placówkach. Muszą przeprowadzać się, gdy przeprowadza się mąż. W jednej chwili daje się im całkowitą swobodę, w następnej oczekuje się od nich, że będą się zachowywały jak dyplomatyczne gejsze.

- To Tessa mówi czy ty? - pyta z uśmiechem Lesley.

- Tessa nigdy nie chciała, żeby dawano jej wolność. Ona ją brała.

- A Bluhm nie wprowadzał cię w zakłopotanie? - pyta szorstko Rob.

- Ani tak, ani nie, ale Arnold Bluhm nie był jej kochankiem. Łączyły ich inne sprawy. Najskrytszym sekretem Tessy była jej cnota. Uwielbiała szokować.

Tego już za wiele jak na Roba.

- Przez cztery kolejne noce? - zaproponował. - We wspólnej chacie nad jeziorem Turkana? Dziewczyna taka jak Tessa? I ty poważnie chcesz, żebyśmy uwierzyli, że nie spali ze sobą?

- Wierzcie, w co chcecie - odpowiada. - Ja nie mam co do tego wątpliwości.

- Dlaczego?

- Bo mi powiedziała.

I na to nie ma żadnej odpowiedzi. Ale było jednak coś więcej, co Justin musiał powiedzieć, i krok po kroku, wspomagany pytaniami Lesley, wydobył to wreszcie z siebie.

- Wysłała za mąż za chodzący konwenans - zaczął dziwacznie. - Za mnie. Nie za jakiegoś uduchowionego uszczęśliwacza. Za mnie. Naprawdę nie możecie na nią patrzeć jak na kogoś egzotycznego. Wiedziałem - i ona też, gdy tu przybyliśmy - że będzie wszystkim, tylko nie dyplomatyczną gejszą, z których tak bardzo drwiła.

Zastanowił się, widząc ich pełne niedowierzania spojrzenia.

- Po śmierci rodziców przestraszyła się. Przy mnie, człowieku, który dawał jej poczucie stabilizacji, wycofała się z nazbyt rozhułkanej wolności. To była cena, którą gotowa była zapłacić za to, żeby już nigdy nie być sierotą.

- Co to zmieniło? - zapytała Lesley.

- My się zmieniliśmy - odparł z zapalem Justin. Miał na myśli inne "my". My, którzyśmy przeżyli. My, winni. -Nasze samozadowolenie -powiedział, zniżając głos. - To. -I uczynił gest obejmujący nie tylko jadalnię i szkaradne akwarele Glorii siedzące kominkowi na piersi, ale cały jego dom, jego mieszkańców i inne domy przy tej ulicy. - My, którzy płaciliśmy, żeby zobaczyć, co się dzieje, i woleliśmy sienie wtrącać. My, którzy przeszliśmy przez życie z opuszczonymi oczami.

- Czy to ona powiedziała?

- Ja to powiedziałem. Tak zaczęła na nas patrzeć. Urodziła się w bogatej rodzinie, ale nie miało to dla niej znaczenia. Nie była zainteresowana pieniędzmi. Potrzebowała ich znacznie mniej niż nowobogacy. Ale wiedziała, że nie ma wytłumaczenia dla obojętności wobec tego, co widziała i słyszała. Wiedziała, że musi spłacić dług.

Po tych słowach Lesley ogłasza przerwę do następnego dnia o tej samej porze, jeśli ci to odpowiada Justinie. No to świetnie".

A British Airways doszły chyba do podobnego wniosku, bo gasiły światła w kabinie pierwszej klasy i przyjmowały ostatnie zamówienia na noc.

Rob rozpiera się w krześle, a Lesley znów rozpakowuje swoje zabawki: kolorowe notatniki, ołówki, mały magnetofon, wczoraj nietknięty, kawałek gumki. Justin jest chorobliwie blady i ma wokół oczu siatkę cienkich jak włos zmarszczek, tak teraz wygląda rankami. Lekarz przepisałby mu świeże powietrze.

- Powiedziałeś, że nie masz nic wspólnego z zabójstwem twojej żony w sensie, który zasugerowaliśmy - przypomina mu Lesley. - Jaki jest inny sens, jeśli pozwolisz, że o to zapytamy? - I musi nachylić się nad stołem, żeby usłyszeć jego słowa.

- Powiniennem z nią pójść?

- Do Lokichoggio?

Kręci głową.

- Nad jezioro Turkana?

- Wszędzie.

- Tak ci powiedziała?

- Nie. Nigdy mnie nie krytykowała. Nigdy nie mówiliśmy sobie, co mamy robić. Mieliliśmy jedną sprzeczkę i dotyczyła ona metody, a nie zasady. Arnold nigd^ nie był zawadą.

- A czego dotyczyła ta spreczka? - pyta Rob stanowczo.

- Kiedy straciła dziecko, błagałem ją, żeby pozwoliła mi wywieźć się do Włoch albo do Anglii. Żeby pozwoliła wywieźć się dokądkolwiek. Nie chciała o tym słuchać. Miała misję, dzięki Bogu, powód do przetrwania, i to tutaj, w Nairobi. Wpadła na trop wielkiej społecznej niesprawiedliwości. Wielkiego przestępstwa: nazywała to i tak, i tak. Tylko tyle pozwoliła mi wiedzieć. W moim zawodzie wystudiowana niewiedza jest częścią sztuki. - Odwrócił się do okna i patrzył przez nie niewidzącym wzrokiem. - Widzicie, jak tutaj żyją ludzie w slumsach?

Lesley potrząsa głową.

- Raz mnie tam zabrała. W chwili słabości, powiedziała później, chciała mi pokazać swoje miejsce pracy. Poszła z nami Ghita Pearson. Ghita i Tessa jakoś naturalnie zbliżyły się do siebie. To był śmieszny związek. Matki obu były lekarzami, ojcowie prawnikami, obie zostały wychowane w katolicyzmie. Poszliśmy do ośrodka medycznego. Cztery betonowe ściany i cynowy dach i tysiąc ludzi czekających przed drzwiami. - Na chwilę zapomina, gdzie jest. - Nędzna na taką skalę ma własną filozofię. Nie można się o niej dowiedzieć wszystkiego w jedno popołudnie. Mimo to ciężko mi było od tego momentu iść Stanley Street bez... - znów przerwał. - Bez innego obrazu przed oczami.

Po śliskich unikach Woodrowa jego słowa brzmią jak ewangelia.

- Wielka niesprawiedliwość - wielka zbrodnia - to trzymało ją przy życiu. Nasze dziecko od pięciu tygodni nie żyło. Pozostawiona sama w domu, wpatrywała się nieobecny wzrokiem w ścianę. Mustafa dzwonił do mnie do pracy: "chodź, chodź, *mzee*, ona jest chora, ona jest chora". Ale to nie ja przywróciłem ją do życia. To Arnold. Arnold rozumiał. Arnold dzielił z nią tajemnicę. Wystarczyło, że usłyszała jego samochód na podjeździe i stała się kimś innym. "Co tam masz? Co tam masz?" Miała na myśli nowiny. Informację. Postępy prac. Kiedy odjeżdżał, wycofywała się do swojej pracowni i harowała do późna w nocy.

- Przy komputerze?

Chwila nieufności ze strony Justina. Przewyciężona.

- Miała papiery, miała też komputer. Telefon, z którego korzystała z wielką ostrożnością. I Arnolda, kiedy tylko dysponował czasem, żeby się do niej wyrwać.

- A ty nie miałeś nic przeciwko temu? - uśmiechnął się szyderczo Rob, w złym momencie wracając do napastliwego tonu. - Twoja żona przesiaduje beczynnie, czekając, aż pojawi się doktor Wspaniały?

- Tessa była zrozpaczona. Gdyby nawet potrzebowała stu Bluhmów, to jeśli o mnie chodzi, mogłaby mieć ich wszystkich na dowolnych warunkach.

- Ale ty nie wiesz nic o tym wielkim przestępstwie - podsumowała Lesley bez przekonania. - Nic. O co chodziło, kim były ofiary i najważniejsi gracze. Wszystko to trzymali w tajemnicy przed tobą. Bluhm i Tessa byli razem, a ty drżałeś z zimna za drzwiami.

- Dawałem im pewną swobodę - odparł wymijająco Justin.

- Ja po prostu nie rozumiem, jak udało się wam przetrwać - naciskała Lesley, odkładając notatnik i rozkładając ręce. - Z osobna, ale razem - tak to opisałeś - to tak, jakbyście nie rozmawiali z sobą, albo gorzej.

- Nie przetrwaliśmy - przypomniał jej Justin. - Tessa nie żyje.

Mogli pomyśleć, że czas intymnych zwierzeń się skończył i że nastąpi czas mieszania albo zażenowania, a nawet wypierania się. Ale Justin dopiero zaczął. Prostuje się gwałtownie, jak człowiek podnoszący stawkę w grze. Ręce opadają mu na biodra i już tam zostają, do dalszych dyspozycji. Głos odzyskuje siłę. Jakaś głęboka wewnętrzna siła wydobywa go na powierzchnię, niesie w stęchłym powietrzu cuchnącej jadalni Woodrowów, ciągle zalatującej sosem z poprzedniego dnia.

- Była taka porywcza - oświadczył z dumą, jeszcze raz odwołując się do słów, które wygłaszał do siebie godzinami. - Kochałem to w niej od początku.

Tak bardzo chciała, żebyśmy natychmiast mieli dziecko. Śmierć rodziców miała być zrekompensowana tak szybko, jak to możliwe! Po co czekać do ślubu? Powstrzymałem ją. Nie powinienem tego robić. Ustąpiłem przed konwenansem. Bóg jeden wie, dlaczego. "Doskonale", powiedziała, Jeśli musimy się pobrać, żeby mieć dziecko, pobierzmy się natychmiast". Więc pojechaliśmy do Włoch i pobraliśmy się natychmiast, dając świetny temat do żartów moim kolegom. — Sam jest rozbawiony. - Quayle zwariował! Stary Justin poślubił swoją córkę! Czy Tessa zdała już maturę? Kiedy po trzech latach prób zaszła w ciążę, płakała, ja też. Przerzywa, ale nikt się nie wtrąca.

- Ciąża ją zmieniła. Ale tylko na dobre. Tessa dorastała do macierzyństwa. Na zewnątrz pozostała lekkoduchem. Ale wewnątrz tworzyło się w niej głębokie poczucie odpowiedzialności. Jej prace humanitarne nabrały nowego znaczenia. Powiedziano mi, że nie ma w tym niczego niezwykłego. To, co do tej pory było ważne, stało się powołaniem, a praktycznie - przeznaczeniem. Była już w siódmym miesiącu, a nadal opiekowała się chorymi i umierającymi, potem wracała na jakiś nedorzeczny obiadek dyplomatyczny w mieście. Im bardziej zbliżały się narodziny dziecka, tym bardziej była zdecydowana uczynić ten świat lepszym dla niego. Nie tylko dla naszego dziecka. Dla wszystkich dzieci. Wtedy oddała serce afrykańskiemu szpitalowi. Gdybym zmusił ją, żeby poszła do jakiejś prywatnej kliniki, poszłaby, ale wtedy zdradziłbym ją.

- Jak to? - mruczy Lesley.

- Tessa rozgraniczała cierpienie obserwowane, od cierpienia, w którym się uczestniczy. Cierpienie obserwowane to cierpienie dziennikarskie, dyplomatyczne, telewizyjne, które przechodzi, jak tylko wyłączy się to paskudne pudło. Ci, którzy przyglądają się cierpieniu i nie robią nic, pisała, niewiele są lepsi od tych, którzy cierpienie zadają. To źli Samarytanie.

- Ale ona coś przecież robiła - zaproponowała Lesley.

- W związku z tym afrykańskim szpitalem. Czasami wspominała o porodzie w Kiberze. Szczęśliwie, Arnold i Ghita potrafili przywrócić jej poczucie proporcji. Arnold ma autorytet męczennika. Nie tylko leczył ofiary tortur w Algierii, ale sam był torturowany. Zasłużył na przepustkę do świata nędzy. Ja nie.

Rob chwytą się tego, jakby nie poruszano tematu już wiele razy.

- Trochę trudno było się tam dostać, prawda? Jakby piąte koło u wozu, co? Siedziałeś sobie w chmurach, ze swoim dyplomatycznym cierpieniem i komitetem wysokiego szczebla, co?

Ale wyrozumiałość Justina nie ma granic. Jest po prostu za dobrze wychowany, żeby się nie zgodzić.

- Wyłączyła mnie ze służby czynnej, tak to ujęła - przyznaje, ścisząc wstydliwie głos. - Wymyśliła pozornie słuszne argumenty, żeby mnie zwolnić. Twierdziła, że świat potrzebuje nas obojga: mnie wewnątrz systemu, jej na zewnątrz, na polu bitwy. "Należę do tych, którzy wierzą w państwo moralne", mawiała. "Jeśli wy, chłopaki, nie będziecie robić tego, co do was należy, jaka nadzieja pozostanie nam?" To była sofistyka i oboje o tym wiedzieliśmy. System mnie nie potrzebował. Ja ich też nie potrzebowałem. Jaki cel ma pisanie raportów, do których nikt nie zagląda i sugerowanie kroków, których nikt nie podejmuje? Tessie fałsz był obcy. Z wyjątkiem mojego przypadku. Dla mnie zakłamała się całkowicie.

- Czy kiedykolwiek się bała? - pyta Lesley, łagodnie, żeby nie naruszyć atmosfery wyznań.

Justin zastanawia się, potem pozwala sobie na półuśmiech.

- Kiedyś chwaliła się przed amerykańską panią ambasador, że strach to jedyne sześcioliterowe słowo, którego znaczenie jest jej obce. Ekszelencja nie była rozbawiona.

Lesley też się uśmiecha, ale tylko przez chwilę.

- A to postanowienie, żeby urodzić dziecko w afrykańskim szpitalu? - pyta ze wzrokiem utkwionym w notatniku. - Czy mógłbyś nam powiedzieć, kiedy i jak je podjęła?

- Znała pewną kobietę, z biednej wioski na północy, odwiedzaną przez nią regularnie. Z plemienia Wanza, nie znam jej imienia. Cierpiała na jakąś tajemniczą chorobę. Odizolowano ją i zastosowano specjalne leczenie. Przypadkiem znalazły się w tej samej sali szpitala Uhuru i Tessa zaprzyjaźniła się z nią.

Czy usłyszeli nutkę ostrożności, która wkradła się do jego głosu? Justin ją usłyszał.

- A co to za choroba?

- Była chora i w związku z tym mogła się stać groźna dla otoczenia.

- Miała AIDS?

- Nie wiem, czy ta choroba była związana z AIDS. Według mnie, oba-
wy dotyczyły czego innego.

- To niezwykle, prawda? Kobieta z wioski rodząca w szpitalu?

- Była pod obserwacją.

- Czyją obserwacją?

Justin po raz drugi cenzuruje się. Oszustwo nie przychodzi mu łatwo.

- Przypuszczam, że któreś z prywatnych klinik. W wiosce, czy w slumsach. Mam mgliste pojęcie o szpitalach, sam się dziwię, jak wielu rzeczy udało mi się nie wiedzieć.

- Wanza umarła, prawda?

- Umarła ostatniej nocy pobytu Tessy w szpitalu - odpowiada Justin, z ulgą rezygnując z rezerwy, żeby zrekonstruować przed ich oczami ten moment. - Byłem w sali przez cały wieczór, ale Tessa nalegała, żebym wrócił do domu i przespał się kilka godzin. To samo powiedziała Arnoldowi i Ghicie. Na zmianę czuwaliśmy u jej wezłowania, Arnold przyniósł składane łóżko. O czwartej nad ranem Tessa zadzwoniła do mnie. W jej sali nie było telefonu, więc skorzystała z aparatu w dyżurce pielęgniarek. Była zrozpaczona. Rozhisteryzowana byłoby może lepszym określeniem, ale kiedy Tessa wpada w histerię, nie podnosi głosu. Wanza zniknęła. Dziecko też. Obudziła się i zobaczyła, że łóżko Wanzy jest puste, a łóżeczko dziecka zniknęło. Pojechałem do szpitala Uhuru, jednocześnie zjawili się Arnold i Ghita. Tessa rozpacziała. Było tak, jakby w przeciągu kilku dni straciła drugie dziecko. Razem przekonaliśmy ją, że czas, by zaczęła dochodzić do siebie w domu. Skoro Wanza umarła, a dziecko zabrano, nic nie kazało jej tam pozostać.

- Tessa nie chciała zobaczyć ciała?

- Prosiła o to, ale powiedziano, że byłoby to niewłaściwe. Wanza nie żyła, a jej brat zabrał dziecko do wioski matki. Jeśli chodzi o szpital, sprawa była zakończona. Szpitale nie rozpamiętują śmierci - dodaje bogaty w doświadczenie po śmierci Gartha.

- Czy Arnoldowi udało się obejrzeć zwłoki?

- Spóźnił się. Zostały wysłane do kostnicy i tam zginęły.

Lesley szeroko otwiera oczy w niekłamanym zdziwieniu, a Rob, siedzący po drugiej stronie Justina, pochyla się szybko do przodu, chwytając magnetofon i sprawdza, czy w małym okienku widać przesuwającą się taśmę.

- Zginęły? Ciała nie giną! - krzyczy.

- Wręcz przeciwnie. Zapewniono mnie, że w Nairobi zdarza się to ciągle.

- A co ze świadectwem zgonu?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, ile dowiedziałem się od Arnolda i Tessy. Nic nie wiem o świadectwie zgonu. Nie wspomniano o tym.

- Nie było sekcji zwłok? - pyta Lesley rzeczowo.

- O ile wiem, żadnej.

- Czy Wanzę ktoś odwiedzał w szpitalu?

Justin rozważa pytanie, ale wyraźnie nie widzi powodu, żeby nie odpowiedzieć.

- Był jej brat, Kioko. Spał przy niej na podłodze albo odganiał od niej muchy. A Ghita Pearson widziała w tym punkt honoru, żeby z nią siadywać, gdy wołała Tessę.

- Ktoś jeszcze?

- Biały lekarz, ale nie jestem pewien.

- Że był biały?

- Że był lekarzem. Biały mężczyzna w białym kitlu. I ze stetoskopem.

- Sam?

Znów rezerwa osiadła na jego głosie jak cień.

- Towarzyszyła mu grupa studentów. Przynajmniej tak sądziłem. Byli młodzi, w białych fartuchach.

Z trzema złotymi pszczołami wyhaftowanymi na kieszonkach, mógłby dodać, ale coś go powstrzymało.

- Dlaczego powiedziałaś, że to studenci? Tessa ci mówiła?

- Nie.

- A Arnold?

- Arnold w ogóle o nich nie mówił w mojej obecności. Tak tylko przypuszczam. Byli młodzi.

- A ich szef? Ich doktor, jeśli był lekarzem. Czy Arnold mówił coś o nim?

- Nie do mnie. Jeśli miał wątpliwości, kierował je bezpośrednio do tego człowieka ze stetoskopem.

- W twojej obecności?

- Ale nie w zasięgu mojego słuchu. - Albo prawie nie.

Rob, podobnie jak Lesley, wychyla się do przodu, żeby wychwycić każde jego słowo.

- Opisz go.

Justin już to robi. Na krótki czas rozejmu dołączył do ich zespołu. Ale rezerwa nie opuściła jego głosu. Ostrożność malowała się wokół jego zmęczonych oczu.

- Arnold wziął tego człowieka na stronę. Za ramię. Tego człowieka ze stetoskopem. Rozmawiali ze sobą jak lekarze. Po cichu, na uboczu.

- Po angielsku?

- Tak mi się zdaje. Kiedy Arnold mówi po francusku albo w swahili, inaczej gestykuje. - A kiedy mówi po angielsku, używa wyższego tonu, mógłby dodać.

- Opisz tego faceta ze stetoskopem - zażądał Rob.

- Był krzepki. Wysoki. Pulchny. Rozczochrany. Przypominam sobie zamszowe buty. Nie jestem pewien, dlaczego. Ale wspomnienie butów przetrwało. Jego płaszcz był czymś przybrudzony. Zamszowe buty, brudny fartuch, czerwona twarz. Swego rodzaju showman. Gdyby nie ten biały fartuch, można by powiedzieć, że ma coś wspólnego z rozrywką. -I trzy złote pszczoły, zmatowiałe, ale widoczne, wyszyte na kieszonce, tak jak u pielęgniarki na plakacie z lotniska, pomyślał. - Wydawał się zawstydzony - dodał nagle.

- Czym?

- Swoją tam obecnością. Tym, co robił.

- Dlaczego to mówisz?
- Nie chciał patrzeć na Tessę. Na żadne z nas. Patrzył wszędzie, ale nie na nas.

- Kolor włosów?
- Jasny. Wpadający w rudy. Widać było, że pije. Rudawe włosy uwydatniały to. Słyszeliście o nim? Tessa była nim bardzo zainteresowana.

- Broda, wąsy?
- Gładko wygolony. Nie, nie był. Miał zarost, co najmniej jednodniowy. Koloru złotawego. Raz po raz pytała go o nazwisko, ale nie chciał się przedstawić.

Rob znów wkracza z hukiem.

- Na jaką rozmowę to wyglądało? - nalega. - Czy to była kłótnia? Czy przyjacielska pogawędka? Zapraszali się wzajemnie na lunch? O co chodziło?

Ostrożność wróciła. Niczego nie słyszałem. Tylko widziałem.

- Arnold jakby protestował - zarzucał mu coś. Lekarz zaprzeczał. Odniosłem wrażenie... - przerywa, potrzebuje czasu, żeby dobrać słowa. "Nie ufaj nikomu, powiedziała Tessa. Nikomu, tylko Ghicie i Arnoldowi. Obiecay mi". Obiecuję.

- Miałem wrażenie, że nie było to pierwsze nieporozumienie między nimi. To, czego byłem świadkiem, stanowiło fragment dłuższego sporu. Przynajmniej tak później myślałem. Że byłem świadkiem podjęcia na nowo działań wojennych między przeciwnikami.

- Dużo o tym rozmyślałeś.

- Tak. Tak, rozmyślałem - Justin zgadza się podejrzenie łatwo. - Miałem też wrażenie, że angielski nie jest rodzimym językiem lekarza.

- Nie rozmawiałeś o tym z Arnoldem i Tessą?

- Kiedy mężczyzna odszedł, Arnold wrócił do Tessy, wziął ją za puls i powiedział jej coś do ucha.

- I znów tego nie usłyszałeś?

- Nie i nie miałem tego usłyszeć. - Za słabo, myśli. Spróbuj mocniej. - Przyzwyczałem się już do tej roli - wyjaśnia, unikając ich spojrzeń. - Żeby zostawać poza jej kręgiem.

- Jakie lekarstwa dostawała Wanza? - pyta Lesley.

- Nie mam pojęcia.

Miał doskonałe pojęcie. Truciznę. Przywiózł Tessę ze szpitala i stał dwa stopnie poniżej niej na schodach do sypialni, trzymając w jednej ręce jej śpiwór, a w drugiej torbę z ubrankami, pościelą i pieluszkami Gartha, ale obserwował ją jak zapaśnik, bo Tessa, jak to ona, musiała zrobić wszystko sama. Kiedy zaczęła się chwiać, puścił torby i pochwycił ją, zanim kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Poczul jak strasznie jest lekka, jak dygocze

i rozpacza nie za zmarłym Garthem, ale za Waną. "Zabili ją!", wyrzuciła z siebie, prosto w jego twarz, bo był przy niej bardzo blisko. "Te dranie zabiły Wanę, Justinie! Zabili tą swoją trucizną". Kto to zrobił, kochanie?, zapytał i odgarnął jej mokre włosy z policzków i z czoła. Kto ją zabił? Powiedz mi. Otoczywszy rękami jej wychudzone plecy, pomógł jej powoli wejść na schody. Jacy dranie, kochana? Powiedz, kim są ci dranie. "Ci dranie z ThreeBees. Ci cholerni niby-lekarze. Ci, którzy na nas nie patrzyli!" O jakich lekarzach mówisz? - podniósł ją i położył na łóżku, żeby przypadkiem nie upadła. Jak się nazywają? Powiedz mi.

Z głębi swojego wewnętrznego świata słyszy, jak Lesley zadaje mu to samo pytanie.

- Czy nazwisko Lorbeer coś ci mówi?

Jeśli będziesz miał wątpliwości, kłam, powiedział sobie. Jeśli będziesz w piekle, kłam. Jeśli nie ufam nikomu - nawet sobie - jeśli muszę być lojalny tylko wobec zmarłej, kłamię.

- Obawiam się, że nie - odpowiada.

- Nie słyszałeś go przypadkowo? W jakichś urywkach rozmów telefonicznych między Arnoldem a Tessą? Lorbeer, Niemiec, Holender - może Szwejcar?

- Lorbeer. Nie kojarzy mi się z nikim.

- Kovacs - Węgielka? Ciemne włosy, podobno piękność?

- Czy ma jakieś imię? - Chce powiedzieć, że jej nie zna, ale tym razem to prawda.

- Żadne z nich nie ma imienia - odpowiada Lesley z pewną desperacją. - Emrich. Też kobieta. Ale blondynka. Nie? - W uznaniu klęski rzuca ołówki na stół. - Więc Wanza umiera - mówi. - Oficjalnie. Zabita przez mężczyznę, który nie chce na ciebie spojrzeć. A dzisiaj, sześć miesięcy później, nadal nie wiesz, na co umarła. Po prostu umarła.

- Nigdy mi tego nie powiedziano. Nawet jeśli Tessa albo Arnold znali przyczynę jej śmierci, to ja jej nie znałem.

Rob i Lesley oklapnęli w krzesłach jak dwoje zapaśników, którzy uzgodnili, że robią sobie przerwę. Rozparty Rob, z wyciągniętymi ramionami, schodzi ze sceny. Lesley pochyla się do przodu, podtrzymuje dłońmi podbródek, na jej mądrej twarzy maluje się smutek.

- A może to sobie wymyśliłeś? - pyta Justina spoza dłoni. - Całą tę historyjkę o umierającej Wanzy, jej dziecku, lekarzu, który się wstydził, studentach w białych fartuchach? Czy przypadkiem nie jest to stek kłamstw, od początku do końca?

- Cóż za śmieszny pomysł! Dlaczego, na Boga, miałbym marnować wasz czas, wymyślając takie historie?

- W szpitalu Uhuru nie ma akt Wanzy - wyjaśniał Rob przybity, nie zmieniając półleżącej pozycji. - Tessa istniała, twój biedny Garth też. Wanza nie. Nigdy jej tam nie było, nigdy jej nie wpuszczono, nigdy nie badał jej lekarz, prawdziwy czy nie. Jej dziecko nigdy się nie urodziło, nigdy nie umarła, jej ciało nigdy nie zostało zgubione, bo nie istniało. Les spróbowała porozmawiać z paroma pielęgniarzkami, ale one nic nie wiedzieć, *mzee*, prawda, Les?

- Ktoś szepnął im słówko, zanim ja to zrobiłam - wyjaśnia Lesley.

Justin odwrócił się, słysząc czyjś głos z tyłu. Ale to tylko steward, który zatroszczył się o jego cielesne wygody. Czy pan Brown nie potrzebuje pomocy w ustawieniu fotela? Dziękuję, pan Brown woli pozostać w pozycji pionowej. A może wideo? Dziękuję, nie, nie odczuwam takiej potrzeby. To może chciałby, żeby zasłonić okno? Nie, dziękuję - stanowczo - Justin woli, żeby jego okno otwarte było na kosmos. To może śliczny, ciepłutki kocyk dla pana Browna? Z nieuleczalnej uprzejmości, Justin przyjął koc i znów skierował wzrok na czarne okno, na czas, żeby zobaczyć Glorię, jak wchodzi bez pukania do jadalni z tacą kanapek posmarowanych pastą. Kładąc ją na stole, zerka na to, co Lesley napisała w swoim notatniku: bezowocnie, jak się okazuje, bo Lesley zręcznie odwraca kartkę.

- Nie przemęczycie naszego biednego gościa, prawda? On już i tak ma za dużo na głowie, prawda, Justinie?

I pocałunek w policzek Justina i teatralne wyjście, a oni, wszyscy troje, podskakują jak jeden mąż, żeby otworzyć drzwi klawiszowi, gdy odchodzi z pustą tacą po wypitej herbacie.

Przez chwilę po wtargnięciu Glorii rozmowa nie klei się. Żują kanapki, Lesley otwiera inny notatnik, niebieski. Rob, z pełnymi ustami, wyrzuca z siebie serię na pozór niepowiązanych pytań.

- Znasz kogoś, kto bez przerwy pali papierosy sportsman? - pyta tonem sugerującym, że palenie papierosów sportsman jest zbrodnią.

- Nic o tym nie wiem. Oboje nie znosiliśmy dymu z papierosów.

- Ale tak w ogóle, nie tylko w domu.

- Nie, nie znam.

- Znasz kogoś, kto ma zieloną długą ciężarówkę typu safari z szerokim rozstawem osi, w dobrym stanie, z kenijskimi tablicami?

- Wysoki Komisarz chęłpi się jakimś opancerzonym jeepem, ale nie wydaje mi się, żeby o to chodziło.

- Znasz jakichś facetów powyżej czterdziestki, dobrze zbudowanych, wyglądających na wojskowych, z wypolerowanymi butami, opalonych?
- Obawiam się, że nikt nie przychodzi mi na myśl - wyznaje Justin, uśmiechając się z ulgą, że wyszedł ze strefy zagrożenia.
- Słyszałeś kiedy o miejscu nazywanym Marsabit?
- Tak, tak mi się zdaje. Tak, Marsabit. Oczywiście, a co?
- Nic. Dobrze. W porządku. My też o nim słyszeliśmy. Gdzie to jest?
- Na skraju pustyni Chalbi.
- Więc na wschód od jeziora Turkana?
- O ile pamiętam, tak. To jakiś ośrodek. Miejsce spotkań wędrowców z całego północnego regionu.
- Byłeś tam?
- Niestety, nie.
- Znasz kogoś, kto był?
- Nie, nie sędzę.
- Wiesz coś o pomieszczeniach udostępnianych w Marsabit zmęczonym podróżnikom?
- Zdaje się, że tam są noclegi. I posterunek policji. I park narodowy.
- Ale nigdy tam nie byłeś. - Justin nie był. - Albo był tam ktoś przez ciebie wysłany. Dwa ktosie, na przykład? - Justin nie wysyłał nikogo. - To skąd wiesz o tym miejscu? Jesteś jasnowidzem?
- Kiedy wysyłajęmnie na placówkę do jakiegoś kraju, uważam za swój obowiązek przestudiować mapę.
- Docierają do nas wieści o zielonej, długiej ciężarówce typu safari z szerokim rozstawem kół, która zatrzymała się w Marsabit na dwie noce przed morderstwem, Justinie - wyjaśnia Lesley, przerywając rytualny pokaz agresji. - Jechało nią dwóch białych mężczyzn. Wyglądali na myśliwych. W dobrej formie, w twoim wieku, ubrani w khaki, lśniące buty, jak powiedział Rob. Nie rozmawiali z nikim, tylko między sobą. Nie flirtowali ze stadkiem szwedzkich dziewczyn przy barze. Kupili w sklepie zapasy. Paliwo, fajki, wodę, piwo, racje. Te fajki to były sportsmany, a piwo to whitecap w butelkach. Whitecap sprzedają tylko w butelkach. Wyjechali następnego dnia rano, kierując się na zachód przez pustynię. Jeśli jechali bez przerwy, mogli dotrzeć do brzegu jeziora Turkana następnego wieczoru. Mogło im się nawet udać dotrzeć do zatoki Allia. Puste butelki znalezione na miejscu przestępstwa były po piwie whitecap. Pety to były sportsmany.
- To pewnie naiwność z mojej strony, jeśli spytam, czy hotel w Marsabit prowadzi rejestr gości?
- Brakuje strony - obwieszcza triumfalnie Rob, poprawiając się w krzesło. - Nie w porę wyrwana. Do tego obsługa w Marsabit nic nie pamięta. Są tak

wystraszeni, że nie pamiętają własnych nazwisk. Przypuszczamy, że im też ktoś coś szepnął na ucho. Ci sami ludzie, którzy pogadali z personelem szpitala.

Ale to łabędzi śpiew Roba jako oprawcy Justina, prawda, którą sam sobie uzmysławia, bo chmurzy się i szarpie za ucho, i wygląda niemal przeprasza-
jąco, ale tymczasem Justin przyspiesza. Jego wzrok wędruje niez-mordowanie od Roba do Lesley i z powrotem. Czeka na następne pytanie i kiedy żadne się nie pojawia, zadaje własne.

- A co z rejestracją samochodów?

Ten pomysł wywołuje gromki śmiech.

- W Kenii? - pytają.

- No to spółki ubezpieczające samochody. Importerzy, dostawcy. W Kenii nie ma wielu długich, zielonych ciężarówek typu safari o szerokim rozstawie osi. Jeśliby je znaleźć...

- Niebiescy pracują na wysokich obrotach - mówi Rob. - Przed końcem tysiąclecia, jeśli będziemy mili, udzielą nam odpowiedzi. Szczerze mówiąc, importerzy nie byli tacy sprytni - mówi dalej, zerkając ukradkiem na Lesley. - Słyszałeś o spółce, która nazywa się Bell, Barker&Benjamin, znana też jako ThreeBees? Dożywotni prezes, niejaki sir Kenneth K. Curtiss, gracz w golfa i kanciarz, Kenny K dla przyjaciół?

- Każdy w Afryce słyszał o ThreeBees - mówi Justin, doprowadzając się do porządku. Jeśli masz wątpliwości, kłam. - To oryginał.

- Lubiany?

- Uwielbiany, to chyba lepsze słowo. Jest właścicielem popularnej kenijskiej drużyny piłkarskiej. I nosi czapkę baseballową przodem do tyłu - dodaje z niesmakiem, który sprawia, że wybuchają śmiechem.

- ThreeBees wykazały mnóstwo tego, co nazwałbym dobrymi chęciami, ale niewiele z tego wynikało - podejmuje Rob. - Są bardzo pomocni, ale niewiele z tego wynika. "Nie ma problemu, panie władzo! Będzie pan to miał przed lunchem, panie władzo!" Tyle że chodzi o lunch sprzed tygodnia.

- Obawiam się, że takich ludzi jest wokół sporo - ubolewa Justin z pełnym zrozumienia uśmiechem. - Czy próbowaliście z firmami ubezpieczającymi pojazdy?

- ThreeBees zajmują się także ubezpieczeniami. A czemuż nie? Za darmo ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, jeśli kupujesz jeden z ich pojazdów. No cóż, oni też nie udzielili wiele pomocy. Szczególnie, gdy sprawy doszły do zielonych ciężarówek typu safari w dobrym stanie.

- Rozumiem - mówi obojętnie Justin.

- Tessa nigdy się nie zajmowała ThreeBees, prawda? - pyta Rob zupełnie swobodnym tonem. - Kenny K stoi dość blisko tronu Moiego, a to mogło ją zdenerwować. Prawda?

- Tak, sądzę, że mogło - odpowiada Justin równie ogólnikowo. - Parę razy. Na pewno tak.

- A to mogłoby wyjaśnić, dlaczego nie otrzymujemy pomocy, o którą prosimy szanowną firmę ThreeBees w kwestii tajemniczego pojazdu i w jednej czy dwóch innych kwestiach, niezwiązanych z tym bezpośrednio. Oni liczą się również w innych dziedzinach, prawda? Od syropu na kaszel po odrzutowce dla wyższych warstw zarządzających, tak nam powiedzieli, prawda, Les?

Justin uśmiecha się z rezerwą, ale nie podejmuje tematu - choć kusi go śmieszna uwaga o pożyczonej chwale Napoleona albo absurdalnie przypadkowe więzy Tessy z Elbą. I kompletnie nie nawiązuje do tej nocy, kiedy przywiózł ją ze szpitala do domu ani do tych drani z ThreeBees, którzy zabili Wanę swoją trucizną.

- A więc nie było ich na czarnej liście Tessy, jak mówisz - stwierdza Rob. - Co jest doprawdy zadziwiające, jeśli wziąć pod uwagę to, co się o nich mówi. "Żelazna pięść w żelaznej rękawicy", o ile dobrze zapamiętałem, tak ostatnio opisał ich jakiś parlamentarzysta z Westminsteru, a propos jakiegoś zapomnianego skandalu. Nie zasłużył sobie na zaproszenie na safari, prawda, Les? - Les powiedziała, że w żadnym wypadku. - Kenny K i jego ThreeBees. Jak nazwa grupy rockowej. Ale Tessa, o ile wiesz, nie rzuciła na nich jednej ze swoich fatw?

- O ile wiem, nie - mówi Justin, uśmiechając się na słowo "fatwa".

Rob nie popuszcza.

- Ze względu na - sam nie wiem -jakiś przypadek, o którym wraz z Arnoldem dowiedzieli się podczas prac w terenie, powiedzmy - jakieś postępowanie niezgodne z etyką zawodową - z zakresu farmaceutyki? Ona była zainteresowana medyczną stroną zagadnienia, prawda? To tak jak Kenny K, kiedy nie jest na kursie golfa z chłopcami Moiego albo nie lata swoim gulfstreamem, żeby kupić jeszcze parę spółek.

- No, doprawdy - mówi Justin, ale z takim dystansem, czy nawet brakiem zainteresowania, że nie widać już perspektyw dalszej współpracy.

- Więc jeśli ci powiem, że Tessa i Arnold w ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie składali skargi do licznych oddziałów szeroko rozgałęzionej firmy ThreeBees - pisali listy, dzwonili, umawiali się na spotkania - i uparczywie odsyłano ich od Annasza do Kajfasza - to nadal będziesz twierdził, że tego w żadnym wypadku nie wiedziałeś? To było pytanie.

- Obawiam się, że nie wiedziałem.

- Tessa osobiście pisze serię wściekłych listów do Kenny'ego K. Są doręczane przez posłańca bądź pocztą poleconą. Dzwoni do jefgo-sekretarki trzy razy dziennie i bombarduje go mailami. Próbuje złapać go na farmie

aad jeziorem Naivasha i u wejścia do jego wspaniałych nowych biur, ale jego chłopcy powiadają go na czas i Kenny wychodzi tylną klatką schodową, ku wielkiemu ubawieniu swoich ludzi. To wszystko jest dla ciebie całkowitą nowością, tak ci dopomóż Bóg?

- Z Bogiem czy bez Boga, to dla mnie nowość.
- Mimo to nie wydajesz się zaskoczony.
- Nie? Dziwne. Wydawało mi się, że jestem zaskoczony. Może nie ujawniam swaich uczuć tak, jak powinienem - odpowiada Justin z mieszaniną złości i rezerwy, która zbija z tropu funkcjonariuszy, bo podnoszą głowy jakby w salucie na jego cześć.

Ale Justina nie interesują ich reakcje. Jego podstępny są z zupełnie innej stajni niż podstępny Wbodrowa. Tam, gdzie Woodrow pospiesznie zapomniał, Justin jest zalewany ze wszystkich stron przez na poły zapomniane wspomnienia: strzępki rozmów między Bluhmem a Tessą, których honorowo starał się nie słyszeć, ale teraz przypląły do niego; jej rozdrażnienie ukryte pod pozorem ciszy, kiedy w zasięgu jej słuchu ktoś wspominał Kenny'ego K - na przykład, jego bliskie wejście do Izby Lordów, które w Muthaiga Club uważano za pewne - na przykład, uporczywe pogłoski o fuzji Three-Bees i międzynarodowego konsorcjum większego nawet od spółki Kenny'ego. Wspomina jej nieprzejednany bojkot wszystkich produktów Three-Bees - jej antynapoleońską krucjatę, jak to ironicznie nazywał - począwszy od żywności i detergentów, której domowa armia ubogich Tessy nie miała prawa kupować pod karą śmierci, skończywszy na przydrożnych kawiarenkach i stacjach benzynowych, akumulatorach i olejach, których Justinowi nie wolno było używać, gdy wyjeżdżali gdzieś razem - i jej wściekle przeklinanie, za każdym razem, gdy plakat reklamowy spółki ze skradzionym emblematem Napoleona uśmiechał się do nich lubieżnie z billboardu.

- Wysłuchujemy wielu radykalnych zwierzeń, Justinie - oznajmia Lesley, wynurzając się z notatników, by kolejny raz przerwać tok jego myśli. - Czy Tessa była radykałem? Tam, skąd przybywamy, radykał to bojownik. "Jeśli coś ci się nie podoba, rzuć na to bombę", te rzeczy. Tessa nie miała z tym nic wspólnego, prawda? Arnold też nie. A może mieli?

Odpowiedź Justina naznaczona jest bezbarwnością projektów po wielokroć wysyłanych pedantycznemu szefowi departamentu.

- Tessa uważała, że nieodpowiedzialne dążenie spółek do zysku niszczy naszą planetę, a szczególnie rodzący się na niej świat. Pod przykrywką inwestowania, zachodni kapitał rozrywa naturalne związki w danym kraju i przyczynia się do powstania kleptokracji. Tak, można powiedzieć, przebie-

gało jej rozumowanie. W dzisiejszych czasach trudno je nazwać radykalnym. Słyszałem, jak mówiono podobnie w kuluarach międzynarodowej społeczności. Nawet w moim własnym Komitecie.

Znów przerywa, przypomina sobie nieprzyjemny widok otyłego Keny'ego K, odjeżdżającego od pierwszego dołka w Muthaiga Club w towarzystwie Tima Donohue, naszego odwiecznego głównego szpiega.

- Według tego samego rozumowania, pomoc dla Trzeciego Świata to wyzysk pod zmienioną nazwą - podejmuje wątek. - Beneficjentami są kraje, które dostarczają pieniądze na procent, lokalni politycy afrykańscy i urzędnicy, którzy biorą wielkie łapówki oraz zachodni zleceniobiorcy i handlarze bronią. Ofiarami padają prości ludzie, biedota i nędzarze. I dzieci, które nie mają przyszłości - kończy, cytując Tessę i wspominając Gartha.

- A ty w to wierzysz? - pyta Lesley.

- Dla mnie trochę za późno, żeby w cokolwiek wierzyć - odpowiada miękko Justin i na chwilę zapada cisza, zanim doda - już mniej miękkim głosem: - Tessa to był rzadki ptak: prawnik, który wierzył w sprawiedliwość.

- Po co jechali do Leakeya? - pyta Lesley, gdy już w milczeniu przyjęła do wiadomości jego słowa.

- Może Arnold miał tam załatwić jakieś sprawy dla swoich organizacji pozarządowych. Leakey nie lekceważył dobra Afrykanów.

- Może - zgadza się Lesley, pisząc coś w skupieniu w zielonym notatniku. - Spotkała go?

- Nie wiem.

- A Arnold?

- Nie mam pojęcia. Może powinniście zadać to pytanie Leakeyowi.

- Pan Leakey niczego o nich nie słyszał, dopóki nie włączył w ubiegłym tygodniu telewizora - odpowiada Lesley ponurym tonem. - Obecnie pan Leakey spędza większość czasu w Nairobi, usiłuje być panem Czyste Ręce dla Moiego i ciężko mu z tym idzie.

Rob patrzy na Lesley, oczekując jej aprobaty, i uzyskuje lekkie kiwnięcie głowy. Wychyla się naprzód i gwałtownie przesuwa magnetofon w stronę Justina:

- Co to jest biała zaraza? - pyta, a w jego napastliwym tonie tkwi jakby sugestia, że to Justin jest osobiście odpowiedzialny za jej rozprzestrzenianie się. - Biała zaraza - powtarza, widząc, że Justin się waha. - Co to jest. No, dalej.

Twarz Justina jest znów stoicko nieruchoma. Jego głos znajduje schronienie w skorupie oficjalności. Otwierają się przed nim ścieżki powiązań, ale należą one do Tessy i przemierzy je samotnie.

- Białą zarazę nazywano kiedyś powszechnie gruźlicą - oznajmia. - Na tą chorobę zmarł dziadek Tessy. Jako dziecko była świadkiem jego śmierci. Tessa miała książkę pod takim tytułem. - Ale nie dodał, że książka leżała przy jej łóżku, zanim zmieniła miejsce pobytu i trafiła do skórzanej torby.

Teraz, z kolei, Lesley jest ostrożna.

- Czy gruźlica interesowała ją jakoś specjalnie z tego powodu?

- Nie wiem, czy specjalnie. Sama dopiero co powiedziałaś, że jej praca w slumsach sprawiała, iż była zainteresowana wieloma kwestiami medycznymi. Gruźlica była jedną z nich.

- Ale skoro jej dziadek zmarł na tę chorobę...

- Tessa szczególnie nie lubiła sentymentalizmu, jaki w literaturze łączy się z chorobami - mówi surowo Justin. - Keats, Stevenson, Coleridge, Thomas Mann - mówiła, że ludzie, którzy uważają gruźlicę za romantyczną chorobę, powinni usiąść u łóża jej dziadka.

Rob ponownie naradza się z Lesley wzrokiem i znów uzyskuje jej milczące skinienie.

- Więc czy zdziwiłoby cię, gdybyś usłyszał, że podczas nieoficjalnego przeszukania mieszkania Arnolda Bluhma znaleźliśmy kopię starego listu, który wysłał do kierownika operacji marketingowych ThreeBees, ostrzegając go przed efektami ubocznymi nowego szybko działającego lekarstwa przeciwko gruźlicy, którym handluje firma?

Justin nie waha się ani przez sekundę. Niebezpieczna linia przesłuchania uaktywniła jego zdolności dyplomatyczne.

- Dlaczego miałyby to mnie zdziwić? Organizacja Bluhma była szczególnie zainteresowana lekarstwami dla Trzeciego Świata. Lekarstwa to afrykański skandal. Jeśli cokolwiek symbolizuje obojętność Zachodu na cierpienia Afryki, to właśnie żalony brak odpowiednich lekarstw i haniebnie wysokie ceny, które przez ostatnie trzydzieści lat wyznaczane są przez firmy farmaceutyczne - cytuję Tessę, ale bez odnośnika. - Jestem pewien, że Arnold pisał takie listy tuzinami.

- Ten był schowany - mówi Rob. - Pełen danych technicznych, których nie rozumiemy.

- Cóż, miejmy nadzieję, że będziecie mogli poprosić Arnolda, kiedy wróci, żeby to wam objaśnił - mówi sztywno Justin, nie próbując nawet ukryć niesmaku na myśl, że buszowali w rzeczach Bluhma i czytali listy bez jego wiedzy.

Lesley znów przejmuje pałeczkę.

- Tessa miała laptop, prawda?

- Owszem, miała.

- Jakiej produkcji?

- Nazwa mi umknęła. Mały, szary i japoński, tyle mogę powiedzieć.

Kłamie. Bez zająknięcia. On wie, oni wiedzą. Sądząc z ich twarzy, we wzajemnych stosunkach zapanowała atmosfera zawiedzionej przyjaźni. Ale nie po stronie Justina. Jedyne, co Justin robi, to uparta odmowa ukryta w dyplomatycznym wdzięku. To jest ta bitwa, do której zbroił się dniami i nocami, choć nie modlił się przy tym.

- Trzymała go w swojej pracowni, prawda? Tam, gdzie miała tablice do przypinania notatek, papiery i materiały naukowe.

- Tak, chyba że brała go ze sobą.
- Gromadziła w nim dokumentację, pisała listy?
- Tak sądzę.
- A maile?
- Często.
- I drukowała je z niego, prawda?
- Czasami.

- Jakies pięć, sześć miesięcy temu napisała długi tekst - około osiemnastu stron plus załączniki. Było to jakieś zażalenie na postępowanie niezgodne z etyką zawodową, przypuszczamy, że w sprawach medycznych albo farmaceutycznych, albo obu naraz. Była to historia choroby, opisująca coś bardzo poważnego, co stało się tu, w Kenii. Pokazywała ci to?

- Nie.
- Nie przeczytałeś tego bez jej wiedzy?
- Nie.
- Więc nic o tym nie wiesz. To chcesz powiedzieć?
- Obawiam się, że tak. - Słowa osłodzone pełnym żalu uśmiechem.
- My się tylko zastanawiamy, czy to miało coś wspólnego ze zbrodnią, którą, jak się jej zdawało, wysledziła.

- Rozumiem.
- I czy ThreeBees mogły mieć coś wspólnego z tą zbrodnią.
- To zawsze jest możliwe.
- Ale tobie tego nie pokazała? - naciska Lesley.
- Lesley, już parokrotnie mówiłem: nie. - O mały włos nie powiedział, "droga pani".

- Jak myślisz, czy to mogło w jakikolwiek sposób dotyczyć ThreeBees?
- Niestety, nie mam najmniejszego pojęcia.

Ale ma pojęcie. To straszny czas. Czas, gdy obawiał się, że może ją stracić; kiedy jej młoda twarz twardniała z dnia na dzień, a młode oczy nabrały ognia fanatyzmu; kiedy ślęczała, noc po nocy, przy laptopie w swoim małym biurze, otoczona stertami papieru poznaczonymi i zaopatrzonymi w odsyłacze, jak akta prawnicze; czas, gdy jadła, nie patrząc, co je, a potem

śpieszyła do swoich prac, nie mówiąc nawet do widzenia; czas, gdy nieśmia-
li wieśniacy z buszu przychodzili bezgłośnie pod boczne drzwi domu, żeby
ją odwiedzić, i siadali z nią na werandzie i jedli to, co przynosił im Mustafa.

- Więc nigdy nawet nie omawiała z tobą tego dokumentu? - Lesley udaje
niedowierzenie.

- Obawiam się, że nigdy.

- I nie rozmawiała o nim w twojej obecności - powiedzmy z Arnoldem
i Ghitą?

- W ciągu ostatnich miesięcy Tessa i Arnold trzymali Ghitę na dystans,
jak sądzę, dla jej dobra. Jeśli chodzi o mnie, odniosłem wrażenie, że w grun-
cie rzeczy mi nie ufają. Uważali, że w obliczu konfliktu interesów, uznam,
że jestem winien lojalność Koronie.

- A uznałbyś?

Nigdy, nigdy w życiu, myśli. Ale w odpowiedzi widać ambiwalencję,
której się po nim spodziewają.

- Ponieważ nie jest mi znany dokument, o którym mówicie, obawiam
się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Ale ten dokument mógł zostać wydrukowany z jej laptopa, prawda?
Ma osiemnaście stron - nawet jeśli ci go nie pokazała.

- Może. Może widział Bluhm. Albo jakiś przyjaciel.

- Więc gdzie teraz jest ten laptop? Teraz?

Wspaniale.

Woodrow mógłby się od niego uczyć.

Żadnej mowy ciała, żadnego drżenia w głosie, wydłużonej przerwy na
oddech.

- Szukałem na próżno laptopa wśród spisu rzeczy przedstawionego mi
przez kenijską policję. Podobnie jak kilka innych przedmiotów, niestety, nie
figurował na niej.

- W Loki nikt nie widział jej z laptopem - mówi Lesley.

- Nie sądzę, żeby sprawdzano jej bagaż osobisty.

- Nikt w Oazie nie widział, żeby go miała. Widziałeś laptop, gdy wio-
złeś ją na lotnisko?

- Wzięła ze sobą plecak, który zawsze nosiła w terenie. Ten plecak też
zniknął. Czasem chowała laptop do śpiwora. W Kenii samotne kobiety nie
powinny pokazywać publicznie drogiego sprzętu.

- Ale nie była sama, prawda? - przypomina mu Rob, a potem zapada
długa cisza - tak długa, że problemem staje się, kto pierwszy ma ją prze-
rwać.

- Co zabrałeś z sobą - mówi wreszcie Lesley - kiedy we wtorek rano
odwiedziłeś dom z Woodrowem?

Justin udaje, że sporządza w pamięci listę przedmiotów.

- Papiery rodzinne... prywatną korespondencję związaną z majątkiem rodzinnym Tessy... trochę koszul, skarpetki... ciemny garnitur na pogrzeb... kilka błyskotek o znaczeniu sentymentalnym... parę krawatów.

- Nic więcej?

- Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

- A co ci nie przychodzi do głowy? - pyta Rob.

Justin uśmiecha się znacząco, ale nie odpowiada.

- Rozmawialiśmy z Mustafą - mówi Lesley. - Zapytaliśmy go: Mustafą, gdzie jest laptop pani Tessy? Dziwnie się zachowywał. Raz mówił, że zabrała go z sobą, raz, że nie. Potem, że ukradli go dziennikarze. Jedyną osobą, która go nie wzięła, byłeś ty. Pomyśleliśmy, że cię osłania, ale niezbyt zrecznie.

- To jest, niestety, efekt zastraszania służby.

- Nie zastraszaliśmy go - oburza się wreszcie Lesley. - Byliśmy bardzo łagodni. Zapytaliśmy o tablicę do przypinania notatek. Co zrobiła z notatkami? Spalił je, powiedział. Kto mu kazał je spalić? Nikt. Kto mu powiedział, żeby oczyścić tablicę? Nikt. A już na pewno nie pan Justin. Uważamy, że cię kryje, nie za dobrze, i że to ty zabrałeś notatki, a nie Mustafa. Kryje cię też w sprawie laptopa.

Justin ponownie zapadł w stan sztucznej bez troski, który jest przekleństwem i cnotą w jego zawodzie.

- Mam wrażenie, że nie bierzecie pod uwagę różnic kulturowych. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że wzięła ze sobą laptop nad jezioro Turkana.

- I notatki z tablicy? Nie sądzę. Czy zabrałeś z domu jakieś dyskietki?

I przez chwilę - ale tylko przez chwilę - Justin przestał się mieć na baczności. Przez tę jedną chwilę zajęty był obojętnym zaprzeczaniem, a równocześnie, tak jak Lesley chciał uzyskać odpowiedź.

Nie, ale przyznaję, że ich szukałem. Była na nich większość jej korespondencji prawniczej. Miała zwyczaj wysyłania maili do swojego adwokata. I nie znalazłeś ich.

- Zawsze leżały na biurku - protestuje Justin, teraz aż wylewny w chęci podzielenia się kłopotem. - W ładnym pudełeczku z laki, które dał jej ten adwokat na ostatnie Boże Narodzenie - są nie tylko kuzynami, ale i starymi przyjaciółmi. Pudełko ma chińskie znaki. Tessa poprosiła, żeby jej chiński współpracownik przetłumaczył je. Ku jej zadowoleniu, napis okazał się tyradą przeciwko obmierzłym ludziom Zachodu. Mogę tylko przypuszczać, że spotkał je ten sam los, co komputer. Może dyskietki także zabrała do Loki.

Po co? - pyta sceptycznie Lesley.

- Zupełnie nie znam się na komputerach. Powiniennem, ale się nie znam. W spisie policyjnym nie było mowy o dyskietkach - dodaje, czekając na jej pomoc.

- Cokolwiek było na dyskietkach, jest szansa, że będzie i w laptopie - oświadcza Rob. - Chyba, że zapisywała na dyskietkach i wymazywała z twardego dysku. Ale po co byłoby to robić?

- Tessa miała bardzo rozwinięte poczucie bezpieczeństwa, jak już mówiłem.

Znów pełna zastanowienia cisza, w której uczestniczy Justin.

- Więc gdzie są teraz jej papiery? - pyta szorstko Rob.

- W drodze do Londynu.

- W bagażu dyplomatycznym?

- Przekazałem je w wybrany przeze mnie sposób. Ministerstwo Spraw Zagranicznych było mi bardzo pomocne.

Może to echo uników Woodrowa sprawia, że Lesley przesuwając się na skraj krzesła w wybuchu nieudawanej złości.

- Justinie!

- Tak?

- Tessa prowadziła badania. Prawda? Zapomnij o dyskietkach. Zapomnij o laptopie. Gdzie są papiery - wszystkie papiery? - zapytała. - I gdzie są notatki, zdjęte z tablicy?

Justin, znów uruchamiając swoje sztuczne ja, obdarzając tolerancyjnym zmarszczeniem brwi, co ma znaczyć, że choć postępuje nierozsądnie, on zrobi, co w jego mocy, żeby spełnić jej kaprysy.

- Bez wątplenia w moich rzeczach. Gdybyś zapytała, w której konkretnej walizce, mogłabyś mnie nieco zbić z tropu.

Lesley czeka, aż jej oddech się uspokoi.

- *Prosimy, żebyś otworzył cały swój bagaż. Prosimy, żebyś zabrał nas natychmiast na dół i pokazał nam wszystko, co zabrałeś z domu we wtorek rano.*

Wstaje, Rob czyni to samo i staje przy drzwiach. Tylko Justin nie rusza się z miejsca.

- Obawiam się, że to niemożliwe - mówi.

- Dlaczego? - parska Lesley.

- Z tego samego powodu, dla którego zabrałem te papiery. Są osobiste i prywatne. Nie pozwolę, żebyście je przeglądali, ani wy, ani nikt inny, zanim nie przejrzą ich osobiście.

Lesley czerwienieje.

- Gdyby to było w Anglii, Justinie, rzuciłabym ci w twarz nakaz sądowy, zanim byś się obejrzał.

- Niestety, to nie Anglia. Nie macie nakazu i, o ile wiem, żadnych, uprawnień w tym kraju.

Lesley ignoruje go.

- Gdyby to była Anglia, wydobyłabym nakaz, żeby przeszukać ten dom od piwnicy po strych. I zabrałabym każdą błyskotkę, każdy kawałek papieru, każdą dyskietkę, którą gwizdnąłeś z gabinetu Tessy. I laptop. Przeczesałabym wszystko.

- Ale już przeszukaliście mój dom, Lesley - protestuje łagodnie Justin, nie ruszając się z krzesła. - A nie sądzę, żeby Woodrow zgodził się na przeszukanie swojego domu, prawda? A ja z pewnością się nie zgodzę, żebyście w moim przypadku postąpili tak, jak w przypadku Arnolda, bez jego upoważnienia.

Lesley jest czerwona i ma skrzywioną minę skrzywdzonej kobiety. Rob, bardzo blady, patrzy tęsknie na swoje zaciśnięte pięści.

- Porozmawiamy o tym jutro rano - mówi groźnie Lesley, wychodząc.

Ale mimo tych płomiennych słów, nazajutrz nie przychodzi. Przez całą noc i rano Justin siedzi na skraju łóżka, czekając, aż Rob i Lesley wrócą, uzbrojeni w swoje nakazy, wezwania, pisma sądowe i oddział kenijskich glin, żeby wykonali za nich brudną robotę. Rozważa możliwości i kryjówki, tak jak to robił wcześniej całymi dniami. Myśli jak jeńiec wojenny, patrzy na podłogi, ściany i sufity: gdzie? Planuje wciągnięcie Glorii, żeby wyrzuciła dokumenty. Robi też inne plany, uwzględniające Mustafę i służącego Glorii. I jeszcze inne z udziałem Ghity. Ale jedyna wieść o inkwizytorach to telefon od Mildrena, który mówi, że funkcjonariusze musieli zająć się czymś innym i że nie ma wieści o Arnoldzie. A kiedy nadszedł czas pogrzebu, funkcjonariusze nadal byli zajęci gdzie indziej - a przynajmniej tak się wydaje Justinowi, który od czasu do czasu przygląda się żałobnikom i liczy nieobecnych przyjaciół.

Samolot wleciał w krainę wiecznego przedświt. Za oknem kabiny fale mroźnego morza toczyły się w bezbarwną nieskończoność. Otuleni białą pasażerowie spali w niesamowitych pozach zmarłych. Jakaś pasażerka miała podniesione ramię, jakby zastrzelono ją, gdy do kogoś machała. Jakiś pasażer otwierał usta w milczącym krzyku, a martwą rękę położył na sercu. Justin, wyprostowany i samotny, odwrócił z powrotem wzrok do okna. Jego twarz unosiła się w nim obok twarzy Tessy - maski ludzi, których niegdyś znał.

To jest po prostu jakiś cholerny koszmar! - krzyknął łysawy facet w ob- szernym brązowym płaszczu, wyszarpując Justinowi wózek bagażowy i dusząc go niedźwiedzim uściskiem. - To absolutne świństwo i pieprzona niesprawiedliwość, i cholerne okropieństwo. Najpierw Garth, teraz Tess.

- Dziękuję, Ham - powiedział Justin, odwzajemniając uścisk najlepiej jak umiał, biorąc pod uwagę to, że ramiona miał przyciśnięte do ciała. - I dziękuję, że pojawiłeś się o tak nieprzyzwoitej porze. Nie, ja to wezmę, dziękuję. Ty ponieś walizkę.

- Przyleciałbym na pogrzeb, gdybyś mi pozwolił! Chryste, Justinie!

- Lepiej, że pilnowałeś wszystkiego pod moją nieobecność - odparł uprzejmie Justin.

- Ten garnitur jest wystarczająco ciepły? Zimno tu jak cholera po słonecznej Afryce, prawda?

Arthur Luigi Hammond był jedynym wspólnikiem firmy Hammond Manzini of London and Turin. Ojcowie Hama i Tessy świetnie się bawili, studiując prawo w Oksfordzie, a potem w Mediolanie. Jednego dnia w wysokim kościele w Turynie ożenili się z dwiema siostrami, włoskimi arystokratkami. Obie były słynnymi pięknościami. Jedna z nich urodziła Tesse, druga wydała na świat Hama. Dzieci, dorastając, spędzały razem wakacje na Elbie, razem jeździły na nartach w Cortinie i jak brat i siostra wspólnie ukończyli uniwersytet. Ham na ciężko wywalczonych trójkach, Tessa z najwyższą lokatą. Od śmierci rodziców Tessy, Ham odgrywał rolę mądrego wujka, gorliwie strzegąc majątku rodziny i czyniąc rujnująco roztropne inwestycje. Angażując cały autorytet, który nadawała mu przedwczesna łysina, okiełznymał porywy szczodrości kuzynki i zapominał o należnych mu honorariach. Był wielki, różowy i lśniący, miał błyszczące oczy i miękkie policzki, które marszczyły się albo rozciągały w uśmiechu w zależności od wewnętrznej aury. Tessa mawiała, że kiedy Ham gra w remika, po szerokości jego uśmiechu można poznać, jakie ma karty, zanim sam je obejrzy.

- Upchnij to z tyłu! - ryknął, kiedy dowlekli się do jego malutkiego samochodu. - No dobrze, niech zatem leży na podłodze. Co jest w środku? Heroina?

- Kokaina - odparł Justin, dyskretnie przypatrując się szeregowi oszronionych aut. W punkcie kontrolnym dwie funkcjonariuszki z rzucającą się w oczy obojętnością pozwoliły mu przejść. W sali bagażowej dwóch nijakich facetów w garniturach z przypiętymi identyfikatorami przyglądało się wszystkim, tylko nie Justinowi. O trzy samochody od wozu Hama, mężczyzna

i kobieta na przednim siedzeniu beżowego forda studiowali mapę. "Panie, w cywilizowanym kraju nigdy nic nie wiadomo - powtarzał znudzony instruktor na kursie zasad bezpieczeństwa. - Najwygodniej uznać, że saprzymy was przez cały czas".

- Wszystko na miejscu? - zapytał nieśmiało Ham, zapinając pas.

Anglia była piękna. Nisko padające promienie porannego słońca ozlacały zaorane pola Sussex. Ham jak zwykle jechał sześćdziesiąt pięć mil na godzinę tam, gdzie dozwolone było siedemdziesiąt, dziesięć metrów za dymiącą rurą wydechową najbliższej ciężarówki.

- Meg przesyła pozdrowienia - oznajmił szorstko. Mówił o swojej bardzo ciężarnej żonie. - Zapłakana od tygodnia. Ja też. Ryczałbym teraz, gdybym nie musiał tak cholernie uważać.

- Przykro mi, Ham - powiedział zwyczajnie Justin, przyjmując bez rozgoryczenia, że Ham należy do tego rodzaju ludzi, którzy są bardziej zmarzwieni od żałobników.

- Chciałbym, żeby znaleźli gnoja i tyle - wybuchł Ham kilka minut później. - A jak już go powieszą, niechby wrzucili tych sukinsynów z Fleet Street do Tamizy, dla proporcji. Tak byłoby lepiej - dodał.

Znów jechali w milczeniu, Ham patrzył wilkiem na dymiącą ciężarówkę przed nimi, Justin obserwował z zakłopotaniem obcy kraj, który reprezentował przez pół życia. Beżowy ford wyprzedził ich, zastąpił go pulchny motocyklista w czarnej skórce. "W cywilizowanym kraju nigdy nic nie wiadomo".

- Tak na marginesie, jesteś bogaty - wyrzucił z siebie Ham, gdy pola ustąpiły przedmieściom. - To nie znaczy, że wcześniej byłeś biedakiem, ale teraz jesteś bogaty do obrzydliwości. Po jej matce, po jej ojcu, majątek rodziny, cały kram. W dodatku jesteś jedynym powiernikiem jej działalności charytatywnej. Powiedziała, że będziesz wiedział, co zrobić.

- Kiedy to powiedziała?

- Na miesiąc przed poronieniem. Chciała, żeby wszystko było w porządku, na wypadek, gdyby umarła przy porodzie. No i co, do cholery, miałem zrobić?! - zawołał, biorąc milczenie Justina za wyrzut. - Była moją klientką. Ja byłem jej adwokatem. Wyperswadować jej to? Zadzwonić do ciebie?

Patrząc w lusterko boczne, Justin zaczął łagodząco pomrukiwać.

- A cholernym wykonawcą testamentu jest Bluhm - dodał wściekłym głosem Ham. - A raczej oprawcą.

Szacowna siedziba firmy Hammond Manzini usytuowana była w przegrodzonym bramą zaułku, noszącym nazwę Ely Place na dwóch najwyższych, krętych poziomach, gdzie na wykładanych boazerią ścianach wisiały zakurzone obrazy, przedstawiające znakomitych nieboszczyków. Za dwie godziny dwujęzyczni urzędnicy będą coś mamrotać do brudnych telefonów,

a sekretarki Hama zaczną zmagania z nowoczesną techniką. Ale o siódmej rano Ely Place było puste, nie licząc kilkunastu samochodów zaparkowanych wzdłuż krawężnika i żółtego światelka płonącego w kaplicy Św. Ethelreda. Uginając się pod ciężarem bagaży, wspinali się cztery chybotliwe kondygnacje do biura Hania, a potem na piątą do jego mnisiej dziury na poddaszu. W małej pokojo-kuchnio-jadalni wisiała fotografia szczuplejszego Hama, strzelającego bramkę ku uciesze tłumu studentów. W małej sypialence, gdzie Justin miał się przebrać, Ham i jego świeżo poślubiona Meg kroili trzypiętrowy tort weselny przy fanfarach włoskich trębaczy w rajtach. A w małej łazience, gdzie brał prysznic, wisiał prymitywny obraz olejny przedstawiający rodzinny dom Hama w chłodnej Nortumbrii. Była to ilustracja wyjaśniająca ubóstwo Hama.

- Zerwało ten cholerny dach nad północnym skrzydłem! - ryczał dumnie z kuchni, gdzie rozbijał jajka i hałasował patelniami. - Kominy, dachówki, kurki na dachu, zegar, rozwalone co do jednego. Meg wyjechała do Rosanne, dzięki Bogu. Gdyby stała w ogrodzie warzywnym, zwałoby się na nią wszystko.

Justin odkręcił kurek z gorącą wodą i natychmiast sparzył sobie dłoń.

- Jakież to musiał być dla niej wstrząs - powiedział współczująco, odkręcając zimną wodę.

- Wysłała mi tę nadzwyczajną książeczkę na Boże Narodzenie - huczał Ham poprzez skwierczenie bekonu. - Nie Meg. Tess. Pokazywała ci ją? Tę książeczkę, którą mi przysłała? Na Boże Narodzenie?

- Nie, Ham, nie sądzę, żeby mi ją pokazywała... - Z braku szamponu wcierał we włosy mydło.

- Jakiś indyjski gościu, mistyk. Rahmi Śmahmi. Coś ci to mówi? Zaraz sobie przypomnę, jak mu było.

- Obawiam się, że nie pamiętam.

- Wszystko o tym, że powinniśmy się kochać bez zobowiązań. Uderzyło mnie to.

Oślepiiony mydłem Justin wydał współczujący pomruk.

- *Wolność, miłość i działanie* - to tytuł. Co ona chciała ode mnie, że bym zaczął z wolnością, miłością i działaniem? Jestem żonaty, do kurwy nędzy. Dziecko w drodze. No i jestem katolikiem. Tess też była katoliczką, zanim nie rzuciła tego w diabły. Narwana dziewczyna.

- Chciała ci pewnie podziękować za chodzenie za jej sprawami - zasugerował Justin, ostrożnie nie wychodząc poza swobodny styl rozmowy.

Chwilowa przerwa po drugiej stronie ściany. Głośniejsze skwierczenie, po którym nastąpiły straszliwe przekleństwa i rozszedł się zapach spalony.

- Jakie chodzenie? - huknął podejrzliwie Ham. - Przecież miałaś o niczym nie wiedzieć. Tessa chciała, żeby to była absolutna tajemnica. "Całkowicie poza wiedzą Justina". Pisała o tym w każdym mailu.

Justin znalazł ręcznik, ale przecieranie oczu sprawiło, że piekły go jeszcze bardziej.

- Właściwie nie wiedziałem niczego konkretnego, Ham. Trochę odgadłem - wyjaśniał zza ściany z tą samą udawaną swobodą. - Czego od ciebie chciała? Żebyś wysadził w powietrze parlament? Zatrzał zbiorniki z wodą? - Brak odpowiedzi. Ham pochłonięty był gotowaniem. Justin sięgnął po czystą koszulę. - Tylko mi nie mów, że kazała ci rozdawać wywrotowe ulotki o zadłużeniu Trzeciego Świata.

- Jakieś cholerne dane dotyczące spółek - usłyszał w odpowiedzi poprzez jeszcze głośniejsze pobrząkiwanie rondli. - Dla ciebie dwa jajka czy jedno? To od naszych kur.

- Jedno wystarczy, dziękuję. Jakie dane?

- Wszystko ją interesowało. Jak tylko wpadło jej do głowy, że tyje i jest mi za wygodnie: buch, już jest kolejny mail o spółkach. - Głośniejsze trzaskanie patelniami odwróciło uwagę Hama od tematu. - Dużo gawędziłiśmy sobie przy tenisie, wiesz? W Turynie. Ta mała flirtiera i ja w debłu w zawodach amatorskich. Łgała jak najęta przez cały czas. Za każdym razem jak było przy linii, krzyczała: aut. Mogło być o metr od linii, nic nie szkodzi. Aut. "Jestem Włoszką", powiedziała. "Wolno mi". "Jak cholera", powiedziałem. "Jesteś Angielką do szpiku kości, tak jak ja jestem Anglikiem". Bóg raczy wiedzieć, co musiałbym zrobić, gdybyśmy wygrali. Chyba oddać puchar. Nie, nie oddałbym. Zabiłaby mnie. O Chryste. Przepraszam.

Justin wszedł do pokoju, żeby zasiąść do ociekającej tłuszczem hałdy bekonu, jaj, kielbasy, podsmażanego chleba i pomidorów. Ham stał z ręką przytkniętą do ust, oszołomiony nieszczęśliwym doborem metafor.

- A jakie to spółki, Ham? Nie stój tak. Odbierasz mi apetyt na śniadanie.

- Prywatne - powiedział Ham przez palce, siadając naprzeciwko Justina. - Cała sprawa dotyczyła własności. Kto jest właścicielem tych spółeczek na wyspie Man. Wszyscy na nią mówili Tess, co? - zapytał, nadal zawstydzony. - Poza mną?

- Nie w mojej obecności. I na pewno nie w jej obecności. Ty miałaś wyłączne prawo, żeby mówić Tess.

- Kochałem ją jak diabli.

- A ona kochała ciebie. Jakie to spółki?

- Własności intelektualnej. Nigdy tego z nią nie robiłem, wiesz? Za bliskie pokrewieństwo.

- Gdybyś się nad tym zastanawiał, tak samo było z Bluhmem.

- Poważnie?
- I też jej nie zabił. Nie bardziej niż ty, czyja.
- To pewne?
- Pewne.

Ham pojaśniał.

- Meg nie była przekonana. Nie знаła Tess tak, jak ja ją znałem, rozumiesz. Tego nie możnaczywiście zastąpić. "Tess ma kumpli" - mówiłem jej. - "Kolesiów. Demon seksu w to nie wchodzi". Jeśli nie masz nic przeciw temu, powtórzę jej to, co teraz powiedziałeś. To ją pocieszy, po tym całym łajnie w gazetach. Muszę się z tego wynurzyć.

- Wiec gdzie były zarejestrowane te spółki? Jak się nazywały? Pamiętasz?

- Jasne, że pamiętam. Nie mogłem nie zapamiętać, skoro Tess wierciła mi dziurę w brzuchu co drugi dzień.

Zrzędując, nalewał herbatę. Trzymał czajniczek oburącz, jedną ręką naczynko, drugą wieczko, żeby nie spadło. Dokończywszy operacji, usiadł ciągle z imbrykiem w rękach, a potem nachylił głowę, jakby miał zamiar kogoś zaatakować bykiem.

- No dobrze - powiedział napastliwie. - Podaj najbardziej tajną, obłudną, zakłamaną bandę hipokrytów na wysokich stołkach w biznesie, a będę miał wątpliwą przyjemność ich rozpoznać.

- Zbrojenia - sugestia Justina nie była zbyt pomysłowa.

- Błąd. Farmaceutyki. Biją przemysł zbrojeniowy na głowę. Poznałem ich. Lorpharma i Pharmabeer.

- Kto?

- Pisali o tym w jakimś medycznym szmatławcu. Lorpharma odkryła cząsteczkę, a Pharmabeer jest właścicielem procesu produkcyjnego. Jak ci faceci wymyślają podobne nazwy, Bóg jeden wie.

- Jakiego procesu?

- Produkcji molekuł, dupku, a co myślałeś?

- Jakich molekuł?

- Nie wiem. To coś takiego jak prawo, tyle że gorsze. Słowa, których nigdy wcześniej nie czytałem i mam nadzieję, że nigdy nie przeczytam. Epatowanie giełdy szczegółami technicznymi dla zmyłki.

Po śniadaniu zeszli razem na dół i włożyli skórzaną torbę do sejfii Hama obok jego biura. Ze ściągniętymi na znak dyskrecji wargami i oczami wzniesionymi do nieba, Ham wykręcił kombinację cyfr i odciągnął stalowe drzwi, żeby Justin mógł sam wejść do środka. Patrzył z progu, jak Justin stawia torbę na podłodze obok stosu pociemniałych ze starości skórzanych pudeł z turyńskim adresem firmy wytłoczonym na wiekach.

- Zauważ, że to dopiero początek - ostrzegł go ponuro Ham, z udawanym oburzeniem. - Runda kłusaków przed właściwym wyścigiem. Były tam też nazwiska dyrektorów wszystkich spółek należących do Karela Vita Hudson z Vancouver, Seattle, Bazylei i całej gromady innych miast. "Jak kształtują się kursy akcji w związku z szeroko rozpowszechnionymi pogłoskami o zbliżającym się upadku szacownej i starej firmy Bydlak, Bułgaria & Bumcyk Limited, czy jak ich tam zwa, znanej inaczej jako ThreeBees, której dożywnym prezesem i władcą jest niejaki Kenneth K. Curtiss?" Pewnie się zastanawiasz, czy miała jakieś pytania? Tak, do cholery, miała. Powiedziałem jej, żeby ściągnęła to z Internetu, ale odpisała, że połowa materiału, którego potrzebuje, jest zakodowana albo coś tam jeszcze, co się robi, jeśli się nie chce, żeby publika zaglądała przez ramię. Powiedziałem jej - "Tess, Chryste Panie, to mi zajmie całe tygodnie. Miesiące". Ale się tym nie przejęła? To była cała Tess. Wyskoczyłbym z balkonu bez spadochronu, gdyby mi kazała.

- I co z tego wynikło?

Ham już pałał niewinną dumą.

- KVH Vancouver i Bazylea jest właścicielem pięćdziesięciu jeden procent zafajdanych spółek biotechnologicznych z wyspy Man. Lor-tentego i Pharma-coś tam. ThreeBees z Nairobi mają wyłączne prawa na import i dystrybucję wyżej wymienionych molekuł i wszystkich pochodnych na cały kontynent afrykański.

- Ham, jesteś niesamowity!

- Lorpharma i Pharmabeer należą do tej samej bandy trojga. Albo należały, póki nie sprzedali pięćdziesięciu jeden procent. Jeden facet, dwa babka. Facet nazywa się Lorbeer. Lor plus beer plus pharma daje Lorpharma i Pharmabeer. Obie baby są doktorami. Pisać na adres szwajcarskiego krasnoludka, który mieszka w skrytce pocztowej w Lichtensteinie.

- Nazwiska?

- Lara Ktośtam. Mam ją w notatkach. Lara Emrich. Chwytasz.

A ta druga?

- Zapomniałem. Nie, nie zapomniałem. Kovacs. Nie podano imienia. W Larze się kochałem, to moja ulubiona piosenka. Kiedyś. *Z Doktora Żiwago*. Naszej Tess też. Kurwa. - Ham przerywa, żeby wydmuchać nos, a Justin czeka.

- Więc co zrobiłeś z tą złotą żyłą, Ham? - pyta czule.

- Zadzwoiłem do Nairobi i przeczytałem jej to wszystko przez telefon. Rozpływała się z wdzięczności. Nazwała mnie swoim bohaterem... - przerwał zaniepokojony wyrazem twarzy Justina. - To nie był twój telefon, idioty. Jakiegoś jej kolegi z buszu. "Musisz iść do budki telefonicznej, Ham,

i zadzwonić na ten numer. Masz pióro?" Lubiała się rządzić, mała kózka, zawsze taka była. Cholernie uważała na telefony. To trochę paranoidalne, moim zdaniem. Ale niektórzy paranoicy mają prawdziwych wrogów, nie?

- Tessa miała - zgodził się Justin, a Ham popatrzył na niego dziwnie, tym dziwniej, im dłużej mu się przyglądał.

- Nie sądzisz chyba, że to przez to? - zapytał cicho.

- Jak to?

- Mydlisz, że nasza Tess podpadła facetom od farmaceutyków?

- Niewykluczone.

- Ale przecież, Chryste, nie przypuszczasz, że zamknęli jej usta? Chociaż wiem, że to nie harcerzyki.

- Ham, jestem absolutnie pewny, że to oddani sprawie filantropi. Co do jednego milionera.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Przerwał ją Ham.

- O Chryste. Łagodna perswazja, co?

- Właśnie.

- Wepchnąłem ją w gównno.

- Nie, Ham. Zrobiłeś dla niej wszystko, co można zrobić, i kochała cię za to.

- A co mogę zrobić dla ciebie?

- Znajdź mi jakieś pudło. Twarde tekturowe pudło. Masz coś takiego?

Zadowolony, że może być pomocny, Ham rzucił się na poszukiwania i po dłuższym przeklinaniu wrócił z plastikowym pojemnikiem. Justin ukucnął obok skórzanej torby, otworzył kłódki, rozwiązał rzemyki i zasłaniając wnętrze teczki plecami, przeniósł zawartość do pudła.

- A teraz, jeśli pozwolisz, daj mi plik najnudniej szych akt dotyczących posiadłości Manzini. Stare sygnatury. Papiery, do których nigdy nie zaglądasz. Tyle, żeby nappełnić torbę.

Ham wyszukał dla niego także teczki: takie jak chciał Justin - stare, z pozawijanymi rogami. I pomógł mu załadować je do pustej torby. I patrzył, jak Justin zawiązuje torbę z powrotem i zamyka ją. Potem patrzył przez okno, jak Justin idzie uliczką, z torbą w rękę, żeby zatrzymać taksówkę. A kiedy zniknął mu z pola widzenia, Ham westchnął: "Matko Boska!", poważnie wzywając pomocy Niepokalanej.

- Dzień dobry, panie Quayle. Wziąć pański bagaż? Muszę go przeświecić, to nowe przepisy. Nie tak było za naszych czasów, prawda? Ani za czasów pańskiego ojca. Dziękuję. A tu jest pański bilet, wszystko zapięte na ostatni guzik, jak to się mówi. - Głos opada. - Bardzo mi przykro, proszę pana. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci.

- Dzień dobry! Miło, że pan znów jest z nami - znów przyciszony głos. - Najszczęśliwsza kondolencje. Także od mojej żony.

- Proszę przyjąć od nas najgłębsze wyrazy współczucia, panie Quayle - jeszcze jeden głos dyszący mu w ucho piwnymi wyziewami. - Pani Landsbury prosi, żeby pan poszedł prosto do niej. Witamy w domu.

Ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie było już jego domem. Jego niedorzeczny hol, zbudowany po to, by siał trwogę w sercach hinduskich książąt, symbolizował tylko dumną impotencję. Portrety wzgardliwych bukanierów w perukach już nie darzyły go znajomym uśmiechem.

- Jestem Alison. Jeszcze się nie spotkaliśmy. W jak strasznych okolicznościach zawieramy znajomość. Witaj - powiedziała Alison Landsbury. Stała z pozowaną powściągliwością w wysokich na cztery metry drzwiach do swojego gabinetu i wcisnęła jego dłoń między swoje dłonie, zanim nią potrząsnęła. - Wszyscy jesteśmy tacy smutni, Justinie. Tak strasznie przerażeni. A ty jesteś taki dzielny. Przychodzisz tu tak szybko. Czy naprawdę możesz rozsądnie porozmawiać? Nie wiem, jak ci się to udaje.

- Myślałem, że macie jakieś wieści o Arnoldzie.

- O Arnoldzie? - ach, tak, ten tajemniczy pan Bluhm. Ani słówka. Powinniśmy obawiać się najgorszego - powiedziała, nie ujawniając jednak, co może być najgorsze. On nie jest brytyjskim poddanym, prawda? - rozchmurzyła się. - Pozwólmy kochanym Belgom, żeby zajęli się swoimi sprawami.

Jej gabinet był wysoki na dwa piętra, z połączonymi stiukami i czarnymi kaloryferami z czasów wojny oraz z balkonem wychodzącym na całkiem prywatne ogrody. Stały w nim dwa fotele, ale Alison Landsbury powiesiła na jednym sweter, żeby przypadkiem nikt w nim nie usiadł. Żeby nie przerywać spotkania, kawę trzymała w termosie. Tajemnicza, ciężka atmosfera pokoju pozostała po ludziach, którzy właśnie stąd wyszli. Cztery lata minister w Brukseli, przez trzy lata radca do spraw obronności ambasady w Waszyngtonie, cytował w pamięci z książki rang. Potem trzy lata w Londynie, oddelegowana do Połączonego Komitetu Wywiadów. Sześć miesięcy temu mianowana szefem personelu. Nasz jedyny kontakt: list sugerujący, że bym przyciął skrzydła żonie - zignorowany. Jeden faks zakazujący mi odwiedzania własnego domu - spóźniony. Zastanawiał się, jak wygląda dom Alison. W końcu zdecydował się na mieszkanie w rezydencji z czerwonej cegły, za Harrodsem, wygodnej na weekendowe spotkania jej klubu brydżowego. Była silna, miała pięćdziesiąt sześć lat. Ubrała się na czarno ze względu na Tessę. Nosiła męski sygnet na środkowym palcu lewej ręki. Justin pomyślał, że to po ojcu. Fotografia na ścianie ukazywała ją jadącą przez Moor Park. Inna - nierozważna, zdaniem Justina - jak wymienia uścisk dłoni z Kohlem. Wkrótce dopniesz swego i zostaniesz damą, Alison, pomyślał.

- Cały rano myślałam o sprawach, o których ci nie powiem - oznajmiła., kierując głos w stronę holu, żeby usłyszeli ją spóźnialscy. - Nie we wszystkim musimy się od razu zgodzić. Nie mam zamiaru pytać cię, jak widzisz swoją przyszłość. Ani mówić, jak ja ją widzę. Wszyscy jesteśmy zbyt rozstrojeni - zakończyła z dydaktyczną satysfakcją. - A tak na marginesie, nie szukaj w tym żadnych podtekstów. Mówię, co myślę.

Na biurku stał laptop, który wyglądał jak komputer Tessy. Mówiąc, szturchała ekran szarą pałeczką zakrzywioną na końcu jak igłą do szydełkowania.

- Jest parę spraw, o których muszę ci powiedzieć i powiem o nich wprost. - Szturchnięcie. - Po pierwsze, otrzymasz urlop zdrowotny na czas nieokreślony. Nieokreślony, bo to oczywiście sprawa badań lekarskich. Zdrowotny, bo jesteś w szoku, czy o tym wiesz, czy nie. - Szturchnięcie. - My zorganizujemy twoje badania. Sądząc z doświadczenia, dobrze, że tak robimy. - Smutny uśmiech i jeszcze jedno szturchnięcie. - Doktor Shand. Emily da ci potem namiary doktor Shand. Jesteś wstępnie umówiony na jutro na jedenastą, ale można to przełożyć, jeśli będziesz chciał. Na Harley Street, czy gdzie indziej? Masz coś przeciwko kobietom?

- Absolutnie nic - odparł serdecznie Justin.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W naszym domu. W moim domu. W Chelsea. Tam będę.

Zmarszczyła brwi.

- To nie jest twój dom rodzinny?

- Należał do rodziny Tessy.

- Ach, tak. Ale twój ojciec miał dom na Lord North Street. Pamiętam, że był bardzo piękny.

- Sprzedał go przed śmiercią.

- Masz zamiar zostać w Chelsea?

- Na razie tak.

- Jeśli będziesz chciał wyjechać, Emily powinna dostać namiary tego domu, proszę.

Powrót do ekranu. Czy odczytywała coś z niego, czy chowała się za nim?

- Z doktor Shand odbędziesz nie jedno spotkanie, ale całą serię. Może to być konsultacja indywidualna albo grupowa. Doktor Shand zachęca pacjentów z podobnymi problemami do wzajemnego oddziaływania. O ile pozwalają na to względy bezpieczeństwa, oczywiście. - Szturchnięcie. - A jeśli zamiast tego, albo oprócz tego, chciałbyś pociechy duchowej, mamy tu przedstawicieli wszystkich wyznań, którzy zostali dopuszczeni do większości naszych spraw. Wystarczy, jeśli o to poprosisz. Pamiętaj, pozwolimy na wszystko, o ile nie narusza to zasad. Jeśli doktor Shand nie będzie ci odpowiadać, wróc i poszukamy kogoś innego.

Pewnie robisz także akupunkturę, pomyślał Justin. Ale myślał raczej o czymś innym: dlaczego proponuje mu spowiedników dopuszczonych do tajemnic państwowych, skoro on nie ma żadnych tajemnic do wyznania.

- Czy chciałbyś teraz mieć bezpieczną przystań? - Szturchnięcie.
- Przepraszam?

Spokojny dom. - Z naciskiem na spokojny, jak poprzednio na rodzinny. - Z dała od tego wszystkiego, aż ucichnie wrzawa. Gdzie będziesz mógł być całkowicie anonimowy, odzyskasz równowagę, będziesz chodził na długie spacerunki po okolicy, wpadniesz do Londynu, żeby się z nami zobaczyć, kiedy będziesz tego potrzebował i my też będziemy cię odwiedzać. To nasza oferta. Niezupełnie bezpłatnie w twoim przypadku, ale poważnie subsydiowana przez JKM. Zechciej to przedyskutować z doktor Shand, zanim podejmiesz decyzję.

- Jeśli tak mówisz.
- Tak mówię. - Szturchnięcie. - Wycierpiałeś publicznie wiele upokorzeń. Jak, twoim zdaniem, wpłynęło to na ciebie?
- Wydaje mi się, że nie byłem długo na widoku publicznym. Ukryłaś mnie, o ile pamiętasz.
- Tak czy inaczej, odcierpiałeś swoje. Nikt nie lubi być przedstawiany jako rogak, nikt nie lubi, żeby o jego życiu seksualnym trąbiła cała prasa. I nie zniechędziłeś nas. Nie jesteś zły, nie żywisz urazy, nie czujesz się poniżony. Nie widać, żebyś chciał się mścić. Przetrwałeś. Oczywiście, przecież jesteś ze starej wiary.

Justin nie był pewien, czy to pytanie, narzekanie czy po prostu definicja wytrzymałości, więc puścił to mimo uszu. Skupił natomiast uwagę na skazanej na zagładę brzoskwińowej begonii w doniczce stojącej za blisko kaloryfera z czasów wojny.

- Mam tu gdzieś notatkę służbową moich ludzi. Chcesz się z tym zapoznać teraz, czy byłoby to zbyt wiele? - Ale i tak podała mu papier. - Zatrzymujesz, oczywiście, pełną gażę. Obawiam się jednak, że dodatek dla żonatych ekspirował z dniem, kiedy znów stałeś się kawalerem. Trzeba wziąć byka za rogi, a doświadczenie mi mówi, że najlepiej zrobić to teraz i przyjąć to, co jest. Zwyczajowy dodatek na zagospodarowanie po powrocie do Królestwa zależy od twojej decyzji, od tego, dokąd się udasz. No co, wystarczy na dziś?

- Pieniądzy?
- Nie. Czy wystarczą ci te informacje, żeby jakoś tymczasem funkcjonować?
- A co? Jest coś więcej?

Odłożyła pałeczkę i spojrzała mu prosto w oczy. Lata temu Justin ośmielił się złożyć zażalenie w luksusowym sklepie na Piccadilly i spotkał się z takim samym oziębłym spojrzeniem kierownika.

- Jak do tej pory, nie. W każdym razie, my nic o tym nie wiemy. Siedzimy jak na szpilkach. Los Bluhma jest nieznany, a cała ta makabryczna historyjka z gazet będzie żyła dopóty, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona w ten czy w inny sposób. Jesteś umówiony na obiad z Pellegrinem.

- Tak.

- No cóż, on jest okropnie dobry. Justinie, byłeś stanowczy, pokazałeś klasę w trudnych warunkach i to zostało zauważone. Poniosłeś straszliwą stratę. Wiem o tym. Nie chodzi tylko o śmierć Tessy, ale i to, co było przedtem. Powinniśmy działać bardziej stanowczo i sprowadzić was oboje do domu, póki był jeszcze czas. Popędzanie błędów w imię tolerancji, w retrospekcji wygląda jak łatwa wymówka. - Szturchnięcie. Patrzyła na ekran z rosnącym niezadowolaniem. - Nie dawałeś wywiadów prasie, prawda? W ogóle nic nie mówiłeś - oficjalnie ani nieoficjalnie?

- Rozmawiałem tylko z policją.

Puściła to mimo uszu.

- I nie będziesz nic mówić. To oczywiste. Nie mów nawet "bez komentarza". W twoim stanie masz całkowite prawo odłożyć słuchawkę, gdyby zadzwonili.

- Jestem pewien, że przyjdzie mi to z łatwością.

Szturchnięcie. Pauza. Ponowny rzut oka na ekran. Rzut oka na Justina. Powrót do ekranu.

- I nie masz papierów albo materiałów, które należałyby do nas? Które byłyby -jakby to ująć - naszą własnością moralną? Pytano cię już o to, ale muszę zapytać jeszcze raz, na wypadek, gdyby coś się pojawiło, albo gdyby miało się pojawić w przyszłości. Czy coś się pojawiło?

- Z rzeczy Tessy?

- Mam na myśli jej aktywność pozamałżeńską. - Trochę czasu zabrało jej określenie, o co chodzi. A kiedy tak rozmyślała, Justinowi przyszło do głowy, jakby trochę późno, że Tessa może być dla niej jakąś monstrualną obelgą, hańbą dla szkół, klasy, płci, jej kraju i Służby, i że w takim razie to Justin był koniem trojańskim, który przemycił ją do twierdzy. - Mówię o wszelkiego rodzaju dokumentach, które mogły wejść w jej posiadanie, legalnie albo w inny sposób podczas jej dochodzeń, czy jak to tam nazywała - dodała z nieudawanym niesmakiem.

- Nie wiem nawet, czego miałbym szukać - poskarżył się Justin.

- My też nie wiemy. I naprawdę trudno nam zrozumieć, jak udało się jej znaleźć w takim położeniu. Nagle gniew, który w niej kipiał, znalazł ujście. Nie chciała go okazywać, był tego pewien; zrobiła wszystko, żeby się powstrzymać. Ale najwyraźniej gniew wymknął się jej spod kontroli. - To zupełnie niespotykane - w świetle tego, co do tej pory ujawniono - że Tessie

pozwalano na tak wiele. Porter, na swój sposób, jest świetnym szefem misji, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że spora część winy spoczywa na jego barkach.

- Winy?

Jej osłupienie zaskoczyło go. Zesztywniała z oczami utkwionymi w ekranie. Trzymała swoje szydełko w gotowości, ale nawet nim nie poruszyła. Położyła je ostrożnie na biurku, jakby stawiała broń u nogi na pogrzebie wojskowego.

- Co tam, Porter - wycofała się, ale jej na to nie pozwolił.

- Co się z nim dzieje? - zapytał.

- Myślę, że to cudowne, jak ci dwoje poświęcili wszystko dla tego biednego dzieciaka.

- Ja też. Ale co teraz poświęcili?

Zdawała się dzielić jego zdziwienie. Zdawała się widzieć w nim sojusznika w oczernianiu Pottera Coleridge'a.

- Do bardzo trudnych umiejętności w tym zawodzie, Justinie, należy wiedza, gdzie można stąpnąć. Chciałoby się traktować ludzi indywidualnie, uwzględniać sytuację każdego człowieka z osobna. - Jeśli Justin sądził, że Alison łągodzi wypad przeciw Porterowi, całkowicie się mylił. Ona po prostu się łądowała. - Ale Porter - musimy stawić czoło temu faktowi - był na miejscu, a nas tam nie było. Nie możemy działać, kiedy trzyma się nas w niewiedzy. Nie powinno się nas prosić o ratunek *ex post facto*, skoro nie informowano nas *a priori*. Prawda?

- Myślę, że tak.

- A jeśli nawet Porter był zbyt naiwny, czy zbyt zaabsorbowany swoimi ciężkimi problemami rodzinnymi - nikt go za to nie wini - żeby zobaczyć, co kluje mu się pod nosem - ta cała sprawa z Bluhmem i tak dalej - miał adiutanta pierwszej klasy w osobie Sandy'ego, świetnego fachowca. Na zawołanie mógł mu to wypisać literami jak woły. I Sandy to robił. Do znużenia. Ale bez skutku. Rozumiem doskonale, że to dziecko - ta biedna dziewczynka - Rosie, czy jak tam się nazywa - absorbowwała całkowicie ich uwagę poza godzinami pracy. Ale to nie jest powód, dla którego mianuje się ludzi wysokimi komisarzami. Prawda?

Justin zrobił potulną minę, jakby pokazywał, że rozumie jej dylemat.

- Nie wścibiam nosa w cudze sprawy, ale pytam ciebie: jak to możliwe - zapomnijmy na chwilę o Porterze - że twoja żona zaangażowała się w rozliczne działania, o których ty, wedle twoich własnych słów, nic nie wiedziałeś? W porządku, była nowoczesną kobietą. Cholerna szczęściara. Miała swoje życie, swoje znajomości. - Znacząca cisza. - Nie twierdzą, że powinieneś ją ograniczać, byłbyś wtedy seksistą. Pytam, jak to jest, że żyjąc

z nią normalnie, nie wiedziałeś nic o jej działalności, poszukiwaniach, jej - jakby to powiedzieć? - o jej wtrącaniu się w nie swoje sprawy.

- Zawarliśmy porozumienie - powiedział Justin.

- Oczywiście. Równe prawa, równoległe życie. Ale w jednym domu! Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że o niczym ci nie mówiła, niczego nie pokazywała, niczym się nie dzieliła? Trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie też - zgodził się Justin. - Ale tak się dzieje, kiedy ktoś chowa głowę w piasek.

Szturchnięcie.

- Korzystałeś z jej komputera?

- Co takiego?

- Pytanie jest całkowicie jasne. Czy korzystałeś z laptopa Tessy lub czy miałeś do niego jakikolwiek dostęp? Może o tym nie wiesz, ale wysłała, między innymi do ministerstwa, kilka bardzo ostrych listów. Zawierały poważne zarzuty, dotyczące pewnych osób. Oskarżała ich o straszne rzeczy. Sprawiała nam bardzo poważne kłopoty, o niszczącej sile.

- Wobec kogo mają tę niszczącą siłę, Alison? - zapytał Justin, ostrożnie zarzucając wędkę, żeby wyłowić fragmenty informacji, którymi mogłaby się podzielić.

- To nieistotne - odparła surowo. - Chodzi o to, czy masz laptop Tessy, a jeśli nie, to czy wiesz, gdzie on jest obecnie i co zawiera.

- Nigdy nie posługiwaliśmy się nim wspólnie, to odpowiedź na twoje pierwsze pytanie. Był jej i tylko jej. Nie wiedziałbym nawet jak się do niego dobrać.

- To nie ma znaczenia. Ważne, że ty go masz. Scotland Yard prosił cię o niego, ale ty, bardzo roztropnie i lojalnie, pomyślałeś, że lepiej byłoby, żeby trafił do ministerstwa niż do nich. Jesteśmy ci za to wdzięczni. To też zostało zauważone.

To było stwierdzenie, a zarazem pytanie. Naciśnij guzik A, jeśli odpowiedź brzmi: tak, mam go. Naciśnij guzik B, jeśli nie, nie mam go. Było to jednocześnie polecenie i wyzwanie. A sądząc po szklistym wzroku Alison, również groźba.

- I dyskiety, oczywiście - dodała, gdy zwlekał z odpowiedzią. - To była pracowita kobieta, i co dziwniejsze, prawniczka. Na pewno zrobiła kopie wszystkiego, co wydawało się jej ważne. W tych okolicznościach dyskiety także stanowią zagrożenie i chcielibyśmy je także dostać.

- Nie ma żadnych dyskieciek. Nie było.

- Oczywiście, że były. Jak mogła korzystać z komputera, nie mając dyskieciek?

- Szukałem wszędzie. Nie było ani jednej.

- To bardzo dziwne.

- Prawda?

Sądzę, że najważniejsze, co mógłbyś zrobić, Justinie, to przynieść wszystko, co masz, do ministerstwa, jak tylko się rozpakujesz, a my zajmemy się tym dalej. Żeby oszczędzić ci trudu i odpowiedzialności. Tak? Zavrzyjmy układ. Wszystko, co nie jest istotne dla nas, należy wyłącznie do ciebie. Wydrukujemy to, oddamy ci i nikt nie będzie tego czytał ani oceniał, ani zachowywał w pamięci. Czy powinniśmy wysłać kogoś z tobą? Potrzebna ci pomoc?

- Nie jestem pewien.

- Nie jesteś pewien, czy potrzebujesz kogoś do pomocy? Przyda ci się. Współczujący kolega na równorzędnym z twoim stanowisku? Ktoś, komu będziesz mógł całkowicie zaufać? Teraz jesteś już pewien?

- Widzisz, ten laptop należał do Tessy. Ona go kupiła i ona z niego korzystała.

- Więc?

- Więc nadal nie jestem pewien, czy możesz mnie prosić, żebym to zrobił. Żebym oddał ci jej własność po prostu dlatego, że ona już nie żyje. - Poczul się śpiący, na chwilę zamknął oczy, potem potrząsnął głową, żeby się rozbudzić. - W każdym razie, nie na tym polega problem.

- Dlaczego?

- Bo go nie mam. - Wstał, sam był tym zaskoczony, ale musiał się rozprostować i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. - Prawdopodobnie ukradła go kenijska policja. Kradną wiele powierzonych im przedmiotów. Dziękuję, Alison. Byłaś bardzo uprzejma.

Odzyskanie skórzanej torby od woźnego zajęło więcej czasu, niż powinno.

- Przepraszam, że przyszedłem za wcześnie - powiedział Justin.

- Wcale pan nie przyszedł za wcześnie - odparł woźny i zaczerwienił się.

- Justin, chłopie!

Justin już miał podać nazwisko portierowi klubu, ale Pellegrin go uprzedził. Zbiegł ze schodów, żeby go wprowadzić. Uśmiechał się tym swoim uśmiechem przyzwoitego gościa i zawołał:

- On jest mój, Jimmy, wsadź jego bagaż do swojej rupieciarni i wpuść go. - Złapał rękę Justina i zarzucił mu drugą ręką na plecy w potężnym nieangielskim geście przyjaźni i współczucia.

- Dajesz sobie jakoś radę, co? - zapytał poufale, upewniając się najpierw, czy w zasięgu słuchu nikogo nie ma. - Jeśli chcesz, możemy się spacerować po parku. Albo spotkać się innym razem. Tylko powiedz.

- Czuję się świetnie, Bernardzie. Naprawdę.
- Bestia z Land&bury nie wykończyła cię?
- Ależ nie.
- Zarezerwowałem dla nas miejsce w jadalni. Jest też bar obiadowy, ale obsiedli go emeryci z ministerstwa i gędzą o Suezie. Chcesz siusiu?

Jadalnia wyglądała jak wysoki grobowiec z upozowanymi cherubinami, wymalowanymi na błękitnym niebie sufitu. Miejsce kultu wybrane przez Pellegrina znajdowało się w rogu, osłoniętym wypolerowanym granitowym filarem i smutną dracena. Wokół nich siedziało odwieczne bractwo z Whitehall w chemicznie szarych garniturach i fryzurach przyciętych wedle szkolnego obyczaju. "To był mój świat - wyjaśniał jej Justin. - Kiedy żeniłem się z tobą, byłem jednym z nich".

- Odróbnym najpierw ciężką robotę - zaproponował władczo Pellegrin, kiedy kelner z Jamajki w jasnofioletowej marynarce wręczył im menu wycięte na kształt paletki do ping-ponga. Było to bardzo taktowne ze strony Pellegrina i typowe dla jego pozy przyzwoitego gościa, bo studiując kartę, mogli przybliżyć się do siebie i jednocześnie unikać kontaktu wzrokowego.

- Lot był znośny?
- Nawet bardzo, dziękuję. Leciałem klasą biznesową.
- Cudowna, naprawdę cudowna dziewczyna, Justinie - mruzczał Pellegrin zza osłony swojej paletki. - Tyle mogę powiedzieć.
- Dziękuję, Bernardzie.
- Wielkiego ducha, wielkiej odwagi. Pieprzyć resztę. Mięso czy ryba? Co tam jadałicie?

Justin spotykał Bernarda Pellegrina przez większą część swojej kariery zawodowej. Pojechał z nim do Ottawy, wpadli też na siebie na krótko w Bejrucie. W Londynie uczęszczali razem na kurs przetrwania dla zakładników i wspólnie wysłuchiwali złotoustych oracji o tym, na przykład, jak ustalić, czy ściga nas banda uzbrojonych opryszków, gotowych na śmierć; jak zachować godność, gdy zawiążą oczy, zawiążą ręce i nogi taśmą samoprzylepną i władują nas do bagażnika mercedesa oraz jaki jest najlepszy sposób na skakanie z okna na piętrze, gdy nie możemy użyć schodów, zakładając, że nie mamy związanych nóg.

- Wszyscy dziennikarze to gówniarze - oświadczył poufale Pellegrin, ciągle zagłębiony w kartę dań. - Wiesz, co zrobię pewnego dnia? Zaskoczę gnoi. Zrobię im to, co oni zrobili tobie. Najmę bandę i będę pikietował wydawcę "Gówniarza" i "Wiadomości z Dna", kiedy będą to robili ze swoimi dziwkami. Będę fotografować ich dzieciaki idące do szkoły. Pytać ich żony, jacy są w łóżku. Pokażę tym gnojom, jak to jest, kiedy człowiek znajdzie się po drugiej stronie. Chcesz karabin maszynowy na nich?

- Nie trzeba.

- Ja też go nie potrzebuję. Banda niepiśmiennych hipokrytów. Filet śledziowy będzie lepszy. Po wędzonym węgorku pierdę. Sola panierowana jest dobra, jeśli lubisz solę. Jeśli nie, każ ją upiec. - Pisał na drukowanym bloczku. Na górze, elektronicznymi kapitalikami napisane było "Sir Bernard P", po lewej stronie widniał zestaw potraw, po prawej kwadraciki do zaznaczenia, a na dole miejsce na podpis członka klubu.

- Sola może być.

Pellegrin nie słucha, przypomniał sobie Justin. Dzięki temu zyskał renowę negocjatora.

- Smażona?

- Panierowana.

- Landsbury w formie?

- Gotowa do boju.

- Mówiła o twojej przyszłości?

- Jestem w szoku i na urlopie zdrowotnym na czas nieokreślony.

- Lubisz krewetki?

- Wołałbym avocado. Dziękuję - powiedział Justin, patrząc, jak Pellegrin zaznacza dwa koktajle krewetkowe.

- Kamień spadnie ci z serca, kiedy usłyszysz, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych w dzisiejszych czasach oficjalnie nie pochwała picia w godzinach obiadowych. - Pellegrin zaskoczył Justina szerokim uśmiechem. A potem drugim, gdyby pierwszy nie zadziałał. Justin przypomniał sobie, że te uśmiechy zawsze są takie same: tak samo szerokie, tyle samo trwają, mają ten sam stopień spontanicznego ciepła. - Jesteś jednak przypadkiem szczególnym i moim trudnym obowiązkiem jest dotrzymanie ci towarzystwa. Mają tu niezłe półwytrawne meursault. - Srebrny ołówek automatyczny postawił znaczek w odpowiednim prostokątku. - Przy okazji, uwolniono cię. Zdjęli cię z haka. Gratulacje. - Oddał kartkę i przycisnął ją solniczką, żeby nie sfrunęła ze stołu.

- Uwolniono od czego?

- Od zarzutu morderstwa, a od czegożby innego? Nie zabiłeś Tessy ani jej kierowcy, nie wynajęłeś płatnych zbirów i nie powiesiłeś Bluhma za jaja na swoim strychu. Możesz opuścić salę sądową bez skazy na tarczy herbowej. Dzięki uprzejmości gliniarzy. - Formularz z zamówieniem zniknął spod solniczki. Musiał go zabrać kelner, ale Justin, który znajdował się jakby w stanie nieważkości, nie zauważył tego. - A co uprawiałeś w ogródku, jak tam byłeś? Obiecałem Celly, że cię o to zapytam. - Celly to zdrobnienie od Celine, imienia koszmarnej żony Pellegrina. - Rośliny egzotyczne? Kaktusy? Obawiam się, że to nie moja działka.

- Właściwie wszystko. Kenijski klimat jest niezwykle łagodny. Nie wiedziałem, że istnieje jakaś plama na mojej tarczy herbowej, Bernardzie. Sądzę, że to była tylko jakaś hipoteza.

- Biedacy mieli całą masę teorii. Szczerze mówiąc, zdecydowanie przekraczających ich kompetencje. Musisz kiedy wpaść do Dorchester. Porozmawiaj o tym z Celly. Zrób sobie weekend. Grasz w tenisa?

- Niestety, nie.

Mieli całą masę teorii, powtarzał sobie po cichu. Biedacy. Pellegrin mówi o Robie i Lesley w taki sposób, w jaki Landsbury mówiła o Porterze Coleridge'u. Pellegrin opowiadał, że ten głąb Tom Jakiśtam dostał przeniesienie do Belgradu, głównie dlatego, że sekretarz stanu nie mógł znieść widoku jego paskudnej gęby w Londynie, a kto mógł? Dick Którystam dostał tytuł lorda, ale podczas najbliższych promocji dadzą mu kopniaka w górę i przeniosą do finansów - Boże zmiłuj się nad gospodarką narodową, żart - ale, oczywiście, od pięciu lat włożył w dupę laburzystom. Poza tym nic się nie dzieje. Do ministerstwa napływają małomiasteczkowi karierowicze z podrzędnych uniwersytetów z kiepskim akcentem, ubrani w pulowery, które Justin pamięta z okresu przed Afryką; za dziesięć lat nie zostanie nikt z Naszej Paczki. Kelner przyniósł dwa koktajle krewetkowe. Justin patrzył, jak zbliżają się w zwolnionym tempie.

- No cóż, byli młodzi, prawda? - powiedział pobłaźliwie Pellegrin, na powrót przybierając żalobną pozę.

- Nowe nabytki ministerstwa? Oczywiście, że są młodzi.

- Twoi mali przyjaciele z policji w Nairobi. Młodzi i gniewni, niech ich. Sami tacy kiedyś byliśmy.

- Zdawało mi się, że są rozgarnięci.

Pellegrin nachmurzył się i przeżuł.

- Dayid Quayle, to jakiś twój krewny?

- Kuzyn.

- W ubiegłym tygodniu wciągnęliśmy go na listę. Ma zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale jak inaczej, w dzisiejszych czasach, przebić pracodawców z City? Mój chrześniak w ubiegłym tygodniu zaczął u Barclaya za czterdzieści pięć kół rocznie plus świadczenia. Nieokrzesany żółtodziób.

- Brawo dla Davida. Nie wiedziałem.

- Słowo daję, niezwykle jak na Gridleya, żeby wysłać taką kobietę do Afryki. Frank to wytrawny dyplomata. Zna swój fach. Kto tam weźmie na poważnie babę-gliniarza? Na pewno nie chłopaki Moiego.

- Gridley? - powtórzył Justin. - Czy to nie Frank Arthur Gridley? Facet odpowiedzialny za bezpieczeństwo dyplomatów?

- Ten sam.

- Przecież to kompletna ciamajda. Mieliśmy z nim do czynienia, kiedy byłem w departamencie protokołu. - Justin usłyszał swój głos wznoszący się powyżej dopuszczalnego w klubie poziomu decybeli i pospiesznie go opuścił.

- Grzechotka zamiast głowy - radośnie zgodził się Pellegrin.

- A co on do diabła miał wspólnego ze śledztwem w sprawie śmierci Tessy?

- To Ważniak od Poważnych Przestępstw. Specjalista od śledztw zagranicznych. Wiesz, jacy są gliniarze - powiedział Pellegrin, napychając sobie usta krewetkami i chlebem z masłem.

- Wiem, jaki jest Gridley.

Pellegrin przeżuwał krewetkę i mówił, polykając samogłoski.

- Dwoje młodych funkcjonariuszy policji, a jedno z nich to kobieta. Myślą, że razem są Robin Hoodem. Skomplikowana sprawa, oczy całego świata zwrócone na nich. Zaczynają widzieć swoje nazwiska na świeczniku. - Poprawił serwetę przy szyi. - Więc pichcą różne teorie. Nie ma nic lepszego niż dobra teoria, żeby wyrzucić wrażenie na szefie półgłówku. - Napił się wina, potem osuszył usta rogiem serwety. - Najemni zabójcy - przekupne afrykańskie rządy - międzynarodowe korporacje - bajki, same bajki! Jak im się poszczęści, może zrobią z tego film.

- Jaką korporację mieli na myśli? - zapytał Justin, udając, że zignorował niesmaczną uwagę o filmie na temat śmierci Tessy.

Pellegrin schwycił jego spojrzenie, oceniał je przez moment, a potem znów się uśmiechnął.

- Tylko tak mówię - objaśnił niedbale. - Nie należy tego brać dosłownie. Ci młodzi gliniarze od pierwszego dnia szukali nie tam, gdzie trzeba. - Kelner ponownie napełnił ich szklanki. - Właściwie, to jest w najwyższym stopniu godne ubolewania. Nie do ciebie mówię, Matthew - to do kelnera, w duchu dobrych stosunków z mniejszościami etnicznymi - ani o żadnym z członków tego klubu. - Kelner uciekł. - Przez chwilę usiłowali przypiąć to do Sandy'ego, masz pojęcie? Jakaś głupawa teoryjka, że był w niej zakochany i zabił oboje z zazdrości. Kiedy im to nie wyszło, nacisnęli guzik z napisem "spisek". Najprostsza rzecz pod słońcem. Uszczknąć kilka faktów, sklecić je do kupy, wysłuchać kilku rozczarowanych panikarzy, dorzucić jedno czy dwa powszechnie znane nazwiska i ma się pyszną historyjkę. Tak robiła Tessa, pozwól, że jednak to powiem. Ale cóż, wiesz na ten temat wszystko.

Justin bezmyślnie pokręcił głową. Nie słucham tego. Jestem z powrotem w samolocie, a to jest sen.

- Obawiam się, że nic nie wiem.

Pellegrin miał bardzo małe oczy, Justin zauważył to już dawno. A może miały normalne rozmiary, ale ich właściciel rozwinął sztukę mrużenia pod

ogniem wroga - wrogiem zaś, o ile Justin wiedział - był każdy, kto trzymał Pellegrina za słowo albo sprowadzał rozmowę na grunt wcześniej przez niego nierozpoznany.

- Sola smakowała? Panierowana nie jest taka wyschnięta.

Justin powiedział, że jego sola była cudowna, wyrozumiale dodając, że chciał właśnie panierowaną. I meursault też jest cudowny, tak jak "cudowna dziewczyna".

- Nie pokazała ci swojej wielkiej rozprawy. A właściwie ich wielkiej rozprawy, jeśli pozwolisz. Taka jest twoja wersja i trzymasz się jej. Prawda?

- Czego ta rozprawa dotyczyła? Policja zadała mi to samo pytanie. Alison Landsbury też, tyle że w sposób zawołowany. Co to za rozprawa? - działał prosto, wierzył sobie. Znów łowił fakty, ale tym razem podstępnie.

- Nie pokazała tobie, ale pokazała Sandy'emu - powiedział Pellegrin, splukując informację łykiem wina. - Chcesz, żebym w to uwierzył?

Justin wyprostował się nagle, jakby go piorun strzelił.

- Co takiego?

- Oczywiście. Tajne spotkania, te rzeczy. Przepraszam, nie wiedziałem, że nie wiesz.

Ale ulżyło ci, kiedy doszedłeś do wniosku, że nie wiem, pomyślał Justin, ciągle gapiąc się na Pellegrina ze zdumieniem.

- A co Sandy z tym zrobił? - zapytał.

- Pokazał to Porterowi. Porter się wahał. Porter podejmuje decyzje raz na rok, po długim stękanii i lewatywie. Więc Sandy wysłał to do mnie. Praca miała dwoje autorów. Zaznaczono, że jest poufna. Nie zrobił tego Sandy, tylko Tessa i Bluhm. Ci bohaterowie akcji humanitarnych doprowadzają mnie do mdłości. Przepraszam.

- A co ty z tym zrobiłeś? Bernardzie!

Jestem oszukany wdowcem u kresu wytrzymałości. Jestem urażoną niewinnością, nie tak niewinną, jak by się wydawało. Jestem oburzonym mężem, schodzącym z drogi żonie-latawicy i jej kochankowi.

- Czy ktoś wreszcie powie mi, o co tu chodzi? - mówił tym samym płaczliwym tonem. - Przez całą wieczność siedziałem w pokoju gościnnym Sandy'ego jak na szpilkach. Nawet nie wspomniał o tajnych spotkaniach z Tessą, Arnoldem czy kimkolwiek. Jaka rozprawa? Czego dotyczyła?

Pellegrin znów się uśmiechał. Raz. Drugi raz.

- A więc to wszystko jest dla ciebie nowością. Ładne rzeczy.

- Tak. O niczym nie mam zielonego pojęcia.

- Dziewczyna, o połowę od ciebie młodsza, chadza własnymi drogami, a tobie nigdy na myśl nie przyszło, żeby zapytać, o co tu, kurwa, chodzi?

Justin spostrzeża, że Pellegrin jest zły. Tak jak Landsbury. Tak jak ja. Wszyscy jesteśmy źli i ukrywamy to.

Nie. I nie była o połowę ode mnie młodsza.

Nigdy nie zajrzałeś do jej dziennika, nie usłyszałeś przez przypadek urywka rozmowy telefonicznej? Nigdy nie czytałeś jej maili ani nie wściubiłeś nosa w jej komputer? Zero?

- Całkowite zero.

Pellegrin myśli na głos, nie spuszczać oka z Justina.

- Nic do ciebie nie docierało. Nie widzę zła, nie słyszę zła. Zadziwiająca - ledwie mógł powstrzymać sarkazm.

- Była prawnikiem, Bernardzie. Nie małym dzieckiem, ale w pełni wykwalifikowanym, bardzo sprytnym prawnikiem. Zapominasz o tym.

- Naprawdę? Chyba nie. - Założył okulary do czytania, żeby dobrać się do dolnej części soli. Kiedy już to zrobił, podniósł kręgosłup ryby nożem i widelcem i zaczął się rozglądać wokół jak bezradny inwalida, szukając kellnera, który przyniósłby mu talerzyk na resztki. - Po prostu miałem nadzieję, że ograniczyła składanie swoich zażaleń do Sandy'ego Woodrowa. Ale ona męczyła głównego bohatera, wiemy o tym.

- Głównego bohatera? Masz na myśli siebie?

- Curtissa. Kenny 'ego K. - Pojawił się talerz i Pellegrin położył na nim ości. - Dziwi mnie tylko, że nie rzuciła się pod kopyta jego cholernych koni wyścigowych. Że nie poszła wyśpiewać to wszystko w Brukseli, w ONZ, w telewizji. Osoba z misją zbawiania świata pójdzie wszędzie, dokąd zawiadą ją jej kaprysy i nie liczy się z konsekwencjami.

- To nieprawda - powiedział Justin. Był zaskoczony i naprawdę zły.

- Powiedz to jeszcze raz!

- Tessa zadawała sobie wiele trudu, żeby chronić mnie. I swój kraj.

- Wywlekając brudy? Rozdymając je ponad wszelkie proporcje? Molestując ludzi na stanowiskach? Włażąc na głowę dyrektorom spółek z Bluhmem u boku - nie tak wyobrażam sobie chronienie męża. To raczej szybka droga do zrujnowania temu głuptasowi kariery. I, szczerze mówiąc, wcale nie dlatego, że twoje szanse na zrobienie kariery były znowu takie wysokie. - Łyk wody gazowanej. - Aha! Teraz wiem. Zrozumiałem, co się stało. - Podwójny uśmiech. - Ty naprawdę nie znasz podtekstu. Tego się trzymasz.

- Tak, jestem kompletnie zaskoczony. Policja mnie pyta, Alison mnie pyta, ty mnie pytasz - czy naprawdę błdziłem w ciemności? Chyba tak, błdziłem i nadal błdżę.

Pellegrin potrząsał głową z rozbawieniem i niedowierzaniem.

- Wiesz, stary, jak to było? Posłuchaj. I pamiętaj, że i ja, i Alison przeżyjemy to. Więc przychodzą do ciebie oboje. Tessa i Arnold. Ręka w rękę.

“Pomóż *nam*, Justinie. Stara, brytyjska spółka zatruwa niewinnych Kenijczyków, używa ich jako królików doświadczalnych i Bóg wie co jeszcze. Całe wsie tu i tu pełne są trupów, oto dowody”. Rozumiesz?

- Niczego takiego nie zrobili.

- Nie zdążyli. Nikt cię za to nie wini, jasne? Wszystkie drzwi stoją przed tobą otworem, masz samych kumpli.

- Zauważyłem.

- No więc, powiedzmy, że wysłuchałeś ich. Jesteś porządny chłop. Czytasz ich osiemnastostromcowy scenariusz Sądu Ostatecznego i mówisz, że chyba postradali zmysły. Jeśli chcą zepsuć stosunki angielsko-kenijskie na najbliższe dwadzieścia lat, to znaleźli idealną formułę. Mądrale. Gdyby Celly próbowała takich sztuczek ze mną, to kopnąłbym ją w dupę, i tak jak ty udawałbym, że nigdy nie było tego spotkania. Jasne? Zapomnimy o tym tak szybko, jak i ty zapomniałeś. Nic nie ma w twojej teczce, nic nie ma w czarnej książeczce Alison. Umowa stoi?

- Oni do mnie nie przyszli, Bernardzie. Nikt nie wciskał mi kitu, nikt nie pokazywał mi scenariusza Sądu Ostatecznego, jak to nazwałeś. Ani Tessa, ani Bluhm, ani nikt inny. To wszystko jest dla mnie całkowitą tajemnicą.

- Kto to jest Ghita Pearson, u diabła?

- Młodsza pracowniczka kancelarii. Anglo-Hinduska. Bardzo inteligentna, zatrudniona na miejscu. Jej matka jest lekarzem. A co?

- Nie o to chodzi.

- To przyjaciółka Tessy. I moja.

- Ona mogła to widzieć?

- Dokumenty? Jestem pewien, że nie.

- Dlaczego?

- Tessa nie pokazywała jej niczego.

- Ale pokazywała różne rzeczy Sandy'emu Woodrowowi.

- Ghita jest za słaba. Chce u nas zrobić karierę. Tessa nie stawiałaby jej w niewygodnej sytuacji.

Pellegrin postanowił dosolić potrawę. Usypał stosik soli na lewej dłoni, a potem palcem wskazującym i kciukiem brał szczypty. W końcu potarł obie dłonie.

- Tak czy inaczej zdjęto cię z haka - przypomniał jakby na pocieszenie. - Nie będziemy stali przy bramie więzienia i wkładali przez kraty bagietek z serem.

- Miło mi to słyszeć.

- To dobra wiadomość. A zła wiadomość to twój kumpel, Arnold. Twój i Tessy.

- Znaleźli go?

Pellegrin ponuro pokręcił głową.

Węszą za nim wszędzie, ale go nie znaleźli. Jednak nie tracą nadziei.

Węszą? O czym ty mówisz?

W twoim stanie zdrowia nie powinienes wypływać na głęboką wodę. całuję, że nie możemy porozmawiać za kilka tygodni, jak dojdiesz do siebie, ale nie mogliśmy tego odkładać. Śledztwa w sprawie zabójstwa nie liczą się z uczuciami. Toczą się własnym trybem i z własną szybkością. Bluhm był twoim kumpem, Tessa była twoją żoną. Nie jest przyjemnie mówić o tym, że twój kumpel zabił twoją żonę.

Justin patrzył na Pellegrina z nieudawanym zaskoczeniem, ale Pellegrin zbyt był zajęty swoją rybą, żeby to zauważyć.

- A co z dowodami? - usłyszał siebie zadającego pytanie, jakby dochodziło z jakiejś mroźnej planety. - Co z zieloną ciężarówką do safari? Butelkami po piwie i niedopałkami papierosów? I gdzie tych dwóch mężczyzn, których zauważono w Marsabit? A co z - bo ja wiem - ThreeBees, z tym wszystkim, o co pytała mnie brytyjska policja?

Pellegrin uśmiechnął się najlepszym ze swoich uśmiechów, zanim jeszcze Justin przestał mówić.

- Są nowe dowody, stary. Obawiam się, że rozstrzygające. - Włożył do ust następny kawałek bułki. - Gliniarze znaleźli ubranie Bluhma, zakopane przy brzegu jeziora. To nie była jego kurtka. Zostawił ją w wozie, żeby zamatować śledztwo. Koszula, spodnie, slipy, skarpetki, trampki. Wiesz, co znaleźli w kieszeni spodni? Kluczyki od jeepa. Te, którymi zamknął drzwi wozu. Pospolita sprawą w zbrodniach popełnianych w afekcie. Tak mi powiedziano. Zabijasz kogoś, zamykasz za sobą drzwi, zamykasz umysł. To się nigdy nie zdarzyło. Pamięć wytarta. Klasyka.

Pellegrin przerwał, zbity z tropu wyrazem niedowierzania na twarzy Justina, potem podjął wątek kategoriycznym tonem.

- Wierzę w teorię Oswalda, Justinie. Lee Harvey Oswald zastrzelił Johna F. Kennedy'ego. Nikt mu w tym nie pomógł. Arnold Bluhm stracił panowanie nad sobą i zabił Tessę. Kierowca przeszkadzał, więc Bluhm rąbnął i jego. Potem rzucił jego głowę w krzaki na żer szakalom. Basta. Nadeszła chwila, kiedy musimy zaakceptować oczywistość. Pudding toffi? Mus jabłeczny? - Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł kawę. - Pozwolisz, że cię przed czymś ostrzeżę, jako stary przyjaciel?

- Proszę.

- Jesteś na urlopie zdrowotnym, jesteś w szoku. Ale należysz do starej wiary, znasz zasady i nadal jesteś specem od Afryki. Ija mam na ciebie oko. - I żeby Justin nie pomyślał, że to jakaś sentymentalna definicja jego statusu: - Jeśli posiadasz jakąś poufną informację, której nie powinienes posiadać, to

należy ona do nas, nie do ciebie. Dzisiaj świat jest znacznie bardziej brutalny niż w dniach naszej młodości. Mnóstwo podłych typów kręci się wokół. Mają wiele do zyskania i wiele do stracenia. Mają złe maniery.

Jak się dowiedzieliśmy na własny koszt, pomyślał Justin z wnętrza swojej szklanej kapsuły. Wstał od stołu, jakby był w stanie nieważkości, i wtedy zaskoczyło go własne odbicie w wielkiej ilości luster naraz. Zobaczył się ze wszystkich stron, na każdym etapie swojego życia. Justin, zagubione dziecko w wielkich domach, przyjaciel kucharzy i ogrodników. Justin, szkolna gwiazda rugby, Justin, zakamieniały kawaler nadrabiający samotność ilością podbojów, Justin, przyszłość Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Justin bez przyszłości, sfotografowany na tle swojej przyjaciółki draceny. Justin, świeżo owdowiały ojciec zmarłego jedyne syna.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Bernardzie. Dziękuję.

Dziękuję za lekcję sofistyki, to miał na myśli, o ile o czymkolwiek pomyślał. Dziękuję za propozycję nakręcenia filmu o zabójstwie mojej żony i za sponiewieranie resztek mojej wrażliwości. Dziękuję za osiemnastostronnicowy scenariusz Sądu Ostatecznego i za tajne schadzki z Woodrowem i za inne przyczynki do moich rozbudzonych wspomnień. I dziękuję za ciche ostrzeżenie, którego udzieliłeś mi ze stalowym błyskiem w oku. Bo kiedy się dobrze przyjrzałem, zobaczyłem ten sam błysk w moich oczach.

- Zbladłeś - powiedział oskarżycielsko Pellegrin. - Coś nie tak, stary?

- Czuję się świetnie. Cieszę się, że cię spotkałem, Bernardzie.

- Pośpij sobie trochę. Tracisz resztki energii. A przecież musimy spotkać się w weekend. Przyprawdź jakiegoś kumpla. Kogoś, kto trochę umie grać.

- Arnold Bluhm nie skrzywdziłby muchy - powiedział Justin powoli i wyraźnie, kiedy Pellegrin pomagał mu włożyć płaszcz i podawał torbę. Ale nie był całkowicie pewien, czy powiedział to na głos, czy do tysiąca głosów krzyczących mu w głowie.

10

Tb był ten dom. Nienawidził go we wspomnieniach, ilekroć z niego wyjeżdżał: wielki i odrapany, nieznośnie rodzicielski, pod numerem czwartym przy porośniętych zielenią zaułkach Chelsea, z ogrodem od frontu, który nie dawał się ucywilizować, choć Justin rozpieszczał go za każdym razem, gdy wracał tu na urlop. I szczątki domku Tessy tkwiącego na martwym

dębnie jak spróchniała tratwa ratunkowa. Nie pozwalała mu ściąć tego drzewa. I stare, potrzaskane szklane balony po domowym winie i strzępy latawcu nadziane na grube gałęzie uschniętego drzewa. I zardzewiała żelazna brama; otworzył ją, rozsuwając na boki sterty zgniłych liści, a wystraszony kot sąsiadów chyłkiem umknął w krzaki. I dwie źle przycięte wiśnie, którymi będzie się musiał zająć.

To był ten dom, którego bał się przez cały dzień i przez cały ostatni tydzień, gdy siedział zamknięty w pokoju gościnnym Woodrowów i podczas samotnego marszu w smutny, ciemny londyński wieczór, gdy jego umysł szukał drogi w labiryncie potworności, a skórzana torba objęła mu się o nogę. To ten dom, w którym pozostało po niej to, czego nigdy z nią nie dzielił i nigdy już nie będzie miał na to szansy.

Ostry wiatr szarpał płócienny daszek nad sklepem spożywczym po drugiej stronie ulicy, pędząc liście i spóźnionych klientów po chodniku. Ale Justin, choć ubrany w lekki płaszcz, nosił w sobie zbyt wielki ciężar, żeby poczuć zimno. Wyłożone płytkami stopnie do drzwi frontowych zaklekotały pod nogami. Gdy stanął na najwyższym, odwrócił się i spojrzął za siebie, nie wiedząc po co. Pod bankomatem leżał skulony włóczęga. Mężczyzna i kobieta klócili się w źle zaparkowanym samochodzie. Chudy człowiek w filcowym kapeluszu przyciskał do ucha telefon komórkowy. "W cywilizowanym kraju nigdy nie wiadomo". W półkolistym oknie nad drzwiami frontowymi widać było zapalone światło. Nie chcąc nikogo zaskakiwać, nacisnął dzwonek i usłyszał znajomy, chrypliwy dźwięk przypominający sygnał statku. Kto jest w domu?, zastanawiał się, czekając na odgłos kroków. Może Aziz, marokański malarz i jego przyjaciel Raoul. Petronilla, dziewczyna z Nigerii, szukająca Boga i jej pięćdziesięcioletni ksiądz z Gwatemali. Gazon, wysoki, truposzowaty pałacy papierosa za papierosem lekarz z Francji, który pracował z Arnoldem w Nigerii i miał ten sam, pełen ubolewania uśmiech co Arnold i jego manierę milknięcia w pół zdania i przymykania oczu, gdy nachodziły go bolesne wspomnienia i trzeba było czekać, aż głowa oczyści się z Bóg wie jakich koszmarów, zanim będzie można podjąć wątek rozmowy.

Nie usłyszał wołania ani tupotu stóp, więc przekręcił klucz w zamku i wkroczył do holu, spodziewając się zapachów afrykańskiej kuchni, zgiełku reagge z radia i hałaśliwych rozmów przy kawie dobiegających z kuchni.

- Hej, tam! - krzyknął. - To Justin. To ja.

Nie usłyszał wrzasku w odpowiedzi, nie załała go fala muzyki, nie doszły zapachy i głosy z kuchni. Nie słychać było w ogóle nic, poza cichym szumem ruchu ulicznego i echem jego głosu wspinającym się po klatce schodowej. Zamiast tego zobaczył głowę Tessy z poderżniętym gardłem

na zdjęciu z gazety przyklejonym do tektury, gapiącą się na niego spośród słoików po dżemie napelnionych kwiatami. A między słoikami leżała złożona kartka papieru wyrwana, jak się domyślał, z bloku rysunkowego Aziza. Były na niej słowa smutku, miłości i pożegnania od nieobecnych lokatorów Tessy: "Justinie, uznaliśmy, że nie możemy zostać", datowane na ostatni poniedziałek.

Złożył papier i wsunął go między słoiki. Stanął na baczność, patrząc przed siebie i walcząc ze łzami. Położył skórzaną torbę na podłodze w holu i poszedł do kuchni, trzymając się ściany. Otworzył lodówkę. Była pusta, jeśli nie liczyć zapomnianej butelki z lekarstwem, z nazwiskiem jakiejś nieznannej mu kobiety na przypiętej karteczce. Annie Ktośtam. Pewnie od Gazona. Poszedł po omacku korytarzem do jadalni i włączył światło.

Szkaradna jadalnia ojca Tessy utrzymana była w stylu pseudo-Tudorów. Sześć krzeseł z wolutami i herbami dla megalomańskich przyjaciół po obu stronach stołu. Rzeźbione misternie orły i reszki dla królewskiej pary. "Tatuś wiedział, że to koszmarnie brzydkie, ale uwielbiał to, więc ja też to uwielbiam" - powiedziała. "Cóż, a ja nie bardzo", myślał, "ale nie chciałem tego powiedzieć". W ciągu pierwszych razem spędzonych miesięcy Tessa stale mówiła o swoim ojcu i matce, aż wreszcie, pod wpływem Justina zaczęła egzorcyzmować duchy, napelniając dom ludźmi w swoim wieku, im bardziej szalonymi, tym lepiej: trockistami z Eton, pijanymi księżmi z Polski i orientalnymi mistykami; oraz połową naciągaczy z całego świata. Kiedy tylko odkryła Afrykę, jej cele stały się jasne, a dom pod numerem czwartym został przystanią dla introwertycznych pracowników organizacji humanitarnych oraz działaczy wszelkich podejrzanych odcieni. Rozglądając się po pokoju, Justin spojrzał z niechęcią na półksiężyc sadzy wokół marmurowego kominka, pokrywający rzeźby i osłonę. Kawki, pomyślał. Znow zaczął się rozglądać po pokoju, *jeszcze raz* spojrzał na sadzę. I wtedy zastanowił się. I zaczął zadawać sobie pytania. A może zadawał pytania Tessie, co na jedno wychodziło.

Jakie kawki?

Skąd tu kawki?

List w holu datowany był na poniedziałek.

Mamuśka Gates przychodzi w środy - mamuśka Gates to pani Dora Gates, niańka Tessy, na którą zawsze mówiło się mamuśka.

A kiedy mamuśka Gates jest chora, przychodzi jej córka Pauline.

A kiedy Pauline nie może, to zawsze jest ta lafirynda, jej siostra Debbie.

Nie do pomyslenia, żeby którakolwiek z tych-kobiet przeoczyła taką rzucającą się w oczy plamę sadzy.

Zatem kawki zaatakowały po środzie, a przed dzisiejszym wieczorem.

Skoro zatem dom opustoszał w poniedziałek - patrz list - a mamuśka Gates sprząta w środy - to skąd wziął się w popiele odcisk buta, prawdopodobnie buta terenowego?

Na kredensie obok książki telefonicznej stał telefon. Numer mamuśki (iates Tessa wypisała czerwoną kredką na wewnętrznej okładce. Wykręcił go i usłyszał Pauline, która wybuchnęła płaczem i oddała słuchawkę matce.

- Tak mi przykro, kochany - powiedziała powoli i wyraźnie mamuśka Gates. - Bardziej przykro, niż można to wyrazić, panie Justinie.

Zaczął ją wypytywać: powoli i czule, tak jak trzeba, więcej słuchając, niż zadając pytania. Tak, mamuśka Gates przyszła jak zwykle w środę, była od dziewiątej do jedenastej, bardzo tego chciała... To była okazja, żeby po- być sam na sam z panną Tessą... Posprzątała jak zwykle, niczego nie pomi-nęła ani nie zapomniała... I płakała, i modliła się... A jeśli to mu nie prze- szkadza, chciałaby tam dalej przychodzić, jak kiedyś, w środy, jak wtedy, kiedy żyła panna Tessa, nie chodzi o pieniądze, tylko o pamięć...

- Sadza? Oczywiście, że nie! W jadalni na podłodze w środę nie było sadzy, bo na pewno by ją zobaczyła i uprzątnęła, zanim by ją roznieśli po całej podłodze. Ta londyńska sadza jest taka tłusta! Przy tych wielkich ko- minkach ona zawsze ma oko na sadzę! I nie, panie Justinie, kominiarz na pewno nie ma klucza.

I czy pan Justin wie, czy już znaleźli doktora Arnolda, bo ze wszystkich panów, którzy korzystali z tego domu, najbardziej troszczyła się o pana dok- tora Arnolda, a to, co czyta się w gazetach, jest czystym wymysłem...

- Pani jest bardzo uprzejma, pani Gates.

Zapalając zyrandol w salonie, rzucił okiem na rzeczy, które na zawsze pozo- staną naznaczone piętnem Tessy: rozetki do jazdy konnej z dzieciństwa; Tessa po pierwszej komunii; ich portret ślubny na stopniach kościółka w Sant'Antonio na Elbie. Ale najbardziej zainteresował go kominek. Palenisko było z płytki łup- kowej, krata pochodziła z czasów wiktoriańskich, mosiądz ze stałą, z mosiężny- mi szczypcami do trzymania żelazek nagrzewanych w ogniu. Palenisko i krata pokryte były popiołem. Ten sam popiół leżał przy szczypcach i pogrzebaczu.

A więc mamy tu do czynienia z małą tajemnicą przyrody, powiedział Tessie: dwa niespokrewnione ze sobą stada kawek wybrały tę samą chwilę, żeby zrzucić popiół z dwóch niepołączonych ze sobą kominów. Co z tego wynika? Dla ciebie - prawnika, i dla mnie - wymierającego gatunku?

Ale w salonie nie było śladów stóp. Ten, kto przeszukiwał kominek w ja- dalni, uczynnie pozostawił ślad. Ten, kto przeszukiwał kominek w salonie - ten sam człowiek albo jakiś inny - nie.

Ale dlaczego ktoś miałby przeszukiwać kominek, a właściwie dwa ko- minki? Prawda, stare kominki tradycyjnie są schowkami na listy miłosne,

testament/, intymne pamiętniki i torby ze złotymi suwerenami. Prawdą jest też, że według legendy, kominy zamieszkiwane są przez duchy. Wiatr korzysta ze starych kominków, by opowiadać historie, a wiele z nich to historie tajemne. A tego wieczoru dał zimny wiatr, trząsał okiennicami i grzechotał kłódkami. Ale po co było przeszukiwać te właśnie kominki? Nasze kominki? Dlaczego dom pod numerem czwartym? Chyba że przeszukanie kominów było częścią szerszej zakrojonego przeszukiwania całego domu, od piwnicy aż po strych.

Na półpiętrze zatrzymał się, żeby przyjrzeć się dokładnie apteczce Tessy, starej bezwartościowej włoskiej gablotce, przymocowanej do ściany w rogu klatki schodowej i oznaczonej zielonym krzyżem, osobiście przez nią narysowanym. Nie bez racji była córka lekarza. Drzwiczki gablotki były uchylone, szturchnięciem otworzył je na oścież.

Splądrowane. Puszki z plastrem pootwierane, płótno opatrunkowe, pakiciki z boraksem porzucane bezładnie. Zamykał właśnie drzwiczki, gdy nad jego głową zaskrzeczał telefon umieszczony na piętrze.

To do ciebie, zwrócił się do Tessy. Będę musiał powiedzieć, że nie żyjesz. To do mnie, powiedział do niej. Będę musiał wysłuchać kondolencji. To Landsbury z pytaniem, czy mam wszystko, czego trzeba, żeby czuć się bezpiecznym i spokojnym mimo szoku. To ktoś, kto musiał czekać, aż linia będzie wolna po mojej długiej rozmowie z mamuszką Gates.

Podniósł słuchawkę i usłyszał zapracowaną kobietę. Z tła dobiegały jakieś głosiki, rozbrzmiewały odgłosy kroków. Dowcipnie mówiąc, zapracowana londyńska kobieta z ludu o głosie folwarcznej dziewczki.

- No, wreszcie! Czy mogłabym mówić z panem Justinem Quayle, jeśli jest w domu? - Wygłosiła to tak ceremonialnie, jakby za chwilę miała wykonać jakąś sztuczkę karcianą. - Jest w domu, kochanie, wysłucha cię - to do kogoś obok.

- Tu Quayle.

- Chcesz z nim rozmawiać osobiście, kochanie? - Kochanie nie chciało. - To tylko Jeffrey, kwiaciarka, panie Quayle, z King's Road. Jest tu śliczny bukiet z Bóg wie jakich kwiatków, który mamy dostarczyć panu osobiście i niezawodnie jeszcze tego wieczoru, jeśli pana zastaniemy i to jak najszybciej i mam nie mówić od kogo to - jasne, kochany? - Oczywiście, że jasne. - Więc może wyślę od razu chłopca, panie Quayle? Za dwie minuty będzie u pana, prawda, Kevinie? A za jedną, jeśli mu pan da dobrego drinka.

Więc go wyślijcie, powiedział Justin roztargnionym głosem.

Stał naprzeciwko drzwi do pokoju Arnolda, nazwanego tak, bo ilekroć Arnold bawił w ich domu, nigdy nie omieszkwał zostawić stałego znaku obecności -

pary butów, maszynki do golenia, budzika, stosu papierów dotyczących sromotnej porażki pomocy medycznej dla Trzeciego Świata. Widok należącego do Arnolda swetra z wielbłądziej wełny przerzuczonego przez oparcie krzesła sprawił, że Justin stanął jak wryty, bliski tego, żeby go zawołać.

Splądrowane.

Szuflady biurka wyłamane i otwarte, papiery i materiały piśmienne rozrzucone.

Zatrąbił klakson. Pobiegł na dół, uspokoił się, podchodząc do drzwi frontowych. Kevin, chłopak z kwaciarni, był mały i miał zaczerwienione policzki. Dickensowski kwaciarz, czerwony od zimowego chłodu. Irysy i lilie, które niósł na ramieniu, były jego wzrostu. Do drutu, którym splecano łądygi, przyczepiono białą kopertę. Grzebiąc w garści kenijskich szylingów, Justin znalazł dwa funty, dał je chłopcu i zamknął za nim drzwi. Otworzył kopertę i wyjął białą kartę owiniętą w gruby papier tak, żeby nie było widać pisma. Wiadomość napisano na komputerze.

Justinie. Wyjdź z domu dziś wieczór o siódmej trzydzieści. Zabierz aktówkę wypełnioną gazetami. Przejdź się do kina Cineflex na King's Road. Kup bilet do sali drugiej i oglądaj film do dziewiątej. Wyjdź z sali bocznym (zachodnim) wyjściem, zabierając teczkę. Szukaj niebieskiego mikrobusu zaparkowanego blisko wyjścia. Rozpoznasz kierowcę. Spal to.

Bez podpisu.

Zbadał kopertę, obwąchał ją, obwąchał kartkę, niczego nie wyczuł, nie wiedział nawet, co spodziewał się poczuć. Zabrał kartkę i kopertę do kuchni, przytknął do nich zapałkę i, zgodnie z najlepszymi tradycjami kursu bezpieczeństwa dla służby zagranicznej, włożył je do zlewu, żeby spłonęły. Kiedy przestały się palić, skruszył popiół i splukał go wodą. Robił to dłużej, niż trzeba. Wszedł znów na górę, po dwa schody naraz, i dotarł na strych. To nie pośpiech nim kierował, ale determinacja: nie myśl, działaj. Stanął przed zamkniętymi drzwiami na strych. Klucz trzymał już w pogotowiu. Był stanowczy, ale zarazem pełen obawy, jak desperat gotujący się do skoku. Otworzył na oścież drzwi i wszedł do małej sieni. Prowadziła do pokojów na poddaszu, umieszczonych pomiędzy nawiedzanymi przez kawki kominami i ukrytymi kawałkami płaskiego dachu do uprawy roślin doniczkowych i uprawiania miłości. Brnął naprzód, mrużąc oczy pod naporem wspomnień. To nie przedmiot, obraz, krzesło, zakamarek, ale sama Tessa tu władała, mieszkająca, przemawiała stąd do niego. Pompatyczne biurko jej ojca przekazane mu uroczyście w dniu ślubu stało w znajomej wnęce. Odrzucił blat. No i co

ci mówiłem? Splądrowane. Otworzył z trzaskiem szafę na ubrania i zobaczył zimowe płaszcze i sukienki Tessy zdarte z wieszaków i pozostawione na powolną śmierć z wyciągniętymi na zewnątrz kieszeniami. Słowo daję, kochanie, mogłaś je powiesić. "Doskonale wiesz, że powiesiłam, tylko ktoś je zrzucił". Zagłębił się w nie i wygrzebał starą teczkę na nuty Tessy, czyli coś, co mogło pełnić funkcję aktówki.

- Zróbmy to razem - powiedział, tym razem na głos.

Kiedy już miał wyjść, zatrzymał się, żeby popatrzeć na nią przez otwarte drzwi do sypialni. Wyszła z łazienki i stała naga przed lustrem, z głową przechyloną bok. Czesła mokre włosy. Jedna jej naga stopa odwrócona była w jego stronę jak u baletnicy, zawsze tak robiła, gdy była naga. Jedną rękę podniosła ku głowie. Patrząc na nią, poczuł tę samą niewysłowioną obcość, którą czuł, gdy była żywa. Jesteś zbyt doskonała, zbyt młoda, mówił jej. Powinienem cię zostawić. "Bzdura", odpowiadała słodko i wtedy czuł się znacznie lepiej.

W kuchni na parterze znalazł stos starych egzemplarzy "Kenyan Standard", "Africa Confidential", "The Spectator" i "Private Eye". Wepchnął to do teczki na nuty, wrócił do holu, po raz ostatni spojrzął na jej ręcznej roboty ołtarzyk i skórzaną torbę. Zostawiam ją tam, gdzie będą mogli ją znaleźć, na wypadek, gdyby w ministerstwie nie byli zadowoleni ze swojej porannej roboty, wyjaśnił jej i wyszedł w chłód i ciemność. Spacer do kina zajął mu dziesięć minut. Sala druga była w trzech czwartych pusta. Nie zwracał uwagi na film. Dwa razy musiał wymykać się do męskiej toalety z teczką na nuty w rękę, żeby spojrzeć na zegarek, nie budząc niczyich podejrzeń. Za pięć dziesiąt wyszedł zachodnim wyjściem. Na ulicy panował przesywający ziąb. Uderzył go widok zaparkowanego niebieskiego mikrobusu i przez moment miał absurdalne wrażenie, że to długa ciężarówka do safari z Marsabit. Reflektory wozu zamigotały. Kanciasty mężczyzna w marynarskiej czapce siedział na miejscu kierowcy.

- Tylne drzwi - polecił Rob.

Justin przeszedł na tył mikrobusu i zobaczył, że drzwi są już otwarte, a Lesley wyciąga rękę, żeby odebrać teczkę na nuty. Usiadł w ciemnościach na drewnianym siedzeniu, znów był w Muthaiga, na kanapie volkswagena, za kierownicą siedzi Livingstone, a naprzeciwko niego Woodrow i wydaje mu polecenia.

- Śledzimy cię, Justinie - wyjaśniła Lesley. Jej głos w ciemności był stanowczy, ale zarazem zdumiewająco przygnębiony. Tak jakby i ona poniosła jakąś wielką stratę.

- Zespół inwigilacyjny szedł za tobą do kina, a my jesteśmy częścią tego zespołu. Teraz kryjemy boczne drzwi na wypadek, gdybyś tędy wychodził. Zawsze istnieje możliwość, że zwierzyzna poczuje się znudzona i wyjdzie

wcześniej. Ty to właśnie zrobiłeś. Za pięć minut taki raport złożymy do centrali. W którą stronę idziesz?

- Na wschód.

- Więc zatrzymaj taksówkę i pojedź na wschód. Przekażemy im numer wozu. Nie będziemy cię śledzić, bo byś nas rozpoznał. Drugi samochód inwigilacyjny czeka na ciebie przed kinem, a zapasowy, na wszelki wypadek, stoi dalej na King's Road. Jeśli postanowisz iść pieszo albo pojechać metrem, rzucają za tobą paru pieszych. Jeśli złapiesz autobus, będą ci wdzięczni, bo nie ma nic łatwiejszego, niż przykleić się do londyńskiego autobusu. Jeśli pójdziesz do budki telefonicznej, żeby zadzwonić, będą tego słuchali. Mają nakaz z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych obejmujący wszystkie twoje rozmowy telefoniczne, niezależnie od tego, skąd będą prowadzone.

- Dlaczego? - zapytał Justin.

Wzrok przyzwyczajał mu się do ciemności. Rob przewiesił długie ciało przez oparcie fotela kierowcy i włączył się do rozmowy. Miał równie podłe maniery co Lesley, ale był bardziej wrogo nastawiony.

- Bo wysłałeś się na nas - powiedział.

Lesley wyciągnęła gazety z teczki Tessy i upchnęła je do plastikowej torby na zakupy. Ujej stóp leżała sterta grubych kopert. Zaczęła wkładać je do teczki na nuty.

- Nie rozumiem - powiedział Justin.

- To spróbuj - doradził mu Rob. - Mamy tajne rozkazy, jasne? Mówimy panu Gridleyowi, co robisz. Ktoś tam, na górze, mówi, dlaczego to robisz, ale nie mówi tego nam. My jesteśmy do roboty.

- Kto przeszukał mój dom?

- W Nairobi czy w Chelsea? - odparł ironicznie Rob.

- W Chelsea.

- Nie nas o to pytaj. Wiemy tylko, że zespół wycofał się na cztery godziny, gdy ktoś tam wszedł. Gridley postawił przy drzwiach jakiegoś niedoinformowanego gliniarza, na wypadek, gdyby ktoś chciał tam wejść z ulicy. Gdyby tak się stało, miał powiedzieć, że nasi funkcjonariusze prowadzą śledztwo w związku z włamaniem do posesji, więc niech się odchrzani. O ile to był gliniarz, w co wątpię - dodał Rob i zamknął usta.

- Rob i ja zostaliśmy odsunięci od sprawy - powiedziała Lesley. - Gdyby Gridley mógł, skierowałby nas do drogówki na Orkneyach, ale się ośmielił.

- Odsunęli nas od wszystkiego - wtrącił Rob. - Nie istniejemy. Dzięki tobie.

- Chce, żebyśmy byli tam, gdzie może mieć na nas oko - powiedziała Lesley.

- Pod kontrolą - dodał Rob.

- Wysłał dwóchnowych funkcjonariuszy do Nairobi, żeby pomagali i doradzali lokalnej policji w poszukiwaniach Bluhma i to wszystko - powiedziała Lesley. - Żadnego szperania w zakamarkach, żadnych nagłych zwrotów śledztwa. Kropka.

- Żadnego Marsabit numer dwa, żadnego załamywania rąk nad umierającą babą, czarnuchem i widmowym lekarzem - dodał Rob. - To natchnione słowa Gridleya. A nasi następcy nie mają prawa rozmawiać z nami, żeby się od nas nie zarazili. To para przygłupów rok przed emeryturą, tak jak Gridley.

- Mamy sytuację najwyższego zagrożenia, a ty należysz do sprawy - stwierdziła Lesley, zamykając zatrząsk teczki na nuty i przyciskając ją do siebie. - Nie wiem, kto jeszcze w tym siedzi. Gridley zażyczył sobie pełnego sprawozdania. Kogo spotykasz, gdzie, kto przychodzi do twojego domu, do kogo dzwonicz, co jadasz i z kim. Dzień po dniu. Jesteś uwikłany w operację o najwyższym stopniu tajności i tylko tyle pozwolono nam wiedzieć. Mamy robić, co się nam każe, i nie wtykać nosa w cudze sprawy.

- Nie minęło dziesięć minut od naszego powrotu do Scotland Yardu, a on już ryczał, żeby położyć na jego biurku wszystkie notatniki, taśmy, dowody rzeczowe i to już! - powiedział Rob. - Więc daliśmy mu to. Oryginały, kompletne i nieskrócone. Oczywiście, najpierw zrobiliśmy kopie.

- Nigdy więcej nie wolno wzmiankować o szacownej firmie ThreeBees: To rozkaz - powiedziała Lesley. - Ani o ich produktach, ich operacjach i ich pracownikach. Nikomu nie wolno nadebrać na odcisk.

- Jaki odcisk?

- Wiele odcisków - wtrącił Rob. - Do wyboru, do koloru. Curtiss jest nietykalny. Świadczy usługi jako tajny pośrednik w brytyjskim handlu bronią z Somalijskimi. Embargo w tym przeszkadza, ale on znalazł sposoby, żeby je ominąć. Jest pierwszy w wyścigu o zainstalowanie w Afryce Wschodniej najnowocześniejszego systemu telekomunikacyjnego z użyciem zaawansowanej technologii brytyjskiej produkcji.

- A ja stanąłem na drodze tego wszystkiego?

- Jesteś zawadą. Kropka - odparł zjadliwie Rob. - Gdyby nam z tobą jakoś poszło, wykluczilibyśmy ich z gry. A teraz my trafiliśmy na bruk.

- Oni myślą, że ty wiesz o wszystkim, o czym mówiła Tessa - wyjaśniła Lesley. - To może być niebezpieczne dla twojego zdrowia.

- Oni?

Rob nie był w stanie powstrzymać gniewu.

- Od samego początku to był spisek, a ty brałeś w nim udział. Niebiescy wyśmiewali się z nas, tak samo sukinsyny z ThreeBees. Twój przyjaciel i kolega, pan Woodrow, łągał jak z nut. Ty też. Byłeś naszą jedyną szansą i kopnąłeś nas w zadek.

- Chcemy ci zadać jedno pytanie, Justinie - wtrąciła Lesley niewiele mniej zgryźliwym tonem. - Jesteś nam winien szczerą odpowiedź. Masz dokąd pójść? Jakies bezpieczne miejsce, gdzie mógłbyś usiąść i poczytać? Najlepiej za granicą.

Justin zaczął lawirować.

- A co by się stało, gdybym wrócił do siebie i wyłączył światło w sypialni? Czy wasi ludzie stoją przed moim domem?

- Zespół odprowadzi cię do domu, zespół położy cię spać. Obserwacja zdrzemnie się na kilka godzin, nasłuch będzie przez cały czas siedział na twoim telefonie. Obserwacja wróci rzeška następnego dnia rano, żeby ci powiedzieć "dzień dobry". Masz czas między pierwszą a czwartą w nocy.

- Więc mam miejsce, do którego mógłbym się udać - powiedział Justin po chwili zastanowienia.

- Fantastycznie - odparł Rob. - Bo my nie.

- Jeśli to za granicą, podróżuj morzem i lądem - powiedziała Lesley. - Kiedy tylko tam dojedziesz, pogmatwaj ślady. Korzystaj z autobusów, z lokalnych linii kolejowych. Nie wynajmuj samochodów, nie lataj samolotem, nawet wewnątrz kraju. Mówią, że jesteś bogaty.

- Jestem.

- Więc zabierz ze sobą mnóstwo gotówki. Nie korzystaj z kart kredytowych ani z czeków podróŜnych, nie dotykaj telefonu komórkowego. Nie dzwoń na koszt abonenta ani nie wymawiaj swojego nazwiska w publicznych rozmównicach, bo komputery natychmiast je wychwyć. Rob wyrobił ci paszport i brytyjską legitymację prasową z "Telegraph". Nigdzie nie mógł znaleźć twojej fotografii, wreszcie zadzwonił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i powiedział, że potrzebuje zdjęcia do akt sprawy. Rob ma przyjaciół w miejscach, o których nie powinniśmy wiedzieć, prawda, Rob? - Brak odpowiedzi. - Dokumenty nie są najlepsze, bo przyjaciele Roba nie mieli czasu, prawda, Rob? Więc nie używaj ich przy wyjeździe i wjeździe do Anglii. Umowa stoi?

- Tak - odparł Justin.

- Jesteś Peter Paul Atkinson, reporter. I nigdy, bez względu na okoliczności, nie noś obu paszportów naraz.

- Dlaczego to robicie? - zapytał Justin.

- A co cięto obchodzi? - rzucił z wściekłością Rob z ciemności. - Mieśliśmy zadanie do wykonania, to wszystko. Nie podoba nam się, że je straciłiśmy. Więc ci je przekazujemy, żebyś się odpiardolił. Kiedy nas wyrzucą, może pozwolisz nam czasem umyć twojego rolls-royce'a.

- Może robimy to dla Tessy - powiedziała Lesley, ściskając w ramionach sporą teczkę na nuty. - Nie ufałes nam, Justinie. Może miałes rację.

Ale gdybyś zaufała, moglibyśmy wiele osiągnąć. Cokolwiek to znaczy. - Sięgnęła do klamki drzwi mikrobusu. - Uważaj na siebie. Oni zabijają. Ale to już zauważyłeś.

Wyszedł na ulicę, usłyszał, jak Rob mówi do mikrofonu. "Candy wyszła z kina. Candy wyszła z torebką". Drzwi mikrobusu zamknęły się za nim z trzaskiem. "Zamkniecie", pomyślał. Przeszedł kawałek drogi. Candy zatrzymuje taksówkę, ale Candy jest chłopcem.

Stał przy wysokim, otwieranym pionowo oknie w biurze Hama, słuchał, jak zegar wybija jedenastą, w tle rozbrzmiewał nocny gwar city. Wyglądał na ulicę, ale stał w pewnym oddaleniu od okna, w miejscu, skąd łatwo było obserwować, a trudno zostać zauważonym. Lampka na biurku Hama rzucała blade światło. Ham siedział w kącie na fotelu zużyтым przez pokolenia niezadowolonych klientów. Na dworze lodowata mgła uniosła się znad rzeki, pokrywając szronem balustrady przy kapliczce św. Etheldreda, która niegdyś stanowiła tło wielu nierozstrzygniętych sporów Tessy z jej Stwórcą. Podświetlona zielona tabliczka głosiła przechodniom, że kaplica została przywrócona prawdziwej wierze przez ojców rosminianów. Spowiedzi, błogosławieństwa i śluby po wcześniejszym ustaleniu terminu. Sznureczek spóźnionych wiernych wchodził i schodził ze stopni. Żadne z nich nie było Tessą. Na podłodze gabinetu, w plastikowym pojemniku leżała w stosie zawartość skórzanej torby, a na biurku teczka na nuty, zaś obok niej, w segregatorach z nazwą firmy, zbiór faksów, fotokopii, notatek z rozmów telefonicznych, pocztówek i listów, które Ham zgromadził w ciągu ostatniego roku, korespondując z Tessą.

- Niezły bigos - przyznał niezręcznie. - Nie mogę znaleźć jej ostatnich maili.

- Nie możesz znaleźć?

- Nikt inny też nie, jeśli o to ci chodzi. Komputerowy wirus wlaź w tryby. To cholerstwo połknęło skrzynkę pocztową i połowę twardego dysku. Technik ciągle nad tym pracuje. Jak coś odzyska, dam ci to.

Rozmawiali o Tessie, o Meg, potem o krykiecie, w który Ham także zainwestował kawałek serca. Justin nie był fanem krykieta, ale robił co mógł, żeby wykazać entuzjazm. W półmroku czaił się plakat z widokiem Florencji.

- Czy nadal masz kuriera jeżdżącego co tydzień do Turynu? - zapytał Justin.

- Oczywiście, stary.

- I nadal używasz tych ślicznych skórzanych pudeł na kapelusze z nazwą firmy, które widziałem rano w twoim sejfie?

- Tylko do tego się nadają.

Justin zerknął w dół, na słabo oświetloną ulicę. Nadal tam są: wielka kobieta w niezgrabnie uszytym płaszczu i wychudzony mężczyzna w wymiętym filcowym kapeluszu, z krzywymi nogami dżokeja i w kurtce narciarskiej z kołnierzem zapiętym pod nosem. Przez ostatnie dziesięć minut gapili się na tablicę przed kaplicą Św. Etherldreda, mimo że wszystko, co na niej było napisane, mogli przeczytać w ten przenikliwie zimny styczniowy wieczór przez dziesięć sekund. Czasem w cywilizowanych krajach jednak wie się co nieco.

- Powiedz mi, Ham.

- Wszystko, co chcesz, stary.

- Czy Tessa miała wolną gotówkę, gdy przebywała we Włoszech?

- Całe worki. Chcesz zobaczyć rachunki?

- Niekoniecznie. To teraz jest moje?

- Zawsze było. Wspólne konta, pamiętasz? Co jest moje, jest też jego. Staralem się jej to wyperswadować. Powiedziała, żebym spływał. Typowe.

- Więc twój facet w Turynie mógłby mi trochę przesłać, prawda? Do tego, czy innego banku. Gdybym był za granicą, na przykład.

- Nie ma problemu.

- Albo do kogoś, kogo wskażę. Żeby można było podjąć na paszport.

- To twój szmal, stary. Rób z nim, co chcesz. Niech ci służy, to najważniejsze.

Dżokej bez konia odwrócił się tyłem do tablicy i udawał, że obserwuje gwiazdy. Płaszcz patrzył na zegarek. Justin znów sobie przypomniał słowa nudnego instruktora z kursu: "Obserwator to aktor. Najtrudniej znosi bezczynność".

- Mam takiego kumpla, nigdy z tobą o nim nie rozmawiałem. Peter Paul Atkinson. Mam do niego całkowite zaufanie.

- Prawnik?

- Nie. Mam ciebie. Jest dziennikarzem z "Daily Telegraph". Stary przyjaciel z czasów studenckich. Chcę, żeby miał całkowite pełnomocnictwo w moich sprawach. Jeśli ty albo twój człowiek w Turynie dostałby kiedykolwiek jakieś zlecenie od niego, chciałbym, żebyście potraktowali je tak, jakby wyszło bezpośrednio ode mnie.

Ham mruknął i potarł koniec nosa.

- Tego nie można zrobić ot, tak sobie. Nie można tak po prostu machnąć jakąś czarodziejską różdżką. Muszę mieć jego podpis i całą resztę. Formalne upoważnienie od ciebie. Poświadczone.

Justin podszedł do Hama i podał mu paszport Atkinsona.

- Może to przepisziesz - zaproponował.

Ham najpierw spojrział na fotografię na ostatniej stronie i początkowo nie zmieniając wyrazu twarzy, porównał ją z rysami Justina. Spojrział jeszcze raz i przeczytał dane. Kartkował powoli gęsto opieczętowane strony.

- Sporo podróżował ten twój kumpel - zauważył flegmatycznie.
- Podejrzewam, że czeka go jeszcze wiele podróży.
- Będzie mi potrzebny podpis. Bez podpisu mam związane ręce.
- Daj mi chwilę czasu i będziesz miał podpis.

Ham wstał, oddał paszport Justinowi i podszedł ostrożnie do biurka. Otworzył szufladę i wyjął z niej parę oficjalnie wyglądających formularzy i trochę niezapisanych kartek papieru. Justin położył otwarty paszport pod lampą i - z Hamem zagląającym gorliwie zza pleców - poczynił kilka prób, zanim przepisał wszystkie swoje sprawy, prowadzone przez kancelarię adwokacką Hammond Manzini w Londynie i Turynie, na niejakiego Petera Paula Atkinsona.

- Muszę to potwierdzić notarialnie - powiedział Ham. - Zrobię to osobiście.

- Jeszcze jedno, jeśli pozwolisz.
- Chryste.
- Będę musiał z tobą korespondować.
- Kiedy tylko zechcesz, stary. Będę się cieszył, że jesteśmy w kontakcie.

- Ale nie na ten adres. I w ogóle nie w Anglii. Do twojego biura w Turynie też nie. O ile pamiętam, masz całe stadko włoskich ciotek. Może jedna z nich odbierałaby pocztę dla ciebie i trzymała ją, póki do niej nie wpadniesz?

- Mam taką jedną starą jędzę, mieszka w Mediolanie - powiedział Ham i wzdrygnął się.

- Stara jędza w Mediolanie to właśnie to, czego potrzebujemy. Podaj mi jej adres.

Była północ. Obowiązkowy oficer pokładowy Justin, ubrany w blezer i szare flanelowe spodnie, siedział przy paskudnym stole pod arturiańskim zyrandolem i znów coś pisał. Wiecznym piórem na papierze listowym. Podał kilka szkiców, zanim poczuł się usatysfakcjonowany, ale styl i charakter pisma, którego używał, nadal był mu obcy.

Droga Alison!

Jestem Ci bardzo wdzięczny za Twoje zaangażowanie i rady, których mi udzieliłaś podczas naszego dzisiejszego spotkania. Ministerstwo zawsze okazywało ludzką twarz w momentach krytycznych i tym razem nie uczyniło wyjątku.

ku. Poważnie zastanowiłem się nad Twoimi propozycjami i porozmawiałem z prawnikami Tessy. Okazuje się, że przez ostatnie miesiące bardzo zaniedbała swoje sprawy i muszę się nimi natychmiast zająć. To kwestie lokalowe i podatkowe, nie mówiąc o sprawach związanych z posiadłościami tutaj i za granicą. W związku z tym postanowiłem, że najpierw muszę poświęcić uwagę interesom.

Obawiam się zatem, że będziesz musiała poczekać tydzień albo dwa, zanim dam odpowiedź na Twoje propozycje. Co do urlopu zdrowotnego, uważam, że nie powinienem nadużywać dobrej woli ministerstwa. W tym roku nie brałem wolnego i jak mi się wydaje, należy mi się jeszcze pięć tygodni, nie licząc normalnego urlopu. Wolałbym wziąć to, co mi się należy, zamiast korzystać z waszej pobłażliwości. Jeszcze raz dziękuję.

Uznał z satysfakcją, że to obłudna i podła mistyfikacja. Justin, nieuleczalny urzędnik państwowy, zwraca ludziom głowę, bo uważa, że to nie będzie właściwe, jeśli weźmie urlop zdrowotny, żeby zająć się sprawami zamordowanej żony. Wrócił do holu i spojrzał jeszcze raz na skórzaną torbę, leżącą na podłodze pod marmurowym stolikiem. Jedna kłódka otwarta wytrychem i zepsuta, druga - zerwana. Zawartość upchnięta byle jak po przejrzaniu. Słabi jesteście, pomyślał z pogardą. Potem pomyślał: chyba, że chcecie mnie nastraszyć, w takim razie nie jesteście słabi. Przeszukał kieszenie marynarki. Mój paszport, prawdziwy, do pokazania, kiedy będę wyjeżdżał z Wielkiej Brytanii albo kiedy będę wracał. Pieniądze. Żadnych kart kredytowych. Z determinacją wziął się do roboty i zaczął gasić światła w domu. Niech wygląda na to, że idzie spać.

11

Góra odcinała się czernią na tle ciemniejącego nieba, a na niebie chmury pędzone przekornym wyspiarskim wiatrem mieszały się z lutowym deszczem. Droga, biegnąca zakolami, usiana była kamyczkami i czerwonym błotem spływającym z nasiąkniętego wodą zbocza. Czasem przechodziła w tunel osłonięty gałęziami sosen, a czasem w zawrotną tysiącstopową przepaść nad parującym Morzem Śródziemnym. Skręcał i nie wiadomo w jaki sposób morze wznosiło się przed nim jak ściana, by przy następnym skręcie znów opaść do czeluści. Ale choć zmieniał kierunek jazdy, deszcz zawsze siekł wprost w twarz, a strugi uderzały w przednią szybę. Czuł, że jeep dygoce jak stary koń, za słaby już, by uciągnąć ciężki wóz. Przez cały czas strzegła go

prastara twierdza górską Monte Cappane, to ze szczytu, to znów przycupnięta po prawej stronie na jakimś niespodziewanym grzbiecie; prowadziła go naprzód jak zwodnicze światło.

- Gdzie to, do diabła, jest? Jakoś tak na lewo, słowo daję- narzekał głośno, trochę do siebie, trochę do Tessy. Gdy dotarł na szczyt, zjechał wściekły na pobocze i przyłożył opuszki palców do skroni, żeby przypomnieć sobie drogę. Rozwinał w sobie skłonność do przesadnej gestykulacji, charakterystyczną dla ludzi samotnych. Pod nim leżały światła Portoferraio. Przed nim, za morzem, na stałym lądzie pobłyskiwało Piombino. Po lewej i prawej stronie rozciągały się drzewiaste ściany wyciętego w lesie wąwozu. To w takim miejscu ukryli się twoi mordercy w zielonej ciężarówce do safari, kiedy czekali, żeby cię zabić, wyjaśnił jej w myślach. To tutaj palili swoje paskudne sportsmany, pili piwo whitecap z butelek i czekali, aż będziesz przejeżdżać razem z Arnoldem. Ogolił się, przyczesał włosy i włożył świeżą dżinsową koszulę. Twarz miał rozpaloną, skronie pulsowały. Wybrał skręt w lewo. Jeep potoczył się po niesfornej płataninie gałązek i sosnowych igieł. Drzewa rozstały się, niebo pojaśniało i znów było prawie widno. Pod nim, na skraju polany, skupiła się gromadka starych chałup. "Nigdy ich nie sprzedam. Nigdy ich nie wynajmę", mówiłaś mi, gdy przyprowadziłaś mnie tu po raz pierwszy. "Dam je ludziom, którzy coś dla mnie znaczą, a później my tu się wprowadzimy i tutaj umrzemy".

Justin zaparkował jeepa i poszedł przez wilgotną trawę do najbliższej chałupy. Była schludna, niska, ze świeżo pomalowanymi wapnem ścianami i starym dachem, pokrytym różową dachówką. W oknie paliło się światło. Załomotał do drzwi. Stateczny pióropusz dymu, chroniony przez otaczający polanę las, wznosił się pionowo ku wieczornemu niebu, ale wyżej rozwiewał go wiatr. Strzępiaste czarne ptaszyska wirowały w powietrzu i wrzaskliwie się kłóciły. Drzwi się otworzyły i chłopka w jaskrawej chuście na głowie wydała okrzyk bólu, pochyliła głowę i wyszeptowała coś w narzeczu, którego nie rozumiał. Stała do niego bokiem, głowę nadal miała pochyloną, schwyciła go oburącz za dłoń i przycisnęła ją po kolei do obu policzków, a potem pocałowała go z oddaniem w kciuk.

- Gdzie jest Guido? - zapytał po włosku, wchodząc za nią do środka.

Otworzyła wewnętrzne drzwi i wprowadziła go do izby. Guido siedział za długim stołem pod drewnianym krzyżem. Skrzywiony, z trudem oddychający dwunastoletni staruszek o białej twarzy, wychudzony i z nawiedzonymi oczami. Chude dłonie spoczywały na stole. Były puste, nie można było zgadnąć, co w nich trzymał, zanim Justin wszedł. Siedział sam w ciemnej niskiej izbie z belkami pod stropem. Nie czytał, nie bawił się, nie patrzył wokół. Z pochyloną na bok głową i otwartymi ustami patrzył, jak Justin

wchodzi, potem wstał, opierając się o stół, pokuśtyka! w jego stronę i jak krab rzucił się naprzód, by go objąć. Ale cel stał za daleko i ramiona obwisły mu po bokach. Justin schwycił go i podtrzymał.

- Chce umrzeć, tak jak ojciec i signora - poskarżyła się jego matka. - Wszyscy dobrzy ludzie są w niebie - tak mi powiedział. - Wszyscy źli ludzie zostali tutaj. - Czy ja jestem zła, signor Justin? Czy pan jest zły? Czy signora przywiozła nas tu z Albanii, zapłaciła za jego leczenie w Mediolanie, umieściła w tym domu tylko po to, żebyśmy umarli z żalu po niej? Guido ukrył zapadniętą twarz w dłoniach. - Najpierw mdleje, potem idzie do łóżka spać. Nie je, nie bierze lekarstw. Odmawia chodzenia do szkoły. Rano, jak tylko poszedł się umyć, zamknęłam drzwi do sypialni i schowałam klucz.

- To dobre lekarstwo - powiedział cicho Justin, nie spuszczać wzroku z Guida.

Potrząsając głową, poszła do kuchni, zaczęła pobrzękiwać naczyniami, postawiła czajnik na ogniu. Justin podprowadził Guida do stołu i usiadł obok. Słuchasz mnie, Guido? - zapytał po włosku.

Guido zamknął oczy.

- Wszystko zostanie dokładnie tak, jak było - powiedział stanowczo. - Opłaty za twoją szkołę, za lekarza, za szpital, za lekarstwa, za wszystko, co jest niezbędne, żebyś odzyskał zdrowie. Renta, jedzenie, opłaty za uniwersytet, kiedy się tam dostaniesz. Zrobimy wszystko, co dla ciebie zaplanowała, dokładnie tak, jak to zaplanowała. Nie możemy zrobić mniej, niżby sobie życzyła, prawda?

Guido zastanawiał się nad tymi słowami ze spuszczonym wzrokiem, wreszcie niechętnie kiwnął głową: nie, nie możemy zrobić mniej, przyznawał.

- Nadal grasz w szachy? Może partyjkę?

Jeszcze jedno kiwnięcie, tym razem wstydliwie: to brak szacunku dla pamięci signory Tessy grać w szachy.

Justin wziął go za rękę i przytrzymał ją. Potem łagodnie nią zakołysał, czekając na promyk uśmiechu.

- Co robisz, kiedy nie umierasz? - zapytał po angielsku. - Przeczytałeś książki, które ci przysłałiśmy? Zdawało mi się, że do tej pory będziesz znawcą Sherlocka Holmesa.

- Pan Holmes to wielki detektyw - odparł Guido, także po angielsku, tle bez uśmiechu.

- A co z komputerem, który dała ci signora? - zapytał Justin, wracając do włoskiego. - Tessa mówiła, że jesteś gwiazdą. Geniuszem, tak mi powiedziała. Wysyłałiście do siebie tyle maili, że stałem się zazdrosny. Nie mów, że odstawiłeś swój komputer, Guido!

To pytanie wywołało wybuch z kuchnij.

- Oczywiście, że odstawił! Odstawił wszystko! Kosztował ją cztery miliony lirów! Całymi dniami siedział przy tym komputerze. Stuk, stuk, stuk. "Oślepniesz", mówiłam mu, "dostaniesz mdłości od takiego skupienia". Nic nie pomagało. Nawet komputer musi umrzeć.

Justin, nadal trzymając Guida za rękę, spojrzał mu w oczy.

- To prawda? - zapytał.

To była prawda.

- Przecież to okropne, Guido. Prawdziwe marnowanie talentu - narzekała, a na twarzy chłopca pojawiła się zapowiedź uśmiechu. - Ludzkość potrzebuje takich mózgów jak twój, słyszysz?

- Może.

- Pamiętasz komputer signory Tessy, ten, na którym cię uczyła?

Oczywiście, że pamięta - stwierdził to z wyrazem wyższości, żeby nie powiedzieć zadowolenia z siebie.

- Nie był tak dobry jak twój. Twój jest o parę lat młodszy i mądrzejszy. Prawda?

Tak. Jasne, że tak. I uśmiech się poszerzył.

- Wiesz, Guido, w porównaniu z tobą jestem idiotą, nie potrafię nawet porządnie obsługiwać jej komputera. Problem polega na tym, że signora Tessa zostawiła w nim mnóstwo wiadomości, niektóre dla mnie, i boję się, że je stracę. Myślę, że ona by chciała, żebyś to ty je dla mnie odzyskał. Dobrze? Bo ona zawsze chciała mieć takiego syna, jak ty. Ja też. Pojedziesz ze mną do willi, żeby mi pomóc przeczytać to, co jest w jej laptopie?

- Masz drukarkę?

- Mam.

- Napęd dyskietek?

- Tak.

- Napęd CD? Modem?

- I podręcznik. I transformatory. I kable, i adapter. Ale mimo to jestem idiotą i jeśli jest jakaś szansa, że coś zepsuję, to na pewno to zepsuję.

Guido już wstał, ale Justin czule posadził go znów za stołem.

- Nie teraz. W nocy sobie pośpisz, a jutro rano przyjadę i pojedziemy jeepem, ale potem musisz pójść do szkoły. Dobrze?

- Dobrze.

- Pan jest zbyt zmęczony, signor Justin - mruknęła matka Guida, stawiając przed Justinem kawę. - Tak wiele smutku szkodzi na serce.

Był na wyspie tylko dwie ndcp i dzień, ale gdyby ktoś powiedział, że jest tu od tygodnia, nie sprzeczałby |ię. Do Boulogne popłynął promem, kupił za

gotówkę bilet na pociąg, a gdzieś po drodze drugi bilet w inną stronę, na długo zanim pierwszy stracił ważność. Pokazywał paszport tylko raz i to pobieżnie, kiedy w urwistym i pięknym wąwozie górskim przekraczał granicę między Szwajcarią a Włochami.

To był jego prawdziwy paszport. Tego był pewien. Posłuszny instrukcjom, które otrzymał od Lesley, wolał wysłać pana Atkinsona przodem, za pośrednictwem Hama, niż ryzykować, że przyłapią go z dwoma paszportami. Ale który to był wąwóz i jaki pociąg - musiałyby przestudiować mapę i zgadywać, w jakim mieście wsiadł do wagonu.

Przez większą część podróży Tessa jechała obok niego i od czasu do czasu opowiadali sobie jakiś dowcip - zazwyczaj po wypowiedzianej przez Tessę półgłosem jakiejś błahej uwadze. Innym razem coś wspominali, siedząc ramię w ramię, z odrzuconymi do tyłu głowami i zamkniętymi oczami, jak stare małżeństwo, aż nagle zostawiała go samego, a bolesna zgryzota ogarniała go jak rak, którego obecności był przez cały czas świadom. Justin Quayle pogrążał się wówczas w żalobie po zmarłej żonie ze znacznie większym natężeniem niż w najgorszych chwilach pobytu w pokoju gościnnym Glorii czy podczas pogrzebu w Langata albo wizyty w kostnicy szpitalnej lub na strychu domu numer cztery.

Obudził się na peronie stacji kolejowej w Turynie, wynajął pokój w hotelu, żeby się doprowadzić do porządku, w sklepiku z używanymi utensyliami podróżnymi kupił dwie nierzucające się w oczy płócienne walizki na papiery i rzeczy, które zaczął uważać za relikwie po niej.

A potem, signor Justinie, ubrany w czarny garnitur młody prawnik, spadkobierca tej połowy spółki adwokackiej, która nazywała się Manzini zapewniał go, okraszając zapewnienia wyrazami współczucia tym bardziej bolesnymi, że szczerymi, iż pudła na kapelusze dotarły nienaruszone i na czas razem z poleceniem od Hama, żeby numer piąty i szósty bez otwierania wręczyć osobiście Justinowi - i jeśli jest coś jeszcze, co młody człowiek mógłby zrobić, coś natury prawnej albo zawodowej, albo jakiegokolwiek, to rozumie się samo przez się, że lojalność wobec rodziny Manzinich nie kończy się wraz z tragiczną śmiercią signory i tak dalej. No i oczywiście są pieniądze, dodał pogardliwie, i odliczył pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich wypłaconych na podpis Justina. Po tym wszystkim Justin wycofał się do prywatności pustej sali konferencyjnej, gdzie przeniósł relikwiarzyk Tessy i paszport pana Atkinsona do ich nowego miejsca spoczynku w płóciennych walizkach. Wkrótce potem wziął taksówkę do Piombino, gdzie dzięki przypadkowi mógł od razu wejść na pokład jaskrawego, wielopiętrowego hotelu, roszczącego sobie pretensje do miana statku, który płynął do Portoferraio na Elbie.

Był jedynym gościem w gigantycznej plastikowej samoobsługowej stółce na szóstym pokładzie. Usadowił się jak najdalej od ogromnego telewizora, walizki postawił obok siebie i zjadł z apetytem sałatkę z owoców morza i bagietkę z salami, popijając to butelką naprawdę podłego czerwonego wina. Po przybiciu do Portoferraio znów doznał uczucia nieważkości, gdy przepychał się przez nieoświetlone wnętrza parkingu dla ciężarówek p@d pokładem, a grubiańscy kierowcy rozgrzewali wozy albo po prostu jechali wprost na niego, spychając go wraz z walizkami na nitowane, żelazne ściany kadłuba ku rozbawieniu beczynnych bagażowych, którzy się temu przyglądali.

Był przenikliwie zimny zimowy zmierzch, gdy udało mu się, drżącemu i wściektemu, wydostać na nabrzeże. Na chodniku nieliczni przechodnie truchtali nieprzyzwyczajeni do pośpiechu. Bojąc się, że ktoś go rozpozna, albo co gorsza zacznie się nad nim litować, naciągnął kapelusz głęboko na czoło i poniósł walizki do najbliższej czekającej taksówki. Ulżyło mu, gdy okazało się, że kierowca go nie zna. W ciągu dwudziestominutowej jazdy taksówkarz dopytywał się, czy jego pasażer jest Niemcem, a Justin odpowiedział, że jest Szwedem. Ta spontaniczna odpowiedź okazała się zbawieniem, bo kierowca nie zadawał już więcej pytań.

Willa Manzini stała nisko, na północnym brzegu wyspy. Wiatr od morza kołysał palmami, chłostał kamienne mury, trząskając okiennicami i dachówkami i sprawiając, że przybudówki trzeszczały jak stare okrętowe liny. Justin stał samotny w świetle zachodzącego księżyca tam, gdzie zostawiła go taksówka, u wejścia na wykładany kamiennymi płytami dziedzińca ze starą pompą i prasą do oliwek i czekał, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności. Willa była nieoświetlona. Dwa rzędy topoli, zasadzonych przez dziadka Tessy, znaczyły drogę od drzwi frontowych do brzegu morza. Justin zaczął rozpoznawać kolejno domki dla służby, kamienne schody, słupki przy bramie i niewyraźne pozostałości rzymskiej konstrukcji z kamienia. Nigdzie nie paliło się światło. Zarządca posiadłości, według tego, co mówił Ham, rozbijał się ze swoją narzeczoną po Neapolu. Utrzymanie domu powierzono parze austriackich kobiet, które mówiły o sobie, że są malarkami, i zamieszkały w pustej kaplicy po drugiej stronie posiadłości. Dwie chałupki fornali, przebudowane przez matkę Tessy, *dottorressę* - na wyspie ten tytuł ceniono wyżej niż tytuł *contessy* - i ze względu na gusta niemieckich turystów ochrzczone Romeo i Julia, znajdowały się w gestii agencji wynajmu nieruchomości z Frankfurtu.

Witaj w domu, powiedział do Tessy, na wypadek, gdyby za wolno się orientowała po całej tej podróży.

Klucze do willi trzymano na półeczce wewnątrz wyłożonej drewnem pompy. "Najpierw zdejmiesz wieko, kochanie, potem sięgniesz ręką i jeśli

będziesz miał szczęście, wyciągniesz je. Potem otworzysz drzwi frontowe do domu i zaniesiesz pannę młodą do sypialni i będziesz się z nią kochał". Ale nie zaniósł jej do sypialni, znał lepsze miejsce. Podniósł płócienne walizki i poszedł przez podwórze. Księżyc tymczasem uczynnie wyszedł zza chmur i oświetlił mu drogę, rzucając białe pasma światła między topolami. Justin dotarł do odległego rogu podwórza i wszedł w wąską alejkę przypominającą starorzemski zaułek, wiodącą do drzwi z drzewa oliwnego, na których wyrzeźbione były trzy napoleońskie pszczoły ku czci -jak głosiła rodzinna legenda - tego wielkiego człowieka, który ceniąc dobrą rozmowę i jeszcze lepsze wino praprababki Tessy, był częstym gościem w willi podczas niespokojnych miesięcy swojego wygnania.

Justin wybrał największy z kluczy i przekręcił go w zamku. Drzwi jęknęły i ustąpiły. "To tu liczyliśmy nasze pieniądze", mówi do niego poważnie, wchodząc w rolę dziedziczki Manzini, panny młodej i przewodniczki wycieczek w jednej osobie. "Dziś wspaniałe oliwki Manzinich przewożone są drogą morską do Piombino i tam wyciska się je jak wszystkie inne. Ale w czasach mojej matki, *dottoressy*, ten pokój był świętym przybytkiem. To tutaj spisywaliśmy zbiory oliwy, dzban za dzbanem, zanim złożyliśmy je w precyzyjnie określonej temperaturze w »cantine« na dole. To tutaj - ale ty nie słuchasz".

- To dlatego, że kochasz się ze mną.

"Jesteś moim mężem i mogę się z tobą kochać, kiedy zechcę. Uważaj teraz. W tym pomieszczeniu każdy wieśniak dostawał do ręki tygodniowy zarobek i podpisywał się, zazwyczaj krzyżykiem, w księdze głównej większej niż twoja angielska Domsday Book".

- Tesso, nie mogę...

"Czego nie możesz? Oczywiście, że możesz. Jesteś niezwykle zaradny. Tutaj także przyjmowaliśmy skutych więźniów, skazanych na dożywocie, z więzienia po drugiej stronie wyspy. Stąd judasz w drzwiach. Stąd żelazne obręcze w ścianie, żeby można było przykuć więźniów, kiedy czekali, aż się ich zabierze do gajów oliwnych. Nie jesteś ze mnie dumny? Potomkini właścicieli niewolników?"

- Niezmiernie.

"To dlaczego zamykasz drzwi? Jestem twoim więźniem?"

- Na wieki.

Skład oliwy był niski, dach podtrzymywały krokwie, okna umieszczono za wysoko, żeby ktoś mógł przez nie zajrzeć, gdy liczone pieniądze, skuwano więźniów, czy też gdy dwoje nowożeńców kochało się niespiesznie na skórzanym kanapie, stojącej przy ścianie od strony morza. Stół do liczenia pieniędzy był płaski i kwadratowy. Za nim, w łukowatej wnęcie stały dwie stolarskie ławy

warsztatowe. Justin musiał wyteżyć wszystkie siły, żeby przeciągnąć je po flizach poiłogi i ustawić po obu stronach stołu. Nad drzwiami widniała linia starych butli. Zdjął je i odkurzył za pomocą chusteczki do nosa, a potem postawił na stole jako przyciski do papieru. Czas się zatrzymał. Nie czuł pragnienia, głodu ani senności. Na każdej ławie postawił po walizce, wyciągnął dwa najcenniejsze zawiniątka i położył je na stole do liczenia pieniędzy. Ostrożnie wybrał sam środek, żeby w przyływie żalu albo szaleństwa nie wpadło im na myśl sturlać się na podłogę. Ze skupieniem zaczął rozkładać pierwszy tobołek, warstwa po warstwie - bawełniana podomka, sweter z angory, ten, który nosiła na dzień przed wyjazdem do Lokichoggio, jedwabna bluzka z jej zapachem ciągle utrzymującym się wokół kołnierzyka - aż wydobył skarb: lśniące szare pudło dwanaście cali na dziesięć ze znakiem japońskiego wytwórcy, wybitym na wieku. Nietknięte całymi dniami i nocami piekielnej samotności i podróży. Z drugiego zawiniątka wydobył akcesoria. Kiedy już tego dokonał, ostrożnie przeniósł cały zestaw, sztukę po sztuce, na stare sosnowe biurko w drugiej części pomieszczenia.

- Później - obiecał na głos. - Cierpliwości, kobieto.

Oddychał już lżej. Wyjął z podręcznego bagażu radio z budzikiem i tak długo przy nim majstrował, aż nastawił lokalną długość fali dla BBC World Service. Przez całą podróż słuchał o bezowocnych poszukiwaniach Arnolda. Nastawił alarm na następny cogodzinny dziennik i skoncentrował uwagę na nierównych stosach listów, teczek, wycinków prasowych, wydruków i zszywkach oficjalnie wyglądających papierów, podobnych do tych, które w jego poprzednim życiu stanowiły ucieczkę od rzeczywistości. Ale nie tej nocy, o nie. Te papiery nie dawały ucieczki: ani akta policyjne Lesley, ani notatki Hama z władczych poleceń Tessy, ani starannie ułożone paczuszki jej listów, pism, wycinków prasowych, tekstów z zakresu farmacji i medycyny, karteczki, które przypinała dla pamięci na tablicy w swojej pracowni, ani gorączkowe zapiski ze szpitala, wydobyte przez Roba i Lesley ze schowka w mieszkaniu Arnolda Bluhma. Radio samo się włączyło. Justin podniósł głowę i słuchał. O doktorze medycyny, podejrzanym o zabójstwo żony brytyjskiego dyplomaty, Tessy Quayle, spiker znów nie miał nic do powiedzenia. Po zadośćuczynieniu temu obowiązkowi Justin zaczął szperać w papierach Tessy, aż znalazł przedmiot, który postanowił trzymać przy sobie podczas swoich badań. Przyniosła go ze szpitala - "jedyną rzecz, jaką zostawili po Wanzy". Wyciągnęła go z nieopróżnianego kosza na śmieci, stojącego przy pustym łóżku Wanzy. Stał na jej biurku całymi dniami jak wyrzut sumienia: małe czerwono-czarne kartonowe pudełko o rozmiarach osiem na sześć centymetrów, puste w środku. Stamtąd trafiło do środkowej szuflady, gdzie znalazł je Justin, pośpiesznie przeszukując jej rzeczy. Nie było zapo-

mniane ani odrzucone. Ale zdegradowane, spłaszczone, odsunięte na bok, gdy poświęciła się sprawom niecierpiącym zwłoki. Nazwa dypraxa wydrukowana była na wszystkich czterech ściankach, a w środku znajdowała się ulotka ze wskazaniem i przeciwwskazaniem. A na wierzchu pudełeczka widniały trzy wesole złote pszczołki, ustawione w szereg strzały. Justin otworzył kartonik, przywrócił mu status pudełka i położył na środku pustej półki. "Kenny K myśli, że jest Napoleonem z tymi swoimi trzema pszczołami", wyszeptała do niego w gorączce. "A ich ukąszenie jest śmiertelne, wiesz?" Nie kochanie, nie wiedziałem, śpij.

Czytać.

Podróżować.

Zwolnić gorączkę myśli.

Podgonić inteligencję.

Atakować, a mimo to stać spokojnie, być cierpliwym jak święty i impulsywnym jak dziecko.

Nigdy w życiu Justin tak bardzo nie pożądał wiedzy. Nie było już czasu na przygotowania. Przygotowywał się dzień i noc od chwili jej śmierci. Zatajał różne sprawy, ale przygotowywał się. Przygotowywał się w upiornym pokoju gościnnym Glorii. Podczas przesłuchań policyjnych, gdy zatajanie informacji bywało nie do zniesienia, w jakimś nieznanym snu zakamarku głowy cały czas przygotowywał się. Podczas niekończącego się lotu do domu, w gabinecie Alison Landsbury, w klubie Pellegrina, w biurze Hama i pod numerem czwartym, gdy sto różnych rzeczy naraz działo się w jego umyśle. Przygotowywał się. Teraz chciał zanurkować prosto do jej tajnego świata; rozpoznać każdy drogowskaz i kamień milowy na trasach jej wędrówek; stłumić własną tożsamość i ożywić jej; zabić Justina i przywrócić Tessę życiu.

Gdzie zacząć?

Wszędzie!

Którą ścieżką podążać?

Wszystkimi ścieżkami naraz!

Urzędnik, który siedział mu w duszy, nie znajdował punktu oparcia. Podniecony niecierpliwością Tessy, Justin przestał odpowiadać komukolwiek, istniał tylko dla niej. Jeśli była roztrzępana, to i on taki będzie. Tam gdzie postępowala metodycznie, on podda się jej metodzie. Tam gdzie dokonywała intuicyjnych skrótów myślowych, razem pójda na skróty. Czy był głodny? Jeśli Tessa nie była, on też nie. Czy był zmęczony? Jeśli Tessa potrafiła pół nocy przesiedzieć w podomce, skulona przy biurku, to on może przesiedzieć całą noc i cały następny dzień także i całą następną noc!

Raz, uwalniając się od harówki, dokonał wypadu do kuchni willi. Wrócił z salami, oliwkami, chrupkim pieczywem, reggiano i butelką wody. Innym razem - czy to był zmierzch, czy świt? - pamiętał, że światło było szare - był w środku jej dziejnika szpitalnego, odnotowywał wizyty Lorbeera i jego akolitów przy łóżku Wanzy. Gdy wrócił do rzeczywistości, stwierdził, że chodzi po otoczonym murem ogrodzie. To tutaj, pod czujnym okiem Tessy, sadił weselny łubin, weselne róże i, nieuchronnie, z miłości do niej, weselne frezje, Chwasty sięgały mu do kolan, moczyły spodnie, kwitła pojedyncza róża. Pamiętał, że zostawił otwarte drzwi do składu oliwy i pobiegł przez wykładane kamiennymi płytami podwórko, ale zastał je starannie zamknięte. Klucz miał w kieszeni marynarki.

Wycinek prasowy z "Financial Times":

BZYKANIE THREEBEES

Krażą pogłoski, że młody geniusz i playboy, Kenneth K. Curtiss z dynastii ThreeBees, przedsiębiorców działających w Trzecim Świecie, planuje niespodziewane małżeństwo z rozsądku ze szwajcarsko-kanadyjskim kolosem farmaceutycznym Kareł Vita Hudson. Czy KVH pojawi się przed ołtarzem? Czy ThreeBees wniosą posag? Odpowiedź brzmi dwa razy "tak", dopóki typowy dla Kennetha K. śmiały hazard farmaceutyczny przynosi zyski. Uważana za bezprecedensową w tajemniczym i niezwykle dochodowym światku farmaceutyków transakcja polegać ma na tym, że ThreeBees Nairobi zainwestuje jedną czwartą z sięgających około 500 milionów funtów kosztów badawczego przez KVH nowego cudownego leku przeciwko gruźlicy DYPRAXA, a w zamian za to otrzyma prawa do jego sprzedaży i dystrybucji w całej Afryce i nieznaną część zysków ze światowego rynku leków...

Rzeczniczka prasowa przedsiębiorstwa ThreeBees w Nairobi, Vivian Eber, wyraziła ostrożną radość: "To błyskotliwe, typowe dla Kenny'ego K. To akt humanitarny, korzystny dla firmy, dobry dla udziałowców i dla Afryki. DYPRAXA jest równie łatwa w stosowaniu jak plaster na odciski. Spółka ThreeBees stanie się przedmurzem w walce przeciwko przerażającemu rozrostowi nowych szczepów gruźlicy na całym świecie".

Prezes KVH, Dieter Kom, przemawiając ostatniego wieczora w Bazylei, wtórował optymizmowi przebijającemu ze słów pani Eber: "Dzięki DYPRAXIE ośmiomiesięczna, ciężka kuracja zostanie zastąpiona dwunastoma tabletkami. Uważamy, że ThreeBees ma właściwych ludzi do wprowadzenia DYPRAXY w Afryce".

Ręcznie pisana notka Tessy do Bluhma, przypuszczalnie znaleziona w mieszkaniu Arnolda:

Arnoldzie, kochany!

Nie wierzyłeś mi, gdy ci mówiłam, że KVH to dranie. Sprawdziłam. To dranie. Dwa lata temu zostali oskarżeni o zanieczyszczenie połowy Florydy, gdzie mają wielkie "instalacje". Wykpiłi się upomnieniem. Niepodważalne dowody przedstawione przez powodów pokazują, że KVH przekroczyła dopuszczalne stężenie toksycznych odpadów o dziewięćset procent. Zatruli obszary chronione, trzęsawiska, rzeki i plaże, a prawdopodobnie także mleko. KVH świadczył podobne usługi publiczne w Indiach, gdzie w Madrasie zmario dwieście dzieci, ponoć przyczyny były te same. Sprawa trafi przed sąd w Indiach za piętnaście lat, albo później, jeśli KVH będzie przez cały czas opłacało właściwych ludzi. Są również znani w branży farmaceutycznej jako pionierzy kampanii humanitarnej na rzecz wydłużania życia swoich patentów w interesie cierpiących białych miliarderów. Dobranoc, kochanie. Nigdy więcej nie powątpiewaj w moje słowa. Jestem nieskazitelnie czysta. Ty też. T.

Wycinek z "Guardiana", kolumny poświęcone finansom, Londyn:

SZCZĘŚLIWE

PSZCZÓŁKI

Dramatyczny wzrost (40 procent w ciągu 12 tygodni) wartości ThreeBees Nairobi odzwierciedla wzrastające zaufanie rynku do świeżo nabytej przez spółkę koncesji na licencjonowaną dystrybucję w całej Afryce dypraxy - taniego i zupełnie nowego lekarstwa na gruźlicę. Dyrektor generalny ThreeBees, Kenneth K. Curtiss, powiedział nam ze swojego domu w Monako: "Co jest dobre dla ThreeBees, jest dobre dla Afryki. A co jest dobre dla Afryki, jest dobre dla Europy, Ameryki i reszty świata".

Osobna teczka oznaczona słowem HIPPO, charakterem pisma Tessy, zawierała około czterdziestu listów i wydrukowanych maili. Była to korespondencja, prowadzona między Tessą a kobietą o imieniu Birgit, pracującą dla niezależnej organizacji nadzorującej rynek farmaceutyczny. Organizacja nazywała się Hippo i miała siedzibę w Bielefeld, w północnych Niemczech. Logo na górze papieru listowego wyjaśniało, że nazwa organizacji pochodzi od imienia greckiego lekarza Hipokratesa, urodzonego około 460 roku przed naszą erą, którego przysięga obowiązuje wszystkich lekarzy. Korespondencja rozpoczyna się oficjalnie, ale kiedy zaczynają przeważać maile, jej ton staje się coraz mniej sztywny. Kluczowe postacie szybko otrzymują pseudonimy. KVH staje się Gigantem, dypraxa - Pigułą, Lorbeer - Goldmakerem. Źródło informacji Birgit, dotyczących działalności Kareł Vita Hudson nazywane jest Naszym Przyjacielem. A Nasz Przyjaciel musi być przez cały czas

chroniony; bo "to, co ona mam mówi, stoi całkowicie w sprzeczności ze szwajcarskim prawem".

Wydruk e-mailu Birgit do Tessy:

...dla swoich dwóch pań doktor, Emrich i Kovacs, Goldmaker założył spółkę na wyspie Man, a może nawet dwie spółki, bo było to jeszcze w czasach komunistycznych. Nasz przyjaciel twierdzi, że L zapisał obie spółki na swoje nazwisko, żeby kobiety nie miały kłopotów z władzami. Wtedy zdarzyła się nieprzyjemna kłótnia między paniami. Naukowa, ale również osobista. Nikomu w Gigancie nie pozwolono zapoznać się ze szczegółami. Emrich wyemigrowała rok temu do Kanady. Kovacs przebywa w Europie, głównie w Bazylei. Słoniowa ciężarówka, którą przysłałaś Skrzatowi, sprawiła, że oszalał ze szczęścia i teraz trąbi co rano jak słoń, żebym wiedziała, że się obudził.

Wydruk e-mailu Birgit do Tessy:

Dowiedziałam się czegoś więcej, jeśli chodzi o Pigułę. Pięć lat temu, gdy Goldmaker szukał wsparcia finansowego dla badań nad lekarstwem dla kobiet, nie wszystko układało się po jego myśli. Usiłował namówić do sponsoringu niektóre wielkie niemieckie firmy farmakologiczne, ale mocno się opierały, bo nie widziały w tym dla siebie odpowiedniego zysku. Problem z biedotą jest zawsze ten sam: nie jest dość zamożna, żeby kupować drogie leki! Gigant włączył się późno, dopiero po długich badaniach rynku. Nasz Przyjaciel twierdzi także, że byli bardzo sprytni w układach z BBB. To było mistrzowskie posunięcie - wyprzedać biedną Afrykę i zachować dla siebie świat bogatych! Plan jest bardzo prosty, czas dobrany jak najlepiej. Chodzi o wypróbowanie Piguły w Afryce przez dwa albo trzy lata, a do tego czasu, według kalkulacji KVH, gruźlica stanie się poważnym problemem na Zachodzie. Ponadto, za trzy lata BBB będzie tak podupadłe finansowo, że KVH będzie w stanie wykupić je za grosze! Toteż, według Naszego Przyjaciela, BBB postawiło na niewłaściwego konia, a bicz trzyma Gigant. Karl śpi obok mnie. Kochana Tesso, wierzę, że twoje dziecko będzie takie piękne, jak Karl. Będzie wielkim wojownikiem, jak jego matka, jestem tego pewna! Ciao, B.

Ostatnia pozycja w korespondencji Birgit/Tessa:

Nasz Przyjaciel donosi o bardzo tajnych działaniach Giganta w związku z BBB i Afryką. Może poruszyłaś gniazdo szerszeni? Kovacs ma polecieć w wielkiej tajemnicy do Nairobi, gdzie czeka na nią Goldmaker. Wszyscy źle się wyrażają o "die schoene" Lara. Jest zdrajczynią, dziwką itd. Jak to się dzieje, że taka nudna korporacja stała się nagle tak pełna namiętności?! Uważaj na siebie, Tesso. Myślę, że jesteś trochę "waghalsig", ale jest już późno i mój angielski nie jest w stanie oddać tego słowa, więc poproś może swojego pocziwego małżonka, żeby ci je przetłumaczył! B.

P.S. Przyjedź wkrótce do Bielefield. To piękne i bardzo tajemnicze miasteczko. Na pewno je pokochasz! B.

Jest wieczór. Tessa w zaawansowanej ciąży. Chodzi po salonie domu w Nairobi. Trochę przysiadzie, znów pochodzi. Arnold powiedział, że nie wolno jej bywać w Kiberze, dopóki nie urodzi dziecka. Nawet siedzenie przed laptopem stało się dla niej męczącym, przykrym obowiązkiem. Co pięć minut musi coś ze sobą zrobić. Justin wrócił wcześniej do domu, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

- Kto albo co to jest "waghalsig"? - zapytała, ledwie otworzył drzwi wejściowe.

- Kto jest co?

Wymówiła to słowo z przesadnie angielskim akcentem, musiał powtórzyć to dwa razy, zanim zrozumiał.

- Lekkomysłny - odparł ostrożnie. - Zuchowaty. A co?

- Czy ja jestem "waghalsig"?

- Nigdy w życiu. Ty nie.

- Ktoś mnie tak nazwał, tylko tyle. Cholernie zuchowata. Jakoś sobie z tym poradzę.

- Nie wierz w to - odparł nabożnie Justin i oboje wybuchnęli śmiechem.

List z kancelarii adwokackiej Oakley, Oakley & Farmeloe w Londynie, Nairobi i Hongkongu do panny T. Abbott, skrzynka pocztowa Nairobi:

Szanowna Pani Abbott,

Działamy z upoważnienia Firmy ThreeBees w Nairobi, która przekazała nam kilka Pani listów zaadresowanych osobiście do Sir Kennetha Curtissa, dyrektora generalnego spółki, do innych dyrektorów i członków zarządu.

Naszym zadaniem jest poinformować panią, że produkt, o którym Pani pisze, przeszedł wszystkie wymagane próby kliniczne, z których wiele prowadzono według standardów daleko wyższych niż narzucone przez przepisy krajowe lub międzynarodowe. Jak słusznie Pani zauważyła, produkt ten został przetestowany i zarejestrowany w Niemczech, Polsce i Rosji. Na wniosek kenjijskiej służby zdrowia, rejestracja ta została zweryfikowana przez Światową Organizację Zdrowia. Kopia certyfikatu została załączona do tego listu.

W związku z tym musimy Panią powiadomić, że jakiegokolwiek dalsze zażalenia w tej kwestii, z Pani strony lub ze strony Pani współpracowników, skierowane bezpośrednio do firmy ThreeBees lub kogokolwiek innego, zostaną uznane za złośliwe i nieuzasadnione oczernianie prestiżowego produktu naszego klienta, jego dobrego imienia i wysokiej pozycji na rynku. W takiej sytuacji zostaliśmy zobowiązani do podjęcia najdalej idących kroków prawnych.

Z wyrazami szacunku...

- Stary, na słówko, jeśli można.

Mówi Tim Donohue. A stary to Justin we własnej osobie, w którego pamięci rozgrywa się ta scena. Przerwano grę w monopol, bo synowie Woodrowów pobiegli na lekcję karate, a Gloria poszła do kuchni po drinki. Wzburzony Woodrow wybrał się do Wysokiej Komisji. Justin i Tim zostali sami, ramię przy ramieniu, przy stoliku ogrodowym, w towarzystwie milionów nieprawdziwych funtów szterlingów.

- Pozwolisz, że naruszę pewną świętość w imię większego dobra? - zapytał Donohue niskim, pełnym napięcia głosem, który nie poniósł się dalej, niż powinien.

- Jeśli musisz.

- Muszę. Ten spór był zupełnie nie na miejscu, stary. Ten, który twoja nieodżałowana wiodła z Kennym K. Nachodziła biedaka na farmie, telefonowała o dzikich porach. Zostawiała w jego klubie niegrzeczne listy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że nie wiesz. To nie jest dobry temat do rozmowy. Szczególnie, kiedy wmieszały się gliny. Radzimy, żebyś o tym absolutnie zapomniał. To nic istotnego, po prostu drażliwa sprawa dla nas wszystkich. Dla Kenny'ego też. - Podniósł głos. - Znosisz to wspaniale. Brak słów, żeby wyrazić podziw, prawda, Glorio?

- Jesteś prawdziwym supermanem, Justinie - zgodziła się Gloria, stając przed nimi tacę z dżinem i tonikiem.

“Radzimy”, przypomina sobie Justin, nadal wpatrując się w list prawników. Nie “radzę”. Oni radzą.

Wydruk maila Tessy do Hama:

Aniołeczku. Moje “Głębokie Gardło” w BBB przysięga, że tirma jest w znacznie gorszej sytuacji finansowej, niż ktokolwiek przypuszcza. Podobno słyszy się pogłoski, że Kenny K. rozważa wzięcie kredytu hipotecznego na całą nefarmaceutyczną część firmy od podejrzanego południowoamerykańskiego syndykatu z Bogoty! Pytanie: czy można zorganizować wyprzedaż spółki, nie mówiąc o tym udziałowcom? Mniej się znam na prawie o spółkach niż ty, czyli wiem tyle co nic. Objaśnij mi to, bo jak nie..! Jesteś kochany, Tess.

Ale Ham nie miał czasu na wyjaśnienia, nawet jeśli potrafił ich udzielić od razu albo po namyśle. Podobnie jak Justin. Brzęczenie rozklekotanego samochodu podjeżdżającego do bramy, a potem walenie w drzwi sprawiło, że nagle się poderwał i zerknął przez wizjer, by ujrzeć dobrze odżywiącą twarz ojca Emilia DelFOró, proboszcza miejscowej parafii. Jego mina wyrażać miała żal i troskę. Justin otworzył drzwi.

- Co z tobą, signor Justinie? - wykrzyknął ksiądz operowym basem, obejmując go. - Dowiaduję się dopiero od Maria, taksówkarza, że oszalały ze smutku mąż signory zamknął się w willi i mówi, że jest Szwedem? Po co jest ksiądz, na Boga, jeśli nie po to, żeby dotrzymywać towarzystwa pogrążonemu w żalobie, jak ojciec dla syna dotkniętego nieszczęściem?

Justin wymamrotał coś o potrzebie samotności.

- Ale ty pracujesz! - spojrzenie przez ramię Justina na stosy papieru rozsiane po całym składziku oliwy. - Nawet teraz, w żalobie, słyszysz swojemu krajowi! Nic dziwnego, że wy, Anglicy, zbudowaliście imperium większe od napoleońskiego!

Justin powiedział coś głupiego, że praca dyplomaty nigdy nie ma końca.

- Jak i kapłana, synu, jak i kapłana! Na jedną duszę, która zwróciła się ku Bogu, przypadają setki, które tego nie uczyniły. - Podeszedł bliżej. - Ale signora była wierząca, signor Justin. Tak, jak jej matka, *dottorressa*, nawet jeśli miały chwile zwątpienia. Jeśli żywiły tyle miłości dla bliźnich, to jakżeby mogły zamknąć uszy na głos Boga?

Justinowi udało się jakoś odprowadzić księdza od drzwi składu oliwy i usadowić go w wyiębionym salonie willi, pod luszczącymi się freskami,

przedstawiającymi przedwcześnie rozwinięte płciowo cherubiny, wlać w niego jedną i drugą szklaneczkę wina Manzinich i napić się samemu. Jakoś udało mu się przyjąć zapewnienia dobrego ojczulka, że Tessa bezpiecznie spoczywa na łonie Boga i bez sprzeciwu zgodzić się na odprawienie mszy za jej duszę w dzień jej świętego patrona oraz na okazałą donację na fundusz renowacji wspaniałego kościoła dominującego ze wzgórza nad wyspą, jednego z klejnotów architektury średniowiecznych Włoch, który jak twierdzą uczeni badacze i archeolodzy, wkrótce się zawali, chyba że z Bożą pomocą wzmocni się mury i fundamenty...

Odprowadził dobrodzieja do samochodu i szczerze pragnąc się go pozbyć, pokornie przyjął błogosławieństwo. Znów pospieszył na spotkanie z Tessą.

Czekała na niego z rękami założonymi na piersi.

“Nie wierzę w istnienie Boga, który pozwala na cierpienie niewinnych dzieci”.

- To dlaczego wzięłaś ślub kościelny?

“Żeby skruszyć Jego serce”, odparła.

DZIWKO. PRZESTAŃ OBCIAGAĆ KUTASA SWOJEMU DOKTOROWI CZARNUCHOWI ! WRACAJ DO TEGO ŻAŁOSNEGO MĘŻULKA EUNUCHA I ZACHOWUJ SIĘ PRYZWOICIE. NIE WTYKAJ ZASMARKANEGO NOSA W NASZE SPRAWY! BO JAK NIE, TO BĘDZIESZ ZIMNYM TRUPEM. TO POWAŻNE OSTRZEŻENIE.

Kartka papieru maszynowego, którą trzymał w drżących rękach, nie miała skruszyć niczyjego serca. Wiadomość napisana została grubymi czarnymi literami. Podpisu, oczywiście, nie było. Pisownia, o dziwo, bez zarzutu. Wywarła na Justinie piorunujące wrażenie, tak gwałtowne, tak szokujące, że przez kilka sekund całkowicie stracił dla niej cierpliwość.

Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie pokazałaś? Byłem twoim mężem, twoim obrońcą, twoim mężczyzną, twoją cholerną drugą połówką!

Poddałem się. Zrezygnowałem. Grożą ci śmiercią, podrzucają list do twojej skrzynki pocztowej. Ty go wyjmujesz. Czytasz go - raz. Uff! Gdybyś była taka jak ja, nie wzięłabyś go więcej do ręki, jest taki ohydny, taki odstręczający, że nie chciałabyś, by znalazł się blisko twojej twarzy. Ale ty czytasz go powtórnie. I jeszcze raz. Póki nie zrozumiesz wszystkich słów. Zupełnie jak ja.

I co robisz dalej? Telefonujesz do mnie i mówisz: “Kochany, stało się coś po prostu koszmarnego, musisz natychmiast przyjechać do domu?” Wska-

kujesz do samochodu? Jedziesz do Wysokiej Komisji? Machasz mi listem przed nosem, każesz iść do Portera? Nie. Nic z tych rzeczy. Jak zwykle, jesteś na to zbyt dumna. Nie pokazujesz mi listu, nie mówisz mi o nim, nie palisz go. Trzymasz wszystko w tajemnicy. Głęboko w szufladzie zagraco- nego biurka. Robisz dokładnie to, za co mnie wyśmiałybyś: wkładasz go między papiery i zachowujesz. Gdybym ja tak zrobił, złośliwie nazwałabyś to patrycjuszowską dyskrecją we własnych sprawach. Jak dawałaś sobie radę po przeczytaniu tego listu -jak mogłaś żyć ze mną - można się tylko domy- ślać. Bóg jeden wie, co czułaś z groźbą na karku, ale to twoja sprawa. Wiel- kie dzięki. Dzięki za osiągnięcie szczytów apartheidu w pożyciu małżeń- skim. Brawo. Raz jeszcze dziękuję.

Wściekłość opuściła go równie szybko, jak przyszła, zastąpiły ją zapo- cony wstyd i wyrzuty sumienia. Nie byłaś w stanie tego znieść, prawda? Samego pomysłu, że można komuś pokazać taki list. Wywołałoby to trzęsie- nie ziemi, którego nie umiałabyś kontrolować. Te bzdury o Bluhmie, te bzdury o mnie. Tego już za wiele. Chroniłaś nas. Nas wszystkich. Oczywiście, że tak. Powiedziałas Arnoldowi? Oczywiście, że nie. Próbowalby z tobą poroz- mawiać o tym.

Justin zrezygnował z takiego dobrodusznego rozumowania.

Za słodkie. Tessa była twardsza. A kiedy trafił ją szlag, o wiele bardziej złośliwa.

Myśl jak prawnik. Ucieknij się do lodowatego pragmatyzmu. Nie sil się na sentymenty, dziewczyno, bo nadciąga śmierć.

Wiedziała, że robi się gorąco. Groźba śmierci potwierdziła to. Nie grozi się śmiercią ludziom nieszkodliwym.

Gdybyś na tym etapie wrzeszczała "faul!", oznaczałoby to oddanie się w ręce władz. Brytyjskie były bezradne. Nie miały siły wykonawczej, nie miały jurysdykcji. Naszą jedyną ucieczką byłoby pokazanie listu władzom kenijskim.

A Tessa nie wierzyła władzom kenijskim. Często powtarzała, że macki imperium Moiego sięgają do każdego zakątka kraju. Jej zaufanie, podobnie jak jej powinności małżeńskie, było na dobre i na złe związane z Brytyjczy- kami: dowodem są jej tajne schadzki z Woodrowem.

Gdyby poszła do kenijskiej policji, musiałyby dostarczyć listę wrogów, rzeczywistych albo potencjalnych. Jej pościg za zbrodnią natychmiast zo- stałby wstrzymany. Musiałyby odwołać polowanie. Nigdy by tego nie zrobi- ła. Zbrodnia była dla niej ważniejsza niż własne życie.

Cóż, tak samo jest ze mną.

Gdy tak zmagał się, żeby odzyskać równowagę ducha, przypadkiem zatrzymał wzrok na ręcznie zaadresowanej kopercie, którą w swoim poprzednim życiu wydobył w pośpiechu z tej samej środkowej szuflady biurka Tessy, w której znalazł puste pudełko po dypraxie. Charakter pisma na kopercie nie był znajomy, choć budził w nim jakieś skojarzenia. Koperta została rozdarta. W środku tkwi złożona kartka papieru z urzędowej, niebieskiej papeterii. Pismo jest gorączkowe, tekst nacechowany pośpiechem i namiętnością.

Moja kochana Tesso. Kocham cię ponad wszelką miarę i zawsze będę Cię kochać. Jestem tego całkowicie pewien, tak jak siebie samego. Byłaś dla mnie dzisiaj okropna, ale ja byłem gorszy wobec Ciebie. Tak jakbyśmy nie byli sobą. Pożądajm Cię i wielbię ponad wszelką miarę. Jestem gotów, jeśli i ty jesteś gotowa. Machnijmy ręką na nasze śmiechu warte małżeństwa i dajmy się ponieść, dokąd los zechce. Jeśli to ma być na koniec świata, tym lepiej. Kocham Cię, kocham Cię, kocham Cię.

Ale tym razem podpisu nie brakowało. Był napisany jasno i wyraźnie literami tego samego rozmiaru, co litery na liście z pogrózkami: Sandy. Na imię mam Sandy, mówił, i możesz o tym powiedzieć całemu cholernemu światu.

Była też data i godzina. Nawet wyznając miłość, Sandy pozostawał człowiekiem sumiennym.

12

Justin, oszukiwany mąż, stał jak zahipnotyzowany w świetle księżycy, patrzył jak urzeczonemu na srebrzysty morski horyzont i głęboko oddychał chłodnym nocnym powietrzem. Miał takie uczucie, jakby nawdychał się czegoś

powodującego wymioty i teraz musiał oczyścić płuca. "Sandy wyprowadza siłę ze słabości", powiedziałaś mi kiedyś. "Sandy oszukuje przede wszystkim siebie, a potem nas wszystkich... Sandy to tchórz, któremu potrzebna jest zasłona w postaci wielkich gestów i wielkich słów, bo inaczej czuje się nagi".

Więc skoro o tym wszystkim wiedziałaś, to na Boga, dlaczego do tego dopuściłaś? - zapytał morza, nieba, zimnego nocnego wiatru.

"Daj spokój", odpowiedziała spokojnie. "Sandy bierze moje flirciki za obietnicę., dokładnie tak samo, jak uważa twoje dobre maniery za oznakę słabości".

Na chwilę jednak Justin pozwolił sobie na ten luksus, żeby opuściła go odwaga, tak jak czasem pozwalał sobie na to, gdy myślał o Arnoldzie. Ale pamięć pracowała. Wczoraj, ostatniej nocy, poprzedniej nocy, coś czytał. Ale co? Wydruk, Tessa do Hama. Długi mail, nieco zbyt poufny jak na jego gust, więc odłożył go do teczki poświęconej zagadkom do rozwikłania, kiedy będzie dość silny, żeby stawić im czoło. Po powrocie do składu oliwy, odgrzebał wydruk i sprawdził datę.

Wydruk maila Tessy do Hama datowany jedenaście godzin po tym, jak Woodrow, łamiąc przepisy dotyczące użytkowania urzędowego papieru listowego, wyłożył swoją namiętność do żony kolegi na oficjalnej, niebieskiej papeterii Jej Królewskiej Mości:

Nie jestem już dziewczyną, Ham, i czas, żebym odłożyła na bok dziewczynskie zachowania. A teraz mam furę kłopotów. Wpadłam na pięciogwiazdkowego wazeliniarza, który ma na mnie ochotę. Problem w tym, że Arnold i ja wreszcie trafiliśmy na złotą żyłę, a dokładniej na ekskrementy najgorszego rodzaju, i strasznie jest nam potrzebny ten wazeliniarz, żeby wystąpił w naszym imieniu w kuluarach władzy, bo to jedyny sposób prowadzenia sprawy, skoro jestem żoną Justina i staram się mimo wszystko pozostać lojalną Brytyjką. Czyżbym słyszała, jak mówisz, że jestem ciągle taką samą bezwzględną dziwką, która lubi wodzić mężczyzn za nos, nawet jeśli są superwazeliniarzami? Cóż, Ham", nie mów tak, nawet jeśli to prawda. Zamknij buzię. Bo muszę spełnić obietnice i ty też je masz, kochany. I potrzebuję Ciebie, żebyś wytrwał przy mnie, jak dobry kumpel, którym przecież jesteś. I żebyś mi mówił, że jestem dobrą dziewczynką, bo przecież nią jestem. A ja ci dam najbardziej wilgotnego całuska od czasu, gdy wepchnęłam Cię do Rubikonu w tym twoim marynarskim ubranku. Kocham cię, mój drogi. Ciao. Tess.

P.S. Ghita mówi, że jestem kompletną dziwką, ale nie potrafi tego właściwie wymówić, więc wychodzi to jak "dziwiarką", bez e i bez r.

Z miłością Tess (dziwiarka)

Oskarżona jest niewinna, powiedział. A ja, jak zwykle, słusznie muszę się wstydić za siebie.

Uspokojony podjął wędrówkę przez labirynt dokumentów.

Wyciąg ze wspólnego raportu Roba i Lesley dla superintendenta Franka Gridleya, Scotland Yard, Wydział Przepływów Zagranicznych, dotyczący ich trzeciej rozmowy z Woadrowern, Aleksandrem Henrym, szefem kancelarii brytyjskiej Wysokiej Komisji w Nairobi.

Przesłuchiwany z przekonaniem powtarza opinię, według jego słów wyrażoną przez lorda Bernarda Pellegrina, dyrektora departamentu Afryki w MSZ, że dalsze prowadzenie dochodzenia, zgodnie ze wskazówkami pozostawionymi w memorandum Tessy Quayle, mogłoby niepotrzebnie zagrozić stosunkom rządu JKM z Republiką Kenii i zaszkodzić interesom handlowym Zjednoczonego Królestwa... Przesłuchiwany odmawia, powołując się na względy bezpieczeństwa, głębszego omówienia zawartości wymienionego wyżej memorandum... Przesłuchiwany wypiera się posiadania jakichkolwiek informacji na temat wszelkich nowych lekarstw, sprzedawanych obecnie przez firmę ThreeBees... Przesłuchiwany poinformował nas, że wszelkie wnioski o wgląd w memorandum Tessy Quayle powinny być kierowane bezpośrednio do sir Bernarda, zakładając, że memorandum jeszcze istnieje, w co przesłuchiwany wątpi. Przesłuchiwany opisał Tessę Quayle jako męczącą i histeryczną kobietę, niestabilną psychicznie, jeśli chodzi o sprawy związane z jej pracami humanitarnymi. Zinterpretowaliśmy to jako wygodny sposób na zdyskredytowanie jej memorandum. Wnioskujemy zatem, żeby jak najszybciej wysłać do Ministerstwa Spraw Zagranicznych formalny wniosek o wydanie kopii wszelkich dokumentów przekazanych przesłuchiwanemu przez denatkę Tessę Quayle.

Notatka na marginesie czerwonym długopisem, podpisana przez F. Gridleya:

Rozmawiałem z sir B. Pellegrinem. Wniosek odrzucony ze względu na bezpieczeństwo narodowe.

Wyciągi z uczonych czasopism medycznych o różnym stopniu niezrozumiałości, wychwalające w odpowiednio niejasny sposób niezwykle pozytywne korzyści płynące z nowego lekarstwa, dypraxy, "brak mutagenności" i "długi okres połowicznego rozpadu w ciałach szczurów".

Wyciąg z "Haiti Journal of Health Sciences", nieśmiało podnoszący zastrzeżenia wobec dypraxy, podpisany przez pakistańskiego lekarza, który przeprowadził testy lekarstwa w haitańskim szpitalu klinicznym. Słowa "potencjalnie toksyczna" podkreślone na czerwono przez Tessę, poważne uszko-

dzenie wątroby, wewnętrzny krwotok, zawroty głowy, uszkodzenia nerwu wzrokowego.

Wyciąg z następnego wydania tej samej szmaty, w której wianuszek medycznych sław o imponujących tytułach profesorskich dokonuje druzgocącego przeciwwuderzenia, przywołując trzysta przypadków klinicznych. W tym samym artykule oskarża się biednego pakistańskiego lekarza o "stronniczość" i "nieodpowiedzialność wobec pacjentów" i rzuca się gromy na jego głowę.

(Ręcznie pisana notatka Tessy: Ci nie stronniczy przedstawiciele opinii są co do jednego wynajęci przez KVH do "wędrownych komisji", żeby reklamować na całym świecie obiecujące badania biotechniczne.)

Wyciąg z książki zatytułowanej *Próby kliniczne* autorstwa Stuarta Pockocka, przepisany ręką Tessy, bo tak najlepiej zapamiętywała teksty. Niektóre fragmenty podkreślone, kontrastują z poważnym stylem piszącego:

Wśród studentów, a także wielu badaczy klinicznych, daje się zauważyć tendencja do traktowania literatury medycznej z szacunkiem, na który wcale nie zasługuje. Uważa się, że najważniejsze czasopisma, takie jak "Lancet" i "New England Journal of Medicine" prezentują nowe fakty z dziedziny medycznej, które nie podlegają dyskusji. Taka naiwna wiara w "kliniczne gusta" wynika zapewne w dużej mierze z używanego przez wielu autorów dogmatycznego stylu, toteż niejasności przypisane wszystkim projektom badawczym często nie są dostatecznie podkreślone...

(Notka Tessy: Artykuły są nagminnie kontrolowane przez firmy farmaceutyczne, nawet w tak zwanych pismach elitarnych.)

A jeśli chodzi o rozmowy podczas spotkań naukowych i reklamę zamawianą przez firmy farmaceutyczne, to należy być jeszcze bardziej sceptycznym- tutaj okazja do stronniczego przedstawiania faktów jest najlepsza...

(Notka Tessy: Według Arnolda, wielkie firmy farmaceutyczne wydają biliony, żeby kupić sobie naukowców i lekarzy, którzy wprowadziliby ich produkty. Birgit donosi, że KVH ofiarowało pięćdziesiąt milionów dolarów wielkiemu amerykańskiemu szpitalowi klinicznemu, plus pensje i pokrycie wydatków dla trzech najwybitniejszych klinicystów i sześciu asystentów. Skorumpowanie kadry uniwersyteckiej jest jeszcze łatwiejsze: togi profesorskie, laboratoria biotechniczne, fundacje naukowe itd. "Coraz trudniej trafić na opinię naukową, która nie byłaby wynikiem przekupstwa" - Arnold.)

Następne fragmenty ze Stuarta Poccocka:

... zawsze istnieje ryzyko, że autora przekonano, aby mocniej podkreślił pozytywne wyniki badań, niż wskazywałyby na to fakty.

(Notka Tessy: W przeciwieństwie do reszty prasy światowej, dzienniki farmaceutyczne nie lubią publikować złych wiadomości.)

... Jeśli nawet przedstawią raport z negatywnych wyników badań, to znajdzie się on najprawdopodobniej w jakimś trudnym, specjalistycznym czasopiśmie, a nie w którymś z powszechnie dostępnych dzienników... w konsekwencji, negatywna weryfikacja wcześniejszych pozytywnych wyników nie jest udostępniona szerokiej publiczności.

... Wielu testom brakuje podstawowych zasad powtarzalności, żeby mogły zostać uznane za bezzstronną ocenę terapeutyczną.

(Notka Tessy: Są tak ustawione, żeby udowodnić to, o co chodzi zamawiającemu, a nie kwestionować produkt. Tzn. są gorzej niż beзуżyteczne.) ..

Od czasu do czasu, autorzy rozmyślnie poprawiają dane, żeby uzyskać pozytywny wynik...

Wyjątek z londyńskiego "Sunday Times", zatytułowany "Firma farmaceutyczna ryzykuje zdrowiem pacjentów podczas testów klinicznych". Gęsto pomazany odnośnikami i podkreśleniami przez Tessę i prawdopodobnie odbity na ksero albo przesłany faksem do Arnolda Bluhma, jako że na wyinku było napisane: "Arnie, widziałeś to?!"

Jedna z największych w świecie spółek produkujących lekarstwa naraziła setki pacjentów na śmiertelną infekcję, nie ujawniając istotnych dla bezpieczeństwa informacji sześciu szpitalom, rozpoczynając w całym kraju próby nowego lekarstwa.

Prawie 650 osób w Wielkiej Brytanii poddanych zostało operacjom chirurgicznym w ramach eksperymentu zorganizowanego przez Bayera, niemieckiego potentata farmaceutycznego, mimo że spółka uprzednio przeprowadziła badania, które wykazały, że lekarstwo źle oddziałuje z innymi lekami, poważnie osłabiając zdolność organizmu do zwalczania bakterii.

Pierwszy eksperyment, do którego wyników dotarł "Sunday Times", nie został ujawniony zainteresowanym szpitalom, gdy rozpoczynano następną serię testów.

Test, którego negatywne wyniki nie zostały ujawnione pacjentom ani ich rodzinom spowodował, że u prawie połowy operowanych w Southampton jed-

nym ze szpitali prowadzących badania rozwinęły się rozmaite infekcje zagrażające życiu.

Bayer odmówił ujawnienia ogólnej liczby infekcji pooperacyjnych i zgonów, które były skutkiem zatajenia danych.

"Badania zostały zaaprobowane przez kompetentne władze i wszystkie lokalne komitety etyki lekarskiej, zanim rozpoczęto eksperyment", powiedział rzecznik prasowy firmy.

Kolorowa reklama na całą stronę, wydarta z popularnego afrykańskiego magazynu, podpisana: WIERZĘ W CUDA! W środku młoda matka, Afrykanka, w białej bluzce z dekoltem i długiej spódnicy uśmiecha się promiennie. Na jej kolanach siedzi bokiem szczęśliwe niemowlę z jedną rączką na jej piersi. Jego szczęśliwi bracia i siostry zgromadzili się wokół, a nad wszystkim czuwa przystojny ojciec. Wszyscy, łącznie z matką, podziwiają zdrowe niemowlę. U dołu strony napis: THREEEES TEŻ WIERZĄ W CUDA! W dymku przy ustach młodej matki jest napisane: "Kiedy powiedzieli mi, że moje dziecko ma gruźlicę, modliłam się. Kiedy mój lekarz powiedział mi o dypraxie, zrozumiałam, że mojej modlitwy wysłuchano w niebie!"

Justin wrócił do raportów policyjnych.

Wyjątki z raportu funkcjonariuszy w sprawie rozmowy z PEARSON Ghita Janet, zatrudnioną na miejscu pracownicą kancelarii brytyjskiej Wysokiej Komisji w Nairobi:

Przesłuchiwałam świadka trzy razy. dziewięć minut, pięćdziesiąt cztery minuty i dziewięćdziesiąt minut. Na wniosek przesłuchiwanej nasze rozmowy odbywały się na neutralnym gruncie (w domu przyjaciela), z zachowaniem dyskrecji. Przesłuchiwana ma dwadzieścia cztery lata, z pochodzenia jest Anglo-Hinduską, wykształcona w szkole klasztornej, w Zjednoczonym Królestwie, adoptowana córka wykształconych rodziców (prawnik i lekarz), oboje wierzący katolicy. Przesłuchiwana ukończyła z wyróżnieniem Uniwersytet w Exeter (sztuka angielska, amerykańska i krajów Wspólnoty Narodów), jest bardzo inteligentna i nerwowa. Odnieśliśmy wrażenie, że była nie tylko pogrążona w smutku, ale także czegoś bardzo się bała. Poczyniła na przykład kilka uwag, które potem wycofała, m.in. mówiła; "Tessa została zamordowana, bo ktoś chciał ją uciszyć". "Każdy, kto ma do czynienia z przemysłem farmaceutycznym, mógł jej poderżnąć gardło". Albo: "Niektóre spółki farmaceutyczne handlują bronią w białych rękawiczkach". Naciskana w kwestii tych stwierdzeń, odmówiła ich potwierdzenia i zawniczkowała, żeby wymazano je z protokołu. Oddała też sugestię, jakoby BLUHM mógł popełnić morderstwa nad jeziorem Turkana. BLUHM i QIIAYLE, -^ powiedziała, to nie "oni",

to "dwoje najlepszych ludzi na ziemi", a ich otoczenie "ma po prostu brudne rnyśli".

Podczas dalszej części przesłuchania świadek z początku powiedziała, że jest związana ustawą o tajemnicy służbowej, potem, że przysięgą o zachowaniu tajemnicy, złożoną wobec denatki. Podczas naszego czwartego i ostatniego spotkania przyjęliśmy nieco bardziej wrogą postawę wobec przesłuchiwanej, wskazując, że nie ujawniając informacji, może chronić zabójców Tessy i utrudniać poszukiwania BLUHMA. Załączamy wydrukowane zapisy nagrań magnetofonowych jako załącznik A i załącznik B. Przesłuchiwana przeczytała oba zapisy, ale odmówiła podpisania B.

ZAŁĄCZNIKA

Pyt. Czy kiedykolwiek towarzyszyła pani Tessie Quayle w jej wyprawach w teren?

Odp. W weekendy i kiedy miałam wolny czas towarzyszyłam Arnoldowi i Tessie podczas kilku wypraw do slumsów Kibera i w głąb kraju, żeby pomagać w klinikach wiejskich i być świadkiem podawania leków. Należy to do zakresu kompetencji organizacji pozarządowej Arnolda. Niektóre z lekarstw, które Arnold poddał badaniu, okazały się dawno przeterminowane, chociaż do pewnego stopnia mogły jeszcze odnosić skutek. Inne były stosowane niewłaściwie. Potwierdzaliśmy także zjawisko spotykane szeroko w innych częściach Afryki, mianowicie, że wskazania i przeciwwskazania na niektórych pudełkach zostały napisane specjalnie dla rynków Trzeciego Świata, żeby poszerzyć zakres używania lekarstwa daleko poza granice przyjęte w krajach rozwiniętych, np., środek przeciwbólowy używany w Europie i Stanach przy zaawansowanych przypadkach raka, podawany był jako lekarstwo na bóle menstruacyjne i bóle stawów. Przeciwwskazań nie załączono. Stwierdziliśmy też, że nawet jeśli afrykańscy lekarze wystawiają właściwą diagnozę, to z reguły przepisują niewłaściwe lekarstwa, w związku z brakiem odpowiednich instrukcji.

Pyt. Czy ThreeBees było jednym z dystrybutorów leków?

Odp. Każdy wie, że Afryka jest farmaceutycznym koszem na śmieci dla reszty świata, a ThreeBees są jednym z głównych dystrybutorów farmaceutyków w Afryce.

Pyt. Więc czasem dotyczyło to ThreeBees?

Odp. W pewnych przypadkach dystrybutorem było ThreeBees.

Pyt. Winnym złej dystrybucji?

Odp. Niech będzie.

Pyt. W ilu przypadkach? W jakiej proporcji do innych?

Odp. (Po, długim wahaniu) We wszystkich.

Pyt. Proszę powtórzyć. Chce pani powiedzieć, że za każdym razem, gdy znajdowała pani jakąś wadę produktu, to właśnie firma ThreeBees była jego dystrybutorem?

Odp. Wydaje mi się, że nie powinniśmy w ten sposób rozmawiać, skoro Arnold może jeszcze żyje.

ZAŁĄCZNIK B

Pyt. Czy był jakiś konkretny produkt, do którego Arnold i Tessa mieli szczególne zastrzeżenia? Pamięta pani?

Odp. Tak nie można. Po prostu nie można.

Pyt. Ghito, staramy się tylko zrozumieć, dlaczego Tessa została zabita. I dlaczego uważasz, że mówiąc o tych sprawach, narażamy Arnolda na większe niebezpieczeństwo niż to, w którym już się znajduje?

Odp. To było wszędzie.

Pyt. Co było wszędzie? Dlaczego płaczesz?

Odp. Zabijało ludzi. W wioskach. W slumsach. Arnold był tego pewien. To dobre lekarstwo, mówił. Jeszcze pięć lat badań i doszliby do właściwych rezultatów. Nie można zaprzeczyć, że pomysł jest dobry. Podaje się je krótko, jest tanie i nieszkodliwe. Ale oni się pospieszyli. Testy zostały zrobione wybiórczo. Nie określili wszystkich działań ubocznych. Testowali to na szczurach noszących młode, na ciężarnych małpach, królikach i psach i nie było problemu. Kiedy wzięli się do ludzi - zaczęły się problemy, ale problemy są zawsze. To jest szara strefa, z której żyją spółki farmaceutyczne. Wszystko jest na łasce i niełasce statystyki, a statystyka dowiedzie wszystkiego, co się chce udowodnić. Zdaniem Arnolda, za bardzo im zależało na wprowadzeniu produktu na rynek, żeby wyprzedzić konkurencję. Jest tyle przepisów, które mają do tego nie dopuścić, ale Arnold mówił, że to zdarza się ciągle. Sprawy wyglądają inaczej, kiedy się siedzi w wykwintnym biurze ONZ w Genewie, a inaczej, kiedy jeździ się po wsiach.

Pyt. Kto był wytwórcą?

Odp. Naprawdę nie chcę tego kontynuować.

Pyt. Jak się nazywało to lekarstwo?

Odp. Dlaczego nie testowali tyle razy, ile trzeba? To nie jest wina Kenijczyków. Nie można pytać, jeśli się jest krajem Trzeciego Świata. Masz brać, co ci dają.

^yt. Czy to była dypraxa?

bdp. (nieczytelne)

Cyt. Ghito, uspokój się i po prostu nam powiedz. Jak się nazywało to lekarstwo, na co ono jest i kto je wytwarza?

pdp. Na Afrykę przypada osiemdziesiąt pięć procent światowych zachorowań na AIDS, wiedzieliście o tym? Ilu z tych ludzi ma dostęp do leków? Jeden

procent! To już nie jest problem ludzki! To kwestia ekonomiczna! Mężczyźni nie mogą pracować. Kobiety nie mogą pracować! To choroba heteroseksualistów i dlatego jest tyle sierot! Nie są w stanie wyżywić swoich rodzin! Nic się nie da zrobić! Po prostu umierają!

Pyt. Mówimy o lekarstwie na AIDS?

Odp. Nic z tego, póki Arnold żyje!... To jest powiązane. Tam, gdzie jest gruźlica, podejrzewa się AIDS... Nie zawsze, ale zazwyczaj... Tak powiedział Arnold.

Pyt. Czy Wanza chorowała po tym lekarstwie?

Odp. (Nieczytelne)

Pyt. Czy Wanza umarła po tym lekarstwie?

Odp. Nic z tego, póki Arnold żyje! Tak. Dypraxa. Teraz się wynoście.

Pyt. Po co jechali do Leakeya?

Odp. Nie wiem! Wynoście się!

Pyt. Co było powodem ich wyprawy do Lokichoggio?

Odp. Nic! Przestańcie!

Pyt. Kto to jest Lorbeer?

Odp. (Nieczytelne)

Wniosek

O formalne wystąpienie do Wysokiej Komisji w sprawie udzielenia świadkowi ochrony w zamian za pełne zeznania. Powinno się ją zapewnić, że żadna informacja dotycząca działalności Bluhma i denatki, której dostarczy, nie zostanie wykorzystana w sposób, który naraziłby Bluhma na niebezpieczeństwo, przy założeniu, że żyje.

Wniosek odrzucony ze względów bezpieczeństwa.

F. Gridley (superintendent)

Justin, podpierając brodę dłonią, gapił się na ścianę. Wspomnienie Ghity, jednej z dwóch najpiękniejszych kobiet w Nairobi. SanSozwańcza uczennica Tessa, której marzeniem było wprowadzenie zwyczajnej przyzwoitości do tego zepsutego świata. "Ghita to ja bez zła, które tkwi we mnie", **mówiła** Tessa.

Ghita, ostatnia z niewinnych, pochylona nad zieloną herbatą, **którą pije** z Tessą w zaawansowanej ciąży, rozwiązująca problemy świata w **ogrodzie** w Nairobi. Justin, absurdalnie szczęśliwy sceptyk i przyszyły ojciec, w słomkowym kapeluszu, pieli i przycina rośliny, torując sobie drogę między grządkami kwiatów, podlewa i spulchnia ziemię, odgrywając rolę **angielskiego** idioty w średnim wieku.

Justinie, uważaj na stopy! - wołająz niepokojem. Ostrzegały go przed afrykańskimi mrówkami, które po deszczu maszerują po ziemi całymi kolumnami i są w stanie zabić psa albo małe dziecko samą masą i liczbą. Tessa, w późnej ciąży, obawiała się, że mrówki mogą wziąć jego podlewanie za nadprogramowy deszcz.

Ghita permanentnie wstrząśnięta wszystkim i wszystkimi, począwszy od katolików, którzy sprzeciwiają się kontroli urodzin w Trzecim Świecie i demonstracyjnie palą kondomy na stadionie Nyayo, poprzez amerykańskie firmy tytoniowe, które perfumują papierosy z nadzieją, że wciągną w nałóg dzieci, po somalijskich baronów wojny, zrzucających bomby kasetowe na bezbronne wioski, i firmy zbrojeniowe, które te bomby produkują.

- Kim są ci ludzie, Tesso? - szeptała poważnym tonem. - Powiedz mi, proszę, co oni myślą? Mówimy o grzechu pierworodnym! Moim zdaniem, to jest znacznie gorsze niż grzech. W grzechu pierworodnym jest, według mnie, coś niewinnego. Ale gdzie się w dzisiejszych czasach podziła niewinność, Tesso?

A kiedy wpadał Arnold, co zdarzało się bardzo często w weekendy, rozmowa nabierała niezwykle poufnego charakteru. Wszyscy troje zbliżali do siebie głowy, rysy im twardniały, a jeśli Justin dla psoty podlewał za blisko, ostentacyjnie gadali o głupstwach, dopóki nie odszedł kawałek w stronę dalszej grządki.

Raport funkcjonariuszy policji, dotyczący spotkania z przedstawicielami firmy ThreeBees.

Chcieliśmy przeprowadzić rozmowę z sir Kennethem Curtissem, dano nam do zrozumienia, że nas przyjmie. Po przybyciu do firmy ThreeBees powiedziano nam, że sir Kenneth został wezwany na audiencję u prezydenta Moi, a po niej musi lecieć do Bazylei na rozmowy strategiczne z Karelą Vita Hudson (KVH). Zaproponowano nam, żebyśmy wszystkie pytania kierowali do kierownika marketingu firmy ThreeBees, niejkiej pani Y Rampuri. Pani Rampuri okazała się nieosiągalna, bo zajęły ją sprawy rodzinne. Poradzono nam, żebyśmy umówili się na rozmowę z sir Kennethem albo z panią Rampuri w późniejszym terminie. Kiedy wyjaśniliśmy, że dysponujemy ograniczonym czasem, zaproponowano nam w końcu rozmowę z "członkami dyrekcji" i po godzinie zwłoki zostaliśmy wreszcie przyjęci przez niejaką panią V. Eber i niejakiego pana D.K. Cricka, oboje z działu kontaktów z klientami. Obecny był też niejaki pan P.R. Oakey, który przedstawił się jako "londyński prawnik, który przypadkiem odwiedził Nairobi w innych sprawach".

Pani Vivian Eber jest wysoką atrakcyjną Afrykanką pod trzydziestkę i ma stopień magistra uzyskany na jakimś amerykańskim uniwersytecie.

Pan Crick pochodzi z Belfastu, jest mężczyzną w podobnym wieku, o imponującej budowie ciała i mówi z lekkim północnoirlandzkim akcentem.

Po dalszych indagacjach okazało się, że pan Oakey, londyński prawnik, to Percy Ranelagh Oakey, radca korony z londyńskiej kancelarii Oakey, Oakey & Farmeloe. Pan Oakey niedawno bronił zwycięsko kilku wielkich firm farmaceutycznych w sprawach o odszkodowania, wśród nich KVH. Nie poinformowano nas o tym wcześniej.

W sprawie danych D.K. Cricka, patrz załącznik.

Streszczenie spotkania

1. Przeprosiny ze strony sir Kennetha K. Curtissa i pani Y Rampuri
2. Wyrazy ubolewania ze strony BBB (Crick) w związku ze śmiercią Tessy Ouayle oraz wyrazy z troską w sprawie losu doktora Arnolda Bluhma

BBB (Crick): W tym przeklętym kraju z dnia na dzień robi się coraz goręcej. Sprawa pani Ouayle jest okropna. Była wspaniałą kobietą. Wyrobiła sobie dobre imię w całym mieście. Jak możemy panom pomóc? Zrobimy wszystko, co się da. Szef przesłał osobiste pozdrowienia. Polecił nam, żebyśmy zapewнили panom wszelką pomoc. Żywi wielki szacunek dla brytyjskiej policji.

Funkcjonariusz: O ile wiemy, Arnold Bluhm i Tessa Ouayle wielokrotnie składały zażalenia do ThreeBees w związku z nowym lekarstwem na gruźlicę, któremu robicie marketing. Nazywa się *dypraxa*.

BBB (Crick): Doprawdy? Musimy się temu przyjrzeć. Widzi pan, pani Eber patrzy na to raczej ze strony *public relations*, a ja -jakby to rzec - zostałem oddelegowany od innych obowiązków w trakcie generalnej restrukturyzacji spółki. Szef ma teorię, że każdy, kto siedzi w jednym miejscu, marnuje pieniądze.

Funkcjonariusz: Z tych zażeń wynikło spotkanie między panią Ouayle, Bluhmem i pańskimi pracownikami. Chcielibyśmy pana prosić o wgląd we wszelkie protokoły z tego spotkania i inne dokumenty istotne dla sprawy.

BBB (Crick): Jasne, Rob. Nie ma problemu. Jesteśmy tutaj po to, żeby pomóc. Mówisz, że składała zażalenia na ThreeBees - wiesz przypadkiem, o który wydział chodzi? Cholernie tu dużo tych naszych pszczołek!

Funkcjonariusze: Pani Ouayle pisała listy, wysyłała maile i telefonowała osobiście do sir Kennetha, do jego osobistego sekretariatu, do pani Rampuri i do prawie wszystkich ludzi z zarządu w Nairobi. Przekazała niektóre swoje listy i wysłała wydruki mailem. Inne wręczyła osobiście.

BBB (Crick): Cóż, doskonale. Mamy więc coś, od czego można zacząć. Macie zapewne kopie tych listów?

Funkcjonariusz: Nie w tej chwili.

BBB (Crick): Ale wiecie, kto z naszej strony przychodził na te spotkania?

Funkcjonariusz: Zakładamy, że wy o tym wiecie.

BBB (Crick): O, rany. Więc co macie?

Funkcjonariusze: Pisemne i ustne zeznania świadków, że takie skargi były pisane. Pani Quayle posunęła się nawet do tego, że osobiście odwiedziła sir Kennetha na jego farmie, ostatnim razem gdy był w Nairobi.

BBB (Crick): Naprawdę? To dla mnie nowość. Była umówiona?

Funkcjonariusz: Nie.

BBB (Crick): Więc kto ją zaprosił?

Funkcjonariusz: Nikt. Po prostu pojechała tam.

BBB (Crick) Nooo! Dzielna dziewczyna. I jak jej poszło?

Funkcjonariusz: Najwidoczniej nie bardzo, bo potem próbowała dopaść sir Kennetha w biurze, ale też jej się nie udało.

BBB (Crick) No, niech mnie! Szef to pracowita pszczołka. Wielu ludzi chce od niego jakiejś przysługi. Niewielu się poszczęściło.

Funkcjonariusz: Tu nie chodziło o przysługę.

BBB (Crick): A o co?

Funkcjonariusz: O odpowiedzi. Pani Quayle przedstawiła też sir Kennethowi szereg historii przypadków klinicznych, opisujących efekty uboczne, jakie lekarstwo spowodowało u konkretnych pacjentów.

BBB (Crick): Naprawdę? No, no. Nie wiedziałem, że są jakieś efekty uboczne. Jest naukowcem, lekarzem? Chciałem powiedzieć - była?

Funkcjonariusz: Była zatroskana obywatelką, prawniczką i działała na niwie praw człowieka. I była głęboko zaangażowana w prace humanitarne.

BBB (Crick): Powiedziałeś "przedstawiła", o co tu chodzi?

Funkcjonariusz: Dostarczyła je osobiście do tego budynku, do rąk własnych dla sir Kennetha.

BBB (Crick): Dostała pokwitowanie?

Funkcjonariusz: (Pokazuje je.)

BBB (Crick): Aha. Odebrano jeden pakiet. Pytanie, co w nim było, prawda? Ale jestem pewien, że macie kopie. Szereg przypadków klinicznych. Musicie je mieć.

Funkcjonariusz: Spodziewamy się je dostać lada dzień.

BBB (Crick): Doprawdy? Cóż, będziemy naprawdę bardzo zainteresowani, żeby mieć w nie wgląd, prawda Viv? Chodzi o to, że dypraxa to teraz nasz główny produkt, jak to się mówi okręt flagowy. Mnóstwo szczęśliwych mamus, tatusiów i dzieciaków w kraju czuje się znacznie lepiej po dypraxie. Więc

jeśli Tessa na to gderała, to naprawdę powinniśmy o tym wiedzieć i działać w tej sprawie. Gdyby tu był szef, to na pewno by tak powiedział. Ale on jest jednym z tych facetów, co mieszkają w odrzutowcach. Jestem zdziwiony, że ją splawił. To do niego niepodobne. Chociaż, sądzę, że gdybyście byli równie zajęci, jak on...

BBB (Eber): Zrozum Rot>, dysponujemy procedurą przeznaczoną dla klientów wnoszących zażalenia dotyczące naszych farmaceutyków. Jesteśmy tutaj tylko dystrybutorem. Importujemy, sprzedajemy. Jeśli rząd kenijski zapalił zielone światło dla lekarstw, a ośrodki medyczne są z nich zadowolone, my występujemy tylko jako pośrednik. Na tym właściwie kończy się nasza odpowiedzialność. Oczywiście, odpowiadamy za magazynowanie, dbamy o właściwą temperaturę, wilgotność i tak dalej. Ale generalnie odpowiedzialność spada na wytwórcę i rząd kenijski.

Funkcjonariusz: A co z testami klinicznymi? Nie powinniście prowadzić testów?

BBB (Crick): Nie. Obawiam się, że nie odrobiłeś pracy domowej w tej kwestii, Rob. Nie mówimy o całej strukturze. Pudło!

Funkcjonariusz: A o czym mówimy?

BBB (Crick): Nie robi się testów, kiedy lekarstwo jest już rozprowadzane na miejscu, w danym kraju, takim jak Kenia. Lekarstwo, kiedy jest już w kraju, kiedy ma się za sobą stuprocentowe poparcie chłopaków ze służby zdrowia, to rzecz gotowa.

Funkcjonariusz: To jakie próby, testy czy eksperymenty prowadzicie, jeśli w ogóle je robicie?

BBB (Crick): Nie łap mnie za słówka, dobrze? Jeśli mowa jest o poszerzaniu dossier leku, naprawdę dobrego leku, takiego jak to, kiedy robi się przygotowania do rozprowadzania go w jakimś wielkim kraju - poza Afryką - w Stanach Zjednoczonych na przykład - to robi się testy. Nie dosłownie, ale możemy uznać, że to są testy. Ale tylko w tym sensie. W sensie przygotowawczym, w związku z sytuacją, która nastąpi, chodzi mi o dzień, kiedy ThreeBees i KVH razem wejdą na nowy potężny rynek. Chwytasz?

Funkcjonariusz: Jeszcze nie. Czekam na słowa "królik doświadczalny".

BBB (Crick): Chodzi mi tylko o to, że dla wyższego dobra wszystkich stron każdy pacjent jest w pewnym stopniu przypadkiem eksperymentalnym. Nikt nie mówi o królikach doświadczalnych.

Funkcjonariusz: Wyższe dobro to rynek amerykański, tak?

BBB (Crick): Kurwa, mówię tylko, że każdy wynik, każdy pacjent, wszystko to jest starannie spisywane, a rezultaty archiwizowane i badane przez cały czas w Seattle, Vancouveri w Bazylei po to, żeby mieć w przyszłości referencje. Po to, żeby w przyszłości można było zatwierdzić ważność pro-

duktu, jeśli chcielibyśmy go zarejestrować gdzie indziej. Przez cały czas uważamy na wpadki. I przez cały czas chłopaki z kenijskiej służby zdrowia wspierają nas.

Funkcjonariusz: W jaki sposób? Usuając zwłoki?

RR. Oakey, radca korony: Nie powiedziałeś tego, Rob, a myśmy nie słyszeli. Dough udzielał informacji bardzo szczerze i szczerze. Może nazbyt szczerze. Prawda, Lesley?

Funkcjonariusz: A co robicie ze skargami? Wyrzucacie je do kosza?

BBB (Crick): Najczęściej odsyłamy je prosto do producenta, firmy Kareł Vita Hudson. Potem albo odpowiadamy składającym zażalenia, powołując się na KVH, albo KVH woli odpowiedzieć bezpośrednio. Każdy robi swoje. Tak sprawy wyglądają, Rob. Możemy zrobić dla ciebie coś jeszcze? Może wpiszemy sobie wstępnie termin spotkania, kiedy już będziecie mieli w ręku waszą dokumentację?

Funkcjonariusz: Chwileczkę. Według naszych informacji, Tessa Quayle i doktor Arnold Bluhm przybyli tutaj osobiście w listopadzie na pańskie zaproszenie - zaproszenie ThreeBees - żeby omówić działanie, pozytywne albo negatywne, waszego produktu, dypraxy. Przedstawili także członkom waszego zarządu kopie not dotyczących wszystkich przypadków, not, które wysłali do sir Kennetha Curtissa. Nie macie protokołu z tego zebrania, a nawet listy uczestników ze strony ThreeBees?

BBB (Crick): Znasz datę, Rob?

Funkcjonariusz: Dysponujemy zapisem z dziennika poświadczającym, że datę spotkania, na sugestię ThreeBees, ustalono na godzinę 11 przed południem 18 listopada. Uzgodnień dokonano za pośrednictwem biura pani Rampuri, kierowniczkę marketingu, która, jak słyszymy, jest teraz nieosiągalna.

BBB (Crick): Muszę powiedzieć, że nic o tym nie wiem. A ty, Viv?

BBB (Eber): Ja też, Dough.

BBB (Crick): A właściwie dlaczego nie miałbym zerknąć do kalendarze Yvonne?

Funkcjonariusz: Dobry pomysł. Pomożemy wam.

BBB (Crick): Poczekajcie, poczekajcie. Najpierw muszę dostać od niej zgodę. Yvonne to morowa dziewczyna. Nie będę szperał w kalendarzu bez jej zgody, tak jak nie szperałbym w twoim, Lesley.

Funkcjonariusz: Zadzwoń do niej, zapłacimy.

BBB (Crick): Niestety, Rob.

Funkcjonariusz: Dlaczego?

BBB (Crick): Widzisz, Yvonne i jej chłopak wybrali się na wesele do Mombasy. Kiedy mówiliśmy, że "zajmuje się sprawami rodzinnymi", właśnie to mieliśmy na myśli. To cholernie ważne, wierzcie mi. Najbliższy termin, kiedy

moglibyśmy się z nią skontaktować, to poniedziałek. N nie wiem, czy kiedykolwiek byliście na weselu w Mombasie, ale wierzcie mi...

Funkcjonariusz: Nie zwracajmy sobie głowy kalendarzem. A co z notatkami, które u niej zostawili?

BBB (Crick): Masz na myśli te tak zwane historie przypadków, o których mówię?

Funkcjonariusz: Między innymi.

BBB (Crick): Cóż, jeśli rzeczywiście są jakieś historie przypadków - jakieś techniczne omówienie symptomów, oznak, dozowania czy - efektów ubocznych - to tak, jak mówiliśmy, przekazaliśmy to do producenta. Do Bazylei, Seattle, Vancouver. Kurwa. Byłoby to przestępcze zaniedbanie, prawda, Viv, gdybyśmy natychmiast nie zwrócili się do ekspertów o ocenę. To nie tylko polityka spółki. Powiedziałbym, że to Pismo Święte dla ThreeBees. Prawda?

BBB (Eber): Całkowita prawda. Oczywiście, Dough. Szef na to nalega. Jak tylko jest jakiś problem, zaraz mamy KVH na linii.

Funkcjonariusz: Co wy za kit nam wciskacie? To śmieszne. Co się stało z tymi papierami?

BBB (Crick): Wysłuchaliśmy was i zorganizujemy poszukiwania. Zobaczymy, co z tego wyniknie. To nie jest urząd państwowy, Rob, ani Scotland Yard. Tu jest Afryka. Nie cackamy się z tymi pierdolonymi teczkami, jasne? Mamy lepsze sposoby na spędzanie, kurwa, czasu niż...

RR. Oakley, radca korony: Widzę tu dwie sprawy. Może trzy. Mogę je wyluszczyć z osobna? Pierwsza - czy państwo są pewni, że spotkanie między panią Ouayle, doktorem Bluhmem i przedstawicielami ThreeBees, o którym mówicie, rzeczywiście się odbyło?

Funkcjonariusz: Jak już mówiliśmy, mamy pisemne dowody z notatek Bluhma, z jego dziennika, że spotkanie umówiono na 18 listopada za pośrednictwem biura pani Rampuri.

PR. Oakey, radca korony: Umówienie to jedno, Lesley, a odbycie spotkania, to zupełnie co innego. Miejmy nadzieję, że pani Rampuri ma dobrą pamięć. Ale musicie wiedzieć, że prowadzi mnóstwo spotkań. Druga sprawa, to tonacja tego spotkania. Wedle tego, co mówicie, te domniemane skargi były utrzymane w tonie polemicznym. Może był tam jakiś podtekst? De *mortuis* i tak dalej, ale z tego, co się słyszy o pani Ouayle, nie była ona osobą, która łatwo puszczałaby płazem urazę, prawda? Była też prawniczką. A doktor Bluhm to zawodowy obserwator farmaceutyków, o ile zrozumiałem. Nie zadajemy się z zerami.

Funkcjonariusz: No i co z tego, że były polemiczne? Jeśli ktoś umiera od lekarstwa, ludzie mają prawo być nastawieni polemicznie.

RR. Oakey, radca korony: Jeśli pani Rampuri wyczuła, że w powietrzu wiszą roszczenia, albo i coś gorszego, lub jeśli wpadł na to szef, zakładając, że rzeczywiście dostał materiały na piśmie, co nadal jest pytaniem otwartym, ich pierwszym odruchem byłoby przesłanie informacji do wydziału prawnego firmy. Byłoby to jeszcze jedno miejsce, do którego należałoby zajrzeć, prawda, Dough?

Funkcjonariusz: Sądziłiśmy, że to pan jest wydziałem prawnym firmy.

RR. Oakley, radca korony: (zartobliwie) Jestem ich ostatnią instancją. Nie pierwszą. Jestem za drogi.

BBB (Crick): Spotkamy się jeszcze, Rob. Będzie to dla nas przyjemność. Następnym razem moglibyśmy umówić się na lunch. Ale niech ci się nie wydaje, że jestem nocnym markiem. Nie spędzamy tu dni i nocy, grzebiąc w papierach. Mamy mnóstwo pilnych spraw i, jak mawia szef, ThreeBees robią interesy piorunująco. W ten sposób spółka osiągnęła pozycję, którą obecnie zajmuje.

Funkcjonariusz: Prosimy o poświęcenie nam jeszcze chwili uwagi, panie Crick. Jesteśmy zainteresowani rozmową z panem o nazwisku Lorbeer, prawdopodobnie doktor Lorbeer, niemieckiego, szwajcarskiego albo holenderskiego pochodzenia. Niestety, nie znamy jego imienia, ale o ile wiemy, był ściśle związany z dystrybucją dypraxy w Afryce.

BBB (Crick): Po czyjej stronie, Lesley?

Funkcjonariusz: Czy to ma znaczenie?

BBB (Crick): Chyba tak. Jeśli Lorbeer jest lekarzem, a jak się zdaje, tak właśnie myślicie, jest bardziej prawdopodobne, że kontaktuje się z producentem, a nie z nami. ThreeBees nie chodzą do lekarza. Jesteśmy handlowcami. Więc obawiam się, że to musi być znów KVH, Lesley.

Funkcjonariusz: Znasz Lorbeera czy nie? Nie jesteśmy w Vancouver, w Bazylei ani w Seattle. Jesteśmy w Afryce. To wasz lek i wasze terytorium. Wy importujecie ten towar, wy go reklamujecie, rozwozicie i sprzedajecie. Niejaki Lorbeer był zaangażowany w sprawy tego leku. Słyszałeś o Lorbeerze czy nie?

RR. Oakey, radca korony: Myślę, że już uzyskałeś odpowiedź. Spróbuj u producentów.

Funkcjonariusz: A kobieta o nazwisku Kovacs, prawdopodobnie Węgierka?

BBB (Eber): Także lekarz?

Funkcjonariusz: Zna pani to nazwisko? Mniejsza o tytuły. Czy któreś z was słyszało nazwisko Kovacs? To kobieta. W związku z sprzedażą tego lekarstwa?

BBB (Crick): Poszukaj w książce telefonicznej, Rob, ja bym spróbował...

Funkcjonariusz: Jest też niejaka doktor Emrich, z którą chcielibyśmy porozmawiać...

P.R. Oakley, radca korony: Wygląda na to, że obstawiacie w ciemno, szanowni partstwie. Jest mi szalenie przykro, ale nie możemy być bardziej pomocni. Udostępniliśmy już wszystkie nasze informacje, ale to chyba nie był nasz dzień.

Nota dodana tydzień po tym spotkaniu:

Pomimo zapewnień ze strony ThreeBees, że poszukiwania są w toku, zostaliśmy poinformowani, że żadne papiery, listy, historie przypadków, maile ani fakсы od Tessy Abbott vel Quayle albo od Arnolda Bluhma jak do tej pory nie zostały znalezione. KVH zaprzecza, by znało któreś z nich, podobnie czyni departament prawny ThreeBees w Nairobi. Nasze usiłowania, by ponownie skontaktować się z Eber i z Crickiem także zakończyły się niepowodzeniem. Crick "odbywa kurs w Afryce Południowej", Eber została "przeniesiona do innego wydziału". Nikt nie został jeszcze mianowany na miejsce wakujące po niej. Pani Rampuri nadal jest nieosiągalna, "w związku z restrukturyzacją spółki".

Zaleca się: Niech Scotland Yard skieruje pismo bezpośrednio do sir Kennetha K. Curtissa z wnioskiem o pełną informację na temat kontaktów jego spółki z denatką i doktorem Bluhmem i żeby polecił swojemu personelowi wzmożone poszukiwania terminarza pani Rampuri i zaginionych dokumentów oraz żeby pani Rampuri stawiała się niezwłocznie na przesłuchanie.

[Sygnowane inicjałami superintendenta Gridleya, ale bez polecenia wszczęcia dalszych kroków]

ZAŁĄCZNIK

Crick, Douglas (Doug) James, ur. w Gibraltarze 10 października 1970 (przedtem urzędnik w kartotece sądowej, w Ministerstwie Obrony Narodowej i w Departamencie Wojskowym Prokuratury Generalnej)

Przesłuchiwany jest nieślubnym synem Cricka, Davida Angusa z Królewskiej Marynarki Wojennej (karnie relegowanego). Crick senior odsiedział jedenaście lat w brytyjskich więzieniach za różne przestępstwa, w tym dwa zabójstwa. Obecnie mieszka, opływając w dostatki, w Marbelli, w Hiszpanii.

Crick, Douglas James (przesłuchiwany) przybył do Zjedn. z Gibraltaru w wieku dziewięciu lat. Był pod opieką ojca (patrz wyżej), którego aresztowano z chwilą wyjścia z samolotu. Przesłuchiwanego oddano do domu dziecka. W domu dziecka przesłuchiwany stał się obiektem zainteresowania kolejnych sądów dla nieletnich za różne przestępstwa, łącznie z handlem narkotykami, ciężkim uszkodzeniem ciała, grabieżą mienia i zakłócaniem porządku publicznego. Był również podejrzany o udział w zlinczowaniu dwóch czarnoskórych młodych ludzi w Nottingham (1984), ale nie skierowano wobec niego aktu oskarżenia w tej sprawie.

W 1989 roku przesłuchiwany uznany został za resocjalizowanego i próbował wstąpić do policji. Kandydaturę odrzucono, ale prawdopodobnie zatrudniono go jako niepełnoetatowego informatora.

W 1990 roku przesłuchiwany wstąpił ochotniczo do wojska, przeszedł training dla żołnierzy sił specjalnych i został przydzielony do wywiadu wojskowego w Irlandii Północnej, gdzie służył jako tajny agent w randze sierżanta. Po trzech latach został zdegradowany do stopnia szeregowca i karnie relegowany z wojska. Inne dane *na* temat jego służby nie są dostępne.

Chociaż D.J. Crick (przesłuchiwany) przedstawiony nam został jako PR. firmy ThreeBees, wcześniej był lepiej znany jako czołowa postać działu ochrony i bezpieczeństwa firmy. Podobno cieszy się osobistym zaufaniem sir Kennetha K. Curtissa, wielokrotnie był jego osobistym ochroniarzem, np. podczas wizyty Curtissa w Iraku, w Ameryce Łacińskiej, Nigerii i Angoli, podczas ostatnich dwunastu miesięcy.

“Nachodziła biedaka na farmie”, mówi Tim Donohue nad planszą do monopolu w ogrodzie Glorii. “Telefonowała o dzikiej porze. Zostawiała w jego klubie niegrzeczne listy. Radzimy, żebyś o tym wszystkim jak najszybciej zapomniał”.

“Oni zabijają”, mówi Lesley w ciemnym wnętrzu mikrobusu w Chelsea. “Ale to już zauważyłeś”.

Z głową pełną wspomnień Justin musiał zasnąć przy stole do liczenia pieniędzy, bo kiedy się obudził, usłyszał, jak ptaki lądowe prowadzą poranną bitwę z mewami. Po bliższym sprawdzeniu okazało się, że to nie ranek, tylko zmierzch. A wkrótce potem posmutniał. Przeczytał wszystko, co było do przeczytania i wiedział, jeśli kiedykolwiek w to wątpił, że bez laptopa może tylko uchylić rąbek tajemnicy.

13

Guido czekał przed drzwiami chałupy. Miał na sobie czarny płaszcz, za długi na niego, i tornister, który zwiślał mu z chudych ramion. W pajęczko chudej ręce trzymał cynowe pudełko na lekarstwa i kanapki. Była szósta rano. Pierwsze promienie wiosennego słońca ślizgały się po pajęczynach na trawiastym zboczu. Justin podjechał jeepem pod dom, a matka Guida patrzyła przez okno, jak syn, odrzucając pomocną rękę, wskakuje na miejsce

dla pasażera: ręce, kolana, tornister, cynowa puszka i poły płaszcz, wszystko to runęło na fotel jak młody ptak, który zakończył pierwszy lot.

- Jak długo czekasz:? - zapytał Justin, ale jedyną odpowiedzią Guida było zmarszczenie brwi. "Guido to mistrz autodiagnozy", przypomniała mu Tessa po wizycie w szpitalu dziecięcym w Mediolanie. "Kiedy jest chory, prosi, żeby przyszła pielęgniarka. Kiedy jest bardzo chory, prosi, żeby przyszła przełożona pielęgniarek. A kiedy sądzi, że umiera, prosi o doktora. I nie ma takiego, który nie pognałby do niego na złamanie karku".

- Muszę być pod szkołą za pięć dziesiąta - powiedział do Justina silnym głosem.

- Jasne. - Rozmawiali po angielsku, z czego Guido był bardzo dumny.

- Jeśli przyjdę za późno, wpadnę do klasy zdyszany. A jeśli za wcześnie, będą się włóczyć i wyglądać podejrzanie.

- Jasne - powiedział znowu Justin i spoglądając w lusterko stwierdził, że Guido ma woskowato bladą cerę. Wyglądał, jakby była mu potrzebna transfuzja krwi. - Nie dziw się, ale będziemy pracować w składzie oliwy, a nie w willi - dodał głosem pełnym otuchy.

Guido nie odpowiedział, zanim jednak dotarli do nadbrzeżnej drogi, twarz mu się zarumieniła. Ja też czasem nie jestem w stanie wytrzymać jej bliskości, pomyślał Justin.

Krześło było dla chłopca za niskie, a stółek za wysoki, więc Justin poszedł sam do willi i przyniósł dwie poduszki. Kiedy wrócił, Guido stał już przy sosnowym biurku, nonszalancko dotykając części laptopa - połączenia telefonicznego dla modemu, chipów do komputera i drukarki, kabli do drukarki i wreszcie samego komputera, który potraktował z nieostrożnym lekceważeniem, najpierw otwierając wieko, a potem wciskając wtyczkę w gniazdko, ale - dzięki Bogu - nie podłączył go, albo jeszcze nie podłączył do prądu. Z taką samą kawalerską pewnością siebie odsunął na bok modem, drukarkę i wszystko, czego nie potrzebował. Usiadł z rozmachem na poduszkach umieszczonych na krześle.

- Gotowe - oznajmił.

- Co jest gotowe?

- Podłącz - powiedział Guido po angielsku, wskazując głową na wtyczkę w ścianie. -Jedziemy! -i wręczyłJustinowikabel. W nadwrażliwychuszczach Justina pobrzmiwał nieprzyjemny atlantycki akcent.

- Czy może się coś stać? - zapytał nerwowo.

- Co, na przykład?

- Czy możemy skasować wszystko albo jakąś część, przez pomyłkę?

- Włączając komputer? Na pewno nie.

- Dłaczego?

Guido dumnym gestem wskazał ekran.

- Zasejwowała wszystko, co tu jest. Jeśli nie zasejwowała, to nie chciała tego, i tego tutaj nie ma. Mam rację, czy nie?

Justin poczuł wrogość. Zawsze tak było, gdy ktoś mówił do niego komputerowym slangiem.

- Niech będzie. Skoro tak mówisz. Włączam. - Ukucnął i niepewnym ruchem wsunął wtyczkę do gniazdka. - Tak?

- O rany.

Justin niechętnie zostawił przełącznik, wstał i zobaczył, że na ekranie nic się nie dzieje. Usta mu wyschły i poczuł mdłości. Przesadziłem. Jestem niezdatnym idiotą. Powinienem być wziąć specjalistę, a nie dziecko. Powinienem nauczyć się to obsługiwać samemu. Nagle ekran pojaśniał i pokazał mu procesję uśmiechniętych, machających rękami afrykańskich dzieci, stojących przed pokrytą blaszanym dachem przychodnią, po nich ukazało się zdjęcie lotnicze kolorowych prostokątów i owali rozsianych po szarobłękitnym polu.

- Co to jest?

- Desktop.

Justin zerkał zza ramienia Guida i czytał: "Moje dokumenty"... "Otoczenie sieciowe"... "Skrót do połączenia".

- Co teraz?

- Chcesz zobaczyć pliki? Pokażę ci. Pójdziemy do plików, a ty je przeczytasz.

- Chcę zobaczyć to, co widziała Tessa. Wszystko, nad czym pracowała. Muszę przeczytać wszystko, co tu jest. Myślę, że jasno się wyraziłem.

Zdenerwowany zaczął żałować, że przywiózł tutaj Guida. Chciał znów mieć Tessę dla siebie na stole do liczenia pieniędzy. Wolałby, żeby jej laptop nie istniał. Guido skierował strzałkę kursora na panel w lewym dolnym rogu ekranu.

- Co tak poklepujesz?

- To podkładka pod mysz. Tu jest co najmniej dziewięć plików, nad którymi pracowała. Chcesz, żebym ci pokazał inne? Nie ma problemu.

Pokazała się tabliczka z napisem "Otwórz plik. Dokumenty Tessy". Kliknął znowu.

- Mam tu dwadzieścia pięć plików - powiedział.

Guido pochylił się na bok, zapraszając Justina, żeby sam zobaczył:

Farmacja

farmacja - ogólne

farmacja - zanieczyszczenie środowiska

farmacja - w Trzecim Świecie

farmacja - jednostki nadzorujące

Guido przesuwał kursor i klikał dalej.

- Arnold. Kto to jest Arnold, co za Arnold? - zapytał.
- Jej przyjaciel.
- On też ma tu pliki. Jezu, ale on ma tych dokumentów!
- Ile?
- Dwadzieścia. Więcej. - Jeszcze jedno kliknięcie. - Co to jest? Co teraz robisz? Za szybko działasz.
- Nie, wcale nie. Robię wszystko powoli, dla ciebie. Zaglądam do jej teczek, ile ma folderów. Ojej. Ma mnóstwo folderów. Folder jeden, folder dwa. Potem jeszcze więcej folderów. -Nacisnął jeszcze raz. Jego sztuczny amerykański język doprowadzał Justina do szaleństwa. Gdzie on się tego nauczył? Ogląda za dużo amerykańskich filmów. Będę musiał porozmawiać z wychowawcą.
- Widzisz, to kosz. Tutaj wkładała wszystko, co chciała wyrzucić.
- Ale nie wyrzuciła. Wyrzuć ty.

- Tego, co tu jest, nie wyrzuciła. To, czego nie ma - wyrzuciła. - Jeszcze jedno kliknięcie.

- Co to jest AOL? - zapytał Justin.

- America Online. I.S.P. Internet Service Provider. Dostawca usług internetowych. Wszystko, co ściągnęła z AOL i zatrzymała, magazynowała w tym programie, tak samo jak stare e-maile. Po nowe wiadomości musisz być on-line. Jeśli chcesz wysłać wiadomość, musisz być on-line. Nie ma on-line, nie ma nowych wiadomości przyjętych ani wysłanych.

- Wiem. To oczywiste.

- Chcesz, żebym się podłączył? On-line?

- Jeszcze nie. Chcę zobaczyć, co tu już jest.

- Wszystko?

- Tak.

- To całe dni czytania. Może tygodnie. Musisz tylko najechać myszą i kliknąć. Chcesz usiąść tu, gdzie ja?

- Jesteś całkowicie pewien, że nic złego się nie stanie? - zapytał Justin, siadając na krześle. Guido ustawił się za nim.

- To co zachowała, zachowała. Jest tak, jak mówię. Bo dlaczego miałyby to zachowywać?

- I ja tego nie stracę?

- Człowieku! Chyba, żebyś kliknął na "delete". Ale nawet jeśli klikniesz na "delete", to cię zapyta: Justinie, jesteś pewien, że chcesz skasować? Jeśli nie jesteś pewien, mówisz nie. Naciskasz nie. Naciskasz nie, to znaczy: nie, nie jestem pewien. Klik. To wszystko. Wejdz w to.

Justin ostrożnie wystukuje sobie drogę przez labirynt Tessy, a Guido, jego nauczyciel, stoi protekcyjnie u jego boku, intonując polecenia swoim atlantyckim cyber-głosem. Kiedy jakaś procedura jest nowa dla Justina albo zbija go z pantafelku, ogłasza przerwę, bierze kartkę papieru i wypisuje kolejność ruchów pod władze dyktando Guida. Przed jego oczami rozwijają się nowe krajobrazy informacji. Idź tu, idź tam, teraz wróć. To wszystko jest zbyt rozległe, nigdy cię nie dogonię, mówi do niej. Gdybym nawet czytał przez rok, skąd miałbym wiedzieć, że trafiłem na to, czego szukałaś?

Konspekt Światowej Organizacji Zdrowia.

Zapisy mało znanych konferencji medycznych, które odbyły się w Genewie, Amsterdamie i Heidelbergu pod egidą jeszcze jednej nieznannej agencji rozrastającego się imperium medycznego ONZ.

Prospekty spółek, wychwalające trudne do wymówienia produkty farmaceutyczne i ich przedłużające życie walory.

Notatki dla siebie samej. Karteczki, żeby nie zapomnieć. Szokujący cytat z magazynu "Time", obramowany wykrzyknikami, zapisany wytłuszczonymi kapitalikami, dla osób o dobrym wzroku widoczny z drugiego końca pokoju, o ile nie odwróciłyby oczu. Przerażające uogólnienie, dopingujące ją do szczegółowych poszukiwań:

PODCZAS 93 TESTÓW KLINICZNYCH NAUKOWCY STWIERDZILI 691 NEGATYWNYCH SKUTKÓW UBOCZNYCH, ALE POWIADOMILI NARODOWY INSTYTUT ZDROWIA TYLKO O 39.

Cały folder poświęcony PW. Kto to, na litość boską, jest PW? Rozpacz. Wróć do papierów, które rozumiem. Ale kiedy kliknął na folder Arnolda, znów PW gapił mu się prosto w twarz. A po jeszcze jednym kliknięciu wszystko stało się jasne - PW to skrót od PharmaWatch, samozwańczej cyberkonspiracji prawdopodobnie z Kansas, "z misją obnażania ekscesów i nieetycznego postępowania przemysłu farmaceutycznego", nie wspominając o "antyhumanitaryzmie samozwańczych humanitarystów, którzy obdzierają do żywego najbiedniejsze narody".

Raporty z tak zwanych konferencji Off-Broadway, urządzanych przez demonstrantów, planujących zlot w Seattle albo w Waszyngtonie, żeby Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy dowiedziały się o ich uczuciach.

Górnolotna gadanina o "Wielkiej Amerykańskiej Hydrze Korporacyjnej" i "Kapitale-Potworze". Jakiś frywolny artykuł, Bóg wie skąd, zatytułowany "Anarchizm znowu modny".

Kliknął jeszcze raz i stwierdził, że zaatakował słowo ludzkość. Dla Tesy to słowo było jak bomba. Zwierzała się Bluhmowi w mailowanych pogwarkach, że ile razy je słyszy, sięga po rewolwer.

"Ile razy słyszę kompanie farmaceutyczne, usprawiedliwiające swoje działania względami Człowieczeństwa, Altruizmu, Służby dla Ludzkości, zbiera mi się na wymioty i to nie dlatego, że jestem w ciąży, tylko dlatego, że jednocześnie czytam, jak amerykańskie giganty farmaceutyczne usiłują przedłużyć życie swoich patentów, żeby zachować monopol, i każą sobie płacić tyle, ile chcą, i wykorzystują Departament Stanu, żeby odstraszyć kraje Trzeciego Świata od wytwarzania własnych produktów za ułamek ceny wersji markowej. W porządku, zrobili kosmetyczny gest w sprawie lekarstw na AIDS. Ale co..."

Ja to wszystko wiem, myśli i klika znów na desktop, a potem na teczkę "Dokumenty Arnolda".

- Co to jest? - pyta ostrym tonem, unosząc ręce znad klawiatury, jakby chciał wyprzeć się odpowiedzialności. Tessa, po raz pierwszy, odkąd się poznali, żąda od niego hasła, zanim go wpuści. Polecenie HASŁO, HASŁO mruga jak neon nad burdelem.

- Gówno - mówi Guido.

- Czy miała jakieś hasło, kiedy uczyła cię obchodzić się z tym? - pyta Justin, ignorując jego skatologiczny wybuch.

Guido przytyka jedną rękę do ust, pochyla się i drugą ręką wystukuje pięć znaków.

- To ja - mówi z dumą.

Pojawia się pięć gwiazdek.

- Co robisz? - pyta Justin.

- Wpisuję swoje imię. Guido.

- Dlaczego?

- To było hasło - ze zdenerwowania przechodzi na potoczysty włoski. - "T" to nie jest "i". To jeden. A "O" to zero. Tessa miała na tym punkcie bzika. W hasle musi być co najmniej jedna cyfra. Tak uważała.

- To dlaczego widzę gwiazdki?

- Bo nie chcę, żebyś zobaczył słowo "Guido"! Inaczej mógłbyś mi zajrzeć przez ramię i przeczytać hasło! Ale nie działa! Guido to nie jest jej hasło! - i ukrywa twarz w dłoniach.

- Więc możemy zgadywać - zaproponował Justin, usiłując go uspokoić.

- Jak zgadywać? Co zgadywać? Ile daje ci prób? Tylko trzy!

- Jeśli źle odgadniemy, to nie wejdziemy tam - mówi Justin mężnie, próbując pomniejszyć problem. - Hej. Wylaż stamtąd.

- Jasne, że nie wejdziemy!

- Więc dobrze. Pomyślmy. Jakie jeszcze cyfry robi się z liter?

- Trzy to może być E tyłem do przodu. Pięć to może być S. Jest ich z pół tuzina. Więcej. To okropne - nadal ukrywa twarz w dłoniach.

- A co się stanie, kiedy wykorzystamy wszystkie trzy razy?

- Zablokuje się i nie będziemy mogli już nic zrobić. A co myślałeś?

- W ogóle?

- W ogóle!

Justin wyczuwa kłamstwo w jego głosie i uśmiecha się.

- I sądzisz, że mamy tylko trzy strzały?

- Nie jestem encyklopedią, ani podręcznikiem. Jak nie wiem, to nie mówię. Może trzy, a może dziesięć. Muszę jechać do szkoły. Może zadzwonisz do serwisu.

- Myśl. Co lubiła najbardziej?

Twarz Guida nareszcie wyłoniła się zza dłoni.

- Ciebie. A myślisz, że kogo? Justin!
- Tego by nie zrobiła.
- Dlaczego?
- Bo to jej królestwo, nie moje.
- Tylko tak myślisz! Jesteś śmieszny. Popróbuj "Justin". Mam rację, wiem, że mam rację!
- No> dobrze. A co najbardziej lubiła po Justinie?
- To nie ja się z nią ożeniłem, nie? To ty!

Justin pomyślał "Arnold", potem "Wanza". Spróbował "Ghita", wklepując 1 zamiast "i". Nic się nie stało. Nerwowo chichocze, co ma znaczyć, że ta dziecinna zabawa jest poniżej jego poziomu, ale tak naprawdę jego myśl wędruje we wszystkie strony, a on nie wie, w którym kierunku ma podążyć. Świta mu w głowie słowo "Garth", imięj zmarłego ojca, i Garth -jej zmarłego dziecka, ale wyklucza ich obu ze względów estetycznych i emocjonalnych. Zastanawia się nad "Tessą", ale przecież nie była egotyczką. Może ARN01D albo ARNOLD, a może jednak ARNO ID, ale Tessa nie byłaby taka głupia, żeby blokować plik Arnolda hasłem od jego imienia. Flirtuje z myślą o Marii, tak miała na imięj matka, potem Mustafa, potem Hammond, ale żadne z tych słów nie narzuca mu się jako szyfr hasła. Spogląda w dół, do jej grobu, i widzi jak żółte frezje leżące na wieku trumny nikną pod czerwoną ziemią. Widzi Mustafę stojącego w kuchni Woodrowów, jak trzyma koszyk. Widzi siebie w słomkowym kapeluszu, jak sadi je w ogrodzie w Nairobi, a przedtem tutaj, na Elbie. Wprowadza słowo "frezja" pisząc J jak I. Pojawia się sześć gwiazdek, ale nic się nie dzieje. Wprowadza to samo słowo jeszcze raz, wstukując Z jako 5.

- No i co? - pyta łagodnym tonem.
- Ja mam dwanaście lat! Dwanaście! - Guido ustępuje trochę. - Może masz jeszcze jedną próbę. Potem zapadnie kurtyna. Ja rezygnuję, OK? To jej laptop. I twój. Nie mieszaj mnie do tego.

Justin wprowadza słowo frezja po raz trzeci, pozostawiając Z jako 5, ale zamieniając E na odwrócone 3 i nagle stwierdza, że patrzy na niedokończony tekst. Za pomocą swoich żółtych frezji udało mu się wedrzeć do folderu o nazwie Arnold i natknąć się na traktat o prawach człowieka. Guido tańczy po pokoju.

- Mamy go! Mówiłem ci! Jesteśmy fantastyczni! Ona jest fantastyczna!

Dlaczego afrykańscy geje muszą ukrywać swoją orientację?

Posłuchaj natchnionych słów wielkiego autorytetu moralnego, prezydenta Daniela Arapa Moi:

"Słowa takie jak miłość lesbijska i homoseksualizm nie istnieją w językach afrykańskich" - Moi 1995.

“ Homoseksualizm jest wbrew afrykańskim normom i religiom, a w religii uważany jest za wielki grzech” - Moi 1998.

Nic dziwnego, że kenijski kodeks karny zgadza się w stu procentach z Moi. Artykuły 162 - 165 mówią o karze w wysokości PIĘCIU DO CZTERNASTU LAT WIĘZIENIA ZA “STOSUNKI SEKSUALNE PRZECIWNIE NATURZE”. Prawo stanowi tak:

- Kenijskie prawo uznaje wszelkie stosunki seksualne między mężczyznami za przestępstwo.

- Nie ma w nim najmniejszej wzmianki o stosunkach seksualnych między kobietami.

Jakie są społeczne konsekwencje takich przedpotopowych poglądów?

- geje żenią się albo utrzymują stosunki z kobietami, żeby ukryć swoją seksualność.

- unieszczęśliwiają siebie i swoje żony.

- gejom nie zapewnia się edukacji seksualnej, nawet w apogeum epidemii AIDS, której istnieniu władze Kenii tak długo zaprzeczały.

- kenijskie społeczeństwo nurza się w kłamstwie. Lekarze, prawnicy, biznesmeni, księża, a nawet politycy żyją w strachu przed szantażem i aresztowaniem.

- powstaje samonapędzające się koło korupcji i ucisku, wciągające nasze społeczeństwo coraz głębiej w bagno.

Na tym artykuł się kończy. Dlaczego?

I dlaczego, na litość boską, zapisałaś niekompletny tekst polemiczny o prawach gejów pod “Arnoldem” i zabezpieczyłaś go hasłem?

Justin budzi się. Wraca ze swojej pielgrzymki i pochyla naprzód. Patrzy zdumiony na ekran.

- Czas, żeby cię odwiedzić do szkoły - mówi Justin.

- Nie musimy jeszcze jechać! Mamy jeszcze dziesięć minut! Kto to jest Arnold? Czy to gej? Co robią geje? Mamusia wścieka się, jak ją o to pytam.

- Już wychodzimy. Możemy wlec się za traktorem.

- Słuchaj. Pozwól, że otworzę jej skrzynkę pocztową. Ktoś mógł do niej napisać. Może Arnold. Chcesz zajrzeć do jej skrzynki pocztowej? Może przesłała ci wiadomość, której nie przeczytałaś. Otworzę jej skrzynkę, co?

Justin łagodnie kładzie rękę na ramieniu Guida.

- Wszystko będzie w porządku. Nikt nie będzie się z ciebie śmiał. Każdemu się zdarza, że od czasu do czasu nie chodzi do szkoły. To wcale nie znaczy, że jesteś inwalidą. Jesteś normalny. Zajrzemy do jej poczty, jak wrócisz.

Jazda do szkoły i z powrotem zajęła Justinowi długą godzinę. W tym czasie puścił wodze fantazji i zaczął wyciągać przedwczesne wnioski. Kiedy wrócił do składu oliwy, skierował się nie do laptopa, ale do stosu papierów, które dała mu Lesley w mikrobusie przed kinem. Działał z większą pewnością siebie, niż gdy miał do czynienia z laptopem, dokopał się do fotokopii pospiesznie nabazgranego listu na papierze w linie, który zwrócił jego uwagę podczas jednego z pierwszych poszukiwań. List nie był datowany. "Został znaleziony", według dołączonej notatki, sporządzonej przez Roba, między stronicami encyklopedii medycznej, którą oboje funkcjonariusze znaleźli na podłodze kuchni w mieszkaniu Bluhma, rzucony tam przez sfrustrowanych włamywaczy. Papier był stary i wyblakły. Na kopercie widniał adres skrytki pocztowej organizacji pozarządowej Bluhma. Znaczek przedstawiał arabską wyspę Łamu.

Mój najukochańszy Arni,

Nigdy nie zapomnę nasza miłość ani Twoje uściski i Twoja dobroci, muj ukochany przyjaciel. Cóż to dla mnie za szczęście i rozkosz, że zawitasz na naszej pięknej wyspie, na urlop! Muszę powiedzieć dziękuję Ci, ale to bogu zawdzięczam szczodłą miłość i dary, a teraz świadomość, że ty przyjedziesz do mnie na moje studia plus motorower. Dla ciebie mój kochany pracuję dnie i noce, i cieszę się w sercu, że moje kochanie jest ze mną na każdym kroku, ściska i kocha mnie.

A podpis? Justin, podobnie jak wcześniej Rob, męczył się, żeby go odcyfrować. Styl listu, na co Rob zwrócił uwagę w swojej notce, sugeruje, że autor jest Arabem, pismo jest niskie, z zamkniętymi pętłami. Podpis, nakreślony z rozmachem, zaczyna się kończy spółgłoskami z samogłoską w środku: Pip? Pet? Pat? Dot? Domysły są bezsensowne. Można powiedzieć tylko jedno, to podpis zrobiony ręką Araba.

Ale czy piszący był kobietą czy mężczyzną? Czy niewykształcona Arabka z wyspy Łamu pisałaby tak śmiało? Czy jeździłaby na motorowerze?

Justin podszedł do sosnowego biurka i usiadł przed laptopem, ale zamiast ponownie wywołać plik "Arnold", gapił się na pusty ekran.

- Więc kogo właściwie ten Arnold kocha? - pyta z udawaną niedbałością, kiedy leżą obok siebie w łóżku, w gorący niedzielny wieczór w Nairobi. Arnold i Tessa wrócili razem rano ze swojej pierwszej wspólnej wyprawy w teren. Tessa powiedziała, że to jedno z jej najważniejszych doświadczeń życiowych.

- Arnold kocha całą ludzkość - odpowiada niechętnie. - Nikogo nie wyklucza..

- Sypia z całą ludzkością?
- Może. Nie pytałam go. Chcesz, żebym to zrobiła?
- Nie, to nie jest konieczne.
- Na pewno?
- Na pewno.

I całuje go. I znów go całuje. Pocałunkami przywraca go do życia.

- I nigdy więcej mnie o to nie pytaj - mówi machinalnie, leżąc z twarzą przytuloną do jego ramienia, z rękami i nogami rozpostartymi na jego ciele.

- Powiedzmy, że Arnold zostawił swoje serce w Mombasa. - I wciągnęła się na niego, z opuszczoną głową i sztywnymi barkami.

W Mombasa?

Czy na Łamu, sto pięćdziesiąt mil od brzegu?

Justin wrócił do stołu i tym razem wybrał raport Lesley: "BLUHM, Arnold Moise, dr nauk med., zaginiona ofiara albo podejrzany". Żadnych skandali, żadnych małżeństw, żadnych przyjaciółek, o których byłoby wiadomo, żadnych konkubin. W Algierze mieszkał w schronisku dla młodych lekarzy obojga płci, zajmował pokój jednoosobowy. Żadnej istotnej, związanej z nim osoby pracującej w jego organizacji pozarządowej. Najbliższa rodzina - belgijska siostra przyrodnia z rodziny, która go adoptowała - mieszka w Brugii. Arnold nigdy nie żądał pokrycia wydatków na podróż i utrzymanie osoby towarzyszącej i zawsze mieszkał w kawalerkach. Jego zaśmiecone mieszkanie w Nairobi Lesley opisała jako "klasztorną celę, zamieszkiwaną przez abstynenta". Mieszkał tam samotnie i nie miał służącego. "W życiu prywatnym obywatel się bez wygód, włączając w to ciepłą wodę".

- Cały Muthaiga Club jest przekonany, że nasze dziecko to dzieło Arnolda - mówi Justin do Tessy przyjacielskim tonem, gdy jedzą rybę w hinduskiej restauracji na przedmieściach. Ona jest w szóstym miesiącu i choć rozmowa na to nie wskazuje, Justin kocha ją bardziej niż zazwyczaj.

- A kto to jest cały Muthaiga Club?

- Podejrzewam, że to głównie Elena, Greczynka. Nagadała Glorii, a ta Woodrowowi - mówi radośnie. - A ja, według nich, o niczym nie wiem. Może byłoby dobrze, gdybyśmy tam pojechali i kochali się na stole bilardowym, jeśli starczy ci odwagi.

- Wtedy zagrożenie byłoby podwójne, prawda? - mówi w zamyśleniu. - I podwójne uprzedzenie.

- Podwójne? Dlaczego?

Przerywa, opuszcza oczy i łagodnie potrząsa głową.
- To pełna uprzedzeń banda łajdaków - zostawmy ich.

Wtedy zastosował się do jej polecenia. Ale dość tego.

Dlaczego podwójne? - pytał sam siebie, gapiąc się w ekran.

Pojedyncze niebezpieczeństwo oznacza zdradę małżeńską z Arnoldem. Ale podwójne? Dlaczego podwójne? Chodziło o jego rasę? Czy Arnold jest dyskryminowany ze względu na domniemane cudzołóstwo i rasę? Na tym . polega - podwójna dyskryminacja?

Może.

Chyba że przemawia przez nią prawnik o chłodnych oczach: ten sam, który postanowił zignorować groźby śmierci, żeby nie narażać jej walki o sprawiedliwość.

Chyba że pierwszy z przesądów nie dotyczył czarnego mężczyzny podejrzewanego o to, że sypia z białą zamężną kobietą, ale homoseksualistów, a Bluhm - o czym przecież nie wiedzieli - był jednym z nich.

W takim wypadku rozumowanie prawnika o chłodnych oczach i gorącym sercu wyglądałoby tak:

Niebezpieczeństwo numer jeden: Arnold jest homoseksualistą, ale miejscowe przesady nie pozwalają mu tego ujawnić. Gdyby to ujawnił, nie mógłby kontynuować pracy humanitarnej, bo Moi nienawidzi organizacji pozarządowych nie mniej niż homoseksualistów i przy łada okazji wyrzuciłby go z kraju.

Niebezpieczeństwo numer dwa: Arnold musi żyć w fałszu (patrz niedokończony artykuł autorstwa -?). Zamiast zadeklarować swoją orientację, musi przyjąć pozę playboya, w ten sposób ściągając na siebie krytykę, przeznaczoną dla międzyrasowych cudzołóżników.

Zatem: Niebezpieczeństwo jest podwójne.

I dlaczego, w końcu, Tessa nie zwierzyła się z tego sekretu swojemu ukochanemu mężowi i wołała pozostawić go z hańbiącymi podejrzeniami, w które nie chciał, nie mógł, nie wolno mu było wierzyć? Pytał ekran.

Zapamiętał nazwę hinduskiej restauracji, która tak jej się podobała. "Handi".

Przypływy zazdrości, którą Justin tak długo trzymał w cuglach, nagle zmiotły tamy i pochłonęły go całkowicie. Ale to była zazdrość nowego rodzaju: zazdrość, że Tessa i Arnold nawet do tej tajemnicy nie chcieli go dopuścić i do innych, które ich łączyły; z rozmysłem wyłączyli go z tej ekskluzywnej dwuosobowej spółki, każąc mu gapić się na siebie, jak jakimś oszalałemu podglądaczowi, który nie wiedział, mimo ich zapewnień, że tam nie

ma i nie może być niczego do podglądania; że jest tak, jak Ghita chciała powiedzieć Robowi i Lesley, zanim zaczęła się wzbraniać przed składaniem zeznań, że między tym dwojgiem nie przeleciała nawet iskierka; że jedyny związek, jaki między nimi istniał, to przyjaźń, że byli jak brat i siostra,- tak jak Justin powiedział Hamowi, w głębi serca nie dowierzając sobie do końca.

Tessa nazwała kiedyś Bluhma człowiekiem doskonałym. Nawet Justin, sceptyk, nie myślał o nim inaczej. Człowiek, który jest w stanie pobudzić w nas wszystkich zmysł homoerotyczny, powiedział jej kiedyś w swojej niewinności. Pięknie mówiący, o łagodnym głosie. Uprzejmy wobec przyjaciół i obcych. Piękny, począwszy od niskiego głosu, poprzez okrągło przystryżoną stalową brodę, po okolone długimi rzęsami afrykańskie oczy, których nie spuszczał z rozmówcy. O pięknej, choć skąpej gestykulacji, którą podkreślał swoje światło, pięknie wypowiedziane, inteligentne sądy. Piękny, począwszy od wyrzeźbionych kostek u rąk po zgrabne, lekkie ciało, szczupłe i gibkie jak u tancerza i równie zdyscyplinowane w ruchach. Żadnej zuchowości, żadnego obskurantyzmu, żadnego okrucieństwa, chociaż na każdym przyjęciu i na każdej konferencji spotykał ludzi Zachodu tak niedouczonych, że Justin aż się za nich wstydził. Nawet starzy bywalcy Muthaiga mawiali: ten Bluhm, mój Boże, teraz już nie robi się takich Czarnych, nic dziwnego, że młoda żonka Justina przepada za nim.

To dlaczego w imię wszystkiego, co święte, nie wyciągnęłaś mnie z mojej niedoli? - zapytał ją z wściekłością, zwracając się do ekranu.

"Bo ufałam ci i spodziewałam się w zamian takiego samego zaufania do mnie".

Jeśli mi ufałaś, to dlaczego mi nie powiedziałaś?

"Bo nie powtarzam zwierzeń przyjaciół i żądam, żebyś to uszanował i podziwiał mnie za to. Zawsze i wszędzie".

"Bo jestem prawniczką i jeśli chodzi o tajemnice" - tak często mówiła - "grób w porównaniu ze mną to pleciuga".

14

Agruźlica to wielka forsa: zapytajcie Karel Vita Hudson. Już niebawem nadejdzie dzień, kiedy najbogatsze narody staną wobec pandemii gruźlicy i wtedy dypraxa stanie się źródłem multimiliardowych zysków, o jakim marzą wszyscy poczciwi akcjonariusze. Biała Zaraza, Wielki Łowca, Wielki Imitator, Kapitan Śmierci nie ogranicza się już do nieszczęśliwych tego świata.

Jak przed stulaty unosi się nad horyzontem Zachodu. Wisi nad nim jak groźna, plugawa, chmura, choćby jej ofiarą i w tej części globu miała paść tylko biedota.

- Jedna trzecia populacji świata jest zakażona tą bakterią.

Tessa pisze to na swoim komputerze, jednocześnie podkreślając i zaznaczając tekst.

- W Stanach Zjednoczonych liczba zachorowań wzrosła w ciągu siedmiu lat o dwadzieścia procent...

- Jeden nieleczony chory przekazuje tę chorobę przeciętnie dziesięciu, piętnastu ludziom rocznie...

- Służba zdrowia miasta Nowy Jork została upoważniona do przymusowego leczenia chorych na gruźlicę, którzy nie chcą poddać się izolacji...

- Trzydzieści procent wszystkich znanych przypadków gruźlicy jest odporne na lekarstwa...

Biała Zaraza nie jest nam przyrodzona, czyta Justin. Przychodzi do nas wraz z cuchnącym oddechem, brakiem higieny, śmierdzącą wodą i zaniedbaniami administracji.

Kraje bogate nienawidzą jej, bo mać ich dobry wizerunek, biedne kraje dlatego, że jest synonimem AIDS. Niektóre kraje nie przyznają się do tego, że choroba występuje w ich granicach i wolą żyć w kłamstwie, niż wyznać taką hańbę.

A w Kenii, podobnie jak w innych krajach afrykańskich, zachorowalność na gruźlicę wzrosła czterokrotnie, odkąd pojawił się wirus HIV.

Przegadany list od Arnolda wymienia praktyczne trudności występujące podczas leczenia gruźlicy w interiorze:

- Diagnoza jest trudna i nie od razu można ją postawić. Pacjenci muszą przynosić próbki śliny przez kilka dni z rzędu.

- Podstawą są badania laboratoryjne, tymczasem mikroskopy są zepsute albo je rozkradziono.

- Brakuje barwnika do znaczenia bakterii. Barwnik jest sprzedawany, wypijany, albo skończył się i nie dostarczono nowych zapasów.

- Leczenie trwa osiem miesięcy. Pacjenci, którzy poczuja się lepiej, po miesiącu przestają przychodzić albo sprzedają tabletki. Wtedy choroba powraca w postaci odpornej na lekarstwa.

- Tabletki przeciw gruźlicy sprzedawane są na afrykańskim czarnym rynku jako lekarstwa na choroby przenoszone drogą płciową. Światowa Organizacja Zdrowia nalega, żeby obserwowano pacjentów połykających tabletki. Skutek: tabletki na czarnym rynku jest sprzedawana jako "mokra" albo "sucha", w zależności od tego, czy była wcześniej w czyichś ustach...

W postscriptum dopisał:

Gruźlica zabija więcej matek niż jakakolwiek inna choroba. W Afryce kobiety zawsze są najbardziej poszkodowane. Wanza była królikiem doświadczalnym i ofiarą eksperymentów.

Całe wioski takich Wanz były obiektami doświadczeń.

Fragmenty artykułu zamieszczonego na stronie czwartej "International Herald Tribune":

Zachód ma się na baczności i też jest podatny na odporne na leki szczepy gruźlicy. Donald G. Mcneil junior, New York Times Service.

Niektóre fragmenty zaznaczone przez Tessę.

AMSTERDAM -Według raportów Światowej Organizacji Zdrowia i innych organizacji zwalczających gruźlicę, śmiertelne szczepy odporne na leki gruźlicy rozprzestrzeniają się nie tylko w krajach biednych, ale także w zamożnych zachodnich krajach.

"Oto przestroga: ludzie uważajcie, sprawa jest poważna", powiedział doktor Marcos Espinal, główny autor raportu. "To wielki kryzys, który dotknie nas w przyszłości"...

Ale najpotężniejszym argumentem, którym posługuje się międzynarodowa społeczność lekarska, żeby zebrać fundusze, jest perspektywa niekontrolowanej eksplozji zarażeń w Trzecim Świecie, która sprawi, że różne szczepy zleją się w coś nieuleczalnego i szczególnie zaraźliwego i zaatakują Zachód.

Przypis ręką Tessy, napisany zadziwiająco spokojnym charakterem piśma, jakby celowo powściągała nerwy:

Arnold mówi: "Rosyjscy imigranci do Stanów, szczególnie ci, którzy przybywają wprost z obozów, przynoszą wszelkie odmiany odpornych szczepów gruźlicy. Jego przyjaciel, który leczy ciężkie przypadki w okolicach brooklińskiej BayRidge, twierdzi, że część z nich jest naprawdę przerażająca. Częstotliwość zachorowań w całym Stanach wśród ludności zamieszkującej przedludnione dzielnice etnicznej ma ponoć tendencję wzrostową".

Albo, przekładając to na język zrozumiały dla giełd na całym świecie: według prognozy na rynku gruźlicy, spodziewane zyski można szacować na grubie miliony dolarów, a koniem rugowym, który te zyski przyniesie, jest dypraxa - zakładając, oczywiście, że wstępne prognozy kursu afrykańskiego nie wykażą niepokojących efektów ubocznych.

Ta lektura sprawiła, że Justin pospiesznie wrócił do szpitala Uhuru w Nairobi. Ponownie przerzuca akta policyjne i wydobywa sześć fotokopii kartek pokrytych pismem Tessy, która ogarnięta gorączką, spisywała w dzieciennym stylu historię przypadku Wanzy.

Wanza jest panną z dzieckiem.

Nie umie czytać ani pisać.

Spotkałam ją w jej wiosce, a potem w Kiberze. Była w ciąży z wujem, który ją zgwałcił, a potem twierdził, że go uwiodła. To jej pierwsza ciąża. Wanza opuściła wioskę, żeby wujek znów jej nie zgwałcił i jeszcze inny mężczyzna, który też ją molestował.

Wanza mówi, że wielu ludzi w jej wiosce choruje i brzydko kaszle. Wielu mężczyzn ma AIDS, wiele kobiet też. Ostatnio umarły dwie ciężarne kobiety. Tak jak Wanza odwiedzały przychodnię odległą o pięć mil. Wanza nie chciała potem chodzić do tej przychodni. Bała się, że mają złe pigułki. To dowodzi, że Wanza jest inteligentna, gdyż większość tubylczych kobiet wierzy ślepo lekarzom, chociaż wyżej cenią sobie zastrzyki od pigułek.

W Kiberze odwiedził ją biały mężczyzna i biała kobieta. Nosili białe płaszcze, więc pomyślała, że są lekarzami. Wiedzieli, z której jest wioski. Dali jej trochę pigułek, takich samych, jakie bierze w szpitalu.

Wanza mówi, że ten mężczyzna nazywał się Larbir. Na moją prośbę powtórzyła to wiele razy. Lor-bear? Lor-beer? Lohrbear? Biała kobieta, która z nim przyszła, nie powiedziała, jak się nazywa, ale zbadła Wanzę i pobrała jej krew, mocz i ślinę.

Odwiedzili ją w Kiberze jeszcze dwa razy. Nie interesowali ich inni ludzie w jej chacie. Powiedzieli jej, że urodzi dziecko w szpitalu, ponieważ jest chora. Wanza była tym zaniepokojona. Wiele ciężarnych kobiet w Kiberze jest chorych, ale nie rodzą w szpitalach.

Lorbeer powiedział, że nie będzie płacić, że wszystko zostanie załatwione za nią. Nie pytała, kto to robi. Powiedziała, że mężczyzna i kobieta byli bardzo

zmartwieni. Nie chciała, żeby się tak martwili. Żartowała sobie z tego, ale się nie śmieli.

Następnego dnia przyszli po nią. Zbliżał się okres rozwiązania. Po raz pierwszy jechała wtedy samochodem. Dwa dni później Kioko, jej brat, przyszedł do szpitala, żeby z nią być. Usłyszał, że jest w szpitalu. Kioko umie czytać i pisać i jest bardzo inteligentny. Brat i siostra bardzo się kochają. Wanza ma piętnaście lat.

Kioko powiedział, że kiedy inna ciężarna kobieta w wiosce umierała, ta sama para białych przybyła, żeby ją zobaczyć i pobrać od niej próbki, tak jak od Wanzę. Kiedy odwiedzili wioskę, dowiedzieli się, że Wanza uciekła do Kibery Kioko mówi, że bardzo się nią interesowali i pytali go, jak ją znaleźć i zapisywali jego objaśnienia w notatniku. W ten sposób para białych odnalazła Wanzę w Kiberze i kazała ją odwieźć do szpitala Uhuru na obserwację. Wanza jest jednym z afrykańskich królików doświadczalnych, jedną z wielu, które nie przeżyły stosowania dypraxy".

Tessa mówi do niego. Siedzą przy stole, jedząc śniadanie. Jest w siódmym miesiącu ciąży. Mustafa stoi tam, gdzie zwykle, bo uważa, że to jest jego miejsce, już w kuchni, ale tak, żeby słyszeć, czy ma zrobić dodatkowe tosty albo nalać jeszcze herbaty. Poranki to szczęśliwe godziny. Podobnie jak wieczory. Ale rozmowa łatwiej płynie rano.

- Justinie?
- Tak, Tesso.
- Gdybym teraz zawołała do ciebie: Lorbeer, to co byś mi powiedział?
- Laur.
- Więcej.
- Laur. Korona. Cezar. Imperator. Atleta. Zwycięzca. Dlaczego się nie śmiesz?
- A Niemiec? - pyta Tessa.
- Niemiec. Rzeczownik. Rodzaj męski.
- Przeliteruj.
- Przeliterował.
- Może Holender?
- Tak mi się zdaje. To prawdopodobne. Rozwiązujesz krzyżówki?
- Już nie - odpowiada w zamyśleniu. I tak się często dzieje z Tessą-prawnikiem. "W porównaniu ze mną grób to pleciuga".

"Ani J, ani G, ani A", pisze w notatkach. Ma na myśli: Justina, Ghity i Arnolda nie ma. Jest na sali sama z Wanzą.

/ 5.23. Wchodzi czerwony na twarzy, biały mężczyzna i wysoka kobieta o słowiańskim wyglądzie, oboje w białych kitlach z wykładanym kołnierzem. Towarzyszą im trzej inni mężczyźni. Wszyscy noszą białe kitle. Przywłaszczone napoleońskie pszczoły na kieszonkach. Podchodzą do łóżka Wanzy, stają przy nim.

Ja: Kirn jesteście? Czego od niej chcecie? Jesteście lekarzami? Nie zwracając na mnie uwagi, patrzą na Wanzę, słuchają jej oddechu, sprawdzają serce, puls, temperaturę, oczy i wołają "Wanza!". Brak odpowiedzi.

Ja: Pan jest Lorbeerern? Kim wy wszyscy jesteście? Jak się nazywacie?

Kobieta o wyglądzie Słowianki: To nie pani sprawa.

Exeunt

Ta Słowianka to niezła dziwka. Farbowane na czarno włosy, długie nogi, ruchliwe biodra, nie może ich powstrzymać.

Jak zbrodniarz przyłapany na gorącym uczynku, Justin szybko wsuwa notatki Tessy pod najbliższą stertą papierów, wstaje pośpiesznie i idzie przeżony w stronę drzwi składowego. Ktoś mocno w niego wali. Widzi, jak drzwi drżą w rytm uderzeń i słyszy z tamtej strony napastliwy, koszmarne znajomy, donośny głos Anglika z wyższych sfer.

- Justin! Wyjdź, stary! Nie chowaj się! Wiemy, że tam jesteś! Dwoje kochających przyjaciół przynosi ci podarunki i pocieszenie!

Justin, jak sparaliżowany, nie jest w stanie wypowiedzieć słowa.

- Nie czaj się, stary! Nie udawaj Greka! Nie ma potrzeby! To my! Beth i Adrian! Twój przyjaciele!

Justin chwycił klucze z półki przy ścianie i jak skazaniec przed egzekucją, wkroczył po omacku w światło, żeby stanąć twarzą w twarz z Beth i Adrianem Tupperami, Największym Pisarskim Duetem Naszych Czasów, słynnymi na cały świat Tupperami z Toskanii.

- Beth. Adrian. Jak miło - oświadczył, zatraskując za sobą drzwi.

Adrian schwył go za ramię i dramatycznie ściszył głos.

- Chłopie drogi. Justin. Kogóż to bogowie kochają? No? No? Wytrwałych. Tylko to zostało - zaintonował poufałą nutę współczucia. - Jesteś samotny. Nie przecz. Straszliwie samotny.

Justin poddaje się jego objęciom i widzi, jak małe, głęboko osadzone oczka myszczą zachłannie nad jego ramieniem.

- Justinie, my naprawdę tak ją kochaliśmy - miauczy Beth, zginając swoje małe usteczka w żalną podkówkę i zaraz prostując je, żeby go pocałować.

- Gdzie jest Luigi? - pyta Adrian.

- W Neapolu. Ze swoją narzeczoną. Biorą ślub. W czerwcu - dodaje bez potrzeby Justin.

- Powinien być tutaj, żeby ci pomagać W jakim świecie żyjemy, chłopie. Nie ma już lojalności. Nie ma już służby z klasą.

- To duże jest dla Tessy, a małe dla biednego Gartha, niech rosną obok siebie - objaśnia Beth cienkim głosikiem, któremu jakoś brakuje wyrazu. - Pomyślałam, że moglibyśmy zasadzić je, żeby uczcić ich pamięć, prawda, Adrianie?

Na podwórzu stoi pickup załadowany ostentacyjnie kłodami, żeby czytelnicy Adriana myśleli, że sam je ściął. Na górze przywiązane są dwa drzewka brzoskwińowe. Korzenie mają omotane plastikowymi torbami.

- Beth ma te cudowne vibracje - huczy Tupper poufale. - Długość fali, chłopie. Przez cały czas dostrojone, prawda, kochanie? "Musimy zabrać drzewka dla niego", powiedziała. Widzisz, ona wie. Wie.

- Moglibyśmy zasadzić je teraz, potem będzie za późno - mówi Beth.

- Po lunchu - stwierdza stanowczo Adrian.

Proste chłopskie jedzenie -torba pierwszej potrzeby, jak nazywa ją Beth, a w niej pajdy chleba, oliwki i "pstrągi z naszej wędzarni, kochany, tylko my troje nad butelką twojego dobrego wina Manzinich".

Uprzejmy aż po grób, Justin prowadzi ich do willi.

- Nie można oplakiwać jej w nieskończoność, chłopie. Żydzi robią inaczej. Mają na to siedem dni. Potem stają na nogi i aż się palą do marszu. Takie mają prawo, widzisz, kochana. - Adrian zwraca się z tymi wyjaśnieniami do żony, jakby była kretynką.

Siedzą w salonie pod cherubinami, jedzą pstrągi, trzymając talerze na kolanach, żeby zaspokoić wyobrażenie Beth o pikniku.

- Wszystko mają napisane. Co robić, kto ma to robić i jak długo. A potem - do roboty. Justin powinien zrobić tak samo. Justinie, nie trzeba kwękać. Nigdy w życiu nie kwękaj. To niszczy.

- Przecież nie kwękam - oponuje Justin, przeklinając się za to, że otwiera drugą butelkę wina.

- Więc co tu robisz? - pyta Tupper i świdruje Justina swoimi małymi okrągłymi oczkami.

- No cóż, Tessa zostawiła mnóstwo niezakończonych spraw - wyjaśnia nieprzekonywająco. - Chodzi o majątek i o fundację charytatywną, którą założyła. Plus mnóstwo innych różności.

- Masz komputer?

Widziałeś go! - myśli Justin z przerażeniem. Nie, nie mogłeś go widzieć! Byłem szybszy od ciebie, wiem, że byłem!

- To najważniejsze odkrycie, odkąd wynaleziono druk, chłopie. Prawda, Beth? Nie potrzebujesz sekretarki, żony, w ogóle nic. Jakiego używasz? Mieliśmy opory przed kupnem, prawda, Beth? A to błąd.

- Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy - wyjaśnia Beth, pociągając spory, jak na taką małą kobietkę, łyk wina.

- Jaki ś tu był - odpowiada Justin, odzyskując równowagę ducha. - Prawnicy Tessy wepchnęli mi cały stos dyskietek. Zarekwirowałem komputer należący do posiadłości i przekopałem się przez nie najlepiej, jak umiałem.

- A więc już skończyłeś. Czas wracać do domu. Nie wahaj się. Jedź. Kraj cię potrzebuje.

- Właściwie jeszcze nie całkiem skończyłem, Adrianie. Czeka mnie tu parę dni roboty przed wyjazdem.

- Ministerstwo wie, że tu jesteś?

- Chyba tak - powiedział Justin. Jak mu się to udało? Tak pozbawić mnie możliwości obrony? Szpera w intymnych miejsca mojego życia, choć nie ma w tym absolutnie żadnego interesu, a ja stoję obok i patrzę?

Teraz nastąpiło moratorium, podczas którego, ku ogromnej uldze Justina, Największe Piszące Małżeństwo na Świecie rozprawia o Sieci - bez wątpienia jest to próba generalna przed następnym pasjonującym rozdziałem Toskańskich Opowieści i przed następnym komputerem ofiarowanym przez wdzięcznych producentów.

- Uciekasz, chłopie - napomina Adrian surowo, gdy we dwóch odwiązują drzewka ze skrzyni ciężarówki i niosą je do *cantiny*, żeby Justin później je zasadził. - Ale jest coś, co nazywa się obowiązkiem. Staromodne słowo, jak na dzisiejsze czasy. Im dłużej to odkładasz, tym ciężiej później ci się do tego wziąć. Wracaj do domu. Przywitają cię z otwartymi ramionami.

- Dlaczego nie możemy zasadzić ich teraz? - pyta Beth.

- To zbyt przejmujące, kochanie. Niech to zrobi sam. Niech cię Bóg błogosławi, chłopie. Długość fali. Najważniejsza rzecz na świecie.

Kim właściwie jesteście? - pyta Justin Tupperów, patrząc na oddalającą się ciężarówkę: fuksami czy spiskowcami? Wpadliście tu po drodze, czy was przysłano? Przywiódł tu was zapach krwi czy sir Bernard Pellegrin? Tupper, na różnych etapach przereklamowanego żywota, zaszczycał swoją osobą BBC i jakieś nikczemne brytyjskie piśmidło. Ale pracował też w wielkich pokojach na tyłach Whitehall, gdzie wstęp był zabroniony.

Justin pamiętał Tessę z jej najbardziej nieznośnego okresu.

- Co on robi ze swoją inteligencją, której brakuje jego książkom?

Wrócił do Wanzy tylko po to, żeby odkryć, że sześciostronicowy dziennik Tessy, opisujący jej towarzyszkę niedoli na sali szpitalnej, urywa się bez konkluzji. Lorbeer i jego zespół odwiedzają salę jeszcze trzy razy. Arnold dwukrotnie rzuca im wyzwanie, ale Tessa nie słyszy, co mówią. To nie Lorbeer, tylko seksowna Słowianka bada Wanzę, a Lorbeer i jego akolici przypatrują się beczynnemu. To, co jest potem, dzieje się w nocy, gdy Tessa śpi.

Tessa budzi się, krzyczy i wyje, ale nie przychodzi żadna pielęgniarka. Wszyscy są wystraszeni. Tessa odnajduje ich z trudem i zmusza, żeby przyznali, że Wanza nie żyje, a jej dziecko wróciło do wioski.

Justin odkłada dziennik na stertę papierów policyjnych i jeszcze raz korzysta z komputera. Jest mu niedobrze. Wypił za dużo wina. Pstrąg, który musiał uciec z wędzarni przed czasem, zalega mu w żołądku jak kawał gumy. Dotyka kilku klawiszy, myśląc, że powinien wrócić do willi i wypić litr wody mineralnej. Nagle z przerażeniem i niedowierzaniem zaczyna wpatrywać się w ekran. Patrzy w bok, potrząsa głową, żeby doprowadzić się do porządku, i znów wbija wzrok w ekran. Przeciera twarz dłońmi, żeby się otrząsnąć. Ale gdy spogląda ponownie, napis nadal tam jest.

PROGRAM WYKONAŁ NIEDOZWOLONĄ OPERACJĘ. MOŻESZ STRACIĆ NIEZACHOWANE DANE WE WSZYSTKICH OTWARTYCH APLIKACJACH.

A pod wyrokiem śmierci rząd pudełek, ustawionych jak trumny na masowym pogrzebie: kliknij tę. W której najbardziej chciałbyś zostać pochowany? Ręce mu opadły, zatoczył głowę, a potem ostrożnie, piętami odepchnął krzesło od komputera.

- Niech cię cholera, Tupper! - wyszeptał. - Niech cię cholera, niech cię cholera, niech cię cholera. - Ale znaczyło to: niech mnie cholera.

Coś zrobiłem albo czegoś nie zrobiłem. Powinienem ułożyć tego nędznego drania do snu.

Guido. Dajcie mi tu Guida.

Popatrzył na zegarek. Za dwadzieścia minut kończy się szkoła, ale Guido nie chciał, żeby go podwozić. Woli jeździć szkolnym autobusem jak inni, normalni chłopcy. I poprosi kierowcę, żeby zatrafił przy bramie, a wtedy Justin otrzyma łaskawe pozwolenie, żeby go zabrać do jeepa. Mógł tylko czekać. Jeśli wyprzedzi autobus, może się okazać, że dotrze do szkoły za późno i będzie musiał gnać z powrotem. Zostawił nadąsany komputer i wrócił do stołu, żeby podnieść się na duchu, czytając teksty na prawdziwym papierze, który wołał znacznie bardziej od ekranu.

PANA Serwis Telegraficzny (09/24/97)

W 1995 r. w Afryce, na południe od Sahary, według danych Światowej Organizacji Zdrowia, zanotowano największe na świecie skupisko nowych zachorowań na gruźlicę oraz wysoki współczynnik zachorowań na gruźlicę w połączeniu z HIV...

To już wiedziałem, dziękuję.

Tropikalne megalopolis staną się piekłem na Ziemi.

W miarę niszczenia ekosystemu Trzeciego Świata, nielegalnego wycinania lasów, zatruwania wody i gleby, rabunkowego wydobycia ropy naftowej, coraz więcej ludzi ze wsi musi migrować do miast w poszukiwaniu pracy i chleba. Specjaliści przewidują, że powstaną dziesiątki, a może nawet setki tropikalnych megalopolis, przyciągających do slumsów ogromne rzesze niewykwalifikowanej sity roboczej. Zaowocuje to bezprecedensowym tempem wzrostu zachorowań na takie zabójcze choroby, jak gruźlica...

Usłyszał odległe trąbienie autobusu.

- No, to spieprzyłeś sprawę — powiedział Guido z satysfakcją, kiedy Justin zaprowadził go na miejsce katastrofy. - Wszedłeś do jej skrzynki pocztowej?

Już siedział i klepał w klawiaturę.

- Oczywiście, że nie. Nie wiedziałbym jak. Co robisz?

- Czy dodałeś jakiś materiał i zapomniałeś go zachować?

- Nie. Ani jedno, ani drugie. Nie umiałbym.

- Więc to nic takiego. Niczego nie straciłeś - powiedział spokojnie Guido w swoim komputerowym żargonie i paroma delikatnymi kliknięciami przywrócił maszynę do życia.

- Możemy teraz podłączyć się do sieci? Proszę! - mówi błagalnie.

- A dlaczego mamy się podłączyć?

- Żeby odebrać jej pocztę! Setki ludzi przysyłało jej codziennie maile, a ty nie chcesz ich przeczytać. A co z tymi, którzy tobie chcieliby przysłać wyrazy sympatii? Nie chciałbyś wiedzieć, co powiedzieli? Tam są maile ode mnie, na które nigdy nie odpowiedziała! Może ich nawet nie przeczytała!

Guido niemal płacze. Justin bierze go łagodnie za ramię i sadza na stołku przed klawiaturą.

- Powiedz, na czym polega ryzyko - zaproponował. - Przedstaw najgorszą możliwość.

- Nie ryzykujemy niczym. Wszystko jest zachowane. To nie jest najgorszy przypadek. Robimy z tym komputerem najprostsze rzeczy. Jeśli nam się nie uda, zostanie tak, jak było. Zachowam wszystkie nowe maile. Pozostałe zachowała Tessa. Zaufaj mi.

Guido podłączył laptop do modemu i podał Justinowi końcówkę kabla.

- Weź kabel telefoniczny i podłącz to. Wtedy będziemy on-line.

Justin robi, co mu powiedziano. Guido naciska klawisze i czeka. Justin zagląda mu przez ramię. Hieroglify, okno, więcej hieroglifów. Przerwa na

modlitwę i kontemplację, a po niej wyskakuje informacja na cały ekran, podświetlona jak reklama, a Guido wydaje okrzyk wstępu.

STREFA NIEBEZPIECZNA!

TO OSTRZEŻENIE PRZED POWAŻNYM ZAGROŻENIEM ZDROWIA.

NIE KONTYNUOWAĆ. TESTY KLINICZNE UDOWODNIŁY, ŻE DALSZE POSZUKIWANIA MOGĄ SPOWODOWAĆ FATALNE EFEKTY UBOCZNE. DLA TWOJEGO BEZPIECZEŃSTWA I WYGODY OCZYSZCZONO TWARDY DYSK Z SUBSTANCJI TOKSYCZNYCH

Przez kilka sekund Justin łudził się, że to nic poważnego. W innych okolicznościach usiadłby do biurka i napisał gniewny list do producentów, protestując przeciwko ich obrazowemu stylowi. Z drugiej strony jednak, Guido już udowodnił, że tylko szczekają, ale nie gryzą. Właśnie miał zamiar wykrzyknąć coś w rodzaju:

- No nie, to znowu oni, doprawdy, są jakieś granice - ale zobaczył, że Guido opuścił głowę, jakby go ktoś uderzył, a jego odwrócone wnętrzem do góry dłonie zaczęły drżeć jak martwe pająki po obu stronach laptopa. Twarz znów śmiertelnie mu pobladła.

- Coś złego? - zapytał.

Nachylając się szybko do przodu jak pilot w obliczu katastrofy, Guido przedarł się za pomocą myszki i kursora przez procedury ratunkowe. Na próżno, bo znów się wyprostował, uderzył się dłońmi w czoło, zamknął oczy i jęknął przeraźliwie.

- Po prostu powiedz, co się stało - poprosił Justin. - To przecież nic takiego, Guido. Powiedz mi. - A kiedy Guido nie odpowiadał: - Wyłączyłeś to, prawda?

Guido pokiwał głową jak sparaliżowany.

- A teraz wyłączasz modem.

Jeszcze jedno kiwnięcie. Ten sam paraliż.

- Czemu to robisz?

- Włączam ponownie komputer.

- Co to znaczy?

- Czekamy minutkę.

- Po co?

- Może dwie.

- Co to da?

- Da mu czas, żeby zapomniał. Żeby się uspokoił. To nie jest naturalne, Justinie. Naprawdę bardzo źle się stało. - Wrócił do języka amerykańsko-komputerowego. - To nie jest banda społecznie niedostosowanych młodych ludzi, którzy robią to dla draki. Jacyś bardzo źli ludzie ci to zrobili, wierz mi.

- Komu to zrobili? Mnie czy Tessie?

Guido pokręcił głową.

- Wygląda na to, jakby ktoś nienawidził ciebie. - Ponownie włącza komputer, unosi się na stołku i głęboko wciąga powietrze, jakby wzdychał w odwrotną stronę. A Justin, szczęśliwy, widzi znajomy szereg szczęśliwych czarnych dzieci machających do niego z ekranu.

- Udało ci się! - krzyknął. - Jesteś geniuszem, Guido!

Ale gdy to mówi, zamiast dzieci pojawia się mała klepsydra nadziana na białą ukośną strzałkę. Potem to też znika, zostawiając tylko błękitno-czarną nieskończoność.

- Zabili go - szepcze Guido.

- Jak?

- Napuścili na ciebie pluskwę. Powiedzieli pluskwie, żeby wyczyściła dysk do czysta i zostawili dla ciebie wiadomość o tym, co zrobili.

- Więc to nie twoja wina - mówi poważnie Justin.

- Czy ona coś zapisywała?

- Przeczytałem wszystko, co wydrukowała.

- Nie mówię o drukowaniu! Czy robiła dyskietki?

- Nie możemy ich znaleźć. Myślimy, że mogła je zabrać na północ.

- Co to znaczy na północ? Dlaczego nie mailowała na północ? Dlaczego musiała je wieźć na północ? Nie rozumiem. Nie chwytam.

Justin przypomina sobie Hama i myśli o Guidzie. W komputerze Hama też jest wirus.

- Mówiłeś, że pisała do ciebie mnóstwo maili - mówi.

- Jeden, dwa tygodniowo. Jak w jednym tygodniu zapomniała, to dwa w następnym. - Mówi po włosku. Znów jest dzieckiem, równie zagubionym jak w dniu, kiedy znalazła go Tessa.

- Zglądałeś do swoich maili po jej śmierci?

Guido gwałtownie kręci głową, że nie. Tego nie był w stanie zrobić. Nie mógł.

- Może wrócimy do ciebie, do domu i sprawdzisz, co tam masz. Co ty na to? Nie będę przeszkadzał?

Jadąc pod górę, w stronę ciemniejącej linii drzew, Justin myślał wyłącznie o chłopcu. Guido był rannym przyjacielem, a jedynym celem Justina było dowieźć go bezpiecznie do domu, do jego matki, sprawić, żeby odzyskał spokój. Żeby przestał jęczeć i wydobrażał i znów był zdrowym, aroganckim dwunastoletnim geniuszem, a nie kaleką, którego życie skończyło się wraz ze śmiercią Tessy. A jeśli, jak podejrzewał, oni - kimkolwiek są - zrobili

/ . komputerem Guida to samo, co z komputerem Hama i Tessy, to Guido musi znaleźć jakąś pociechę i, o ile to możliwe, jakieś zajęcie dla myśli. To był teraz cel nadrzędny. Justin odłożył na bok inne sprawy i uczucia, bo zajmowanie się wszystkim naraz oznaczałoby anarchię. Musiałby zejść z obranej drogi racjonalnego dochodzenia prawdy, a dążenie do Tessy łatwo zamieniłoby się w dążenie do zemsty.

Zaparkował wóz i, zgodnie ze swoimi przemyśleniami, wziął Guida pod ramię. A Guido, co trochę zaskoczyło Justina, nie wyszarpnął ramienia. Matka Ciuida podała gulasz i świeżo upieczony chleb, z którego była dumna. Na nalegania Justina we dwóch usiedli do stołu. Jedli i chwalili gospodynię, która czujnie stała obok nich. Potem Guido przyniósł komputer z sypialni i przez jakiś czas nie włączali go do prądu, tylko siedzieli ramię w ramię i czytali opowiadki Tessy o sennych lwach, które widziała podczas swoich wypraw, o strasznie rozbrykanych słoniach, które usiadłyby na jej jeepie i zgmiotły go, gdyby im dała choćby najmniejszą szansę i o naprawę wielkich żyrafach, które dopóty nie będą szczęśliwe, dopóki nie popatrzy się z podziwem na ich wdzięczne szyje.

- Chcesz dyskietkę z jej mailami? - zapytał Guido, odgadując, że Justin coraz bardziej się niecierpliwi.

- To byłoby miłe z twojej strony - powiedział uprzejmie Justin. - Poproszę cię też, żebyś zrobił kopie swoich prac tak, żebym mógł je przeczytać w spokoju i napisać do ciebie: wypracowania, prace domowe i wszystko, co chciałbyś, żeby przeczytała Tessa.

Po odpowiedniej zmianie dysków Guido podłączył modem i zobaczyli piękne stado gazeli galopujące po ekranie, a potem ekran pociemniał. Guido usiłował wrócić do pulpitu, ale ochryplym głosem musiał przyznać, że dysk został wytarty do czysta, jak komputer Tessy, tylko że nie pozostawiono tej zwariowanej notki o testach klinicznych i toksyczności.

- A ona nie przysłała ci niczego, co miałbyś dla niej przechować? - zapytał Justin tonem, który zabrzmiał w jego uchu jak głos celnika.

Guido pokręcił głową

- Nic, co miałbyś komuś przekazać, nie korzystała z twojego pośrednictwa?

Znów pokręcenie głową.

- Więc co ważnego straciłeś?

- Tylko jej ostatnie listy - wyszeptał Guido.

- No, to jest nas dwóch. - Albo trzech, jeśli wziąć pod uwagę Hama, pomyślał. - Więc skoro ja potrafię sobie z tym poradzić, to ty tym bardziej, bo to przecież ja byłem jej mężem. Może to w jej komputerze była jakaś pluskwa, która zakaziła twój komputer. Czy to możliwe? Przesłała ci coś

przez pomyłkę. Tak? Nie wiem, o czym mówię? Ja poprostu zgaduję. Chodzi mi o to, że nigdy się pewnie tego nie dowiemy. Możemy sobie powiedzieć, że mamy pecha i żyć z tym dalej. Obaj. Prawda? A ty powiesz mi, czego ci potrzeba, żeby zebrać się do kupy. Tak? Zawiadomię o tym biuro w Mediolanie.

Przekonany, że Guido ma się już lepiej, Justin pożegnał się i wrócił do willi. Zaparkował jeepa tam, gdzie go znalazł, na podwórku, wziął laptop ze składu oliwy i poszedł na brzeg morza. Na rozmaitych kursach mówiono mu, a on skłonny był w to uwierzyć, że sprytni ludzie potrafią odzyskać tekst z komputerów na pozór wytartych do czysta. Ale takich ludzi można było znaleźć tylko po oficjalnej stronie życia, do której już nie należał. Przeszło mu przez myśl, żeby skontaktować się jakoś z Robem i Lesley i poprosić ich o pomoc, ale nie miał ochoty zwracać im głowy. A poza tym, tak z ręką na sercu, z tym komputerem wiązała się jakaś zmaza, coś obscenicznego, coś, czego chciał się pozbyć w fizycznym sensie tego słowa.

Wszedł zatem w świetle księżyca na chybotliwe molo i minął stary, cokolwiek historyczny napis, że kto pójdzie dalej, zrobi to na własne ryzyko. Gdy doszedł do końca pomostu, wrzucił jej zgwałcony laptop do morza, a potem wrócił do składu oliwy, żeby jeszcze przed świtem napisać, co mu leży na sercu.

Ham, mój drogi!

To pierwszy z długiej, mam nadzieję, serii moich listów do Twojej, tak uprzejmej ciotki. Nie chcę wpadać w rzewny ton, ale gdyby się okazało, że wpadłem pod autobus, chciałbym, żebyś osobiście przekazał te dokumenty najokrutniejszemu, najbardziej twardogłowemu przedstawicielowi Twojej profesji, żebyś zapłacił mu sowicie i niech lawina rusza. W ten sposób wyświadczymy przysługę Tessie.

Twój Justin.

15

Sandy Woodrow pozostał lojalnie w Wysokiej Komisji do późna w nocy i, dopóki nie zmogła go whisky, redagował, przeredagowywał, wyostrzał swoje wystąpienie na jutrzejsze zebranie pracowników kancelarii; obracał je na wszystkie strony z urzędową powagą. Czasem odzywała się w nim jego druga, nieoficjalna natura, przeciwwaga wszelkiej urzędowości, i wciągała

go bez ostrzeżenia w labirynt pełen wrzeszczących duchów, zmuszała, żeby przekrzykiwał ich oskarżycielskie wołania: nie istniejecie, jesteście serią przypadkowych epizodów; nie macie nic wspólnego z nagłym wyjazdem Portera Coleridge'a do Londynu razem z żoną i dzieckiem pod pretekstem, że musi wrócić do kraju, żeby znaleźć dla Rosie szkołę specjalną.

A czasem jego myśli uwalniały się, błędziły na własną rękę i wracały do niego z takimi wywrotowymi pomysłami, jak rozwód za obopólną zgodą i czy Ghita Pearson albo ta nowa dziewczyna Tara Jakaśtam z sekcji handlowej byłaby odpowiednią towarzyszką życia, a jeśli tak, to którą woleliby chłopcy. A może najlepiej wieść życie samotnika, marzyć o romansach, nie znajdować żadnego, patrzeć jak marzenia wymykają się z rąk. Kiedy jednak jechał do domu, znowu zobaczył siebie w roli lojalnego żywiciela rodziny i małżonka - owszem, nadal otwartego na propozycje, ale któryż mężczyzna nie jest? - ale ostatecznie przyzwoitego, oddanego, zrównoważonego żołnierskiego syna, w którym przed laty Gloria zakochała się bez pamięci. Kiedy więc wszedł do domu, był zaskoczony, by nie rzec urażony, że Gloria nie odgadła telepatycznie jego dobrych intencji i nie czekała na niego na dole, ale pozwoliła, żeby szukał jedzenia w lodówce. W końcu, do cholery, jestem p.o. wysokiego komisarza. Mam prawo do minimum szacunku, przynajmniej w moim własnym domu.

- Coś nowego w wiadomościach?! - krzyknął żalonym tonem do góry, zajądając samotnie zimną wołowinę.

Sufit jadalni wykonany z cienkiego betonu był jednocześnie podłogą ich sypialni.

- Niczego nie dowiedziałeś się w fabryce?! - rozdarła się Gloria.

- Nie przesiadujemy tam całymi dniami, słuchając radia - odparł Wo odrow, sugerując, że Gloria właśnie tak robi. Czekał z widelcem zawieszonym w pół drogi do ust.

- Zabili jeszcze dwóch białych farmerów w Zimbabwie, jeśli to jest wiadomość - stwierdziła Gloria po znaczącej chwili milczenia.

- O tym wiem! Przez cały dzień Pellegrin siedział nam na karku. Dlaczego nie możemy wyperswadować Moi, żeby przyhamował Mugabe? A dlatego, że nie jesteśmy w stanie wyperswadować Moi, żeby przyhamował Moi. - Czekał na jakieś: "kochane biedactwo", ale odpowiedzią była grobowa cisza.

- Nic więcej? - zapytał. - Nic więcej?

- A co miało być?

Co za diabeł opętał tę koszmarną babę? Dąsał się, nalewając sobie jeszcze jeden kieliszek bordeaux. Nigdy taka nie była. Odkąd jej owdowiały lowelas spakował manatki i wrócił do Anglii, objija się po domu jak chora

krowa. NLe chce ze mną, pić, nie chce ze mną jeść, nie chce spojrzeć mi w oczy. Innych rzeczy też nie chce robić, choć prawdę mówiąc, nigdy za tym nie przepadała. I o dziwo, prawie nie robi sobie makijażu.

Wszystko jedno, był zadowolony, że nie było żadnych wiadomości. Przynajmniej on coś wie, czego ona nie wie. Rzadko się zdarza, żeby Londyn utrzymał w tajemnicy sensacyjną wiadomość, bo zawsze znajdzie się jakiś idiota z departamentu informacji, który wyrwie się przed orkiestrę i wypa-ple wszystko dziennikarzom wbrew wcześniejszym ustaleniom. Gdyby powstrzymali się do jutra rana, miałby pole do działania, o to właśnie prosił Pellegrina.

- To kwestia moralna, Bernardzie - ostrzegł go, używając swojego najbardziej przekonującego wojskowego tonu. Parę osób tu, na miejscu, przyjęcie to bardzo źle. Chcę im to osobiście powiedzieć. Szczególnie teraz, kiedy nie ma Portera.

Zawsze dobrze przypomnieć, kto tu rządzi. Ostrożny, ale solidny, tego oczekują ci na górze. Lepiej nie robić problemu; niech Londyn sam zwróci uwagę, jak gładko przeprowadza się tutaj sprawy, gdy nie ma Portera, który kwękał nad każdym przecinkiem.

Bardzo męcząca sytuacja, wóz albo przewóz. Pewnie to ją dręczy. O sto metrów stąd znajduje się rezydencja wysokiego komisarza, umeblowana, gotowa na przyjęcie lokatora, daimler w garażu, ale flaga nie powiewa. Jest jeszcze Porter Coleridge, nasz nieobecny wysoki komisarz. I jestem ja, ma-lutki człowieczek odrabiający pańszczyznę za Coleridge'a i chyba lepiej to robię niż on i czekam dniami i nocą, żeby się dowiedzieć, czy skoro człapię w jego butach, mógłbym zacząć je nosić nie jako p.o., ale jako jego oficjalny, formalny, w pełni akredytowany następca z odpowiednimi insygniami władzy -rezydencją, daimlerem, prywatnym gabinetem, Mildrenem, dodatkowymi trzydziestoma pięcioma tysiącami funtów pensji i paroma oczkami bliżej tytułu szlacheckiego.

Ale jest pewien problem. Ministerstwo jest tradycyjnie niechętnie nastawione do awansowania człowieka *en poste*. Wolą najpierw odwołać go do domu i wyekspediować na nowe miejsce. Były, rzecz jasna, wyjątki, ale niezbyt wiele...

Jego myśli zwróciły się znów ku Glorii. "Lady Woodrow": to rozwiąza-łoby jej kłopoty. Nie może znaleźć sobie miejsca, o to chodzi. Żeby nie powiedzieć, że się rozleniwiała. Powiniennem zrobić jej jeszcze dwójkę dzieci, żeby miała się czym zajmować. Jak się tylko przeniesie do rezydencji, nie będzie się już nudzić. To pewne. Jeden wolny wieczór w tygodniu i to, jak będzie miała szczęście. I kłótniwa się zrobiła. W ubiegłym tygodniu była burzliwa awantura z Jurną i to o jakiś drobiazg, jakieś ozdóbki na parterze.

A w poniedziałek, choć nigdy nie sądził, że dożyje takiego dnia, wywołała rozróbą z tą dziwką nad dziwkami Eleną *casus belli* nieznaną.

- Chyba najwyższy czas, żebyśmy zaprosili El z małżonkiem na kolację, kochanie? - zaproponował rycersko. - Nie widzieliśmy się z nimi od miesięcy.

- Jak chcesz, to ich zaprosz - odparła chłodno, więc ich nie zaprosił.

Ale odczuł stratą. Gloria bez przyjaciółki była jak silnik bez kół zębanych. Fakt - niezwykle fakt - że zawarła coś w rodzaju zbrojnego zawieszenia broni z Ghitą Pearson, dziewczyną o oczach łani, nie pocieszał go ani trochę. Jeszcze kilka miesięcy temu Gloria pogardzała Ghitą.

- O czym rozmawiać z wykształconą w Anglii córką bramina, która mówi jak my, a ubiera się jak derwisz - powiedziała do Eleny w obecności Woodrowa. - A ta dziewczyna Quayle'a wywiera na nią zły wpływ.

Cóż, teraz dziewczyna Quayle'a nie żyła, a Elena wypadła z łask. A Ghita, która ubierała się jak derwisz, została wyznaczona, żeby zabrać Głorię na wycieczkę do slumsu Kibera i znaleźć jej pracę w charakterze ochotniczki w jednej z organizacji humanitarnych. I działo się to właśnie wtedy, gdy zachowanie Ghity przyprawiało Woodrowa o ból głowy.

Najpierw jej przedstawienie podczas pogrzebu. Co prawda nie ma przepisów regulujących zachowanie się na pogrzebach. Mimo to Woodrow uznał jej postawę za pobłażanie własnym kaprysom. Potem nastąpiło to, co nazywał okresem agresywnej żałoby. Chodziła po kancelarii jak upiór, w ogóle nie patrząc na niego, choć wcześniej uważał ją za, powiedzmy, kandydatką. Wreszcie w ostatni piątek, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia poprosiła o wolny dzień, chociaż jako nowy pracownik kancelarii - i najmłodszy - nie używała jeszcze do tego uprawnień. Mimo to z dobroci serca powiedział jej:

- No dobrze, Ghito, może być, ale nie zamęcz go. - Nic obraźliwego, ot, niewinny żarcik starszego żonatego mężczyzny wobec ślicznej młodej dziewczyny. Ale gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałby martwy u jej stóp.

No i co zrobiła z wolnym czasem, który jej dał - i nawet nie powiedziała, że ma go gdzieś? Poleciała wycarterowanym samolotem nad to cholerne jezioro Turkana wraz z tuzinem innych bab, członkiń klubu fanek Tessy Quayle, składała wieńce, biła w bąben i śpiewała w miejscu, gdzie zamordowano Tessę i Noaha! Woodrow dowiedział się o tym w poniedziałek przy śniadaniu, gdy otworzył "Nairobi Standard" i zobaczył jej zdjęcie. Stała między dwiema ogromnymi Afrykankami, które jak przez mgłą przypominał sobie z pogrzebu.

- Widzą, że Ghita Pearson dobrała się do ciebie - parsknął ironicznie, wręczając gazetą siedzącej po drugiej stronie stołu Glorii. - Na litość boską, czas najwyższy zostawić zmarłych w spokoju i nie wykopywać ich co chwilą. Myślałem, że robi to z nieodwzajemnionej miłości do Justina.

- Gdybyśmy nie mieli na obiedzie ambasadora Włoch, też bym poleciała z nimi - odparła Gloria głosem pełnym wyrzutu.

Światło w sypialni było wyłączone. Gloria udawała, że śpi.

- Więc może usiądziemy, proszę państwa?

Piętro wyżej huczał młot pneumatyczny. Woodrow wysłał Mildrena, żeby go uciszył, a sam ostentacyjnie zaczął przerzucać papiery na biurku. Huk ustał. Nie marnując czasu, rozejrzał się po sali, czy wszyscy już są, włączając w to zdyszanego Mildrena. Tym razem, wyjątkowo, poproszono o przybycie Tima Donohue i jego asystentkę Sheilę. Woodrow nalegał, żeby stawili się wszyscy. Stąd obecność attache wojskowego i Braneya Longa z wydziału handlowego. I biednej Sally Aitken, całej w rumieńcach, całej zająkanej, z ramienia Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa. Ghita, co zauważył, siedziała na swoim stałym miejscu w kącie, gdzie od śmierci Tessy robiła co w jej mocy, żeby pozostać niezauważoną. Ku jego irytacji nadal obnosiła się z czarną szarfą wokół szyi, przypominającą zabrudzony bandaż, którym owinięto szyję Tessy. Czy jej zerknięcia spod oka były pogardliwe czy zalotne? Jeśli chodzi o te eurazjatyckie ślicznotki, nigdy nie można być pewnym.

- Obawiam się, że mam coś niezbyt miłego do zakomunikowania - zaczęła lekko. - Barney, mógłbyś wziąć się do drzwi, jak to mówią w Ameryce. Nie przynoś ich do mnie. Wystarczy, że je zamkniesz.

Śmiech - ale pełen napięcia.

Przeszedł prosto do sedna sprawy, dokładnie tak, jak zaplanował. Chwytał byka za rogi - wszyscy jesteśmy zawodowcami - niezbędne jest cięcie chirurgiczne. Ale też jakieś ciche bohaterstwo w tym zastępowaniu wysokiego komisarza. Najpierw przeglądał notatki, potem stukał w nie tępym końcem ołówka i rozprostował plecy, zanim rozpoczął defiladę.

- Są dwie sprawy, o których dziś chcę wam powiedzieć. Pierwsza jest objęta embargiem, dopóki nie usłyszycie o niej w wiadomościach, brytyjskich albo kenijskich, nie wiem, kto pierwszy przerwie milczenie. Dziś o dwunastej zero zero kenijska policja wystawi nakaz aresztowania doktora Arnolda Bluhma za dokonanie umyślnego zabójstwa na Tessie Quayle i kierowcy Noahu. Kenijczycy są w kontakcie z rządem belgijskim i pracodawcy Bluhma zostaną powiadomieni o tym z wyprzedzeniem. My dowiedzieliśmy się wcześniej, ze względu na zaangażowanie Scotland Yardu, który przekaże dokumentację Interpolowi.

Po tym wybuchu zalega cisza, tylko gdzieś słychać skrzypienie krzesła. Żadnych protestów, żadnego zachłystywania się powietrzem ze zdu-

mienia. Tylko enigmatyczne spojrzenie Ghity, utkwione w nim wreszcie / . uwielbieniem - albo z nienawiścią.

- Wiem, że to dla was wstrząs, szczególnie dla tych, którzy znali i lubili Arnolda. Jeśli chcecie powiedzieć o tym swoim partnerom, macie na to moją zgodę. - Przelatujący przed oczami jak błyskawica obraz Glorii, która do śmierci Tessy pogardzała Bluhmem jako żigolakiem, któremu się powiodło, a teraz tajemniczo zaczęła się o niego zamartwiać. - Nie będę udawał, że jestem tym zachwycony - wyznał Woodrow, przybierając pełen troski i zrozumienia wyraz twarzy. - Będą, oczywiście, jak zwykle, powierzchowne komentarze prasy, dotyczące motywów. Stosunki między Tessą a Bluhmem będą rozgrzebywane w nieskończoność. A jeśli go kiedykolwiek złapią, nastąpi głośny proces. Cóż, z punktu widzenia misji dyplomatycznej jego kraju nie mogło być gorszej wiadomości. Na tym etapie nie dysponuję informacjami, dotyczącymi wartości materiału dowodowego. Powiedzieli mi, że to pewne na mur, ale jasne, że inaczej by nie powiedzieli. - To ostatnie powiedział ze szczyptą humoru. - Czy są pytania?

Nie było żadnych pytań. Wiadomość jakby odebrała ludziom mowę. Nawet Mildren, który wiedział o wszystkim od poprzedniego wieczoru, zdobył się tylko na podrapanie się po czubku nosa.

- Druga wiadomość nie pozostaje bez związku z pierwszą, ale jest delikatniejszej natury. Wasi partnerzy nie mogą zostać o tym poinformowani bez mojej zgody. Niższy personel zostanie o tym powiadomiony wybiórczo i fragmentarycznie, tylko w przypadkach gdy będzie to niezbędne, przeze mnie lub przez wysokiego komisarza kiedy - i o ile - wróci. Nie róbcie tego sami. Czy mówię jasno?

Mówił jasno. Tym razem jego słowom towarzyszyło potakiwanie, a nie tylko zdumione spojrzenia. Wszystkie oczy zwrócone były na niego, a Ghita nie odrywała od niego wzroku. "Mój Boże, załóżmy, że się zadurzyła we mnie: jak z tego wyjdę?" - myślał. "Oczywiście! To dlatego pogodziła się z Glorią! Najpierw polowała na Justina, a teraz na mnie! Nie spocznie, dopóki nie omota również jej!" Zebrał się w sobie i dokończył swoje wystąpienie.

- Jest mi niezmiernie przykro, że muszę was powiadomić o naszym do niedawna koledze. Justin Quayle odszedł od nas. Wiecie zapewne, że odmówił przyjęcia pomocy po przybyciu do Londynu, twierdząc że woli popłynąć własnym kajakiem i tak dalej. Po przylocie spotkał się jednak z kadrową, a tego samego dnia zjadł lunch z Pellegrinem. Oboje określili go jako wyczerpanego nerwowo, ponurego i wrogo nastawionego. Biedne chłopisko. Zaproponowano mu bezpieczne schronienie i pomoc psychologa, ale odmówił. Potem zniknął.

Tym razem Woodrow bardzo dyskretnie przyglądał się Donohue, a nie Ghicie. Oczywiście, z ostrożności, nie patrzył na żadne z nich bezpośrednio.

Ostentacyjnie zaglądał do notatek, a gdy podnosił wzrok, kierował go w przestrzeń. Ale naprawdę skupiony był na Donohue i coraz bardziej przekonywał się do myśli, że Donohue i jego kościata Sheila znów wcześniej wiedzieli o dezercji Justina.

- Tego samego dnia, gdy przybył do Wielkiej Brytanii — ściślej mówiąc, tej samej nocy - wysłał niezbyt szczery list do szefowej kadr, w którym powiadał ją, że bierze urlop, żeby uporządkować sprawy żony. Posłużył się zwykłą pocztą, co dało mu trzy dni przewagi. Zanim kadry zdołały położyć na nim ręką - dla jego własnego dobra, muszę dodać - zniknął. Po pewnych oznakach można sądzić, że świadomie podjął kroki, żeby się ukryć. Wyśledzono go na Elbie, gdzie Tessa miała posiadłość ziemską, ale wyjechał stamtąd, zanim ministerstwo zdołało do niego dotrzeć. Bóg wie dokąd, choć są pewne domysły. Oczywiście, nie złożył formalnego wniosku o urlop, a ministerstwo ze swojej strony energicznie się zastanawia, co zrobić, żeby pomóc mu stanąć na nogi - znaleźć mu jakieś zaciszne miejsce, gdzie przez rok, dwa mógłby leczyć rany. - Wzruszenie ramion mające znaczyć, że mało jest wdzięczności na tym świecie. - Cóż, cokolwiek teraz robi, robi to sam. I z pewnością nie robi tego dla nas.

Spojrzał ponuro na publiczność i wrócił do notatek.

- Jest w tym też kwestia dotycząca bezpieczeństwa, którą nie mogę, rzecz jasna, podzielić się z wami. Sprawia ona, że ministerstwo jest w dwójnasób zainteresowane tym, gdzie się teraz pojawi i co robi. Ministerstwo, podobnie jak my, jest poważnie zaniepokojone jego stanem. Kiedy był tutaj wykazał się wytrzymałością i samokontrolą, później, jak widać, pod wpływem cierpienia, rozkleił się całkowicie. - Przechodził do najtrudniejszej części, ale słuchacze byli już na nią przygotowani. - Dysponujemy różnymi opiniami ekspertów i żadna z nich, z naszego punktu widzenia, nie jest przyjemna.

Syn generała walecznie się nie poddawał.

- Jedną z możliwości jest - według mądrych głów, które badały sprawę - że Justin przeczy rzeczywistości, to znaczy że nie przyjmuje do wiadomości śmierci żony i wybrał się na jej poszukiwania. To bardzo bolesne, ale mówimy o logice czasowego obłądzenia. W każdym razie mamy nadzieję, że czasowego. Inna teoria, równie prawdopodobna lub nieprawdopodobna, mówi, że szuka Bluhma, żeby się zemścić. Zdaje się, że Pellegrinowi, przy jego najlepszych intencjach, wymknęło się, że Bluhm jest podejrzany o zamordowanie Tessy. Możliwe, że Justin przejął piłkę i toczy ją dalej. Smutne. Doprawdy, bardzo smutne.

Woodrow zawsze żywił jakieś wyobrażenie o sobie, teraz, na użytek chwili, widział się jako uosobienie smutku. To on uosabiał ludzką twarz opiekuńczej

brytyjskiej służby państwowej. Był rzymskim sędzią, nierychłym w sądach, jeszcze mniej rychłym w potępianiu. Był swoim chłopem na tym smutnym globie, który nie bał się trudnych decyzji, ale był zdecydowany uczynić najlepszy użytek ze swego sumienia. Podbudowany doskonałością wystąpienia, uznał, że może improwizować.

- Zdaje się, że ludzie znajdujący się w takim stanie jak Justin, często mają zakodowane w głowach rzeczy, z których nie zdają sobie sprawy. Tak jakby kierował nimi automatyczny pilot, czekający tylko na jakiś pretekst, żeby zrobić to, co i tak nieświadomie sobie planowali. Na przykład samobójstwo. Ktoś powie coś w żartach i... i trach, wyzwala reakcję.

Czy nie powiedział za dużo? Za mało? Czy nie odchodzi od sedna sprawy? Ghita patrzy na niego ponuro jak zła sybilla, a w żółtawych psich oczach Donohue jest coś, czego Woodrow nie potrafi odczytać. Pogarda? Złość? Czy tylko ten na stałe związany z nim nastrój, że ma inne cele, że przyszedł z innego miejsca i zaraz tam wróci?

- Obawiam się, że najbardziej prawdopodobną teorią dotyczącą tego, co Justin ma teraz w głowie - teorią, która najlepiej pasuje do znanych nam faktów i, muszę to powiedzieć, najbardziej odpowiada psychiatrom z ministerstwa - jest to, że Justin zaczął szukać spisku. To może być naprawdę ciężki przypadek. Jeśli nie potrafisz dać sobie rady z rzeczywistością, wydu-maj sobie spisek. Jeśli nie jesteś w stanie przyjąć, że twoja matka umarła na raka, zwał winę na lekarzy, którzy się nią opiekowali. I na chirurgów. I na anestezjologów. I na pielęgniarki. A wszyscy oni, oczywiście, byli ze sobą w zмовie. I wspólnie konspirowali, żeby się jej pozbyć. Zdaje się, że dokładnie to samo myśli Justin na temat Tessy. Tessa nie została po prostu zgwałcona i zamordowana. Tessa padła ofiarą międzynarodowej intrygi. Nie umarła dlatego, że była młoda, atrakcyjna i cholernie nie miała szczęścia, ale dlatego, że "Oni" chcieli jej śmierci. Kim byli "Oni" - obawiam się, że to już poszło wedle uznania. Może to być sprzedawca ze sklepu spożywczego, albo dama z Armii Zbawienia, która zadzwoniła do drzwi i wepchnęła wam egzemplarz ich pisemka. Wszyscy są w zмовie. Wszyscy spiskowali, żeby zabić Tesę.

Pelen zażenowania chichot. Czy powiedział za dużo, czy zdobył ich dla siebie? Pozbieraj się. Robisz się zbyt wylewny.

- W przypadku Justina mogli to być chłopcy Moiego, wielki biznes i Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a nawet my, zebrani w tym pokoju. Wszyscy jesteśmy wrogami, spiskowcami. A Justin jest jedynym człowiekiem, który o tym wie, co stanowi jeszcze jeden dowód jego paranoi. W oczach Justina ofiarą jest nie Tessa, ale on. Kim byliby wasi wrogowie, gdybyście znaleźli się na jego miejscu, zależałoby od tego, z kim jako z ostatnim

rozmawialiście, jakie książki i gazety ostatnio czytaliście, jakie filmy oglądaliście i jaki mieliście wtedy biorytm. Nawiasem mówiąc, powiedziano nam, że Justin dużo pije, co mu się nie zdarzało, kiedy był tutaj. Pellegrin powiedział, że lunch dla dwóch osób w jego klubie kosztował go miesięczne zarobki.

Znów nerwowy chichocik, roześmieli się wszyscy, poza Ghitą. Ślizgał się dalej, podziwiał pracę swoich nóg, wycinał figury na lodzie, okręcał się, śmigał. To jest to, czego we mnie nienawidzisz najbardziej, mówił do Tessy, gdy po kolejnym piruecie podjeżdżał do niej. "Ten głos zniszczył Anglię", mówiłaś mi żartobliwie, kiedy tańczyliśmy. "To jest głos, który zatopił tysiąc statków, a wszystkie należały do nas". Bardzo zabawne. W porządku, posłuchaj teraz tego głosu, dziewczyno. Słuchaj, jak niszczą dobre imię twojego byłego męża, co zawdzięczam uprzejmości Pellegrina i pięcioletniemu wypaczeniu umysłu w prawdomównym departamencie informacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Przez chwilę poczuł mdłości, bo też przez tę chwilę znienawidził nieczułą skorupę swojej pełnej paradoksów natury. To były mdłości, które mogłyby sprawić, że nagle wybiegnie z pokoju pod pretekstem, że musi odebrać pilny telefon, albo za potrzebą naturalną, tylko po to, żeby uciec przed sobą samym. Albo podejdzie niepewnym krokiem do swojego biurka, otworzy szufladę, wyciągnie kartkę z Materiałów Piśmiennych Jej Królewskiej Mości i wypełni tę pustkę w sobie deklaracjami uwielbienia i lekkomyślnymi przyrzeczeniami. Kto mi to uczynił? Zastanawiał się, nie przerywając wystąpienia. Kto uczynił mnie takim, jakim jestem? Anglia? Mój ojciec? Moje szkoły? Moja żalсна, wiecznie przerażona matka? A może siedemnaście lat kłamstw dla kraju? "Osiągnęliśmy wiek, Sandy", byłaś na tyle uprzejma, że zechciałaś mi to powiedzieć, "w którym nasze dzieciństwo nie jest już dla nas usprawiedliwieniem. Problem w twoim przypadku polega na tym, że ten wiek osiągniesz, gdy będziesz miał jakieś dziewięćdziesiąt pięć lat".

Walił dalej. Był znów błyskotliwy.

- Jaki spisek wymyślił sobie Justin - i jakie miejsce zajmujemy w nim my, pracownicy Wysokiej Komisji - czy jesteśmy w sojuszu z masonami, jezuitami, Ku-Klux-Klanem czy z Bankiem Światowym - co do tego nie mogę was oświecić. Ale mogę wam powiedzieć, że on czai się gdzieś w okolicy. Już posunął się do kilku poważnych insynuacji, a nadal budzi w ludziach zaufanie, jest bardzo przystojny - a czy kiedykolwiek nie był? I całkiem możliwe, że jutro albo za trzy miesiące skontaktuje się z nami. - Znów spoważniał. — W takim przypadku wszyscy - razem i z osobna - macie wykonać to, co wam powiem. Przepraszam, ale to nie jest prośba, Ghita, to bezpośrednie polecenie... bez względu na to, jakie życie osobiste uczucia dla

Justina... i wiercie mi, ja nie jestem wyjątkiem, to wspaniały, uprzejmy, wielkoduszny facet, wiemy o tym wszyscy... ale czy to będzie w dzień, czy w nocy... musicie mnie o tym zawiadomić. Albo Portera, kiedy wróci. Albo - spojrzenie w jego stronę - Mike'a Mildrena. - Prawie powiedział Mildred. - A jeśli to będzie w nocy, natychmiast powiadomcie dyżurnego Wysokiej Komisji. Zanim prasa, policja albo ktokolwiek inny dobierze się do niego - powiedzcie o tym nam.

Oczy Ghity, które po kryjomu obserwował, zdawały się ciemniejsze i bardziej rozmarzone niż zwykle, a Donohue chytrzejsze. Oczy kościstej Sheili były twarde jak diamenty i szeroko otwarte.

- Żeby łatwiej było o tym mówić oraz ze względów bezpieczeństwa, Londyn nadał Justinowi kryptonim Holender. Jak Latający Holender. Gdyby przypadkiem - to odległe przewidywania, ale mówimy o człowieku głęboko zaburzonym, dysponującym nieograniczonymi sumami - gdyby przypadkiem któreś z was się na niego natknęło - bezpośrednio, pośrednio, usłyszało coś, czy co tam jeszcze, albo jeśli już to miało miejsce - dla swego dobra, i dla naszego wspólnego dobra, niech podniesie słuchawkę telefonu i powie: "W sprawie Holendra, Holender robi to, czy tamto. Dostałem list od Holendra, właśnie dzwonił, faksował, przysłał maila, siedzi przede mną w fotelu". Czy to całkowicie jasne? Pytania? Tak, Barney?

- Powiedział pan o "poważnych insynuacjach". Kogo dotyczyły? Co insynuował?

To był niebezpieczny teren. Woodrow przedyskutował to obszernie z Pellegrinem, dzwoniąc do niego z kodującego rozmowy telefonu Portera Cole-ridge'a.

- Niewiele wiemy na ten temat. Ma obsesję na tle spraw związanych z farmaceutykami. O ile możemy to zrozumieć, przekonał siebie samego, że producenci pewnego konkretnego lekarstwa - i jego odkrywcy - byli odpowiedzialni za śmierć Tessy.

- Sądzi, że nie podcięto jej gardła? Widział jej ciało? - spytał Barney, pełen obrzydzenia.

- Sprawa lekarstwa ciągnie się od jej nieszczęsnego pobytu w tutejszym szpitalu. To zabiło jej dziecko. To był pierwszy strzał oddany przez spiskowców. Tessa składała skargi na producentów, więc producenci zabili ją także.

- Czy jest niebezpieczny? - Sheila od Donohue zadaje to pytanie prawdopodobnie dlatego, żeby pokazać wszystkim obecnym, że nie wie więcej od nich.

- Może być niebezpieczny. To wiedza, którą mam z Londynu. Jego podstawowym celem jest spółka farmaceutyczna, która wyprodukowała truciznę. Po niej idą naukowcy, którzy ją opracowali. Dalej ludzie, którzy ją

rozprowadzają, co w tym przypadku oznacza spółką w Nairobi, która to *spfi*h wadzą, czyli firmę ThreeBees, więc może powinniśmy ją ostrzec. - DOHohue ani drgnął. - I pozwólcie, że powtórzę: na pozór ma.my do czynienia z racjonalnie myślącym i opanowanym brytyjskim dyplomatą. Nie spodziewajcie się pomyleńca z włosami posypanymi popiołem, poplątanymi szelkami i pianą na ustach. Na zewnątrz to facet, którego wszyscy pamiętamy i kochamy. Gładki, dobrze ubrany, przystojny i przerażająco uprzejmy. Do momentu, gdy zacznie wywrzaskiwać wam w ucho o światowym spisku, który zabił mu dziecko i żonę. - Przerwa. Nuta osobista. Boże, ileż to mieści się w człowieku! - To tragedia, gorzej niż tragedia. Myślę, że wszyscy, którzy się z nim przyjaźnili, muszą to tak odczuwać. Ale właśnie dlatego muszę podnieść alarm. Zadnych sentymentów, proszę. Jeśli Holender wejdzie wam w drogę, musimy o tym natychmiast wiedzieć. Dziękuję. Jakież inne sprawy, skoro już tu jesteśmy? Tak, Ghito.

Jeśli Woodrowowi odszyfrowanie uczuć Ghity sprawiało trudności, teraz był bliższy stanu jej umysłu, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażał. Właśnie wstawała, choć wszyscy inni, nie wyłączając Woodrowa, siedzieli. Tyle tylko wiedziała. A wstała, żeby ją widziano, ale przede wszystkim dlatego, że nigdy w życiu nie słyszała takiego steku ohydnych kłamstw. I dlatego, że dosłownie nie była w stanie ich znieść na siedząco. Więc oto stała: na znak protestu, z wściekłości, przygotowując się do tego, że rzuci Woodrowowi w twarz, jakim jest kłamcą. I dlatego, że w swoim krótkim, pełnym niepokołów życiu nie spotkała lepszych ludzi niż Tessa, Arnold i Justin.

Tego Ghita była świadoma. Ale kiedy spojrzała przez pokój - ponad głowami attache wojskowego, attache handlowego i Mildrena, osobistego asystenta wysokiego komisarza, które wszystkie zwróciły się w jej stronę - i popatrzyła prosto w kłamliwe oczy Sandy'ego Woodrowa, zrozumiała, że musi znaleźć inny sposób.

Sposób Tessy. Nie z tchórzostwa, ale z rozsądku.

Rzucić Woodrowowi w twarz, że jest kłamcą, byłaby to chwila chwały, a po niej nastąpiłaby nieuchronnie dymisja. I co mogłaby udowodnić? Nic. Jego kłamstwa nie były zwyczajnym wymysłem. To po mistrzowsku ustawione soczewki, które zmieniały fakty w potworności, choć pozwalały je nadal widzieć jako fakty.

- Tak, Ghito, moja droga?

Głowę trzymał do tyłu, brwi miał uniesione, a usta w półotwarte jak chórzysta, jakby za chwilę miał wraz z nią zaśpiewać. Szybko odwróciła spojrzenie. Ta starcza twarz Donohue, wszystkie linie opuszczone. Siostra Maria

z klasztoru ma podobnego do niego psa. Policzki psa świętego Huberta nazywają się fafle, tak powiedział Justin. Grałam w badminton z Sheilą w ostatni wieczór i ona też na mnie patrzy. Ku swemu zaskoczeniu, Ghita usłyszała, jak zwraca się do zgromadzonych.

- Cóż, może to nie jest dobry czas na to, co chcę powiedzieć, Sandy. Może powinnam z tym poczekać parę dni - zaczęła. - Tyle się dzieje.

- Z czym poczekać? Nie denerwuj nas, Ghito.

- Nic takiego, Sandy, tylko są te pytania z World Food Programme. Dobiągają się coraz bardziej, żebyśmy im przysłali przedstawiciela z EADEC na następne zebranie grupy zajmującej się problemami kooperacji odbiorców.

To było kłamstwo. Skuteczne, efektywne, dające się zaakceptować kłamstwo. Jakimś oszukańczym cudem udało się jej wygrzebać z pamięci tę niezalatwioną sprawę i przedstawić ją jako rzecz pilną. Gdyby Woodrow zechciał obejrzeć dokumentację, nie miałyby najmniejszego pojęcia, co zrobić. Ale nie zechciał.

- Z czym, Ghito? - zapytał Woodrow, trzęsąc się ze śmiechu.

- To się nazywa także przyswajaniem pomocy humanitarnej, Sandy - odparła Ghita surowym tonem, odgrzebuując jeszcze jedno żargonowe pojęcie z pisemka obiegowego. - Jak społeczność lokalna, która otrzymała pokąźną pomoc żywnościową i medyczną, uczy się polegać na sobie, gdy agencje humanitarne wycofują się. O to w tym chodzi. Jakie środki ostrożności muszą przedsięwziąć ofiarodawcy, żeby byli pewni, że zaopatrzenie pozostanie w miejscu przeznaczenia i nikt go nie zagarnie. Z tą dyskusją związane są wielkie nadzieje.

- Cóż, to brzmi rozsądnie. Jak długo trwa to jamboree?

- Trzy doby, Sandy. Wtorek, środa i czwartek z możliwością przedłużenia. Ale problem polega na tym, że odkąd zabrakło Justina, nie mamy przedstawiciela EADEC.

- Więc zastanawiasz się, czy ty nie mogłabyś pojechać zamiast niego?! - krzyknął Woodrow, śmiejąc się ze zrozumieniem dla małych sztuczek pięknych kobietek. - Gdzie to ma się odbyć, Ghito? W Mieście Grzechu? - To była nazwa, którą ochrzcił kompleks budynków ONZ.

- W Lokichoggio - odparła Ghita.

Droga Ghito!

Nie miałem okazji, żeby Ci powiedzieć, jak bardzo Tessa kochała Cię i ceniła chwile, które spędzałyście razem. Ale to wiesz i tak. Dziękuję za wszystko, co jej ofiarowałaś.

Mam do Ciebie prośbę, ale to tylko prośba i proszę, nie zwracaj nią sobie głowy, chyba że będziesz miała na to ochotę. Jeśli kiedykolwiek podczas Twoich

podróży zdarzy Ci się przejeżdżać przez Lokichoggio, skontaktuj się, proszę, z Sudanką imieniem Sarah, która była przyjaciółką Tessy. Ona mówi po angielsku i była kimś w rodzaju służącej w angielskiej rodzinie?, gdy Wielka Brytania sprawowała władzę mandatową nad tymi ziemiemi. Może rzuci trochę światła na to, co skłoniło Tessę i Arnolda do wyjazdu do Laki. To tylko przeczucie, ale gdy o tym myślę, wydaje mi się, że wybierali się tam bardziej podniekcytowani, niż usprawiedliwiałby to udział w kursie świadomości płciowej dla sudańskich kobiet! Jeśli rzeczywiście tak było, Sarah powinna o tym wiedzieć.

Tessa prawie nie mogła zasnąć w nocy przed odjazdem i była wyjątkowo, nawet jak na nią, wylewna, gdy się żegnaliśmy - Owidiusz nazywa to "ostatnim pożegnaniem", choć, jak sadzę, żadne z nas nie wiedziało, że to rzeczywiście jest ostatnie pożegnanie. Podaję ci adres we Włoszech, gdzie możesz napisać, jeśli będziesz miała okazję. Ale, proszę, nie fatyguj się. Dziękuję raz jeszcze.

Z wyrazami sympatii, Justin.

Nie Holender. Justin.

16

Tustin przyjechał do małego miasteczka Bielefeld niedaleko Hanoweru po I dwóch nerwowych dniach spędzonych w pociągach. Zameldował się jako Atkinson w skromnym hotelu naprzeciwko stacji kolejowej, rozejrzał się po mieście i zjadł skromny posiłek. Jak się ściemni, wysłał list. Tak zachowują się szpiegzy, pomyślał, kiedy zbliżał się do nieoświetlonego narożnego domu. To ta czujność, do której wdrażają się od kołyski. Tak przechodzą przez ciemną ulicę, tak badają drzwi, tak skręcają za róg: czy na mnie czekacie? Czy widziałem cię już wcześniej? Wysłał list, dopiero gdy zdrowy rozsądek postawił go na nogi: zapomnij o szpiegach, idioto, mogłeś kazać doręczyć go taksówkarzowi. A teraz, w świetle dnia, gdy zbliżał się po raz drugi do narożnego domu, dręczył się innymi obawami: czy obserwują dom? Czy widzieli mnie ubiegłej nocy? Czy mają zamiar aresztować mnie, kiedy przyjadę? Czy ktoś zadzwonił do "Telegraph" i odkrył, że nie istnieję?

W czasie podróży pociągiem spał niewiele, a ostatniej nocy, w hotelu, w ogóle. Nie podróżował już z plikiem dokumentów ani z płóciennymi walizkami, laptopami i dodatkami do nich. To, co miało zostać zachowane,

powędrowało do ciotki Hama, smoka z Mediolanu. To, co nie miało - leżało na dnie, dwa sążnie pod powierzchnią Morza Śródziemnego. Uwolniony od ciężaru poruszał się z symboliczną lekkością. Jego twarz nabrała ostrzejszych rysów. W oczach płonął gorętszy ogień. Cieszył się, że misja Tessy stała się teraz jego misją.

Naróżny dom był to pięciopiętrowy niemiecki pałacyk z wieżyczkami. Parter pomazano w paski, które w świetle dnia ujawniły papuziozielony i pomarańczowy kolor. Ostatniej nocy, w świetle lamp jarzeniowych wyglądały jak mdłe, czarno-białe płomienie. Z pierwszego piętra szczyrzyło do niego zęby malowidło ścienne wesołych dzieci wszystkich ras, przypominające dzieci machające rękami z laptopa Tessy. Ich żywa replika widoczna była w oknie na parterze, siedziały wokół znękaney nauczycielki. W oknie ręcznie malowany napis pytał, jak rośnie czekolada, a obok znajdowały się stare pozwijane fotografie strączków kakao.

Justin, udając brak zainteresowania, najpierw przeszedł obok budynku, potem nagle skręcił w lewo i zaczął spacerować po chodniku, zatrzymując się, by przestudiować tabliczki z nazwiskami podrzędnych lekarzy i psychologów. "W cywilizowanym kraju nigdy nic nie wiadomo". Obok przejechał samochód policyjny, opony mlaskały w deszczu. Ci, którzy nim jechali -jedno z nich było kobietą- popatrzyli na niego bez wyrazu. Po drugiej stronie ulicy dwaj starzy mężczyźni w czarnych płaszczach przeciwdeszczowych i czarnych kapeluszach wyglądali, jakby czekali na pogrzeb. Okno za nimi zasłonięte było firankami. Trzy kobiety na rowerach zjeżdżały w jego stronę z góry. Graffiti na ścianach głosiło pochwałę sprawy palestyńskiej. Wrócił do malowanego pałacu i stanął przed drzwiami. Namalowany był na nich zielony hipopotam. Mniejszy zielony hipopotam wskazywał na dzwonek. Ozdobne wystające okno, jak dziób statku przyglądało mu się z góry. Tu stał ostatniej nocy, żeby wręczyć list. Kto wtedy patrzył na mnie? Znękana nauczycielka w oknie gestami pokazała, żeby skorzystał z drugich drzwi, ale były zamknięte i zablokowane sztabą. Gestami pokazał, że mu strasznie przykro.

- Powinni zostawić je otwarte - syknęła do niego, nieudobruchana, zdejmując sztaby i otwierając drzwi.

Justin przeprosił jeszcze raz i przeszedł ostrożnie między dziećmi, pozdrawiającymi go "gruess Dich" i "guten Tag", ale czujność zdążyła już postawić granice jego nieskończonej kiedyś uprzejmości. Wszedł na górę klatką schodową obok rowerów i wózka dziecięcego i wszedł do holu, który w jego nieufnych oczach wyglądał bardzo po spartańsku: dystrybutor z wodą do picia, fotokopiarka, nagie półki, stopy książek adresowych i kartonowych pudeł poukładanych na podłodze. Przez otwarte drzwi zobaczył młodą kobietę w okularach w rogowej oprawie i w golfie, siedzącą przed monitorem.

- Nazywam się Atkinson - odezwał się do niej po angielsku. - Peter Atkinson. Byłem umówiony z Birgit z Hippo.

- Dlaczego pan nie zadzwonił?

- Przyjechałem do miasta późno w nocy. Pomyślałem, że lepszy byłby liścik. Czy może mnie przyjąć?

- Nie wiem. Zapytam.

Poszedł za nią krótkim korytarzem do podwójnych drzwi. Otworzyła je pchnięciem.

- Twój dziennikarz jest tutaj - oznajmiła po niemiecku, jakby dziennikarz był synonimem nielegalnego kochanka, i wróciła do siebie.

Birgit była mała i sprężysta, miała różowe policzki, włosy blond i postawę radosnego pięściarza. Uśmiechała się chętnie, a jej uśmiech miał nieodpartą siłę. Jej biuro było równie spartańskie jak hol, panowała w nim ta sama atmosfera ascezy.

- O dziesiątej mamy konferencję - wyjaśniła lekko zadyszana, podając mu rękę. Mówiła angielskim ze swoich maili. Pozwolił jej na to. Pan Atkinson nie powinien narażać się na podejrzenia, mówiąc po niemiecku.

- Lubi pan herbatę?

- Dziękuję. Nie trzeba.

Przyciągnęła dwa krzesła do niskiego stolika i usiadła na jednym z nich.

- Jeśli chodzi o to włamanie, to naprawdę nie mamy nic do powiedzenia - ostrzegła go.

- Jakie włamanie?

- To nieważne. Zabrano parę rzeczy. Może mieliśmy za dużo. Teraz nie mamy.

- Kiedy to było?

Wzruszyła ramionami.

- Dawno. Tydzień temu.

Justin wyciągnął z kieszeni notatnik i, w stylu Lesley, otworzył go na kolanie.

- To o waszej pracy - powiedział. - Moja gazeta planuje serię artykułów na temat spółek farmaceutycznych i Trzeciego Świata. Nazywamy to "Kupcy medyczni". O tym, jak Trzeciemu Światowi brakuje siły nabywczej. O tym, jak w jednym miejscu jest dużo chorób, a w drugim dużo zysków. - Przygotowywał się do tego, żeby mówić jak dziennikarz, ale nie był pewien, czy mu się udaje. - Biedota nie może zapłacić, więc umiera. Jak długo jeszcze to będzie trwało? Wychodzi na to, że mamy środki, ale brakuje nam woli. Tego rodzaju sprawy.

Ku j ego zaskoczeniu uśmiechnęła się szeroko.

- Chce pan, żebyśmy odpowiedziała na te proste pytania przed dziesiątą?

- Gdyby pani mogła mi po prostu powiedzieć, co robi Hippo, a dokładnie - kto was finansuje i jaki macie zakres kompetencji - odparł bardzo poważnie.

Ona mówiła, a on zapisywał to w notatniku, trzymanym na kolanie. Ona wykonywała swój numer pokazowy, a on udawał, że z uwagą słucha i notuje. Myślał o tym, że ta kobieta była przyjaciółką i sojuszniczką Tessy, mimo że jej nie spotkała, a gdyby się spotkały, obie mogłyby pogratulować sobie wyboru. Myślał o tym, że powodów do włamania mogło być wiele, a jednym z nich było zapewne zainstalowanie urządzeń, które wytwarzają to, co Ministerstwo Spraw Zagranicznych lubi nazywać produktem specjalnym przeznaczonym tylko dla dojrzałych oczu. Znow przypominał sobie swój kurs zasad bezpieczeństwa i grupowe zwiedzanie makabrycznego laboratorium w piwnicy za Carlton Gardens, gdzie studenci mogli podziwiać najnowsze przytulne miejsca, które się wybiera, żeby zainstalować superminiaturowe urządzenia do podsłuchu. Precz z doniczkami, stojakami pod lampy, kasetonami sufitowymi, sztukaterią i ramami obrazów, niech żyją wszystkie miejsca, które podpowie wyobraźnia, począwszy od zszywacza na biurku Birgit, a skończywszy na jej kurtce wiszącej na drzwiach.

Napisał to, co chciał napisać, a ona najwidoczniej powiedziała to, co chciała powiedzieć, bo właśnie wstała i zerkała na plik ulotek na półce, szukając jakiejś lektury dodatkowej, którą mogłaby mu wręczyć, zanim pozbędzie się go ze swojego biura, żeby zdążyć na konferencję o dziesiątej.

Myszkując wzrokiem, jednocześnie mówiła trochę roztrzępym tonem o niemieckiej agencji państwowej do spraw lekarstw i nazwała ją papierowym tygrysem. A Światowa Organizacja Zdrowia dostaje pieniądze z Ameryki, dodała z pogardą- co znaczy, że faworyzuje wielkie korporacje, ubóstwia zysk i nie lubi radykalnych decyzji.

- Niech pan pójdzie na którekolwiek zgromadzenie WHO - i co pan zobaczy? - zapytała retorycznie, wręczając mu garść ulotek. - Lobbyistów. Piarowców z wielkich firm farmaceutycznych. Tuzinami. Z każdej wielkiej firmy trzech albo czterech. "Chodźmy na lunch. Niech pan przyjedzie na nasze weekendowe spotkanie integracyjne. Czytał pan ten cudowny artykuł profesora takiego a takiego?" A Trzeci Świat nie jest skomplikowany. Oni nie mają pieniędzy, brakuje im doświadczenia. Posługując się dyplomatycznym językiem i intrygami, lobbyści łatwo potrafią owinąć każdego wokół palca.

Przestała mówić i spojrzała na niego, marszcząc brwi. Justin trzymał uniesiony w rękach notatnik, żeby mogła przeczytać, co tam napisał. Trzymał go blisko twarzy, żeby mogła ją widzieć, kiedy będzie czytała; miał nadzieję, że jego twarz ma wyraz zarazem wytłumiony i dodający otuchy. Żeby

to wszystko podkreślić, podniósł ostrzegawczo palec wskazujący lewej, wolnej ręki.

Jestem mężem Tessy Quayle i nie mam zaufania do tych ścian. Czy możemy się spotkać o wpół do szóstej przed starym fortem?

Przeczytała wiadomość, popatrzyła mu w oczy, milczała nadal, wreszcie przerwał ciszą pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy.

- Więc mówi pani, że potrzebujemy jakiegoś niezależnego, ogólnostanowego gremium, które miałyby władzę nad tymi spółkami - zapytał z niezamierzoną agresją- i ukróciło ich wpływy?

- Tak - odparła, zachowując całkowity spokój. - Myślę, że to byłby doskonały pomysł.

Przeszedł obok kobiety w golfie i pomachał do niej serdecznie, co jego zdaniem było zachowaniem właściwym dla dziennikarza.

- Załatwione - powiedział. - Właśnie wychodzę. Dziękuję za współpracę. - Nie ma potrzeby, żeby dzwonić na policję i mówić im, że intruz wdarł się do posesji.

Przeszedł na paluszkach przez klasę i ponownie spróbował wyłudzić uśmiech od znikającej nauczycielki.

- Ostatni raz - obiecał, ale uśmiechnęły się tylko dzieci.

Na ulicy dwaj starzy mężczyźni w płaszczach przeciwdeszczowych i czarnych kapeluszach nadal czekali na pogrzeb. Przy krawężniku, w audi sedan siedziały dwie młode nachmurzone kobiety i studiowały mapę. Wrócił do hotelu i pod wpływem kaprysu zapytał w recepcji, czy jest dla niego jakaś poczta. Nie było. Gdy dotarł do swojego pokoju, wydarł obciążającą go kartkę z notatnika, a potem kartkę, która była pod spodem, bo odcisnęły się na niej litery. Spalił je w umywalce i włączył wentylację, żeby pozbyć się dymu. Leżał na łóżku, zastanawiając się, co robią szpiedzy, żeby zabić czas. Drzeżał, ale obudził go telefon. Podniósł słuchawkę i nie omieszkał powiedzieć: "Atkinson". To była recepcjonistka, powiedziała: "sprawdzam". Co takiego? Co sprawdza, na Boga? Ale szpiedzy nie zadają takich pytań. Nie chcą sprowadzać na siebie podejrzeń. Szpiedzy leżą na białych łóżkach w szarych miastach i czekają.

Stary fort w Bielefeld położony był na zielonym kopcu wśród zasnutych chmurami wzgórz. Parkingi, ławki piknikowe i ogrody miejskie rozciągały się pomiędzy porośniętymi bluszczem wałami obronnymi. W cieplejsze miesiące stanowił ulubione miejsce spacerów z wózkami dziecięcymi po wysa-

dzanych drzewami alejkach, do podziwiania regimentów kwiatów i spożywania popijanych piwem posiłków w restauracji Myśliwska. Ale w miesiącach osnutych szarością panowała tu atmosfera opuszczonego placu zabaw. Takie właśnie wywarł wrażenie na Justinie tego wieczora, kiedy zapłacił taksówkarzowi i wysiadł dwadzieścia minut przed umówionym czasem spotkania, żeby dokonać pobieżnego rozpoznania okolicy. Puste parkingi pokryte były kałużami. Przerdzewiałe tabliczki sterczące na podmokłych trawnikach ostrzegały go, żeby pilnował swoich psów. Z ławki pod blankami przyglądało mu się dwóch wyprostowanych weteranów w szalikach i płaszczach. Czy to byli ci sami dwaj starzy mężczyźni w czarnych kapeluszach, którzy rano czekali na pogrzeb? Dlaczego tak się na mnie gapią? Czy jestem Żydem? Czy jestem Polakiem? Ile czasu musi minąć, żeby Niemcy stały się po prostu jeszcze jednym nudnym europejskim krajem?

Do fortu prowadziła tylko jedna droga. Poszedł nią, uważając, żeby nie wpaść do rowów wypełnionych opadłymi liśćmi. Kiedy nadjedzie, zaczekam, aż zaparkuje, zanim z nią porozmawiam. Samochody też mają uszy. Ale pojazd Birgit nie miał uszu, bo był to rower. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak jakaś upiorna amazonka, popędzająca opornego rumaka pod górę. Plastikowa peleryna powiewała na wietrze. Fluoryzująca uprząż plecaczka przypominała znak noszony przez krzyżowca. Powoli jej postać nabierała ciała i nie była już ani uskrzydłym serafinem, ani gnającym bez tchu posłańcem z wiadomościami z pola bitwy, ale młodą matką w płaszczu przeciwdeszczowym jadącą na rowerze. Z płaszcza wystawała nie jedna, lecz dwie głowy. Druga należała do jej wesołego synka-blondaska przypiętego do krzeselka dla dzieci. Na niewprawne oko Justina chłopiec mógł mieć osiemnaście miesięcy w skali Richtera.

Ich widok był tak miły, tak absurdalny i tak niesamowity zarazem, że po raz pierwszy od śmierci Tessy wybuchnął autentycznym, gromkim, niepowstrzymanym śmiechem.

- No, jak mogłam na tak krótko znaleźć opiekunkę? - zapytała Birgit, urażona jego wesołością.

- Ależ nie musiała pani, wcale nie! To po prostu cudowne. Jak ma na imię?

- Karl. A pan?

"Karl przesyła Ci wyrazy miłości... Słoniowa ciężarówka, którą przysłałaś Skrzatowi sprawiła, że oszalał ze szczęścia... wierzę, że twoje dziecko będzie takie piękne, jak Karl".

Pokazał jej prawdziwy paszport. Sprawdziła nazwisko, wiek, fotografię, rzucając co chwila oceniające spojrzenia.

- Powiedziała jej pani, że jest "waghalsig" - oznajmił i obserwował, jak zmarszczenie brwi zmieniło się w uśmiech. Zdjęła pelerynę, zwinęła ją

i dała mu rower, żeby pottrzymał, bo musiała odpiąć Karla z krzeselka. Gdy już uwolniła Karla i postawiła go na drodze, rozpięła torbę na bagażniku i odwróciła się do Justina tyłem, żeby mógł wypakować plecak, który nosiła: flaszkę Karla, paczuszkę chrupkiego pieczywa, zapasowe pieluszki, dwie bagietki z serem i szynką, zawinięte w natuszczony papier.

- Jadłeś już dziś, Justinie?

- Niewiele.

- *So*. Więc możemy zjeść. Potem nie będziemy tacy nerwowi. *Carlchen, du machts dass bitte nicht*. Możemy się przejść. Karl uwielbia chodzić.

Nerwowi? Kto tu jest nerwowy? Udając, że studiuje nabrzmiałe deszczem chmury, Justin powoli okręcił się na pięcie z zadartą głową. Nadal tu byli, dwaj starzy wartownicy siedzący na baczność.

- Właściwie nie wiem, ile materiału zginęło - poskarżył się Justin, kiedy opowiedział jej historię laptopa Tessy. - Odniosłem wrażenie, że było tam znacznie więcej korespondencji pomiędzy wami, której nie wydrukowała.

- Nie czytałeś o Emrich?

- Że wyemigrowała do Kanady. Ale że nadal pracowała dla KVH.

- Nie wiesz, co z nią teraz jest-jaki ma problem?

- Pokłóciła się z Kovacs.

- Kovacs to nic. Emrich pokłóciła się z KVH.

- A o co?

- O dypraxę. Uważa, że rozpoznała pewne bardzo negatywne efekty uboczne. KVH uważa, że nie.

- Co zrobili w tej sprawie? - zapytał Justin.

- Jak do tej pory tylko zrujnowali jej dobre imię i karierę.

- To wszystko?

- To wszystko.

Przez chwilę szli nic nie mówiąc, a Karl buszował przed nimi, nurkował w poszukiwaniu gnijących kasztanów i trzeba było go powstrzymywać, żeby nie wkladał ich do buzi. Wieczorna mgła rozpostarła się na łagodnych pagórkach jak morze, a ich zaokrąglone wierzchołki wystawały z niej na podobieństwo wysp.

- Kiedy to się stało?

- To nadal się dzieje. Została wyrzucona z KVH, potem senat wyrzucił ją z Uniwersytetu Dawesa w Saskatchewan, a potem kierownictwo szpitala przy Uniwersytecie Dawesa. Usiłowała opublikować w piśmie medycznym

artykuł dotyczący jej wniosków na temat dypraxy, ale jej kontrakt z KVH /uwierał klauzulę poufności, więc ją naskarżyli i naskarżyli czasopismo. Nie ukazał się ani jeden egzemplarz.

Zaskarżyli. Nie naskarżyli. Zaskarżyli.

Wszystko jedno.

Powiedziałaś o tym Tessie? Musiała być wstrząśnięta.

- Jasne. Powiedziałam.

- Kiedy?

Birgit wzruszyła ramionami.

- Może trzy tygodnie temu. Może dwa. Nasza korespondencja też zniknęła.

- Włamali ci się do komputera?

- Został skradziony podczas włamania. Nie przesyłałam jej listów i nie drukowałam ich. *So*.

So, zgodził się po cichu Justin.

- Masz pomysł, kto mógł to zabrać?

- Nikt nie zabrał. Z korporacjami jest tak zawsze - to nikt. Wielki boss wzywa mniejszego bossa, mniejszy boss wzywa przybocznego, przyboczny rozmawia z szefem ochrony korporacji, który rozmawia z zastępcą, który rozmawia ze swoimi przyjaciółmi, którzy rozmawiają z ich przyjaciółmi. I zrobione. Nie przez bossa, nie przez mniejszego bossa ani przez przybocznego, ani przez zastępcę. Ani przez korporację. Właściwie to przez nikogo. Ale jest zrobione. Nie ma papierów, nie ma czeków, nie ma kontraktów. Nikt nic nie wie. Nikogo przy tym nie było. Ale jest zrobione.

- A co na to policja?

- O, nasza policja jest bardzo zajęta. Jeśli straciliście komputer, zawiadomcie towarzystwo ubezpieczeniowe, kupcie sobie nowy i nie zwracajcie głowy policji. Czy spotkałeś Wanę?

- Tylko w szpitalu. Była już bardzo chora. Czy Tessa pisała do ciebie o Wanie?

- Że została otruta. Że Lorbeer i Kovacs przyszli ją odwiedzić w szpitalu i że dziecko Wany przeżyło, ale Wanzanie. Że lekarstwo ją zabiło. Ale może kombinacja lekarstw. Może była za chuda, miała za mało ciała, żeby poradzić sobie z tym lekiem. Może, gdyby dali jej mniej, to by żyła. Może KVH chce określić farmakokinetykę, zanim będzie dystrybuować dypraxę w Ameryce.

- Teresa tak powiedziała?

- Jasne. "Wana to jeszcze jeden królik doświadczalny. Kochałam ją, oni ją zabili". Tessa.

Justin już zaczął protestować.

Na litość boską, Birgit, a co z Emrich? Jeśli Emrich jako jedna z osób, które stworzyły to lekarstwo, stwierdziła, że jest niebezpieczne, to z pewnością...

Birgit ucięła sprawę krótko.

- EnarLch przesadza. Zapytaj Kovacs. Zapytaj KVH. Wkład Lary Emrich w stworzenie cząsteczki dypraxy był minimalny. To Kovacs była geniuszem, a Emrich jej pomocą laboratoryjną, Lorbeer był ich złym duchem. Oczywiście, znaczenie Emrich wzrosło, bo była kochanką Lorbeera.

- Gdzie teraz jest Lorbeer?

- Nie wiadomo. Emrich nie wie, KVH nie wie - mówi, że nie wie - rozpląnął się pięć miesięcy temu. Może jego też zabili.

- Gdzie jest Kovacs?

- Podróżuje. Tak dużo podróżuje, że KVH nie jest w stanie nam powiedzieć, gdzie jest ani gdzie będzie. W ostatnim tygodniu była na Haiti, trzy tygodnie temu w Buenos Aires albo w Timbuktu. Ale gdzie będzie jutro albo za tydzień - to tajemnica. Jej adres domowy jest, naturalnie, poufny, telefon także.

Karl zgłodniał. Dopiero co spokojnie ciągnął gałązkę przez kałużę, a teraz zaczął wyc jak potępieniec, żeby dać mu jeść. Usiedli na ławce i Birgit zaczęła go karmić z butelki.

- Gdyby nie ty, sam by się nakarmił - powiedziała z dumą. - Szedłby jak pijaczek z butelką przy ustach. Ale teraz tu jest wujek, więc chce przyciągnąć twoją uwagę. - Coś w tym, co powiedziała, przypomniało jej o tragedii Justina. - Tak mi przykro, Justinie - mruknęła. - Nie wiem, jak to powiedzieć. - Ale wypowiedziała to tak szybko i cicho, że przynajmniej raz nie musiał odpowiadać, że "dziękuje", że "tak, to straszne", albo że "tak, jesteś bardzo uprzejma", ani niczego równie mało znaczącego, czego nauczył się na pamięć, gdyż musiał tak odpowiadać ludziom, którzy czuli się zobowiązani, żeby wyrazić to, co nie da się wyrazić słowami.

Znów spacerowali i Birgit opowiedziała mu o włamaniu.

- Przyszłam do biura rano - mój kolega Ronald jest na konferencji w Rio. Drzwi są zamknięte, muszę je otworzyć, jak zwykle. Z początku niczego dziwnego nie widzę. W tym problem. Co to za włamywacz, który zamyka za sobą drzwi, kiedy wychodzi? Policja też nas o to pytała. Ale nasze drzwi były zamknięte, bez cienia wątpliwości. Biuro nie jest zbyt porządnie utrzymane, ale to normalne. W Hippo każdy sprząta własny pokój. Nie stać nas na sprzątaczkę, a czasem jesteśmy zbyt zajęci albo za leniwi, żeby posprzątać po sobie.

Trzy kobiety na rowerach przejechały uroczyście obok, okrążyły parking i wróciły, przecinając im drogę, gdy schodzili ze wzgórza.

- Idę, żeby sprawdzić telefon. Mamy w "Hippo" automatyczną sekretarkę. Zwyczajna, za sto marek, ale sto marek to zawsze sto marek, a nikt jej

nie zabrał. Mamy korespondentów na całym świecie, więc musi być automatyczna sekretarka. Brakowało taśmy. O cholera, pomyślałam, kto zabrał tę głupią taśmę? Poszłam do innego pokoju, żeby poszukać nowej. Komputera nie ma. O cholera, myślę sobie, co za idiota przesunął komputer i gdzie go postawił? To duży komputer, na dwóch konsolach, ale można go przesunąć, bo ma koła. Mamy u nas nową dziewczynę, prawniczkę-stażystkę, fantastyczna dziewczyna, ale nowa. "Beate, kochana", mówię, "gdzie do diabła jest nasz komputer?" I zaczynamy szukać. Komputer. Taśmy. Dyskietki. Papiery. Teczki. Nie ma, a drzwi zamknięte. Nie wzięli niczego innego, co miałyby jakąś wartość. Ani pieniędzy ze szkatułki, ani ekspresu do kawy, ani radia, ani telewizora, ani magnetofonu. To nie narkomani. To nie zawodowi złodzieje. A dla policji to nie przestępcy. Dlaczego przestępcy mieliby zamykać drzwi? Może ty wiesz dlaczego?

- Żeby nam dać do zrozumienia - odparł Justin po długiej pauzie.

- Słucham? Co nam dać do zrozumienia? Nie rozumiem.

- Za Tessą też zamknęli drzwi.

- Jakie drzwi?

- Jeepa. Kiedy ją zabili. Zamknęli drzwi jeepa tak, żeby hieny nie wyciągnęły ciała.

- Dlaczego?

- Dają nam tym samym do zrozumienia, że powinniśmy się bać. Podobną wiadomość zostawili w laptopie Tessy. Dla niej albo dla mnie. "Miej się na baczności. Nie kontynuuj tego, co zacząłeś". Jej grozili śmiercią. Dowiedziałem się o tym zaledwie kilka dni temu. Nie mówiła mi o tym.

- Była dzielna - stwierdziła Birgit.

Przypomniała sobie o bagietkach. Usiedli na ławce i zjedli je, a Karl tymczasem żuł sucharek i podśpiewywał. Dwóch starych wartowników przemaszerowało obok nich i skierowało się w dół wzgórza.

- Czy w tym, co zabrali, był jakiś porządek? Czy brali wszystko hurtem?

- Hurtem. Ale była i metoda. Roland twierdzi, że nie, ale Roland jest luzakiem. Zawsze jest na luzie, jak atleta, któremu serce bije o połowę wolniej niż normalnie i dzięki temu może biegać szybciej niż inni ludzie. Ale tylko wtedy, kiedy sam tego chce. Kiedy widzi powód, żeby biec, wtedy biegnie. Jeśli niczego nie da się zrobić, zostaje w łóżku.

- Więc jaka była ta metoda?

Spostrzegł, że Birgit marszczy brwi jak Tessa. To mina wyrażająca zawodową dyskrecję. Podobnie jak w rozmowach z Tessą i teraz nie próbował przerwać ciszy.

- Jak przetłumaczyć "waghalsig"? - zapytała po chwili.

- O ile pamiętam, "Lekkomyślna". Może "śmiała". A co?

- Zatem ja też byłam "waghalsig" - powiedziała Birgit.

Karl zażyczył sobie, żeby go niesiono, co - jak powiedziała - było rzeczą niesłychaną. Justin zaproponował, że go weźmie. Chwilę trwało, zanim odpięła plecak i wydłużyła paski, a kiedy stwierdziła, że będą pasować, włożyła Karla do środka i upomniała go, żeby był grzeczny, kiedy nowy wujek będzie go niósł.

- Byłam gorzej niż "waghalsig". Byłam kompletną idiotką. - Przygryzła wargę z nienawiści do siebie za to, co będzie musiała powiedzieć. - Dostarczono nam list. W ubiegłym tygodniu. W czwartek. Przyszedł pocztą kurierską z Nairobi. Nie list, lecz dokument. Siedemdziesiąt stron. O dypraxie. Jej historia, aspekty, działanie uboczne. Plusy i minusy, ale głównie minusy, jeśli wziąć pod uwagę zgony i efekty uboczne. Nie był podpisany. Był obiektywny z naukowego punktu widzenia, ale z innych punktów widzenia trochę zwariowany. Zaadresowany do Hippo, a nie do kogoś konkretnego. Po prostu Hippo. Do Szanownych Państwa z Hippo.

- Po angielsku?

- Po angielsku, ale nie pisał go Anglik. Tak mi się wydaje. Na maszynie, więc nie mamy próbek pisma ręcznego. Było w nim wiele odniesień do Boga. Jesteś religijny?

- Nie.

- Ale Lorbeer jest religijny.

Mzawka od czasu do czasu przechodziła w deszcz. Birgit siedziała na ławce. Poszli na podwyższenie, gdzie stały huśtawki dla dzieci z ławeczkami zaopatrzonymi w poprzeczki dla bezpieczeństwa. Trzeba było posadzić Karla na jednej z nich i rozhuścić go. Walczył ze snem. Zawładnęło nim puszyste jak kot uczucie. Oczy miał na pół przymknięte i uśmiechał się, gdy Justin popychał huśtawkę z obsesyjną ostrożnością. Na wzgórzu powoli wjechał biały mercedes z hamburską rejestracją, przejechał obok nich, zrobił kółko po zalanym deszczem parkingu i powoli wrócił. Kierowca, z tyłu jeden pasażer. Justin przypomniał sobie dwie kobiety w zaparkowanym audi, gdy wyszedł na ulicę. Mercedes zjeżdżał ze wzgórza.

- Tessa mówiła, że znasz wszystkie języki - powiedziała Birgit.

- Ale to nie znaczy, że mam w nich coś do powiedzenia. Dlaczego byłaś "waghalsig"?

- Możesz powiedzieć, że byłam głupia.

- Dlaczego głupia?

- Byłam głupia, bo kiedy kurier doręczył dokument z Nairobi, zadzwoniłam do Lary Emrich, do Saskatchewan i powiedziałam jej: "Lara, kochana,

śluchaj, dostaliśmy długą, anonimową, bardzo mistyczną, bardzo szaloną, bardzo autentyczną historię dypraxy, bez adresu, bez daty, myślę, że napisał ją Markus Lorbeer. Mowa w niej o zgonach wywołanych połączeniem lekarstw i to bardzo pomoże twojej sprawie". Byłam taka szczęśliwa, bo dokument miał w tytule jej nazwisko. Był zatytułowany "Doktor Lara Emrich ma rację". "To szaleństwo", powiedziałam jej, "ale jest zażarty jak wystąpienie polityczne. Jest też bardzo polemiczny, religijny, i niszczący dla Lorbeera". "Wiec na pewno napisał to Lorbeer", ona na to. "Markus uprawia samobiczowanie. To normalne".

- Spotkałaś się z doktor Emrich? Znasz ją?

- Tak, jak Tessę. Przez e-maile. Wiec jesteśmy e-przyjaciółkami. W tych papierach jest, że Lorbeer sześć lat spędził w Rosji, dwa lata pod starym komunizmem, cztery pod nowym chaosem. Powiedziałam o tym Larze, ale to nie było dla niej nowością. Według listu, Lorbeer był agentem pewnej zachodniej firmy farmaceutycznej, lobbującym na jej rzecz u rosyjskich urzędników, zajmujących się służbą zdrowia. Sprzedawał im zachodnie lekarstwa. To też jej powiedziałam. Według listu, w ciągu sześciu lat miał do czynienia z ośmioma różnymi ministrami zdrowia. W liście było powiedzenie, odnoszące się do tego okresu i już miałam je przytoczyć, kiedy Lara mi przerwała i powiedziała sama, słowo w słowo to samo, co w liście: "rosyjski minister zdrowia przyjeżdża łądą, a wyjeżdża mercedesem". Powiedziała mi, że to ulubiony dowcip Lorbeera. To nas upewniło, że autorem tekstu jest właśnie Lorbeer i że to jego masochistyczna spowiedź. Od Lary dowiedziałam się też, że ojciec Lorbeera był niemieckim luteraninem, bardzo surowym, bardzo niechętnym chorobliwym koncepcjom religijnym syna i jego pragnieniu zwierzeń. Znasz się na medycynie? Na chemii? Może trochę na biologii?

- Odebrałem nieco zbyt kosztowne wykształcenie, żebym miał się na tym znać.

- Lorbeer utrzymuje w swoim wyznaniu, że kiedy pracował dla KVH, uzyskiwał urzędowe atesty dypraxy dzięki pochlebstwom i łapówkom. Opisuje, jak kupował urzędników, jak załatwiał szybkie testy kliniczne, jak opłacał wpisanie do rejestru leków i zezwolenia na import i jak smarował łapę biurokratów w tym łańcuchu pokarmowym.: W Moskwie atest można uzyskać od opiniotwórczych członków społeczności medycznej za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Tak napisał. Problem polega na tym, że jak przekupisz jednego, musisz przekupić też tych, których sobie nie wybrałeś, bo inaczej oczernią lek z zazdrości albo z zemsty. W Polsce jest tak samo, tylko że taniej. W Niemczech wpływy wywiera się subtelniej, ale nie za bardzo. Lorbeer pisze o tym, jak wyczarterował jumbo-jeta na koszt KVH i urządził wycieczkę dla osiemdziesięciu wybitnych lekarzy do Tajlandii w celach edukacyjnych.

— Uśmiechała się, kiedy o tym mówiła. - Edukacja polegała na oglądaniu filmów i czytaniu książek podczas podróży, a także na konsumpcji kawioru, bardzo starej whisky i koniaków. Wszystko musiało być najlepszej jakości, pisze, bo dobrzy doktorkowie z Kiemiec byli już rozpieszczeni. Szampan ich nie interesował. W Tajlandii lekarze mogli robić, co chcieli, ale dla tych, którzy wyrazili takie życzenie, zorganizowano wypoczynek, a także atrakcyjne partnerki. Lorbeer osobiście załatwił helikopter, z którego zrzucono orchidee na pewną plażę, gdzie lekarze relaksowali się ze swoimi damami. W czasie lotu powrotnego nie trzeba się już było edukować. Lekarze byli już wyedukowani. Jedyne, o czym mieli pamiętać, to jak pisać recepty i uczone artykuły.

Śmiała się, ale ta historia nie dawała jej spokoju. Spróbowała zmienić jej wymowę.

- To nie znaczy, że dypraxa jest złym lekiem, Justinie. Dypraxa jest bardzo dobrym lekarstwem, które nie zostało zbadane do końca. Nie wszystkich lekarzy da się kupić, nie wszystkie spółki farmaceutyczne są zachłanne i bezwzględne.

Przerwała, bo uświadomiła sobie sprawę, że mówi za długo, ale Justin nie nie powiedział.

- Nowoczesny przemysł farmaceutyczny ma dopiero sześćdziesiąt pięć lat. Pracują w nim porządni ludzie, dokonał cudów na niwie humanitarnej i społecznej, ale nie rozwinął kolektywnego sumienia. Lorbeer pisze, że spółki odwróciły się do Boga plecami. Robi wiele odniesień do Biblii, których nie rozumiem. Może dlatego, że nie rozumiem Boga.

Karl usnął na huśtawce, więc Justin zdjął go z ławeczki i z ręką na jego rozgrzanych plecach zaczął przechadzać się tam i z powrotem po asfalcie.

- Mówiłaś, że zadzwoniłaś do Lary Emrich - przypomniał Birgit.

- Tak, ale celowo zmieniłam temat, bo mi wstyd, że byłam taka głupia. Wygodnie ci, a może go wezmę?

- Nie trzeba.

Biały mercedes zatrzymał się u stóp pagórka. Dwaj mężczyźni siedzieli w nim przez cały czas.

- Przed laty przyjęliśmy w Hippo za pewnik, że nasze telefony są na podsłuchu, nawet byliśmy z tego dumni. Od czasu do czasu cenzurują naszą pocztę elektroniczną. Wysyłamy do siebie listy i obserwujemy, jak przychodzą z opóźnieniem i zmienione. Często wyobrażaliśmy sobie, że podrzucamy fałszywą informację Organom.

- Komu?

- To słowo Lary. Rosyjskie słowo z czasów sowieckich. Oznacza organy państwowe.

- Natychmiast włączam je do swojego słownika.

- Więc możliwe, że organy podsłuchiwały nas, śmiały się i rechotały w telefonie, kiedy obiecałam Larze, że natychmiast wyślę do Kanady kopie dokumentu. Niestety, Lara powiedziała, że nie ma faksu, bo wydała pieniądze na prawników, a na teren szpitala nie wolno jej wchodzić. Gdyby miała faks, może dziś nie byłoby problemu. Miałaby egzemplarz wyznań Lorberera, nawet gdybyśmy my go mieli. Wszystko byłoby uratowane. Może. Wszystko być może. Nic nie jest pewne.

- A co z mailem?

- Maila też nie ma. Jej komputer doznał zawału dzień po tym, jak spróbowała opublikować swój artykuł i do tej pory nie wrócił do sił.

Siedziała wściekła, zaróżowiona i spokojna.

- A potem?

- A potem już nie mieliśmy tego dokumentu. Ukradli go, razem z komputerem, teczkami i taśmami. Telefonowałam do Lary o piątej wieczór czasu niemieckiego. Skończyłyśmy rozmawiać może o piątej czterdzieści. Była wzruszona, bardzo szczęśliwa. Ja też. "Poczekajmy, aż Kovacs dowie się o tym", powtarzała. Rozmawialiśmy długo, śmiałyśmy się, a ja pomyślałam, że zrobię kopię wyznań Lorberera dopiero następnego dnia. Włożyłam dokumenty do sejfu i zamknęłam go. Włamywacze mieli klucz. Zamknęli sejf, po opróżnieniu go, tak jak zamknęli drzwi, kiedy opuszczali lokal. Kiedy się o tym pomyśli, sprawa wydaje się oczywista. Co robi olbrzym, kiedy chce mieć klucz? Mówi swoim ludziom, żeby sprawdziły, jaki rodzaj sejfu mamy, telefonuje do innego olbrzymia, który wytwarza takie sejfy, i prosi go, żeby jego ludzie dorobiły klucz. W świecie olbrzymów to normalne.

Biały mercedes nie odjeżdżał. Może i to było normalne.

Znaleźli schronienie pod blaszanym daszkiem. Rzędy poskładanych leżaków stoją po obu ich stronach skute łańcuchem jak więźniowie. Deszcz bębni o blaszany dach i spływa strumyczkami pod stopy. Karl wrócił do matki. Śpi na jej piersi z głową wtuloną w ramiona. Rozłożyła parasol i trzyma go nad nim. Justin siedzi na ławce, w pewnej odległości od nich, ręce ma złączone między kolanami jak do modlitwy, a głowę schyloną. To mnie właśnie najbardziej uraziło w śmierci Gartha, wspomina. Garth pozbawił mnie dalszej edukacji.

- Lorbeer pisał roman - mówi Brigit.

- Powieść.

- "Roman" to powieść?

- Tak.

- Więc ta powieść ma *happy end* na samym początku. Są dwie piękne lekarki i nazywają się Emrich i Kovacs, stażystki na uniwersytecie w Lipsku, we Wschodnich Niemczech. Uniwersytet ma wielki szpital. Prowadzą badania pod kierunkiem mądrych profesorów i marzą o tym, że pewnego dnia dokonają wielkiego odkrycia, które zbawi świat. Nikt nie mówi o Zysku, chyba że to zysk dla ludzkości. Do lipskiego szpitala trafia wielu Niemców wracających z Syberii. Chorują na gruźlicę. W sowieckich obozach gruźlica jest bardzo rozpowszechniona. Wszyscy pacjenci są bardzo biedni, wszyscy są chorzy i pozbawieni pomocy, większość nosi szczepy wieloodpome, wielu dogorywa. Podpiszą wszystko, nie będą robić problemów. Więc jest oczywiste, że dwie młode lekarki wyodrębniają bakterie i eksperymentują. Prowadziły już doświadczenia na zwierzętach, może też na studentach medycyny i innych stażystach. Studenci medycyny nie mają pieniędzy. Sami będą pewnego dnia lekarzami, są zainteresowani doświadczeniami. A szefem eksperymentu jest Oberarzt...

- Lekarz naczelny.

- Szefem zespołu jest Oberarzt, entuzjasta doświadczeń. Cały zespół łaknie jego uznania, więc wszyscy biorą udział w eksperymencie. Nikt nie jest zły, nikt nie popełnia przestępstw. To młodzi marzyciele, mają seksowny obiekt do analiz, a pacjenci są zrozpaczeni. Więc czemu nie?

- Czemu nie? - mruczy Justin.

- Kovacs ma chłopaka. Kovacs zawsze ma jakiegoś chłopaka. Ten chłopak jest Polakiem, fajnym facetem. Żonaty, ale co to szkodzi. I ma własne laboratorium. Małe, wydajne, zgrabne laboratorium w Gdańsku. Z miłości do Kovacs Polak mówi jej, że może przyjechać i bawić się w jego laboratorium, kiedy tylko będzie miała wolny czas. Może przyprowadzić za sobą kogo tylko zechce, więc przyprowadza - piękną przyjaciółkę i koleżankę, Emrich. Kovacs i Emrich prowadzą badania, Kovacs i Polak uprawiają miłość, wszyscy są szczęśliwi, nikt nie mówi o bożku Zysku. Ci młodzi ludzie dążą tylko do sławy i chwały i może troszeczkę zależy im na promocji. Ich praca przynosi pozytywne rezultaty. Pacjenci nadal umierają, ale i tak by umarli. A kilku, którzy mieli umrzeć - przeżyło. Kovacs i Emrich są dumne. Piszą artykuły do czasopism medycznych. Ich profesor pisze tekst wspierający młode badaczki. Inni profesorowie wspierają go, wszyscy są szczęśliwi, wszyscy składają sobie gratulacje, nikt nie ma wrogów, przynajmniej na razie.

Karl poruszył się w jej ramionach. Poklepuje go po plecach i dmucha mu leciutko do ucha. Chłopczyk uśmiecha się i znów zasypia.

- Emrich też ma kochankę. Ma męża, który też nazywa się Emrich, ale on jej nie satysfakcjonuje, to Europa Wschodnia, każdy tam ma jakiś ślub. Jej kochanek nazywa się Markus Lorbeer. Ma południowoafrykańską metrykę

urodzenia, niemieckiego ojca i holenderską matkę i mieszka w Moskwie jako agent spółek farmaceutycznych, wolny strzelec, ale także przedsiębiorca wyszukujący interesujące możliwości w dziedzinie biotechnologii, z których można czerpać zyski.

- Łowca talentów.

- Jest starszy od Lary o jakieś piętnaście lat, pływał po wszystkich oceanach, jak się to u nas mówi, i jest marzycielem tak jak ona. Kocha naukę, ale nigdy nie został naukowcem. Kocha medycynę, ale nie jest lekarzem. Kocha Boga i cały świat, ale kocha też twardą walutę i bożka Zysku. Więc pisze tak: "Młody Lorbeer jest wierzący, czci chrześcijańskiego Boga, ubóstwa kobiety, ale czci też wielce bożka Zysku". Jest człowiekiem upadłym. Wierzy w Boga, ale go lekceważy. Osobiście odrzucam taką postawę, ale mniejsza o to. Dla humanisty Bóg jest wymówką, żeby postępować niehumanistycznie. Będziemy humanistyczni w przyszłym życiu, na razie dążmy do Zysku. Mniejsza o to. "Lorbeer przyjął od Boga dar wiedzy" - domyślam się, że chodzi tu o molekułę dypraxy - "i sprzedał go diabłu". Domyślam się, że chodzi o KVH. Potem pisze, że kiedy Tessa przyszła go odwiedzić na pustyni, wyznał jej swój grzech.

Justin nagle się wyprostował.

- Tak pisze? Rozmawiał z Tessą? W szpitalu? Kiedy poszła go odwiedzić? Co za pustynia? O co, do licha, mu chodzi?

- Jak ci już mówiłam, ten dokument jest trochę szalony. Nazywa ją Abbott. "Kiedy Abbott przychodzi odwiedzić Lorbeera na pustyni, Lorbeer płacze". Może to sen, może jakaś bajka. Teraz Lorbeer stał się pokutnikiem na pustyni. Jak Eliasz albo Chrystus, nie wiem. To jest, prawdę mówiąc, wstrętne. "Abbott wzywa Lorbeera, żeby zrobił rachunek przed Bogiem. Dlatego podczas owego spotkania na pustyni Lorbeer wyznał najsłabsze swoje grzechy". Tak pisze. Zdaje się, że miał wiele grzechów. Nie pamiętam wszystkich. Był tam grzech samooszukiwania się i grzech fałszywych argumentów. Potem szedł grzech pychy, o ile pamiętam. A za nim grzech tchórzostwa. I wcale się nie usprawiedliwia, co właściwie mnie cieszy. Ale on chyba też jest szczęśliwym człowiekiem. Lara twierdzi, że on jest szczęśliwy, kiedy się zwierza albo kiedy uprawia miłość.

- Napisał to wszystko po angielsku?

Pokiwała głową.

- Jeden rozdział napisał jak angielską Biblię, w następnym podaje bardzo specjalistyczne dane dotyczące testów klinicznych, sporów między Kovacs i Emrich i problemów, jakie stwarza dypraxa, stosowana z innymi lekami. Takie szczegóły może znać tylko osoba bardzo dobrze poinformowana. Przyznam, że tego Lorbeera wolę znacznie bardziej niż Lorbeera od nieba i piekła.

- Abbott przez małe a, jak opat po angielsku?
- Z dużej litery. "Abbott spisuje wszystko, co jej mówię". Ale popełnił jeszcze jeden grzech. Zabił ją.

Justin czeka, wlepia wzrok w Karla.

- Może nie dosłownie, bo pisze niejasno. "Lorbeer zabił ją przez swoją zdradę. Popułnił grzech Judasza, poderżnął jej gardło gołymi rękami i przybił B lutem do drzewa". Kiedy odczytywałam te słowa Larze, zapytałam: "Laro, czy Markus chce przez to powiedzieć, że zabił Tessę Quayle?"

- I co odpowiedziała?

- Markus nie zabiłby najgorszego wroga. Na tym polega jego męka, powiedziała. Być złym człowiekiem i mieć sumienie przyzwoitego człowieka. Ona jest Rosjanką, ma straszną depresję.

- Ale skoro zabił Tessę, to nie jest przyzwoitym człowiekiem, prawda?

- Lara przysięga, że to niemożliwe. Ma wiele listów od niego. A może go tylko beznadziejnie kocha? Słyszała od niego wiele zwierzeń, ale oczywiście, tego nie. Mówi, że Markus jest bardzo dumny ze swoich grzechów, ale jest też próżny i mówi o nich z przesadą. Jest skomplikowany, może trochę psychotyczny, i dlatego tak bardzo go kocha.

- Ale nie wie, gdzie jest?

- Nie wie.

Justin patrzy niewidzącym wzrokiem przed siebie, w złudny zmrok.

- Judasz nikogo nie zabił - protestuje. - Judasz zdradził.

- Ale skutek był ten sam. Judasz zabił swoją zradą.

Znów długie spojrzenie w zmrok.

- Tu kogoś brakuje. Jeśli Lorbeer zdradził Tessę, to komu?

- To też nie było jasno powiedziane. Chyba Siłom Ciemności. Tyle pamiętam.

- Siłom Ciemności?

- W liście mówi o Siłach Ciemności. Nie znoszę tej terminologii. Czy to oznacza KVH? Może zna jakieś inne siły.

- Czy w dokumencie jest wzmianka o Arnoldzie?

- Abbott miała przewodnika. W dokumencie nazywa się go Świętym. Ten Święty podszedł do Lorbeera w szpitalu i powiedział mu, że dypraxa jest narzędziem śmierci. Święty był ostrożniejszy niż Abbott, bo jest lekarzem, i bardziej tolerancyjny, bo z doświadczenia zna ludzką podłość. Ale największą prawdę posiadała Emrich. Tego Lorbeer jest pewien. Emrich wie o wszystkim, toteż nie pozwolono jej przemówić. Siły Ciemności są zdecydowane zdusić prawdę. To dlatego Abbott musiała zostać zabita, a Święty ukrzyżowany.

- Ukrzyżowany? Arnold?

W bajce Lorbeera, Siły Ciemności wywlokły Bluhma i przybiły go do drzewa.

Oboje zamilkli, oboje poczuli się zawstydzeni.

- Lara mówi też, że Lorbeer pije jak Rosjanin - dodała, jakby chciała /łagodźć poprzednie słowa, ale Justin nie dał się odwieść od tematu.

- Pisz z pustyni, ale korzysta z poczty kurierskiej w Nairobi - zaoponował.

- Adres był drukowany, list przewozowy pisany ręcznie, pakiet został wysłany z Norfolk Hotel w Nairobi. Nazwisko nadawcy było trudne do odczytania, ale zdaje mi się, że brzmiało McKenzie. To szkockie nazwisko? Jeśli pakiet nie mógłby zostać doręczony, nie należy go przywozić z powrotem do Kenii, tylko zniszczyć.

- List przewozowy miał zapewne jakiś numer.

- Był przymocowany do koperty. Kiedy włożyłam dokument na noc do sejfu, najpierw wsunęłam go z powrotem do koperty. Oczywiście, koperta też zniknęła.

- Zwróć się do firmy kurierskiej. Będą mieli kopię.

- Nie mają wpisu w rejestrze. Ani w Nairobi, ani w Hanowerze.

- Jak mógłbym ją znaleźć?

- Larę?

Deszcz bębnił o blaszany dach, a pomarańczowe światła miasta zapalały się i migotały we mgle. Birgit wydarła kartkę z terminarza i napisała długi numer telefoniczny.

- Ma dom, ale już niedługo. Jak nie tam, to musisz zapytać na uniwersytecie, ale ostrożnie, bo oni jej nienawidzą.

- Czy Lorbeer sypiał z Kovacs, tak jak z Emrich?

- Nie byłoby w tym nic dziwnego, jeśli chodzi o Lorbeera. Ale sądzę, że kłótnia, która wynikła między obiema kobietami, nie dotyczyła seksu, tylko dypraxy.

Przerwała, podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem. Gapił się w jakieś odległe miejsce, ale nie było tam widać niczego poza odległymi wzgórzami przebijającymi się z mgły.

- Tessa często pisała, że cię kocha - powiedziała spokojnie w stronę jego odwróconej twarzy. - Nie wprost, to było niepotrzebne. Mówiła, że jesteś człowiekiem honoru i kiedy trzeba będzie, zachowasz się honorowo.

Zbierała się do odejścia. Oddał jej nosidełka i razem włożyli do nich Karła, zapięli pasy i przymocowali plastikową pelerynę tak, żeby główka śpiącego chłopczyka wystawała przez otwór. Stanęła na wprost niego.

- A więc - powiedziała. - Przespacerujesz się?

- Przespaceruję.

Wyciągnęła kopertę z kurtki.

- Tu jest wszystko, co pamiętam z powieści Lorbeeia. Spisałam to dla ciebie. Mam trudny charakter pisma, ale odcyfrujesz to.

- Jesteś bardzo uprzejma. - Wetknął kopertę pod płaszcz przeciwdeszczowy.

- Życzę miłego spaceru - powiedziała.

Miała już uścisnąć mu rękę, ale zmieniła zamiar i pocałowała go w usta: surowy, z założenia niezadany, pełen uczucia pocałunek na pożegnanie. Jednocześnie trzymała rower. Potem Justin trzymał rower, a ona zapinała kask pod brodą, a potem wsiadła na rower i popedałowała w dół.

“Przespaceruję się”.

Szedł, trzymając się środka drogi, uważnie przypatrując się krzakom rododendronu rosnącym po obu stronach. Co pięćdziesiąt metrów paliły się światła sodowe. Obserwował czarne przestrzenie między nimi. Nocne powietrze pachniało jabłkami. Dotarł do stóp wzgórza i podszedł do zaparkowanego mercedesa; przeszedł o dziesięć metrów od maski. W środku nie paliło się światło. Na przednich fotelach siedziało dwóch mężczyzn, ale sądząc z ich nieruchomych sylwetek, nie byli to ci sami, którzy wjeżdżali i zjeżdżali ze wzgórza. Szedł dalej, samochód wyminął go. Zignorował go, ale dowiedział się, że dwaj mężczyźni nie zignorowali jego. Mercedes dojechał do skrzyżowania i skręcił w lewo. Justin skręcił w prawo, kierując się w stronę poświęty nad miastem. Przejechała taksówka, a kierowca zawołał na niego.

- Dziękuję, dziękuję! - odrzyknął - wolę się przejść.

Nie było odpowiedzi. Teraz szedł chodnikiem, trzymając się zewnętrznej strony. Przeszedł przez następne skrzyżowanie i wkroczył na jaskrawo oświetloną boczną uliczkę. W drzwiach domów kucali młodzi ludzie o martwych oczach. Mężczyźni w skórzanych kurtkach stali na rogach i unosząc łokcie, rozmawiali przez telefony komórkowe. Przeszedł jeszcze dwa skrzyżowania i zobaczył przed sobą swój hotel.

W holu panowało nieuniknione wieczorne zamieszanie. Meldowała się jakaś japońska delegacja, błyskały aparaty, portierzy znosili kosztowne bagaże pod jedną windę. Zajmując miejsce w kolejce, Justin zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię, a kopertę od Birgit schował pieczołowicie do wewnętrznej kieszeni. Winda zjechała na dół, odstąpił na bok, żeby kobiety mogły wsiąść pierwsze. Dojechał na trzecie piętro, wysiadł sam. Ponury korytarz oświetlony ziemistymi świetlówkami przypominał mu szpital Uhu-ru. Z pokojów dochodził ryk telewizorów. Jego pokój miał numer trzy-jedenaście, a kluczem do niego był płaski kawałek plastiku z wydrukowaną czarną

strzałką. Kakofonia telewizorów drażniła go i naprawdę miał zamiar poskarżyć się komuś. Jak będą mógł pisać do Hama w tym nieustannym zgiełku? Wszedł do pokoju, przełożył płaszcz przez oparcie krzesła i zobaczył, że sprawcą jest jego własny telewizor. Musiały go włączyć pokojówki, kiedy sprzątały pokój i nie zatroszczyły się, żeby go wyłączyć, kiedy wychodziły. I odszedł do odbiornika. Nadawano właśnie program z gatunku, którego szczególnie nie znosił. Pólnagi śpiewak ryczał na całe gardło do mikrofonu ku zachwytowi ekstatycznej młodzieżowej publiczności, a jednocześnie z góry padał podświetlony śnieg.

I to była ostatnia rzecz, jaką zobaczył Justin, zanim światło zgasło: płatki śniegu na ekranie telewizora. Ogarnęła go ciemność i poczuł jednocześnie uderzenia i duszenie. Ktoś trzymał mu ręce przy bokach, do ust wetknięto mu zwitek szorstkiej tkaniny. Nogi zablokowane chwytem rugbisty ugięły się pod nim. Pomyślał, że ma atak serca. Następny cios zmiążdżył mu żołądek i wydusił z niego resztki tchu, bo kiedy spróbował krzyknąć, nic się nie stało; nie mógł wydać głosu ani zaczerpnąć powietrza, a zwitek tkaniny knebłował mu usta.

Poczuł czyjeś kolana na klatce piersiowej. Coś zaciskało się wokół jego szyi, pomyślał o pętli i doszedł do wniosku, że go powieszą. Doznał wizji przedstawiającej Bluhma przybitego do drzewa. Wyczuł męski płyn kosmetyczny do ciała, który przywodził mu na myśl zapach ciała Woodrowa i przypomniał sobie, jak obwąchiwał miłosny list Woodrowa, żeby sprawdzić, czy pachnie tak samo. Była to krótka chwila, kiedy nie myślał o Tessie. Leżał na podłodze na lewym boku i to, co uderzyło go w żołądek, jeszcze jednym potwornym ciosem zmiążdżyło mu pachwinę. Miał na głowie kaptur, ale nikt go nie wieszał, ciągle leżał na boku. Knebel zmuszał go do wymiotów, ale nie był w stanie wydalić ich z ust, więc spływały mu do gardła. Jakieś ręce przetoczyły go na plecy, rozciągnięto mu ręce, kostki szorowały po dywanie, wnętrza dłoni zwrócone były do góry. Chcą mnie ukrzyżować jak Arnolda. Ale nie przybijali go do krzyża, przynajmniej na razie; trzymali mu ręce i jednocześnie je wykręcali. Ból przechodził wszelkie wyobrazenie: w ramionach, klatce, nogach, pachwinie. Proszę, pomyślał. Tylko nie prawa ręka, bo jak napiszą do Hama? A oni musieli wysłuchać jego błagania, bo ból ustał i Justin usłyszał męski głos z północnoniemieckim, może berlińskim akcentem, całkiem na poziomie. Głos wydawał rozkaz, żeby obrócić tę świnię na bok i związać jej ręce za plecami. Rozkaz został wykonany.

- Panie Quayle. Słyszysz mnie pan?

Ten sam głos, ale teraz mówił po angielsku. Justin nie odpowiedział. Ale nie z braku uprzejmości, tylko dlatego, że udało mu się wreszcie wypluć szmaciany knebel i znów chwyciły go wymioty. Tym razem gromadziły się wokół szyi pod kapturem. Dźwięk dobywający się z telewizora ucichł.

- Starczy tego, panie Quayle. Ma pan przestać. Albo dostanie pan to, co dostała pańska żona. Słyszysz mnie pan? Może chce pan jeszcze dostać, panie Quayle?

Drugiemu "Quayle" towarzyszył jeszcze jeden straszliwy kopniak w pachwinę.

- Chyba pan trochę ogłuchł. Zostawiamy panu kartkę na łóżku. Kiedy się pan obudzi, przeczyta pan tę karteczkę i zapamięta. Potem wróci pan do Anglii, rozumiano? Nie będziesz więcej zadawał niegrzecznych pytań. Pojedziesz do domu, będziesz grzecznym chłopcem. Następnym razem zabijemy cię jak Bluhma. To długotrwały proces. Słyszysz?

Jeszcze jedno kopnięcie w krocze, żeby dotarło. Słyszał, jak zamykają się drzwi.

Leżał sam, w swojej własnej ciemności, we własnych wymiotach, na lewym boku, z kolanami podciągniętymi do podbródka i rękami związanymi za plecami, a wewnątrz czaszki rozrywał mu ogień bólu przesywającego całe ciało. Leżał w potwornych mękach, zwołując swoich rozproszonych żołnierzy - stopy, golenie, kolana, pachwiny, brzuch, serce, ręce - stwierdzał, że wszyscy są obecni, choć niesprawni. Poruszył się w więzach i odniósł wrażenie, że toczy się po rozpalonych węglach. Znów zamarł, zaczęła się w nim rodzić jakaś koszmarna przyjemność, przeradzała się w zwycięski blask samowiedzy. "Zrobili mi to, ale pozostałem tym, kim jestem. Mam hart ducha. Jestem gotowy na wszystko. W środku pozostałem niezłomnym człowiekiem. Jeśli teraz wrócą i zrobią mi to jeszcze raz, nie będą w stanie osiągnąć tego niezłomnego człowieka. Zdałem egzamin, od którego wymigiwałem się przez całe życie. Dostałem dyplom z bólu".

Potem albo ból się zmniejszył, albo natura przyszła mu z pomocą, bo zasnął. Usta miał zamknięte, oddychał nosem przez śmierdzącą, namokniętą czerń kaptura. Telewizor nadal był włączony, słyszał go. A jeśli jego zmysł orientacji nie zawiódł go, to także go widział. Kaptur był jednak chyba uszyty z dwóch warstw, bo mógł zobaczyć tylko migotanie ekranu, a kiedy z wielkim wysiłkiem obrócił się na plecy, nie zobaczył ani śladu lamp pod sufitem, chociaż były zapalone, kiedy wszedł do pokoju, i nie pamiętał, żeby słyszał, jak ktoś je wyłącza. Przetoczył się na bok i na chwilę ogarnęła go panika, gdy zbierał siły, żeby znów ułożyć się na plecach. Weź się w garść, człowieku. Rusz swoją głupią głową, jedyną częścią ciała, która zostawili nietkniętą. Dlaczego zostawili nietkniętą? Bo nie chcieli skandalu. To znaczy, ten kto ich wysłał, nie chciał skandalu. "Następnym razem zabijemy cię jak Bluhma" - ± ale nie tym razem, choćby nie wiem jak tego chcieli. A więc wrzeszczę.

Czy rzeczywiście to ja? Czy to ja okręcam się na podłodze, kopię meble, kopię w ścianki działowe, kopię telewizor i w ogóle zaczynam zachowywać się jak maniak, aż wreszcie ktoś pomyśli, że nie jesteśmy dwojgiem namiętnych kochanków zagubionych w meandrach sadomasochizmu, ale jednym związanym i zbitym Anglikiem z torbą na głowie?

Wprawny dyplomata starannie określił konsekwencje takiego odkrycia. Z hotelu wzywają policję. Policja odbiera ode mnie oświadczenie i dzwoni do najbliższego konsulatu brytyjskiego, w tym wypadku w Hanowerze, jeśli nadal tam jest. Wkracza konsul, wściekły, że oderwano go od kolacji po to, żeby zajął się jeszcze jednym cholernym zagubionym poddanym brytyjskim i w odruchu psa Pawłowa sprawdza mój paszport. Jeśli to Atkinson, to mamy problem, bo paszport jest fałszywy. Wystarczy jeden telefon do Londynu, żeby to ustalić. Jeśli Quayle, mamy inny problem, ale rezultat będzie prawdopodobnie taki sam: pierwszy samolot do Londynu i to bez gadania, a tam bardzo niezadowolony komitet powitalny na lotnisku.

Nóg nie miał związanych. Do tej pory nie śpieszyło mu się, żeby je rozprostować. Zrobił to i poczuł ogień w brzuchu i w pachwinie, a zaraz potem pożar rozszerzył się na uda i golenie. Ale w końcu rozprostował nogi i złączył je. Usłyszał, jak obcasy stuknęły o siebie. Podbudowany tym faktem zdecydował się na odważny krok, przetoczył się na żołądek i krzyknął mimo woli. Potem zagryzł wargi, żeby więcej nie krzyżeć.

Nadal leżał twarzą w dół. Cierpliwie, ostrożnie, żeby nie przeszkadzać lokatorom sąsiednich pokoi, zaczął zмагаć się z więzami.

17

Wycarterowany przez ONZ samolot był podstarzałym dwusilnikowym beechcraftem z ogorzałym pięćdziesięcioletnim pilotem z Johannesburga i krępkim drugim pilotem, Afrykaninem z baczkami, na pokładzie. Na każdym z dziewięciu podartych foteli leżało białe kartonowe pudełko z lunchem. Samolot stał na lotnisku Wilsona, niedaleko grobu Tessy. Maszyna, pocąc się, czekała na pasie startowym, a Ghita wysilała się, żeby zobaczyć przez okno kopczyk jej grobu i zastanawiała się, jak długo trzeba będzie czekać na kamienny pomnik. Ale zobaczyła tylko srebrzystą trawę, ubranego w czerwony strój wieśniaka z laską stojącego na jednej nodze przy swoich kozach i stadko gazeli podrygujących i pasących się pod błękitnoczarnymi piramidami chmur. Torbę podróżną upchnęła pod siedzenie, ale była za duża i musiała usunąć

swoje płócienne pantofle, żeby zrobić dla niej miejsce. W samolocie było koszmarnie gorąco. Kapitan uprzedził już pasażerów, że nie będzie klimatyzacji, dopóki samolot nie wystartuje. Notatki do wystąpienia i dokumenty, poświadczające, że reprezentuje brytyjską Wysoką Komisję umieściła w zapinanej na zamek błyskawiczny przegródce, a piżamę i ubrania na zmianę, w głównej części torby. Robię to dla Justina. Idę w ślady Tessy. Nie rna powodu, żebym wstydziła się niedoświadczenia albo obłudy.

Tył kadłuba samolotu wypełniony był workami z cennym *miraa*, lekkim, dozwolonym przez prawo narkotykiem, uwielbianym przez wieśniaków z północy. Jego drzewiasty zapach powoli wypełniał samolot. Przed nią siedziało czworo zahartowanych w bojach pracowników agencji humanitarnych, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Może *miraa* należało do nich. Zazdrościła im determinacji, pogodnego nastroju, wytartych ubrań i niemytej bez troski. Zdała sobie sprawę, z lekkimi wyrzutami sumienia, że są w jej wieku. Żałowała, że nie potrafi rozerwać więzów wyuczonej skromności, tego wpojonego przez zakonnicę dygania, kiedy ściska rękę wyżej postawionym. Zerknęła do pudełka z lunchem i stwierdziła, że są w nim dwie kanapki z bananem, jabłko, tabliczka czekolady i kartonik z sokiem z owocu paschy. Prawie nie spała i była głodna, ale poczucie przyzwoitości nie pozwalało jej zacząć jeść, zanim samolot nie wystartuje. Ostatniej nocy telefon dzwonił bez przerwy, odkąd wróciła do mieszkania. Przyjaciele, jeden po drugim, wyrażali swoje oburzenie i niewiarę, że Arnold może być poszukiwany listem gończym. Etat w Wysokiej Komisji sprawiał, że musiała odgrywać wobec nich rolę nobliwego męża stanu. O północy, chociaż była śmiertelnie zmęczona, postanowiła wykonać ruch, po którym już nie będzie odwrotu; ruch, który, jeśli się powiedzie, pozwoli jej wyjść z ziemi niczyjej, na której kryła się jak odludek przez ostatnie trzy tygodnie. Zaczęła grzebać w starym mosiężnym garnku z drobiazgami i wyciągnęła z niego ukryty kawałek papieru. Pod tym telefonem nas znajdziesz, Ghito, jeśli uznasz, że warto z nami jeszcze raz porozmawiać. Gdyby nas nie było, zostaw wiadomość. Przyrzekam, że jedno z nas w ciągu godziny przyjedzie do ciebie. Odpowiedział jej agresywny męski głos Afrykanina i przez chwilę miała nadzieję, że źle wykręciła numer.

- Chciałabym rozmawiać z Robem albo z Lesley.
- Jak się pani nazywa?
- Chcę rozmawiać z Robem albo z Lesley. Czy któryś z nich tam jest?
- Kim pani jest? Niech pani natychmiast poda nazwisko i powie, o co chodzi.

- Chciałabym rozmawiać z Robem albo z Lesley.

Słuchawkę odłożono z trzaskiem, a ona, bez żalu, przyjęła do wiadomości, że została - tak jak podejrzewała - sama. Zatem ani Tessa, ani Arnold, ani

mądra Lesley ze Scotland Yardu nie zdejmą z niej odpowiedzialności za jej czyny. Rodzice, chociaż ich uwielbiała, nie stanowili rozwiązania. Ojciec, prawnik, wysłuchałby jej i oświadczył, że z jednej strony to, jednakowoż z drugiej lamto i zapytałby, jakimi obiektywnymi dowodami dysponuje, żeby dowieść tak mocnych zarzutów. Jej matka, lekarka, powiedziałaaby: dziecko, nadmierne się ekscytujesz, wracaj do domu i trochę odpocznij. Z głową pełną takich myśli otworzyła laptop, który na pewno też będzie zapchany krzykami rozpaczy i oburzenia w związku z Arnoldem. Ale ledwie podłączyła się do sieci, ekran zamigotał i obraz zniknął. Zastosowała wszystkie procedury ratunkowe - na próżno. Zadzwoiła do kilkorga przyjaciół tylko po to, żeby dowiedzieć się, że ich komputery działają bez zarzutu.

- Ghito, pewnie twój komputer złapał jednego z tych zwariowanych wirusów z Filipin albo Bóg wie skąd, gdzie siedzą cybermaniacy! - krzyknął z zazdrością jeden z przyjaciół, jakby Ghite spotkał niezasłużony zaszczyt.

Może tak, przyznała, i zasnęła, ale spała źle ze zmartwienia o maile, które straciła, o pogaduszki z Tessą, których nie wydrukowała, bo wolała odczytywać je z ekranu, gdyż były wtedy żywsze, dawały bliższe wspomnienie zmarłej przyjaciółki.

Samolot nadal nie startował, więc Ghita, jak to miała w zwyczaju, oddała się rozpatrywaniu najistotniejszych pytań dotyczących życia - unikając przy tym najważniejszych zagadnień - co ja tu robię i dlaczego? Kilka lat temu, w Anglii - w mojej Erze przed Tessą, jak ją w duchu nazywała - zadreślała się ranami prawdziwymi i wymaginowanymi, których doznawała na co dzień dlatego, że była Anglo-Hinduską. Widziała siebie jako nierokującą nadziei hybrydę, na poły czarną dziewczynę szukającą Boga, na poły białą kobietę stojącą powyżej pozbawionego praw motłochu. We śnie i na jawie pragnęła dowiedzieć się, gdzie jest jej miejsce w świecie białego człowieka, jak i gdzie zainwestować ambicje i człowieczeństwo i czy powinna nadal uczyć się tańca i muzyki w londyńskim college'u, do którego chodziła po ukończeniu szkoły w Exeter, czy też, idąc za gwiazdą przewodnią swoich przybranych rodziców, wybrać zawód któregoś z nich.

To tłumaczy, jak doszło do tego, że pewnego ranka, niemal pod wpływem impulsu, przystąpiła do egzaminów na urzędnika służby dyplomatycznej Jej Królewskiej Mości, które - jak było do przewidzenia, bo nigdy wcześniej nie interesowała się polityką - sromotnie oblała. Ale dano jej wtedy radę, żeby zgłosiła się za dwa lata. I jakoś tak się stało, że sama decyzja, żeby przystąpić do tych egzaminów, choć zakończonych niepowodzeniem, wyzwoliła stojące u jej podstaw rozumowanie, że lepiej przyłączyć się do Systemu niż pozostawać poza nim, bo niewiele by jej to dało ponad pociechę, płynącą z jej ambicji artystycznych.

Była w tym stanie ducha, gdy odwiedziła rodziców w Tanzanii. Właśnie wtedy, znów pod wpływem impulsu, postanowiła ubiegać się o zatrudnienie w brytyjskiej Wysokiej Komisji. I gdyby tego nie zrobiła, nigdy nie spotkałaby Tessy. Nigdy, tak teraz o tym myślała, przenigdy nie stanęłaby na linii frontu, żeby walczyć o sprawy, którym postanowiła pozostać wierna - jeśli nawet prowadzą się one do takich prościutkich pojęć jak prawda, tolerancja, sprawiedliwość, poczucie piękna zawartego w życiu. I zarazem gwałtownie odrzucała ich przeciwności. Ale przede wszystkim postanowiła realizować w życiu odziedziczoną po rodzicach i umocnioną przez Tessę wiarę, że to sam System należy nagiąć tak, żeby odzwierciedlał wszystkie te wartości, bo w przeciwnym wypadku jego istnienie nie ma sensu. A to sprawiało, że musiała wrócić do najważniejszego z pytań. Kochała Tessę, kochała Bluhma. Justina nadal kocha i, jeśli ma być szczerą, to trochę bardziej, niż się godzi czy niż jest to stosowne, czy jak to tam nazwać. A fakt, że pracuje dla Systemu nie oznacza, że musi akceptować związane z nim kłamstwa, które usłyszała wczoraj z ust Woodrowa. Przeciwnie, to ją zobowiązuje do odrzucenia kłamstw i nawrócenia Systemu na właściwą drogę, to znaczy na drogę prawdy. A to, ku całkowitej satysfakcji Ghity, wyjaśniało jej co robi i dlaczego.

"Lepiej być wewnątrz Systemu i zwalczać go", powiedziała jej ojciec, skądinąd obrazoburca, "niż znaleźć się poza nim i wyć po nocach".

A Tessa - i to było cudowne - mówiła dokładnie to samo.

Samolot otrząsnął się jak stary pies i skoczył naprzód, o ciężale wznosząc się w powietrze. Przez okienko widziała, jak na dole rozpościera się przed jej oczami cała Afryka: miasta slumsów, stada galopujących zebra, farmy kwiatów nad jeziorem Navaisha, łańcuchy górskie, szczyt Kenia, rysujący się niewyraźnie na odległym horyzoncie i brązowe morze zamglonego buszu nakrapianego plamkami zieleni. Samolot wleciał w deszczową chmurę, brązowy półcień wypełnił kabinę. Zastąpiło go skwarne słońce i wtedy, gdzieś po lewej stronie Ghity rozległ się potężny wybuch. Samolot, bez ostrzeżenia, gwałtownie przekreślił się na bok. Pudełka z lunchem, plecaki i torba podróżna Ghity przeleciały wzdłuż foteli w towarzystwie dzwonek alarmowych, syren i migotania czerwonych światełek. Nikt się nie odezwał poza starym Afrykaninem, który ku nerwowemu rozbawieniu pozostałych pasażerów wybuchnął śmiechem i zahuczał basem:

- Kochamy cię, Panie, nie zapominaj o tym.

Samolot nie wyrównywał lotu. Warkot silnika zszedł do poziomu szepotu. Afrykański drugi pilot z bakami wyjął podręcznik i przeglądał Spis treści, a Ghita próbowała przeczytać coś nad jego ramieniem. Ogorzały kapitan obrócił się w fotelu, żeby odezwać się do swoich zmartwionych pasażerów. Jego opadające, pomarszczone wargi przypominały skos skrzydeł samolotu.

- Jak państwo zauważyli, jeden silnik wysiadł - powiedział ironicznie. - Co oznacza, że musimy wrócić na lotnisko Wilsona i wymienić go.

A ja się nie boję, zauważyła w duchu bardzo z siebie zadowolona Ghita. Do śmierci Tessy takie straszne rzeczy zawsze przytrafiały się innym. Teraz dotyczą również mnie, a ja potrafię sobie z nimi poradzić.

Cztery godziny później stała na płycie lotniska w Lokichoggio.

- Ty jesteś Ghita? - australijska dziewczyna próbowała przekrzyczeć ryk silników i okrzyki innych ludzi, wymieniających powitania. - Jestem Judith. Hej!

Była wysoka, rumiana i szczęśliwa, i nosiła zmechacony męski kapelusz filcowy oraz koszulkę sławiącą firmę herbacianą z Cejlonu. Objęły się, spontanicznie wyrażając przyjaźń w gwarze lotniska. Białe samoloty towarowe ONZ startowały i lądowały, białe ciężarówki toczyły się z hukiem, słońce było jak piec, a żar spływający z niego bił w Ghitę, odbijając się od pasa startowego. Opary benzyny lotniczej migotały jej w oczach i oszalały ją. Z Judith jako przewodniczką wcisnęła się na tył jeepa pomiędzy worki z pocztą a jakiegoś spoconego Chińczyka w koloratce i czarnym garniturze. Obok nich przemykały jeepy jadące w przeciwnym kierunku, za nimi pędził konwój białych ciężarówek zmierzający w stronę samolotów towarowych.

- Ona była naprawdę fajną babką! - krzyknęła Judith z miejsca obok kierowcy. - Bardzo oddaną sprawie! - Najwyraźniej mówiła o Tessie. - Dlaczego ktokolwiek chciałby aresztować Arnolda? Oni są po prostu głupi! Arnold nie skrzywdziłby muchy. Masz pokój zarezerwowany na trzy doby, w porządku? Mamy całą paczkę specjalistów od żywienia. Jadą z Ugandy!

Judith jest tu po to, żeby zajmować się żywymi, a nie martwymi, pomyślała Ghita. Jeep wyjechał za bramę i wtoczył się na pas utwardzanej szosy. Przejżdżali obok towarzyszącego obozowi naprędce skleconego miasteczka barów, straganów i żartobliwego drogowskazu z napisem "Tędy na Piccadilly". Przed nimi wyrosły spokojne brązowe wzgórza. Ghita powiedziała, że z chęcią by tam poszła. Judith na to, że gdyby to zrobiła, to już nie wróciłaby do obozu.

- Zwierzęta?

- Ludzie.

Zbliżali się do obozu. Na łąkach czerwonej ziemi obok głównej bramy dzieci grały w koszykówkę. Rzuciły piłkę do kosza zrobionego z białej torby po żywności przybitej do drewnianego słupka. Judith zaprowadziła Ghitę do recepcji, żeby zostawiła paszport. Po wpisaniu się do księgi, Ghita zaczęła ją od niechcenia kartkować, żeby przypadkiem otworzyć na stronie, na którą niby nawet nie spojrziała.

Tessa Abbott, skrytka pocztowa, Nairobi, Tukul 28.

A. Bluhm, Mediciens de l'Univers, Tukul 29.

I ta sama data.

- Chłopaki z prasy mieli bal - powiedziała entuzjastycznie Judith. - Reuben kazał im zapłacić pięćdziesiąt amerykańskich dolarów od zdjęcia, w gotówce. W sumie osiemset baksów, a to jest osiemset zestawów książeczek do kolorowania i kredek. Reuben kalkuluje, że z tego wyjdzie dwóch Dinków van Goghów, dwóch Dinków Rembrandtów i jeden Dinka Andy Warhola.

Reuben, legendarny organizator obozów, przypomniała sobie Ghita. Kongijczyk. Przyjaciel Arnolda.

Szły szeroką aleją między tulipanowcami. Ognistoczerwone trąbki kwiatów błyszcząły na tle pomalowanych na biało tukulów o słomianych dachach. Chudy Anglik, przypominający wychowawcę z podstawówki, przejechał na staroświeckim rowerze policyjnym. Na widok Judith zadzwonił i serdecznie do niej pomachał.

- Prysznice i wygodki są po drugiej stronie drogi, pierwsza sesja jutro punkt o ósmej rano, spotykamy się przed drzwiami chaty numer trzydzieści dwa - oznajmiła Judith, wprowadzając Ghitę do jej kwatery. - Spray na moskity stoi przy łóżku, ale lepiej skorzystaj z moskitiery. Masz ochotę wpaść na piwo do klubu przed kolacją?

Ghita miała ochotę.

- Dobrze, uważaj na siebie. Niektórzy chłopcy są bardzo wygłodniali, kiedy wracają z terenu.

- Przy okazji, mieszka tu taka kobieta, ma na imię Sarah. Była swego rodzaju przyjaciółką Tessy. Ciekawe, czy jest tu gdzieś w okolicy, żebym mogła jej powiedzieć cześć. - Ghita chciała, żeby zabrzmiało to swobodnie.

Rozpakowała swoje rzeczy i uzbrojona w torebkę z gąbką i ręcznik wyprawiła się odważnie na drugą stronę alei. Spadł deszcz, tłumiąc rejwach dochodzący z lotniska. Niebezpieczne wzgórza zmieniły kolor na czarno-oliwkowy. W powietrzu czuć było benzynę i przyprawy. Wzięła prysznic, wróciła do swojego tukulu, usiadła przy chybottliwym stole nad swoimi notatkami i pocąc się obficie, zagłębiła się w zawilości kooperacji odbiorców pomocy humanitarnej.

Klub w Loki było to rozłożyste drzewo, pod którym rozciągał się słomiany dach nad barem z drinkami i malowidłem ściennym, przedstawiającym zwierzęta dżungli. Wideo rzucało nieostre obrazy dawno rozegranych meczów piłkarskich na otynkowaną ścianę przy dźwiękach afrykańskiej muzyki

wydawanych przez głośniki. Radosne okrzyki rozpoznających się przyjaciół przesywały wieczorne powietrze. Pracownicy agencji humanitarnych z odległych miejsc witali się w różnych językach, obejmowali się, dotykali twarzy, spacerowali ramię w ramię. To mógłby być mój duchowy dom, pomyślała z zalem. To są moi duchowi bracia. Ta ich pogarda dla podziałów klasowych, rasowych, ich zapał, młodość, to wszystko jest i we mnie. Zamelduj się w Loki i nastrój duszę na odbiór świętości! Lataj samolotami tu i tam, ciesz się swoim romantycznym wizerunkiem i adrenaliną niebezpieczeństwa! Zapomnij o seksie i wiedz życie nomada, z dala od poplątanych stosunków między ludźmi. Żadnej więcej drętwej pracy biurowej i zawsze trochę trawki, żeby sobie po drodze zapalić! Chwała i chłopcy, gdy wraca się z wyprawy w teren, pieniądze i jeszcze więcej chłopców, gdy jedzie się na wypoczynek! Komu trzeba więcej?

Mnie.

Po pierwsze, chciałabym zrozumieć, komu jest potrzebny ten cały bałagan. I czemu ma on służyć. Chciałabym mieć odwagę Tessy i powiedzieć tak jak ona: Loki nie ma większego usprawiedliwienia dla swojego istnienia niż miał mur berliński. To pomnik dyplomatycznej porażki. Bo jaki jest, do cholery, sens utrzymywania rolls-royce'ów w charakterze ambulansów pogotowia ratunkowego, skoro politycy nie robią nic, żeby zapobiec wypadkom?

Noc zapadła w ciągu sekundy. Żółte światła zastąpiły słońce, ptaki przestały plotkować, potem znów podjęły swoje ptasie rozmowy, na znośniejszym poziomie. Siedziała za długim stołem, a o trzy miejsca od niej siedziała Judith, obejmując ramieniem antropologa ze Sztokholmu. Ghita pomyślała, że nie czuła się tak od czasu, gdy była nowa w szkole zakonnej, tyle że w szkole zakonnej nie pije się piwa ani nie ma się za stołem, tuż obok siebie, pół tuzina przystojnych chłopców z różnych stron świata i tuzina męskich oczu, oceniających jej seksualną atrakcyjność i dostępność. Słuchała opowieści o miejscach, o których wcześniej nie słyszała i o wyczynach tak niesamowitych, że w jej przekonaniu nigdy nie mogłaby ich dokonać. Robiła co w jej mocy, żeby wyglądać na obytą i tylko z lekką podekscytowaną. Mówił właśnie Jankes z New Jersey, Hank, zwany Jastrzębiem. Według Judith, był kiedyś bokserem i egzekutorem długów, który podjął pracę humanitarną jako alternatywę dla przestępczego życia. Rozwodził się o zbrojnych frakcjach działających w dorzeczu Nilu: jak SPLE tymczasowo podlizuje się SPLM; jak SSIM kopie w dupę jakiś inny zestaw literek, wyrzynając ich mężczyzn, porywając kobiety i bydło i ogólnie rzecz biorąc, powiększając swój wkład w parę milionów policzonych już ofiar bezmózgiej serii sudańskich wojen domowych. A Ghita popijała piwo i robiła, co mogła, żeby uśmiechać się do Hanka, zwanego Jastrzębiem, bo jego monolog zwrócony był najwyraźniej

tylko do niej, jako do nowej i jako do jego następnego podboju. Dlatego ulżyło jej, gdy z ciemności wyłoniła się pulchna Afrykanka w nieokreślonym wieku, ubrana w szorty, trampki i czapkę londyńskiej straganiarki, klepiła ją w ramię i krzyknęła:

- Jestem Sudan Sarah, kochana, a więc ty musisz być Ghita. Nikt mi nie powiedział, że jesteś taka śliczna. Chodź, moja droga, napijemy się herbaty.

Bez wielkich ceremonii pociągnęła ją za sobą i przeprowadziła przez labirynt biur do tukulu wyglądającego jak domek plażowy na palach, z jednym łóżkiem, lodówką i półką na książki wypełnioną oprawionymi pod kolor tomami klasycznej angielskiej literatury od Chaucera po Jamesa Joyce'a.

A na zewnątrz była mała weranda, gdzie można było usiąść i walczyć z insektami, czekać, aż zagotuje się woda w czajniku.

- Słyszałam, że teraz chcą aresztować Arnolda - powiedziała spokojnie Sudan Sarah, gdy już należycie opłakała śmierć Tessy. -No cóż, powinni to zrobić. Jeśli chce się koniecznie ukryć prawdę, to przede wszystkim trzeba ludziom podsunąć jakąś inną prawdę, żeby ich uciszyć. Inaczej zaczną się zastanawiać, czy ktoś nie ukrywa przed nimi tej najprawdziwszej prawdy, a wtedy jest źle.

Wychowawczyni, pomyślała Ghita. Albo guwernantka. Przyzwyczajona do rozwijania myśli i do powtarzania ich roztrzępanych dzieciom.

- Po morderstwie nadchodzi czas na tuszowanie prawdy - kontynuowała Sarah tym samym dobrotliwym tonem. -I nie wolno nam zapominać, że ładne zatuszowanie prawdy jest znacznie trudniejsze od brzydkiego morderstwa. Zbrodnia! Zbrodnia zawsze może ujść na sucho. Ale tuszowanie prawdy może cię zaprowadzić do więzienia. - Podkreślała swoje słowa wielkimi rękami. - Tu zakryjesz kawałek, a tam - trach - i wyskoczy inny kawałek. Więc zakrywasz ten nowy kawałek. Wtedy się odwracasz i widzisz, że tamten pierwszy kawałek znów wyszedł na wierzch. I znów się odwracasz i widzisz, jak wychodzi trzeci kawałek, jak wystawia paluch z piasku. To pewne jak to, że Kain zabił Abła. Więc co mam ci powiedzieć, kochana? Czuję, że nie mówimy o tym, co chciałabyś usłyszeć.

Ghita zaczęła podstępnie. Powiedziała, że Justin usiłuje skleić obraz ostatnich dni Tessy. Chciałby się upewnić, że jej ostatnia wizyta w Loki była szczęśliwa i owocna. Czy Sarah mogłaby powiedzieć, co konkretnie zrobiła Tessa na seminarium świadomości płci? Czy Tessa miała jakiś odczyt oparty na jej wiedzy prawniczej albo na doświadczeniu z kobietami w Kenii? Czy był jakiś szczególnie epizod albo szczęśliwa chwila, którą Sarah sobie przypomina, bo Justin chciałby o tym usłyszeć?

Sarah słuchała jej z zadowoleniem, oczy pobłyskiwały jej spod daszka czapki straganiarki, muskała wargami herbatę, a jednocześnie wielką dłonią odganiała moskity, nie przegapiając ani jednej okazji, żeby uśmiechnąć się do ludzi przechodzących obok albo pomachać do nich ręką.

- Hej, Jeannie, słodziutka, niegrzeczna dziewczynko! Co ty robisz z tym obibokiem Santo? Masz zamiar napisać o tym do Justina, kochanie?

Pytanie zaniepokoiło Ghitę. Czy to dobrze, czy źle, że Sarah proponuje jej pisanie do Justina? Czy to jakaś insynuacja? W Wysokiej Komisji Justin jest czarną owcą. Czy tutaj też?

- Jestem pewna, że Justin chciałby, żebym do niego napisała - przyznała niezręcznie. - Ale zrobię to tylko wtedy, gdy będę mogła napisać coś, co go uspokoi. Chodzi mi o to, że nie napiszę niczego, co mogłoby go zranić - zaczęła się motać. - Justin wie, że Tessa i Arnold podróżowali razem. Do tej pory dowiedział się o tym cały świat. Cokolwiek było między nimi, on się z tym pogodził.

- Kochana, między nimi niczego nie było, wierz mi - powiedziała Sarah ze śmiechem. - To tylko gazety tak gadają. Wiem na pewno. Hej, Abby, jak ci leci, złotko? To moja siostra Abby. Ma więcej, niż zasługuje, była zamężna już prawie cztery razy.

Znaczenie obu tych zdań, o ile miały jakieś znaczenie, umknęło Ghicie. Była zbyt zajęta podbudowywaniem swoich słów, które coraz bardziej przypominały głupie kłamstwo.

- Justin chce zapłacić wszystkie luki - brnęła odważnie naprzód. - Chce uporządkować wszystkie szczegóły. Tak, żeby móc złożyć wszystko, co robiła i o czym myślała w swoich ostatnich dniach. Chodzi mi o to, oczywiście - że gdybyś mi powiedziała coś, co mogłoby dla niego być bolesne - to nawet nie próbowałabym tego przekazać.

- Tip-top - powtórzyła Sarah i znów pokręciła głową, uśmiechając się do siebie. - To dlatego zawsze kochałam język angielski. Tip-top, to dobre słowo, prawda? No dobrze, a co twoim zdaniem robili, gdy tutaj byli? Pili sobie z dzióbków jak nowożeńcy? To nie w ich stylu.

- Chodzili na warsztaty. Czy ty też tam chodziłaś? Pewnie sama je prowadziłaś, albo robiłaś coś fajnego. Nie zapytałam, co tu robisz. Przepraszam.

- Nie przepraszaj, kochana. Nie jest ci przykro, tylko jesteś małą dziewczynką. Wcale nie tip-top, póki co. - Roześmiała się. - No cóż, teraz sobie przypominam. Chodziłam na warsztaty. Może je prowadziłam. Robiliśmy to na zmianę. Pamiętam, że to była dobra grupa. Dwie bystre kobiety Dhiaków, wdowa z Aweil, trochę pompatyczna, ale otwarta mimo całej swojej pompatyczności i dwie nielegalne imigrantki nie wiem skąd. Powiem wprost, to

był dobry zespół. Ale co te kobiety zrobią, jak wrócą do domu w Sudanie, tego nie wie nikt.

- Może Tessa miała jakieś związki z imigrantkami — powiedziała z nadzieją Ghita.

- Może tak, kochana. Ale większość tych kobiet nigdy wcześniej nie leciała samolotem. Chorowały i bały się, więc naszym pierwszym zadaniem było podnieść je na duchu, zanim zaczną rozmawiać i słuchać, co się do nich mówi. Niektóre tak się bały, że nie odzywały się do nikogo, po prostu chciały wracać do domu, do swoich domowych upokorzeń. Kochana, nigdy nie bierz się do tego interesu, jeśli obawiasz się porażki, tak mówię ludziom. Patrz na swoje sukcesy, to dobra rada Sudan Sarah, i zapomnij o niepowodzeniach. Nadal chcesz, żebym ci powiedziała o tych warsztatach?

Ghita była coraz bardziej zmieszana.

- Czy była z nich zadowolona?

- A skąd mogę o tym wiedzieć, kochana, no skąd?

- Musiałaś coś zapamiętać, co powiedziała, co zrobiła. Nie zapominaj się Tessy tak łatwo. - Uznała, że j est nieuprzejma, ale machnęła na to ręką. - Ani Arnolda.

- Nie powiem, żeby coś dodała do tych dyskusji, kochana, bo tego nie zrobiła. Tessa nie uczestniczyła w dyskusjach. Jestem tego pewna.

- A Arnold?

- Też nie.

- Nawet nie wygłosił referatu?

- W ogóle nic nie mówili, kochana.

- Po prostu siedzieli i milczeli? Oboje? To nie w stylu Tessy, żeby nie mówić. Ani Arnolda, jeśli chodzi o te sprawy. Jak długo trwał ten kurs?

- Pięć dni. Ale Tessa i Arnold nie zostali w Loki. Niewielu tak robi. Każdy, kto tu przyjeżdża, chce pojechać gdzieś indziej. Tessa i Arnold nie różnili się od innych - przerwała i przyjrzała się uważnie Ghicie, jakby sprawdzała, czy można jej powiedzieć coś ważnego. - Wiesz, o czym mówię, kochana?

- Obawiam się, że nie.

- Może wiesz, o czym nie mówię?

- Tego też nie wiem.

- Więc o co ci, do diabła, chodzi?

- Staram się dowiedzieć, co oni tu robili w ciągu swoich paru ostatnich dni. Justin napisał do mnie i prosił o to.

- A masz przypadkiem jego list ze sobą, kochana?

Ghita wyjęła list z nowej torby, którą kupiła na tę wyprawę. Sarah poszła do tukulu, żeby go przeczytać przy świetle żarówki zwisającej z sufitu,

potem wróciła na werandę i usiadła na krześle. Widać było, że przeżywa jakąś rozterkę.

- Powiesz mi coś, kochana?
- Jeśli będę mogła.
- Czy Tessa powiedziała ci osobiście, swoimi słodkimi usteczkami, że razem z Arnoldem jedzie do Loki na warsztaty dla kobiet?

- Tak powiedziała wszystkim.
- I ty jej uwierzyłaś?
- Uwierzyłam. Wszyscy uwierzyliśmy. Justin uwierzył. Nadal wierzymy.
- I Tessa była twoją bliską przyjaciółką? Jak siostra, z tego co słyszałam. Ale mimo to nawet ci nie wspomniała, że ma tu co innego do roboty? Ani że warsztaty to zwyczajny pretekst, wymówka, tak jak współpraca i koordynacja to pretekst dla ciebie?

- Na początku naszej przyjaźni Tessa mówiła mi różne rzeczy. Potem zaczęła się o mnie niepokoić. Sądziła, że powiedziała mi za dużo. Uważała, że nie powinna tak mnie obarczać. Jestem zatrudniona czasowo, jako pracownik miejscowy. Wiedziała, że będę się starać o stały etat i przystąpię jeszcze raz do egzaminów.

- Nadal tak sobie wyobrażasz swoje życie?

- Tak. Ale to nie znaczy, że nie można mi powiedzieć prawdy.

Sarah wypila łyk herbaty, pociągnęła za brzeg daszka czapki i rozsiała się wygodnie.

- O ile dobrze zrozumiałam, to masz zamiar zostać tu przez trzy doby?

- Tak. Wracam do Nairobi w czwartek.

- To miło. Bardzo miło. Będziesz miała niezłą konferencję. Judith to utalentowana, praktyczna kobieta, która nikomu nie da wciskać sobie kitu. Trochę ostra wobec wolniej myślących, ale nie rozmyślnie nieuprzejma. Jutro wieczorem przedstawię cię mojemu przyjacielowi, kapitanowi McKenzie. Nigdy o nim nie słyszałaś?

- Nie.

- Tessa ani Arnold nigdy nie wspomnieli o kapitanie McKenzie w twojej obecności?

- Nie.

- No tak, kapitan jest naszym pilotem, w Loki. Dziś poleciał do Nairobi, więc musieliście się minąć w powietrzu. Ma tam jakieś dostawy, które musi zabrać i jakieś interesy do załatwienia. Spodoba ci się kapitan McKenzie. To uprzejmy człowiek i ma więcej serca niż inni ciała. Niewiele tu się dzieje, co umknęłoby jego uwagi i niewiele też o tym mówi. Kapitan walczył w wielu paskudnych wojnach, ale teraz jest oddanym sprawie pacyfistą i dlatego jest tutaj, w Loki, i karmi mój głodujący lud.

- Dobrze znał Tessę? - zapytała z obawą Ghita.
- Kapitan McKenzie znał Tessę i uważał ją za porządną kobietę. Kapitan McKenzie nie interesuje się mężatkami bardziej niż... powiedzmy niż Arnold. I lepiej znał Arnolda niż Tessę. Kapitan uważa, że policja w Nairobi zwariowała, rzucając się w pościg za Arnoldem i chce im o tym powiedzieć. To jeden z głównych powodów, dla których wybrał się do Nairobi. A im nie będzie się podobało to, co chce powiedzieć, bo wierz mi, kapitan McKenzie mówi prawdę bez ogródek.
- Czy był tutaj, kiedy Tessa i Arnold przyjechali na warsztaty?
- Był. I częściej widywał Tessę niż ja, kochana - przerwała na chwilę i patrzyła z uśmiechem w gwiazdy, a Ghita pomyślała, że Sarah podejmuje jakąś decyzję - na przykład, czy mówić otwarcie, czy zachować tajemnicę dla siebie. Podobne pytania Ghita zadawała sobie przez ostatnie trzy tygodnie.
- No dobrze, kochana - odezwała się wreszcie Sarah. - Wysłuchałam cię. I przyjrzałam ci się, i myślałam o tobie, i martwiłam się o ciebie. I doszłam do wniosku, dziewczyno, że masz olej w głowie i że jesteś dobra, że jesteś przyzwoitym człowiekiem z dobrze rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności, co sobie cenię. Ale jeśli nie jesteś taka i źle cię oceniłam, to mówiąc między nami, możemy napisać kapitanowi McKenzie mnóstwo biedy. Mam zamiar zapoznać cię z niebezpieczną wiedzą, a kiedy już raz ją posiadasz, nie ma sposobu, żebyś się jej pozbyła. Więc proponuję, żebyś teraz powiedziała mi, czy przeceniłam twoje możliwości, czy też oceniłam cię właściwie.
- Rozumiem - powiedziała Ghita.
- Więc teraz mi powiesz, czy źle oceniłam cię na podstawie tego, co zobaczyłam, co usłyszałam i co pomyślałam o tobie? Czy powinnam powiedzieć, co wiem, a ty będziesz nosiła to ciężkie brzemię przez całe życie?
- Zaufaj mi.
- Myślałam, że tak powiesz, więc posłuchaj mnie. Będę mówić cicho, więc nachyl się do mnie. - Podwinęła daszek czapki, żeby Ghita mogła bardziej się zbliżyć. - Tessa nigdy nie była na tych warsztatach. Arnold też nie. Kiedy tylko było to możliwe, Tessa i Arnold wsiedli na pakę jeepa mojego przyjaciela, kapitana McKenzie, i po cichu, spokojnie, pochylając nisko głowy, wyjechali na lotnisko. A kapitan McKenzie, kiedy tylko to było możliwe załadował ich do samolotu i poleciał z nimi na północ bez paszportów, wiz i innych dokumentów wymaganych przez sudańskich powstańców, którzy nie mogą się powstrzymać przed bratobójczymi walkami i nie są w stanie się zjednoczyć przeciwko złym Arabom z północy, którym się wydaje, że Allah wybaczy im wszystko, jeśli nawet prorok im nie wybaczy.

Ghita myślała, że Sarah skończyła mówić, ale ona dopiero zaczęła.

- Następny problem stworzył Moi, który nie jest w stanie poradzić sobie z tym pchlim cyrkiem nawet z pomocą całego swojego rządu, ale wbił sobie do głowy, jak zapewne zauważyłaś, że to on zarządza lotniskiem w Loki. Pan Moi niezbyt lubi organizacje pozarządowe, ale na opłaty lotniskowe ma wielki apetyt. A doktorowi Arnoldowi bardzo zależało na tym, żeby pan Moi i jego ludzie nie dowiedzieli się o ich podróży do celu, który sobie wyznaczili.

- Więc dokąd poleciecieli? - wyszeptwała Ghita.

- Nigdy o to nie pytałam, bo jeśli czegoś nie wiem, to nie powiem tego nawet przez sen. Choć nikt mnie ostatnio nie słyszał mówiącej przez sen. Jestem za stara. Ale kapitan McKenzie wie, co rozumie się samo przez się. Następnego dnia rano kapitan dyskretnie przywiózł ich z powrotem, tak jak wywiózł poprzedniego dnia. A doktor Arnold powiedział mi: "Sarah", tak powiedział, "nigdzie się stąd nie ruszaliśmy. Siedzieliśmy na twoich warsztatach dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tessa i ja będziemy ci wdzięczni, jeśli nie zapomnisz o tym". Ale Tessa nie żyje i nie będzie już wdzięczna za dyskrecję ani Sudan Sarah, ani nikomu innemu. A doktora Arnolda, o ile wiem, spotkał los gorszy od śmierci. Bo cały ten Moi ma swoich ludzi wszędzie, a oni kradną i zabijają wedle upodobania, to znaczy, że zabijają na lewo i prawo. Jeśli schwytają człowieka i będą chcieli wyciągnąć z niego jakieś informacje, zapomną o wszelkich ludzkich uczuciach i dobrze, żebyś o tym pamiętała dla własnego dobra, kochana, bo właśnie wypłynełaś na głębokie wody. I dlatego pomyślałam, że koniecznie musisz porozmawiać z kapitanem McKenzie, bo on wie o sprawach, których ja się tylko domyślałam. Bo Justin, dobry człowiek, jak słyszałam, musi mieć wszelkie informacje dotyczące jego zmarłej żony i doktora Arnolda. Mam rację, czy może się mylę?

- Masz rację - odparła Ghita.

Sarah dopiła herbatę i odstawiła kubek.

- Doskonale. Więc idź, zjedz coś, wzmocnij się, a ja tu jeszcze posiedzę, kochana, bo tam będą gadać, gadać, gadać, o czym już wiesz. I nie ruszaj curry z koziego mięsa, kochana, choćbyś nie wiem jak lubiła kozie mięso. Bo ten młody Somalijczyk, szef kuchni, który pewnego dnia zostanie świetnym prawnikiem, nie umie tego przyrządzać.

Ghita nie pamiętała potem, jak udało się jej przetrwać pierwszy dzień obrad, ale kiedy zegar wybił piątą - chociaż to był tylko zegar w jej głowie - z satysfakcją stwierdziła, że nie zrobiła z siebie idiotki, że mówiła w sam

raz- ani za dużo, ani za mało- że wysłuchała z pokorą opinii starszych i bardziej doświadczonych uczestników i że poczyniła obfite notatki do jeszcze jednego raportu, którego nikt nie przeczyta.

- Zadowolona, że przyjechałaś? - zapytała Judith, radośnie chwytając ją za ramię, kiedy spotkanie się skończyło. - Więc spotkamy się w klubie.

- To dla ciebie, kochana - powiedziała Sarah, wyłaniając się z chaty dla personelu, żeby wręczyć jej brązową kopertę. - Życzę miłego wieczoru.

- Ja tobie też.

Pismo Sarah wyglądało jak ze szkolnego zeszytu.

Ghito, kochana!

Kapitan McKenzie zajmuje tukul Entebbe, numer czternasty, przy lotnisku. Weź ze sobą latarkę na wypadek, gdyby wyłączono prąd. Będzie mu miło przyjąć cię o dziewiątej, jak zjesz kolację. Jest dżentelmenem, więc nie musisz się niczego obawiać. Daj mu, proszę, tę kartkę, żebym była pewna, że pozbyt się jej bez śladu. Uważaj teraz na siebie i pamiętaj, co mówiłyśmy o dyskrecji.

Sarah.

Nazwy tukuli przypominały Ghicie pułkowe tablice upamiętniające poległych w bitwach, wiszące w wiejskim kościele niedaleko jej szkoły zakonnej w Anglii. Drzwi do Entebbe były uchylone, ale ramę z siatką przeciw moskitom szczelnie wciśnięto w otwór. Kapitan McKenzie siedział przed rzucającą błękitny półcień lampą sztormową, toteż, gdy Ghita podeszła bliżej, zobaczyła tylko jego sylwetkę pochyloną nad biurkiem. Pisał coś jak średniowieczny mnich. Pierwsze wrażenie wiele dla niej znaczyło, zatrzymała się więc na chwilę i przyglądała nieruchomej postaci, zdradzającej jego nieugiętą naturę wojskową. Już miała zastukać, ale kapitan McKenzie albo ją zobaczył, albo domyślił się jej obecności, bo szybko wstał, zrobił dwa sprężyste kroki w kierunku drzwi z siatką i otworzył je.

- Jestem Rick McKenzie. Wpadłaś w samą porę. Masz dla mnie liścik?

Nowozelandczyk, pomyślała i wiedziała, że trafiła. Czasem zawodziła ją znajomość angielskich nazwisk i akcentów, ale nie tym razem. Nowozelandczyk, po bliższym przyjrzeniu się raczej w okolicach pięćdziesiątki niż trzydziestki, ale tego mogła się tylko domyślać po żyłkach na chudych policzkach i srebrzystym nalocie na podstrzyżonych czarnych włosach. Wręczyła mu list od Sarah i przyglądała się, jak odwraca się do niej plecami i podnosi liścik do błękitnej lampy. Przy jaśniejszym rozbłysku zobaczyła surowy; czysty pokój z deską do prasowania, wypolerowanymi brązowymi

butami i żołnierskim łóżkiem zasłanym tak, jak uczono ją ślać łóżka w szkole klasztornej - najpierw podwinąć rogi, potem złożyć na kocu prześciera-
dło, potem jeszcze raz odwinąć, żeby powstał trójkąt równoboczny.

- Dlaczego nie usiądziesz? - zapytał, wskazując kuchenne krzesło. Kiedy podeszła do niego, przeniósł błękitną lampę na podłogę przed wej ściem do tukulu.

- W ten sposób nikt nie będzie mógł zajrzeć do środka- wyjaśnił. - Mamy tu etatowych podglądaczy. Chcesz coca-coli? - Wręczył jej butelkę, stając na odległość wyciągniętej ręki. - Sarah mówi, że jesteś osobą godną zaufania, Ghito. To mi wystarczy. Tessa i Arnold nie ufali w tej sprawie nikomu, tylko sobie. I mnie, bo nie mieli innego wyjścia. Ja też tak lubię pracować. Słyszałem, że przybyłaś tu na warsztaty. To było pytanie.

- Seminarium jest pretekstem. Justin napisał do mnie i prosił, żeby sprawdzić, co Tessa i Arnold robili w Loki, zanim zginęli. Nie wierzysz w historie o warsztatach świadomości płci.

- I ma cholerną rację. Masz ten list?

To moja legitymacja, pomyślała. Dowód dobrej woli jako wysłannika Justina. Podała mu list i patrzyła, jak, założywszy proste okulary w stalowej oprawie, nachyla się nad kręgiem niebieskiego światła tak, żeby nie było go widać przez drzwi.

Oddał jej kartkę.

- A więc słuchaj - powiedział.

Ale najpierw nastawił radio tak, żeby osiągnąć, jak to pedantycznie nazywał, "akceptowalny poziom dźwięku".

Ghita leżała na łóżku pod prześcieradłem. Noc nie była chłodniejsza od dnia. Przez siatkę, która ją otaczała, widziała czerwony blask spirali na morskity. Zaciągnęła zasłony, ale były bardzo cienkie. Przez okno dolatywały ją głosy i stukot kroków i za każdym razem, kiedy ktoś przechodził, miała ochotę wyskoczyć z łóżka i krzyknąć: "hej!". Myślała o Glorii, która tydzień temu, ku jej zakłopotaniu, zaprosiła ją na partię tenisa do klubu.

- Powiedz mi, kochana - zapytała ją po tym, jak sprawiła jej sążniste lanie: sześć gemów do dwóch w każdym z trzech setów. Szły obok siebie do budynku klubu. - Czy Tessa była zadurzona w Sandym albo na odwrót?

I wtedy Ghita, mimo całego swego umiłowania prawdy, zełgała, patrząc Glorii prosto w oczy i nawet się zarumieniała:

- Jestem całkowicie pewna, że niczego takiego nie było z żadnej strony. Dlaczego tak myślisz, Glorio?

- Nie wiem, kochana. To drobiazg. Może to ten jego wzrok podczas pogrzebu...

A potem wróciła myślami do kapitana McKenziego.

- Jest taki zwariowany Bur, który prowadzi punkt z żywnością, dziesięć kilometrów na zachód od miasteczka Mayan - powiedział ściszym głosem. - Trochę nawiedzony.

18

Twarz mu pociemniała, bruzdy pogłębiły się. Białe światło bijące od wielkiego nieba nad Saskatchewan nie było w stanie jej rozjaśnić. Miasteczko, położone o trzy godziny drogi pociągiem od Winnipeg, leżało zagubione pośrodku śnieżnej pustyni. Justin przemierzał je z determinacją, unikając wzroku rzadko napotykanym przechodniów. Nawet wiatr od Jukonu, gdzieś znad samej Arktyki, który jak rok długi chłostał płaską prerię, pokrywał lodem śnieg, zginał pszenicę, uderzał w znaki drogowe i druty nad ulicami, nie był w stanie wywołać rumieńców na jego wychudzonych policzkach. Przenikliwie zimno - ponad dwadzieścia stopni poniżej zera - tylko przynaglało go do dalszego marszu. W Winnipeg, zanim wsiadł do pociągu, kupił watowany płaszcz, futrzaną czapkę i rękawice. Furia siedziała w nim jak zadra. Prostokątna kartka papieru maszynowego włożona do portfela głośno:

NATYCHMIAST WRACAJ DO DOMU I SIEDŹ CICHO, BO DOŁĄCZYSZ DO SWOJEJ ŻONY.

Ale to właśnie żona go tu sprowadziła. To ona uwolniła mu ręce, rozwiązała kaptur. To ona podniosła go na kolana przy łóżku i pomogła dostać się do łazienki. Przy jej pomocy, trzymając się wanny, stanął zgięty w pół, odkręcił prysznic i oblał wodą twarz, przód koszuli i kołnierz marynarki, bo wiedział - ostrzegła go przed tym - że jeśli się rozbierze, nie będzie już w stanie się ubrać. Koszulę miał brudną, marynarkę umazaną wymiotami, ule udało mu się zetrzeć wszystko, prawie do czysta. Chciał pójść spać, ale nie pozwoliła mu. Spróbował się uczesać, ale nie mógł podnieść ramion. Miał całodobowy zarost, ale nic nie mógł na to poradzić. Gdy stanął, zakreśliło mu się w głowie i był szczęśliwy, że zdołał dotrzeć do łóżka, zanim się przewrócił. Ale to za jej poradą, leżąc w kuszącym półomdleniu, nie podniósł słuchawki, żeby zadzwonić do recepcji albo przywołać medyczne umiejętności doktor Birgit. Nikomu nie ufaj, powiedziała Tessa, więc nie ufaj nikomu. Czekał, aż

świat sam dojdzie do ładu, potem znów wstał i zatoczył się po pokoju, zadowolony, że pokój ma tak mizerne rozmiary.

Płaszcz przewiesił przez oparcie krzesła. Nadal tam był. Ku jego zaskoczeniu, także koperta od Birgit była na miejscu. Otworzył szafę. W jej tylną ściankę wbudowano sejf, drzwiczki miał zamknięte. Wystukał datę swojego wesela, niemal mdlejąc z bólu, za każdym razem, gdy dźgał palcem w klawisz. Drzwiczki otworzyły się i ukazały drzemiący spokojnie paszport Petera Atkinsona. Ręce miał poobijane, ale nie połamane, wydobyl paszport i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z trudem włożył płaszcz, udało mu się zapiąć go pod szyją, a potem przepasać w talii. Postanowił podróżować bez ciężkich bagaży, miał tylko torbę na ramię. Pieniądze nadal w niej były. Zebrał przybory do golenia z łazienki, koszule i bieliznę z komody i wrzucił wszystko do torby. Na wierzchu położył kopertę od Birgit i zapiął suwak. Zarzucił pasek na ramię i zawył z bólu jak pies. Na zegarku była piąta rano, mechanizm wydawał się nieuszkodzony. Wpadł na korytarz i potoczył się wzdłuż ściany do windy. W holu na parterze dwie kobiety w tureckich szatach obsługiwały wielki odkurzacz. Portier nocny, starszy człowiek, drzemał za kontuarem. Justinowi udało się jakoś podać numer swojego pokoju i poprosić o rachunek, włożyć rękę do kieszeni, wyciągnąć kilka banknotów ze zwitka i dodać suty napiwek "spóźniony bożonarodzeniowy".

- Pozwoli pan, że wezmę jeden? - zapytał głosem, którego nie rozpoznawał. Wskazał na pęk parasoli wciśniętych w gliniany wazon obok drzwi.

- Niech pan weźmie tyle, ile pan chce - odparł stary portier.

Parasol miał solidną jesionową rączkę sięgającą Justinowi do biodra. Z jego pomocą przeszedł przez pusty plac przed dworcem kolejowym. Gdy doszedł do stopni prowadzących do sali dworcowej zatrzymał się, żeby odpocząć i ze zdziwieniem odkrył, że obok niego stoi portier. Pomyślał, że to Tessa.

- Da pan radę? - zapytał portier.

- Tak.

- Czy mam kupić panu bilet?

Justin odwrócił się i nadstawił kieszeń.

- Zurych - powiedział. - Jeden.

- Pierwsza klasa?

- Oczywiście.

Szwajcaria była jego marzeniem z dzieciństwa. Czterdzieści lat temu rodzice zabrali go na wakacje połączone z pieszymi wędrówkami po Engadine i zatrzymali się w hotelu, położonym w lesie między dwoma jeziorami.

Nic się nie zmieniło. Ani wypolerowany parkiet, ani witrażowe okna, ani surowa twarz pokojowego, który zaprowadził go do numeru. Odpoczywając na leżaku, na balkonie, Justin patrzył na te same tafle dwóch jezior lśniąca w promieniach zachodzącego słońca i na tego samego rybaka skulonego w łodzi, za mgłą. Dni mijały nieliczone, jedynymi przerywnikami były wizyty w uzdrowisku i gong, jak dzwon w godzinę śmierci, wzywający go na samotne posiłki wśród poszeptujących starych małżeństw. W bocznej uliczce, zabudowanej wiekowymi domkami, błąd lekarz i jego asystentka opatrzyli mu stłuczenia.

- Kraksa samochodowa - wyjaśnił Justin. Lekarz spojrzął z ukosa spoza okularów. Jego młoda asystentka roześmiała się.

W nocy, jak każdej nocy od śmierci Tessy, wciągał go jego wewnętrzny świat. Trudził się przy biurku stojącym w oszklonym wykuszu, zawzięcie pisząc do Hama poobijaną prawą ręką. Snuł opowieść o mękach Markusa Lorbeera tak, jak przekazała mu to Birgit, potem ostrożnie zakończył pracę i dopisując serdeczności, czuł, jak zrlów napływa życie. Lorbeer, pokutnik, siedział na pustyni i oczyszczał się z winy dietą z szarańczy i dzikiego miodu. Justin też był samotny w obliczu swego przeznaczenia, ale miał przed sobą cel. I w jakimś ponurym sensie był oczyszczony. Nigdy nie żywił przekonania, że jego poszukiwania zakończą się szczęśliwie. W ogóle nie widział ich końca. Wystarczyło mu, że podjął misję Tessy - niósł jej sztandar, przepelniała go jej odwaga. Była świadkiem monsturalnej niesprawiedliwości i ruszyła do walki. On też to zrobił, choć za późno. Jej walka była teraz jego walką.

Ale kiedy przypomniał sobie wiekuiłą ciemność czarnego kaptura i smród własnych wymiocin, kiedy dokonał systematycznego przeglądu sińców, żółtych i niebieskich owalnych znaków, które jak kolorowe nuty biegły przez jego piersi, plecy i biodra, doświadczył innego rodzaju pokrewieństwa. Jestem jednym z was. Już nie przystrzygam róż, gdy wy szepczecie coś nad zieloną herbatą. Nie musicie zniżać głosów, kiedy podchodzę bliżej. Jestem z wami, przy jednym stole i mówię "tak".

Siódmego dnia Justin zapłacił rachunek i, prawie nie zastanawiając się nad tym, co robi, wsiadł do autobusu, a potem do pociągu jadącego do Bazylei, legendarnej doliny górnego Renu, gdzie giganty farmaceutyczne mają swoje zamki. A tam, z pokrytego freskami pałacu, wysłał grubą kopertę do starego smoka w Mediolanie.

Potem szedł. Czuł ból, ale szedł. Najpierw po wybrukowanym pagórku do średniowiecznego miasta z dzwoniczami, domami kupców, pomnikami wolnomyślicieli i ofiar tyranii. A kiedy zgodnie z planem przypomniał sobie o obowiązkach, skierował kroki nad brzeg rzeki i z placu zabaw spojrzął

w górę. Ujrzał, niemal nie dowierzając własnym oczom, rozległe, betonowe królestwo farmaceutycznych bilionerów, anonimowe koszary ustawione jeden przy drugim w walce przeciwko samotnym wrogom. Nad nimi niecierpliwie skrzypiały pomarańczowe dźwigi, niektóre pomalowane w jaskrawe pasy ostrzegawcze dla samolotów. A u ich stóp leżały linie kolejowe, place rozładunkowe, parkingi dla ciężarówek, nabrzeża, każde chronione własnym murem zwieńczonym drutem kolczastym i wypacykowanym graffiti.

Pchany naprzód siłą, której nie potrafił nazwać, przeszedł przez most i jak we śnie wędrował po ponurych pustkowiach podniszczonych bloków i sklepów z używaną odzieżą. Wokół niego przejeżdżali na rowerach gasterbeiterzy o zapadłych oczach. Niepostrzeżenie, jakby ciągnęła go jakaś magnetyczna moc, doszedł do czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak ładna trzypasmowa aleja. Na jej końcu stała przyjazna środowisku brama tak gęsto obrosnięta pnączami, że ledwie było spod nich widać dębowe drzwi z wypolerowanym mosiężnym dzwonkiem i wypolerowaną mosiężną skrzynką na listy. I dopiero gdy spojrzął w górę, jeszcze wyżej, a potem nieco w prawo, w niebo nad głową, dotarł do niego ogrom tryptyku białych wież biurowych połączonych napowietrznymi korytarzami. Okładzina z kamienia była klinicznie biała, okna przysłaniały szyby z przyciemnianego szkła. A z tyłu, spoza każdej z monstualnych wież wyrastał biały komin, ostry jak ołówek wbity w niebo. A z każdego komina mrugały do niego, jak starzy przyjaciele, złote litery KVH.

Ani wtedy, ani później nie umiał ocenić, jak długo tam stał, samotny jak owad, który wpadł w pułapkę. Od czasu do czasu wydawało mu się, że skrzydła budynku zamykają się, żeby go zmiażdżyć. Kolana się pod nim ugięły i stwierdził, że siedzi na ławce, na kawałku zdeptanej ziemi, gdzie kobiety wyprowadzają psy. Poczul lekki, ale wyraźny zapach i na moment wrócił pamięcią do kostnicy w Nairobi. Ile czasu upłynie, pomyślał, zanim przestanę czuć ten zapach? Musiał już zapaść wieczór, bo w oknach zapaliły się światła. Rozpoznawał przesuwające się sylwetki i mrugające, niebieskie światelka terminali komputerowych. Dlaczego tutaj siedzę? - zapytał ją, nie przerywając obserwacji. O czym myślę, kiedy nie myślę o tobie?

Siedziała obok niego, ale tym razem nie miała gotowej odpowiedzi. Myślę o twojej odwadze, odpowiedział za nią. Myślę, że ty i Arnold wystąpiliście przeciw temu wszystkiemu, a stary Justin troszczył się o grządki, żeby mieć dla ciebie żółte frezje. Myślę, że już nie wierzę w siebie i w to, co reprezentuję. O tym, że był czas, kiedy twój Justin, tak jak ludzie w tych budynkach, czerpał dumę z faktu, że podporządkowuje się surowemu osądowi zbiorowej woli - którą przypadkiem nazywał Krajem albo Doktryną Rozsądnego Człowieka, albo - z pewną obawą - Sprawą. Był czas, gdy myślałem, że

śmierć jednostki dla dobra ogółu może być sensowna. Nazywałem to ofiarą, obowiązkiem albo koniecznością. Był czas, gdy zdarzało mi się stawać w nocy przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych, patrzeć w oświetlone okna i myśleć: dobry wieczór, to ja, wasz uniżony sługa, Justin. Jestem częścią wielkiej, mądrej maszyny i jestem z tego dumny. Służę, więc myślę. Tymczasem teraz uważam inaczej: byłaś sarna przeciw całej tej bandzie i, jak było do przewidzenia, to oni wygrali.

Z głównej ulicy miasteczka Justin skręcił w lewo, na Dawes Boulevard, i kiedy zaczął się rozglądać po okolicy, w jego wychudzoną twarz uderzył z całą mocą wiatr od prerii. Nie zmarnował tych trzech lat, kiedy był radcą handlowym w Ottawie. Chociaż nigdy w życiu nie był w tej okolicy, wszystko, co widział, było mu znajome. Śnieg od Halloween aż do Wielkanocy, przypominał sobie. Siej po pierwszej pełni w czerwcu, a zbieraj przed pierwszym wrześnieowym przymrozkiem. Minie jeszcze kilka tygodni, zanim pierwsze wystraszone krokusy zaczną się pojawiać wśród kępek martwej trawy na lysej prerii. Po drugiej stronie ulicy stała krzykliwa i funkcjonalna synagoga, zbudowana przez osadników wyrzuconych na stacji kolejowej razem z ich złymi wspomnieniami, tekturowymi walizkami i obietnicą wolnego kraju. Sto metrów dalej wznosił się kościół unicki, a obok katolicki, prezbiteriański, świadków Jehowy i baptystów. Parkingi były zabudowane jak zelektryfikowane stajnie, żeby silniki samochodów wiernych mogły się grzać, gdy ich właściciele się modlą. Przez głowę przemknęła mu maksyma z Monteskiusza: nigdzie nie było tylu wojen domowych, co w królestwie Chrystusa.

Za domami Boga stały domy Mamony, przemysłowa dzielnica miasta. Ceny wołowiny musiały sięgnąć dna, oszacował. Bo czyż inaczej patrzyłby na "Guya Portera Wyśmienitą Wieprzowinę" - świeżutko zbudowaną fabrykę? Zboże nie radziło sobie lepiej, sądząc z tego, co zobaczył - bo co robiłaby tu "Spółka Producentów Oleju Słonecznikowego" pośrodku pola pszenicy? Ta grupka nieśmiałych facecików, wystających pod starymi kamienicami czyszczowymi przy placu dworcowym to na pewno Siuksowie albo Cree. Droga skręcała na północ i doprowadziła go do krótkiego tunelu. Gdy z niego wyszedł, ujrzał inny krajobraz - krainę łodzi mieszkalnych i rezydencji zwróconych frontem do rzeki. To tutaj bogaci Angole przystrzygają swoje trawniki, myją swoje samochody, lakierują swoje łodzie i wściekają się na Żydków, Chochłów i obdartych Indian na zasiłku. A wyżej, na wzgórzu, stał jego cel, duma miasta, klejnot Wschodniego Saskatchewan, akademicki Camelot - Uniwersytet Dawesa, celowa mieszanka średniowiecznego piaskowca, kolonialnej czerwonej cegły i szklanych kopuł. Doszedł do rozwidlenia

dróg, wspiał się na małe wzniesienie i po Ponte Vecchio z lat dwudziestych dotarł do bramy zwieńczonej blankami z połączoną tarczą herbową. Przez sklepione przejście mógł podziwiać idealne średniowieczne miasteczko uniwersyteckie i założyciela uczelni, George'a Eamona Dawesa Juniora we własnej, wykonanej z brązu, osobie - właściciela kopalń, barona kolejowego, lubieżnika, złodzieja, kata Indian i lokalnego świętego, pyszniącego się z granitowego cokołu.

Szedł dalej. Przystudiował przewodnik. Droga rozszerzała się, aż zamieniła się w plac apelowy. Wiatr podnosił ziarnisty kurz z asfaltu. Po przeciwnej stronie placu stał obrośnięty bluszczem pawilon i trzy otaczające go specjalnie dobudowane bloki ze stali i betonu. Długie oświetlone neonówkami okna dzieliły je na warstwy. Tablica informacyjna w kolorach zielonym i złotym - ulubionych kolorach pana Dawesa, tak podawał przewodnik - głosiła po francusku i po angielsku, że to szpital kliniczny. Mniejszy napis: "Pacjenci ambulatoryjni". Justin poszedł za napisami i dotarł do rzędu drzwi wahadłowych, osłoniętych falistym betonowym daszkiem, przy których wartowały dwie niezgrabne kobiety w zielonych okryciach. Życzył im dobrego wieczoru, a one wesoło go pozdrowiły. Twarz miał zmarzniętą, pobite ciało pulsowało po marszu, gorące dreszcze przechodziły od bioder po plecy. Rzucił za siebie ostatnie ukradkowe spojrzenie i wszedł na schody.

Wysoki korytarz wykładany marmurem budził żałobny nastrój. Wielki, straszny portret George'a Eamona Dawesa Juniora w stroju myśliwskim przywiódł Justinowi na myśl hol w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wzdłuż ściany biegł kontuar rejestracji szpitalnej. Jego obsadę stanowili srebrnowłosi mężczyźni i kobiety w zielonych strojach. Za chwilę zaczną do mnie mówić "sir", "szanowny panie Quayle" i powiedzą mi, że Tessa była wspaniałą, naprawdę wspaniałą damą. Przeszedł się w stronę miniaturowego pasażu handlowego. Bank Dawesa w Saskatchewan. Urząd pocztowy. Kiosk z prasą, też Dawesa. Pizza Paradise McDonalda, kafejka Starbucka, butik Dawesa sprzedający bieliznę damską, ubrania ciężowe i stroje nocne. Doszedł do zbiegu korytarzy, wypełnionego pobrzękiwaniem i skrzypieniem stolików na kółkach, wyciem wind, cichym echem szybkich kroków i piśkiem telefonów. Pełni obawy odwiedzający stali i siedzieli wokół. Personel w zielonych fartuchach wchodził spieszenie jednymi drzwiami i wychodził drugimi. Nikt nie miał złotych pszczoł na kieszonce.

Wielka tablica ogłoszeniowa wisiała obok drzwi z napisem "Tylko dla lekarzy". Z dłońmi złączonymi za plecami w geście mającym podkreślać autorytet, Justin przejrzał ogłoszenia. Opiekunki, łodzie i samochody, poszukuję i pozbędę się. Wesoły Klub Dawesa, Kurs Czytania Biblii Dawesa, Towarzystwo Etyczne Dawesa. Jakiś anestezjolog poszukuje brązowego psa

średniej budowy, co najmniej trzyletniego, "musi lubić długie wyprawy". Towarzystwo Pożyczkowe Dawesa, Towarzystwo Stypendialne Dawesa. Msza w kaplicy pamiątkowej Dawesa za duszę doktor Miarii Kowalski - czy ktokolwiek wie, jaką muzykę lubiła, o ile w ogóle lubiła muzykę? Harmonogramy dyżurów: lekarze pod telefonem, wolne dni, lekarze dyżurni. Wesoly plakat oznajmiający, że w tym tygodniu dla studentów darmowe pizze funduje Karel Vita Hudson z Vancouver - "a może wybieriecie się na nasz firmowy obiad i pokaz filmów w dyskotecie? Wystarczy wypełnić zaproszenie, które dostaniecie wraz z pizzą, żeby dostać darmowy bilet na fantastyczną zabawę!".

Ale o doktor Larze Emrich, do niedawna czołowej postaci wśród nauczycieli akademickich Uniwersytetu Dawesa, eksperta od wieloodpornych szczepów gruźlicy, do niedawna sponsorowanym przez KVH pracowniku naukowym i współodkrywczyńcu cudownego leku dypraxa, nie było ani słowa. Nie miała wolnego, nie była pod telefonem. Jej nazwisko nie figurowało w spisie numerów wewnętrznych, wiszącym na frędzlastym zielonym sznurku obok tablicy ogłoszeniowej. Nie szukała brązowego psa średniej budowy. Jedynym śladem jej obecności była zapisana ręcznym piśmem kartka pocztowa zesłana na sam dół tablicy, prawie niezauważalna, wyrażająca ubolewanie, że "na polecenie dziekana" zaplanowane spotkanie saskatchewanskiej komisji etyki lekarskiej nie odbędzie się na terenie Uniwersytetu Dawesa. O nowym miejscu spotkania zainteresowani zostaną powiadomieni możliwie jak najszybciej.

Ciało zaczęło robić mu sceny z zimna i wyczerpania, więc ustąpił i wziął taksówkę, żeby wrócić do swojego nierzucającego się w oczy motelu. Tym razem był sprytny. Biorąc przykład z Lesley, wysłał list za pośrednictwem kwiaciarni razem z hojnym bukietem kwiatów od kochanka.

Jestem angielskim dziennikarzem, przyjacielem Birgitz "Hippo". Zbieram materiał do tekstu o śmierci Tessy Ctuayle. Czy zechciałaby Pani zadzwonić do mnie do Saskatchewan Man Motel, pokój osiemnasty, po siódmej wieczorem? Proponuję, żeby skorzystała pani z budki telefonicznej z dala od pani miejsca zamieszkania.

Peter Atkinson

Później jej powiem, kim jestem, pomyślał. Nie mogę jej wystraszyć. Muszę wybrać czas i miejsce. Myśleć. Jego incognito było już mocno nadwerżone, ale innego nie miał. Był Atkinsonem w niemieckim hotelu i At-

kinsonem, gdy go bili. Ale zwracali się do niego "panie Quayle". Mimo to z Zurychu do Toronto poleciał jako Atkinson, wylądował w ceglany m pensjonacie blisko dworca i z surrealistyczną obojętnością wysłuchał ze swojego radjka o zakrojonej na światową skalę obławie na doktora Arnolda Bluhma poszukiwanego w związku z zamordowaniem Tessy Quayle. "Jestem zwolennikiem hipotezy Oswalda, Justinie... Arnold Bluhm stracił panowanie nad sobą i zabił Tessę...". Potem wsiadł do pociągu do Winnipeg, przeczekał dzień, potem wsiadł do innego i przyjechał do tego miasteczka. Nie oszukiwał się. Miał nad nimi przewagę kilku dni, ale w cywilizowanym kraju nigdy nie wiadomo.

- Peter?

Justin obudził się nagle i spojrzał na zegarek. Dziewiąta wieczór. Obok telefonu położył notatnik i pióro.

- Tu Peter.

- Jestem Lara - zabrzmiało jak skarga.

- Cześć, Laro, gdzie moglibyśmy się spotkać?

Westchnienie. Żałosne, śmiertelnie zmęczone westchnienie pasujące do żalosego słowiańskiego głosu.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Przed moim domem stoi samochód. Czasem przyjeżdżają furgonetką. Przez cały czas obserwują i podsłuchują. Nie możemy spotkać się dyskretnie.

- Gdzie teraz jesteś?

- W budce telefonicznej. - Wydała taki dźwięk, jakby myślała, że nie wyjdzie z niej żywa.

- Czy ktoś cię teraz obserwuje?

- Nikogo nie widzę. Ale jest noc. Dziękuję za róże.

- Możemy się spotkać tam, gdzie ci będzie odpowiadało. W domu przyjaciela. Gdzieś na dworze, jeśli wolisz.

- Masz samochód?

- Nie.

- Dlaczego nie masz? - To było i upomnienie, i wyzwanie.

- Nie mam odpowiednich dokumentów.

- Kim jesteś?

- Pisałem ci. Przyjacielem Birgit. Brytyjskim dziennikarzem. Możemy szerzej o tym porozmawiać, kiedy się spotkamy.

Odłożyła słuchawkę. Żołądek się w nim skręcał, musiał iść do toalety, ale tam nie było gniazdka telefonicznego. Czekał, póki mógł, a potem pognął do

łazienki. Z opuszczonymi spodniami usłyszał, jak dzwoni telefon. Zadzwo-
nił trzy razy, ale zanim do niego dokuśtykał, umilkł. Z głową opartą na rę-
kach usiadł na skraju łóżka. Nic mi nie wychodzi. Co zrobiłby w tej sytuacji
szpieg? Co zrobiłby przebiegły Donohue? Gdyby miał na linii taką ibsenow-
ską heroinę, pewnie też nie umiałby sobie poradzić. Znow spozrzał na zega-
rek z obawy, że stracił poczucie czasu. Zdjął go i położył obok pióra i notat-
nika. Piętnaście minut. Dwadzieścia. Trzydzieści. Co, u diabła, się z niądzie-
je? Znow założył zegarek i tracąc cierpliwość, szarpał się z jego cholernym
paskiem.

- Peter?
- Gdzie możemy się spotkać?
- Birgit mówi, że jesteś jej mężem.

O Boże. Ziemia stanęła w miejscu. O Jezu.

- Powiedziała ci to przez telefon?

- Nie wymieniała nazwisk. "To jej mąż". To wszystko. Była dyskretna.
Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś jej mężem? Wtedy nie myślałabym,
że to prowokacja.

- Miałem ci powiedzieć, gdy się spotkamy.

- Zadzwoń do mojej przyjaciółki. Nie powinieneś przysyłać mi róż.

To przesada.

- Jakiej przyjaciółki? Lara, bądź ostrożna z tym, co jej mówisz. Nazy-
wam się Peter Atkinson. Jestem dziennikarzem. Ciągłe jesteś w budce tele-
fonicznej?

- Tak.

- Tej samej?

- Nikt mnie nie obserwuje. Zimą prowadzą obserwację tylko z samo-
chodów. Nie widzę żadnego samochodu.

- Masz dużo monet?

- Mam kartę.

- Używaj monet. Nie korzystaj z karty. Czy użyłaś karty, gdy dzwoniłaś
do Birgit?

- To nieważne.

Było w pół do dziesiątej, gdy znow zadzwoniła.

- Moja przyjaciółka asystuje przy operacji - wyjaśniła bez cienia prze-
prosin. - Operacja jest skomplikowana, ale mam inną przyjaciółkę. Jeśli się
boisz, weź taksówkę do Eaton i przejdź ostatni kawałek na piechotę.

- Nie boję się, jestem ostrożny.

Na litość Boską, pomyślał, zapisując adres. Nawet się nie spotkaliśmy,
przesłałem ci przesadne dwa tuziny róż i teraz klócimy się jak kochankowie.

Z motelu można było wyjść na dwa sposoby: frontowymi drzwiami, u stamtąd tylko jeden krok do parkingu, albo tylnymi drzwiami na korytarz, który z kolei, poprzez labirynt innych korytarzy, prowadził do recepcji. Justin zapalił światła w swoim pokoju i wyjrzał przez okno na parking. Pokryte szronem samochody otaczało halo księżycowej poświaty. Z dwudziestu kilku wozów na parkingu tylko w jednym byli ludzie. Za kierownicą siedziała kobieta, obok niej mężczyzna. Sprzeczała się. O różę? Czy o bożka Zysku? Kobieta gestykulowała, mężczyzna kręcił głową. W końcu wysiadł i wywarcał pod jej adresem ostatnie słowo, przekleństwo, trzasnął drzwiami, wsiadł do innego samochodu i odjechał. Kobieta została tam, gdzie była. Podniosła rękę w geście rozpaczony i położyła je na kierownicy. Schyliła głowę, ukryła ją w dłoniach i zaczęła szlochać. Justin przewyciężył absurdalny pomysł, żeby ją pocieszyć, poszedł szybko do recepcji i zamówił taksówkę.

Dom stał w osiedlu białych budynków wzniesionych przy wiktoriańskiej ulicy. Domy ustawione były pod kątem, jak statki celujące dziobem w stronę starego portu. Każdy miał piwnicę, własną klatkę schodową, drzwi frontowe umieszczone ponad poziomem ulicy, prowadzące do nich kamienne schody, żelazną balustradkę i mosiężną podkowę kołatki, która nie kołatała. Justin, obserwowany przez tłustego szarego kota, który umościł się między zasłonami a szybą okna pod numerem siódmym, wszedł na schodki numeru szóstego i nacisnął dzwonek. Niósł ze sobą wszystko, co miał: torbę podróżną, pieniądze i - mimo stanowczego polecenia Lesley, żeby tego nie robić - oba paszporty. Za motel zapłacił z góry. Jeśli do niego wróci, to z własnej woli, a nie dlatego, że musi. Była dziesiąta w nocy - mroźnej, przejrzystej jak lód, pokrytej szronem nocy. Samochody stały zaparkowane jeden za drugim przy krawężniku, chodniki były puste. W drzwiach ukazała się sylwetka wysokiej kobiety.

- Jesteś Peter - powiedziała oskarżycielsko.
- A ty jesteś Lara?
- Oczywiście.

Zamknęła za nim drzwi.

- Ktoś cię śledził, gdy tu szłaś? - zapytał.
- Możliwe, a ciebie?

Stanęli naprzeciwko siebie w świetle. Birgit miała rację: Lara Emrich była piękna. Piękno było w jej inteligentnym spojrzeniu, w chłodnym naukowym dystansie, który sprawił, że wzdrygnął się wewnętrznie. Piękno było w sposobie, w jaki odrzuciła siwiejące włosy zewnętrzną stroną dłoni. Z uniesionym łokciem i nadgarstkiem przy czole przyglądała mu się krytycznie

aroganczkim, chociaż smutnym wzrokiem. Ubierała się z czarnymi spodniami, czarna bluzka, żadnego makijażu. Głos słyszany z bliska był bardziej posępny niż w słuchawce telefonu.

- Bardzo mi Ciebie żal - powiedziała. - To straszne. Jesteś smutny.
- Dziękuję.
- Zamordowała ją dypraxa.
- Też tak sądzę. Nie bezpośrednio, ale tak.
- Wielu ludzi zginęło przez dypraxę.
- Ale nie wszystkich zdradził Markus Lorbeer.

Z góry dochodził ryk telewizyjnego aplauzu.

- Amy to moja przyjaciółka - powiedziała, jakby przyjaźń była nieszczęściem. - Dziś jest lekarzem specjalistą w szpitalu Dawesa, ale niestety podpisała petycję popierającą przywrócenie mnie do pracy i jest członkiem założycielem saskatchewańskiej komisji etyki lekarskiej. Będą szukali byle pretekstu, żeby ją zwolnić.

Już miał ją zapytać, czy Amy zna go jako Quayle'a czy jako Atkinsona, kiedy z góry dotarł do nich silny kobiecy głos i u szczytu schodów pojawiła się para futrzanych pantofli.

- Przyrowadź go na górę, Laro. Mężczyzna potrzebuje drinka.

Amy była tłustą kobietą w średnim wieku, jedną z tych poważnych pań, które postanowiły zrobić z siebie widowisko. Nosila purpurowe jedwabne kimono i pirackie kolczyki, pantofle zdobiły szklane oczka. Ale jej własne oczy otoczone były cieniem, a w kącikach ust rysowały się bolesne linie.

- Ludzi, którzy zabili twoją żonę, należy powiesić - powiedziała. - Szkocka, burbon czy wino? To jest Ralph.

Znaleźli się w wielkim pokoju na poddaszu, wykładanym sosną. Pod ścianą stał bar. W ogromnym telewizorze pokazywano hokeja na lodzie. Ralph był siwowłosym starym mężczyzną ubranym w szlafrok. Siedział w fotelu obłożonym imitacją skóry, a stopy w pantoflach opierał na dobranym do fotela stołku. Słyszając swoje imię, machnął w powietrzu dłonią pokrytą plamkami wątrobowymi, ale nie oderwał oczu od gry.

- Witamy w Saskatchewan. Weź sobie drinka - zawołała ze środkowoeuropejskim akcentem.
- Kto wygrywa? - zapytał Justin, żeby okazać przyjazne uczucia.
- Canuckowie.
- Ralph jest prawnikiem - powiedziała Amy. - Prawda, kochanie?
- Już teraz nie bardzo. Ten cholerny Parkinson ciągnie mnie do grobu. A pracownicy uniwersytetu to zgraja dup wołowych. W tej sprawie przychodzisz?

Głównie tak.

- Tłumią wolność słowa, wpychają się między lekarza a pacjenta. Już czas, żeby ludzie wykształceni mieli jaja i zaczęli głośno mówić prawdę, a nie siedzieli w sraczu jak banda tchórzy.

- Tak, oczywiście - odparł uprzejmie Justin, przyjmując od Amy kieliszek białego wina.

- Karel Vita to cwaniak, a Dawes tańczy, jak on mu zagra. Dali dwadzieścia pięć milionów dolarów na rozpoczęcie budowy nowego budynku biotechnologii i obiecali jeszcze pięćdziesiąt milionów. To nie w kij dmuchał, nawet dla takich bezmózgich bogaczy jak Karel Vita. A jak nikt nie będzie wściubiał nosa w nie swoje sprawy, to będzie jeszcze więcej. Jak, do diabła, oprzeć się takiemu naciskowi?

- Trzeba próbować - powiedziała Amy. - Jak nie spróbujesz, to cię wypierdola.

- Wypierdola, jak spróbujesz, wypierdola, jak nie spróbujesz. Powiesz coś na głos, odbiorą ci pensję, wyrzucą cię i wypędzą z miasta. Wolność słowa dużo kosztuje w tym miasteczku. Panie Quayle - niewielu z nas może sobie na to pozwolić. Jak pan ma na imię?

- Justin.

- Jeśli chodzi o wolność słowa, to miasto monokultury. Wszystko jest pięknie i ślicznie, dopóki jakiejś zwariowanej rosyjskiej babie nie strzeli do głowy, żeby publikować niedorzeczne artykuły w prasie medycznej i oczerniać zmyślną małą pigułkę, którą sama wynalazła. A tak się składa, że pigułka warta jest dla firmy Karel Vita Hudson, którą niech Allah ma w swojej opiece, parę bilionów rocznie. Gdzie masz zamiar ich posadzić, Amy?

- W melinie.

- Przełącz proszę telefony tak, żeby im nie przeszkadzać. Justinie, Amy jest tutaj od spraw technicznych. Ja jestem starym pierdola. Jakbyś czego chciał, niech Lara ci to przygotuje. Zna ten dom lepiej niż my, ale to i tak bez znaczenia, bo za parę miesięcy nas stąd wyrzucą.

Wrócił do swoich zwycięskich Canucków.

Już go nie widzi, chociaż włożyła grube, męskie okulary. Rosjanka, która w niej siedzi, zaopatrzyła się "na wszelki wypadek" w torbę, która leży teraz otwarta u jej stóp, wypchana papierami, które zna na pamięć: listami prawników z pogrózkami, listami z wydziału z zawiadomieniem o zwolnieniu z pracy, kopiającej nieopublikowanego artykułu i wreszcie listami jej prawników, ale tych nie ma zbyt wiele, bo jak mówi, nie ma pieniędzy, a poza tym, jej prawnikowi wygodniej jest bronić praw Siuksów niż wydawać bitwę

firmie Karel Vita Hudson z Vanco>uver, która dysponuje nieograniczonym wsparciem prawnym. Siedzą jak szachiści bez stolika szachowego, naprzeciwko siebie, niemal dotykając się kolanami. Doświadczenie nabyte na wschodnich placówkach podpowiada Justinowi, żeby nie trzymać stóp skierowanych wprost w jej stronę, więc siedzi nieco krzywo, co jest męczące dla jego zmaltretowanego ciała. Przez jakiś czas zwracała się do cieni za jego ramieniem, a on prawie jej nie przerywał. Była całkowicie zatopiona w sobie, ale głos mimo to miała równy i dydaktyczny. Żyła tylko potwornością swojej sprawy i brakiem nadziei na jej rozwiązanie. Wszystko się do tego sprowadzało. Czasem - podejrzewał, że dość często - zapominała o jego obecności. Albo był dla niej kimś innym - zebraniem wydziału, przerażonymi kolegami, chwiejnym profesorem, nieodpowiednim prawnikiem. Budziła się tylko - i marszczyła brew - gdy wymieniała nazwisko Lorbeera. Uciekała się wtedy do jakiegoś mistycznego uogólnienia, które było ewidentnym unikiem: Markus jest zbyt romantyczny, za słaby, wszyscy mężczyźni popełniają złe uczynki, kobiety też. I nie, nie wie, gdzie go znaleźć.

- Gdzieś się ukrywa. Jest niekonsekwentny, co rano zmienia poglądy - wyjaśnia melancholijnie.

- Jeśli mówi o pustyni, to ma na myśli prawdziwą pustynię?

- Jakieś bardzo nieprzyjazne ludziom miejsce. To też typowe.

Broniąc swej sprawy, używa zwrotów, których nigdy by z nią nie kojarzył:

- Tu przewinę taśmę do przodu... KVH nie bierze jeńców. - Mówi nawet, że jej pacjenci "czekają w celi śmierci". List od prawnika zaczęła cytować z pamięci, kiedy go czytał, żeby nie ominął najbardziej napastliwych fragmentów:

"Ponownie przypominamy pani, że w związku z klauzulą poufności zawartą w kontrakcie nie wolno pani dezinformować swoich pacjentów... Oficjalnie ostrzegamy panią przed dalszym rozpowszechnianiem - ustnie lub w jakikolwiek inny sposób - nieścisłych i złośliwych opinii opartych na fałszywej interpretacji danych, uzyskanych, gdy była pani związana kontraktem z firmą Karel Vita Hudson...".

Po tym następowało nad wyraz aroganckie, niezwiązane z treścią listu zakończenie: "nasi klienci stanowczo zaprzeczają, żeby kiedykolwiek, w jakikolwiek sposób próbowali wpłynąć na przebieg debaty naukowej albo ją utajnić...".

- Ale dlaczego podpisałaś ten nieszczęsny kontrakt? - przerwał jej ostro Justin.

Zadowolona z jego zainteresowania, roześmiała się niewesoło.

. - Bo im ufałam. Bo byłam głupia.

- Na pewno nie jesteś głupia, Laro! Jesteś niezwykle inteligentną kobietą- zawołał.

Urażona zamknęła się w pośepnym milczeniu.

Mówiła o pierwszych paru latach, kiedy Karel Vita kupił za pośrednictwem agencji Markusa Lorbeera molekułę stworzoną przez Emrich i Kovacs. To były wspaniałe czasy. Początkowe krótkotrwałe testy dawały doskonałe wyniki, w statystyce wyglądało to jeszcze lepiej, zespół Emrich-Kovacs był wzorem współpracy naukowej. KVH oddało im do dyspozycji specjalistyczne laboratoria, zespół techników, umożliwiło prowadzenie badań klinicznych w Trzecim Świecie, zapewniło olśniewające hotele i podróże pierwszą klasą. Miały pod dostatkiem szacunku i pieniędzy.

Dla Kovacs to było ziszczenie się snów. Będzie jeździć rolls-royce'ami, dostanie Nagrodę Nobla, stanie się sławna i bogata, będzie miała wielu, bardzo wielu kochanków. Dla poważnej Lary istotna była praca naukowa i odpowiedzialność. Przeprowadzą badania kliniczne w rozmaitych grupach etnicznych i społecznych podatnych na chorobę. Wielu ludzi wyzdrowieje, wielu uratuje się życie. To będzie prawdziwa satysfakcja.

- A co to znaczyło dla Lorbeera?

Pełne irytacji spojrzenie, grymas dezaprobaty.

- Markus chce być bogatym świętym. On chce i rolls-royce'ów, i ratowania życia.

- A więc dla Boga i dla Zysku - odpowiedział lekkim tonem Justin, ale jej jedyną reakcją było zmarszczenie brwi.

- Po dwóch latach dokonałam niefortunnego odkrycia. Testy KVH były zwyczajną bzdurą. Nie zostały naukowo opisane. Robiono je tylko po to, żeby możliwie jak najszybciej wprowadzić lekarstwo na rynek. O niektórych działaniach ubocznych z rozmysłem nie wspomniano. Jeśli wykryto działania uboczne, natychmiast zmieniano wyniki tak, żeby o tym nie wspominać.

- Jakie działania uboczne?

Znów głos wykładowcy, kąśliwy i arogancki.

- Podczas tych nienaukowych prób zaobserwowano kilka efektów ubocznych. Stąd fałszywy entuzjazm Kovacs i Lorbeera i postawa niektórych klinik i ośrodków medycznych w krajach Trzeciego Świata, które robiły wszystko, żeby badania dobrze wyglądały. Przedstawiano je w bardzo korzystnym świetle na łamach ważnych czasopism medycznych. Robili to wybitni naukowcy, nie ujawniając zarazem swoich finansowych powiązań z KVH. Te ptytkuły w rzeczywistości pisano w Vancouver albo w Bazylei, a oni je tylko

podpisywali. Stwierdzono, że lekarstwo nie służy kobietom w wieku rozrodczym. Niektóre miały po nim problemy z ostrością widzenia. Było kilka przypadków śmiertelnych, ale nienaukowa manipulacja danymi sprawiła, że tych przypadków nie włączono do badanego okresu.

- Czy nikt nie podważał listów?

Pytanie rozgniewało ją.

- Kto miałby je podważyć? Lekarze i pracownicy służby zdrowia z Trzeciego Świata, którzy dostają pieniądze za badania kliniczne? Dystrybutor, który nie chce stracić zysków płynących ze sprzedaży całej gamy produktów KVH - a być może narazić na szwank wszystkich swoich interesów?

- A co z pacjentkami?

Jej zdanie o nim sięgnęło skalistego dna.

- Większość pacjentek pochodzi z niedemokratycznych krajów o szalejącej korupcji. Teoretycznie wyrażały świadomą zgodę na leczenie. Ich podpisy widnieją na formularzach z oświadczeniem zgody, nawet jeśli nie były w stanie przeczytać tego, co podpisywały. Według prawa nie wolno im płacić, ale szczerą ręką rekompensowano im koszty podróży, utratę zarobków i wreszcie - dostawały jedzenie, co szczególnie im się podobało. Poza tym, boją się.

- Firm farmaceutycznych?

- Wszystkiego. Kiedy składały skargi, straszono je. Mówiono im, że ich dzieci nie dostaną lekarstw z Ameryki, a mężowie pójdą do więzienia.

- Ale ty złożyłaś skargę.

- Nie. Ja energicznie protestowałam. Kiedy odkryłam, że dypraxa przedstawiana jest jako bezpieczne lekarstwo, a nie lekarstwo w trakcie prób klinicznych, wygłosiłam wykład na zebraniu naukowym i opisałam dokładnie nieetyczne postępowanie KVH. To się nie spodobało. Dypraxa to dobre lekarstwo, ale nie o to chodzi. Chodzi o trzy rzeczy. - Trzy smukłe palce podniosły się w górę. - Po pierwsze, działania uboczne były celowo ukrywane dla zysku. Po drugie, najbiedniejsze społeczności świata były wykorzystywane jako króliki doświadczalne przez najbogatszych. Po trzecie, jakakolwiek debata naukowa na ten temat jest tłamszona przez korporacje farmaceutyczne.

Trzy palce zostały wycofane. Drugą ręką Lara zaczęła grzebać w torbie. Wyciągnęła z niej lśniącą, niebieską ulotkę z nadrukiem głoszącym DOBRE WIEŚCI Z KVH.

Dypraxa to wydajny, bezpieczny, ekonomiczny substytut dla stosowanych dotychczas metod leczenia gruźlicy. Udowodnił, że przynosi ogromne korzyści młodym, narodom.

Zabiera ulotkę i pokazuje popstrzony notatkami na marginesie list od prawnika. Jeden akapit jest podkreślony.

Badania nad dypraxą trwały kilka lat. Zostały zaplanowane i przeprowadzone zgodnie ze wszystkimi zasadami etyki. Prowadzono je zawsze za świadomą zgodą uczestniczących w testach pacjentów. KVH, prowadząc badania, nie czyni różnicy pomiędzy krajami bogatymi a biednymi. Jedynym kryterium jest dobór odpowiednich warunków do przeprowadzenia programu. KVH cenił swoje humanitarne podejście do ludzi.

- Jaką rolę odgrywa Kovacs?
- Kovacs jest całkowicie po stronie korporacji. Brakuje jej zasad moralnych. To z jej pomocą sfalszowano dane z badań klinicznych.
- A Lorbeer?
- Markus nie jest jednoznaczny. To dla niego normalne. Pochlebia mu, że został szefem od dypraxy na całą Afrykę. Ale jednocześnie jest przerażony i zawstydzony. To dlatego napisał swoje wyznania.
- Pracuje dla KVH czy ThreeBees?
- Możliwe, że dla obu. To skomplikowany człowiek.
- To jak, do licha, doszło do tego, że KVH wysłało panią na Uniwersytet Dawesa?
- Bo byłam głupia - powtórzyła triumfalnie Lara, rozprawiając się z jego wcześniejszym zapewnieniem. - Jak inaczej mogłabym podpisać coś takiego? Ludzie z KVH byli bardzo uprzejmi, czarujący, pełni zrozumienia, sprytni. Mieszkałam w Bazylei, kiedy odwiedziło mnie dwóch młodych ludzi z Vancouver. Pochlebiali mi to. Podobnie jak ty, przysłali mi róże. Powiedziałam im, że badania są gównem. Zgodzili się. Powiedziałam, że nie powinni sprzedawać dypraxy jako leku bezpiecznego. Zgodzili się. Powiedziałam im, że wiele efektów ubocznych nie zostało zidentyfikowanych. Podziwiali mnie za moją odwagę. Jeden z nich był Rosjaninem. "Chodźmy na lunch, Laro. Omówimy sprawę dokładniej". Wtedy właśnie powiedzieli mi, że chcieliby zabrać mnie na Uniwersytetu Dawesa, żebym przeprowadziła własne badania. Zgodzili się, że nie wykonaliśmy odpowiedniej liczby poprawnych testów. Zrobimy je teraz na Uniwersytecie Dawesa. To był mój lek. Byłam z niego dumna. Oni też. Uniwersytet był dumny. We wszystkim byliśmy jednego zdania. Dawes przyjmie mnie z otwartymi rękami, KVH zapłaci. Dawes jest idealnym miejscem dla takich badań. Są tu Indianie z rezerwatów, podatni na stare szczepy gruźlicy. Mamy przypadki wieloodpome z komuny hippisów w Vancouver. Dla dypraxy to idealna kombinacja. Więc podpisałam kontrakt i przyjąłam klauzulę poufności. Byłam głupia -powtórzyła, pociągając nosem, co znaczyło: "proste".

- KVH ma swoje biura w Vancouver.

- Tak. Trzeci co do wielkości budynek po Bazylei i Seattle. Mogli mi się przyglądać, i o to chodziło. Żeby mi założyć kaganiec i pilnować mnie. Podpisałam ten głupi kontrakt i wzięłam się do pracy w najlepszej wierze. Postanowiłam powiadomić moich pacjentów o potencjalnych efektach ubocznych. Jest to moim świętym obowiązkiem lekarza. Doszłam również do wniosku, że światowa społeczność lekarzy powinna zostać poinformowana o tym za pośrednictwem publikacji w poważnym czasopiśmie. Takie czasopisma nie lubią negatywnych opinii. Wiedziałam o tym. Wiedziałam też, że czasopismo poprosi trzech wybitnych naukowców o skomentowanie moich wyników badań. W redakcji jednak nie wiedzieli, że ci wybitni naukowcy właśnie podpisali lukratywne kontrakty z KVH w Seattle, w sprawie prowadzenia badań nad biotechnicznymi terapiami dotyczącymi innych chorób. Natychmiast zawiadomili Seattle o moich zamiarach, a stamtąd poszła informacja do Bazylei i Vancouver.

Wręcza mu złożoną białą kartkę. Otwiera ją i doznaje mrozącego krew w żyłach uczucia, że gdzieś już to widział.

KOMUNISTYCZNA KURWO. ZABIERAJ SWOJE ZASRANE ŁAPSKA OD NASZEGO UNIWERSYTETU. WRACAJ DO SWOJEGO BOLSZEWICKIEGO CHLEWU. PRZESTAŃ ZATRUWAĆ ŻYCIE PRYZWOITYM LUDZIOM OHYDNYMI TEORYJKAMI .

Wielkie litery, druk komputerowy. Żadnych błędów ortograficznych. Znajoma składnia. Jesteś w domu, pomyślał.

- Ustalono, że Uniwersytet Dawesa będzie partycypował w zyskach ze sprzedaży dypraxy na całym świecie - mówi dalej, niedbale wyjmując mu kartkę z ręki. - Personel lojalny wobec szpitala otrzyma udziały preferencyjne. Nielojalni dostali takie właśnie anonimowe listy. Lepiej być lojalnym wobec szpitala niż wobec pacjentów. A najważniejsze, żeby być lojalnym wobec KVH.

- To pisała Halliday - mówi Amy, wnosząc do pokoju tacę z kawą i herbatnikami. - Halliday przywodzi medycznej mafii Uniwersytetu Dawesa. Wszyscy na wydziale musieli ją całować w zadek, żeby jakoś egzystować. Wszyscy poza mną, Lara i paroma innymi idiotami.

- Skąd wiesz, że to ona? - pyta Justin.

- Zbadałam DNA tej krowy. Odkleiłam znaczek z koperty. Zbadałam DNA jej śliny. Lubi trenować w szpitalnej sali gimnastycznej. Razem z Lara ukradłyśmy włos z jej różowego grzebyczka i zrobiłyśmy porównanie.

- Czy ktoś jej to powiedział?

- Jasne, cała rada. Krowa się przyznała. Nadmiar zapachu w wykonywaniu obowiązków, ale wyłącznie w obronie interesów uniwersytetu. Pokornie przeprosiła, zwała wszystko na stres emocjonalny, co jest jej określeniem na zaślinioną erotomanię. Sprawę oddalono, krowę obsypano pochwałami. Przy okazji wyrzucili Larę. Ja jestem następna w kolejce.

- Emrich to komunistka - wyjaśnia Lara, rozkoszując się ironią tego stwierdzenia. - Jest Rosjanką, wychowała się w Petersburgu, kiedy jeszcze był Leningradem, chodziła do sowieckich szkół, więc jest komunistka nastroszoną wrogo wobec wolnego rynku. To wygodne tłumaczenie.

- No i Emrich nie odkryła dypraxy, prawda, kochana? - przypomina jej Amy.

- To zasługa Kovacs - mówi gorzko Lara. - Kovacs to geniusz. Ja byłam jej rozwiązłą asystentką laboratoryjną. Lorbeer był moim kochankiem, toteż całą chwałę przypisał mnie.

- I dlatego nie zapłacili ci więcej ani grosza, prawda?

- Nie. Powód był inny. Złamałam klauzulę poufności, a zatem unieważniłam kontrakt. To logiczne.

- Lara jest także dziwką, prawda? Pieprzyła się ze ślicznymi chłoptasiami, których przysłali jej z Vancouver. Tyle że to nieprawda. Nikt na uniwersytecie sienie pieprzy. I wszyscy jesteśmy chrześcijanami, nie licząc żydów.

- Moje lekarstwo zabija pacjentów. Wolalabym, żeby to kto inny je wynalazł - powiedziała łagodnie Lara, nie komentując ostatniej wypowiedzi Amy.

- Kiedy po raz ostatni widziałas Lorbeera? - zapytał Justin, kiedy znów byli sami.

Nadal była ostrożna, ale jej głos nabrał miękkości.

- W Afryce.

- Kiedy?

- Rok temu.

- Mniej niż rok - poprawił ją Justin. - Moja żona rozmawiała z nim w szpitalu Uhuru sześć miesięcy temu. Jego wyznanie, czy jak to nazwać, zostało wysłane z Nairobi kilka dni temu. Gdzie teraz jest?

Lara Emrich nie lubiła, kiedy ktoś ją poprawiał.

- Pytałeś, kiedy ja widziałam go po raz ostatni - odparła obruszona. - Rok temu. W Afryce.

- Gdzie w Afryce?

- W Kenii. Posłał po mnie. Coraz bardziej alarmujące dowody szkodliwości leku były dla niego nie do zniesienia. "Laro, potrzebuję cię. To ważne

i niezwykle pilne. Nie mów nikomu. Zapłacę. Przyjeżdżaj". Poruszyło mnie to wezwanie. Powiedziałam na uniwersytecie, że moja matka zachorowała i poleciałam do Nairobi. To był piątek. Markus czekał na mnie na lotnisku. Już w samochodzie zapytał mnie: "Laro, czy to możliwe, że nasz lek wzmacnia ciśnienie w mózgu, uszkadzając nerw wzrokowy?". Przypomniałam mu, że wszystko jest możliwe, bo nie zebrano podstawowych danych, chociaż staraliśmy się temu zapobiec. Zawiózł mnie do jakiejś wioski i pokazał kobietę, która nie mogła wstać. Miała koszmarne bóle głowy. Umierała. Zawiózł mnie do innej wioski, gdzie widziałam kobietę, która nie mogła zogniskować oczu. Kiedy wychodziła z chaty, świat wokół niej mroczniał. Opowiedział też o innych przypadkach. Pracownicy służby zdrowia niechętnie rozmawiali z nami szczerze. Oni też się bali. Bali się ThreeBees, bali się KVH, bali się o chore kobiety, bali się Boga. "Co mam robić, Laro? Co mam robić?". Rozmawiał z Kovacs, która była w Bazylei. Powiedziała, że jest spanikowanym durniem. To nie są efekty uboczne dypraxy, ale efekty złego połączenia z innym lekarstwem. To typowe dla Kovacs, wyszła za męża za bogatego serbskiego kanciarza i więcej czasu spędza w operze niż w laboratorium.

- Więc co powinien zrobić?

- Powiedziałam mu, jaka jest prawda. To, co on widzi w Afryce, ja obserwuję w szpitalu Dawesa w Saskatchewan. "Markusie, powiedziałam, to są te same efekty uboczne, które opisałam w raporcie wysłanym do Vancouver. Raport jest oparty na obiektywnych badaniach klinicznych sześciuset przypadków". A on krzyczał: "Co mam zrobić, Laro, co mam zrobić?". "Markusie", odparłam, "musisz być odważny, musisz zrobić to, czego nie chce zrobić cała korporacja, wycofaj lekarstwo z rynku, póki nie zostanie dostatecznie przebadane". Płakał. To była nasza ostatnia wspólna noc. Ja też płakałam.

Jakiś dziki instynkt owładnął teraz Justinem, jakaś głęboko chowana uraza, której nie był w stanie określić. Czy miał za złe tej kobiecie, że udało się jej przeżyć? Czy miał do niej pretensje, że spała z człowiekiem, który zdradził Tessę, i że nawet teraz mówi o nim z czułością? Czy raziło go, że siedzi przed nim teraz, piękna i żywa, a Tessa, martwa, leży u boku swojego syna? Czy czuł się obrażony, że okazywała tak mało zainteresowania Tessą i tak wiele sobą?

- Czy Lorbeer kiedykolwiek wspomniał ci o Tessie?
- Nie wtedy, kiedy go odwiedziłam.
- A kiedy?

- Napisał do mnie, że była u niego kobieta, żona brytyjskiego urzędnika, która wywierała nacisk na ThreeBees w związku z dypraxą, pisała listy i składała niemiłe widziane wizyty. Tę kobietę wspierał jakiś lekarz z jednej z agencji humanitarnych. Nie wymienił nazwiska lekarza.

- Kiedy to napisał?

- Na moje urodziny. Markus zawsze pamiętał o moich urodzinach. Złożył mi życzenia z okazji urodzin i powiedział o Brytyjce i jej kochanku, afrykańskim lekarzu.

- Czy sugerował, co należałoby z nimi zrobić?

- Bał się o nią. Powiedział, że jest piękna i bardzo tragiczna. Myślał, że podobała mu się.

Justinowi wpadła nagle do głowy myśl, że ona jest zazdrosna o Tesę.

- A ten lekarz?

- Markus podziwiał wszystkich lekarzy.

- Skąd pisał?

Z Cape Town. Nadzorował operacje handlowe ThreeBees w Afryce Południowej i prywatnie porównywał badania ze swoimi doświadczeniami z Kenii. Był pełen szacunku dla twojej żony. Odwaga nie przychodzi mu łatwo. Musi się na nią zdobywać.

- Czy wspomniał, gdzie ją spotkał?

- W szpitalu w Nairobi. Rzuciła mu wyzwanie i był zakłopotany.

- Dlaczego?

- Bo musiał ją ignorować. Markusowi wydaje się, że jeśli na kogoś nie zwróci uwagi, to go unieszczęśliwi, a szczególnie jeśli chodzi o kobiety.

- Ale jakoś udało mu się ją zdradzić.

- Markus nie zawsze jest praktyczny. To artysta. Jeśli pisze, że ją zdradził, to niekoniecznie należy brać to dosłownie.

- Odpowiedziałas na jego list?

- Zawsze odpowiadam.

- Na jaki adres go wysłałaś?

- Na numer skrytki pocztowej w Nairobi.

- Czy wspominał o kobiecie z plemienia Wanza? Leżała w jednej sali z moją żoną w szpitalu Uhuru. Umarła po dypraxie.

- Nie znam tego przypadku.

- Trudno się dziwić. Wszystkie ślady zostały usunięte.

- Tak. Markus mówił mi o takich sprawach.

- Kiedy Lorbeer odwiedzał salę mojej żony, był w towarzystwie Kovacs. Co Kovacs robiła w Nairobi?

- Markus chciał, żebym po raz drugi przyjechała do Nairobi, ale moje stosunki z KVH i ze szpitalem od tego czasu bardzo się pogorszyły. Usłyszeli

o mojej poprzedniej wizycie i już: zaczęli mi grozić, że wyrzucą mnie z uniwersytetu, bo skłamałam o mojej matce. Dlatego Markus zadzwonił do Kovacs, do Bazylei i namówił ją, żeby przyjechała do Kenii zamiast mnie i razem z nim oceniła sytuację. Miał nadzieję, że oszczędzi mu trudnej decyzji i sama poradzi ThreeBees, żeby wycofały lekarstwo. KVH w Bazylei z początku niechętnie patrzyło na wyjazd Kovacs do Nairobi, potem zgodzili się, ale pod warunkiem, że wizyta zostanie utrzymana w tajemnicy.

- Nawet przed ThreeBees?

- To nie byłoby możliwe. ThreeBees było na miejscu i Markus był ich doradcą. Kovacs przyjechała do Nairobi w wielkiej tajemnicy na cztery dni, potem wróciła do swojego serbskiego kanciarza do Bazylei, żeby obejrzeć jeszcze więcej oper.

- Złożyła raport?

- Świstek papieru. Jestem naukowcem, a to nie był raport naukowy, tylko polemika.

- Birgit przeczytała ci przez telefon wyznanie Lorbeera. Jego... mniejsza o nazwę. Co ten list znaczył dla ciebie?

- Że Markusa nie można już uratować.

- Przed czym?

- To słaby człowiek, który szuka źródła siły w niewłaściwym miejscu. Niestety, to ten słaby zniszczył silnego. Może uczynił coś bardzo złego. Czasem za bardzo lubuje się w swoich przewinach.

- Gdybyś chciała go odnaleźć, gdzie byś go szukała?

- Nie chcę go znaleźć. - Czekał. - Mam tylko numer skrytki pocztowej w Nairobi.

- Możesz mi go dać?

- Zapiszę ci. - Zapisała numer w notatniku, oddała kartkę i wręczyła Justinowi. - Gdybym go szukała, rozejrzałabym się wśród tych, których skrzywdził.

- Na pustyni.

- To może być przenośnia. - Agresywny ton zniknął z jej głosu. Justin też uspokoił się. - Markus to dziecko - wyjaśniła. - Działa pod wpływem impulsu. - Właściwie zaczęła się już uśmiechać, jej uśmiech też był piękny. - Konsekwencje często bardzo go zaskakują.

- Kto jest przyczyną tych impulsów?

- Kiedyś ja.

Wstał trochę za szybko, żeby włożyć do kieszeni kartkę, którą mu dała. Poczł zawroty głowy i mdłości. Oparł się o ścianę, żeby odzyskać równowagę, i wtedy zobaczył, że ma przed sobą lekarza.

- Co ci jest? - zapytała chłodno i posadziła go z powrotem.

- Od czasu do czasu mam zawroty głowy.
- Dlaczego? Wysokie ciśnienie? Nie powinieneś nosić krawata. Roze-
pnij kołnierzyk. Nie wygłupiaj się.

Położyła mu rękę na czole. Poczul się słaby i straszliwie zmęczony. Zo-
stawiła go na chwilę i wróciła ze szklanką wody. Napił się trochę i oddał jej
szklankę. Gesty miała pewne, choć delikatne. Poczul na sobie jej spojrzenie.

- Masz gorączkę - powiedziała oskarżycielsko.
- Może.
- Nie może. Masz gorączkę. Zawiozę cię do hotelu.

Właśnie przed takim momentem, przed którym ostrzegął go znużony in-
struktor na kursie bezpieczeństwa, momentem, kiedy jesteś zbyt znudzony,
za leniwy albo po prostu za bardzo zmęczony, żeby uważać; kiedy możesz
myśleć tylko o powrocie do ukochanego motelu, pójściu do łóżka i o tym, że
rano, kiedy będziesz miał jaśniejszą głowę, przygotujesz grubą przesyłkę
dla ciotki Hama, tej z Mediolanu, a w tej przesyłce będzie wszystko, co po-
wiedziała ci doktor Lara Emrich, łącznie z egzemplarzem jej nieopubliko-
wanego tekstu na temat szkodliwych działań ubocznych lekarstwa o nazwie
dypraxa, takich jak zamazana ostrość widzenia, krwawienia, ślepotą i śmierć,
a także kartka z numerem skrytki pocztowej Markusa Lorbeera w Nairobi
i jeszcze jedna, w której napiszesz, co masz zamiar uczynić następnie, na
wypadek, gdyby ktoś ci przeszkadzał. W takim momencie - świadomej, za-
winionej, celowej słabości - obecność pięknej kobiety, w dodatku takiego
samego wyrzutka jak ty, stojącej przy tobie i badającej ci puls pięknymi pal-
cami nie może być usprawiedliwieniem rezygnacji z podstawowych zasad
bezpieczeństwa operacyjnego.

- Nikt nie może cię ze mną zobaczyć - zaproponował słabym głosem. -
Wiedzą, że gdzieś tu jestem. To tylko pogorszy twoje położenie.
- Już nie może być gorzej - odparła. - Najgorsze już się stało.
- Gdzie masz samochód?
- O pięć minut stąd. Możesz iść?

W takiej chwili, Justin, kompletnie wyczerpany fizycznie, chwytą się
jak brzytwy dobrych manier i staroświeckiej rycerskości, którą wpajano w nie-
go, od etońskiej kołyski począwszy. Samotnej kobiecie należy towarzyszyć
w nocy do powozu, żeby nie narażać jej na spotkanie z włóczykijami, waga-
bundami i rabusiami. Wstaje. Ona wkłada dłoń pod jego łokieć i razem scho-
dzą na dół.

- Dobranoc, dzieciaki - woła do nich Amy zza zamkniętych drzwi. -
Bawcie się dobrze.
- Miło było cię poznać - odpowiada Justin.

Lara schodzi pierwsza, w jednej ręce niesie swoją rosyjską torbę, drugą trzyma się balustrady, zerka przez ramię na Justina. W holu zdejmuje z wieszaka jego płaszcz i pomaga mu go włożyć. Wkłada własny płaszcz i futrzaną czapkę a la Anna Karenina i ma już założyć na ramię torbę, ale etońska rycerskość nie pozwala na to, więc patrzy na niego bez mrugnięcia brązowymi oczami, poważnym spojrzeniem Tessy, jak zarzuca pasek jej torby na ramię i -jak przystało na chłodnego Anglika - zaciska usta, żeby stłumić ból. Rycerski Justin otwiera przed nią drzwi i szeptem coś zdumiony, gdy mroźne powietrze dopada jego ciała, ignorując watowany płaszcz i futrzane buty. Na chodniku doktor Lara bierze go pod lewą, a prawą ręką obejmuje plecy, żeby pomóc mu iść, ale tym razem, kiedy w zmaltretowanych plecach odzywa się chór nerwów, nawet zahartowany etończyk nie jest w stanie stłumić okrzyku bólu. Ona nic nie mówi, ale ich oczy spotykają się, kiedy on w obronnym odruchu skręca w bok głowę, byle dalej od źródła bólu. Jej spojrzenie spod czapki Anny Kareniny niepokojąco przypomina mu inne oczy. Ręka już nie podtrzymuje mu pleców, połączyła się z drugą ręką na jego lewym przedramieniu. Zwolniła kroku, żeby dostosować się do niego. Idą statecznie, noga w nogę, po oblodzonym chodniku. Nagle ona zatrzymuje się i nadal trzymając go za ramię, patrzy przez ulicę.

- Co się stało?

- Nic. To było do przewidzenia.

Stoją na placu miejskim. Mały, szary samochód tkwi samotnie pod pomarańczową lampą. Jest bardzo brudny. Zamiast anteny radiowej ma zamontowany druczany wieszak na ubrania. Jest w nim coś złowieszczonego i zarazem bezbronnego, jak w samochodzie-pułapce, który za chwilę ma wybuchnąć.

- To twój? - pyta Justin.

- Tak. Ale jest zepsuty.

Wielki szpieg z opóźnieniem spostrzega *to, co Lara* zdążyła już zauważyć. W jednym z przednich kół nie ma powietrza.

- Nie martw się. Zmienimy koło - mówi, zapominając na śmiechu wartą chwilę o srogim zimnie, poobijanym ciele, późnej porze i resztkach operacyjnej ostrożności.

- To nie wystarczy - Lara ponuro.

- Oczywiście, że tak. Włączymy silnik. Możesz siedzieć w samochodzie, żeby ci było ciepło. Masz koło zapasowe i lewarek?

Dotarli do chodnika po drugiej stronie jezdni i wtedy zobaczył to, czego ona już się spodziewała: w drugim kole też nie było powietrza. Opanowany

potrzebą działania usiłował wyrwać jej rękę, ale trzymała go kurczowo. Zrozumiał, że nie drży z zimna.

- Często tak jest?-zapytał.
- Często.
- Dzwonisz wtedy po pomoc drogową?

- W nocy nie przyjadą. Znajdę sobie taksówkę. Rano, jak wrócę, za wycieraczką będę miała mandat za złe parkowanie albo niesprawny samochód. Czasem odholowują go i muszę go zabierać z różnych odległych miejsc. Czasem nie ma taksówki, ale dziś mamy szczęście.

Idąc za jej wzrokiem, ku swemu zdumieniu zobaczył taksówkę stojącą po drugiej stronie placu. Paliło się w niej światło, silnik był w ruchu, a za kierownicą siedziała zgarbiona postać. Nadal trzymając go za rękę, pociągnęła go do przodu. Kilka jardów idzie razem z nią, potem zatrzymuje się, odzywa się w nim dzwonek alarmowy.

- Czy to normalne, że taksówki stoją po nocy w takim miejscu?
- Nieważne!
- Ważne. Nawet bardzo.

Zobaczył drugą taksówkę podjeżdżającą do pierwszej. Lara też ją zobaczyła.

- Nie bądź śmieszny. Teraz mamy dwie taksówki. Każde z nas może wziąć swoją, możemy też pojechać razem i najpierw odwieźć cię do hotelu. Zobaczymy.

Zapomina, w jakim stanie jest Justin, a może straciła już dla niego cierpliwość, i znów ciągnie go za ramię, ale on potyka się, wyrывa rękę i staje, zagradzając jej drogę.

- Nie-mówi.

"Nie" to znaczy: odmawiam. Widzę, że ta sytuacja jest pozbawiona sensu. Wcześniej działałem pochopnie, ale teraz będę rozważny i ty też taka będziesz. Zbyt wiele tu zbiegów okoliczności. Znajdujemy się na pustym placu w jakiejś dziurze zapomnianej przez Boga, pośrodku tundry, w mroźną marcową noc, kiedy wszyscy śpią. Twój samochód rozmyślnie uszkodzono. Jedna taksówka stoi w zasięgu ręki, podjeżdża do niej druga. Na kogoż to czekają, jeśli nie na nas? Czy nie jest racjonalne, że ci sami ludzie, którzy uszkodzili twój samochód, chcieliby teraz, żebyśmy pojechali z nimi?

Ale ta logiczna argumentacja nie dociera do Lary. Macha do najbliższej stojącego kierowcy i idzie w jego kierunku, żeby wsiąść do taksówki. Justin chwyta ją za rękę, zatrzymuje ją w pół kroku i odciąga w tył. Jej wściekłość równa jest jego bólowi. Lara ma już dosyć.

- Zostaw mnie. Precz! Odejdź!

Złapał za jej rosyjską torbę. Pierwsza taksówka odjechała od krawężnika. Druga za nią. Przypadkowo? Z odsieczą? W cywilizowanym kraju nigdy nie wiadomo.

- Wracaj do samochodu - rozkazał jej.

- Do jakiego samochodu? Jest zepsuty. Zwariowałeś.

Szarpnęła swoją rosyjską torbę, ale on już w niej szperał, odsuwając na bok papiery, chusteczki, wszystko, co przeszkadzało w szukaniu.

- Daj mi kluczyki do samochodu, Laro!

Znalazł w torbie portmonetkę i otworzył ją. Trzymał w ręku klucze - cały pęk, wystarczyło, żeby dostać się do Fort Knox. Po co samotnej kobiecie bez pracy tyle kluczy? Skulony podbiegł do jej samochodu, i zaczął, przebierając klucze, krzyczeć: "Który to, który?". Pociągnął ją za sobą, nie pozwalając chwycić torby na zakupy, wreszcie wciągnął ją do oświetlonego samochodu, żeby łatwiej mogła wybrać odpowiedni klucz. Uragaj ąco, mściwie, podniosła klucz pod jego nos.

- No to masz, klucz do samochodu z dziurawymi oponami! Ulżyło ci teraz? Jesteś wielkim człowiekiem?

Czy tak zwracała się do Lorbeera?

Taksówki powoli jechały w ich stronę, jedna za drugą. Nie wyglądały natrętnie ani - póki co - agresywnie. Ale w ich ruchu tkwiła jakaś podstępna chytryść. Jakieś zło. Justin wyczuwał atmosferę zagrożenia i spisku.

- Czy to centralny zamek? - krzyknął. - Czy klucz otwiera wszystkie drzwi na raz?

Nie wiedziała albo była zbyt wściekła, żeby odpowiedzieć. Klęcząc na jednym kolanie, z jej torbą wetkniętą pod pachę, usiłował włożyć klucz w zamek drzwi od strony pasażera. Opuszkami palców ścierał lód, skóra przywierała mu do metalu, a mięśnie zawodziły równie jękliwie jak głosy w jego głowie. Lara szarpała za swoją rosyjską torbę na zakupy i wrzeszczała. Drzwi ustąpiły.

- Na litość boską, Laro, bądź tak uprzejma i przestań krzyczeć. Wsiadaj. Natychmiast!

Jego uprzejmość odniosła skutek. Lara popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Justin wrzucił torbę do samochodu, a ona rzuciła się za nią jak pies za piłką i wylądowała na siedzeniu pasażera w momencie, gdy on zatrzasnął drzwi. Wyszedł na drogę i okrążył wóz. Druga taksówka wyprzedziła pierwszą i przyspieszyła. Przejeżdżała obok niego tak blisko, że musiał uskoczyć na chodnik. Przednie drzwi taksówki otwarły się nagle, ale zaledwie musnęły poję jego płaszcz. Lara otwarła od wewnątrz drzwi przy fotelu kierowcy. Obie taksówki zatrzymały się pośrodku jezdni, o czterdzieści metrów od nich. Justin przekreślił kluczyk w stacyjce. Przednia szyba

była zarośnięta szronem, ale tylna dość przejrzysta. Silnik zakasłał jak stary osioł. Jakby mówił: O tej porze? Przy tej temperaturze? Ja? Jeszcze raz przekręcił kluczyk.

- Zatankowałeś?

W lusterku wstecznym zobaczył, jak z obu taksówek wysiadło po dwóch mężczyzn. Ten drugi musiał ukrywać się na tylnym siedzeniu poniżej linii szyb. Jeden z dwóch miał kij baseballowy, drugi - jakiś przedmiot przypominający butelkę albo granat ręczny. Wszyscy czterej ruszyli w stronę samochodu. Nagle, z Bożą pomocą silnik zaskoczył. Justin podniósł obroty i zwolnił ręczny hamulec. Ale samochód miał automatyczną skrzynię biegów, a Justin przez całe życie nie zdołał zrozumieć, jak to działa. Włączywszy bieg, nacisnął pedał hamulca, ale w końcu przeważył w nim zdrowy rozsądek. Samochód wyskoczył do przodu, trzęsąc się i protestując. Kierownica była oporna jak żelazo. W lusterku zobaczył, że mężczyźni zaczęli biec. Ostrożnie dodał gazu. Przednie koła zapiszczały, podskoczyły i samochód - wbrew sobie - ruszył, nabierając szybkości, co zaniepokoiło prześladowców, bo teraz już bardzo przyspieszyli. Kątem oka zauważył, że są odpowiednio ubrani w luźne kurtki i miękkie buty. Jeden z ich miał marynarską wełnianą czapkę z pomponem, ten z kijem baseballowym. Pozostali nosili futrzane czapki. Justin spojrzał na Larę. Trzymała rękę przy twarzy, palce włożyła w zęby. Drugą uczepiła się konsoli. Szeptła coś z zamkniętymi oczami, może modlitwę. Justin do tej pory miał ją za niewierzącą, w przeciwieństwie do jej kochanka Lorbeera. Opuścili plac i jechali teraz, podskakując i buksując, słabo oświetloną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się podniszczone domy z tarasami.

- Gdzie jest jaśniej, gdzie jest więcej ludzi? - zapytał.

Lara potrząsnęła głową.

- Gdzie jest dworzec?

- Za daleko. Nie mam tylu pieniędzy.

Chyba uznała, że będą teraz uciekać razem. Dym czy para unosiły się znad maski, a okropny smród palonej gumy przywodził mu na myśl bunty studenckie w Nairobi, ale nie zdjął nogi z gazu. Zerknął w lusterko wsteczne na biegnących i pomyślał, że ci głupcy źle rozegrali sprawę. Potraktowali to chyba jako trening. Lepiej dowodzony zespół nie porzuciłby samochodów. A gdyby mieli trochę więcej rozsądku, zawróciliby teraz - przynajmniej dwóch z nich - i pobiegli do wozów, jakby ich diabeł gonił. Ale nie wyglądało na to, że mają zamiar tak zrobić, może dlatego, że byli już blisko i wszystko zależało od tego, kto pierwszy ustąpi - oni czy Justin. Znak drogowy z napisami po francusku i po angielsku ostrzegł go przed zbliżającym się skrzyżowaniem. Jak filolog amator zaczął porównywać oba języki.

- Gdzie jest szpital?-zapytał.

Wyjęła palce z ust.

- Doktor Lara Emrich ma zakaz wstępu na teren szpitala - zaintonowała. Roześmiał się i postanowił pokrzepić ją na duchu.

- No cóż, skoro nie wolno, w takim razie nie możemy tam pojechać? No, dobrze, gdzie to jest?

- Na lewo.

- Jak daleko?

- W normalnych warunkach blisko.

- Jak?

- Pięć minut. A jeśli nie ma ruchu, to mniej.

Nie było ruchu, ale spod maski buchał dym albo para, a nawierzchnia jezdni była pokryta lodem. Prędkościomierz optymistycznie pokazywał piętnaście mil na godzinę, po mężczyznach w lusterku nie widać było śladu zmęczenia. Niczego nie słyszał poza nierównym stukotem obracających się felg, jakby tysiąc paznokci drapało tablicę. Ku zaskoczeniu Justina, droga przeszła w pokryty szronem plac apelowy. Zobaczył przed sobą zwieńczoną blankami bramę i jaskrawo oświetlony herb, a po lewej stronie porośnięty bluszczem pawilon i trzy bloki ze stali i szkła, wylaniające się zza niego jak góry lodowe. Ściągnął kierownicę w lewo i mocniej nacisnął gaz, ale bez skutku. Prędkościomierz pokazywał zero, ale przecież ciągle jechali.

- Kogo znasz w okolicy? - krzyknął do niej.

Musiała sama zadawać sobie to pytanie.

- Phila.

- Kto to jest?

- Rosjanin. Był kierowcą karetki. Teraz jest za stary.

Sięgnęła do tyłu, do torby, wyjęła paczkę papierosów - nie sportsmanów - zapaliła jednego i podała mu paczkę, ale Justin zignorował to.

- Zniknęli - powiedział, zatrzymując papierosa.

Samochód, jak wierny wierzchowiec, przebiegł ostatnią prostą i padł. Przednia oś załamała się, a spod maski buchnął gryzący, czarny dym, kosztmarne zgrzytanie z tyłu oznajmiło, że samochód znalazł miejsce ostatniego spoczynku pośrodku placu apelowego. Justin i Lara wydobyli się z jego wnętrza pod okiem dwóch naćpanych Cree.

Miejscem pracy Phila była biała drewniana budka obok parkingu dla karetek. Znajdował się w niej stółek, telefon, obracająca się czerwona lampa, poplamiony kawą podgrzewacz elektryczny i kalendarz, na stałe otwarty na grudniu, miesiącu, w którym zwiewnie ubrana Mikołajka prezentuje swoje

wdzięki męskiemu chórkowi kołędników. Phil siedział na stołku i rozmawiał przez telefon. Na głowie miał skórzaną czapkę z nausznikami. Jego twarz też przypominała skórę, pobrużdżoną, pomarszczoną i wypolerowaną, a potem posypaną srebrnym zarostem. Na dźwięk rosyjskiej mowy zrobił to, co wszyscy starzy więźniowie: zamarł, a spojrzenie zapadłych oczu skierował przed siebie, czekając, czy się okaże, że słowa skierowane są do niego. Dopiero gdy się w tym upewnił, spojrzał na Larę i, jak wszyscy Rosjanie w jego wieku, gdy znajdują się w obecności pięknej młodej kobiety, zrobił się trochę tajemniczy, trochę zawstydzony, a trochę obcesowy. Rozmawiali w odczuciu Justina całą wieczność, ona w drzwiach, z Justinem zerkającym jej zza pleców jak przygodny kochanek, a Phil, siedząc na stołku, z sękatymi rękami założonymi na podółku. Wypytywali się - tak mu się w każdym razie zdawało - wzajem o rodziny, o to, co porabia wujek, ten czy tamten kuzyn. Wreszcie Lara stanęła bokiem, żeby go przepuścić, a on przepchnął się obok zupełnie niepotrzebnie chwytając ją za talię, i pobiegł truchtem rampaw dół, do podziemnego garażu.

- Wie, że nie możesz tu wchodzić? - zapytał Justin.
- To nieważne.
- Dokąd poszedł?

Nie odpowiedziała, ale też nie było to potrzebne. Nowy, lśniący ambulans zatrzymał się obok nich. Za kierownicą siedział Phil w swojej skórzanej czapce.

Jej dom był nowy i luksusowo wyposażony. Stanowił część osiedla nad jeziorem, zbudowanego dla ukochanych synów i córek firmy Kareł Vita Hudson z Bazylei, Vancouver i Seattle. Naląła mu whisky, a sobie wódki, pokazała jacuzzi, przedstawiła możliwości systemu nagłaśniającego i wielofunkcyjnego mikrofalowego piecyka wbudowanego na wysokości oczu, a potem, z tym samym lekko drwiącym dystansem, pokazała miejsce za płotem, gdzie parkowały "organy", kiedy przyjeżdżały, żeby jej pilnować, czyli prawie co dzień. Powiedziała, że zazwyczaj są od około ósmej rano - w zależności od pogody - do zapadnięcia zmroku, chyba że był jakiś ważny mecz w hokeja, wtedy odjeżdżali wcześniej. Pokazała mu absurdalne nocne niebo w swojej sypialni, kopułę z białego tynku usianą światełkami imitującymi gwiazdy i regulator oświetlenia, który rozjaśniał je albo przyciemniał, wedle kaprysu osób zajmujących okrągłe łóżce pod kopułą. I nadszedł taki moment, kiedy wydało się możliwe, że zajmą je oboje - dwoje wyrzutków Systemu, pocieszających się nawzajem, i byłoby to całkiem usprawiedliwione zachowanie. Ale wszedł między nich cień Tessy i chwila minęła. Justina

zainteresowały ikony. Miała ich z pół tuzina: Andrzej, Paweł i Szymon, zwany Piotrem, i Jan, i Bogurodzica Dziewica we własnej osobie, wszyscy z cienkimi aureolami i wąskimi dłońmi złożonymi do modlitwy albo wzniesionymi ku górze w geście błogosławieństwa lub adoracji Trójcy Świętej.

- Domyślałam się, że dał ci je Markus - powiedział speszony tymi objawami religijności.

Przybrała ponury wyraz.

- Mam całkowicie naukowy punkt widzenia ikon. Jeśli Bóg istnieje, będzie z tego zadowolony. Jeśli nie - to nie ma znaczenia. - Poczzerwieniła kiedy się roześmiała, ale potem sama się roześmiała.

Dodatkowa sypialnia znajdowała się w piwnicy. Zakratowane okno wychodzące na ogród przypominało mu pokój gościnny Glorii. Spał do piątej, przez godzinę pisał list do ciotki Hama, potem ubrał się i poszedł po cichu na górę, z zamiarem pozostawienia Larze karteczki. Chciał złapać okazję do miasta. Siedziała w wykuszu okiennym, paląc papierosa. Nie rozbierała się. Popielniczka obok niej była pełna.

- Możesz pojechać autobusem na dworzec - powiedziała. - Odchodzi za godzinę.

Zrobiła mu kawy, a on wypił ją przy kuchennym stole.

- Może to była po prostu banda jakichś zwariowanych opryszków - odezwał się, ale ona nie przerwała rozmyślań.

Po chwili zapytał ją, jakie ma plany.

- Jak długo będziesz tu jeszcze mieszkała?

Z roztargnieniem odparła, że jeszcze kilka dni. Może tydzień.

- I co będziesz robić?

- To zależy - odparła. To nie jest istotne. Z głodu nie umrze. - Idź już - powiedziała nagle. - Lepiej zaczekaj na przystanku.

Kiedy wychodził, stała odwrócona do niego plecami z głową wysuniętą naprzód, jakby nasłuchiwała jakiegoś podejrzanego dźwięku.

- Miej litość dla Lorbeera - powiedziała.

Ale czy była to prośba, czy polecenie, nie był w stanie odgadnąć.

20 >

Co, do kurwy nędzy, wyprawia ten twój Quayle? - zapytał Curtiss, okręcając wielkie ciało na pięcie, żeby stanąć twarzą w twarz z Donohue. W pokoju niosło echem. Był tak wielki, że mógłby pomieścić sporych rozmiarów

kaplicę. Pod sufitem biegły belki z drzewa tekowego, drzwi wisiały na więziennych zawiasach, a wyłożone balami ściany obwieszane były tarczami afrykańskich wojowników.

- To nie jest nasz człowiek, Kenny. I nigdy nie był - odparł stoicko Donohue. - On jest po prostu z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Po prostu? A co w nim prostego? To najbardziej przebiegły drań, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Dlaczego nie przyszedł do mnie, skoro tak go niepokoi moje lekarstwo? Drzwi są szeroko otwarte. Nie jestem potworem, no nie? Czego on chce? Pieniądzy?

- Nie, Kenny. Nie sądzę. Nie wydaje mi się, żeby chodziło mu o pieniądze.

Ten jego głos, pomyślał Donohue, czekając, aż się dowie, po co został wezwany. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Rozkazuje i prosi. Kłamie i uważa się nad sobą. Ale ostatnio woli ludziom rozkazywać. Wyflukany, ale nie doprany. Ten akcent z zaułków Lancashire, ku rozpacy jego nauczycieli wymowy.

- Więc co go gryzie, Tim? Ty go znasz, a ja nie.

- Chodzi o jego żonę, Kenny. Miała wypadek. Pamiętasz?

Curtiss odwrócił się zamasyżując do wielkiego panoramicznego okna i podniósł ręce, wystawiając dłonie wnętrzem do góry, jakby pytał afrykański zmierzch o przyczynę. Za kuloodpornymi szybami rozciągały się trawniki, za nimi - jezioro. Na zboczach wzgórz migotały światła. Kilka wczesnych gwiazd przeświecało przez wieczorną mgłę.

- No cóż, ta jego żona dostała to, co się jej należało - powiedział tym samym płaczącym tonem. - Chłopcy wściekli się na nią. Sama się o to prosiła. Ale mi przykro, no? Bardzo, bardzo przykro.

Chyba nie tak bardzo, jak powinno, pomyślał Donohue.

Curtiss miał domy od Monako po Meksyk, a Donohue nienawidził ich wszystkich.

Nienawidził smrodu jodyny, którym były przesiąknięte, zastraszonej służby i drewnianych podłóg. Nienawidził wykładanych lustrami barków i bezwonnnych kwiatów, które patrzyły na gości jak znudzone dziwki. Donohue wrzucał je do jednego worka z rolls-royce'ami, odrzutowcem i jachtem motorowym. Był to dla niego jeden pozbawiony stylu pałac wyczarowany przez dżina, rozciągający się na pół tuzina krajów. Ale najbardziej ze wszystkiego nienawidził ufortyfikowanej farmy nad jeziorem Naivasha z zasięgami z drutu kolczastego, strażnikami, poduszkami obciążniętymi skórą zebry, posadzkami wyłożonymi czerwoną terakotą, skórą z lamparta na podłodze, kanapami na nóżkach antylopy, podświetloną na różowo szafką z gorzałą, telewizorem satelitarnym i satelitarnym telefonem, czujnikami ruchu, guzikami

alarmowymi, ręcznymi radiostacjami - bo właśnie do tego domu, do tego pokoju i na tę kanapę na nóżkach antylopy od pięciu lat przybywał pokornie z czapką w rękę, na każdy kaprys Curtissa, żeby zbierać ochłapy, które wielki sir Kenny K. raczył w swej zmiennej wielkoduszności wrzucać w głodną paszczę brytyjskiego wywiadu. W to właśnie miejsce znów został wezwany dziś wieczór z przyczyn, które miał poznać przy butelce białego wina z Afryki Południowej, zanim zasiądzie do łososia wraz ze swą ukochaną żoną Maud.

Otóż widzimy to tak, Tim.

czytał w ściśle tajnej, takiej, co to po czytaniu spalić, depeszy z Londynu, napisanej w niepowtarzalnym stylu dyrektora oddziału regionalnego.

Na zewnątrz musisz podtrzymywać przyjacielskie kontakty, żeby nie stracić wizerunku, który zbudowałeś przez ostatnie pięć lat. Golf, drinki, obiady itp. Po cichu działaj jak zwykle i szukaj pilnie alternatywy. Zerwanie i wynikające z tego oburzenie obiektu itp. - są nie do pomyślenia przy obecnym kryzysie. Do twojej wiadomości, po obu stronach Tamizy rozpętało się piekło, a sytuacja zmienia się z dnia na dzień i to ciągle na gorsze.

Roger

- Dlaczego przyjechałeś samochodem? - zapytał Curtiss zaczepnie, gapiąc się na swoje afrykańskie hektary. - Mogłeś dostać samolot, gdybyś poprosił. Dough Crick trzyma dla ciebie pilota w pogotowiu. Chciałeś, żebym miał wyrzuty sumienia, czy co?

- Znasz mnie, szefie. - Czasem, w bezsilnej złości, Donohue nazywał go szefem, choć był to tytuł po wieczne czasy zarezerwowany dla dyrektora Służby. - Jestem zapalonym kierowcą. Opuszczam szyby w samochodzie, i czuję się trochę odkurzony. Bardzo to lubię.

- Na tych sakramenckich drogach? Zwariowałeś. Powiedziałem wczoraj facetowi... Nie kłamie w niedzielę: "Jaka jest pierwsza rzecz, którą widzi klient, jak wyląduje na lotnisku Kenyatty i wsiądzie do autobusu, żeby pojechać sobie na safari?". Tak go zapytałem. "Nie te popierdalone lwy i żyrafy, tylko twoje drogi, panie prezydencie. Te twoje dziurawe, cholerne drogi". Facet widzi tylko to, co chce, i z tym jest kłopot., Jak samo jest z twoimi pociągami", powiedziałem mu. "Wykorzystaj tych swoich jebanych więźniów", powiedziałem, "masz ich pod dostatkiem. Zagnaj ich do roboty na

torach i daj swoim kolejom szansę". "Pogadaj z Jomo", on na to. "Co za jeden ten Jomo?", się pytam. "Jomo to mój nowy minister transportu", on mówi. "Od kiedy?", się pytam. "Od teraz", on na to. Hak mu w smak.

- Pewnie, hak mu w smak - odparł Donohue i uśmiechnął się tak, jak mu się często zdarzało, kiedy nie było powodów*do uśmiechu: przekrzywiając długą smętną głowę na bok i trochę do tyłu, pobłyskując żółtawymi oczami, przyglądając postrzępionego wąsa.

Wielki pokój wypełniła niezwykła cisza. Afrykańscy służący wrócili do swoich wiosek, izraelscy ochroniarze, którzy nie patrolowali właśnie terenu, siedzieli w stróżówce i oglądali filmy kung-fu. Kiedy Donohue czekał, aż go wpuszczą, uraczono go kilkoma szybkimi scenami garotowania. Sekretarki i somalijski służący zostali odesłani do pomieszczeń dla personelu, znajdujących się po drugiej stronie farmy. Po raz pierwszy w dziejach w gospodarstwie Curtissa nie dzwonił żaden telefon. Jeszcze miesiąc temu Donohue musiałby walczyć o spotkanie i grozić, że zrezygnuje z kontaktów, jeśli Kenny nie poświęci mu kilku minut sam na sam. Dziś jednak wołałby słyszeć świergot domowego telefonu albo pisk aparatu satelitarnego, który stoi z nadąsaną miną na wózku obok wielkiego biurka.

Curtiss odwrócony potężnymi plecami do Donohue przyjął pozę, która miała świadczyć, że nad czymś się zastanawia. Ubrany był tak, jak zawsze się ubierał w Afryce: w białą koszulę z podwójnymi mankietami i złotymi spinkami ze znakiem ThreeBees, granatowe spodnie, lakierki z frędzelkami po bokach i złoty zegarek wielkości pensa zapięty na włochatym przegubie. Ale uwagę Donohue przyciągnął czarny pasek z krokodylej skóry. Inne, znane mu grubasy, opuszczały pasek nisko z przodu, tak że brzuch zwieszał się nad nim. Ale Curtiss nosił pasek równo, jak kreskę narysowaną w poprzek jaja. Grzywa ufarbowanych na czarno włosów zaczesana w słowiańskim stylu do tyłu nad szerokim czołem, na karku układała się w kaczki kuper. Palił cygaro i marszczył brwi za każdym razem, gdy się zaciągał. Gdy cygaro go znudziło, odkładał je zapalone na jakiś bezcenny mebel, który akurat miał pod ręką. Kiedy znów chciał je wziąć, oskarżał służbę, że mu je ukradła.

- Mam nadzieję, że wiesz, co ten sukinsyn zamierza - powiedział.

- Moi?

- Quayle.

- Nie bardzo, a powinienem?

- Nie powiedzieli ci? A może ich to nie obchodzi?

- Możliwe, że nie wiedzą, Kenny. Powiedzieli mi tylko tyle, że zajęli się sprawą żony - cokolwiek to znaczy - nie ma kontaktu ze swoimi pracodawcami i działa solo. Wiemy, że jego żona miała posiadłość we Włoszech i jest teoria, że tam mógł wylądować.

- A jak, kurwa, z Niemcami? - przerwał mu Curtisa.
- A co, kurwa, z Niemcami? - zapytał Donohue, naśladowując zienawidzony przez siebie styl mówienia.

- Był w Niemczech. W ubiegłym tygodniu. Kręcił się przy jakichś długowłosych liberałach, uszczęśliwiaczach świata, co to z nożami w zębach chcą się rzucić na KVH. Gdybym nie był taki miękki, dawno by go już skreślili z listy wyborców. Ale twoi chłopcy w Londynie niczego nie wiedzą, co? Ich to nie obchodzi. Mają lepsze zajęcie? Donohue, do ciebie mówię!

Curtiss odwrócił się raptownie i stanął twarzą w twarz z Timem. Wielki tors był przygięty, purpurowa szczeka wysunęła się do przodu. Jedną rękę trzymał w kieszeni obszernych jak namiot spodni, w drugiej ścisnął cygaro z jarzącym się końcem, jakby chciał je wbić jak płonący kołek do namiotu w głowę Donohue.

- Obawiam się, Kenny, że nie nadażam za tobą - odparł łagodnie Donohue. - Pytasz, czy moje biuro śledzi Quayle'a? Nie widzę najmniejszego powodu. Czy nasze cenne tajemnice państwowe są w niebezpieczeństwie? Wątpię. Czy nasze cenne źródło, sir Kenneth Curtiss potrzebuje ochrony? Nigdy nie obiecywaliśmy ci, Kenny, że będziemy chronić twoje interesy handlowe. I nie sądzę, żeby na świecie znalazła się jakakolwiek instytucja, która by się tego podjęła, jeśli mogę tak powiedzieć, ani pod względem finansowym, ani jakimkolwiek innym. I jeszcze przeżyła to doświadczenie.

- Pierdol się! - Curtiss oparł dłonie o wielki stół refektarzowy i zaczął sunąć wzdłuż jego brzegu jak goryl. Zmierzał w kierunku Donohue. Ale Donohue uśmiechnął się sztucznie i nie zmienił pozycji.

- Mogę własnoręcznie pogrzebać te twoje pierdolone służby, jeśli tylko zechcę, wiesz o tym? - wrzasnął Curtiss.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Kupuję obiadki chłopakom, którzy ci płacą. Idą w tango na mojej łódce. Dziewczynki, kawior. Bąbelki. Załatwiam im wybory. Samochody, forsa, sekretarki z fajnymi cyckami. Robię interesy z firmami, które zarabiają dziesięć razy tyle, co twój sklepik wydaje rocznie. Powiem, co wiem, i przechodźcie do historii. Więc uważaj, Donohue.

- Ty, Curtiss, też - mruknął Donohue znużonym tonem, jak człowiek, który wszystkiego tego wysłuchiwał nie raz. I rzeczywiście tak było.

Mimo wszystko wewnątrz swojej szpiegowskiej głowy mocno zastanawiał się, do czego zmierzają te popisy. Curtiss miał już wcześniej napady złości, Bóg wie ile razy. Donohue nie był w stanie zliczyć, ile razy siedział tutaj i czekał, aż burza ucichnie albo -jeśli obelgi stawały się zbyt obrzydliwe, żeby je ignorować - dokonywał taktycznego odwrotu i czekał, aż Kenny dojdzie do wniosku, że czas wezwać go z powrotem i przeprosić. Czasem

ronił przy tym jedną czy dwie krokodyle łzy. Ale tego wieczora miał wrażenie, że siedzi w zaminowanym domu. Przypomnił sobie długie spojrzenie, jakim obdarzył go przy bramie Dough Crick, szczególnie szacunek w jego: "Dobry wieczór panu, panie Donohue. Natychmiast powiadomię szefa". Wsłuchiwał się z wzrastającym zażenowaniem w śmiertelną ciszę, która następowała po każdym maniakałnym wybuchu Curtissa.

Za panoramicznym oknem przeszło powoli dwóch Izraelczyków w szortach. Strażników ciągnęły niesforne psy obronne. Wielkie, żółte drzewa wyrastały z trawników. Między nimi dokazywały małpy, doprowadzając psy do szaleństwa. Trawa była obfita i doskonała, trawniki nawadniało jezioro.

- Twoja banda mu płaci! - Curtiss rzucił nagle oskarżenie, dla efektu uderzając ręką w blat i ścisząc głos. - Quayle to wasz człowiek, zgadza się? Działa na wasze rozkazy, bo chcecie mnie załatwić, zgadza się?

Donohue uśmiechnął się przemądrzale.

- Jasne, Kenny - powiedział, żeby go udobruchać. - Kompletnie pomyłony i wariat, ale kuty na cztery nogi.

- Dlaczego mi to robicie? Mam prawo wiedzieć! Jestem, kurwa, lordem! Sir Kenneth Curtiss! W ubiegłym roku wykupiłem cegiełek partyjnych za, kurwa, milion funciaków. Dawałem wam samorodki czystego złota. Na ochotnika wykonałem dla was cholernie skomplikowane operacje, ja...

- Kenny - przerwał mu spokojnie Donohue. - Przymknij się. Nie przy służbie, dobrze? Teraz mnie posłuchaj. Po co mielibyśmy zachęcać Justina Quayle'a, żeby ci robił koło tyłka? Dlaczego służby - ze swoimi napiętymi terminami, naciskane, jak zwykle, przez Whitehall - miałyby rzucać sobie kłody pod nogi i sabotować tak cenny nabytek, jakim jest Kenny K.?

- Bo sabotowaliście wszystko w moim życiu, właśnie dlatego! Kazaliście bankom w City, żeby zażądały zwrotu pożyczek! Dziesięć tysięcy miejsc pracy w Wielkiej Brytanii jest zagrożonych, ale kogo to, kurwa, obchodzi? Sflekujemy Kenny'ego K. i już! Bo ostrzeżliście swoich politycznych przyjaciół, żeby umyli ręce i nie zadawali się ze mną. Może nie? Może nie? Pytam: może nie?

Donohue pilnie odsiewał pytania od informacji. "Banki z City kazały mu spłacać kredyty? Czy Londyn o tym wie? A jeśli tak, to dlaczego Roger nic mi o tym nie powiedział?".

- Przykro mi o tym słyszeć, Kenny. Kiedy banki to zrobili?

- A co to, kurwa, ma za znaczenie, kiedy? Dzisiaj. Po południu. Telefonicznie i faksem. Telefon, żeby mi powiedzieć, faks na wypadek, gdybym zapomniał, list potem, na wypadek, gdybym nie przeczytał tego pierdolonego faksu.

Więc Londyn wie, pomyślał Donohue. Ale jeśli wiedzą, to dlaczego zostawili mnie w zawieszeniu? Potem to rozpatrzymy.

- Banki przedstawiły ci jakiś powód? - zapytał rzeczowo.
- Mają poważne wątpliwości moralne co do pewnych praktyk handlowych. Jakie, kurwa, praktyki? Jaka, kurwa, moralność? Ich moralność to moralność londyńskiego przedmieścia. Utrata zaufania rynku - to ich podobno niepokoi. Kto jest temu, kurwa, winien? Oni! Inny powód to niepokojące pogłoski. Pierdolić to.

- A twoi polityczni przyjaciele — ci, którzy umywają ręce - których my nie ostrzegaliśmy?

- Telefon od lizusa z ananasem w dupie spod Numeru Dziesiątego. Mówi w imieniu i tak dalej. Są mi wdzięczni do grobowej deski i tak dalej, ale w obecnym klimacie, kiedy trzeba być świętym od papieża, odsyłają mi moje szczodre datki na fundusz partyjny i proszę powiedzieć, gdzie mają je przesłać, bo im szybciej moje pieniądze znikną z ich pierdolonych rachunków, tym lepiej, i czy moglibyśmy udawać, że nigdy niczego między nami nie było? Wiesz, gdzie on teraz jest?

Donohue zabrało chwilę, zanim zrozumiał, że Curtiss mówi o Justinie Quayle'u, a nie o Downing Street nr 10.

- W *Kanadzie, w tym popierdolonym Saskatchewan* -parsknął Curtiss, odpowiadając na własne pytanie. - Mam nadzieję, że odmrozi sobie tam dupsko.

- A co tam robi? - zapytał Donohue, zdziwiony nie tyle tym, że Justin jest w Kanadzie, co łatwością, z jaką Curtiss był w stanie go tam wysledzić.

- Pojechał na jakiś uniwersytet, do pewnej kobiety. Naukowca pieprzonego. Wbiła sobie do łba, żeby chodzić w kółko i rozgłaszać, że to lekarstwo jest zabójcze, a to wbrew kontraktowi, który podpisała. Quayle żyje z nią na kocią łapę. Miesiąc po śmierci żony. - Mówił podniesionym głosem, co groziło następnym wybuchem. - Ma fałszywy paszport, do kurwy nędzy! Kto mu go dał? Wy. Płaci gotówką. Kto mu ją przesyła? Wy, kurwa. Prześlizguje się przez ich sieć za każdym razem jak jakiś pierdolony węgorz. Kto go tego nauczył? Wy, dranie!

- *Nie, Kenny. Me my. Nikt z nas.* - Mówi "Ich" sieć, pomyślał, nie "nasza".

Curtiss łądował się do następnego wybuchu wrzasku. Wreszcie chwila nadeszła.

- No to bądź łaskaw mnie poinformować, dlaczego pan Porter, kurwa, Coleridge wciska rządowi nieściste i zniesławiające moją spółkę informacje i, kurwa, grozi, że pójdzie do prasy, jeśli nie obieca mu się całkowicie bezstronnego śledztwa przeprowadzonego przez Izbę Lordów oraz przez panów z brukselskiego wariatkowa? I dlaczego, kurwa, palanty z twojej fabryki pozwalają mu na to - a może nawet do tego zachęcają, skurwysyny?

Jak się tego dowiedziałeś, zastanawiał się w duchu Donohue. Jak to możliwe, że tak pomysłowemu i obłudnemu typowi jak Curtiss udało się położyć włochatą łapę na ściśle tajnych, zaszyfrowanych informacjach zaledwie osiem godzin po tym, jak zostały przesłane Donohue za pośrednictwem częstotliwości używanych przez służby? A kiedy już zadał sobie to pytanie, jako mistrz swego rzemiosła natychmiast zabrał się do szukania odpowiedzi. Uśmiechnął się wesółkowato, ale tym razem był to uśmiech, który miał udawać zadowolenie, że na tym świecie są jeszcze wpływowi przyjaciele.

- Oczywiście - powiedział. - Stary Bernard Pellegrin puścił do ciebie oko i dał ci dobrą radę. To ładnie z jego strony. I w samą porę. Żałuję, że ja nie miałem okazji tego zrobić. Zawsze czułem słabość do Bernarda.

Uśmiechniętymi oczami wpatrywał się w zaczerwienioną twarz Curtissa. Dostrzegł na niej najpierw wahanie, potem wyraz pogardy.

- Kulawy smutas. Nie powierzyłbym mu nawet wyprowadzania swojego pudła do parku, żeby się wysusiał. Trzymam dla niego ciepłą posadkę, jak odejdzie ze służby państwowej, a nawet nie trącił palcem o palec w mojej obronie. Chcesz trochę? - zapytał, popychając w jego stronę karafkę z brandy.

- Nie mogę, stary. Konował mi zakazał.

- Mówiłem ci. Idź do mojego lekarza. Dough dał ci adres. Mieszka niedaleko, w Kapsztadzie. Przeleć się tam. Weź naszego gulfstreama.

- Trochę za późno, żeby zmieniać konie, dziękuję, Kenny.

- Na to nigdy nie jest za późno - odparł Curtiss.

A więc to Pellegrin, pomyślał Donohue, co potwierdzało jego od dawna żywione podejrzenia. Patrzył, jak Curtiss nalewa sobie kolejną śmiertelną dawkę z karafki. W wielu sprawach jesteś przewidywalny, a jedną z nich jest to, że nigdy nie nauczyłeś się kłamać.

Pięć lat temu bezdzietne małżeństwo Donohue, gnane pragnieniem zrobienia czegoś pożytecznego, pojechało w głąb kraju, żeby spotkać się z ubogim afrykańskim farmerem, który w wolnym czasie organizował dziecięce drużyny piłkarskie. Problem polegał na pieniądzu: pieniądze na ciężarówkę, żeby zawieźć dzieciaki na mecz, pieniądze na stroje drużyny i inne cenne symbole sportowe. Maud niedawno odziedziczyła mająteczek, Donohue zaś polisę na życie. Zanim wrócili do Nairobi, zobowiązali się opłacać wszystko w ratach przez najbliższe pięć lat. Donohue nigdy nie był tak szczęśliwy. Żałował tylko, że tak mało czasu poświęcił piłce nożnej dla dzieci, a tak dużo szpiegostwu. Z jakiegoś powodu ta sama myśl zaświtała mu teraz w głowie, gdy patrzył, jak Curtiss sadza swoje potężne cielsko w niskim fotelu

z drzewa tekowego, kiwając głową i puszczając oko jak jakiś milutki dzia-
dunio. Oto przyszła kolej na jego legendarny urok, który sprawia, że prze-
chodzą mnie zimne dreszcze, pomyślał Donohue.

- Wyskoczyłem parą dni temu do Harare - wyznał chytrze Curtiss, kła-
dąc dłonie na kolana i pochylając się, żeby zagaścić atmosferę zwierzeń. -
Ten głupi zadufek Mugabe ogłosił się nowym ministrem planowania naro-
dowego. Muszą powiedzieć, że to całkiem obiecujący chłopak. Czytałeś coś
o nim, Tim?

- Jasne.

- Młody facecik. Polubiłbyś go. Pomaga nam w małym przedsięwzię-
ciu, którym tam się zajmujemy. Bardzo lubi milusie łapówki na deser. My-
ślę, że mógłbyś docenić tę informację. W przeszłości to robiło dobrze na-
szym stosunkom, prawda? Facet, który wziął łapówkę od Kenny'ego K., nie
będzie się boczył na łapówkę od Jej Królewskiej Mości. Zgadza się?

- Pewnie. Dziękuję. Dobry pomysł. Przekażę to wyżej.

Więcej kiwnięć i mrugania, któremu towarzyszył potężny haust koniaku.

- Znasz ten nowy wieżowiec, który wybudowałem przy autostradzie
Uhuru?

- Fantastyczny, Ken.

- W ubiegłym tygodniu sprzedałem go Rosjaninowi. Dough mi mówił,
że to szef mafii. Wielki gość, nie taki gówniarz, jakich tutaj mamy. Mówi
się, że ubija bardzo duży interes z Koreańczykami. - Rozsiadł się i spojrzał
z troską starego przyjaciela. - Słuchaj. Tim. Co z tobą? Wyglądasz marnie.

- Czuję się świetnie. Tak czasem bywa.

- To chemioterapia, ot co. Mówiłem ci, żebyś poszedł do mojego leka-
rza, a ty nie chciałeś. Jak się miewa Maud?

- Świetnie, dziękuję.

- Weź sobie jacht. Zróbcie sobie przerwę, tylko wy, we dwoje. Pogadaj
z Dougiem.

- Dzięki jeszcze raz, ale to mogłoby zdradzić naszą tajemnicę, prawda?

Groziła im następna zmiana nastroju, Kenny głęboko westchnął i po-
zwolił, żeby jego ogromne ramiona opadły bezwładnie. Nie znosił, kiedy
odrzucono jego wspaniałomyślność.

- Chyba nie dołączyłeś do tych, co zwalają wszystko na Kenny'ego,
Tim? Nie odtrącasz mnie, jak te chłopaki od bankowości?

- Oczywiście, że nie.

- Nie rób tego. Tylko sobie zaszkodzisz. Wiesz, co robi ten Rosjanin,
o którym ci mówiłem, żeby się nie nudzić, jak pada deszcz? Wiesz, co poka-
zał Doughowi?

- Zamieniam się w słuch.

- Zbudowałem piwnicę pod tym wieżowcem. Postanowiłem, że będzie tam parking. Kosztowało mnie to słono, ale taki już jestem. Czteryście miejsc na czteryście mieszkań. A ten Rosjanin - podam ci nazwisko - na każdym miejscu parkingowym trzyma jedną białą ciężarówkę z wymalowanymi literami UN. Jeszcze nie były w terenie, tak powiedział Doughowi. Spadły z pokładu frachtowca do Somalii. Chce je wcisnąć. - Uniósł ramiona zadziwiony własną anegdotą. - O co tu, kurwa, chodzi? Rosyjska mafia sprzedaje ciężarówki ONZ! Mnie. Wiesz, czego chciał od Dougha?

- Powiedz.

- Żeby je importować. Z Nairobi do Nairobi. Przemaluje je dla nas, a my mamy tylko ułożyć się z chłopakami od ceł i przepuścić je przez naszą księgowość po kilka na raz. No, jeśli to nie jest zorganizowana przestępczość, to co to jest? Rosyjski kanciarz zdzierający skórę z ONZ tutaj, w Nairobi, w biały dzień, to anarchia. A ja nie pochwalam anarchii. Więc daję ci tę informację. Gratis. Z pozdrowieniami od Kenny'ego K. Powiedz im, że to podarunek.

- Będą uszczęśliwieni.

- Chcę, żeby przestał. Powiedz im. I to już.

- Coleridge czy Quayle?

- Obaj. Chcę, żeby Coleridge przestał, chcę, żeby zniknął ten głupi raport żony Quayle'a...

Mój Boże, o tym też wie, pomyślał Donohue.

- Sądziłem, że Pellegrin już to dla ciebie załatwił - powiedział tonem skargi i zmarszczył brwi w taki sposób, jak robią to starsi panowie, kiedy pamięć ich zawodzi.

- Trzymaj Bernarda z daleka od tego! Nie jest moim przyjacielem i nigdy nie będzie. I chcę, żebyś powiedział temu swojemu panu Quayle, że jak mi będzie deptał po odciskach, to nic nie będę mógł dla niego zrobić, bo on depta po odciskach całemu światu, a nie mnie! Jasne? Załatwiliby go w Niemczech, gdybym nie błagał ich na kolanach! Słyszysz?

- Słyszę, Kenny. Przekażę to wyżej. Tyle mogę ci obiecać.

Z niedźwiedzią zwinnością Curtiss wystrzelił z fotela i potoczył się przez pokój.

- Jestem patriotą - krzyknął. - Potwierdź to, Donohue! Jestem, kurwa, patriotą!

- Oczywiście, że jesteś.

- Powiedz to jeszcze raz. Jestem patriotą!

- Jesteś patriotą. Jesteś Johnem Bullem. Winstonem Churchillem. Co mam ci jeszcze powiedzieć?

- Daj mi jeden przykład, jak patriotycznie jestem nastawiony. Jeden z tużina. Najlepszy przykład, jaki możesz znaleźć. Teraz.

Do czego to, u diabła, ma służyć? Donohue podał jednak ten przykład.

- A co z robotą w Sierra Leone, którą odwaliliśmy ~w ubiegłym roku. Opowiedz o tym. Dalej, opowiadaj!
- Nasz klient potrzebował broni i amunicji od anonimowego dostawcy.
- No i?
- Więc kupiliśmy broń...
- Ja kupiłem tę pierdoloną broń!
- Kupiłeś broń za nasze pieniądze, które ci dostarczyliśmy, fałszywe zaświadczenie, że ostateczny odbiorca jest w Singapurze...
- Zapomniałeś, kurwa, o statku!
- ThreeBees wyczarterowało czterdziestotysięcznika, frachtowiec, i załadowało broń. Statek zagubił się we mgle...
- Na niby, chciałeś powiedzieć!
- ...i musiał zawinać do małego portu niedaleko Freetown, gdzie nasz klient i jego drużyna czekali w gotowości, żeby rozładować karabiny.
- A ja nie musiałem tego dla was robić, co? Mogłem stchórzyć. Mogłem powiedzieć: "Nie ten adres, spróbujcie u sąsiada". Ale zrobiłem to. Zrobiłem to z miłości do mojego popierdolonego kraju. Bo jestem patriotą! - Ściszył głos, mówił konspiracyjnym szeptem. - W porządku. Słuchaj, co masz zrobić... co służby mają zrobić. - Chodził po pokoju, wydając rozkazy krótkimi, urywanymi zdaniami. - Twoje służby... nie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, bo to stado starych bab, twoje służby, wy osobiście, pójdziecie do banków. I w każdym banku odszukacie prawdziwego Anglika albo prawdziwą Angielkę. Słuchaj mnie, bo to ty masz im to przekazać, kiedy wieczorem wrócisz do domu. - Zaczął używać swojego głosu wizjonera. Wysokie tony, trochę drżenia, milioner z ludu.
- Słucham - zapewnił go Donohue.
- Dobrze. Zbierzecie ich. Tych dobrych, prawych Anglików. Albo Angielki. W ślicznym, wyłożonym boazerią pokojem, gdzieś w City. Wy, chłopaki, znajdziecie odpowiednie miejsce. I jako działający w granicach swoich kompetencji funkcjonariusze brytyjskiej Secret Service, powiecie im: "Proszę państwa. Odwalcie się od Kenny'ego K. Nie mamy wam zamiaru powiedzieć dlaczego. Mówimy tylko tyle - odwalcie się od niego w imieniu królowej. Kenny K. dokonał wielkich czynów dla kraju, ale nie możemy wam powiedzieć, co takiego zrobił, a robi jeszcze więcej. Macie mu przedłużyć kredyt jeszcze o trzy miesiące i dzięki temu dokonacie dla kraju czegoś wielkiego, tak jak to robi Kenny K.". I oni zrobią. Jeśli jeden powie tak, wszyscy powiedzą tak, bo to mięczaki. A inne banki pójdą za nimi, bo to też mięczaki.

Donohue nawet nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie mu żal Curtisa. Ale teraz właśnie był dobry moment.

- Poproszę ich. Problem w tym, że nie mamy tego rodzaju władzy. Gdybyśmy ją mieli, musiano by nas rozwiązać.

Efekt tych słów był bardziej drastyczny, niż mógł się tego spodziewać. Curtiss krzyczał, a jego ryk odbijał się echem od belkowania sufitu. Uniósł obleczone w białą koszulę ramiona nad głowę jak kapłan. Pokój rozbrzmiewał gromami głosu swego pana.

- Donohue, jesteś już historią. Tobie się wydaje, że to kraje rządzą tym pierdolonym światem! Wracaj, kurwa, do szkółki niedzielnej. Dziś się śpiewa "Boże zbaw korporacje". I jeszcze jedno możesz powiedzieć swoim przyjaciółom, panu Coleridge'owi i panu Quayle'owi i komu tam jeszcze, z kim spiskujesz przeciwko mnie: "Kenny K. kocha Afrykę" - wielkie ciało zasłoniło okno widokowe i skąpane w jedwabistym świetle księżycy jezioro. - On to ma, kurwa, we krwi! I Kenny K. kocha swoje lekarstwo! Kenny K. został zesłany na ziemię, żeby dostał je każdy Afrykanin, każda Afrykanka, każde afrykańskie dziecko, które go potrzebuje! I mam to zamiar zrobić, więc odpierdolcie się! A jeśli ktoś chce stanąć na drodze rozwoju nauki, to niech ma pretensje do siebie. Boja nie mogą zatrzymać moich chłopców. Już nie, i ty też nie możesz. To lekarstwo było badane i testowane przez najlepsze mózgi, jakie można kupić za pieniądze. I żaden z nich - głos syczy w crescendo historycznej groźby - żaden z nich nie powiedział, kurwa, złego słowa przeciwko niemu. I nie powie. Nigdy! A teraz wypierdalaj.

Kiedy Donohue zrobił, o co go poproszono, rozpętała się wokół niego kakofonia dźwięków. Korytarzem zaczęły przemykać cienie, psy szczekały, a chór telefonów rozpoczął swoją pieśń.

Wyszedł na świeże powietrze i stanął na chwilę, żeby zapachy i dźwięki Afryki zmyły z niego brud. Był jak zwykle nieuzbrojony. Poszarpany welon chmur przesłonił gwiazdy. W świetle lamp akacje wyglądały jak wycięte z żółtego papieru. Słyszał rzenie zebr. Rozejrzał się powoli wokół, zatrzymując wzrok na najciemniejszych miejscach. Dom stał na wysokim tarasie, za nim leżało jezioro, a przed nim rozciągał się asfalt, który w świetle księżycy przynajmniej pominął głęboki krater. Samochód był na środku placu. Z przyzwyczajenia zaparkował go za dala od rosnących wokół krzaków. Nie był pewien, czy nie zauważył przemykającego cienia, więc stał w bezruchu. Pomyślał, raczej bez sensu, o Justinie. Jeśli Curtiss nie kłamał i Justin rzeczywiście tak szybko przemieszczał się z Włoch do Niemiec i Kanady, to był to człowiek, którego Donohue nie znał, i zaczął się domyślać dopiero w ciągu ostatnich tygodni: samotnik, nie przyjmujący niczyich rozkazów, działający na własną rękę. Justin wszedł na wojenną ścieżkę, zdecydowany odkryć to, co w poprzednim

swoim życiu pomagał ukrywać. A j eśli był teraz taki i taki cel sobie postawił, to nie ma miejsca, które lepiej nadawałoby się na rozpoczęcie poszukiwań niż nabrzeżna rezydencja sir Kennetha Curtissa, importera i dystrybutora "swojego lekarstwa".

Donohue zrobił pół kroku w stronę samochodu. Zatrzymał się i ostrożnie, bardzo ostrożnie postawił stopę na asfalcie. W co my gramy, Justinie? W podchody? A może to nie ty, tylko jakaś małpka? Tym razem ktoś idzie, ewidentny odgłos kroków z tyłu. Człowiek czy zwierzę? Donohue podniósł obronnym gestem prawy łokieć i tłumiąc ochotę, żeby wyszeptać imię Justina, odwrócił się. Zobaczył, że półtora metra od niego, w świetle księżyca, stoi Dough Crick, demonstracyjnie trzymając ręce luźno opuszczone po bokach. Był wielkim mężczyzną, równego wzrostu z Donohue, ale o połowę od niego młodszy, miał szeroką bladą twarz, jasne włosy i pociągający, niemal zniewieściały uśmiech.

- Się masz, Dough - powiedział Donohue. - Jak zdrówko?

- Doskonale, proszę pana, dziękuję panu i mam nadzieję, że to samo można powiedzieć o panu.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Rozmawiali bardzo cicho.

- Może pan dojechać do głównej drogi, skrócić w stronę Nairobi i zatrzymać się przy zjeździe do Parku Narodowego Brama Piekieł. Zamknięto go godzinę temu. To droga gruntowa, nieoświetlona. Dojadę tam za dziesięć minut.

Donohue pojechał między czarnymi drzewami do bramy i pozwolił, żeby strażnik oświetlił mu latarką twarz, a potem wewnątrz samochodu, na wypadek, gdyby ukradł dywanik ze skóry lamparta. Kung-fu ustąpiło miejsca pornografii. Skręcił powoli na drogę główną, uważając na przechodniów i zwierzęta. Zakapturzeni tubylcy kucali i leżeli na poboczach. Samotni wędrowcy z długimi łaskami wolno podnosili dłonie albo wskakiwali kpiąco w światła reflektorów. Jechał dopóki nie zobaczył zgrabnego znaku wskazującego kierunek do parku narodowego. Zatrzymał się, wyłączył światła i czekał. Jakiś samochód zatrzymał się za nim. Otworzył drzwi od strony siedzenia dla pasażera i uchylił je na trzydzieści centymetrów, włączając wewnętrzne oświetlenie. Nie było chmur ani księżyca. Gwiazdy za przednią szybą świeciły ostrym światłem. Donohue rozpoznał gwiazdozbiór Byka i Bliźniąt, a potem Raka. Crick wśliznął się na fotel dla pasażera i zatrasnął za sobą drzwi. Zapadła całkowita ciemność.

- Szef jest zrozpaczony, proszę pana. Nie widziałem go w takim stanie, odkąd... cóż, nigdy go takim nie widywałem - powiedział Crick.

- Nie sądzę, żebyś miał okazję go takim widzieć, Dough.

- Szczerze mówię, w głowie mu się popieprzyło.

- Jest wyczerpany nerwowo - powiedział współczująco Donohue.
- Przez cały dzień siedziałem w pokoju łączności i przyjmowałem telefony do niego. Londyńskie banki, Bazylea, potem znowu banki, potem instytucje finansowe, o których nigdy nie słyszał, proponujące mu miesięczny czterdziestoprocentowy kredyt składany. Potem dzwonili ci, których on nazywa szczurzą bandą, jego przyjaciele polityczni. Trudno się powstrzymać, żeby nie posłuchać, prawda?

Matka z dzieckiem na rękę zastukała nieśmiało w okno wychudzoną ręką. Donohue opuścił szybę i wręczył jej dwudziestoszylingowy banknot.

- Obciążył hipotekę swoich domów w Paryżu, Rzymie i Londynie, i domu w Sutton Place w Nowym Jorku. Usiłuje znaleźć nabywcę na tę swoją idiotyczną drużynę piłkarską, chociaż trzeba być ślepym i głuchym, żeby ją kupić. Dzisiaj poprosił swojego przyjaciela w Credit Suisse o dwadzieścia pięć milionów dolarów, żeby zachować płynność finansową. Jeśli nie będzie miał gotówki, przejmą jego spółkę.

Przy szybie stało oszołomione rodzinne trio, uchodźcy skądś, idący donikąd.

- Mam się nimi zająć, proszę pana? - zapytał Crick, sięgając po kłamkę.

- Nie rób tego - zakazał mu ostro Donohue. Włączył silnik i powoli pojechał drogą. Crick mówił dalej.

- Wrzeszczy na nich, i to wszystko. To głupie, szczerze mówiąc. KVH nie chce jego pieniędzy. Chcą przejąć jego interesy. Wszyscy o tym wiemy, tylko on nie. A ja nie wiem, kiedy ta burza ucichnie.

- Przykro mi to słyszeć, Dough. Zawsze myślałem, że ty i Kenny pasujecie do siebie jak ulał.

- Ja też tak myślałem, proszę pana. Wiele musiało się zmienić, żeby tu teraz przyszedł, przyznaję. Dwulicowość to nie mój styl.

Gromada wygnanych ze stada samców gazeli podeszła do skraju drogi i przyglądała się, jak przejeżdżają.

- Czego chcesz? - zapytał Donohue.

- Zastanawiałem się, czy jest może jakaś nieformalna praca, proszę pana. Czy jest ktoś, kogo pan chciałby odwiedzić, albo mieć na niego oko. Jakies specjalne dokumenty, których by pan potrzebował. - Donohue czekał. - No i mam tego przyjaciela, jeszcze z Irlandii. Mieszka w Harare, ale to inna para kaloszy.

- Co z nim?

- Zwrócono się do niego. Jest wolnym strzelcem.

- Zwrócono się o co?

- Pewni Europejczycy, którzy byli przyjaciółmi jego przyjaciół, zwrócili się do niego. Zaproponowali mu ogromny szmal, żeby uciszył białą

kobietę i jej czarnego chłopaka w okolicach jeziora Turkana. Robota na wczoraj. Jedziesz dzisiaj, samochód czeka.

Donohue zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- Kiedy? - zapytał.
- Dwa dni przed śmiercią Tessy Quayle.
- Przyjął kontrakt?
- Jasne, że nie.
- Dlaczego nie?
- On nie z tych. Nie tknie kobiety. Zaliczył Rwandę, zaliczył Kongo.

Od tej pory już nigdy w życiu nie tknie kobiety.

- Więc co zrobił?

- Poradził im, żeby porozmawiali z pewnymi ludźmi, których znał. Oni nie byli tacy wymagający.

- Jacy to ludzie?

- Nie powiedział. A gdyby chciał, to ja bym mu nie pozwolił. Są sprawy, o których lepiej nie wiedzieć, dla bezpieczeństwa.

- Czyli niewiele ma do zaoferowania, co?

- Cóż, może chce porozmawiać o szerszych parametrach, o ile wie pan, o czym mówię.

- Nie wiem. Kupuję nazwiska, daty, miejsca. Detal. Gotówka w torbie. Żadnych parametrów.

- Pomijając śmieszny język mojego przyjaciela, powiedział coś takiego: czy chciałby pan kupić całą historię razem z przypisami o tym, co stało się z doktorem Bluhmem? Zabawia się w pisarza. Spisał relację o losach doktora, na podstawie tego, co powiedzieli mu jego przyjaciele. Tylko dla pana, zakładając, że zapłaci pan ile trzeba.

Jeszcze jedna grupa nocnych wędrowców zgromadziła się wokół samochodu. Wiódł ich stary mężczyzna w damskim kapeluszu z kokardą.

- Zdaje mi się, że to jakaś gówno warta historyjka.

- Nie sądzę, żeby była gówno warta, proszę pana. Myślę, że to w stylu McCoya. Wiem, że tak jest.

Dreszcz przeszył Donohue. Wie?, pomyślał. Czy może ten przyjaciel z Irlandii to krytonim samego Dougla Cricka?

- Gdzie jest ta relacja?

- Powiem tak: z ręki do ręki, proszę pana.

- Jutro od dwunastej będę przez dwadzieścia minut przy barze na basenie Serena Hotel.

- Można go liczyć na jakieś pięćdziesiąt, proszę pana.

- Powiem ci, na ile można go liczyć, jak to zobaczę.

Donohue jechał godzinę, lawirując między dziurami w jezdni, zwalniając na bardzo krótkich odcinkach. Szakał przebiegł mu przed maską. Zmie-

rzał do rezerwatu dla zwierzyny. Grupa kobiet z miejscowej farmy kwiatów machała do niego, żeby je podwiózł, ale tym razem nie zatrzymał się. Nawet przejeżdżając obok własnego domu, nie zwolnił, lecz pojechał prosto do Wysokiej Komisji. Łosoś będzie musiał poczekać do jutra.

21

Sandy Woodrow - oznajmiła Gloria z figlarną surowością, stając przed nim z rękami na biodrach w swoim nowym puszystym szlafroczku - najwyższy czas, żebyś podniósł flagę.

Wstała wcześniej i wyszczotkowała włosy, zanim on się ogolił. Chłopców wysłała do szkoły z kierowcą, potem usmażyła mu jajka na bekonie, chociaż nie powinien tego jeść, ale raz na jakiś czas dziewczyna ma przecież prawo trochę porozpieszczać swojego mężczyznę. Udawała przewodniczącą samorządu klasowego, mówiła tym swoim dziewczęcym, gardłowym głosem, ale do jej męża nic nie docierało. Jak zwykle przekopywał się przez stertę nairobińskich gazet.

- Flaga wraca na maszt w poniedziałek, kochanie - odparł roztargnionym tonem, przeżuając bekon. - Mildren kontaktował się z departamentem protokołu. Flaga była opuszczona do połowy dłużej, niż gdyby Tessa była księżniczką krwi.

- Nie mówię o tej fladze, głuptasie - powiedziała Gloria, zabierając mu gazety. Usadziła go na ławie pod ścianą, na której wisiały jej akwarele.

- Siedzisz wygodnie? Więc słuchaj. Mówię o tym, żeby urządzić absolutnie odlotowe party, żebyśmy się wszyscy zabawili, nie wyłączając ciebie. Już czas, Sandy. Naprawdę. Czas, żebyśmy powiedzieli sobie. "W porządku. Skończone. Starczy tego. Przykro, jak cholera. Ale życie idzie naprzód". Tessa zrobiłaby dokładnie tak samo. Mam istotne pytanie, kochany. Co się dzieje? Kiedy Porterostwo wracają? - "Porterostwo" jak "Sandy'ostwo" czy "Elenostwo", tak mówimy o ludziach, kiedy jesteśmy mili.

Woodrow przeniósł ćwiartkę jajka na przysmażony chleb.

- Pan i pani Porterostwo Coleridge'owie wzięli długi urlop w kraju, bo muszą znaleźć szkołę dla Rosie - powiedział uroczystym głosem, jakby wygłaszał przemówienie. - Nic się nie dzieje. To jedyna wersja.

Ale ta historia, mimo że udawał, iż go nie obchodzi, zaprzętała go wielce. Co, do diabła, knuje ten Coleridge? Skąd ta cisza? W porządku, ma urlop w kraju. Wszystkiego najlepszego. Ale szefowie misji na urlopach

mają telefony, e-maile i adresy. Dają jakieś znaki, że się wycofują, dzwonią do swoich zastępców i prywatnych, sekretarzy pod byle pretekstem, chcą się dowiedzieć, co się dzieje z ich służbą, ogrodami, psami i jak tam na miejscu wszystko działa, kiedy mnie nie ma? Są wzburzeni, kiedy się im mówi, że na miejscu wszystko działa lepiej, kiedy ich nie ma. A od Coleridge'a, odkąd nagle wyjechał, ani słowa. Woodrow dzwonił do Londynu w jasnym celu, żeby zadać mu kilka pytań - i zupełnie przypadkiem wyciągnąć z niego parę informacji - ale trafił na kolejne mury nie do sforsowania. Coleridge „jest zajęty w urzędzie rady ministrów”, powiedział mu jakiś gorliwiec z departamentu Afryki. Uczestniczy w „naradzie roboczej u ministra”, powiedział z kolei satrapa z departamentu stałego podsekretarza stanu.

A Bernard Pellegrin, kiedy Woodrow wreszcie złapał go przez telefon cyfrowy stojący na biurku Coleridge'a, był równie beztroski jak inni.

- To jedna z tych układanek biurowych - wyjaśnił niezbyt precyzyjnie. - Premier chce dostać sprawozdanie, więc sekretarz stanu musi je skądś wy-dostać, więc wszyscy wzięli się do roboty. Każdy chciałby mieć kawałek Afryki. Co nowego?

- Ale czy Porter wraca w końcu, czy nie, Bernardzie? To bardzo niepo-kojące. Dla nas wszystkich.

- Ja się o tym dowiem na końcu, stary. - Króciutka przerwa. - Jesteś sam?

- Tak.

- Ta gówniara Mildred nie podsłuchuje za drzwiami?

Woodrow popatrzył na zamknięte drzwi do poczekalni i zniżył głos.

- Nie.

- Pamiętasz ten gruby plik papierów, który przesłałeś mi nie tak dawno temu? Dwadzieścia stron z okładem - autorstwa pewnej kobiety?

Woodrow poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Urządzenia prze-ciwpodsłuchowe działają przeciwko obcym, ale czy równie dobre będą na naszych?

- A o co chodzi?

- Według mnie... to najlepsza wersja... wszystko się ułoży... to nigdy tu nie dotarło. Zawieruszyło się w poczcie. Jasne?

- Mówisz ze swojego punktu widzenia, Bernardzie. Ja nie mogę odpo-wiadać za twoje sprawy. Jeśli tego nie dostałeś, to twoja sprawa. Aleja ci to wysłałem. Tyle wiem.

- A powiedzmy, że mi nie wysłałeś, stary? Powiedzmy, że nic się nie zdarzyło. Nikt tego nie napisał, nikt nie wysłał? Czy to byłoby do przyjęcia z twojego punktu widzenia? - Głos był całkowicie beztroski.

- Nie, to niemożliwe. W ogóle nie do przyjęcia, Bernardzie.

- Dlaczego? - Głos stał się zainteresowany, ale zupełnie nie zaniepokojony.

- Wysłałem to do ciebie pocztą dyplomatyczną. Zostało wciągnięte na listę. Osobiście do ciebie. Zinventaryzowane. Królewscy kurierzy podpisali kwit. Powiedziałem... -już miał powiedzieć: Scotland Yardowi, ale w porę zmienił zdanie - ludziom, którzy tu w tej sprawie przybyli. Musiałem. Wiedzieli o tym, zanim zaczęli ze mną rozmawiać. - Strach przyprawił go o złość. - Powiedziałem tobie i powiedziałem im! A właściwie ostrzegłem cię! Bernardzie, czy coś wyszło na jaw? Trochę mnie zdenerwowałeś. O ile wcześniej dobrze cię rozumiałem, cała sprawa miała poczekać, aż wszystko przyschnie.

- Nic się nie stało, stary. Uspokój się. Takie sprawy wychodzą na jaw. Jak trochę pasty do zębów wyślizgnie się z tubki, wciśniesz ją z powrotem. Podobno tego nie da się zrobić, ale robi się codziennie. Żona dobrze się czuje?

- Świetnie.

- Chłopaki?

- Świetnie.

- Przekaż im uściski.

- Więc postanowiłam, że to będzie bal nad bale - mówiła z entuzjazmem Gloria.

- Doskonale, doskonale - powiedział Woodrow i żeby zyskać na czasie i podjąć wątek rozmowy, sięgnął po pigułki, które kazała mu łykać co rano - trzy tabletki z otrębów owsianych, jedna z tranem z dorsza i pół aspiryny.

- Wiem, że nie znosisz tańczyć, ale to nie twoja wina, tylko twojej matki - szczebiotała Gloria. - Nie pozwolę, żeby Elena się wtrącała, szczególnie teraz, po tej tandetnej potańcówce, którą ostatnio urządziła, po prostu powiem jej tylko, co jest grane.

- Słusznie. A więc ucałowałyście się na zgodę. Nie wiedziałem. Moje gratulacje.

Gloria przygryzła wargę. Wspomnienie tańców u Eleny natychmiast pogorszyło jej nastrój.

- Sandy, trzeba mieć przyjaciół - powiedziała płaczkliwie. - Szczerze mówiąc, ja bardzo ich potrzebuję. Czuję się trochę samotna, kiedy tak czekam cały dzień, aż przyjdiesz. Przyjaciele śmieją się, plotkują, wyświadczają sobie przysługi. A czasem człowiek się z nimi poróżni. Ale potem znów jest dobrze. Tak jest między przyjaciółmi. Chciałabym, żebyś i ty miał kogoś takiego. Co, zły pomysł?

- Ależ ja mam ciebie, kochanie - odparł szarmancko Woodrow, obejmując ją na do widzenia.

Gloria wzięła się do pracy z tą samą werwą i sprawnością jak przy pogrzebie Tessy. Sformowała komitet roboczy, składający się z innych żon oraz z członków personelu Wysokiej Komisji, zbyt nisko po stawionych, żeby mogli jej odmówić. Na pierwszy ogień poszła Ghita, co miało dla niej ogromne znaczenie, bo właśnie Ghita była nieświadomą sprawczynią rozdzwisku między Glorią a Eleną i koszmarnej sceny, która z tego wynikła. Pamięć o niej będzie ją prześladować do końca życia.

Elena wydała wieczorek tańczący i był on, do pewnego stopnia, ale nie można tego nie przyznać, sukcesem. A Sandy, jak powszechnie wiadomo, uważał, że małżeństwa nie powinny trzymać się razem podczas przyjęć i obtańcowywania pokoju, jak to nazywał. Przyjęcia, jak mówił, to najlepsze miejsce, żeby uprawiać dyplomację. I tak być powinno. Był czarujący, toteż przez większą część wieczoru rzadko się widywali, nie licząc przypadkowego pomachania sobie przez szerokość parkietu od czasu do czasu. Co było zupełnie normalne, choć Gloria chciałaby, żeby choć raz z nią zatańczył, nawet jeśli miałby to być fokstrot, żeby był w stanie złapać rytm. Poza tym Gloria niewiele miała do powiedzenia na temat tego wieczoru, no może tyle, że Elena mogłaby jednak trochę bardziej ukrywać swój wiek i nie pozwalać, żeby jej biust cały wyłaził na wierzch, i wołałaby, żeby ambasador Brazylii nie kładł jej ręki na tyłku podczas samby, ale Sandy powiedział, że tak właśnie robią Latynosi.

No i potem nastąpił grom z jasnego nieba, kiedy rano, po tańcach - w czym Gloria nie widziała niczego zdrożnego, co należy podkreślić, i uznała, że sama zachowała się raczej ostrożnie - podczas porannej kawy w Muthaiga, Elenie wymknęło się, zupełnie przypadkiem, jakby to była jakaś zupełnie zwyczajna ploteczka, a nie bomba, która zrujnuje jej życie - że Sandy "przystawia się mocno do Ghity Pearson" - tak powiedziała - że Ghita udała ból głowy i wcześniej poszła do domu, co Elena uważała za kompletne nudziarstwo, bo przecież gdyby tak każdy zrobił, to nie byłoby w ogóle po co organizować przyjęć.

Gloria z początku zaniemówiła. Potem wprost powiedziała, że nie wie, czy w ani jedno sowo. Co konkretnie ma na myśli Elena, mówiąc, że się "przystawia"? Jak się przystawia, El? Bądź łaskawa wyrażać się ściśle. Myślę, że jestem raczej rozstrojona. Nie, już wszystko w porządku, mów dalej, proszę. Skoro już powiedziałaś, powiedz resztę.

Wiec Elena odpowiedziała z zamierzoną szorstkością, tym większą, że podejrzewała Glorię o świętoszkowatość. Obmacuje jej cycki. Przyciska swojego do jej krocza. Kobieto, a czego się spodziewasz po mężczyźnie, który napali się na dziewczynę? Jesteś chyba jedyna wmieście, która nie wie, że Sandy to największy kobieciarz w okolicy. A jak chodził koło Tessy

przez te wszystkie miesiące z wywieszonym ozorem, nawet gdy była w ósmym miesiącu!

Wspomnienie Tessy zrobiło swoje. Gloria od dawna podejrzewała, że Sandy ma jakąś niewinną słabość na jej tle, ale rzecz jasna, jest zbyt prostolinijny, żeby nie trzymać swoich uczuć na wodzy. Ze wstydem przepytowała Ghitę w tej materii i uzyskała satysfakcjonujący jawny wynik - nic niebyło. Teraz Elena nie dość, że otworzyła starą ranę, ale naląła do niej octu. Pełna niedowierzania, zdziwienia, upokorzona i po prostu wściekła jak diabli Gloria popędziła do domu, odesłała służbę, usadziła chłopców do odrabiania lekcji, zamknęła barek z drinkami i czekała pochmurna na Sandy'ego. Wrócił około ósmej, tłumacząc się, jak zwykle, nawałem pracy. Był jednak trzeźwy, o ile mogła to ocenić w swoim stanie nerwów. Nie chcąc, żeby dopadli go chłopcy, złapała go za ramię i zawlokła po schodach dla służby do pokoju gościnnego.

- Co się z tobą, dzieje? O co chodzi? Chcę się napić szkockiej.

- O ciebie, Sandy - odparła strasznym głosem. - I żadnych wykrętów. Żadnej dyplomatycznej gadki-szmatki, dziękuję uprzejmie. Żadnych uprzejmostek. Oboje jesteśmy dorośli. Miałeś romans z Tessą Quayle, czy go nie miałeś? Ostrzegam cię, Sandy. Znam cię bardzo dobrze. Natychmiast będę wiedziała, czy kłamiesz.

- Nie - odpowiedział po prostu Woodrow. - Nie miałem. Jeszcze jakieś pytania?

- Byłeś w niej zakochany?

- Nie.

Stoicki pod ogniem jak jego ojciec. Brew mu nawet nie drgnie. To był Sandy, którego, prawdę mówiąc, kochała najbardziej. Taki mężczyzna, którego można być pewnym. Już nigdy nie odezwie się do Eleny.

- Czy przystawiałeś się do Ghhy Pearson podczas tańca na party u Eleny?

- Nie.

- Elena mówi, że tak.

- Więc Elena plecie androny. Co wymyśliła?

- Powiedziała, że Ghita wcześniej wyszła, bo ją obmacywałaś.

- Sądzę, że Elena jest wkurwiona, bo jej nie obmacywałem.

Gloria nie spodziewała się takiego bezpośredniego, jednoznacznego, prawie lekkomyślnego zaprzeczenia. Wolałaby, żeby nie użył słowa "wkurwiona", właśnie wstrzymała kieszonkowe Philipowi za to, że tak powiedział, ale Sandy chyba miał prawo.

- Czy głaskałeś Ghitę - obmacywałeś ją - przyciskałeś się do niej - powiedz! - krzyknęła i wybuchła płaczem.

- Nie - powtórzył Woodrow i zrobił krok w jej kierunku, ale odepchnęła go.

- Nie dotykaj mnie! Zostaw mnie! Chciałeś mieć z nią romans?

- Z Ghitą czy z Tessą?

- Z którąś z nich! Z obiema! Co za różnica?

- Może zajmiemy się najpierw Tessą?

- Rób, co chcesz!

- Jeśli pod słowem romans rozumiesz pójście z nią do łóżka, to jestem pewien, że ten pomysł zaświtał mi w głowie, tak jak byłoby to w przypadku większości mężczyzn o heteroseksualnych upodobaniach. Ghita jest dla mnie mniej pociągająca, ale młodość ma swoje zalety, więc weźmy się i za nią. Jak to ujął Jimmy Carter? "Popelniłem w sercu cudzołóstwo". Tyle. Wyznałem. Chcesz rozwodu czy mogę się jednak napić szkockiej?

I wtedy zgięła się w pół, zaczęła bezradnie szlochać ze wstydu i wstępu do siebie i błagać Sandy'ego, żeby jej wybaczył, bo zdała sobie sprawę z tego, jaką straszną rzecz uczyniła. Oskarżała go o wszystko, o co oskarżała siebie, odkąd Justin wyszedł w noc ze swoimi walizkami. Obarczyła go swoją winą. Zawstydzona objęła się rękami i wyrzuciła z siebie: "przepraszam cię, Sandy" i "och, Sandy, proszę", i "Sandy, wybac mi, jestem koszmarna". Usiłowała wyzwolić się z jego objęć, ale Sandy objął ją ramieniem i pomagał jej wchodzić po schodach jak dobry doktor, którym powinien zostać. A kiedy dotarli do salonu, dała mu klucz do barku z drinkami, a on nałał po jednym mocniejszym dla obojga.

Proces ozdrowieńczy wymaga jednak czasu. Tak monstualnych podejrzeń nie odrzuca się z dnia na dzień, szczególnie jeśli wzbudzają one inne podejrzania, które zostały odrzucone w przeszłości. Gloria przywołała wspomnienia z przeszłości, potem z jeszcze dalszej przeszłości. Jej pamięć, która miała skłonność do chodzenia samopas, wydobywała przypadki, dawno już odrzucone. W końcu Sandy to atrakcyjny mężczyzna. Kobiety na niego lecą, to też oczywiste. Był najbardziej dystygowaną osobą na sali. A mały, niewinny flircik jeszcze nikomu nie zaszkodził. Ale wtedy pamięć znów stanęła dęba i Gloria zaczęła myśleć. Przychodziły jej na myśl kobiety z poprzednich placówek - partnerki do tenisa, opiekunki do dzieci, młode żony łaknących awansu mężów. Ożyły wspomnienia z pikników, spotkań na basenie, a nawet - mimowolny dreszcz - nieco pijane nagie party na basenie ambasadora Francji w Ammanie, kiedy naprawdę nikt nie patrzył i wszyscy z krzykiem pobiegliśmy po ręczniki, ale jednak...

Musiałoby minąć kilka dni, zanim Gloria przebaczyła Elenie, ale pod pewnym względem, oczywiście, nigdy jej nie wybaczy. Ale Elena jest taka nie-szczęśliwa, pomyślała, wzbudzając w sobie wielkoduszność. Bo jak mogłoby

być inaczej, skoro wyszła za tego straszego małego Greka i stara się to zagłuszyć jednym romanssem po drugim?

Jedyną rzeczą, która nieco martwiła Głorię, było to, co mianowicie mają świętować. Oczywiście musiałyby to być jeden z tych dni - Dzień Niepodległości, albo Święto Majowe. I to jak najszybciej, bo mogą jeszcze wrócić Porterowie, na czym Głorii wcale nie zależało. Zależało jej na tym, żeby to Sandy stanął w świetle reflektorów. Zbliżał się Dzień Wspólnoty Narodów, ale było jeszcze do niego daleko. Gdyby trochę poszachrować, można by urządzić wczesny Dzień Wspólnoty Narodów i wyprzedzić innych. To pokazałoby, że ma inicjatywę. Wolałaby czysto brytyjski Dzień Wspólnoty, ale wszystko musi być dopasowane do dni, w jakich obecnie przyszło nam żyć. Wolałaby Dzień św. Jerzego i zabić tego cholernego smoka na dobre! Albo dzień Dunkierki i niech walczą na plażach! Albo Dzień Waterloo albo dzień Trafalgaru albo Dzień Agincourt, wszystkie dni wspaniałych brytyjskich zwycięstw - ale niestety, były to zwycięstwa nad Francuzami, którzy, jak jej to jadowicie wypomniała Elena, mają najlepszych kucharzy w mieście. Skoro zatem żaden z tych dni nie pasował, musi to być Dzień Wspólnoty Narodów.

Gloria uznała, że nadszedł czas, żeby zrealizować jej mistrzowski plan, a do tego potrzebowała błogosławieństwa kancelarii. Mikę Mildren był człowiekiem o nieustannie zmieniających się upodobaniach. Przez sześć miesięcy dzielił mieszkanie z raczej przeciętną dziewczyną z Nowej Zelandii, a potem, z dnia na dzień, wymienił ją na przystojnego chłopca z Włoch, który, jak mówiono, całe dnie obijał się na basenie w Norfolk Hotel. Wybrała porę zaraz po obiedzie, kiedy Mildren bywał ponoć najbardziej otwarty i zadzwoniła do niego z Muthaiga Club. Użyła wszystkich swoich sztuczek i obiecała sobie, że nie nazwie go przez pomyłkę Mildred.

- Mikę, tu Gloria. Jak się masz? Masz minutkę? A może dwie?

Jakie to miłe i skromne z jej strony, bo przecież, poza wszystkim, była żoną pełniącego obowiązki Wysokiego Komisarza, choć nie była Veroniką Coleridge. Tak, Mildren ma minutkę.

- Doskonale, Mikę, jak może słyszałeś, razem z paczką oddanych przyjaciół planujemy dość okazały bal przed Dniem Wspólnoty Narodów. Coś jakby odświeżenie kurtyny dla innych. Oczywiście, Sandy rozmawiał o tym z tobą, prawda?

- Jeszcze nie, Glorio, ale na pewno to zrobi.

Sandy był bezużyteczny, jak zwykle. Zapominał o wszystkim, co było z nią związane, kiedy tylko wychodził za drzwi. A jak wracał do domu, to pił i szedł spać.

- No, w każdym razie chodzi o naprawę duży namiot. Taki wielki, jaki tylko uda się znaleźć, z kuchnią z boku. Mamy zamiar urządzić gorący bufet i wynająć naprawę dobrą miejscową kapelę. Nie disco jak u Eleny i żadnego łososia na zimno. Sandy dokłada całą furę pieniędzy ze swojego kieszonkowego, a *attaches* poszczególnych służb już grzebią w skarbonkach, to na początek. Jesteś tam?

- Jestem, Glorio.

Nadęty chłopaczek. Zbyt wiele łask spływało na niego. Już Sandy doprowadzi go do porządku, kiedy tylko będzie miał szansę.

- Dwa pytanki, Mike. Oba trochę delikatnej natury, ale trudno, zaryzykuję. Pierwsze. Skoro Porter będzie nieobecny nieusprawiedliwiony, jeśli można tak powiedzieć, i nie dostaniemy wkładu finansowego ze szkatuły Jej Królewskiej Mości, co byłoby, gdyby naruszyć fundusz na łapówki, a może Porter dałby się jakoś namówić na odległość?

- A drugie?

Naprawę jest nieznośny.

- Drugie, Mike, to gdzie? Biorąc pod uwagę rozmiary imprezy - i ten wielki namiot - i wagę tego wydarzenia dla społeczności Brytyjczyków w dzisiejszych raczej ciężkich czasach i jeśli chcemy nadać temu balowi odpowiednie znaczenie, pomyśleliśmy - to znaczy ja pomyślałam, nie Sandy, on jest za bardzo zajęty - że najlepszym miejscem na taki bal na Dzień Wspólnoty Narodów mogłyby być - zakładając, że wszyscy wyraziliby na to zgodę - trawniki Wysokiego Komisarza. Mike? - odniosła niesamowite wrażenie, że Mildren zanurkował i odpłynął.

- Nadal cię słucham, Glorio.

- No to co? Parking i wszystkie te sprawy. Oczywiście nikt nie wchodziłby do domu, chyba żeby zrobić siusiu. Przecież nie możemy postawić wygódek w ogrodzie Jej Królewskiej Mości, prawda? - brnęła dalej. - No a poza tym tam wszystko czeka, prawda? Służba, samochody, ochrona i tak dalej? Chodzi mi o to, że czeka na Pottera i Veronikę, oczywiście. Nie na nas - poprawiła się pospiesznie. Sandy i ja tylko sprawujemy pieczę nad tym, dopóki nie wrócą. To nie jest próba zajęcia, ani trochę. Mike, jesteś tam? Mam wrażenie, jakbym mówiła do siebie.

I tak było. Odmowa nadeszła jeszcze tego samego wieczora, w formie pisanej na maszynie, osobiście doręczonej noty, której kopię Mildren musiał zachować dla siebie. Nie widziała, jak ją doręczono. Zobaczyła tylko odjeżdżający samochód z Mildrenem na miejscu pasażera i jego chłopcem z basenu za kierownicą. Kancelaria stanowczo nie wyraża zgody, napisał pompatycznie Mildren. Rezydencja Wysokiego Komisarza i jej trawniki nie będą użytkowane w jakikolwiek inny sposób, niż zakłada to ich pierwotne prze-

znaczenie. Nie ma mowy o "de facto zagarnięciu statusu Wysokiego Komisarza", kończył z okrucieństwem. Oficjalny list Ministerstwa Spraw Zagranicznych w tej sprawie nadejdzie wkrótce.

Woodrow wpadł w furię. Jeszcze nigdy tak się na nią nie rzucał.

- Mogłaś, cholera, zapytać mnie - wrzeszczał, chodząc w tę i z powrotem po salonie. - Czy ty naprawdę myślisz, że dostanę urząd Portera, bo rozbiję namiot na jego cholernym trawniku?

- Ja tylko trochę ich poszturchałam - zaprotestowała obrażonym tonem. - To całkiem naturalne, że pewnego dnia chciałbyś zostać sir Sandym. I nie mówię o ukradzonej chwale. Po prostu chcę, żebyś był szczęśliwy. - A potem dodała z otuchą, patrząc tęsknie na własny ogród. - Lepiej zróbmy przyjęcie tutaj.

Nadeszła chwila, kiedy rozpoczął się wielki jubel z okazji Dnia Wspólnoty Narodów.

Wszystkie gorączkowe przygotowania opłaciły się, przybyli goście, muzyka grała, drinki płynęły strumieniem, parki gawędziły, jacarandy w ogrodzie rozkwiły, życie wreszcie było naprawdę wspaniałe. Zły namiot zastąpiony został właściwym, papierowe serwetki lnianymi, plastikowe sztucce platerami, obrzydliwe fioletowo-brązowe chorągiewki królewskim błękitem i złotem. Generator, który rzeźił jak stary muł, wymieniono na nowy, który skwierczał jak gorąca patelnia. Trawnik przed frontonem nie wyglądał już jak plac budowy, a Sandy, w ostatniej chwili, po natchnionej rozmowie telefonicznej zdobył kilku wesołych, dobrych Afrykanów, w tym dwóch albo trzech ze świty Moiego. Gloria, która nie chciała polegać na niesprawdzonych kelnerach - wystarczy zobaczyć, co było, a raczej czego nie było u Eleny - zdobyła personel z innych domostw dyplomatów. Jednym z takich był Mustafa, włócznik Tessy, jak go nazywała, który był zbyt zmartwiony, żeby znaleźć sobie inną pracę. Ale Gloria wysłała na poszukiwania Jumę i oto wreszcie przybył i przemykał między stolami pod drugiej stronie parkietu, trochę skrzywiony, niech mu tam, ale najwyraźniej zadowolony, że pomyślano o nim, a to ważna rzecz. Niebiescy, aż dziw, przyjechali w porę, żeby pokierować parkującymi samochodami, a problem, jak zwykle, polegał na tym, żeby trzymać ich z daleka od alkoholu Gloria przeczytała im ustawę o stanie wyjątkowym i teraz można było tylko mieć nadzieję. Zespół muzyczny był cudowny, prawdziwa dżungla i mocne, wyraźne rytmy dla Sandy'ego, **gdyby musiał** zatańczyć. I czyż nie wyglądał po prostu wspaniale w nowej **marynarce, którą kupił mu** jako prezent na przeprosiny? Jeśli chodzi o gorący bufet, sądząc z tego, co spróbowała - cóż, ujdzie. Żadnych

sensacji nie można się spodziewać w Nairobi, tu są pewne ograniczenia, nawet jeśli ma się za co kupować. Ale o niebo lepiej niż u Eleny chociaż Gloria naprawdę nie miała ochoty na współzawodnictwo. I ta kochana Ghita w złotym sari, boska.

Woodrow też miał powody, żeby sobie pogratulować. Obserwując parki krążące w takt muzyki, której nie znosił, pociągając metodycznie czwartą whisky, czuł się jak marynarz, którego stargany wichrami statek dobił do bezpiecznej przystani mimo wszystkich przeciwności losu. Nie, Glorio, nigdy nie czyniłem jej propozycji - ani żadnej innej. I żadnej nie uczynię. Nie, nie dam ci narzędzia, żebyś mnie zniszczyła. Ani tobie, ani tej arcydziwce Elenie, ani Ghicie, małej purytańskiej intrygantce. Jestem człowiekiem status quo, jak słusznie zauważyła Tessa.

Kątem oka Woodrow spostrzegł Ghitę tańczącą z jakimś wspaniałym Afrykaninem, którego prawdopodobnie spotkała po raz pierwszy w życiu tego wieczora. Twoja piękność to grzech, mówi do niej w duchu. Grzechem była Tessa i ty jesteś grzechem. Jak to możliwe, żeby kobieta, która ma takie ciało, nie dzieliła pożądania z mężczyznami, których rozpala? Ale kiedy ci to okazałem - tylko poufałe dotknięcie, nic rażącego - oczy ci zapłonęły i syknęłaś do mnie teatralnym szeptem, żebym trzymał ręce przy sobie. Potem jak szalona, ciężko dysząc, wbiegłaś do domu pod czujnym okiem arcsuki Eleny... Rozmyślenia przerwał mu blady, łysiejący mężczyzna wyglądający na zagubionego. Towarzyszyła mu wysoka na sześć stóp amazonka z grzywką.

- Świetnie, że pan przyszedł, panie ambasadorze! - Nazwiska nie pamiętała, ale przy tej cholernej muzyce i tak się to nie liczy. Rozdarł się na Głorię, żeby do nich przysła.

- Kochana, poznaj nowego ambasadora Szwajcarii, który przybył tu tydzień temu. Był tak miły, żeby zadzwonić z wyrazami uszanowania do Portera! Biedak, zamiast na niego trafił na mnie! Żona dołączy do pana za kilka tygodni, prawda, panie ambasadorze? Więc dziś jest pan słomianym wdowcem, ha, ha! Jak to miło pana widzieć! Niech pan wybaczy, muszę przejść się między ludźmi! Ciao!

Wokalista śpiewał, jeśli pomiaukiwanie można nazwać śpiewem. W jednej ręce dzierżył mikrofon, drugą pieścił jego koniec. Obracał biodrami w kopalacyjnej ekstazie.

- Kochanie, czy nie jesteś podniecony jak nastolatek? - wyszeptwała Gloria, przemykając w tańcu obok niego, w ramionach ambasadora Indii. - Bo ja jestem!

Obok przefrunęła taca z trunkami. Woodrow zgrabnie postawił na niej pustą szklankę i wziął pełną. Głorię znów prowadzono na parkiet. Tym razem był to jowialny, bezwstydnie skorumpowany Morrison M'Gumbo, znany też jako minister do spraw lunchu. Woodrow rozejrzał się ponuro, szukając jakiejś partnerki o przyzwoitych kształtach, żeby z nią zatańczyć. To, że był marnym tancerzem irytowało go w największym stopniu. Dreptanie w kółko, prezentowanie rozmaitych części ciała sprawiało, że czuł się niezgrabnym, najmniej użytecznym kochankiem na świecie. Wywoływało to wspomnienia wszystkich tych "rób to, nie rób tego" i "na litość Boską, Woodrowie tak nie postępuj", które słyszał, odkąd ukończył pięć lat.

- Przez całe życie uciekałem przed sobą! - krzyczał w twarz zaskoczonej partnerki, piersiastej Dunki, pracowniczką organizacji humanitarnej, która nazywała się Fitt albo Flitt. - Zawsze wiedziałem, przed czym uciekam, ale nigdy nie miałem pojęcia, w którą stronę zmierzam. A jak jest z tobą? Pytałem, jak z tobą? - Roześmiała się i pokręciła głową. - Myślisz, że jestem pijany albo szalony, prawda? - krzyknął. Pokiwała głową. - Mylisz się, bo i to, i tamto! - Koleżanka Arnolda Bluhma, przypomniał sobie. Jezu, ależ ta historia się ciągnie. Kiedy to się wreszcie skończy? Ale musiał powiedzieć to dość głośno, żeby usłyszała go mimo strasznego hałasu, bo zobaczył, że opuszcza oczy i usłyszał jak mówi: "Może nigdy" z taką pobożnością, jaką katolicy rezerwują dla papieża. Znów sam, Woodrow przedarł się pod prąd ku stołom okupowanym przez grupki uciekinierów, oszołomionych bombardowaniem decybelami. Czas, żeby coś zjeść. Rozwiązał muszkę i pozwolił, żeby luźno zwisała spod kołnierza.

- To definicja dzentelmena, według słów mojego tatusia - wyjaśniał niczego nie rozumiejącej czarnej Wenus. - Facet, który sam potrafi zawiązać swoją muszkę.

Ghita objęła w posiadanie jeden z rogów parkietu i kręciła miednicą wraz z dwiema wesołymi afrykańskimi dziewczynami z British Council. Inne dziewczyny dołączyły do tego sabatu czarownic, a cała kapela stanęła na skraju rostrum, śpiewając im do rytmu je, je, je. Dziewczyny klaskały nawzajem w dłonie, potem odwracały się i wypinały na siebie tyłki, i Bóg jeden wie, co powiedzą sąsiedzi, bo Gloria nie zaprosiła ich wszystkich, bo gdyby zapraszała każdego, to namiot roiłby się od przemytników broni i handlarzy narkotyków - ten dowcip Woodrowa musiała usłyszeć gromada wielkich facetów w narodowych strojach, bo zaczęli pohukiwać ze śmiechu, a potem powtórzyli wszystko swoim kobietom, i one też się roześmiały.

Ghita. Do czego teraz zmierza? Znowu powtarza się spotkanie w kancelarii. Ile razy spojrzę na nią, odwraca wzrok. Ile razy spojrzę w innym kierunku, ona patrzy na mnie. Cholery można dostać. I znów Woodrow musiał

powiedzieć to na głos, bo nudziarz z Muthaiga Club o nazwisku Meadower natychmiast zgodził się z nim, mówiąc, że skoro młodzież musi już tak tańczyć, to dlaczego nie pieprzy się po prostu na parkiecie, żeby mieć to z głowy? A to, przypadkiem, całkowicie harmonizowało ze zdaniem Woodrowa, co wyryczał Meadowerowi do ucha w chwili, gdy na wprost niego stanął Mustafa, czarny anioł, jakby chciał go zatrzymać, tyle że Woodrow nigdzie się nie wybierał. Woodrow spostrzegł, że Mustafa niczego nie niesie i uznał to za impertynencję. Jeśli Gloria, z dobroci serca, wynajęła tego biedaczynę, żeby roznosił, to dlaczego, do diabła, nie roznosi? Dlaczego stoi tutaj jak wyrzut sumienia z pustymi rękami, w których ma tylko złożoną kartkę i porusza ustami jak złota rybka?

- Facet mówi, że ma dla ciebie wiadomość - krzyknął Meadower.

- Co?

- Coś bardzo osobistego, bardzo pilnego. Jakaś piękna dziewczyna za-
kochała się w tobie po uszy.

- Mustafa to powiedział?

- Co?

- Powiedziałem, czy Mustafa to powiedział?

- Nie chcesz sprawdzić, która to? Pewnie twoja żona! - ryknął Meadower, zaśmiewając się histerycznie.

Albo Ghita, pomyślał Woodrow, poddając się absurdalnemu przyływowi nadziei.

Zrobił pół kroku, a Mustafa przesunął się za nim i zbliżył się do niego ramieniem. Wyglądali jakby zapalali papierosy na wietrze. Woodrow wyciągnął rękę, a Mustafa z szacunkiem położył mu kartkę na dłoni. Zwyczajna kartka A4, kilka razy złożona.

- Dziękuję - wrzasnął Woodrow, co miało znaczyć: odpierdol się.

Ale Mustafa stał niewzruszony, nakazując Woodrowowi, żeby przeczytał. W porządku, niech cię cholera, stój, gdzie chcesz. Tak czy inaczej nie umiesz czytać po angielsku. Rozwinął kartkę. Druk komputerowy. Bez podpisu.

Szanowny Panie,

Posiadam egzemplarz listu,*' który napisał Pan do Tessy Quayle z propozycją wspólnej ucieczki. Mustafa przyprowadzi Pana do mnie. Proszę nikomu nic nie mówić i przybyć niezwłocznie, albo oddam list komu innemu.

Bez podpisu.

Woodrow przyjął to jak strzał z policyjnej armatki wodnej: natychmiast otrzeźwiał. Człowiek w drodze na szafot myśli o wielu rzeczach naraz i Woodrow, mimo że napompowany po dziurki w nosie bezcłową whisky, nie stanowił wyjątku. Podejrzewał, że kontakt z Mustafą nie uszedł uwagi Glorii, i miał rację: nie spuszczała z niego oczu. Więc pomachał do niej, powiedział coś, co można było odczytać z ruchu warg jako "spokojna głowa" i poszedł posłusznie za Mustafą. I wtedy, po raz pierwszy tego wieczoru, popatrzyli sobie z Ghitą w oczy - jej spojrzenie było jakby wyrachowane.

Tymczasem intensywnie snuł domysły na temat tożsamości człowieka, który go szantażował, kojarzył go z obecnością niebieskich. Tok jego rozmowania był następujący: niebiescy na pewnym etapie śledztwa przeszukali dom Quayle'ów i znaleźli to, czego nie udało się znaleźć jemu. Jeden z nich schował list do kieszeni i czekał, aż nadarzy się sposobność, żeby to wykrywać. Taka sposobność właśnie się pojawiła.

Prawie równolegle przysłała mu do głowy druga możliwość, czyli Rob albo Lesley, albo oboje naraz. Kiedy wbrew ich woli odsunięto ich od ważnego dochodzenia w sprawie morderstwa, postanowili wyciągnąć z tego gotówkę. Ale dlaczego tu i teraz, na litość boską? Gdzieś w tym bigosie rezerwował również miejsce dla Tima Donohue, ale to dlatego, że zaklasyfikował go jako aktywnego, choćby i zniechęconego wroga. Tego wieczora siedział z tą swoją żoną z oczami jak paciorki w najciemniejszym kącie namiotu i rozsiewał szkodliwe miazmaty.

Woodrow dokładnie przyglądał się otoczeniu, jakby leciał samolotem i szukał drzwi awaryjnych podczas turbulencji: niedokładnie wbite kołki i obwisłe liny - mój Boże, najslabszy wietrzyk może to wszystko wyrzucić! - pokryta błotem mata z włókien kokosowych w przedpokoju do namiotu - ktoś może się pośliznąć i mnie pozwać! - nie pilnowane, otwarte wejście na niższy poziom - jacyś cholerni włamywacze mogliby opróżnić cały dom, a my byśmy nawet o tym nie wiedzieli.

Gdy przechodził przez kuchnię, zaniepokoiła go liczba maruderów, którzy przybyli do jego domu z nadzieją na resztki z bufetu i rozsiedli się wokół, w świetle lampy sztormowej, jak postacie z Rembrandta. Mógł ich być z tuzin albo więcej, oszacował z oburzeniem. Do tego jakieś dwadzieścioro dzieci siedzących na podłodze. No dobrze, sześcioro, niech będzie.

Zirytował go widok niebieskich przesiąkniętych alkoholem, śpiących przy kuchennym stole. Kurtki i pistolety powiesili na oparciach krzesel. Ich stan przekonał go jednak, że nieprawdopodobieństwem jest, żeby to jeden z nich był autorem listu, który nadal trzymał złożony w zaciśniętej dłoni.

Mustafa wyszedł z kuchni tylnymi drzwiami i oświetlając sobie drogę latarką, poprowadził go na górę do holu i do drzwi frontowych. Philip i Harry!

Woodrow przypomniał sobie nagle z przerażeniem. Boże w niebiesiech, gdyby mnie teraz zobaczyli. Ale co by zobaczyli? Swojego ojca a w wieczorowej marynarce z rozwiązaną muszką zwisającą spod kołnierzyka. Czy mieliby zaraz pomyśleć, że rozwiązał ją, bo idzie na spotkanie z katem? Poza tym - przypomniał sobie teraz - Gloria wysłała chłopców na noc do przyjaciół. Widziała już wiele dzieci dyplomatów podczas tańców i chciała oszczędzić tego Philipowi i Harry'emu.

Mustafa trzymał otwarte drzwi, machając latarką w stronę podjazdu. Woodrow wyszedł na zewnątrz. Ciemno, choć oko wykol. Dla uzyskania romantycznego efektu, Gloria kazała wyłączyć zewnętrzne oświetlenie, zastępując je rzędami świec w workach z piaskiem, ale większość z nich, w tajemniczy sposób, zdążyła już zgasnąć. Trzeba pogadać z Philipem, który ostatnio upodobał sobie jako hobby domowy sabotaż. Noc była piękna, ale Woodrow nie był w nastroju, żeby patrzeć w gwiazdy. Mustafa sunął w stronę bramy jak błędny ogień, kiwając na niego latarką. Odźwierny z plemienia Baluhyta otworzył bramę, jego liczna rodzina przyglądała się jak zwykle Woodrowowi z ogromnym zainteresowaniem. Po obu stronach drogi stały zaparkowane samochody, ochroniarze drzemali na krawężnikach albo gadali coś między sobą, przycupnięci nad małymi ogniskami. Mercedes z kierowcą, mercedes z gorylem, mercedes z owczarkiem alzackim w środku i zwyczajowo tłumek wieśniaków, którzy nie mieli nic do roboty poza tym, że patrzyli, jak życie płynie obok nich. Hałas zespołu był tutaj równie koszmarny jak w namiocie. Woodrow nie zdziwiłby się, gdyby jutro dostał parę formalnych skarg. Belgijscy spedytorzy spod dwunastego są w stanie pozwać cię, bo twój pies pierdnął do ich ogródka.

Mustafa zatrzymał się przy samochodzie Ghity. Woodrow wiedział, do kogo należy. Często na niego patrzył z okna swojego biura, zazwyczaj ze szklaneczką w dłoni. Był to maleńki japoński wozik, tak mały i niski, że kiedy się do niego wciskała, mógł sobie wyobrazić, jak wkłada na siebie strój kąpielowy. Dlaczego się zatrzymali? - zapytał wzrokiem Mustafę. Co samochód Ghity ma wspólnego z tym, że mnie szantażują? Zaczął się zastanawiać, ile jest wart w gotówce. Czy będą liczyli w setkach? W tysiącach? Dziesiątkach tysięcy? Będzie musiał pożyczyć od Glorii, ale jaki pretekst wymyśli? No cóż, to tylko pieniądze. Samochód Ghity był zaparkowany daleko od latarni. Lampy nie świeciły w związku z przerwą w dostawie energii, ale nigdy nie wiadomo, kiedy znów zapłoną. Przypomniał sobie, że ma przy sobie osiemdziesiąt funtów w kenijskich szylingach. Ile czasu można za to kupić? Zaczął myśleć jak negocjator. Jakimi sankcjami dysponuje jako nabywca? Jakie są gwarancje, że szantażysta nie wróci za pół roku albo za sześć lat? Odwołaj się do Pellegrina, pomyślał w przyptywie

wisielczego humoru, zapytaj starego Bernarda, jak wcisnąć z powrotem pastę do tubki.

Chyba że...

Tonąc, Woodrow schwycił się najbardziej idiotycznej brzytwy.

Ghita!

Ghita ukradła list! Albo, co bardziej prawdopodobne, Tessa dała go jej na przechowanie! Ghita wysłała Mustafę, żeby wyciągnął mnie z przyjęcia i ma zamiar ukarać mnie za to, co stało się u Eleny. I proszę, jest! Siedzi za kierownicą, czeka na mnie! Prześliznęła się tyłami domu i teraz siedzi w samochodzie, moja podwładna, żeby mnie szantażować!

Duch poszybował w górę, choć tylko na sekundę. Jeśli to Ghita, możemy ubić interes. Może nawet coś więcej niż interes. Tak bardzo pragnie mnie zranić, że musi to być odwrotna strona innego, bardziej konstruktywnego pragnienia.

Ale to nie była Ghita. Kimkolwiek była lub nie była owa postać, z całą pewnością była mężczyzną. Kierowca Ghity? Jej chłopak przyjechał po nią, żeby nikt inny nie odwoził jej do domu? Drzwi dla pasażera były otwarte. Pod beznamiętnym spojrzeniem Mustafy Woodrow pochylił się, żeby wsiąść. Nie będzie wkręcania się w kostium kąpielowy, to nie dla niego, raczej jakby wsiadł z Philipem do samochodziku w wesołym miasteczku. Mustafa zamknęła za nim drzwi. Samochód zakołysał się, ale człowiek za kierownicą ani drgnął. Był ubrany tak, jak niektórzy Afrykanie mieszkający w wielkich miastach, z pogardą dla upału, w watowany skafander i wełnianą czapkę naciągniętą na czoło. Czy facet był biały czy czarny? Woodrow wciągnął powietrze, ale nie poczuł słodkiego zapachu Afryki.

- Ładna muzyka, Sandy - powiedział spokojnie Justin, wyciągając rękę, żeby uruchomić silnik.

22

Woodrow siedział przy wartym pięć tysięcy dolarów rzeźbionym biurku z tropikalnego drzewa tekowego. Nachylony w bok, opierał się łokciem o srebrną suszkę, która kosztowała trochę mniej. Blask samotnej świecy rozświetlał jego spoconą, ponurą twarz. Lustrzane stalaktyty zwieszające się z sufitu nad głową odbijały w nieskończoność płomień tej samej świecy. Justin stał w ciemności po drugiej stronie pokoju, opierał się o drzwi tak, jak Woodrow w dniu, w którym przyniósł mu wiadomość o śmierci Tessy. Rękę

trzymał za plecami. Chyba nie chciał mieć z ich powodu kłopotu. Woodrow studiował cienie, rzucane na ściany przez światło świecy. Był w stanie rozróżnić słonie, żyrafy, gazy, nosorożce stojące i nosorożce kucające. Na przeciwległej ścianie były same ptaki. Ptaki siedzące na grzędzie, ptaki z długimi szyjami brodzące w wodzie, ptaki drapieżne z mniejszymi ptakami w szponach, wielkie śpiewające ptaki przycupnięte na pniach drzew z pozytywkami w środku, cena do uzgodnienia, na życzenie klienta. Dom stał w zarośniętej drzewami bocznej uliczce. Nikt tędy nie przejeżdżał, nikt nie stukał w okno, żeby dowiedzieć się, dlaczego biały, na pół pijany mężczyzna w wizytowej marynarce i z dyndającą na szyi muszką rozmawiał ze świecą w firmie pana Ahmada Khana Handel Sztuką Afrykańską i Orientalną, leżącej na zielonym zboczu pagórka o pięć minut drogi od Muthaiga o wpół do pierwszej w nocy.

- Khan to twój przyjaciel? - zapytał Woodrow.

Brak odpowiedzi.

- Skąd masz klucz? To przyjaciel Ghity, co?

Brak odpowiedzi.

- Pewnie przyjaciel rodziny. Rodziny Ghity. - Wyjął jedwabną chusteczkę z górnej kieszeni marynarki i ukradkiem otarł kilka łez z policzków. Ledwie to zrobił, pojawiły się nowe i też je musiał wytrzeć. - Co im powiem, jak wrócę? O ile w ogóle wrócę?

- Coś wymyślisz.

- Zazwyczaj coś wymyślam - wyznał Woodrow przez chusteczkę.

- O, jestem pewien - powiedział Justin.

Woodrow, wystraszony, odwrócił głowę, żeby spojrzeć na niego, ale Justin stał bez ruchu przy drzwiach z rękami bezpiecznie złożonymi za plecami.

- Sandy, kto ci kazał to zatuszować? - zapytał.

- Pellegrin, a kto? "Spal to, Sandy, spal wszystkie egzemplarze". Rozkaz królewski. Ja zatrzymam jeden. No to spaliłem. Nie zajęło to dużo czasu. - Pociągnął nosem, powstrzymując się od płaczu. - Dobry chłopak. Wie, co to wymogi bezpieczeństwa. Nie zaufałem woźnym. Osobiście zaniosłem to do kotłowni. Wrzuciłem do pieca. Jestem dobrze wyszkolony. Pierwsze miejsce w klasie.

- Czy Porter wiedział, że to zrobiłeś?

- Tak jakby. Pół na pół. Nie podobało mu się to. Nie przejmował się Bernardem. Między nimi trwała jawna wojna. Jawna przynajmniej wedle standardów ministerstwa. Porter nawet dowcipkował na jego temat. "Pellegrina trzeba znieść. Jak najniżej". Wtedy brzmiało to nawet śmiesznie.

Teraz też musiało być śmieszne, bo próbował się roześmiać, ale skończyło się na łzach.

- Czy Pellegrin powiedział, dlaczego masz to zatuszować czy spalić? I to wszystkie egzemplarze?

- Chryste - wyszeptał Woodrow.

Zapadła długa cisza, Woodrow patrzył na świecę, jakby chciał się zahipnotyzować.

- O co chodzi? - zapytał Justin.

- Twój głos, stary, to wszystko. Jest taki dojrzały. - Woodrow przesunął ręką po ustach, potem obejrzał opuszki palców. - A my myśleliśmy, że osiągnąłeś już pułap.

Justin jeszcze raz zadał pytanie, zmieniając je tak, jakby rozmawiał z cudzoziemcem albo dzieckiem.

- Czy pomyślałeś o tym, żeby zapytać Pellegrina, dlaczego trzeba zniszczyć ten dokument?

- Według Bernarda, powody były dwa. Zagrożone interesy Wielkiej Brytanii, to na początek. Musimy bronić swojego.

- Uwierzyłeś mu? - zapytał Justin i znów musiał poczekać, bo Woodrow dusił kolejny przyptyw łez.

- Wierzyłem, jeśli chodzi o ThreeBees. Oczywiście, że wierzyłem. Firma stojąca na czele brytyjskich inwestycji w Afryce. Klejnot w koronie. Curtiss, ulubieniec afrykańskich przywódców rozdzielający łapówki na lewo i prawo, i do środka, facet jest wielkim atutem naszego kraju. Do tego sypia z połową rządu brytyjskiego, który na pewno nie zrobi mu krzywdy.

- A jaki był ten drugi powód?

- KVH. Chłopcy z Bazylei dawali sygnały, że mają zamiar otworzyć jakąś ogromną fabrykę chemiczną w Południowej Walii. Drugą w Konwalii, w ciągu trzech lat. A trzecią w Irlandii Północnej, przynosząc dobrobyt i prosperity dla regionów ogarniętych depresją. Ale jeśli wyciągniemy spluwę na dypraxę, to odstąpią od tego.

- Wyciągniemy spluwę?

- Lekarstwo było na etapie testów. Teoretycznie nadal jest. Jeśli otruje się kilkoro ludzi, którzy i tak mają umrzeć, to o co chodzi? Lekarstwo nie miało licencji w Zjednoczonym Królestwie, więc w czym problem? - Wróciła mu zadziorność. Zaczął odwoływać się do kolegi-zawodowca. - Chryste, Justinie, w tym rzecz. Lekarstwa muszą być przecież na kimś wypróbowane, prawda? Po czyjej stronie stoisz? Harvardzkiej Szkoły Biznesu? - Zaskoczony, że Justin nie poparł jego argumentu, brnął dalej. - Jezu, w czym rzecz. Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie bawi się w ocenę bezpieczeństwa lekarstw, które nie są sprzedawane w kraju, prawda? Jeśli jakaś firma ma napędzić koniunkturę dla brytyjskiego przemysłu, to przecież nie będziemy rozgłaszać w kółko, że truje swoich klientów w Afryce. Wiesz, co to za

gra. Nie płaci nam się za to, że krwawią nam serca. My nie zabijamy ludzi, którzy i tak umrą. Chryste, w czym rzecz, popatrz na współczynnik liczby zgonów w tym kraju. I tak nikt tego nie liczy.

Justinowi potrzebna była chwila, żeby rozpatrzyć te świetne wywody.

- Ale tobie krwawiło serce, Sandy - powiedział w kooicu. - Kochałeś ją, pamiętasz? Jak mogłeś wrzucić jej raport do pieca, skoro ją kochałeś? - Jego głos nabierał siły. - Jak mogłeś ją okłamać, skoro ci zaufała?

- Bernard powiedział, że trzeba ją powstrzymać - mruknął Woodrow, uprzednio spojrzawszy ukradkiem w mrok, czy Justin nadal stoi w bezpiecznej odległości przy drzwiach.

- No tak, rzeczywiście ją powstrzymano!

- Na litość Boską, Quayle - wyszeptał Woodrow. - Nie w ten sposób. To zupełnie inni ludzie. Nie mój świat. Nie twój.

Justin musiał się zaniepokoić tym wybuchem, bo kiedy odezwał się znowu, mówił uprzejmym tonem rozczarowanego kolegi.

- Jak mogłeś powstrzymać ją, jak to ująłeś, skoro tak ją ubóstwiałeś, Sandy? Sposób, w jaki ująłeś to w liście... ona była twoim zbawieniem od tego wszystkiego... - Chyba na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, bo szerokim gestem ramion objął stada rzeźbionych zwierząt stojących w ciemności na szklanych półkach. - Była twoją ucieczką od wszystkiego, twoją ścieżką do szczęścia i wolności, przynajmniej tak jej powiedziałaś. Dlaczego jej nie wsparłeś?

- Wybacz - wyszeptał Woodrow i spuścił wzrok. Justin zmienił temat.

- To co właściwie spaliłeś? Dlaczego te dokumenty stanowiły takie zagrożenie dla ciebie i Bernarda Pellegrina?

- To było ultimatum.

- Komu je postawiono?

- Rządowi Wielkiej Brytanii.

- Tessa stawiała ultimatum rządowi Wielkiej Brytanii? Naszemu rządowi?

- Żeby działał, bo jak nie... Czują się z nami związana. Z tobą. Była żoną brytyjskiego dyplomaty i postanowiła załatwić sprawę w dyplomatyczny, brytyjski sposób. "Łatwo byłoby pominąć System i zwrócić się bezpośrednio do opinii publicznej. Trudniej sprawić, żeby System zaczął działać. Ja wolę trudniejszy sposób". Tak powiedziała. Trzymała się kurczowo żalosego poglądu, że w Brytyjczykach jest więcej prawości niż w innych narodach. To musiał wpoić w nią ojciec. Powiedziała, że Bluhm uważa, że Brytyjczycy będą mogli się z tym uporać, o ile będą grali uczciwie. Jeśli Brytyjczycy wiążą tak wielkie nadzieje z tymi spółkami, to niech szepną słówko ThreeBees i KVH. Żadnej konfrontacji. Żadnej skrajności. Wystarczy ich przekonać, żeby wycofali lekarstwo z rynku do czasu, gdy będzie gotowe do sprzedaży..A jeśli tego nie zrobią...

- Dała im na to jakiś limit czasu?
- Przyjęła, że to będzie zależało od regionu. Ameryka Południowa, Bliższy Wschód, Rosja, Indie. Ale najbardziej zaniepokojona była Afryką. Żądała, żeby w ciągu trzech miesięcy przedstawiono jej dowody, że lekarstwa już nie ma na rynku. Po tym terminie głównie wpadnie w wentylator. To nie jej słowa, ale ujęła to podobnie.

- I wysłałeś to do Londynu?

- Tak.

- A co zrobił Londyn?

- Nie Londyn, tylko Pellegrin. Powiedział, że to stek naiwnych bzdur, że wypierdoliliby go z posady, gdyby jakaś nawiedzona brytyjska żona i jej czarny kochaś mieli dyktować politykę Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Potem polecił do Bazylei. Zjadł lunch z chłopakami z KVH. Zapytał ich, czy byliby w stanie wywieźć na razie czerwoną flagę. Odpowiedzieli, że nie ma łagodnego sposobu wycofania lekarstwa. Uczestnicy tego nie zaaprobują. Nie będą ich pytać, ale gdyby spytano, odmówiliby. Ergo, nie zaaprobuje tego zarząd. Lekarstwa nie robi się według przepisu z książki kucharskiej. Nie można po prostu wyłowić jednego składnika, atomu, czy czego tam, dodać drugiego, znowu spróbować. Można zrobić jedno - żonglować dawkami, zmieniać formułę, a nie wzór. Powiedzieli mu, że jeśli chce się to zmienić, należy wrócić do punktu wyjścia, a na tym etapie tego się nie robi. Potem pobrękiwali szabelką, że będą musieli ograniczyć inwestycje w Wielkiej Brytanii i przyczynić się do wzrostu bezrobocia.

- A co z ThreeBees?

- Kawior i szampan w odrzutowcu Kenny'ego K. Bernard i Kenny zgodzili się co do tego, że w Afryce doszłoby do chaosu, gdyby wyszło na jaw, że ThreeBees truje ludzi. Jedyne wyjście to robić obstrukcję, a tymczasem naukowcy KVH wyszlifują formułę i wyregulują dawkowanie. Bernardowi zostało tylko kilka lat do emerytury. Rozważa swoje szanse na stanowisko w zarządzie ThreeBees. I w zarządzie KVH, jeśli go będą tam chcieli. Dla czego ma się zadowalać jedną posadą, skoro może mieć dwie?

- O jakich dowodach mówiono w KVH?

To pytanie sprawiło, że całe ciało Woodrowa przeszył bolesny wstrząs. Podniósł się, złapał się obiema rękami za głowę i gwałtownie zaczął pocierać czoło opuszkami palców. Nachylił się do przodu, nadal trzymając się za skronie, i wyszeptał:

- Jezu.

- Napij się wody - zaproponował Justin i poprowadził go korytarzem do umywalki. Stał nad nim tak, jak wtedy w kostnicy, kiedy Sandy wymiotował. Woodrow podłożył ręce pod kran i ochlapał sobie twarz.

- Dowodów było mnóstwo - wymamrotał, gdy znów "usiadł na krześle. - Bluhm i Tessa chodzili po wsiach i klinikach, rozmawiali z pacjentami, rodzicami, krewnymi. Curtiss zwęszył coś i zaczął tuszować sprawę. Kazał to zorganizować swojemu człowiekowi, Crickowi. Ale Tessa i Bluhm też to opisali w raporcie. Wrócili i zaczęli szukać ludzi, z którymi rozmawiali. Nie mogli ich znaleźć. Napisali, że ThreeBees nie tylko truje ludzi, ale także niszczy potem dowody. "Jakiś świadek zniknął. Inny został oskarżony o przestępstwa. Wioskę opróżniono z mieszkańców". Zrobili to naprawdę świetnie. Powinieneś być z niej dumny.

- Czy Wanza też figuruje w raporcie?

- Wanza była tam gwiazdą. Ale oni założyli skuteczny kaganiec na jej brata.

- Jak?

- Aresztowali go. Wydobyli dobrowolne zeznanie. Stał przed sądem w ubiegłym tygodniu. Dziesięć lat za napad na białego turystę w Parku Narodowym Tsavo. Biały turysta nie zeznawał, ale wielu bardzo przestraszonych Afrykanów widziało, jak chłopiec na niego napadł, więc sprawa załatwiona. Sędzia dorzucił ciężkie roboty i dwadzieścia razy trzciną dla równej miarki.

Justin zamknął oczy. Zobaczył wymiętą twarz Kioko, kucającego na podłodze obok siostry. Czuł rękę Kioko, którą trzymał w dłoni nad grobem Tessy.

- I ty nie odczuwałeś potrzeby... skoro przeczytałeś raport i wiedziałeś, jak sędze, że mniej więcej odpowiada prawdzie... żeby powiedzieć o tym Kenijczykom?

Znów zadziorny ton.

- Na litość boską, Quayle. Czy włożyłbyś na siebie najlepszy garnitur, żeby pójść do komendy głównej niebieskich i oskarżyć ich o zorganizowanie zacierania śladów i branie pieniędzy od Kenny'ego K.? Tak nie szuka się przyjaciół i wpływowych ludzi w słonecznym Nairobi.

Justin zrobił krok od drzwi, opanował się i znów przybrał pełną dystansu postawę.

- Prawdopodobnie były także dowody medyczne.

- Co takiego?

- Pytam cię o dowody natury medycznej, zawarte w memorandum napisanym przez Arnolda Bluhma i Tessę Quayle i zniszczonym przez ciebie na żądanie Bernarda Pellegrina! Kopię raportu Pellegrin na pewno przekazał KVH, a oni wyrzucili ją do kosza, zanim zasiedli do lunchu!

Echo tych słów odbiło się w szklanych półkach. Woodrow czekał, aż uciachnie. •

- Dowody medyczne to była działka Bluhma. Były w załączniku. To ona zrobiła z nich załącznik. Wzięła przykład z ciebie. Uwielbiasz robić załączniki. To znaczy, kiedyś uwielbiałeś. Ona też.

- Co mówiły te dokumenty?

- To historie chorób. Trzydzieści siedem przypadków. Nazwiska, adresy, leczenie, miejsce i data pogrzebu. Za każdym razem te same objawy. Senność, ślepota, krwawienie, ustanie pracy wątroby, koniec.

- Koniec, to znaczy śmierć?

- Poniekąd. Można tak powiedzieć. Myślę, że tak. Tak.

- I KVH podało te dowody w wątpliwość?

- Nienaukowe, stronicze, tendencyjne... emocjonalne. Tego ostatniego nie bardzo rozumiałem. Emocjonalne. Chyba to znaczy, że coś zbyt cię obchodzi, żeby można ci było wierzyć. Ze mną jest na odwrót. Jestem nieemocjonalny. Tym większa pustka, którą musisz wypełnić. Nie ty. Ja.

- Kto to jest Lorbeer?

- Jej czarny koń.

- Jak to?

- Orędownik tego lekarstwa. Namówił KVH, żeby się nim zajęli, a potem zaniósł dobrą nowinę do ThreeBees. Jej zdaniem arcygówniarz.

- Czy mówiła, że Lorbeer ją zdradził?

- A dlaczego tak miała mówić? Wszyscy ją zdradziliśmy. - Przestał panować nad łzami. - A ty? Siedziałeś na dupie i uprawiałeś kwiatki, kiedy ona biegała w terenie i robiła za świętą.

- Gdzie jest teraz Lorbeer?

- Nie wiem. Poczul, z której strony wieje wiatr, i schował się. ThreeBees przez jakiś czas go szukało, a potem dało spokój. Tessa i Bluhm podjęli to polowanie. Chcieli mieć Lorbeera jako najważniejszego świadka.

- A Emrich?

- To jedna z tych, które Wynałazły lekarstwo. Raz tu była. Próbowwała zakapować KVH. Pozbyli się jej.

- Kovacs?

- Trzeci członek bandy. Własność KVH. Podobno dziwka. Nigdy jej nie spotkałem. Myślę, że raz widziałem Lorbeera. Wielki tłusty Bur, wyłupiaste oczy, rudy.

Aż podskoczył z przerażenia. Justin stał u jego boku. Na suszce położył kawałek papieru i podawał Woodrowowi długopis skuwką w jego stronę, w sposób, w jaki uprzejmi ludzie podają sobie różne przedmioty.

- To upoważnienie do podróży - wyjaśnił. - Twoje. - Przeczytał na głos tekst. "Posiadacz niniejszego jest brytyjskim poddanym, działającym z ramienia Wysokiej Komisji Wielkiej Brytanii w Nairobi". - Podpisz to.

Woodrow popatrzył na kartkę przez zmrużone oczy i podniósł ją do światła.

- Kto to jest Peter Paul Atkinson?

- Tak, jak napisano, brytyjski dziennikarz. Píše dla "Telegraph". Gdyby ktokolwiek zadzwonił do Wysokiej Komisji, żeby go sprawdzić, to jest rzetelnym dziennikarzem z długoletnim doświadczeniem. Będziesz pamiętać?

- Po diabła wybiera się do Loki? To zadupie. Ghita tam była. Na tym powinna być fotografia, prawda?

- Będzie. - Woodrow podpisał, Justin złożył kartkę, włożył do kieszeni i wrócił sztywnym krokiem do drzwi. Rząd wykonanych na Tajwanie zegarów z kukułką oznajmił, że jest pierwsza nad ranem.

Kiedy Justin podjeżdżał samochodzikiem Ghity, Mustafa czekał przy krawężniku z latarką. Musiał nasłuchiwać szumu silnika. Woodrow, nieświadomy, że podrzucano go do jego domu, siedział, gapiąc się przez szybę z rękami złożonymi na podolku. Justin przechylił się przez niego i powiedział coś do Mustafy przez opuszczoną szybę od strony pasażera. Mówił po angielsku, dodając kilka znanych sobie słów z kuchennego swahili.

- Pan Woodrow źle się poczuł, Mustafo. Weź go na świeże powietrze. Niech idzie do sypialni i leży, aż pani Woodrow przyjdzie, żeby się nim zająć. Bądź łaskaw powiedzieć Ghicie, że wyjeżdżam.

Woodrow zaczął się gramolić na zewnątrz, potem odwrócił się do Justina.

- Nie wygadasz tego Glorii, stary, dobrze? Niczego nie zyskasz, wszystko już usłyszałeś. Jej brakuje naszego wyrobienia. Starzy koledzy i tak dalej. Co?

Mustafa wyłuskał Woodrowa z samochodu i odprowadził go do drzwi wejściowych, jakby niósł pęczek czegoś obrzydliwego i starał się nie okazać wstrętu. Justin znów założył wełnianą czapkę i skafander. Spod namiotu wydobywały się smugi kolorowego światła reflektorów. Orkiestra rapowała. Justin, nadal siedząc w samochodzie, spojrział w lewo i zobaczył cień wysokiego mężczyzny, stojącego przed krzakami rododendronów przy krawężniku, ale kiedy próbował dokładniej mu się przyjrzeć, cień zniknął. Justin nie odwracał jednak wzroku. Najpierw przyjrzał się krzakom, potem zaparkowanym samochodom. Usłyszał odgłos kroków, odwrócił się i zobaczył, jak ktoś biegnie w jego stronę. To Ghita z szalem przerzuconym przez ramię, z pantofelkami do tańca w jednej ręce i kieszonkową latarką w drugiej. Wśliznęła się na miejsce dla pasażera, a Justin zapalił silnik.

- Zastanawiali się, gdzie zniknął - powiedziała.

- Czy Donohue tam jest?

- Nie sędzą. Nie jestem pewna. Nie widziałam go.

Chciała go o coś zapytać, ale pomyślała, że lepiej tego nie robić.

Jechał powoli, przyglądając się zaparkowanym samochodom, co rusz spoglądał w lusterka boczne. Przejechał obok własnego domu, ale prawie nie zwrócił na niego uwagi. Żółty pies rzucił się na samochód. Justin gwałtownie skręcił ze wzrokiem utkwionym w lusterku. Zbliżali się do dziur w jezdni, czerniejących jak jeziora w świetle reflektorów samochodu. Ghita patrzyła przez tylną szybę. Na drodze było bardzo ciemno.

- Patrz przed siebie - powiedział do niej. - Boję się, że zgubię drogę. Będziesz mi mówić, gdzie mam skręcić.

Teraz jechał szybciej i wymijał dziury, podskakując na wybojach. Tam, gdzie nie był pewien pobocza, starał się jechać środkiem drogi. Ghita cicho dysponowała - tu w lewo, jeszcze raz w lewo, zbliża się wielka dziura. Nagle zwolnił.

- Widzisz kogoś znajomego? - zapytał.

- Nie.

Wjechali w wysadzaną drzewami aleję. Sponiewierany znak POMÓŻCIE OCHOTNIKOM zagroził im drogę. Za znakiem stał rządък wychudzonych chłopców z drągami i taczka bez koła.

- Czy oni zawsze tutaj są?

- Dzień i noc - powiedziała Ghita. - Wyjmują kamienie z jednej dziury i przekładają do drugiej. W ten sposób mogą pracować w nieskończoność.

Nacisnął pedał hamulca, samochód zatrzymał się tuż pod znakiem. Chłopcy zbiegli się wokół wozu, poklepywali dłońmi dach. Justin opuścił szybę, wewnątrz wozu zalało światło latarki, a za nią pojawiła się bystra, uśmiechnięta twarz. Chłopak miał najwyżej szesnaście lat.

- Dobry wieczór, Bwana - krzyknął niezwykle ceremonialnie. - Jestem mister Simba.

- Dobry wieczór, mister Simba - odparł Justin.

- Chce pan dołożyć coś od siebie na tę wspaniałą drogę, którą budujemy?

Justin wręczył mu przez szybę stuszylingowy banknot. Chłopak odskoczył w triumfalnym tańcu, powiewając banknotem nad głową. Inni klaskali.

- Jaka jest zwyczajowa opłata? - zapytał Ghity, gdy już ruszyli.

- Mniej więcej jedna dziesiąta tego.

Wyrzucił ich jakiś samochód i Justin znów dokładnie przyjrzał się siedzącym w nim ludziom, ale nie znalazł tego, którego szukał. Wjechali do śródmieścia. Rozbłysły światła sklepów, kawiarni, chodniki roily się od przechodniów, z autobusów Matutu ryczała muzyka. Po lewej rozległ się huk miażdżonego metalu, któremu towarzyszył ryk klaksonów i krzyki. Ghita

znów nim kierowała: tu w prawo, teraz przez bramę. Justin wjechał po rampie na popękany podjazd kwadratowego sześciopiętrowego budynku. W świetle lamp parkingowych przeczytał słowa PRZYBYWAJCIE DO JEZUSA! nabazgrane na ścianie z wielkiej płyty.

- To kościół?

- Tu była klinika dentystyczna Adwentystów Dnia Siódmego - odparła Ghita. - Teraz zamieniono ją na mieszkania.

Parking był to kawałek płaskiej ziemi, otoczonej drutem kolczastym. Ghita sama nie odważyłaby się tam wjechać, ale on już zjeżdżał po pochylni, jedną ręką szukając kluczy. Zaparkował. Patrzyła, jak spogląda za siebie, na pochylnię, i nasłuchuje.

- Kogo się spodziewasz? - wyszeptała.

Przeszli obok grupki uśmiechniętych dzieci do wejścia, potem po schodach do holu. Brudna, ręcznie napisana kartka głosiła, że WINDA TYMCZASOWO NIECZYNNA. Ruszyli schodami oświetlonymi słabym światłem. Justin szedł za nią. Najwyższe piętro pogrążone było w ciemności. Justin oświetlał drogę latarką kieszonkową. Zza zamkniętych drzwi wydobywały się dźwięki azjatyckiej muzyki i zapachy orientalnej kuchni. Podał jej latarkę, a sam wrócił na klatkę schodową, czekając, aż otworzy kratę i trzy zamki. W mieszkaniu dzwonił telefon. Obejrzała się za Justinem, ale już stał obok niej.

- Ghita, moja droga - nie rozpoznała w pierwszej chwili męskiego głosu. - Dziś wieczorem wyglądałaś naprawdę promiennie. Mówi Tim Donohue. Pomyślałem, że mógłbym wpaść na minutkę i napić się z wami kawy pod rozgwieżdżonym niebem.

Mieszkanie Ghity było małe. Składało się z trzech pokoi, wychodzących na zrujnowany magazyn i gwarną ulicę z rozbitymi neonami, trąbiącymi samochodami i nieustraszonymi żebrakami, którzy stali na ich drodze do ostatniej chwili. Zakratowane okno wychodziło na zewnętrzne żelazne schody, które w założeniu były przeciwpożarową drogą ewakuacyjną, ale ze względu na bezpieczeństwo, lokatorzy odpiłowali dolne kondygnacje. Ale górne nadal były nietknięte i Ghita w upalne wieczory wspinała się po nich na dach i siadała przy wykładanym drewnem zbiorniku na wodę. Uczyła się do egzaminów ministerialnych, które chciała zdać w przyszłym roku i przysłuchiwała się jak jej pobratymcy-Azjaci hałasują w budynku. Słuchała ich muzyki i kłótni, i dzieci i prawie uwierzyła, że jest wśród swoich.

I nawet jeśli ta iluzja zniknęła natychmiast za drzwiami Wysokiej Komisji, gdzie Ghita musiała oblekać się w swoją drugą skórę, dach z kotami,

klatkami dla drobiu, praniem i antenami był jednym z tych miejsc, gdzie odpoczywała - i pewnie dlatego nie była zdziwiona, gdy Donohue zaproponował, żeby wypili kawę pod gwiazdami. Skąd wiedział, że ma ten dach, było dla niej tajemnicą, bo nigdy nie był w jej mieszkaniu. A jednak wiedział. Justin z rezerwą patrzył, jak Donohue wkracza i trzymając palec przy ustach, przesuwa kanciaste ciało przez okno i staje na platformie żelaznych schodów przeciwpożarowych, a potem kiwa na nich ręką, żeby poszli za nim. Drugi wyszedł Justin, po chwili dołączyła do nich Ghita, niosąc tacę z filizankami. Donohue skurczony siedział na skrzynce, z kolanami przy uszach, Justin nie miał już gdzie usiąść. Najpierw ustawił się na tle fragmentów neonów z naprzeciwnika, potem przysiadł się do Ghity ze spuszczoną głową, jak człowiek rysujący coś palcem na piasku.

- Jak ci się udało przedrzeć przez zaskieki, stary? - zapytał Donohue, popijając kawę i przekrzykując zgiełk ulicznego ruchu. - Mały ptaszek mi powiedział, że kilka dni temu byłeś w Saskatchewan.

- Wykupiłem wycieczkę na safari - powiedział Justin.

- Przez Londyn?

- Przez Amsterdam.

- Z dużą grupą?

- Największą jaką udało mi się znaleźć.

- Jako Quayle?

- Prawie.

- Kiedy odbiłeś od nich?

- W Nairobi. Jak tylko załatwiliśmy odprawę paszportową i celną.

- Sprytny chłopak. Źle cię oceniałem. Myślałem, że przyjedziesz którąś z tras lądowych. Z Tanzanii albo skądś.

- Nie pozwolił mi się przywieźć z lotniska - wtrąciła opiekuńczo Ghita. - Przyjechał tu taksówką, jak się ściemniło.

- Czego chcesz? - zapytał Justin ze swojego miejsca w ciemnościach.

- Spokoju, jeśli ci to nie wadzi, stary. Mam już swoje lata. Nie chcę żadnych skandali. Żadnego szperania w zakamarkach. Żadnych facetów wściubiających nosy, szukających tego, czego już nie ma.

Odwrócił się w stronę Ghity.

- A ty moja droga, po co do Loki?

- Dla mnie - powiedział Justin, zanim zdążyła coś wymyślić.

- I dobrze - stwierdził z aprobatą Donohue. - Jestem pewien, że i dla Tessy. Ghita to wspaniała dziewczyna. - I znów zwrócił się do Ghity, tym razem bardziej dobitnie. - Znalazłeś to, czego szukałeś? Misja wykonana? Jestem pewien, że tak.

Justin przerwał szybciej niż poprzednio.

- Prosiłem, żeby prześledziła ostatnie dni, które Tessa tam spędziła. Żeby się upewnić, czy rzeczywiście robili to, po co tam pojechali: uczestniczyli w seminarium na temat świadomości płci. Tak było.

- A ty zgadzasz się z tą wersją wydarzeń? - Donohue nadal mówił do Ghity.

- Tak.

- To ładnie z twojej strony - Donohue łyknął trochę kawy. - Porozmawiamy serio? - zapytał Justina.

- Wydawało mi się, że właśnie to robimy.

- O twoich planach.

- Jakich planach?

- No właśnie. Na przykład gdyby zaświtało ci w głowie, żeby zamienić kilka słów z Kennym K. Curtissem, znaczyłoby to, że chcesz marnować czas. Ja ci wszystko powiem, i to gratis.

- Dlaczego?

- Jego osiłki czekają na ciebie, to pierwszy powód. A drugi, że wypadł z gry, jeśli kiedykolwiek w niej do końca był. Banki zabrały mu zabawki. Interesy farmaceutyczne ThreeBees wrócą tam, skąd się wzięły - do KVH.

Nie doczekał się reakcji.

- Według mnie, Justinie, nie osiąga się wielkiej satysfakcji, strzelając do kogoś, kto i tak już jest trupem. Jeśli takiej właśnie satysfakcji pragniesz. Czy tak?

Żadnej odpowiedzi.

- A co do zabójstwa twojej żony, to choć trudno mi to powiedzieć, Kenny K. nie jest, powtarzam, nie jest współwinnym, jak to się mówi w sądzie. Ani jego pomagier, pan Crick, chociaż nie wątpię, że złapałby taką okazję obiema rękami, gdyby mu była dana. Crick miał stałe instrukcje, żeby meldować KVH o ruchach Arnolda i Tessy. Korzystał ze źródeł Kenny'ego K., szczególnie z kenijskiej policji, żeby mieć na nich oko. Ale Crick nie jest bardziej winny niż Kenny K. Sama obserwacja nie czyni z niego mordercy.

- Komu Crick składał raporty? - zapytał Justin.

- Automatycznej sekretarce w Luksemburgu, która została już odłączona. Stamtąd informacja została przekazana dalej poprzez pośredników, których ani ty, ani ja najprawdopodobniej nigdy nie ustalimy. Wreszcie dotarła do uszu wrażliwych dżentelmenów, którzy zabili twoją żonę.

- Marsabit - powiedział Justin z bliska.

- Rzeczywiście. Słynne duo z Marsabit w zielonej ciężarówce do safari. Po drodze dołączyło do nich czterech Afrykanów, takich samych jak oni łowców nagród. Za wykonanie tej roboty czekał na nich milion dolarów do podziału, według uznania ich przywódcy, znanego jako pułkownik Elvis.

Jedynie, czego możemy być pewni, to fakt, że nie nazywa się Elvis i nigdy nie dosłużył się rangi pułkownika.

- Czy Crick złożył meldunek do Luksemburga, że Tessa i Arnold zmierzają nad jezioro Turkana?

- Chłopie, za dużo wymagasz.

- Dlaczego?

- Bo Crick nie odpowie na to pytanie. Boi się. A ja chciałbym, żebyś i ty zaczął się bać. On się boi, że jak będzie za dużo mówił o tym, co wie, i o tym, co wiedzą niektórzy z jego przyjaciół, to mu odrąbią język, żeby zrobić miejsce dla jąder. Pewnie ma rację.

- Czego chcesz? -powtórzył Justin. Kucnął obok Donohue, patrząc w jego pociemniałe oczy.

- Chcę ci wyperswadować to, co masz ochotę zrobić, cokolwiek by to było, kochany. Chcę ci powiedzieć, że nie znajdziesz tego, czego szukasz, ale i tak nie uchroni cię to przed śmiercią. Zapłacono za twoje zabicie, kiedy tylko postawisz stopę na kontynencie afrykańskim. A ty tu jesteś dwiema stopami. Każdy najemny bandyta i szef gangu w tej branży marzy tylko o tym, żebyś pojawił się w jego polu widzenia. Pół miliona za uśmiercenie ciebie, milion, żeby to wyglądało na samobójstwo, bo tak byłoby lepiej. Możesz wynająć sobie ochronę, i tak nic ci to nie pomoże. Będziesz prawdopodobnie wynajmował tych ludzi, którzy mają nadzieję, że cię zabiją.

- Dlaczego twoje służby w ogóle interesują się tym, czy żyję, czy nie?

- W sensie zawodowym to nas nie interesuje. Jeśli zaś chodzi o mnie, nie lubię patrzeć, jak wygrywa niewłaściwa strona. - Zaczepnął powietrza. - I w tym kontekście z przykrością muszę ci powiedzieć, że Arnold Bluhm jest martwy, i to od tygodni. Więc jeśli przyjechałeś, żeby go uratować, obawiam się, że nie ma czego ratować.

- Udowodnij to - zażądał Justin, a Ghita odsunęła się od nich po cichu i ukryła twarz w ramionach.

- Jestem stary, umierający, pozbawiony złudzeń i mówię ci rzeczy, za które moi pracodawcy rozstrzelaliby mnie o poranku. To jedyny dowód. Bluhma zbito do nieprzytomności, wrzucono na ciężarówkę i wywieziono na pustynię. Bez wody, bez cienia, bez żywności. Torturowali go przez kilka dni, bo mieli nadzieję, że im powie, czy Tessa albo on pomyśleli o tym, żeby zrobić drugi zestaw dyskietek, które znaleźli w ich jeepie. Przepraszam cię, Ghito. Bluhm powiedział, że nie, nie zrobili drugiego zestawu, ale mu nie uwierzyli. Zameczyli go na śmierć, żeby się zabezpieczyć, i dlatego że sprawiło im to przyjemność. Zostawili go hienom. I taka, obawiam się, jest prawda.

- O dobry Boże.

To Ghita szeptala, zakrywając usta dłońmi.

- Wiec możesz wykreślić Bluhma ze swojej listy, Justinie, razem z Ken-
nym K. Curtissem. Żaden z nich nie jest już wart podróży. Teraz posłuchaj.
Porter walczy o twoją sprawę w Londynie. I to już nie jest ściśle tajne. To
“przed czytaniem spalić”.

Justin zniknęła z pola widzenia Ghity. Przeszukała ciemności i odnalazła
go tuż za sobą.

- Porter domaga się, żeby sprawa Tessy została z powrotem przydzielo-
na funkcjonariuszom, którzy ją zaczęli, i żeby głowę Gridleya zatknięto na
murach razem z głowąPellegrina. Chce, żeby stosunki pomiędzy Curtissem,
KVH a rządem brytyjskim stały się przedmiotem międzypartyjnego docho-
dzenia i przy okazji wyciąga stołek spod Woodrowa. Chce, żeby lek został
przebadany przez zespół niezależnych naukowców, jeśli gdzieś na świecie
są jeszcze tacy. Odkrył, że istnieje coś takiego jak Komitet Etyki Testów
przy Światowej Organizacji Zdrowia. Gdybyś teraz wrócił do kraju, mógł-
byś przeważać szalę. Właśnie dlatego przyszedłem - zakończył uszczęśli-
wiony, wypił resztkę kawy i wstał. — Justinie, wyciąganie ludzi z różnych
krajów to jedyna rzecz, którą jeszcze dobrze robimy. Więc gdybyś wołał,
żeby cię przemycić z Kenii w piecyku niż jeszcze raz przebijać się przez
służby na lotnisku Kenyatty, nie mówiąc już o tajniakach Moiego i nie tylko
Moiego, to niech Ghita tylko mrugnie.

- Jesteś bardzo uprzejmy - powiedział Justin.

- Obawiałem się, że właśnie to powiesz. Dobranoc.

Ghita leżała w łóżku przy otwartych drzwiach. Gapiła się w sufit i nie
wiedziała - płakać czy modlić się. Przypuszczała, że Bluhm nie żyje, ale
nikczemny sposób, w jaki go zabito, był gorszy niż jej wyobrażenia. Żało-
wała, że nie może wrócić do prostego życia w szkole zakonnej i odnowić
w sobie wiary w wolę, dzięki której człowiek wspina się na wyżyny i upada
nisko. Za ścianą Justin znów zasiadł do jej biurka i pisał. Pisał piórem, bo
tak wołał, chociaż zostawiła mu do dyspozycji laptop. Samolot do Loki we-
dług rozkładu odlatywał z lotniska Wilsona o siódmej, a to znaczyło, że Ju-
stin musi wyjść za godzinę. Bardzo chciała towarzyszyć mu w podróży, ale
wiedziała, że to niemożliwe. Zaproponowała, że odwiezie go na lotnisko, ale
on wołał wziąć taksówkę z Serena Hotel.

- Ghito?

- W porządku - zawołała i podniosła się z łóżka.

- Chciałbym cię prosić, żebyś wysłała to w moim imieniu - powiedział,
wręczając jej grubą kopertę zaadresowaną do jakiejś kobiety w Mediola-
nie. - To nie jest moja przyjaciółka, jeśli cię to interesuje, ale ciotka mojego

prawnika - nieczęsto widywany uśmiech - a tu jest list do Portera Coleridge'a na adres jego klubu. Nie korzystaj z poczty dyplomatycznej ani kurierów czy czegoś takiego. Normalna poczta kenijska jest wystarczająco wiarygodna. Jestem ci bezgranicznie wdzięczny za pomoc, której mi udzieliłaś.

I już nie była w stanie dłużej się powstrzymywać, rzuciła się do niego, objęła go ramionami, przycisnęła się i trzymała dopóty, dopóki nie wyszarpaną się z jej uścisku.

23

Tłapanie McKenzie i drugi pilot Edsard siedzieli w kokpicie, a kokpit to podwyższenie na nosie kadłuba samolotu bufallo, pozbawione drzwi, które oddzielałyby je od ładunku - albo raczej ładunek od załogi. Tuż pod platformą jakaś troskliwa dusza umieściła niski, brązowy fotel w wiktoriańskim stylu, jaki stare gospodynie przyciągały do rozpalonej kuchni w zimowe wieczory. Fotel przymocowany jest do pokładu żelaznymi klamrami. I tam właśnie siedział Justin. Na głowie miał słuchawki, a wokół brzucha owinięte postrzępione nylonowe taśmy, które wyglądały jak uprzęż dla dziecka, uczącego się chodzić. Słuchał tego, co mówią kapitan McKenzie i Edsard, a od czasu do czasu zdejmował słuchawki, żeby usłyszeć, o co pyta go biała dziewczyna z Zimbabwe, imieniem Jamie, która usadowiła się przy opłatanym linami gorze brązowych kufrów. Justin chciał ustąpić jej miejsca w fotelu, ale McKenzie powstrzymał go od tego stanowczym: "Pan tu siedzi". W ogniu przycupnęło sześć sudańskich kobiet w powłóczystych szatach w postawach wyrażających rozmaite uczucia, od stoicyzmu po skrajne przerażenie. Jedna z nich wymiotowała do plastikowego kubła świetnie nadającego się do tego celu. Sufit podbity był pikowanymi szarymi, błyszczącymi panelami, zwisające z nich kable z metalowymi końcówkami tańczyły w rytm grzmotu motorów. Kadłub trzeszczał i falował. Nie było śladu klimatyzacji czy spadochronów, łuszczący się czerwony krzyż na bocznych panelach wskazywał, że samolot wiezie zapasy leków. Pod spodem stały w szeregu, powiązane po dwa, kanistry z napisem "nafta". "Taką podróż odbyła Tessa z Arnoldem, i ten sam człowiek pilotował wtedy samolot. To była ich ostatnia podróż przed ostatnią podróżą".

- Więc jest pan przyjacielem Ghity - powiedział McKenzie, kiedy Sudan Sarah przyprowadziła Justina do jego tukulu w Loki i zostawiła ich razem.

- Tak.
 - Sarah mówiła mi, że miał pan dokument podróżny, wystawiony przez południowosudańskie biuro w Nairobi, ale gdzieś go pan zapodział. Zgadza się?
 - Tak.
 - Pozwoli pan, że zerknę na pański paszport?
 - Ależ oczywiście - Justin wręcza mu paszport na nazwisko Atkinsona.
 - Czego pan tu szuka, panie Atkinson?
 - Jestem dziennikarzem z londyńskiego "Telegraph". Piszę tekst o akcji humanitarnej ONZ w Sudanie.
 - Wielka szkoda, że tak się stało właśnie wtedy, gdy akcja potrzebuje jak największego rozgłosu. Głupio by było, gdyby kawałek papieru stanął nam na przeszkodzie. Gdzie pan go zgubił?
 - Obawiam się, że nie wiem.
 - Teraz transportujemy skrzynki soi i trochę zestawów dla chłopców i dziewcząt w terenie. Głównie mleko, jeśli pana to interesuje.
 - Owszem, interesuje.
 - Czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby posiedzieć godzinę albo dwie na podłodze jeepa pod stertą koców?
 - Ani trochę.
 - Więc myślę, że sprawa jest załatwiona, panie Atkinson. I od tej chwili McKenzie trzymał się już tej wersji.
- W samolocie, tak jakby rozmawiał z prawdziwym dziennikarzem, opisał zasady tego, co z dumą nazwał najdroższą w dziejach ludzkości akcją przeciwko głodowi. Informacje wyrzucał z siebie metalicznym tonem, tłumionym czasem szumem silników.
- Panie Atkinson, w południowym Sudanie są okolice bogate w kalorie, średnio zaopatrzone w kalorie, ubogie w kalorie i po prostu takie, gdzie nie ma pożywienia. Zadaniem ośrodka w Loki jest znaleźć miejsca, w których panuje głód. Każda tona, którą zrzucamy, kosztuje ONZ tysiąc trzysta dolarów amerykańskich. W wojnach domowych bogaci umierają pierwsi, a to dlatego, że jeśli ktoś ukradnie im bydło, nie potrafią się dostosować. Biedni są mniej więcej w takim samym stanie jak zawsze. Żeby grupa ludzi przeżyła, tereny, na których mieszkają, muszą nadawać się pod uprawę. Niestety, nie ma tam zbyt wielu takich terenów. Czy nie mówię za szybko?
 - Robi pan to wspaniale, dziękuję.
 - A więc Loki ocenia zbiory i przewiduje, gdzie pojawi się głód. Właśnie teraz znajdujemy się na granicy takiego obszaru. Ale trzeba odpowiednio zmieścić się w czasie. Jeśli zrzucimy żywność, kiedy zabierają się do zbiorów - namieszamy im w gospodarce. Jeśli rzucamy ją za późno - umierają.

Przy okazji - zrzuty można robić tylko drogą powietrzną. Żywność transportowana łodem często jest porywana przez kierowców.

- Rozumiem.
- Nie robi pan notatek?

Jeśli jesteś dziennikarzem, zachowuj się jak dziennikarz, chce przez to powiedzieć. Justin otwiera notatnik, a prowadzenie wykładu przejmuje Edsard. Mówi o bezpieczeństwie.

- Na stacjach z żywnością mamy cztery poziomy bezpieczeństwa. Poziom czwarty oznacza, że trzeba przerwać dostawy. Poziom trzeci - czerwony alarm. Poziom drugi - uwaga. W Sudanie nie ma terenów pozbawionych ryzyka.

- Tak, rozumiem.
- Znów włącza się McKenzie.

- Kiedy przylatujesz, obserwator mówi, jaki jest poziom bezpieczeństwa stacji. Jeśli dzieje się coś dziwnego, masz robić to, co ci powie. Stacja, którą pan odwiedzi, jest położona na terenie kontrolowanym przez generała Garanga. To właśnie on dał panu wizę, którą pan zgubił. Teren znajduje się pod stałymi atakami z północy, a także jest napadany przez wrogie plemiona z południa. Niech pan nie myśli, że ogranicza się to do starć na linii północ-południe. Sojusze plemienne potrafią się zmienić w ciągu jednej nocy i zamiast walczyć z muzułmanami zaczynają walczyć między sobą. Słucha pan?

- Oczywiście.

- Sudan to w zasadzie fantazja kolonialnego kartografa. Na południu mamy Afrykę, zielone pola, ropę i animistycznych chrześcijan. Na północy Arabię, piasek i bandę muzułmańskich terrorystów, których celem jest wprowadzenie prawa szariatu. Wie pan, co to takiego?

- Mniej więcej - powiedział Justin, który w swoim poprzednim życiu napisał na ten temat rozprawę.

- Rezultat jest taki, że mamy wszystko, co potrzebne do permanentnej klęski głodu. Jeśli nie wystarczy susza, wojny domowe dopełnią dzieła, i na odwrót. Ale w Chartumie nadal działa legalny rząd. I ostatecznie, za wszystkie interesy, które ONZ ubija na południu, trzeba płacić w Chartumie. Więc to, co tutaj mamy, to jedyny w swoim rodzaju trójstronny pakt pomiędzy ONZ, chłopakami w Chartumie i rebeliantami. Nadąża pan?

- Leci pan do Obozu nr 7! - wrzasnęła mu do ucha Jamie, biała dziewczyna z Zimbabwe, zwijając dłonie w trąbkę wokół ust. Kucnęła obok niego. W brązowych dzinsach i traperskim kapeluszu wyglądała całkiem powabnie.

Justin kiwnął głową.

- W siódemce jest teraz gorąco! Moja koleżanka trafiła tam na poziom czwarty kilka tygodni temu! Musiała wędrować jedenaście godzin po bagnach,

potem czekać jeszcze sześć godzin bez spodni na samolot, który ją stamtąd zabrał!

- A co się stało z jej spodniami? - krzyknął w jej stronę Justin.

- Trzeba je zdejmować! Chłopcy i dziewczyny! Za gorąco! Spodnie są mokre i aż dymią z upału! To nie do zniesienia! - Znów przytknęła mu rękę do ucha. - Kiedy słyszysz, że bydło wychodzi z wioski - uciekaj. Kiedy za bydłem idą kobiety - uciekaj szybciej. Mieliliśmy tam raz faceta, który biegł przez czternaście godzin bez wody. Stracił osiem funtów. Ścigał go Carabino.

- Carabino?

- Carabino to był porządny gość, dopóki nie przyłączył się do tych z północy. Teraz przeprosił i wrócił do nas. Wszyscy są bardzo zadowoleni. Nikt go nie pytał, gdzie był. To twój pierwszy raz? Statystycznie powinieneś być całkiem bezpieczny. Nie martw się. A Brandt to prawdziwy dziwak.

- Kto to jest Brandt?

- Obserwator do spraw żywności w Obozie nr 7. Fantastyczny gość. Wszyscy go kochają. Wielki Boży człowiek.

- Skąd pochodzi?

Wzruszyła ramionami.

- Mówi o sobie, że jest zmokłym kundlem, tak jak my wszyscy. Tam nikt nie ma przeszłości. To zasada.

- Od jak dawna tam jest? - wrzasnął Justin i musiał to powtórzyć.

- Chyba sześć miesięcy! Sześć miesięcy w terenie to całe życie, wierz mi! Nie chce wrócić do Loki nawet na parę dni, żeby odpocząć! - zakończyła z zalem i opadła wyczerpana krzykiem.

Justin rozpiął uprząż i podszedł do okna. "To jest podróż, którą odbyłaś. Takiej gadki wysłuchałaś. To widziałas". Pod nim rozciągały się szmaragdowe bagna Nilu, osnute mgłą podnoszoną przez upał, punktowane układanką czarnych dziur z wodą. Na wyżej położonych terenach zagrody dla bydła wyglądające z góry jak komórki, wypchane były ciasno zwierzętami.

- Wieśniacy nigdy nie powiedzą, ile mają bydła! - Jamie stała u jego ramienia, wrzeszcząc mu prosto do ucha. - Praca obserwatora polega na tym, żeby się dowiedzieć! Kozy i owce są w środku, krowy na brzegach, cielęta obok nich! Psy wchodzą z krowami! Nocą palą krowi nawóz w domkach stojących dookoła! Odstraszą drapieżniki, ogrzewają krowy i wywołują straszny kaszel! Czasem wpychają do zagrody kobiety i dzieci! W Sudanie za dziewczyny można dostać dużo żywności! Jeśli są dobrze odżywione, osiągają lepszą cenę jako oblubienice! - uśmiechnęła się i poklepała po żołądku. - Mężczyzna może mieć tyle żon, na ile może sobie pozwolić. Poważnie. - Przytknęła dłoń do ust i parsknęła śmiechem.

- Jesteś, obserwatorem?

- Pomocnikiem.
- Jak dostałaś tę pracę?
- Poszłam do właściwego klubu nocnego w Nairobi! Chcesz usłyszeć zagadkę?

- Oczywiście.
- Zrzucamy tutaj ziarno, zgadza się?
- Zgadza się.
- Ze względu na wojnę północy z południem, zgadza się?
- Mów dalej.

- Spora część zrzucanego zboża rośnie w Północnym Sudanie. To właśnie to zboże, którego nie dają nam farmerzy ze Stanów ze swoich nadwyżek. Przemysł to. Pieniądze z agencji humanitarnych idą na kupno zboża w Chartumie. Chartum korzysta z tych pieniędzy, żeby kupić broń na wojnę przeciwko południu. Samoloty, które przywożą to zboże do Loki, korzystają z tego samego lotniska, z którego startują chartumskie bombowce, żeby bombardować południowosudańskie wsie.

- I gdzie tu zagadka?
- Dlaczego ONZ finansuje bombardowanie południowego Sudanu i jednocześnie karmi ofiary?

- Nie wiem.
- Wracasz potem do Loki?

Justin potrząsnął głową.

- Szkoda - powiedziała i puściła do niego oko.

Wróciła na swoje miejsce między pudłami z olejem sojowym. Justin został przy oknie, przyglądał się przemykającym po bagnach złotym refleksom słonecznego światła, odbitego od samolotu. Nie ma horyzontu. W oddali kolory ziemi przechodziły w coraz bardziej intensywną jasnofioletową mgłę. "Moglibyśmy lecieć przez całe życie", mówił do niej "i nigdy nie dolecieliśmy do krańca Ziemi". Samolot bez ostrzeżenia zaczął obniżać lot. Bagno przybrało brązowy kolor, stały łąd wzniósł się powyżej poziomu wody. Pojawiły się pojedyncze drzewa, jak zielone kalafiory; rzucane przez samolot refleksy ślizgały się po nich. Edsard przejął stery. Kapitan McKenzie studiował broszurę na temat wyposażenia kempingu. Odwrócił się i pokazał Justinowi wzniesione do góry kciuki. Justin zapiął pasy i spojrzął na zegarek. Lecieli trzy godziny. Edsard stromo podszedł do lądowania. Pudła z papierem toaletowym, środkiem na muchy i czekoladą przesunęły się po stalowym pokładzie i uderzyły o platformę kokpitu obok stóp Justina. U końca skrzydła pojawiła się grupa chat, pokrytych strzechami z sitowia. Słuchawki Justina wypełniały trzaski brzmiące jak muzyka klasyczna, grana w nieodpowiednim tempie. Z tej kakofonii wyłonił się szorstki głos z niemieckim

akcentem, podający szczegóły sytuacji na ziemi. Odróżnił słowa "pewnie i spokojnie". Samolot doznał dzikich, wibracji. Justin uniósł się w uprząży i patrzył przez okno kokpitu na pasek czerwonej ziemi przecinający zielone pole. Linie białych worków znaczyły skraje pasa startowego. W jednym z rogów pola leżało więcej worków. Samolot wyrównał i promienie słońca uderzyły w kark Justina jak prysznic wrzącej wody. Z niemiecka brzmiący głos stał się wyraźniejszy i głośniejszy.

- Edsard, człowieku, schodźże wreszcie! Mamy dziś na obiad wspaniały gulasz z koźlęcia! Masz tam na pokładzie tego obiboka McKenzie?

Edsarda nie tak łatwo zagadać.

- Brandt, co robią te worki w rogu? Czy ktoś ostatnio robił zrzuty? Dziełimy miejsce z innym samolotem?

- To tylko puste worki. Nie patrz na nie i natychmiast schodź, słyszysz? Masz tam ze sobą tego postrzelonego dziennikarza?

Tym razem odpowiedział McKenzie.

- Mamy go, Brandt.

- Kogoś jeszcze?

- Mnie! - wrzasnęła radośnie Jamie, przekrzykując ryk silników.

- Jeden dziennikarz, jedna nimfomanka, sześć powracających delegatek - wymienił łagodnym głosem McKenzie.

- Jaki on jest, ten postrzeleniec?

- I ty to mówisz?

- Dlaczego on się denerwuje? - zapytał Justin.

- Wszyscy tam na dole są tacy nerwowi. To ostatnia placówka. Jak wyładujemy, proszę pana, to proszę ze mną zostać. Protokół wymaga, żebym przedstawił pana osobiście komisarzowi.

Pas startowy to wydłużony, pokryty gliną kort tenisowy, częściowo zarosnięty. Z lasku wyszły psy i wieśniacy. Chaty były stożkowate, pokryte trzciną. Edsard powoli okrążył pas, a McKenzie przyglądał się uważnie krzakom rosnącym po obu jego stronach.

- Nie ma niegrzecznych chłopców? - zapyta Edsard.

- Nie ma niegrzecznych chłopców - potwierdził McKenzie.

Samolot przechylił się, wyrównał i pomknął naprzód. Pas startowy uderzył w niego jak rakietą. Chmury płomienistego czerwonego kurzu przesłoniły okna. Kadłub obwisł w lewo, potem jeszcze bardziej w lewo, ładunek jęczał w oplatających go linach. Silniki wyły, samolot się trząsł, zarzucił, coś drapało i jęczało. Silnik zamarł. Pył opadł. Justin gapił się przez opadający pył na nadchodzącą delegację afrykańskich dygnitarzy, dzieci i kilku białych kobiet w niechlujnych dzinsach, warkoczykach i bransoletach. Pośrodku, ubrana w brązowy kapelusz, stare szorty khaki i zamszowe buty,

kroczyła promienna, bulwiasta, rudowłosa i niezaprzeczalnie majestatyczna postać Markusa Lorbeera. Tym razem bez stetoskopu.

Sudańskie kobiety wygramoliły się z samolotu i dołączyły do śpiewających współplemieńców. Jamie z Zimbabwe objęła swoje towarzyski przy okrzykach wzajemnej radości i zaskoczenia; Lorbeera też obejmuje, głaszcząc go po twarzy, ściąga mu kapelusz, wygładza włosy, a Lorbeer promienieje, klepie ją po tyłku i chichocze jak uczeń w urodziny. Tragarze Dinka krzątają się z tyłu kadłuba i rozładowują samolot według instrukcji Edsarda. Ale Justin musiał pozostać na miejscu, dopóki kapitan McKenzie nie przywołał go skinieniem ręki i zaprowadził, z dala od świętujących, na drugą stronę pasa startowego na kopczyk, gdzie grupka starszyny Dinka w czarnych spodniach i białych koszulach siedziała na ustawionych w półkole kuchennych krzesłach w cieniu drzewa. Pośrodku siedział Arthur Komisarz, zasuszony, siwowłosa mężczyzna o grubo ciosanych rysach i poważnych, głęboko osadzonych oczach. Nosił czerwoną czapkę baseballową z wyhaftowanym złotym napisem "Paris".

- Wiec to pan jest tym człowiekiem pióra, panie Atkinson - mówi Arthur bezbłędną archaiczną angielszczyzną, kiedy McKenzie dokonuje prezentacji.

- Zgadza się.

- Jakież to dziennik lub wydawnictwo, jeśli wolno mi tak śmiało spytać, zaszczyca pan swoimi służbami?

- Londyński "Telegraph".

- "Sunday Telegraph"?

- Głównie dziennik.

- Obie te gazety są wspaniałe - oświadcza Arthur.

- Arthur był sierżantem w Sudańskich Siłach Obrony, gdy Wielka Brytania sprawowała tu mandat - wyjaśnia McKenzie.

- Zechce mi pan powiedzieć, czy nie mylę się, jeśli stwierdzę, że jest pan tutaj, by nasycić swój umysł?

- Mam nadzieję, że również umysły moich czytelników - mówi Justin z dyplomatyczną obłudą, kątem oka patrząc, jak Lorbeer i jego delegacja zbliżają się pasem startowym.

- A więc, błagam, aby zechciał pan również nasycić umysły mojego ludu, przysyłając nam angielskie książki. ONZ troszczy się o nasze ciała, ale zbyt rzadko o nasze umysły. Nasi ulubieni autorzy to dziewiętnastowieczni angielscy powieściopisarze. Może pańska gazeta rozważyłaby subsydiowanie takiego przedsięwzięcia.

- Z pewnością im to zaproponuję - mówi Justin. Po jego prawej stronie Lorbeer i jego świta podchodzą do kopczyka.

- Serdecznie pana witamy. Jak długo zamierza pan zaszczycać nas swoim szacownym towarzystwem?

McKenzie odpowiada w imieniu Justina. Lorbeer i jego grupa zatrzymują się u stóp kopczyka i czekają, aż McKenzie i Justin zejdą.

- Do jutra o tej samej porze, Arthurze - mówi McKenzie.

- Ale nie później - rzuca Arthur, zerkając z ukosa na swoich dworzan. - Panie Atkinson, niech pan o nas nie zapomina, kiedy nas pan opuści. Będziemy czekali na pańskie książki.

- Gorący dzień - stwierdza McKenzie, kiedy schodzą z kopczyka. - Musi być koło czterdziestu dwóch, a to nie koniec. A i tak to dla pana ogrody Edenu. O tej samej porze jutro, dobrze? Cześć, Brandt. To twój postrzeleniec.

Justin nie był przygotowany na taką wszechogarniającą dobroduszość. Czerwonawe oczy, które w szpitalu Uhuru nie chciały go dostrzec, promieniowały spontaniczną radością. Dziecięcą twarz ogorzała w słońcu zdobił wielki, zaraźliwy uśmiech. Gardłowy głos, którego nerwowe pomruki odbijały się od sufitu sali, gdzie leżała Tessa, był teraz dźwięczny i władczy. Ścisnęli sobie ręce - Justin podał jedną, Lorbeer chwycił ją oburącz i coś powiedział. Uścisk był przyjacielski, wzbudzał zaufanie.

- Panie Atkinson, czy przekazano panu niezbędne informacje w Loki, czy też cała robota spada na mnie?

- Obawiam się, że nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmowy - powiedział Justin, rewanżując się uśmiechem.

- Dlaczego wy, dziennikarze, zawsze tak się spieszycie? - narzekał wesoło Lorbeer, puszczać dłoń Justina tylko po to, żeby poklepać go po ramieniu. Prowadził go z powrotem w stronę pasa startowego. - Czy prawda w dzisiejszych czasach zmienia się tak szybko? Ojciec zawsze mi mówił: jeśli coś jest prawdziwe, to jest wieczne.

- Szkoda, że nie powiedział tego mojemu redaktorowi.

- Ale może pański redaktor nie wierzy w wieczność - mówiąc to, Lorbeer obrócił się nagle w stronę Justina i podniósł palec na wysokość jego twarzy.

- Może nie - przyznał Justin.

- A pan? - Brwi błazna uniosły się w jak u kapłana przepytującego grzesznika.

Justin czuł, że na moment drętwieje mu mózg. "Dlaczego udaję? To przecież Markus Lorbeer, ten, który cię zdradził".

- Sporo czasu minie, zanim odpowiem sobie na to pytanie - uniknął niezręcznie odpowiedzi, a Lorbeer wybuchł serdecznym śmiechem.

- Nie zwlekaj zbyt długo, człowieku! Bo wieczność przyjdzie i cię zabierze! Widziałeś już wcześniej dostawę żywności? - Nagle ściszył głos i chwycił Justina za ramię.

- Nie.

- Więc ci pokażę, człowieku. I obiecuję, że wtedy uwierzysz w wieczność. Dostajemy tu żywność cztery razy dziennie i za każdym razem jest to cud boski.

- Jesteś bardzo uprzejmy.

Lorbeer miał zamiar palnąć firmową mówkę. Dyplomata, który siedział w Justinie, już to wyczuł.

- Panie Atkinson, staramy się być wydajni. Staramy się, żeby żywność dotarła do właściwych ust. Może dajemy jej za dużo. Ale skoro klientela głoduje, to nie widzę w tym przestępstwa. Może trochę nas okłamują, ilu mieszka w wioskach, ilu jest umierających. Może stworzyliśmy paru milionerów na czarnym rynku w Aweil. To niedobrze.

- No tak.

U boku Lorbeera pojawiła się Jamie w towarzystwie afrykańskich kobiet, niosących podkładki do pisania.

- Może straganiarze sprzedający żywność nie kochają nas zbyt za to, że pieprzymy im interesy. Może biedni myśliwi i czarownicy z buszu mówią, że im odbieramy zawód tymi swoimi zachodnimi lekami. Możliwe też, że kreujemy postawę uzależnienia. Prawda?

- Prawda.

Gigantyczny uśmiech odepchnął na bok wszystkie te niedoskonałości.

- Niech pan słucha, panie Atkinson. Niech pan to powie swoim czytelnikom. Niech pan to powie tłuszciochom z ONZ w Genewie i w Nairobi. Za każdym razem, kiedy dzięki tym dostawom mogę włożyć łyżkę owsianki do buzi głodującego dziecka, wiem, po co tu jestem. Wtedy zasypiam na łonie Boga. Wiem, dlaczego żyję. Powie im pan to?

- Spróbuję.

- Ma pan jakieś imię?

- Peter.

- Brandt.

Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce, tym razem dłużej niż poprzednim razem.

- Pytaj, o co chcesz, w porządku? Nie mam tajemnic powierzonych przez Boga. Masz coś specjalnego, o co chciałbyś mnie zapytać?

- Jeszcze nie. Może później, kiedy zbiorę więcej materiału.

To dobrze. Rób swoje. To, co prawdziwe, jest wieczne.

To czas modlitwy.

To czas Komunii Świętej.

To czas, gdy dzieli się hostię z całą ludzkością.

A przynajmniej tak głosi Lorbeer, a Justin udaje, że to wszystko spisuje w notatniku, na próżno usiłując uciec przed narzucającym, mu się dobrym nastrojem przewodnika. Jest to również czas, kiedy można oglądać "tajemnicę dobroci ludzkiej naprawiającej zło przez człowieka wyrządzone", jak głosi jeden z łatwo wpadających w ucho sloganów Lorbeera, wygłaszanych z oczami wzniesionymi w górę, wpatrzonymi nabożnie w rozplamione niebiosa i z uśmiechem przywołującym boskie błogosławieństwo. Justin czuje, że ramię człowieka, który zdradził jego żonę, czule szturcha go w bok. Podchodzi publiczność. Jamie z Zimbabwe i Arthur Komisarz ze swymi dworzanami stoją najbliżej. Psy, grupki wieśniaków w czerwonych szatach i tłumek nagich, przerażonych dzieci ustawia się wokół narożnika ładowniska.

- Peter, nakarmiliśmy dziś czterysta szesnaście rodzin. Jedną rodzinę należy pomnożyć przez sześć. Komisarzowi dają pięć procent zaopatrzenia. Tego nie notuj. Jesteś przyzwoitym facetem, więc ci to mówię. Jakbyś posłuchał Komisarza, to pomyślałbyś, że w Sudanie mieszka sto milionów ludzi. Inny problem, z którym mamy do czynienia, to plotka. Wystarczy, żeby jeden facet powiedział, że widział jeźdźca z karabinem i dziesięć tysięcy ludzi ucieka, jakby ich diabeł gonił, porzucając swoje zbiory i wsie.

Milknie. Jamie, stojąca u jego boku, jedną ręką wskazuje na niebo, a drugą chwyta dłoń Lorbeera i potajemnie ją ściska. Komisarz i jego świta też słyszą te słowa i reagują na nie, unosząc głowy, przymykając w pół powieki i rozciągając wargi w napiętych słonecznych uśmiechach. Justin wychwytuje odległe dudnienie silnika i dostrzega czarną plamkę zagubioną na lśnią-cym nieboskłonie. Powoli plamka przemienia się w samolot, taki sam, jakim tutaj przyleciał, biały, dzielny i samotny jak kawalerzysta Pana Boga. Leci tuż nad wierzchołkami drzew, podskakuje i chwieje się, walcząc o utrzymanie kursu i wysokości. Potem znika i już się nie pokazuje. Ale kongregacja Lorbeera nie traci wiary. Nie opuszcza głów. I znów się pokazał, leci nisko, prosto, namierza cel. Justin czuje coś w gardle, a potem łzy zaczynają napływać mu do oczu, gdy z ogona samolotu opada biały grad worków z żywnością, jakby ktoś rozsypywał płatki mydlane. Najpierw ładunek kręci się figlarnie na wszystkie strony, potem nabiera szybkości i uderza w strefę zrzutu, znacząc jajakby śladami po serii karabinu maszynowego. Samolot zatacza koło, żeby powtórzyć manewr.

- Widzisz to, człowieku? - szepcze Lorbeer. Też ma łzy w oczach. Czy on płacze cztery razy na dzień? Czy tylko wtedy, gdy ma widownię?

- Widzę - potwierdza Justin. "I ty to widziałas, i tak jak ja stałaś się błyskawicznie członkiem jego kościoła".

- Słuchaj, człowieku. Potrzebujemy więcej pasów startowych. Umieść to w swoim artykule. Więcej pasów i bliżej wsi. Marsz jest dla nich za długi, zbyt niebezpieczny. Są gwałceni, podcina im się gardła. Porywa im się dzieci, kiedy nie ma ich w domu. A kiedy przybywają tutaj, dowiadują się, że zostali przerobieni. Bo to nie jest dzień ich wioski. Więc wracają do domu i bardzo się martwią. Wielu z nich zamartwia się na śmierć. Ich dzieciaki też. Napiszesz to?

- Spróbuję.

- W Loki mówią, że więcej pasów startowych to więcej monitoringu. A ja mówię, w porządku, będziemy pilnować. W Loki pytają, a gdzie są na to pieniądze? A ja mówię, najpierw trzeba wydawać, a potem ich szukać. Co to u diabła?

Inny rodzaj ciszy zapadł na pasie startowym. To cisza pełna obawy i wyczekiwania. Czy w lesie czają się maruderzy, czekając, żeby ukraść dary Boże i uciec? Wielka dłoń Lorbeera znów zaciska się na ramieniu Justina.

- Człowieku, nie mamy tutaj karabinów - odpowiada na nie wypowiedziane pytanie. - W wioskach mają armality i kałasznikowy. Arthur Komisarz kupuje je za swoje pięć procent i rozdaje ludziom. Ale tu, w stacji żywnościowej, mamy tylko radio i modlitwę.

Oceniono, że moment kryzysu minął. Pierwsi tragarze zbliżyli się nieśmiało do pasa startowego, żeby ułożyć worki w przyzmy. Z podkładką na notatki w rękę Jamie i jej pomocnicy zajmują pozycje między nimi. Niektóre worki popękały. Kobiety ze szczotkami gorliwie zamiatają w kupki rozsypane ziarno. Lorbeer nadal trzyma kurczowo ramię Justina i zapoznaje go z "kulturą worka z żywnością". Najpierw Bóg stworzył zrzuty żywności, mówi, śmiejąc się serdecznie, a potem stworzył worki na żywność. Pęknięte albo całe, takie worki ze sztucznego włókna, ostemplowane inicjałami World Food Programme, są głównym artykułem handlowym w południowym Sudanie na równi z żywnością, która się w nich znajduje.

- Widzisz rękaw na lotnisku? Widzisz mokasyny tego gościa? Widzisz jego chustę? - mówię ci, człowieku, jeśli kiedykolwiek się ożenię, ubiorę moją oblubienicę w worki na żywność!

Jamie, stojąca z boku, zachłystuje się śmiechem, który szybko podejmują jej towarzyszki. Śmieją się nadal, gdy spośród drzew rosnących po przeciwnej stronie łądowiska, z trzech różnych miejsc, wyłaniają się trzy kolumny kobiet. Kobiety są wysokie - jak wszyscy Dinka - metr osiemdziesiąt pięć wzrostu nie należy do rzadkości, idą tym statecznym afrykańskim krokiem, którego bezskutecznie zazdroszczą im wszystkie modelki. Większość

ma obnażone piersi, inne noszą suknie miedzianego koloru., ściśle opięte na biuście. Wpatrują się biernie w leżące przed nimi pryzmy worków. Mówią coś cicho do siebie. Każda kolumna zna swoje zadanie. Każda asystentka zna swoją klientkę. Justin zerka ukradkiem na Lorbeera, kiedy kobiety, jedna po drugiej, podają swoje imiona, chwytają worki i sadowią je delikatnie na głowach. Widzi, że oczy Lorbeera wyrażają teraz tragiczne niedowierzenie, jakby to jego winą było ciężkie położenie tych kobiet, jakby to nie on był ich zbawcą.

- Coś nie tak? - pyta Justin.

- Kobiety, człowieku, są jedyną nadzieją Afryki odpowiada Lorbeer, nadal szepce, nie odwracając wzroku od podchodzących. Czy widzi wśród nich Wanzę? I wszystkie inne Wanze? Jego małe, blade oczy spoglądają z takim poczuciem winy z czarnego cienia rzucanego przez rondo kapelusza.

- Zapisz to, człowieku. Żywność wydajemy tylko kobietom. Mężczyźni! Nie ufamy tym idiotom. O nie, szanowny panie. Sprzedają owsiankę na rynku. Kupują papierosy, spluwy, dziewczyny. Mężczyźni to dupki. Kobiety tworzą dom, mężczyźni wywołują wojny. W całej Afryce trwa wojna płci. Tylko kobiety przyczyniają się do Bożego dzieła. Zapisz to.

Justin posłusznie pisze. Niepotrzebnie, bo to samo przesłanie słyszał codziennie od Tessy. Kobiety znikają w milczeniu między drzewami. Pełen poczucia winy pies liże rozsypane ziarno.

Jamie i asystentki rozbiegły się. Lorbeer, z wysoką laską, w brązowym kapeluszu na głowie, idzie, pełen autorytetu duchowego przywódcy. Wiedzie Justina na drugą stronę pasa startowego, z dala od wioski, w stronę błękitnej linii lasu. Kilkanaścioro dzieci rywalizuje między sobą, żeby być jak najbliżej mego. Wieszającej teki wielkiego człowieka. Łapią za palce i krepcą się na nich, wydają głośne pomruki, kopią nogami w powietrzu jak roztańczone elfy.

- Te dzieciaki udają, że są lwami - zwierza się Lorbeer Justinowi, pobłażliwie znosząc wybryki dzieci. - W ostatnią niedzielę uczyłem ich Biblii i lwy tak szybko połknęły Daniela, że nie dały Bogu szansy, żeby go uratował. Mówię do nich: nie, nie, musicie pozwolić Bogu uratować Daniela! Tak jest napisane w Biblii! Ale one powiedziały, że lwy są cholernie głodne i nie będą czekać. Niech najpierw pożrą Daniela, a potem Bóg może robić sztuczki! Tak powiedziały, bo inaczej lwy by zdechły.

Zbliżają się do szeregu prostokątnych szop u końca pasa startowego. Przy każdej jest ogrodzone miejsce, wyglądające jak wybieg dla koni. W każdej zagrodzie miniaturowy Hades, pełen bardzo chorych ludzi, pokrytych

strupami, ułomnych, odwodnionych. Przygarbione kobiety schylają się nad sobą w cichej męce. Pokryte muchami niemowlęta są zbyt schorowane, żeby płakać. Starzy mężczyźni, półśpiący, zamarli w bezruchu, wymiotują, cierpią na biegunkę. Znużeni bojem felczerzy i lekarze starają się, jak mogą, żeby ich nakłonić do zajęcia miejsca w nierównym szeregu. Nerwowe dziewczyny w kolejce poszeptują, chichoczą między sobą. Nastoletni chłopcy splatają się w zmaganiach, smagani kijem przez starszych.

Lorbeer i Justin, a za nimi, w pewnej odległości, Arthur i jego świta, docierają do pokrytej strzechą apteki, która wygląda jak wiejski klub krykieta. Lorbeer, łagodnie przepychając się między rozgadanyimi pacjentami, prowadzi Justina do stalowego ekranu, strzeżonego przez dwóch lojalnych Afrykanów w koszulkach z napisem *Medicins Sans Frontiers*. Ekran odsuwa się w bok, Lorbeer daje nura do środka, zdejmując kapelusz i wciąga Justina za sobą. Biała felczerka z trzema pomocnikami za drewnianym kontuarem mieszająco i odmierzają. Wszystko to dzieje się w atmosferze umiarkowanego zagrożenia. Felczerka spostrzega Lorbeera, szybko obrzuca go wzrokiem i uśmiecha się.

- Hej, Brandt. Kim jest twój przystojny przyjaciel? - pyta z dynamicznym szkockim akcentem.

- Helen, poznaj Petera. Jest dziennikarzem i ma zamiar powiedzieć światu, że jesteście bandą leniwych leserów.

- Cześć, Peter.

- Cześć.

- Helen jest pielęgniarką z Glasgow.

Na półkach piętrzą się aż po sufit kolorowe pudła i szklane słoje. Justin patrzy na nie, udaje, że interesuje się nimi ogólnie, ale szuka znajomego czerwono-czarnego pudełka z radosnym logo przedstawiającym trzy pszczołki. Nie znajduje go. Lorbeer usadowił się przed wystawą, znów przyjmując pozę kaznodziei. Felczerka i jej asystenci wymieniają otwarcie uśmiechy. Znowu będzie to samo. Lorbeer unosi fabrycznie pakowany słoje z zielonymi pigułkami.

- Peter - intonuje ponuro. - Teraz pokażę ci drugą twarz Afryki.

Czy on to mówi codziennie? Każdemu gościowi? Czy to jego dzienna dawka skruchy? Czy to samo powiedział Tessie?

- Na Afrykę przypada osiemdziesiąt procent światowej populacji chorych na AIDS. To umiarkowane szacunki. Trzy czwarte z nich nie otrzymuje leków. Musimy za to podziękować spółkom farmaceutycznym i ich słudze, amerykańskiemu departamentowi stanu, który grozi sankcjami każdemu krajowi,

mającemu czelność produkować własną, tanią wersję leków opatentowanych w Stanach. Zapisalesz to sobie?

Justin kiwa uspokajajaco głowa.

- Mów dalej.

- Pigułki z tego słoika kosztują, dwadzieścia dolarów za sztukę w Nairobi, sześć w Nowym Jorku, osiemnaście w Manili. Indie, w najbliższym czasie, mają zamiar rozpocząć produkcję swojej wersji i ta sama pigułka będzie kosztować sześćdziesiąt centów. Tylko mi nie mów o kosztach badań i wdrażania. Chłopcy od farmaceutyki odpisali je sobie dziesięć lat temu, a przede wszystkim dostali od rządu kupę pieniędzy, więc niech nie gadają głupot. To, z czym mamy do czynienia, to amoralny monopol, który utrzymywany jest dzień w dzień kosztem ludzkiego życia.

Orbeer zna swoje eksponaty tak dobrze, że nie musi ich szukać. Odstawia słój na półkę i chwytą wielkie czarno-białe pudło.

- Te sukinsyny sprzedają to lekarstwo już od trzydziestu lat. Na co ono jest? Na malarię. Wiesz, Peter, dlaczego ma trzydzieści lat? Jeśli w Nowym Jorku parę osób zachoruje pewnego dnia na malarię, to sam się przekonasz, jak szybko wymyślą nowe lekarstwo! - Wybrał następne pudło. Jego ręce, tak jak i głos, drżały od nieudawanego oburzenia. - Ta wielkoduszna i filantropijna spółka z New Jersey darowała swój produkt biednym głodującym narodom świata tego. Spółki farmaceutyczne lubią być kochane. Jeśli nikt ich nie kocha, boją się i są nieszczęśliwe.

I niebezpieczne, myśli Justin, ale nie mówi tego na głos.

- A dlaczego firma ofiarowała to lekarstwo? Powiem ci. Bo wyprodukowali lepsze. Stare stanowi zbyt dobry produkt do składowania. Więc dają Afryce stare na pół roku przed upływem daty ważności i zyskują kilka milionów odpisu podatkowego za swoją szczodroliwość. Do tego oszczędzają parę milionów na kosztach magazynowania i kosztach zniszczenia starego lekarstwa, którego nie mogą sprzedać. A jeszcze wszyscy mówią, popatrzcie na nich, jacy fajni z nich faceci. Nawet udziałowcy tak mówią- odwraca pudło i z pogardą spogląda na jego dolną ściankę. - Ta partia towaru spędziła trzy miesiące w składzie celnym w Nairobi, a chłopaki od cel czekały, aż ich ktoś przekupi. Parę lat temu ta sama spółka przysłała do Afryki lekarstwo na porost włosów, lekarstwo na odzwyczajenie się od palenia i na otyłość i zebrała miliony dolarów w postaci ulg podatkowych za filantropię. Te sukinsyny czczą tylko tłustego bożka Zysku i taka jest prawda.

Ale cała moc jego sprawiedliwego gniewu zarezerwowana była dla jego własnych panów - "tych leniwych dupków z organizacji humanitarnych w Genewie, którzy potykają się o wielkie spółki farmaceutyczne za każdym razem, kiedy się na nie natkną".

- Ci faceci mają czelność nazywać swoją działalność humanitarną! - oburza się, a pomocnicy uśmiechają się na dźwięk znienawidzonego przez Tesę słowa na "h". - Mają bezpieczne posadki i nieopodatkowane pensyjki, emerytury, ładne samochody, darmowe szkoły międzynarodowe dla swoich dzieciaków! Podróżują przez cały czas, więc nie mają czasu wydawać swoich pieniędzy. Człowieku, ja ich widziałem! W świetnych szwajcarskich restauracjach, zjadających obfite obiady w towarzystwie ślicznych chłopczków, lobbystów spółek farmaceutycznych. Dlaczegoż mieliby rezygnować? Genewa ma parę miliardów dolarów do wydania? Świetnie! Niech wyda je na wielkie spółki i uszczęśliwi Amerykę!

W ciszy, która nastąpiła po tym wybuchu, Justin zaryzykował pytanie.

- Brandt, a jak to się stało, że ich widziałeś?

Głowy uniosły się. Wszystkie, poza głową Justina. Widać nikt wcześniej nie ośmielił się podać w wątpliwość słów proroka. Czerwonawe oczka Lorbeera powiększyły się. Zmarszczka bólu zarysowała się na jego spalonym słońcem czole.

- Widziałem ich, człowieku, mówię ci. Na własne oczy.

- Nie wątpię, że ich widziałeś. Ale moi czytelnicy mogą w to wątpić. Będą zadawać sobie pytanie: "Co robił tam Brandt?" Byłeś w ONZ? Jadłeś w ich restauracji? - śmieszek podkreślił nieprawdopodobieństwo takiej sytuacji. - A może pracowałeś dla Sił Ciemności?

Czy Lorbeer wyczuwa obecność wroga? Czy Siły Ciemności nie brzmią dla niego groźnie i znajomo? Czy niejasna postać ze szpitala zaczyna mu się kojarzyć z Justinem? Jego twarz przybiera żalospny wyraz. Dziecięce rysy znikają, zostaje stary, zraniony człowiek bez kapelusza. Nie rób mi tego, mówi jego twarz. Jesteś moim kumplem. Ale rzetelny dziennikarz jest zbyt zajęty robieniem notatek, żeby zwracać na to uwagę.

- Jeśli chcesz zwrócić się do Boga, najpierw musisz zgrzeszyć - mówi chrypliwie Lorbeer. - Człowieku, każdy tutaj nawrócił się dzięki Bożej litości, wierz mi.

Ale wyraz urazy nie opuszcza jego twarzy. Ani wyraz niepokoju. Opadły go jak przecucie złych nowin, których nie chce się przyjąć do wiadomości. Gdy wracają przez pas startowy, ostentacyjnie wybiera towarzystwo Arthura Komisarza. Idą w stylu Dinka, ręka w rękę, wielki Lorbeer w kapeluszu i Arthur - wychudzony strach na wróble w czapeczce z napisem "Paris".

Drewniana palisada z drewnianą barierą pełniącą funkcje bramy wyznaczała granice domeny Brandta i jego asystentów. Dzieci zostały w tyle. Tylko Arthur i Lorbeer towarzyszą wybitnemu gościowi podczas obowiązkowego

obchodu po pomieszczeniach obozu. Budka z wiadrem, do którego przymocowany był sznurek, stanowi zaimprovizowany prysznic. Do zbiornika na wodę deszczową podłączona jest pompa pamiętająca epokę kamienia, napędzana przez równie prastary generator. Wszystko to wynalazł wielki Brandt.

- Pewnego dnia opatentuję to! - zaklina się, mrugając przesadnie, a Arthur posłusznie rewanżuje mu się mrugnięciem.

Paleta baterii słonecznych leży aa ziemi pośrodku ogrodzenia dla kurcząt. Kurczęta używają jej jako trampoliny.

- Oświetla całe obejście energią zebraną za dnia! - pyszni się Lorbeer. Ale z jego monologu uszedł już cały zapal.

Latryny znajdują się pod palisadą. Jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet. Lorbeer wali w drzwi latryny dla mężczyzn, otwiera je na oścież i pokazuje cuchnącą dziurę w ziemi.

- Te muchy tutaj uodporniły się na wszelkie nasze środki dezynfekujące - narzeka.

- Wieloodporne muchy? - podsuwa mu Justin z uśmiechem, a Lorbeer patrzy na niego dziko i wreszcie sam zdobywa się na pełen bólu uśmiech.

Idą przez obejście, zatrzymują się, by spojrzeć na świeżo wykopany grób - trzy metry na metr. Rodzinka zielonych i żółtych węży leży zwinięta ciasno na dnie.

- To nasz schron przeciwlotniczy. A te obozowe węże kąsają gorzej od odłamków - narzeka Lorbeer, protestując przeciwko okrucieństwom natury.

Justin nie reaguje na żart, więc Lorbeer szuka wzrokiem Arthura. Ale Arthur wrócił już do swoich. Lorbeer, jak człowiek spragniony przyjaźni, otacza ramieniem Justina i tak idą w stronę centralnie położonego tukulu.

- Teraz musisz spróbować naszego gulaszu z koziego mięsa - stwierdza stanowczo. - Ten stary kucharz przyrządza go lepiej niż w genewskich restauracjach! Słuchaj, Peter, jesteś porządny gość! Jesteś moim przyjacielem!

“Kogo tam widzisz pośród węży? - pyta Lorbeer. Czy znowu Wanę? A może to zimna ręka Tessy wyłania się z grobu i dotyka cię?”

Podłoga tukulu liczy w poprzek może cztery metry. Stół rodzinny zбитy jest z desek. Za siedzenia służą skrzynki z piwem i olejem jadalnym. Hałaśliwy wentylator elektryczny kręci się beużytecznie pod strzechą z sitowia, powietrze cuchnie soją i środkiem owadobójczym. Krzesło jest tylko dla Lorbeera, głowy rodziny, stoi przed radiostacją spoczywającą na szafce kuchennej pod parasolem londyńskiego bukmachera, obok gazowego piecyka. Lorbeer siedzi na nim prosto, nie zdejmując kapelusza, po jednej stronie

ma Justina, po drugiej - Jamie, której, jak się zdaje, to miejsce przynależy się z prawa. Z drugiej strony Justina siedzi młody lekarz z Florencji, uczesany w kucyk, dalej szkocka Helen z apteki, a naprzeciwko Helen nigeryjska pielęgniarka Salvation.

Inni członkowie wielkiej rodziny Lorbeera nie mają czasu na odpocznik. Nakładają sobie gulasz i jedzą na stojąco, albo przysiadają na chwilę, żeby przelknąć i wychodzą. Lorbeer żarłocznie rzuca się na gulasz, rozgląda się wokół, je i gada, gada. Chociaż od czasu do czasu zwraca się do jakiegoś konkretnego słuchacza, nikt nie ma wątpliwości, że głównym odbiorcą jego mądrości jest dziennikarz z Londynu. Głównym tematem wypowiedzi Lorbeera jest wojna. Nie walki plemienne szalejące wokół, ale "ta wielka, przekłeta wojna" szalejąca na polach naftowych Bentiu, na północy, która przesuwa się z dnia na dzień coraz bliżej południa.

- Te sukinsyny z Chartumu wysyłają tu czołgi i kanonierki, Peter. Rozszarpują na kawałki biednych Afrykanów. Jeśli bombardowania nie zrobią swego, to mają oddziały lądowe, które przychodzą i kończą dzieło, nie ma problemu. Żołnierze gwałcą i mordują wedle tego, co serce im podpowie. A kto im pomaga? Kto klaszcze z linii bocznej? Międzynarodowe korporacje naftowe!

Jego oburzony głos panuje nad słuchaczami. Rozmowa w jego obecności odbywa się na zasadzie - polemizuj albo giń. I większość ginie.

- Te korporacje uwielbiają Chartum, człowieku! "Chłopaki", mówią, "respektujemy wasz wspaniały fundamentalizm. Parę publicznie wykonanych kar chłosty, parę odciętych rąk - uwielbiamy to. Chcemy wam pomóc. Możecie korzystać do woli z naszych dróg i lotnisk. Tylko nie pozwólcie, żeby te leniwe afrykańskie dupki stanęły na drodze wielkiego bożka Zysku! Chcemy, żebyście zrobili czystkę etniczną i wymietli Afrykanów, pragniemy tego równie mocno jak wy, tam w Chartumie! Więc damy wam chłopaki, trochę dochodów z ropy naftowej. Idźcie i kupcie sobie jeszcze więcej dział!" - Słyszałaś to, Salvation? Zapisaleś to Peter?

- Słowo w słowo, dziękuję - mówi Justin do swojego notesu.

- Korporacje to uczniowie diabła, mówię ci, człowieku! Pewnego dnia skończą w piekle, gdzie jest ich miejsce i lepiej, żeby w to uwierzyli! - Kuli się teatralnie, wielkimi rękami zasłania twarz. Gra rolę Człowieka Korporacji stającego twarzą w twarz ze Stwórcą w Dzień Sądu. - "To nie ja, Panie. Ja tylko wykonywałem rozkazy. Dowodził mną wielki bożek Zysk!". Oto Człowiek Korporacji, ten, który uzależnia was od papierosów, a potem sprzedaje lekarstwo na raka, za które nie macie czym zapłacić!

Nam też sprzedaje lekarstwa. Pomija testy kliniczne i używa pokrzywdzonych świata tego jako królików doświadczalnych.

- Chcesz kawy?
- Proszę. Dziękuję.

Lorbeer wyskakuje z miejsca, chwyta kubek po zupie Justina i płucze go gorącą wodą z termosu, żeby potem napelnić go kawą. Koszula przyłgnęła mu do pleców, ukazując zwały trzęsącego się tłuszczu. Ale nie przestaje gadać. Boi się ciszy.

- Peter, czy chłopcy w Loki opowiedzieli ci o pociągu? - porykuje, wycierając kubek kawałkiem materiału, wyłowionym z torby na śmieci stojącej obok niego. - O tym cholernym pociągu, który trzy razy do roku jedzie w spacerowym tempie na południe?

- Nie.

- Jedzie po starym torze, który położyliście wy, Brytyjczycy. Jak w starym filmie. Chronią go jeźdźcy z północy. Ten stary pociąg wiezie zapasy i uzupełnienia do wszystkich chartumskich garnizonów po drodze z północy na południe.

“Dlaczego on się tak poci? Dlaczego ma takie nawiedzone i rozbiegane oczy? Czy ten pociąg ma jakiś związek z jego grzechami?”

- Ten pociąg! Utknął teraz pomiędzy Ariath a Aweil, o dwa dni marszu stąd. Módlmy się, żeby rzeki nie opadły, to może wtedy te sukinsyny nie przyjadą do nas. Sądry dzień panuje wszędzie, gdzie się pojawia. Mówię ci. Zabijają wszystkich. Nikt nie jest w stanie ich zatrzymać. Są za silni.

- O jakich sukinsynach mówisz? - pyta Justin, zapisując coś w notesie. - Straciłem wątek.

- Jeźdźcy z północy są tymi sukinsynami! Myślisz, że im się płaci za ochronę pociągu? Nie, człowieku, ani grosza. Robią to za darmo, z dobroci serca! W nagrodę mogą zabijać i gwałcić w wioskach położonych po drodze. W nagrodę mogą podkładać pod nie ogień. Porywać młodych chłopców i dziewczęta i zabierać ich na północ, kiedy pociąg jest już pusty! Kraść wszystko, czego nie spalą!

- Aha. Rozumiem.

Ale pociąg nie wystarczył Lorbeerowi. Grozi mu teraz cisza, i pytania, na które nie chce odpowiadać. Nawiedzone oczy już szukają dalszego ciągu.

- A mówili ci o samolocie? Rosyjskiej produkcji, starszym od arki Noego, który trzymają w Jubie? Człowieku, ta sama historia!

- Nie powiedzieli mi ani o pociągu, ani o samolocie. Jak już mówiłem, nie było czasu, żeby wszystko opowiedzieć.

Justin znów czeka, z piórem gotowym do pracy, na opowieść o starym samolocie rosyjskiej produkcji, który trzymają w Jubie.

- Ci wściekli muzułmanie z Juby robią bomby jak armatnie kule. Biorą je, przyczepiają pod kadłubem i zrzucają chrześcijańskie wioski! “Proszę

bardzo, chrześcijanie! Oto liścik miłosny od waszych mużułmańskich braci!". A te bomby własnej produkcji są bardzo skuteczne, Peter. Chłopaki opanowały sztukę dokładnego namierzenia celu. W dodatku bomby są tak niestabilne, że załoga zrobi wszystko, żeby się ich pozbyć, zanim znów wylądują w Jubie!

Radiostacja spod bukmacherskiego parasola ogłasza przybycie następnego samolotu. Najpierw dochodzi lakoniczny głos z Loki, potem kapitana / samolotu. Proszą o nawiązanie kontaktu. Jamie, przykucnięta przy aparacie, raportuje, że pogoda dobra, grunt twardy i nie ma problemów z bezpieczeństwem. Biesiadnicy pośpiesznie odchodzą, ale Lorbeer zostaje na miejscu. Justin z trzaskiem zamyka notatnik i śledzony wzrokiem rozmówcy wkłada go do kieszeni koszuli, razem z piórami i okularami do czytania.

- Gulasz był wyśmienity. Mam jeszcze kilka pytań, jeśli pozwolisz. Czy moglibyśmy usiąść gdzieś na godzinę, żeby nam nie przerywano?

Lorbeer, jak człowiek idący na szafot, prowadzi Justina przez zdeptaną łączkę usianą namiotami i linkami do suszenia bielizny.

Namiot w kształcie dzwonu stoi w pewnej odległości od pozostałych. Lorbeer, z kapeluszem w rękę, podnosi brezent i ze szkaradnym, służalczym uśmiechem puszcza Justina przodem.

24

Powietrze w namiocie jest gryzące, skondensowane i bardzo gorące, czuć zapach zgniłej trawy i stęchłych ubrań, którym żadne pranie nie przywróci świeżości. Jest tam jedno drewniane krzesło, ale żeby można było na nim usiąść, Lorbeer musi z siedzenia usunąć luteriańską Biblię, tom poezji Heinego, pizamę frotee przypominającą śpioszki i plecak ratunkowy obserwatora do spraw żywności z radiostacją i wystającą anteną. Dopiero wtedy może poprosić Justina, żeby usiadł, a sam przykuca na brzegu wąskiego łóżka polowego, dziesięć centymetrów nad ziemią, podtrzymuje rękami rudą głowę, faluje mokrym grzbietem i czeka, aż Justin zacznie mówić.

- Moja gazeta zainteresowana jest kontrowersyjnym lekiem przeciwgruźliczym noszącym nazwę dypraxa - wytwarzanym przez Karel Vita Hudson i rozprowadzanym w Afryce przez firmę ThreeBees. Jak widzę, nie macie jej w swojej aptece. Moja gazeta uważa, że naprawdę nazywa się pan Markus Lorbeer i że to pan jest tą dobrą wróżką, która wprowadziła lekarstwo na rynek - wyjaśnia Justin, otwierając ponownie notatnik.

Lorbeer ani drgnie. Mokry grzbi et, rudozłota głowa, mokre, obwisłe ramiona w bezruchu, po szoku wywołanym słowami Justina.

- Coraz głośniejszy jest o działaniach ubocznych dypraxy, o czym pan, jestem pewien, doskonale wie. - Justin przewraca kartkę i sprawdza w notatkach. - KVH i ThreeBees nie mogą wiecznie utrzymywać tajemnicy. Może zechce pan powiedzieć parę słów?

Pot leje się z nich ciurkiem, z dwóch ofiar tej samej choroby. Upała w namiocie jest usypiająca, Justin boi się, że się poddadzą i zapadną w śpiączkę, jeden obok drugiego. Lorbeer zaczyna krążyć po namiocie. Tak jak ja, kiedy byłem zamknięty w pokoju gościnnym, myśli Justin, patrząc, jak jego więzień zatrzymuje się i spogląda w cynowe lustro, albo staje przed drewnianym krzyżem przypiętym do płótna namiotu nad wezgłowiem łóżka.

- Dobry Boże, człowieku. Jak, u diabła, mnie znalazłeś?

- Porozmawiałem z ludźmi. Miałem trochę szczęścia.

- Nie opowiadaj głupot. Jakie tam szczęście. Kto ci płaci?

I znów zaczyna krążyć. Potrząsa głową, żeby strącić kropelki potu. Obraca się nagle, jakby spodziewał się, że Justin idzie za nim. Patrzy na niego podejrzliwie, z wyrzutem.

- Jestem wolnym strzelcem - mówi Justin.

- Jak wszyscy diabli! Kupowałem dziennikarzy, takich jak ty! Znam wszystkie wasze sztuczki! Kto ciebie kupił?

- Nikt.

- KVH? Curtiss? Robiłem dla nich pieniądze, na litość boską!

- A oni robili pieniądze dla ciebie, prawda? Według mojej gazety jesteś właścicielem jednej trzeciej z czterdziestu dziewięciu procent spółki, która opatentowała cząsteczkę dypraxy.

- Zrzekłem się tego, człowieku. Lara też. To były krwawe pieniądze. "Weźcie to", powiedziałem. "To wasze. I niech Bóg ma was w swojej opiece w Dniu Sądu". To były moje słowa, rzuciłem im je w twarz, Peter.

- Komu to powiedziałeś? - pyta Justin, notując. - Curtissowi? Komuś z KVH? - Twarz Lorbeera zamienia się w maskę przerażenia. - A może Crickowi. A tak. Rozumiem. Crick był twoim łącznikiem z ThreeBees.

I zapisuje w notatniku: Crick, litera po literze, bo rękę ma ocieżyła od gorąca.

- Ale dypraxa nie była złym lekarstwem, prawda? Moja gazeta uważa, że to dobre lekarstwo, które za szybko wprowadzono do sprzedaży.

- Za szybko? - To słowo wywołuje w nim gorzką ironię. - Szybko? Chłopaki z KVH chcieli mieć wyniki testów przed śniadaniem.

Wielki wybuch sprawia, że świat się zatrzymuje. Najpierw rosyjskiej produkcji thartumski bombowiec z Juby zrzuca jedną ze swoich bomb.

Potem szarżują jeźdźcy z północy. Potem zażarta bitwa o pola naftowe Benku dociera do bram stacji żywnościowej. Namiot trzęsie się, zapada, napięta. Naciągi wykręcają się i jęczą, a na płótno spadają hektolitry wody. Ale Lorbeer jakby nie zauważył tego szturmu. Stoi pośrodku namiotu, zjedną ręką przyciśniętą do czoła, jakby o czymś zapomniał. Justin podnosi klapę i przez strugi deszczu widzi, że trzy namioty się zapadły, a trzy inne zapadają się na jego oczach. Woda ścieka z prania rozwieszzonego na sznurach. Na trawie powstało jeziorzko, które wznosi się i naciera na drewniane ściany tukulu. Kapryśne fale uderzają w trzcinowy dach schronu. Nagle wszystko cichnie, równie niespodziewanie, jak się zaczęło.

- A więc, Markusie - mówi Justin, jakby burza oczyściła powietrze nie tylko na zewnątrz. - Opowiedz mi o dziewczynie z plemienia Wanza. Czy stanowała punkt zwrotny w twoim życiu? Moja gazeta uważa, że tak.

Lorbeer nie spuszcza wylupiastych oczu z Justina. Usiłuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

- Wanza z wioski na północ od Nairobi. Wanza, która przeprowadziła się do Kibery. A potem zabrano ją do szpitala Uhuru, żeby tam urodziła dziecko. Umarła, ale dziecko przeżyło. Według mojej gazety leżała w tej samej sali, co Tessa Quayle. Czy to możliwe? Albo Tessa Abbott, bo czasem używała tego nazwiska.

Głos Justina jest równy i beznamiętny, jak przystało na reportera. A ta beznamiętność nie jest udawana, bo Justin nie lubi sytuacji, gdy ktoś jest zdany na jego łaskę. Nie gustuje w przyjmowaniu na siebie takiej odpowiedzialności. Ma zbyt słabo rozwinięty instynkt zemsty. Samolot przelatuje nad głowami, kierując się do strefy zrzutu. Lorbeer unosi do góry oczy ze słabą nadzieją. Przybyli, żeby mnie uratować! Nie, nie po to. Przybyli, żeby uratować Sudan.

- Kim jesteś, człowieku?

Wiele odwagi kosztowało go wypowiedzenie tych słów. Ale Justin zignorował je.

- Wanza umarła. Tessa też. I Arnold Bluhm, belgijski pracownik organizacji humanitarnych, lekarz i jej dobry przyjaciel. Moja gazeta uważa, że Tessa i Arnold pojawili się tutaj, żeby porozmawiać z tobą na kilka dni przed tym, jak zostali zabici. Moja gazeta uważa również, że poczyniłeś im pewne zwierzenia na temat dypraxy i - to, oczywiście, tylko przypuszczenie - kiedy tylko stąd odjechali, zdradziłeś ich swoim byłym pracodawcom, żeby się chronić. Może nadałeś wiadomość drogą radiową do twojego przyjaciela, pana Cricka? I co, przypominasz sobie?

- Jezu Chryste.

Markus Lorbeer płonie na stosie. Otacza obu ramionami centralny maszt namiotu, przyciska do niego głowę, jakby chciał się schronić przed gradem

pytań, zadawanych przez Justina. W śmiertelnej męce wzniósł głowę ku niebu, jego usta poruszają się bezdźwięcznie. Justin wstaje, podnosi krzesło i stawia je obok Lorbeera, potem bierze go za ramiona i sadza na nim.

- Czego szukali tutaj Tessa i Arnold? - pyta. Nadal formułuje pytania z zamierzoną swobodą. Nie życzy sobie dalszych zwierzeń, pełnych szlochów i apeli do Boga.

- Szukali mojej winy, człowieku, mojej haniebną historią, mego grzechu pychy - szeptem Lorbeer, ocierając twarz kawałkiem szmaty wyciągniętej z kieszeni szortów.

- I znaleźli coś?

- Wszystko. Co do joty. Przysięgam.

- Mieli magnetofon?

- Dwa! Ta kobieta nie ufała jednemu! - Uśmiechając się do siebie w duchu, Justin rozpoznaje prawniczą żyłkę Tessy. - Poniżyłem się wobec nich całkowicie. Przedstawiłem im nagą prawdę w obliczu Pana. Nie było wyjścia. Stanowiłem ostatnie ogniwo w łańcuchu ich poszukiwań.

- Czy powiedzieli, co mają zamiar zrobić z informacjami, które im przekazałeś?

Lorbeer otworzył szeroko oczy, ale usta miał zamknięte, a ciało tak mu znieruchomiło, że przez sekundę Justin myślał, iż jego rozmówca zmarł łaskawą śmiercią, ale on tylko sobie przypominał. Nagle zaczyna mówić bardzo głośno, słowa przypominają krzyk, jakby chciał jak najszybciej się ich pozbyć.

- Chcieli to przedstawić jednemu człowiekowi w Kenii, któremu ufali. Chcieli zabrać to wszystko do Leakeya. Kenia sama powinna rozwiązywać kenijskie problemy. Tak uważali. Ostrzegli mnie. Ona mnie ostrzegła. "Markus, człowieku, lepiej się ukryj. To miejsce nie jest już dla ciebie bezpieczne. Musisz sobie znaleźć głębszą dziurę albo zabiją cię, rozszarpną na sztuki za to, żeś ich nam wydał".

Justinowi ciężko idzie odtwarzanie prawdziwych słów Tessy na podstawie zduszonego głosu Lorbeera, ale stara się, jak może. Ale sens tego, co najprawdopodobniej powiedziała jest czytelny, bo Tessa najpierw troszczyła się o Lorbeera, a potem o siebie. A "rozszarpną cię na sztuki" było bez wątpienia jej wyrażeniem.

- Co ci Bluhm powiedział?

- Miał rację, człowieku. Powiedział mi, że jestem szarlatanem i zdradziłem pokładane we mnie zaufanie.

- I to, oczywiście, pomogło ci go zdradzić - podpowiada uprzejmie Justin, ale uprzejmość idzie na marne, bo Lorbeer szlocha bardziej nawet niż Woodrow— z wyciem, poniżaniem się, szlochom, który może doprowadzić

do s/ału, prosi o łagodny wyrok. To lekarstwo nie zasługuje na to, żeby zostać publicznie potępione! Jeszcze parę lat i znajdzie się wśród wielkich medycznych odkryć naszych czasów! Musimy tylko zbadać górny poziom toksyczności, kontrolować wchłanianie lekarstwa przez pacjenta. Już nad tym pracują! Zanim rzecz wejdzie na rynek amerykański, wszystkie błędy znikną, nie ma problemu! Lorbeer kocha Afrykę, kocha całą ludzkość, jest dobrym człowiekiem, nie po to się narodził, żeby dźwigać brzemień winy! A kiedy tak błaga, jęczy i szaleje, jakoś udaje mu się podnieść. Siada prosto. Ściąga łopatki, a uśmiezek wyższości zastępuje skruchę grzesznika.

- A ich moralność? - zaczyna poważnie, jakby przemawiał. - Spójrz na ich moralność. O czyich to grzechach mówimy, sam siebie pytam.

- Nie jestem pewien, czy cię dobrze rozumiem - mówi łagodnie Justin, a w jego głowie zaczyna formować się zasłona bezpieczeństwa, oddzielająca go od Lorbeera.

- Czytaj gazety. Słuchaj radia. Zastanów się sam i powiedz mi, po co ta śliczna biała mężatka podróżowała z przystojnym czarnym lekarzem, który jej nie odstępował? Jak to jest, że używała panińskiego nazwiska, a nie nazwiska męża? Dlaczego beczelnie afiszowała się ze swoim kochankiem w tym namiocie? I ta cudzołożnica, i hipokrytka ma czelność kwestionować moralność Markusa Lorbeera?

Ale zasłona bezpieczeństwa musiała jakoś się rozsunąć, bo Lorbeer gapi się na Justina, jakby zobaczył anioła śmierci wzywającego go na sąd, którego tak się boi.

- Jezu Chryste, to ty jesteś Quayle. Jej mąż.

Ostatni zrzut żywności sprawił, że wewnątrz palisady opustoszało. Justin zostawił płaczącego Lorbeera w namiocie i usiadł na górcie obok schronu, żeby obejrzeć wieczorne widowisko: najpierw czarne jak smoła czaple nurkują i krążą, zapowiadając zmierzch. Potem błyskawica przerzyna zmrok długą drżącą salwą, a potem wilgoć unosi się jak biały welon. A wreszcie gwiazdy, tak bliskie, że można ich dotknąć.

25

ladomość wyszła z Whitehall i z Westminsteru w formie precyzyjnie wycelowanej plotki; wyszła z łatwo wpadających w ucho sformułowań

i zwodniczych obrazów w telewizji; wyszła z jałowych umysłów dziennikarzy, których rzetelność zawodowa sięgała najwyżej najbliższego nieprzekraczalnego terminu oddania materiału i najbliższego proszonego obiadku - i w postaci nowego rozdziału została, dodana do historii aiważnych spraw ludzkości.

Formalne awansowanie *en poste* — wbrew ustalonej praktyce - pana Alexandra Woodrowa na stanowisko Wysokiego Komisarza rozeszło się po całym białym Nairobi i zostało przyjęte z cichą satysfakcją. Z sympatią zauważyła to również prasa afrykańska. "Cicha siła wyrozumiałości", głosił tytuł na trzeciej kolumnie nairobiańskiego "Standarda", a o Glorii napisano, że jest "powiewem świeżego powietrza, które rozwiewa ostatnie strzępki pajęczyny brytyjskiego kolonializmu".

O nagłym zniknięciu Petera Coleridge'a w katakumbach Whitehall niewiele było mowy, ale wiele sugestii. Poprzednik Woodrowa na urzędzie "stracił kontakt z nowoczesną Kenią". "Wrogo nastawił do siebie ciężko pracujących kenijskich ministrów gładzeniem o korupcji". Były nawet sugestie - sprytnie ich nie podkreślano - że sam dał się uwieść złu, które tak potępiał.

Pogłoski, że Coleridge został "postawiony przed komisją dyscyplinarną Whitehall" i poproszony, żeby wyjaśnił "pewne kłopotliwe kwestie, które narosły podczas pełnienia przez niego urzędu", zostały odrzucone przez rzecznika Wysokiej Komisji, który sam był źródłem tych plotek jako jałowe spekulacje, ale nie zaprzeczono im wprost.

- Porter był świetnym naukowcem i człowiekiem wyznającym najwyższe zasady. Byłoby niesprawiedliwością zaprzeczanie jego licznym zaletom - poinformował Mildren godnych zaufania dziennikarzy podczas nieformalnej stypy po byłym szefie, a ci posłusznie odczytali informację zawartą między wierszami.

"Afrykański król z MSZ, sir Bernard Pellegrin", jak dowiedziała się niezbyt tym zainteresowana publiczność, "przeszedł na wcześniejszą emeryturę, żeby objąć wyższe stanowisko menedżerskie w międzynarodowym gigancie farmaceutycznym Karel Vita Hudson z Bazylei, Vancouver i Seattle, a teraz także z Londynu". Dzięki jego "legendarnym umiejętnościom organizacyjnym", firma będzie działać jeszcze skuteczniej. Na bankiet pożegnalny z okazji odejścia Pellegrina przybyło świetne grono wysokich komisarzy z Afryki przy dworze Św. Jakuba z małżonkami. Delegat z Afryki Południowej w dowcipnej mowie zauważył, że sir Bernard i jego lady może nie podobiliby kortów Wimbledonu, ale z pewnością podbili serca wielu Afrykanów.

Po spektakularnym wskrzeszeniu z popiołów, "nasz współczesny bankowy Houdini", Kenneth Curtiss został ciepło przyjęty zarówno przez swoich przyjaciół, jak i wrogów. Tylko nieliczne Kassandry utrzymywały, że

w/lot Kenny'ego był czysto optyczny, że rozpad firmy ThreeBees jest nieunikniony i że to rozbój w biały dzień. Ale złe języki nie zaszkodziły promowaniu wielkiego populisty do Izby Lordów. Upierał się, żeby jego tytuł brzmiał: lord Curtiss z Nairobi i Spennymoor. To ostatnie było mieścina, w której się urodził. Nawet jego liczni krytycy z Fleet Street musieli przyznać, choćby z drwiną, że staremu diabłu do twarzy jest w gronostajach.

Kronika londyńska "Evening Standard" dworowała sobie z długo oczekiwanego przejścia w stan spoczynku starego Franka Gridleya, superintendenta Scotland Yardu, nieprzekupnego bicia na przestępców, "któremu londyński margines przestępczy nadał czułe przezwisko Stary Ruszt". W rzeczywistości emerytura była ostatnią rzeczą, na jaką zdecydowałby się Gridley. Jedną z wiodących spółek ochroniarskich w Wielkiej Brytanii przyjęła go z otwartymi rękami, ledwie wyjechał z żoną na długo odkładane wakacje na Majorce.

Odejście Roba i Lesley z policji w ogóle nie przyciągnęło uwagi publiczności, chociaż ludzie zorientowani odnotowali, że jednym z ostatnich posunięć Gridleya przed odejściem było wywarcie nacisku, żeby usunąć to, co określił "nowym typem pozbawionych skrupułów karierowiczów", szkodzących dobremu imieniu Służby.

Ghicie Pearson, jeszcze jednej niedoszłej karierowiczce, nie powiodło się i nie uzyskała stałej pracy w brytyjskiej służbie zagranicznej. Chociaż na egzaminach uzyskała oceny dobre i bardzo dobre, to poufne raporty z nairobińskiej Wysokiej Komisji dawały powody do niepokoju. Departament kadr orzekł, że "zbyt łatwo daje się powodować osobistymi uczuciami" i poradził jej, żeby poczekała jeszcze parę lat i starała się ponownie o przyjęcie. Podkreślono, że jej pochodzenie rasowe nie wpłynęło w najmniejszym stopniu na tę decyzję.

Los nieszczęsnego Justina Quayle'a nie był zagadką. Oszalały ze smutku i rozpaczony odebrał sobie życie dokładnie w tym samym miejscu, w którym zaledwie kilka tygodni wcześniej została zamordowana jego żona Tessa. Dla tych, których opiece go powierzono, tajemnicą poliszynela było, że w błyskawicznym tempie utracił równowagę umysłu. Jego londyńscy pracodawcy byli-nawet skłonni zamknąć go, żeby obronić go przed nim samym. Wiadomość, że jego zaufany przyjaciel Arnold Bluhm był zarazem mordercą jego żony, zadała mu ostateczny cios. Ślady systematycznego bicia na brzuchu i w dolnych partiach ciała opowiedziały tragiczną historię wąskiemu gronu wtajemniczonych: w dniach poprzedzających samobójstwo Quayle poddawał się samobiczowaniu. Jak zdobył fatalną broń - krótkolufy pistolet kalibru trzydzieści osiem w doskonałym stanie, w sam raz dla samobójców, z pięcioma nabojami w magazynku - pozostało tajemnicą nie do rozwiązania. Bogaty, zdesperowany mężczyzna, który dąży do samozagłady,

na pewno znajdzie jakiś sposób. Prasa odnotowała z aprobatą, że miejscem jego ostatniego spoczynku stał się cmentarz Langata, gdzie połączył się z żoną i dzieckiem.

Rząd angielski, wiecznotrwała instytucja, stanowiąca pole popisu ulotnych jak jętki polityków, raz jeszcze wrypełnił swój obowiązek: z wyjątkiem jednego, ale irytującego szczegółu. Justin prawdopodobnie spędził ostatnie tygodnie życia na kompletowaniu "czarnego dossier", żeby udowodnić, że Tessa i Bluhm zostali zamordowani, bo wiedzieli za dużo o podejrzanych interesach jednej z najznakomitszych w świecie korporacji farmaceutycznych, której jak dotąd udało się pozostać w cieniu. Znalazł się jednak jakiś zarzućmiały adwokat włoskiego pochodzenia - na dodatek krewny zmarłej - i szczodłą ręką, korzystając z pieniędzy zmarłego klienta, podjął się roli zawodowego wichrzyciela, ukrywając się pod maską działacza społecznego. Tenże nieszczęsny adwokacina wszedł w alians ze znaną z pieniactwa firmą adwokacką z City. Firma prawnicza Oakey, Oakey & Farmeloe, reprezentując pozostającą w cieniu spółkę, zakwestionowała fakt, że korzysta w tym celu z pieniędzy klienta, ale poniosła porażkę. Musiała się zadowolić rozsyłaniem pozwów przeciwko gazetom, które ośmieliły się podjąć temat.

Niektóre gazety zajęły się jednak sprawą i nie udało się uciszyć pogłossek. Scotland Yard, wezwany, aby ocenić materiał, określił go jako "bezpodstawny i nieco smutny" i odmówił przekazania sprawy królewskiej prokuraturze. Ale prawnicy zmarłego małżeństwa, dalecy od przyznania się do porażki, przekazali sprawę parlamentowi. Pewien szkocki parlamentarzysta, także prawnik, został skaptowany i zgłosił niewinną interpelację do ministra spraw zagranicznych w sprawie stanu zdrowotności na kontynencie afrykańskim *sensu largo*. Minister z właściwym sobie wdziękiem zbagatelizował sprawę i wtedy okazało się, że musi walczyć o przetrwanie.

Pyt.: Czy minister spraw zagranicznych wie o jakimś zażaleniu na piśmie, które w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zostało przesłane do jego resortu przez zmarłą w tragicznych okolicznościach panią Tessę Quayle?

Odp.: Proszę o czas na udzielenie odpowiedzi.

Pyt.: Czy to znaczy "nie"?

Odp.: Nie wiem nic o takich skargach, które wpłynęły za jej życia.

Pyt.: Czyżby napisała do pana pośmiertnie? (śmiech).

Nastąpiła potem ustna i pisemna wymiana opinii. Minister z początku zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o tym dokumencie, potem twierdził, że jest on w dyspozycji wymiaru sprawiedliwości. A po "dalszych, zakrojonych na szeroką skalę i kosztownych poszukiwaniach" przyznał wreszcie, że "odkrył" te

dokumenty i że zostały one potraktowane tak, jak na to zasługiwały, zarówno wtedy, jak i obecnie, a to "w związku z zaburzeniami umysłowymi osoby, która je sporządziła". Nieroztropnie dodał, że dokumenty utajniono.

Pyt.: Czy Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwykło utajniać dokumenty autorstwa osób zaburzonych umysłowo? (śmiejąc)

Odp.: Tak, o ile mogą postawić w kłopotliwej sytuacji niewinne osoby trzecie.

Pyt.: Albo samo Ministerstwo?

Odp.: Mam na myśli niepotrzebne sprawianie bólu bliskim osoby zmarłej.

Pyt.: Pani Ouayle nie ma bliskich krewnych.

Odp.: Nie tylko te interesy muszę uwzględniać.

Pyt.: Dziękuję. Myślę, że usłyszałem odpowiedź, na którą czekałem.

Następnego dnia Ministerstwo Spraw Zagranicznych otrzymało oficjalny wniosek o wydanie papierów Quayle'a. Wniosek poparty był pismem skierowanym do trybunału. Równocześnie, i z pewnością nie przypadkiem, podobną inicjatywę podjęli w Brukseli prawnicy występujący w imieniu przyjaciół i rodziny zmarłego doktora Arnolda Bluhma. Podczas wstępnych przesłuchań wielorasowy tłum zadymiarzy przybrany w symboliczne białe kitle, filmowany przez telewizję, paradował przed brukselskim Pałacem Sprawiedliwości, wymachując transparentami z napisem: „*Jlous accusons*”. Z tą niedogodnością szybko się uporano. Seria pozwów wystosowanych przez belgijskich prawników sprawiła, że sprawa będzie się ciągnąć latami. Do opinii publicznej trafiło, że korporacja, o której tyle się mówi, to ni mniej, ni więcej tylko Karel Vita Hudson.

- O, tam jest łańcuch Lokomorinyang - poinformował kapitan McKenzie przez interkom. - Złoto i ropa. Kenia i Sudan toczą o to wojny od dobrych stu lat. Stare mapy przyznają to Sudanowi, nowe - Kenii. Myślę, że ktoś musiał posmarować łapę kartografowi.

Kapitan McKenzie należał do tych taktownych ludzi, którzy wiedzą, kiedy można robić nieistotne uwagi. Tym razem samolot, który pilotował, był to dwusilnikowy beech baron. Justin siedział obok niego na miejscu drugiego pilota, słuchał, nie słysząc, a to kapitana, a to żartów innych pilotów siedzących obok.

- Jak tam dzisiaj, Mac? Jesteśmy pod chmurami czy nad? A ty w ogóle wiesz, dokąd lecisz? Mila na prawo od ciebie i tysiąc stóp pod tobą. Co z twoim wzrokiem?

Lecieli nad płaskimi, brązowymi głazami. Ściemniało się, kolor skał przechodził w niebieski. Było pochmurno. Jaskrawe czerwone plamy pojawiały

się na ziemi w miejscach, gdzie słońce przebiło się przez chmury. Z przodu ukazały się poszarpane, nierówne podnóże pagórków. Między nimi, jak żyła pomiędzy mięśniami, przebiegała droga.

- Z Kapsztadu do Kairu - powiedział lakonicznie McKenzie. - Nie próbuj tędy jeździć.

- Nie będę - odparł posłusznie Justin.

McKenzie nachylił samolot na skrzydło i obniżył lot, i eciał teraz wzdłuż drogi, która wkrótce weszła w dolinę i zaczęła się wic u podnóży wężowatych pagórków.

- Tam, po prawej, jest droga, którą jechali Arnold i Tessa, z Loki do Lodwar. Fantastyczna trasa, jeśli nie brać pod uwagę bandytów.

Justin otrząsa się z odrętwienia, patrzy w dal, w bładą mgiełkę i widzi Arnolda i Tessę w jeepie. Zakurzone twarze, a na ławeczce między nimi podskakuje pudełko z dyskietkami. Nurt rzeki zbliża się do drogi. Rzeka nazywa się Tagua, mówi McKenzie, a jej źródła leżą wysoko w górach Tagua. Góry Tagua są wysokie na cztery tysiące metrów. Justin uprzejmie przyjmuje tę informację do wiadomości. Pokazuje się słońce, wzgórza zmieniają kolor na błękitnoczarny, stają się groźne i samotne, Tessa i Arnold znikają. Krajobraz znów jest bezduszny, nigdzie nie widać człowieka ani zwierząt.

- Członkowie plemion z Sudanu schodzą tu z grzbietu Mogiła - mówi McKenzie. - W swojej dżungli nic na sobie nie noszą. Kiedy przybywają na południe, robią się wstydlivi i zakładają na siebie jakieś skape szmatki. Chłopie, ci to potrafią biegać!

Justin uprzejmie się uśmiecha. Brązowe, nagie góry wyrastają krzywo ze zgniłozielonej ziemi. Za nimi Justin rozpoznaje błękitne opary jeziora.

- Czy to jezioro Turkana?

- Nie pływaj w nim. Chyba że jesteś bardzo szybki. Świeża woda. Wielkie ametysty. Przyjaźnie nastawione krokodyle.

Pod nimi pojawiają się stadka owiec i kóz, potem wioska i zabudowania.

- Wieśniacy znad jeziora Turkana -- mówi McKenzie. - W ubiegłym roku była tu wielka strzelanina o skradzione trzody. Lepiej trzymać się od nich z dala.

- Będę się trzymał - obiecuje Justin.

McKenzie patrzy mu prosto w oczy, długo i pytająco.

- Powiedziano mi, że to nie są jedyni ludzie, od których trzeba się trzymać z daleka.

- O, tak - zgadza się Justin.

- Za parę godzin będziemy w Nairobi.

Justin kręci głową.

- Mam polecieć kawałek dalej i zabrać pana za granicę do Kampali? Mamy paliwo.

- Jesteś bardzo uprzejmy.

Znów pojawia się droga, jest piaszczysta i pusta. Samolot rzuca się gwałtownie, nurkuje to w lewo, to w prawo jak znarowiony koń, jakby natura kazała mu zawracać.

- Najgorsze wiatry w okolicy - mówi McKenzie. - Ten region z nich słynie.

Pod nimi, położone pomiędzy stożkowatymi pagórkami, rozciąga się niewielkie miasteczko Lodwar. Pagórki wznoszą się na nie więcej niż kilkaset metrów. Wygląda ładnie ze swoimi blaszanymi dachami, asfaltowym pasem startowym i szkołą.

- Tu nie ma przemysłu - mówi McKenzie. - Jest wielki targ na krowy, osły i wielbłądy, jeśli interesujesz się kupnem.

- Nie - odpowiada Justin z uśmiechem.

- Jeden szpital, jedna szkoła, mnóstwo wojska. Lodwar to centrum zapewniające bezpieczeństwo dla całego obszaru. Żołnierze większość czasu spędzają na wzgórzach Apoi, gdzie bezskutecznie ścigają bandytów. Bandytów z Sudanu, bandytów z Ugandy, bandytów z Somalii. Naprawdę śliczne miejsce dla bandytów. Kradzież była to miejscowy sport - recytuje McKenzie, znów wchodząc w rolę przewodnika. - Mandangowie kradną bydło, potem tańczą przez dwa tygodnie, aż inne plemię im z kolei je ukradnie.

Jak daleko jest z Lodwar do jeziora? - pyta Justin.

- Mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów. Jedź do Kalokol. Tam jest domek rybacki. Pytaj o wioślarza o imieniu Mickie. Jego chłopak to Abraham. Abraham jest w porządku, póki jest z Mickiem. Cały jad zostawia dla siebie.

- Dziękuję.

Na tym rozmowa się kończy. McKenzie przelatuje nad lotniskiem, machając skrzydłami, że chce lądować. Znów zyskuje wysokość i wraca. Nagle są na ziemi. Nic więcej już nie da się powiedzieć, można tylko jeszcze raz podziękować.

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, znajdź kogoś, kto mnie wezwie przez radio - mówi McKenzie, kiedy tak stoją w upale na pasie. - Jeśli ja nie będę mógł pomóc, to jest facet, który nazywa się Martin, prowadzi w Nairobi szkołę pilotażu. Lata od trzydziestu lat. Szkolony w Perth i Oksfordzie. Podaj mu moje nazwisko.

Justin znów dziękuje i okazując uprzejmość, gorliwie zapisuje nazwisko.

- Chcesz pożyczyć moją torbę lotniczą? - pyta McKenzie, unosząc prawą rękę, w której trzyma czarną teczkę. - Długolufowy pistolet, strzela precyzyjnie. Daje szansę na odległość czterdziestu metrów.

- Ja bym nie trafił i z dziesięciu - wykrzykuje Justin ze skromnym Śmieszkim, datującym się z czasów sprzed Tessy.

- A to jest Justice - mówi McKenzie, przedstawiając płaczącego filozofa w złachmanionej podkoszulce i zielonych sandałach, który pojawił się znikąd. - Justice jest twoim kierowcą. Justinie, poznaj Justice. Justice, poznaj Justina. Z Justice jest pewnie dzentelmen o imieniu Ezra, pojedziecie razem. Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Justin wyciąga grubą kopertę z kieszeni kurtki.

- Chciałbym, żebyś był tak miły i wysłał to, kiedy będziesz w Nairobi. Zwyczajna poczta wystarczy. To nie jest moja dziewczyna. To ciotka mojego prawnika.

- Dziś wieczór?

- Dziś wieczór.

- Więc uważaj na siebie - mówi McKenzie, wsuwając kopertę do torby.

- O, tak, będę uważał - mówi Justin i tym razem jakoś udaje mu się nie powiedzieć, że McKenzie był bardzo uprzejmy.

Jeziro było białe i srebrne, a słońce stojące nad głową malowało łódź rybacką Mickiego w biało-czarne pasy. Czerń była w cieniu daszka, a bezlistosna biel tam, gdzie promienie docierały bez przeszkód do stolarki, biel na powierzchni wrzącej od ryb wody, biel na tle zamglonych szarych gór, przęających grzbiety w upale, biel na czarnych twarzach starego Mickiego i jego młodego towarzysza, jadowitego Abrahama - szyderczo uśmiechniętego, kipiącego złością dziecka, McKenzie miał całkowitą rację - który z jakiegoś niezrozumiałego powodu mówił po niemiecku, a nie po angielsku, więc zamiast jednej rozmowy, czy tego, co miało ją zastępować, były trzy: po niemiecku z Abrahamem, po angielsku ze starym Mickiem i w ich własnej wersji swahili, kiedy rozmawiali między sobą. Biel także za każdym razem, gdy Justin spoglądał na Tessę, a robił to często, sterczącą w pozie chłopczycy na dziobie łodzi, jedną ręką trzymającej się burty tak, jak nauczył ją jej ojciec, z Arnoldem siedzącym w pobliżu na wypadek, gdyby się pośliznęła. Z radia na łodzi dobiegał angielskojęzyczny program o gotowaniu i ktoś zachwalał zalety suszonych na słońcu pomidorów.

Z początku Justin w żadnym języku nie był w stanie wyjaśnić, jaki jest cel jego podróży. Nigdy nie słyszeli o zatoce Allia. Zatoka Allia nie interesowała ich w najmniejszym stopniu. Stary Mickie chciał go zabrać dokładnie na południowy wschód, do Oazy Wolfganga, gdzie było jego miejsce. Abraham gorąco popierał to posunięcie: *wazungu* zatrzymują się w Oazie, to najlepszy hotel w okolicy, słynny z goszczących w nim gwiazd filmu i rocka i milionerów, a Justin na pewno chce płynąć do Oazy, choćby o tym nie wiedział. Dopiero, kiedy Justin wyciągnął małą fotografię Tessy z portfela -

fotografię do paszportu, żadną z tych zbrukanych przez gazety - cel misji stał się dla nich jasny, ucichli i poczuli się nieswojo. A więc Justin chce odwiedzić miejsce, gdzie zamordowano Noaha i kobietę *mzungul* - pytał Abraham.

Tak, proszę.

Czy Justin wiedział, że mnóstwo policjantów i dziennikarzy odwiedzało to miejsce, że wszystko, co można było znaleźć, już znaleziono, że także policja z Lodwar i lotny oddział z Nairobi z osobna i razem zarządziły, że turystom, wycieczkowiczom i łowcom trofeów, i wszystkim innym, którzy nie mają tam nic do roboty, wstęp jest wzbroniony? - upierał się Abraham.

Czy nie wie, że to miejsce nawiedzone i było już takie, zanim Noah i *mzungu* zostali zamordowani? - ale to powiedział już z mniejszym przekonaniem, skoro ustalono stronę finansową wyprawy.

Justin przysiągł, że nie boi się duchów.

Żeby wyrazić szacunek wobec posępnej natury ich wyprawy, stary człowiek i jego pomocnik zastygli w melancholijnych pozach i trzeba było zmobilizować wesołego ducha Tessy, żeby wytrącić ich z tego nastroju. Ale jak zwykle, za pomocą jej dowcipnych komentarzy rzuconych z dziobu łodzi, udało się jej tego dokonać. Pomocna była także obecność innych łodzi rybackich stojących na wodzie dalej, bliżej horyzontu. Wołała do nich - co złowiliście? - a tamci odkrzykiwali - tyle to a tyle czerwonych ryb, tyle a tyle niebieskich i tyle a tyle tęczowych. A jej entuzjazm był tak zaraźliwy, że Justinowi szybko udało się nakłonić Mickiego i Abrahama, żeby wzięli się w garść, co poskutkowało również w ten sposób, że skierowali swoją ciekawość na bardziej konstruktywne cele.

- Dobrze się pan czuje? - zagadnął Mickie, jak stary lekarz, patrząc mu z bliska w oczy.

- Świetnie. Doskonale. Po prostu świetnie.

- Myślę, że pan ma gorączkę. Niech pan odpocznie pod daszkiem, a ja przyniosę panu jakiś zimny napój.

- Doskonale. Obaj się napijemy.

- Dziękuję. Muszę zajmować się łodzią.

Justin siedzi pod daszkiem i lodem ze szklanki chłodzi sobie kark i czoło, kiwając się w rytm uderzeń wiosła. Musi przyznać, że znaleźli się w dziwacznym towarzystwie, ale przecież Tessa jest całkowicie zwariowana na punkcie zapraszania różnych ludzi i naprawdę trzeba zacisnąć usta i podwoić liczbę gości, o której myślało się na początku. Miło cię widzieć, Porter, i ciebie, Veroniko, i ciebie, maleńka Rosie. To zawsze przyjemność widzieć was, nie - w tej kwestii nie ma obiekcji. I Tessie zawsze udaje się wydobyć z Rosie więcej reakcji niż innym. Ale Bernard i Celly Pellegrinowie to kompletna pomyłka,

kochanie, i popatrz, jakie to typowe dla Bernarda, że przyniósł trzy rakiety do tenisa zamiast jednej. A co do Woodrowów- najwyższy czas, żebyś zrezygnowała z tego chwalebego, ale niezyciowego przekonania, że nawet najbardziej byle jacy spośród nas mają szczerozłote serca i ty im to udowodnisz. I na litość boską, przestań tak na mnie zerkać, jakbyś chciała za chwilę kochać się ze mną. Sandy na poły oszalał od zerkania ci za dekolt.

- Co to jest? - zapytał ostro Justin.

Najpierw pomyślał, że to Mustafa. Stopniowo uświadomił sobie, że to Mickie trzyma go za koszulę na barku i szarpie, żeby go obudzić.

- Jesteśmy na wschodnim brzegu. Blisko tego miejsca, gdzie wydarzyła się tragedia.

- Jak to daleko?

- Na piechotę dziesięć minut. Pójdziemy z panem.

- To nie jest konieczne.

- To nad wyraz konieczne, sir.

- *Wasfehlt dirl* - zapytał Abraham znad ramienia Mickiego.

- *Nichts*. Nic. Czuję się świetnie. Obaj byliście bardzo uprzejmi.

- Niech pan się napije trochę wody - powiedział Mickie, podając mu świeżą szklankę.

Uformowali cichą kolumnę, wspinali się na płyty skały wulkanicznej w tej kolebce cywilizacji. Justin musiał to przyznać.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tu jest tylu cywilizowanych gości - powiedział raz do Tessy, komicznie akcentując słowa, a Tessa śmiała się z niego tym cichym śmiechem, kiedy to trzęsła się i w ogóle robiła to tak jak trzeba, ale nie wydobywała z siebie żadnego dźwięku. Gloria idzie przodem, cóż, taka pewnie była. Z tym królewskim, brytyjskim krokiem marszowym i łokciami, na pewno wysforowałyby się naprzód. Pellegrin klnie, co też jest normalne. Jego żona, Celly, mówi, że nie może znieść upału, i co w tym nowego? Rosie Coleridge na barana u tatusia podśpiewuje na cześć Tessy -jak, na wielkie nieba, zmieściliśmy się wszyscy w tej łódce?

Mickie zatrzymał się, położył lekko rękę na ramieniu Justina. Abraham stał tuż za nim.

- To jest miejsce, w którym odeszła pańska żona - powiedział Mickie.

Ale nie musiał się fatygować, bo Justin wiedział o tym doskonale - chociaż nie wiedział, jak Mickie wydedukował, że jest mężem Tessy, ale może Justin powiedział o tym we śnie. Widział to miejsce na zdjęciach, w posępności pokoju gościnnego i w swoich snach. Tu biegnie wyżłobienie, które wygląda jak wyschnięte koryto rzeki. Tam stoi smutny kopczyk z kamieni, ułożony przez Ghitę i jej przyjaciółki. Wokół niego śmieci - niestety, rozwleczone we wszystkie strony - coś w naszych czasach nieodłącznego od nagłośnionych

przez media wydarzeń: zużyte opakowania po filmach, pudełka po papierosach, plastikowe butelki i papierowe talerze. Wyżej - może o jakieś trzydziści metrów w górze, na białym skalistym zboczu - przebiegała droga gruntowa, którą długa ciężarówka na safari o szerokim rozstawie osi jechała równolegle do jeepa Tessy. Z niej padł strzał, który przebił oponę i sprawił, że jeep zleciał w dół, a zabójcy Tessy, w dzikim pędzie, pospieszyli za nim, niosąc pangie, strzelby i co tam mieli. A tam - Mickie w milczeniu pokazywał to starczym, sękatym palcem - zostały niebieskie smugi lakieru wozu terenowego z Oazy, który tędy ześlizgiwał się do wąwozu. A lico tej skały, w odróżnieniu od czarnej wulkanicznej skały wokół, było białe jak kamień nagrobny. I chyba te brązowe plamy to naprawdę była krew, jak sugerował Mickie. Ale kiedy Justin zbadał je bliżej, doszedł do wniosku, że z równym powodzeniem mogły to być porosty. Poza tym niewiele tu było obiektów zainteresowania dla sportowca, poza żółtą trawą stepową i rzędem palm, które jak zwykle wyglądały tak, jakby zasadzono je na polecenie rady miasta. Kilka krzaków euforbii - cóż, jakżeby inaczej - znalazło sobie nisze między złomami czarnego bazaltu. I białe jak duch drzewo kommifory - czy one kiedykolwiek mają liście? - z wrzecionowatymi gałęziami rozciągniętymi w dwie strony, jak skrzydła ćmy. Wybrał sobie bazaltowy głaz i usiadł na nim. Miał zawroty głowy, ale był przytomny. Mickie wręczył mu butelkę wody i Justin pociągnął z niej łyk, zakręcił i postawił ją u stóp.

- Mickie, chciałbym na chwilę zostać sam - powiedział. - Może wybierzesz się z Abrahamem na ryby, a jak będę was potrzebował, to was zawałam?

- Wolelibyśmy na pana poczekać w łodzi.
- Dlaczego nie popłyniecie na ryby?
- Wolimy zostać tutaj z panem. Ma pan gorączkę.
- Już przechodzi. Tylko parę godzin. - Popatrzył na zegarek. Była czwarta po południu. - Kiedy zapada zmierzch?
- O siódmej, proszę pana.
- Świetnie. Będę gotów o zmierzchu. Gdybym czegoś potrzebował, zawałam. - I bardziej stanowczo. - Chcę być sam, Mickie. Po to tu przyjechałem.
- Tak jest.

Nie słyszał, jak odchodzili. Przez chwilę w ogóle nie słyszał żadnych dźwięków poza dziwnymi odgłosami od strony jeziora i pluskiem wiosel łodzi rybackich. Usłyszał wycie szakala i pyskowanie rodziny sępów, która przywłaszczyła sobie palmę na brzegu jeziora. I słyszał Tessę, jak mówiła mu, że gdyby to miało się stać ponownie, to chciałaby umrzeć w Afryce, w pościgu za wielką niesprawiedliwością. Napił się trochę wody, wstał i podszedł do śladów lakieru, bo wiedział na pewno, że w tym miejscu był tuż

obok niej. Nie trzeba było wiele, żeby do tego dojść. Jeśli położy ręce na śladach, będzie o jakieś pół metra od niej, pomijając grubość drzwi samochodu. A może dwa razy dalej, jeśli sobie wyobrazić, że między nimi znajdzie się Arnold. Nawet trochę się z nią pośmiał, bo zawsze miał piekielny problem, żeby ją nakłonić do zapinania pasów. Ona odpowiadała z właściwym sobie uporem, że na usianych dziurami afrykańskich drogach lepiej mieć więcej luzu: przynajmniej można amortyzować wstrząsy unikami, a tak - wpada się sztywno jak worek z kartoflami w każdą cholerną dziurę. Idąc za śladami lakieru, dotarł do dna wąwozu i, z rękami w kieszeniach, stanął przy wyschniętym korycie rzeki. Patrzył na miejsce, gdzie jeep się zatrzymał. Wyobrażał sobie, jak wyciągają z niego nieszczonego Arnolda, żeby go zabrać na miejsce długiej i strasznej egzekucji.

Potem, jako człowiek metodyczny, wrócił do głazu, który wybrał sobie na miejsce do siedzenia zaraz po dobieciu do brzegu, i znów na nim siadł. Studiował małe niebieski kwiatek podobny do fluksji, które sadił przed ich domem w Nairobi. Ale pojawił się problem, bo Justin nie był całkowicie przekonany, czy ten kwiatek rzeczywiście tutaj rośnie, czy też przeplancował go w myślach z Nairobi, albo, jeśli dokładniej się temu przypatrzeć, z hotelu w Engandine. Ponadto nieco mniej interesował się teraz florą. Nie chciał już utrzymywać wizerunku słodkiego facecika, który pasjonuje się wyłącznie fluksjami, astrami, frezjami i gardeniami. Myślał właśnie o przemianie, która w nim nastąpiła, gdy usłyszał warkot silnika dochodzący od strony brzegu, najpierw ciche wybuchy, potem miarowe terkotanie stopniowo cichnące w oddali. Pomyślał, że to pewnie Mickie postanowił jednak odpłynąć; dla rasowego rybaka połów o zmierzchu jest prawdziwą pokusą. A potem przypomniał sobie, jak starał się namówić Tessę, żeby poszła z nim na ryby, co nieodmiennie kończyło się nie na rybach, ale na niezdiscyplinowanym uprawianiu miłości i pewnie dlatego tak gorliwie ją namawiał. Nadal żartobliwie rozpamiętywał logistykę uprawiania miłości na dnie małej łódki, gdy przyszło mu do głowy inne wyjaśnienie wyprawy rybackiej Mickiego, mianowicie takie, że to nie była wyprawa na ryby.

Mickie nie wygłupia się, nie zmienia zdania, nie ulega kaprysom.

Mickie jest zupełnie inny.

Na pierwszy rzut oka widać - i Tessa jest tego zdania - że to urodzony sługa rodziny, to dlatego, szczerze mówiąc, pomylił go z Mustafą.

Więc Mickie nie wypłynął na ryby.

Ale Mickiego nie ma. Czy zabrał ze sobą jadowitego Abrahama, pozostawało punktem spornym. Ale Mickie odpłynął i łódź odpłynęła. Z powrotem przez jezioro - dlatego odgłos silnika był coraz słabszy.

Dlaczego odpłynęli? Kto mu kazał odpłynąć? Zapłacił mu za to? Rozkazał? Groził? Jaką wiadomość odebrał Mickie przez radiostację na łodzi albo

od człowieka z innej łodzi, albo od kogoś na brzegu, że zdecydował się, wbrew dobrodusznemu wyrazowi twarzy, odstąpić od pracy, za którą mu jeszcze nie zapłacono? A może to Markus Lorbeer, nałogowy Judasz, chciał zaskarbić sobie jeszcze większe łaski swoich przyjaciół z korporacji? Nadal rozpatrywał różne możliwości, gdy usłyszał odgłos innego silnika, tym razem dochodzący od strony drogi. Zmierch zapadał szybko i światło robiło się kapryśne, toteż mógł się spodziewać, że przejeżdżający samochód będzie miał włączone przynajmniej światła boczne, ale nie miał, i to wydało mu się dziwne.

Przyszła mu jeszcze jedna myśl do głowy - może dlatego, że samochód posuwał się powoli - że to Ham, jadący swoim zwyczajem dziesięć kilometrów na godzinę poniżej dozwolonej szybkości, przybył, żeby oznajmić, że listy do srogiej ciotki z Mediolanu dotarły bezpiecznie i że wielka niesprawiedliwość, o której mówiła Tessa, wkrótce zostanie naprawiona zgodnie z jej przekonaniem, że trzeba zmusić System, żeby w sobie szukał sił, które będą zdolne go naprawić. Potem pomyślał: to nie jest samochód. Pomyliłem się. To mały samolot. Potem dźwięk się urwał i Justin już był skłonny przyjąć, że to jakaś złuda - że słyszał jeepa Tessy, że za chwilę zatrzyma się przy nim i ona z niego wyskoczy w butach mephisto i ślizgając się, zbiegnie ze zbocza, żeby pogratulować mu, że podjął sprawę tam, gdzie ona ją zostawiła. Ale to nie był jeep Tessy, nie należał do nikogo znajomego. Zobaczył ledwie widoczny zarys długiego wozu terenowego z poszerzonym rozstawem osi albo samochodu z napędem na cztery koła - nie, to była ciężarówka na safari - albo ciemnoniebieska albo ciemnozielona, w coraz słabszym świetle trudno było rozpoznać kolory. Zatrzymała się dokładnie w tym miejscu, w którym dopiero co patrzył na Tessę. I chociaż spodziewał się czegoś takiego, odkąd wrócił do Nairobi - a nawet jakoś życzył sobie tego i dlatego uznał ostrzeżenie Donohue za zbyt uczynne - przyjął ten widok z ogromną radością, by nie rzec - z poczuciem spełnienia. Spotkał ludzi, którzy ją zdradzili - Pellegrina, Woodrowa, Lorbeera. Zrekonstruował jej beczelnie odrzucone memorandum - fragmentarycznie, co prawda, ale tego nie dało się uniknąć. A teraz podzieli z nią jej ostatnią tajemnicę.

Druza ciężarówka zatrzymała się za pierwszą. Usłyszał odgłos lekkich kroków i rozpoznał w ciemności szybko poruszające się atletyczne postacie tandetnie ubranych mężczyzn. Biegli mocno pochyleni. Słyszał, jak ktoś gwizdnął, a potem, za jego plecami, ktoś znowu gwizdnął w odpowiedzi. Wyobraził sobie - i chyba tak było naprawdę - że poczuł zapach dymu papierosów sportsman. Ciemność stała się nagle jeszcze głębsza, wokół niego pojawiły się światełka. Najjaśniejsze z nich wyłowilo go z mroku i już nie puściło.

Usłyszał odgłos stóp, ześlizgujących się z białej skały.

Od Autora

Niech mi będzie wolno pospieszyć z obroną brytyjskiej Wysokiej Komisji w Nairobi. Nie opisywałem tego miejsca, bo też nigdy nie byłem tam w środku. Nie pracują tam osoby, występujące w powieści, bo żadnej z nich nie spotkałem i z żadną nie rozmawiałem. Natomiast kilka lat temu spotkałem się z Wysokim Komisarzem i piłem z nim piwo imbirowe na tarasie hotelu Norfolk, i tyle. W najmniejszym stopniu nie przypomina on, ani powierzchownością, ani innymi cechami, mojego Portera Coleridge'a. Co do nieszczęsnego Sandy'ego Woodrowa - cóż, jeśli w brytyjskiej Wysokiej Komisji w Nairobi w ogóle istniał jakiś szef kancelarii, tak jak napisałem, to z pewnością musiał być pracowitym i porządnym człowiekiem, któremu na myśl by nie przyszło, żeby pożądać małżonek kolegów swoich albo niszczyć niewygodne dokumenty. Ale nikogo takiego nie ma. Szefowie kancelarii w Nairobi i w wielu innych brytyjskich misjach dyplomatycznych zniknęli w miarę upływającego czasu.

W tych pieskich dniach, gdy prawnicy rządzą wszechświatem, muszę w kółko składać takie dementi, przypadkiem całkiem prawdziwe. Z jednym wyjątkiem: żadna z osób, ekip, korporacji, o których mowa w tej powieści, dzięki Bogu, nie ma pierwowzoru w realnym świecie. Dotyczy to w równym stopniu Woodrowa, Pellegrina, Landsbury, Cricka, Curtissa i jego budzącej groźę firmy ThreeBees, co i firmy Karel Vita Hudson, zwanej również KVH. Jedynym wyjątkiem jest wielki i poczytywy Wolfgang z Oazy, postać, która tak wbija się w pamięć wszystkim swoim gościom, że śmiechu warte byłoby tworzenie jej fikcyjnego odpowiednika. Wolfgang suwerennie nie zaoponował przeciwko użyciu przeze mnie jego imienia i głosu.

Nie ma dypraxy, nie było i nigdy nie będzie. Nie słyszałem o żadnym cudownym leku na gruźlicę, który ostatnio wprowadzono by na rynek afrykański albo jakikolwiek inny - albo chciano by wprowadzić - więc jeśli mi się poszczęści, nie spędzę reszty życia na salach sądowych albo i gorzej, bo w obecnych czasach nie można być pewnym niczego. Ale powiem wam jedno. W miarę, jak zagłębiałem się w farmaceutyczną dżunglę, uświadamiałem sobie coraz bardziej, że w porównaniu z rzeczywistością, moja opowieść jest niewinna jak pocztówka z wakacji.

A teraz na weselszą nutę, pozwólcie, że gorąco podziękuję tym, którzy pomogli mi i pozwolili wymienić swoje nazwiska, jak i tym, którzy pomogli i mieli słuszne powody, żeby nie zgodzić się na ujawnienie personaliów.

Ted Younie, długoletni i współczujący obserwator afrykańskiej sceny, pierwszy szepnął mi słówko o farmaceutykach, a później oczyścił tekst z kilku ewidentnych błędów.

Doktor David Miller, lekarz z doświadczeniami wyniesionymi z Afryki i Trzeciego Świata, pierwszy podsunął mi gruźlicę i otworzył oczy na kosztowną i wyrafinowaną kampanię, skierowaną przez korporacje farmaceutyczne przeciwko zawodowi lekarskiemu.

Doktor Peter Godfrey-Faussett, starszy wykładowca w London School of Hygiene and Tropical Medicine, służył mi cenną poradą zarówno na początku pracy, jak i na etapie ukończonego rękopisu.

Arthur, człowiek wielu zawodów, syn mego zmarłego amerykańskiego wydawcy Jacka Gehegana, opowiadał mi straszliwe historie o czasach, które spędził jako przedstawiciel spółek farmaceutycznych w Moskwie i Europie Wschodniej. Czuwał nad nami dobroczynny duch Jacka.

Daniel Berman z organizacji Lekarze bez Granic z Genewy dostarczył mi informacji, które należałoby zamieścić z trzema gwiazdkami w przewodniku Michelina: warte całej podróży.

BUKO Pharma-Kampania z Bielefeld w Niemczech - nie należy jej mylić z "Hippo" z mojej powieści - jest niezależną, cierpiącą na brak personelu organizacją, w której skład wchodzi rozumni, wykwalifikowani ludzie, usiłujący demaskować występki przemysłu farmaceutycznego, zwłaszcza w Trzecim Świecie. Jeśli chcecie okazać szczerą pomoc, wyślijcie im, proszę, trochę pieniędzy. To im pomoże w działaniu. Jako że opinia świata medycyny jest nieustannie, podstępnie i metodycznie korumpowana przez giganty farmaceutyczne, przetrwanie BUKO ma tym większe znaczenie. BUKO nie tylko bardzo mi pomogło. Właściwie namawiali mnie, żebym wychwalał odpowiedzialne koncerny farmaceutyczne. Z sympatii do nich usiłowałem tu i tam zadośćuczynić ich prośbie, ale nie o tym traktuje moja powieść.

Radą, wiedzą i poczuciem humoru służyli mi doktor Paul Haycock, weteran międzynarodowego przemysłu farmaceutycznego, oraz Tony Allen, stary wiarus afrykański i wytrawny konsultant farmaceutyczny. Znosili przy tym łaskawie moje ataki na ich profesję czego doświadczył również Peter, który wolał jednak pozostać w cieniu.

Pomocy udzielili mi także najwyższej próby przyjaciele z ONZ. Żaden z nich nie miał najmniejszego pojęcia, do czego zmierzam; sądzę jednak, że nietaktem z mojej strony byłoby, gdybym wymienił ich z nazwiska.

Ze smutkiem postanowiłem zrezygnować także z podawania nazwisk ludzi mieszkających w Kenii, którzy wielkodusznie ofiarowali mi swoją pomoc. Kiedy pisałem tę książkę, dotarła do nas wieść o śmierci Johna Kaisera, amerykańskiego księdza z Minnesoty, który przepracował w Kenii ostatnie trzydzieści sześć lat. Jego ciało znaleziono w Naivasha, o osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Nairobi. Miał ranę od kuli w głowie. W pobliżu znaleziono śrutówkę. Ksiądz Kaiser od dawna znany był jako jawny krytyk rządu kenijskiego ze względu na jego stosunek do praw człowieka, a raczej ze względu na brak tego stosunku. Takie wypadki mogą się powtarzać.

Opisując w rozdziale osiemnastym tarapaty Lary, sięgnąłem do kilku przypadków, głównie z kontynentu północnoamerykańskiego, dotyczących wysoko wykwalifikowanych lekarzy-naukowców, którzy ośmielili się nie zgodzić ze swoimi chlebodawcami z branży farmaceutycznej i za swoje trudy musieli odcierpieć szkalowanie i szykany. Nie chodzi o to, czy ich wnioski były słuszne. Chodzi o konflikt pomiędzy sumieniem jednostki a chciwością korporacji. Chodzi o elementarne prawo lekarzy do wyrażania niezależnych opinii w dziedzinie medycyny i o ciążyący na nich obowiązek powiadamiania pacjentów o ryzyku, które ich zdaniem związane może być z przyjmowaniem zapisanych przez nich lekarstw.

Na koniec, gdybyście kiedyś przypadkiem znaleźli się na Elbie, nie omieszkajcie proszę odwiedzić pięknej starej posiadłości przypisanej przeze mnie Tessie i jej włoskim przodkom. Nazywa się ona La Chiusa di Magazzini i należy do rodziny Foresi. Produkują oni czerwone, białe i różowe wino, likiery z własnych winnic oraz doskonałą oliwę z własnych gajów oliwnych. Dysponują też kilkoma domkami, które możecie u nich wynająć. Jest tam też stary skład oliwy, w którym poszukiwacze sensu życia znajdą samotny kątek do rozmyślań.

John le Carré
grudzień 2000